

TRYLOGIA POMORSKA

KRZYSZTOF A.  
ZAJAS

WIATRANKI

MARGINESY



KRZYSZTOF A.  
ZAJAS

# WIATRAKI



MARGINESY

Redaktor prowadzący  
ADAM PLUSZKA

Redakcja  
KAROLINA MACIOS

Korekta  
MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK

Projekt okładki i stron tytułowych  
PIOTR ZDANOWICZ

Łamanie  
**manufaktura**

Zdjęcia na okładce  
© Ebru Sidar / Arcangel, © Francoise Hillemand / Arcangel

Copyright © by Krzysztof A. Zajas  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-78-8

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa  
tel. 48 22 839 2519

## Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

### CZĘŚĆ PIERWSZA. LUCEK: OTWARCIE

I. To tylko gra

II. Interwencje pozasłużbowe

III. Złe sny

IV. Powiedz to jeszcze raz

V. Grębówko

VI. Coś się stało

VII. Łowienie na żywca

VIII. Katastrofa

### CZĘŚĆ DRUGA. ANDRZEJ: KOREKTA

IX. Pogadajmy

X. Rozmawiamy

XI. Zieziacie

XII. Wizja lokalna

XIII. Czarny anioł

XIV. Ciężarówka

XV. Lucek, idę

ZAKOŃCZENIE

OD AUTORA

## **CZĘŚĆ PIERWSZA**

### **Lucek: otwarcie**

*Młyny szły bezszelestnie, zakopane w mroku,  
w szumie skrzydeł aniołów, lecących przez światy,  
i sypał się piach gwiazdny z daleka, z wysoka,  
na zalane czerwienią łopaty.*

Władysław Sebyła, Młyny (Sonata nieludzka)

# I

## To tylko gra

### I

Biała kula bilardowa leżała na środku stołu, a zielona szóstka tuż przy narożnym dołku na wprost wlotu. Wystarczyło lekko pyknąć. Takie łatwe ustawienie w jednej linii bywa zdradliwe i można haniebnie spudłować. Ale nie on. Grał tu od lat i znał ten stół jak własną kieszeń. Mógłby wziąć ze stojaka dowolny kij i trafić z zamkniętymi oczami. Staął w fachowym rozkroku, pochylił się nad wytartym sukniem, ujął węższy koniec kija w palce, delikatnie jak papierosa, i przymierzył. Jeśli trafi za wysoko, biała wpadnie razem z zieloną. Jeśli za nisko, może się nie doturlać. Idealnie byłoby trochę poniżej środka. Przymrużył lewe oko: kij – biała – zielona – wlot...

Wyprostował się. Przetarł dłonią spocony kark i łysą czaszkę. Po dwóch piwach grało się super, ale był mokry jak nurek. Czemu akurat po dwóch? Starannie wytarł wilgotną dłoń w dzinsy. Coś mu przeszkadzało.

– Bijże, kurwa, nie?

Odwrócił się do Tasaka i zrobiwszy krok, pochylił się nad niższym o głowę, pękatym i równie łysym jak on facetem.

– Się koncentruję – powiedział z lodowatym spokojem. – Jakbyś nie zauważył.

Zacisnął dłonie w pięści, ale Tasak zaledwie musnął je wzrokiem i natychmiast podniósł obie ręce do góry.

– Dobra, dobra. Koncentruj się.

Wziął wdech, wypuścił głośno powietrze i znowu się przymierzył. Z głośnika leciało *My Słowianie*, jego ulubione, ale teraz urywany rytm wiejskiego techno działał mu na nerwy. Jak dobrze pyknie zieloną, czarna po drugiej stronie będzie na deserek. Bułeczka z maselkiem, a Tasak wyskakuje ze stowy. Trzeba się tylko skupić. Przymknął oko: kij – biała – zielona – wlot...

Dokładnie w momencie, gdy stuknął kulę, pojął, co mu przeszkadza. Na przedłużeniu linii strzału, nad krawędzią, wystawała jasna czupryna chłopaka przy sąsiednim stoliku. Niedbale rozrzucone kręcone włosy układały się w fikuśną kopkę, jak u jakiegoś gitarzysty z tych pedalskich kapel na Vevo. W perspektywnym skrócie znalazła się tuż za narożnym dołkiem i mężczyzna miał wrażenie, że to w nią celuje. Pchnięta krzywo biała bila stuknęła zieloną i odbiła w prawo, a tamta zatańczyła w narożniku i potoczyła się w lewo. Zatrzymała się tuż przy bandzie.

– Aleś się, Dudas, skoncentrował – prychnął Gleba od zastawionego piwami stolika, co reszta skwitowała zgodnym rechotem.

Powinien mu za to dać z piąchy, ale zapanował nad sobą. Rzucił kijem w kąt i łyknął piwa.

– Jedź – warknął do Tasaka, nie patrząc na nikogo. Był tu szefem, nie powinien tracić kontroli nad sobą. To nieprofesjonalne. Upił piwa, przesunął ręką po karku i zerknął w stronę chłopaka z kręconymi włosami. Teraz mógł z profilu dokładnie obejrzeć tego lalusia o gładkiej jak u bobasa buźce, z aniołkowatym loczkiem na czole. Co on, kurwa, pije? Herbatę? Pieprzony pedzio. Gdyby nie ta jego ciotowata fryzurka, wszystko byłoby okej, bila w dziurze i stowa w kieszeni. Sącząc piwo i ścierając pot z szyi, Dudas doszedł do przekonania, że to właśnie przez ten loczek na czole zjechał



banalnie proste uderzenie. Pedziów nie powinno się wpuszczać do porządnego męskiego baru.

Ktoś klepnął go w ramię i ujrzał przed nosem wyciągniętą rękę Tasaka.

– Sorki, stary. Wyskakuj ze stowy.

Nawet nie zauważył, jak i kiedy Tasak wbił kule.

– Jeszcze nie. Gramy rewanż.

– Hej, Dudas, my też tu jesteśmy! – krzyknął jeden z chłopaków, a inni gromko go poparli.

Zignorował ich i poszedł do baru po następny żeton. W powrotnej drodze przyjrzał się obcemu. Facet przeglądał książkę kucharską Okrasy i ołówkiem robił notatki na marginesach. Po dziecięcej buźce błąkał się uśmiezek człowieka, który czyta coś niezwykle przyjemnego. Książka kucharska? Pojeb jakiś!

Nachylił się nad blondynem.

– Co tam takiego śmiesznego? Spaghetti się samo ugotowało?

Według niego był to doskonały dowcip, więc zarechotał głośno. To go odprężyło. Nic tak nie poprawia humoru jak wyobrażenie własnej błyskotliwości.

– Połało się sosem bolońskim i poszło na obiad?

Blondyn uniósł głowę znad książki i z uśmiechem odparł:

– Nie jadam spaghetti, zwłaszcza z sosem bolońskim. Makaron włoski szkodzi na włoski.

Od stolika kumpli poszedł urywany śmiech. Dudas zrozumiał, że była to aluzja do jego łysiny. Przesunął po niej dłonią i zawisł na kiju bilardowym jak pielgrzym na kosturze.

– Masz coś do łysych?

– Wiele współczucia.

Chłopak nadal się uśmiechał i kręcił młynka ołówkiem trzymanym między palcami. Na jego pedalskiej twarzy malowało

się całkiem dla Dudasa niezrozumiałe zadowolenie. Z otwartej stronicy książki kucharskiej bił w oczy nieprzyzwoicie kolorowy obrazek tortu z bitą śmietaną i kręgiem wiśni. Owoce błyszczały dokładnie tak samo jak wargi uśmiechniętego lalusia. Dudas walnąłby pięścią w te mięsiste robaczki i soczek wiśniowy trysnąłby prosto na torcik. Wystarczyło lekko pyknąć. Ścisnął kij, aż mu knykcie zbieleły. Nie, nie teraz. Dopiero co został szefem i powinien panować nad sobą.

– Słuchaj, gościu, mógłbyś się nieco przesunąć?

Tamten rozejrzył się wkoło w poszukiwaniu adresata prośby, wreszcie ze zdziwieniem dotknął palcem własnej piersi.

– Ja? Czy ja komuś przeszkadzam?

Dudas sapnął. Jeszcze trochę i nerwy mu puszczą. Zerknął w stronę kontuaru. Barman przyglądał mu się uważnie i napotkawszy jego spojrzenie, powoli pokręcił głową. Dudas skinął.

– Usiądź po prostu trochę dalej. My tu gramy i... – zająknął się, bo nie wiedział, co właściwie powiedzieć. Że nie lubi Okrasy? Że gościu ma wkurwiającą buzię i hairy niehalo? – ...no wiesz, potrzebny komfort. Najlepiej by było, jak byś usiadł gdzieś w kącie.

Zatoczył ręką po sali, pokazując, ile tu jest miejsca i że każde z nich będzie lepsze od tego, na którym pedzio siedzi teraz. Dudas był bardzo grzeczny i spokojny, dlatego tamten go posłuchał.

– W porządku, nie ma sprawy.

Blondyn wziął książkę pod pachę, chwycił kubek z herbatą, obszedł stół bilardowy i usiadł po przeciwnej stronie, tyłem do nich, po czym z ołówkiem w ręku wrócił do lektury. Dudas westchnął z ulgą i wrzucił żeton do otworu w stole bilardowym. Opanował się, nie zrobił obory. Załatwił sprawę polubownie i pokojowo, chociaż miał wielką ochotę po prostu przypierdolić w tę zakręconą łepetynkę. Liczył, że jego opanowanie zostanie docenione. Nie

zwracając uwagi na protesty ziomków, ustawił trójkąt na suknie, poustawiał starannie bile i pokazał palcem Tasakowi.

– Zaczynasz. Teraz gramy o dwie paczki.

Był spokojny, tak przynajmniej mu się wydawało. Tasak jednak musiał dostrzec na jego twarzy napięcie, ponieważ najpierw otworzył usta w proteście, a potem je zamknął. Natarł czubek kija kredą i uderzył z rozmachem. Bile rozbiegły się po zielonym suknie jak przestraszone kury po trawniku. Wpadły aż dwie, obie pełne. Tasak grał dalej, wbił jeszcze dwie, a potem z uśmiechem oddał kij Dudasowi. Ten przymierzył i wbił jedną, przy drugiej wpadła mu również biała. Uderzył za mocno. Coś było nie tak z jego opanowaniem. Ta sprawa wydała mu się ciągle niezłałatwiona. Po chwili zrozumiał dlaczego. Blondyn przesiadł się na drugi koniec stołu, ale dokładnie w takie samo miejsce jak poprzednio. Przy kolejnej przymiarce Dudas znowu zobaczył na końcu kija czuprynę kręconych włosów. I znowu spieprzył uderzenie. Nie, nie mógł tego tak zostawić.

– Sorry, gościu, ale chyba się nie zrozumieliśmy. Prosiłem, żebyś przesiadł się gdzieś dalej, o, na przykład tam. – Pochylony nad nim wskazał dłonią najciemniejszy kąt baru, w sam raz dla miłośnika herbaty i tortów z wiśniami. A najlepiej, żeby pedał w ogóle się stąd wyniósł i nie wkurwiał go gładką buzią.

Blondyn zmrużył oczy i nie przestając się uśmiechać, zapytał:

– Jesteś pewien, że jak się przesiądę, to sobie wreszcie trafisz?

Dudas zacisnął zęby.

– No.

– To po włosku?

– Że co?

– Nic.

Chłopak znowu zebrał swoje rzeczy i przesiadł się w ciemny kąt. Ale już nie przeglądał książki kucharskiej. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w niego, szczerząc zęby w martwym uśmiechu. W jakimś sensie było to jeszcze gorsze. Dudas dwa razy haniebnie spudłował, a następnie uderzył tak mocno, że oprócz swojej bili wbił również białą, na koniec zaś (jak pierdolona wisienka na torcie!) do dziury potoczyła się czarna. Zagotował się w środku. Rzucił kij na stół i ruszył do ciemnego kąta, roztrącając po drodze krzesła jak baloniki na nieudanym przyjęciu urodzinowym. Głos z głębi mózgu wołał, że ta nieruchoma, wyszczerzona gęba to niebezpieczeństwo, ale mężczyzna stracił zaufanie do takich głosów. W jego żyłach buzowała potężna energia wściekłości, niebotycznego wkurwienia, na które żaden piskliwy głosik rozsądku nic nie poradzi. Nie czuł bólu ani złości, tylko ten przyjemny szum, jakby wypełniała go piana z piwa. Postać w półmroku nie zareagowała, żaden mięsień nawet nie drgnął na gładkiej twarzązce. Ten kamienny bezruch tknął Dudasa złym przeczuciem, ale było już za późno na odwrót. Gwałtowne natarcia mają to do siebie, że nie można się z nich wycofać, nawet kiedy już dostrzega się błąd.

– Spierdalaj stąd! – krzyknął nienaturalnie głośno. – Powiedziałem: spierdalaj!

Liczył na głupią uwagę, która dałaby mu pretekst. Ale tamten ani drgnął. Szczerzył się jak wredny klaun z okładki tego słynnego horroru.

– Spierdalaj albo zetrę ci ten uśmieszek z ryja!

Zrobił jeszcze jeden krok, spięty do granic wytrzymałości. Fala agresji podchodziła mu już do gardła, ostatnie słowa wybulgotał niemal niezrozumiale. Ale pedzio zrozumiał.

– Przepuszczalnie nie podejrzewam.

Wyciągnął rękę, żeby złapać gościa za koszulkę i wywlec z za stolika. Sytuacja nie była jednak zbyt wygodna, ponieważ tamten cały czas siedział nieruchomo, wciśnięty w kąt sali, dokąd Dudas sam go wysłał. Teraz miał problem, jak go stamtąd wyłuskać. Ręka zawisa bezradnie w powietrzu nad blatem z rozłożoną książką kucharską. Pieprzony torcik z pieprzonymi wiśniami.

– Masz problem – powiedział blondyn, czytając w jego myślach.  
– Nie dosięgniesz.

Napastnik charknął wściekle i rzucił się z ręką wyciągniętą prosto do smukłego pedalskiego gardła. Trafił w pustkę. Tamten zniknął, a Dudas runął całym ciałem na stół, potrącając kubek z herbatą, która jakimś cholernym trafem wylała mu się za dekolt. Kiedy się wyprostował i strzepnął koszulkę, ktoś postukał go palcem w plecy.

– Tu jestem – powiedział pogodnie blondyn i wskoczył za następny stół. Znowu był poza zasięgiem.

– Zajebię cię – wycharczał Dudas i zacisnął pięści. Coś w nim pękło, nareszcie nie musiał udawać, nie musiał się starać. Był sobą – nabuzowanym ziomkiem, który lubi spuszczać wpierdol.

– Przypuszczalnie nie podejrzewam – powtórzył tamten dziwną formułkę. – Odnoszę wrażenie, że z trzech koniecznych warunków do spełnienia tej groźby brakuje ci co najmniej dwóch. Po pierwsze, w ogóle mnie jeszcze nie dorwałeś i zapewne nie dorwiesz. Po drugie, nawet jak już dorwiesz, możesz nie dać rady. Po trzecie, nikt jeszcze mnie nie...

– Chrr! – mężczyzna warknął i wskoczył na stół. Miał zamiar jednym kopnięciem zamknąć tę pedalską jadaczkę, ale zanim wziął zamach, facet znowu zniknął. Dudas stracił równowagę i poleciał na ścianę, odbił się od niej i odwrócił. Blondyn stał po drugiej stronie sali, pięć metrów od niego. Jak on to zrobił?

– Dudi, odpuść – doleciało go od bilardowego stolika. To był Tasak. – Chodź grać. Twój ruch.

Boją się, żebym znowu nie narobił bajzlu, pomyślał Dudas. Ale było za późno. Nie mógł tego tak zostawić. Barman coś krzyczał, a on przeskoczył na drugi stolik i odbił się, skacząc na kolejny. Teraz ten pedał mu się nie wywinie, nie ma gdzie uciekać. Nagle Dudas niebezpiecznie wychylił się do przodu i wyciągnął ręce, by się podeprzeć, ale i tak runął twarzą na trzeci blat. Zanim się pozbierał, usłyszał za plecami:

– Znowu pudło. Tu jestem.

Złapał za oparcie krzesła i wziął potężny zamach. Nie czuł bólu, niewiele widział, nie słyszał krzyku kolegów i barmana – całą swoją waleczną duszą pragnął przefasonować tę gładką uśmiechniętą gębę. Jeszcze biedak nie wiedział, że znalazł się na końcu długiego szeregu ludzi jemu podobnych, którzy marzyli o tym samym. I żadnemu się nie udało. Krzesło zawisło w powietrzu, Tasak i Gleba z pomocą barmana obezwładnili go i teraz usiedli na nim we trzech. Dyszał z wściekłości, ale siły go opuszczały.

– Co ty, Dudas, odpierdalasz! – wołał do niego Tasak. – Przecież to tylko gra!

Zamrugął. W ustach miał słony smak, to pewnie krew. Spojrzał w górę. Uśmiechnięta twarzyczka pochylała się nad nim.

– Słuchaj kolegów, Dudas. To tylko gra.

Mężczyzna szarpnął się. Przekręcił głowę i patrzył za odchodzącym blondynem, który przemierzając zdemolowaną salę, całkiem pedalsko kręcił kuprem w obcisłych dzinsach. Z książką kucharską pod pachą rzucił na kontuar banknot i wyszedł. Wsiadł do białego volva i odjechał. Jak jakiś cholerny Brad Pitt. Dudas usiadł. Ścierając uwolnionym przedramieniem krew z rozbitej wargi, poprzysiągł krwawą zemstę.

W ten sposób Rafał Dudek, pomorski osiłek zwany Dudasem, zawarł znajomość z Luckiem Bałysiem – podkomisarzem Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie, wysłanym na parę dni do Słupska w celu wygłoszenia w tamtejszej szkole policyjnej referatu o dopuszczalności interwencji w sytuacjach pozasłużbowych. Ta znajomość miała Dudasa kosztować życie.

## 2

Kiedy szefowie wydziałów zbierali się po naradzie do wyjścia, komendant Byczkiewicz przytrzymał za łokieć Andrzeja Krzyckiego, czterdziestoczteroletniego bruneta o zaciętym spojrzeniu, który od niespełna roku z wyraźną niechęcią kierował wydziałem kryminalnym na Mogilskiej.

– Zostań chwilę.

Krzycki strzepnął dłoń Byczkiewicza, jakby się opędał od natręta na ulicy. Wiedział, o czym będzie rozmowa, i nie miał na nią najmniejszej ochoty. Znał na pamięć jej przebieg. „Andrzej, tak nie można”. „Wiem, ale sytuacja była wyjątkowa”. „Nie była, to standardowe zatrzymanie i wystarczyło użyć kajdanek”. „Był agresywny”. „Ty też”. „Ale ja jestem po innej stronie”. „Nie, jako ludzie cywilizowani wszyscy jesteśmy po tej samej stronie”. I tak dalej. Wiedział, że skończy się na upomnieniu i pogrózkach w razie podobnych wybryków. Czasem odsuwali go od śledztwa, ale teraz to nie miało sensu. Był szefem wydziału. Ciągle zresztą nie pojmował dlaczego.

– Andrzej, tak nie można.

– Wiem, ale sytuacja była wyjątkowa.

– Nie była. To standardowe...

– ...zatrzymanie i wystarczyło użyć kajdanek. Darek, nie chce mi się tego międlić. Przejdźmy od razu do kary.

Komendant Byczkiewicz westchnął i przetarł dłonią krótki język na głowie. Młodszy od Krzyckiego, podziwiał go jak wszyscy koledzy i był wobec najlepszego śledczego swojej drużyny (wielu twierdziło, że całego kraju) całkiem bezradny. Krzycki na dobrą sprawę robił, co chciał, a gdy przegiął, tak jak teraz, kłopot spadał na przełożonych. Obaj dobrze o tym wiedzieli. Wiedzieli również, że nic się w tym układzie nie zmieni. Postanowił zawalczyć o swój autorytet.

– Nie, muszę to powiedzieć. Pobiłeś chłopaka do nieprzytomności tylko za to, że uciekał. Miałeś kajdanki w rękę. Jesteś od niego silniejszy, lepiej wyszkolony i w dodatku byłeś uzbrojony. Musiałeś go bić?

Pytanie wisiało w powietrzu może pół minuty, po czym inspektor, nie patrząc na przełożonego, postawił własne.

– To jaka jest ta kara?

Nie pogadają sobie. Andrzej zawsze miał problemy z dogadywaniem się na Mogilskiej, co w przypadku oficera policji mogło stanowić niejaką przeszkodę w normalnym wypełnianiu obowiązków służbowych. Nieźle powiedziane. Tak naprawdę to nie lubił policji i policjantów, a zwłaszcza śledczych, do których miał wątpliwy zaszczyt się zaliczać. Podobnie jak nie lubił przestępców, których uwielbiał łapać własnoręcznie i w miarę możliwości karać na miejscu. W ogóle nie lubił ludzi, nie wyłączając siebie. Może z paroma wyjątkami, ale też bez przesady.

– Andrzej, do cholery, jesteś inspektorem i szefem wydziału! Nie do ciebie należy taka robota jak uganianie się za młodocianymi dilerami. Po coś ty tam w ogóle pojechał?



Byczkiewicz zasadniczo był w porządku, kiedyś nawet trochę się do siebie zbliżyli. Komendant pojawił się na ślubie Lucka i otwarciu kawiarni Doroty. To znaczy ich kawiarni, ale Andrzej nie lubił myśleć o niej jak o swojej. Rozmawiali wtedy o tym, że on jest jedynym sensownym kandydatem na stanowisko szefa wydziału kryminalnego i każde inne rozwiązanie byłoby nienaturalne. Tak właśnie wtedy wyraził się komendant: nienaturalne. Tylko że Krzycki nie widział niczego naturalnego w tym, że musi siedzieć za biurkiem, podpisywać papiery i słuchać sprawozdań z tego, co w terenie robią koledzy. Już po tygodniu takiego szefowania zatęsknił za czasami, gdy we dwójkę z Luckiem Bałysiem uganiaли się po grobiańskich uroczyskach, nadstawiając karku na wszystkie możliwe nieregulaminowe sposoby. Dwóch przeciwko całemu światu. Tak, to było naturalne.

Lucek. Gdyby przedwczoraj działali razem, wszystko poszłoby inaczej. Niestety, jego dawny partner i jedyny przyjaciel pojechał akurat do Słupska, dokąd Andrzej sam go wysłał, bo nie chciało mu się tłuc przez całą Polskę, żeby wygłosić jeden referat. Lucek uwielbiał drogę, samochód, bieganie tu i tam i w ogóle życie. Młodzi tak mają. Przedwczoraj na tyłach hurtowni wkroczyliby wcześniej i nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło.

– Śpisz?

Krzycki otrząsnął się.

– Nie. Przepraszam, zamyśliłem się. To jaka jest ta kara?

– Nie wygłupiaj się, nie jesteśmy w świetlicy szkolnej. Muszę ci jednak kategorycznie zabronić udziału w interwencjach. Musiałeś tam leżeć? Masz od tego ludzi!

– No, to jest kara.

– Co, że masz ludzi?

– Że mam nie jeździć na akcje.

Musiał tam leżeć, nie mógł wytrzymać. Gdyby jednak próbował wytłumaczyć Byczkiewiczowi, co go naprawdę ciągnie do interwencji, wyszedłby na nieodpowiedzialnego szczeniaka i byłoby jak w świetlicy szkolnej.

– Cieszę się, żeśmy się dogadali.

Krzycki wcale nie uważał, że się dogadali (na Mogilskiej źle się dogadywał), ale grzecznie podziękował. Byczkiewicz uścisnął mu dłoń z taką siłą, jakby dusił węża.

– To świetnie, Andrzeju. W nagrodę dostaniesz prezent.

Drgnął w niedobrym przeczuciu.

– Jaki prezent?

– Miesiąc urlopu.

– Ale ja nie chcę żadnego urlopu!

– To nie jest prośba.

Andrzej poczuł się, jakby mu ktoś wyrwał spod tyłka taboret. Twardy był i gniótł niemiłosiernie, ale jednak jakoś się na nim siedziało. Teraz jego tyłek zawisł w powietrzu.

– I co ja będę na tym zasranym urlopie robił?

Komendant wziął go za ramiona jak oficer żołnierza na filmach wojennych.

– Rób, co chcesz. Możesz pomóc trochę Dorocie w kawiarni. Tyra tam od rana do wieczora. Pojedź gdzieś z Pawełkiem, w końcu mamy lipiec, wakacje, jakbyś nie wiedział. Bądź mężem i ojcem.

Klepnięty serdecznie w ramię Krzycki podziękował, machnął ręką na pożegnanie, jakby chciał powiedzieć, że życie to beznadziejny przypadek, i wyszedł. Mężem i ojcem. Formalnie rzecz biorąc, nie był ani jednym, ani drugim. Z Dorotą i Pawełkiem, jej synem z poprzedniego małżeństwa, po prostu razem mieszkali. Mieli zalegalizować związek zaraz po ślubie Lucka, ale jakoś zeszło, a później już mieli TAMTO na głowie. Nie wiedział, czy minęło

dosyć czasu, by wrócić do matrymonialnych planów. W końcu tak naprawdę to wszystko jedno.

Zbiegając po schodach, dwa razy się potknął, a potem o mało nie przewrócił sekretarki Byczkiewicza, panny Moniki. Wyglądała jak chińska podróbka manekina z salonu kosmetycznego, ale miała refleks i zdążyła się odsunąć. Na recepcji na jego widok młody podoficer poderwał się z krzesła.

– Markielak, kto mnie podpierdolił u komendanta?

Chłopak zbladł. Rozpuszczony i niezbyt rozcignięty, zawdzięczał tę wygodną posadę dawnym wpływom wuja, niegdyś dobrze ustawionego szefa lokalnej mafii, a jeszcze wcześniej komendanta policji, i był przekonany, że tak już zostanie. Krzycki kiedyś wybił go z tego przekonania i od tamtej pory ich relacje nabrały szczególnego charakteru. Markielak bał się go jak ognia.

– Podp... ale z czym, panie inspektorze?

– Z tym, że jestem spięty i powinienem iść na urlop.

– Ale... ja nic nie wiem! Jaki urlop? Zaczęły się wakacje, wszyscy teraz idą na ur...

– Bałyś się zgłaszać?

– Nie, panie inspektorze. Ale jakby co, to ja zaraz zamelduję.

– Dobra. Od jutra mnie nie ma. Gdyby coś się działo, dzwoń natychmiast. Z każdą sprawą, rozumiesz?

– Tak jest, panie inspektorze.

– Zapnij kieszonkę. I przestań kłaść te żele na włosy.

Nie czekając na odpowiedź, poszedł do siebie. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi gabinetu, klapnął na fotel i odetchnął głęboko. Za oknem szumiały samochody na Mogilskiej, dudnił tramwaj do Nowej Huty. Andrzej spojrzął na zegarek. Jeżeli istnieje na kolei jeszcze jakakolwiek punktualność, to zaraz pojedzie skład przez wiadukt. Tak, już go słyhać. Krzycki przez chwilę walczył ze

sobą, wreszcie poddał się i podszedł do okna. Odruchowo liczył wagony, a kiedy ostatni zniknął za zakrętem, obwiodł palcami wokół ust, chrząknął i usiadł z powrotem w fotelu. Dokładnie tak samo, jak latami robił to jego poprzednik, inspektor Opalka, nim odszedł na emeryturę. Wszystko idzie normalnie, rutyna zżera sens. Ale skoro wszystko idzie normalnie i rutynowo, to dlaczego jest tak do dupy? Gdzie tkwi błąd? Andrzej wyjął kartkę, żeby coś zapisać, następnie zmiął ją i wyrzucił do kosza (na drugim końcu wielgachnego biurka, rzut za trzy punkty), po czym sięgnął do szuflady w poszukiwaniu paczki papierosów, której tam nie było. Nie palił od pięciu lat. Nie pił od dwóch i pół.

Dlaczego właściwie pobił tego chłopaka? Pobił to mało powiedziane. Gdyby Stańczyk z Bąblem go nie odciągnęli, skatowałby go na śmierć. Nie miał żadnego usprawiedliwienia, nawet nie próbował go wymyślać, ponieważ koledzy znali go od lat i wiedzieli, że to jest zawsze ten sam przypadek. Krzycki na moment traci kontrolę nad sobą, co miewa różną rozciągłość w czasie, od czego zależy to, czy ten drugi przeżyje czy nie. Bywało i tak, i tak. Andrzej lubił to nazywać intuicją, inni niekoniecznie. „Intuicją – powiedział kiedyś Kuba Stańczyk zwany Szelą – to można wytropić przestępcę, ale nie nadziać go na pręt zbrojeniowy jak na rożen”. Była to aluzja do sprawy ze świniarni, gdzie Krzycki stoczył śmiertelny pojedynek na noże z niejakim Mateuszem Grelą, niebezpiecznym mordercą z dziwacznej pogańskiej sekty. Zabił go tylko pośrednio, ponieważ tamten sam spadł i nadział się na druty, ale takie tłumaczenie nie przekonało kolegów. Tak, Krzycki zdecydowanie miał problem z dogadywaniem się na Mogilskiej.

Przypadek przy rondzie Kotlarskim naprawdę należał do szczególnych. Obława poszła od drugiej strony, tak jak to sugerował informator. Pięciosobowa ekipa w pełnym rynsztunku i z

doskonale opracowanym planem miała wkroczyć do opuszczonej hali na tyłach dawnej fabryki Zieleniewskiego na Grzegórkach. Po rozdzieleniu zadań i przepytaniu całej piątki Krzycki wysłał ich do roboty, a sam podjechał samochodem od drugiej strony. To jedna z jego „intuicyjnych” zasad: jak wszyscy idą w prawo, idź w lewo. Jak idą od tyłu, idź od przodu, a jak z góry, idź od dołu. Na wszelki wypadek. Gdyby miał komuś wyjaśnić, dlaczego akurat postąpił tak, a nie inaczej, powiedziała by, że coś go tknęło. Inaczej tego ująć nie umiał. I nie chciał.

Przejechał całą ulicę Ludwika Zieleniewskiego i na bulwarze Kurlandzkim skręcił w lewo. Wprowadził samochód na spory trawnik i zatrzymał w cieniu wielkiego krzewu czarnego bzu. Po chwili ich zobaczył. Wyszli z hali przez zardzewiałe obramowanie starych drzwi. Dwaj chłopcy trzymali pod ramiona dziewczynę. Szarpała się, ale niezbyt skutecznie i jakby w zwolnionym tempie. Musiała już być czymś oszołomiona. Docisnęli ją do ściany i trzeci, który wyszedł jako ostatni, wyjął z kieszeni strzykawkę, przystawił dziewczynie do zgięcia w łokciu i wbił igłę. Chciała krzyknąć, ale jeden z trzymających zatkał jej usta dłonią. Gdy przestała wierzgać i opadła z sił, ten od strzykawki ujął jej policzki lewą dłonią, a prawą wymierzył siarczasty policzek. Andrzej wiedział dlaczego. Żeby nie zasnęła i żeby krew zaczęła szybciej krążyć. Wtedy narkotyk lepiej się rozchodzi, jak każda trucizna wprowadzona do krwiobiegu. Chłopak coś mówił do dziewczyny, a potem mocno pocałował w krwawiące usta i oblizał palce – tak przynajmniej wydawało się Krzyckiemu. Jego ludzie przepadli gdzieś w środku. Odczekał jeszcze pół minuty, po czym wyjął glocka, wziął trzy głębokie wdechy i wyskoczył.

To miało być standardowe zatrzymanie, z okrzykiem, hałasem, ewentualnie ostrzegawczym strzałem. Wszystko zmierzało we

właściwym kierunku, tylko że nikt z jego zespołu się nie pokazał. Później tłumaczyli, że mieli w środku całą grupę i nie sądzili, że jeszcze ktoś jest na zewnątrz. To nie był wielki problem. Radził sobie w znacznie gorszych sytuacjach, nawet więcej: lubił działać w pojedynkę. Rachunek jest wtedy uczciwszy. Tym razem trafił na szczeniaków, uczniów, początkujących adeptów przyszłej sztuki dilerki. Siłą wstrzykiwali heroinę koleżankom i kolegom, żeby ich szybko i skutecznie uzależnić. Gdy przejdą pomyślnie pierwsze próby przymusu, otrzymują szansę zostania prawdziwymi żołnierzami mafii. Krzycki znał do znudzenia te scenariusze ludzkich katastrof.

Nie zatrzasnął drzwi od samochodu, żeby zbyt wcześnie nie ostrzec tamtej czwórki. Zakładał, że i chłopcy są trochę otumanieni, co zwalnia reakcję i ułatwia działanie takim jak on geniuszom porządku. Gównu, a nie porządek. To wychowywanie dzieci, czyli odwalanie roboty za rodziców, którzy zwykle jeszcze finansują te wszystkie wybryki. Schylił się i podszedł do nich na odległość pięciu kroków. Widział wyraźnie pobladłą twarz dziewczyny, jej rozchylone, drżące wargi i stróżkę krwi skapującą z brody na jasny podkoszulek. Była całkiem porządnie ubrana, zero tatuażu, zero piercingu, dzinsy bez dizajnerskich dziur, na nogach tenisówki z zielonym krokodylkiem. Nie była regularną ćpunką, tylko mocną kandydatką, z dobrego domu. Rusz się, mruknął do siebie.

Akcja zmierzała we właściwym kierunku do czasu, gdy Krzycki doznał absurdalnego wrażenia, że to mogła być jego córka i teraz chłopak ze strzykawką, zlizując jej krew z własnej dłoni, z obłąkanym uśmiechem ciągnął ją na dno piekła...

Wtedy skoczył.

Bębniąc palcami po kierownicy w rytm głupiej piosenki z radia, przeklinała w duchu własną uległość. Nie dość, że zasiedziała się do jedenastej wieczorem i obiecała pchnąć sprawę w urządzie, to jeszcze o mało nie poszła do łóżka z tym palantem. Jedyne resztkom zdrowego rozsądku zawdzięczała wycofanie się w ostatniej chwili z intymnej sytuacji, gdy po przejściu na ty i nieco zbyt namiętnym uścisku Zbyszek zaczął szeptać jakieś tajemniczki, jak to nazywał, liżąc przy tym mokrym językiem jej ucho. Odepchnęła go, ale prąd podniecenia zdążył przebiec jej wzdłuż kręgosłupa, od głowy aż do tyłka. Fakt, nie miała faceta od roku, kiedy to rzucił ją inny palant, i trochę nią miotało. Trochę... Odepchnęła go i wyszła. Kiedy opuszczała dom miejscowego potentata od gruntów rolnych, który właśnie wysłał żonę z dziećmi na wakacje, żeby w spokoju pozalać najnowsze interesy i przy okazji przelecieć panią geodetkę, czuła wilgoć w kroku. Może dlatego wynosiła się z takim pośpiechem. Dołowała ją myśl, że mogłaby przespać się z tym bucem. „Madziu, czuję, że coś nas łączy”. Co za fiut! Na szczęście nie nadziała się na niego, cha, cha! Dzięki, mój malutki zdrowy rozsądeczku.

Skręciła w lewo i znalazła się na wyboistej drodze między dwiema wsiami, których nazw nie pamiętała. Od pięciu lat pracowała w tych okolicach jako geodetka, a ciągle jeszcze sprawdzała miejscowości w podręcznym kajeciku. Myliły jej się te wszystkie Ciećkowy, Rzyczyce, Bodziesławy, Grębowy, Grębówki i Gręboszyce. Językoznawcy zaszaleli w 1945 roku, wymyślając te wszystkie nazwy. Miało być po polsku i słowiańsku, a nie po germańsku, jak przez ostatnie sześćset lat, tymczasem wyszły jakieś dziwolągi. Niby coś sugerowały, ale były jakby spod jednej sztancy,

wygarnięte z jednego nazwologicznego worka. Jak się to nazywa? Toponimy? Toponomastyka?

Spojrzała w bok, gdzie w ciemności migotały czerwone światła przeciwlotnicze wiatraków. Tego językoznawcy nie przewidzieli i żadnych Wiatrakowic w okolicy nie ustanowili. Ani Wiatrakowa, Wiatrowic, Kręciołów, Śmigielnicy, Śmigielniczki czy Śmigłowa Sławieńskiego. I jeszcze Wiercipląt Pomorskich, a co! Nie lubiła tych majestatycznych stworów, mielących powoli nadmorskie powietrze, jakby snuły niewidzialną osnowę, z której ktoś kiedyś udzierga wielki baldachim nad całą krainą. Gdy podeszło się bliżej, świszczwały jak skrzydła ogromnych ptaszysk. Brrr. Dosyć tego.

Spojrzała na wyświetlacz radia. Dochodziła północ. Totalnie się zagapiła, a rano musi być o ósmej w biurze. Podkreśliła muzykę w radiu i wyjechała na główną szosę do Słupska. Wtedy zachciało jej się sikać. No jasne. Tak kończy się impreza, na której nie pijesz alkoholu, więc uwodziciel poi cię herbatą i kawą. W dodatku potem przez pół nocy nie będzie mogła zasnąć. Niech to szlag! Zacisnęła uda, ale pęcherz potraktował to jak zaproszenie do rywalizacji i natarł na podbrzusze ostrym kluciem. Przejechała w nerwowym skurczu jakiś kilometr, po czym zakłęta brzydtko i skręciła w polną drogę. Dla komfortu wjechała sto metrów w głąb i dopiero tam zatrzymała samochód, choć szosa była zupełnie pusta. Wkurzają ją ludzie załatwiający się na poboczach. Zwłaszcza przymulaści faceci przekonani, że wystarczy stanąć przy błotniku samochodu. W ogóle ludzie ją wkurzają. Hej, Magda, coś taka wkurzona? Miałaś jednak chętkę na pana Palanta?

Wysiadła. Odurzył ją mdlący zapach gryki wypełniający czerwcową noc. Jej olbrzymie połacie jaśniały w mroku po obu stronach drogi, dobrze widoczne w bladym świetle przysłoniętego chmurami księżycą. W dzień gryka ma lekko różowy odcień, ale



nocą robi się biała. Było cicho. Wiatr trącał drobne listki, ale pączki kwiatków tkwiły nieruchomo na polu jak ustawiona do boju armia w białych hełmach. Ciągnęły się po horyzont. Jakies dwieście metrów od niej leniwie kręcił się najbliższy wiatrak, dalej dwa następne. Widocznie górą wiało mocniej. Weszła w szparę między pędami gryki, rozpięła spodnie i już miała przykucnąć, gdy nagle się poderwała. Nie, dwa dalsze się nie kręciły, tylko ten najbliższy. Dziwne. Punktowy wiatr, który kręci tylko jednym wiatrakiem. Przyjrzała mu się uważniej. Skrzydła bezgłośnie przesuwaly się na tle czarnego nieba, łyskając na czerwono w miejscach, gdzie przecinały się ze smugą bijącą od migającej lampy. Szły powoli, leniwie, ale jednak szły, w przeciwieństwie do pozostałych. Oni je czasem wyłączają, jak dobiją do tygodniowych limitów, pomyślała i trochę się uspokoiła. Kucnęła i błogo oddała się fizjologicznej uldze. Nagle coś zachrząściło za jej plecami. Poderwała się i jednym szybkim ruchem podciągnęła majtki razem ze spodniami. Dźwięk się nie powtórzył. Wsłuchana w ciszę nieruchomego pola gryki starała się bezgłośnie zapiąć guzik dzinsów, darując sobie zamek błyskawiczny. To było jak nieostrożny krok w wysokiej trawie. Ktoś przechodził w pobliżu. Ktoś albo coś. Tu w okolicy kręci się pełno dzikiej zwierzyny: dziki, sarny, jelenie. Mógł być też pies, lis. Co jeszcze? Słyszała, że krążą tu jenoty, a nawet kiedyś przechodziły szakale, jak jej opowiadał pewien leśniczy. Ostrożnie wypuściła powietrze. Zwierzęca wyliczanka nieco ją uspokoiła. Ale tylko nieco i wiedziała dlaczego. Dźwięk przypominał szurnięcie materiału o liście. To oczywiście nic nie znaczyło, mogło jej się po prostu wydawać, ale swojemu panicznemu strachowi nie zdołała tego wyjaśnić. Podchodził do gardła, jakby niedawne podniecenie u pana Palanta wracało na swoje miejsce. Co robić?

Uświadomiła sobie, że nie jest całkiem ciemno i jej twarz widać w księżycowej poświacie, więc znów przykucnęła, tym razem powoli. Od zwilżonej ziemi doszedł ją zapach własnego moczu. Jakimś zupełnie niepojętym sposobem podziałał na nią uspokajająco. Skuliła się i rozłożyła ciężar ciała na całe stopy, żeby dłużej wytrzymać w tej pozycji. Zaczęła nerwowo rozmyślać nad tym, czy jej granatowego golfa widać przy tym świetle z odległości, dajmy na to, dziesięciu metrów. Doszła do wniosku, że nie, i znowu zrobiło jej się odrobinę lepiej. Żałowała, że zostawiła na siedzeniu komórkę.

Ukrycie ma swoje zalety, ale i wady. Mniej widzisz i mniej słyszysz. Nagle wyobraziła sobie, że ten ktoś stoi tuż za jej plecami, szykując się do ataku, i wstrząsnęła nią nowa fala strachu. Obejrzała się tak gwałtownie, że omal nie pacnęła tyłkiem we własne siki, ale nikogo nie było. Oczywiście, przecież tu nikogo nie ma. Uroiła sobie. Wszystko przez te cholerne wiatraki i ich migające lampy! Plus podniecenie, które nie chciało jej opuścić. Co za popieprzona noc!

Kiedy się podnosiła, rozległ się głośny trzask. Drgnęła, a potem zakłęła cicho. Tym razem chrupnęło jej własne kolano. Roztarła je dłonią i wyprostowała plecy, rozglądając się i nasłuchując. Cisza. Uznała, że dosyć tych bzdur, i energicznym krokiem wróciła na polną drogę. Samochód stał na swoim miejscu, w kabinie paliło się światło. Wysiadając, nie domknęła drzwi. Całe jej harcerskie ukrywanie się w gryce ze spodniami w garści warte było funta kłaków, skoro intruz mógł zobaczyć samochód z kilometra. Bez sensu. Wskoczyła za kierownicę, grzmotnęła drzwiami z całej siły, aż golf się zakołysał, i wcisnęła kołek blokady. Urojenia urojeniami, ale zawsze lepiej się zabezpieczyć. Pomacała siedzenie pasażera i znalazła swoją komórkę. Pomyślała, że da się jej użyć w charakterze

latarki, a potem przypomniała sobie o dużej latarce w bagażniku i po chwili wahania wysiadła. „Po co wysiadasz, głupia?!”, wrzasnęła w niej ta druga Magda, więc udzieliła jej rozsądnej odpowiedzi. Po pierwsze, nie jest wcale strachliwą kurą, uciekającą przed byle szelestem. Po drugie, należy sprawdzać swoje podejrzenia, choćby kosztem komfortu i nawet wtedy, gdy na cyferblacie jest akurat północ. A po trzecie, najważniejsze: nie wysikała się do końca.

Wyjęła z bagażnika wielką wodoszczelną latarkę na akumulator, która mogła również służyć za broń, i wróciła na wydeptany placyk w łanie gryki. Poświeciła wkoło, ale oprócz odcisków swoich butów oraz mokrej plamy na ziemi niczego nie znalazła. Postanowiła najpierw dokończyć zaczęte, więc odpięła guzik, zsunęła spodnie i przykucnęła. Kuciała już do tego cholernego sikania czwarty raz i uśmiechnęła się do siebie, wyobrażając sobie minę Zbysia, kiedy o tym słucha. Ulga wyparła z duszy resztki strachu. Nabrawszy pewności siebie, poświeciła wkoło, a potem – żeby pokazać sobie i całemu światu, jaka z niej dzielna dziewczynka – zrobiła kilka kroków w głąb pola. To gdzieś stąd doszedł ją ten cholerny szelest. Faktycznie, parę metrów dalej pośrodku pola gryki była kępa krzaków. Chyba głóg. Wyrósł na przyzbie kamieni zebranych pewnie ze sto lat temu przez niemieckich robotników rolnych. Tak się dawniej oczyszczało grunty pod uprawę, zresztą i dzisiaj chłopci znosili kamienie na małe sterty na krańcach pól. Ta zarosła gęsto i na tle białej gryki stanowiła ciemną wyspę. Doskonała kryjówka dla zwierząt. I ludzi. Zacisnęła mocniej dłoń na latarce i snopem światła omiotła wysepkę. Zrobiła dwa kroki do przodu i znieruchomiała. W gryce przed nią był wyraźny ślad. Ktoś tędy przechodził. Poświeciła niżej – w czarnej ziemi widniał odcisk wielkiego buta.

Przestała na chwilę oddychać. Usiłując nad sobą zapanować, zrobiła trzy kroki w tył, powoli, jakby stąpała po polu minowym. Spojrzała za siebie. Droga do samochodu była wolna. Ostrożnie, krok po kroku ruszyła do auta. Kiedy już otworzyła drzwi golfa, obejrzała się.

Stał piętnaście metrów od niej. W szerokiej żółtej kurtce, takiej, jaką noszą rybacy podczas sztormu, obcisłych legginsach i dziwnym kapeluszu na głowie, którego rondo zasłaniało twarz. Patrzył na nią. Kojarzył jej się z niezgrabnym strachem na wróble, dla kawału ubranym przez kogoś w sztormiak. „Kim jesteś?“, chciała krzyknąć, ale wyszedł jej tylko bezdźwięczny świst, jakby sama była wiatrakiem.

Poruszył się. Podniósł głowę i zanim zdołała przyjrzeć się jego twarzy, odwrócił się i odszedł. Zrobił kilka kroków środkiem drogi, a potem skręcił i zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Jednym skokiem znalazła się na siedzeniu i z hukiem zatrzęsnęła drzwi. Niezawodny golf odpalił natychmiast. Nie zamierzała wracać na wstecznym do głównej szosy, ponieważ musiałyby przejechać obok miejsca, gdzie tamten właśnie zniknął. Wiedziała, że farmy wiatrowe mają wewnętrzne ścieżki i między wiatrakami musi być połączenie dla obsługi technicznej. Powinien też być inny wyjazd. Ruszyła w tamtą stronę. Intensywnie czerwone światło pozycyjne jedyne kręcącego się wiatraka pulsowało nieregularnie, gasnąc i rozbłyskując według sobie tylko znanego wzoru.

Mijając go, zerknęła w górę. Po dziesięciu metrach nacisnęła hamulec. Nie, to niemożliwe. Za dużo jak na jeden wieczór.

Wiatrak kręcił się trochę nierówno, w rytmie dwutaktu, przyśpieszał i zwalniał, wpadając w irytujący rytm. Magda zadławiła się z wrażenia i musiała odkaszląć. W rozbłysku czerwonego światła zobaczyła, jak obroty wirnika zwalniają i od

dołu podjeżdża kolejna łopata, wolno, z trudem wspinając się pod górę. Gdy dotarła do punktu szczytowego, niemal znieruchomiła w pozycji pionowej i wtedy Magda je zobaczyła. Było obwiązane sznurem jak baleron, z głową opadniętą na ramię i rękami rozłożonymi w proszalnym geście. Tkwiło w bezruchu przez ułamek sekundy, prezentując się w rubinowej poświacie, a potem nagle lampa zgasła i śmigło, przyspieszając, ruszyło w dół. Ciało znikło, przesłonięte czarnym skrzydłem nocy, a potem wyłoniło się jeszcze raz. Musiała krzyknąć, żeby się nie udusić. Jej charkotliwy wrzask podziałał na nią jak środek pobudzający. Wrzuciła bieg i ze skreconą kierownicą ruszyła na pełnym gazie. Golf zabuksował na piaszczystym gruncie, po czym wyskoczył przed siebie, omal nie wyrzucając jej przez drzwi. Zatoczył szeroki promień, przemielił kilka metrów gryki i pomknął wąską drogą. Dopiero wtedy włączyła światła. Ściskając kurczowo kierownicę, starała się nie patrzeć na boki – teraz widziałyby go wszędzie. Wbiła wzrok przed siebie i na pierwszym skrzyżowaniu polnych traktów skręciła w lewo, dodała gazu i z niecierpliwością czekała, kiedy wreszcie samochód dotrze do szosy. Gdy na nią wjeżdżała, nie zdjęła nawet nogi z gazu, zerknęła tylko na ułamek sekundy przez ramię. Ciężarówka jechała z naprzeciwka, od Słupska. Rozległ się potworny ryk klaksonu i pociągnęła kierownicę w lewo. Huk gniecionej blachy granatowego golfa jeszcze słyszała, eksplozji poduszki powietrznej już nie.

#### 4

Na tarasie kawiarni rozmowy gości toczyły się głównie po niemiecku. Przy jednym stoliku zawzięcie dyskutowano o ostatnich zamieszkach w Hamburgu, przy innym krytykowano miejscową

infrastrukturę usługową, przy jeszcze innym zachwalano pomorskie krajobrazy i lecznicze zalety bałtyckiego powietrza. Tu i ówdzie rozlegały się gardłowe śmiechy. Potomkowie dawnych gospodarzy tych ziem wracali dzisiaj jako turyści i najwyraźniej było im z tym dobrze. Jej nie. Przyglądała im się spod półprzymkniętych powiek i dopasowywała ich rysy do tamtych, które знаła. O, na przykład ten gruby w spodniach na skórzanych szelkach mógłby być synem sklepikarza Grohla – ma takie same okrągłe chytre oczka i jedno odstające ucho, tylko jest trochę niższy. Ale wzrost mógł wziąć po matce. Niska drobna Grohlowa, zawsze w ruchu, wciąż krążyła na zaplecze i z powrotem, wynosiła i przynosiła towary, jakby samo ich puszczenie w nieustanny ruch przynosiło zyski. Co się z nimi stało? Szli razem z innymi w kolumnie czy nie? Porzucili swój ukochany sklep czy pilnowali go do końca? Jeśli pilnowali, to grubasek w skórzanych szelkach raczej nie mógł być ich synem. Zresztą pewnie i tak nie był. To tylko taka gra z przeszłością.

A tamta starsza dama w eleganckim kostiumie z berlińskiego domu towarowego mogłaby być córką starego Millera. Też wysoka i podobnie zadzierała podbródek, żeby na wszystkich patrzeć z góry. Miller był dumny i jako dyrektor poczty miał po temu powody. Przed wojną takie stanowisko oznaczało poważną państwową pensję i wystarczające dla całej rodziny zabezpieczenie na emeryturę. Zabezpieczenie. Wszystkim im się wtedy wydawało, że są zabezpieczeni. Westchnęła. Nie, to na pewno nie jest córka Millera. Trupa tamtej widziała na własne oczy, a to, co wpadnie w oczy dziecka, zostaje na zawsze. Tak tylko, dla zabawy układała sobie te historie, bo chciałyby znaleźć w nich jakiś porządek, jakieś rozwiązanie. Może wtedy i jej historia odnalazłaby swoje, ten rachunek wreszcie by się zamknął i ona sama już nigdy więcej nie

musiałaby tu przyjeżdżać. To wszystko raz na zawsze by się skończyło.

Dopiła niedobrą kawę z taniej filizanki, z nieuprzejmym stuknięciem odstawiała ją na spodek i wyszła. Miała jeszcze dzisiaj wiele do zrobienia, a do miejsca przeznaczenia wiodła długa i kręta droga, z wybojami chwiejącymi jej mercedesem jak sztorm rybacką łodzią w starym pocziwym Stolpmünde, któremu Polacy nadali potem dziwną świszczącą nazwę. Rzuciła okiem na park i jezioro, po czym ruszyła pałacowymi schodami na górę, by przebrać się w sportowy strój. Pałacem, kiedyś należącym do starego niemieckiego rodu, teraz zarządzał Polak, zmieniając go w średnio gustowny hotel. Ale i tak cieszył się powodzeniem, ponieważ leżał na legendarnym Pomorzu i Niemcy lubili tu przyjeżdżać. Pomorze. Jej Pomorze, schowane w sercu jak owad w bursztynie. Musi je odzyskać i dopiero wtedy spokojnie umrze.

## II

### Interwencje pozasłużbowe

#### I

Dopiero kiedy wszedł na mównicę i dolna szczęka zaczęła pracować niezależnie od reszty Lucka Bałysia, drżąc i bełkocząc, zamiast artykułować słowa, pożałował, że nie posłuchał Krzyckiego, który z kamienną twarzą radził mu założyć okulary i dokleić wąsy.

– Wiesz, zerówki wyglądają jak prawdziwe. Dodadzą ci pięć lat.

– To za mało – odparł Lucek. – Potrzebuję z dziesięć.

– Zamów sobie jeszcze w hurtowni kosmetycznej wąsy. Powiedz, że to dla dziadka, który wyłysiał.

– Pod nosem się nie łysieje, inspektorze. – Całkiem poważnie odpowiadał na bezlitosne szyderstwa. Największym wizerunkowym problemem podkomisarza Lucjana Bałysia wcale nie było dziwaczne imię, rodem z komedii Zapolskiej, ale prezencja. Miał dwadzieścia osiem lat, stopień młodszego oficera policji, piękną żonę i doskonale opanowane sztuki walki, a wciąż wyglądał jak nieopierzony nastolatek przed pokwitaniem. Główną odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosiła szczupła budowa ciała, dziewczęca buzia i kręcone blond włosy z loczkiem opadającym na oczy. Z jakichś szamańskich powodów nie pozwalał go obciąć, a indagowany w tej kwestii powoływał się mętnie na biblijny przykład Samsona. Kiedy w obcisłych spodniach szedł przez krakowski Rynek, kręcąc szczupłym tyłkiem, prawdziwi Polacy wulgarnie szydzili, a zagraniczni seksturyści usiłovali



poderwać. Jedni i drudzy nie zdawali sobie sprawy, co ryzykują. W starciu z męską agresją Lucek potrafił być zabójczy. Od dzieciństwa uczył się sztuk walki, by poradzić sobie z nieśmiałością i chudzielcowatą sylwetką. Osiągnął w nich prawdziwe mistrzostwo. Gdy miał dobry humor, ośmieszał i obezwładniał napastnika, gdy gorszy – jednym ciosem łamał kończyny. Przestępcy, którzy dostali się w pole jego działania, za swoje szczęście powinni uznawać to, że podkomisarz Bałyś zwykle jednak miał dobry humor.

– Słuchajcie, podkomisarzu Bałyś, w sklepach zabawkowych są też gotowe maski. – Nie dawał za wygraną Krzycki, przyglądając się z uwagą swoim paznokciom. – Okulary, nos, wąsy i łysina na czole. Na przykład doktor Frankenstein...

– No cha, cha, cha, ale się uśmiełem. Sam sobie kup maseczkę, tę ze szwami na mózgu. Ty mnie w to wrobiłeś, ty tu robisz za potwora.

To prawda. Zaproszenie na konferencję o nowych przepisach i metodach przygotowywania i przeprowadzania interwencji policyjnych przyszło dla inspektora Krzyckiego jako jednego z najlepszych i najskuteczniej interweniujących śledczych w Polsce. Trudno było tym pochwałą zaprzeczyć, jednak – jak się Luckowi wydawało – Andrzej natychmiast wyczuł podwójny sens tego zaproszenia. W swojej burzliwej karierze nie tylko skutecznie interweniował, ale i najczęściej karano go za nieregulaminowe zatrzymania i przekraczanie uprawnień. Tak wyglądała druga, ciemna strona jego sławy. Szkoła Policji w Słupsku chciała zapewne na jego przykładzie przeprowadzić analizę błędów i nadużyć, której to lekcji jego obecność dodałaby szczególnej pikanterii. Dlatego postanowił wysłać Lucka. W końcu jego niedawny partner brał udział w większości tych słynnych nieregulaminowych zatrzymań.

Poza tym Krzycki przyznał, że nie chciało mu się tłuc przez całą Polskę na piętnaście minut referatu i pół godziny dyskusji.

– Najważniejszy jest wyraz twarzy – Lucek mruknął do siebie i podszedł do okna ćwiczyć w szybie miny. Marszczył czoło, wysuwał dolną wargę do przodu i patrzył w nieokreślony punkt przed sobą.

– Nieźle. Jeszcze od czasu do czasu powarkuj.

– Wal się. Doniosę Lali.

Lala była suką Andrzeja, odbitą podczas jednej z (nieregulaminowych) interwencji w niepołomickiej hurtowni z rąk gangstera Marysińskiego.

– Poradzi ci to samo. Wierz mi, ona się zna. A co Dominika na twój wyjazd?

– Zaraz tu przyjdzie, to ją spytasz.

Dominika, od niespełna roku szczęśliwa żona Bałysia, nie tylko pozwoliła mu jechać, ale z entuzjazmem pomysł poparła. Sama pochodziła ze Słupska, gdzie nadal mieszkali jej rodzice, więc była zachwycona. Miała słabość do tego miasta, choć urodziła się w Niemczech, a ojciec pochodził z Salvadoru. Całą Komendę Wojewódzką na Mogilskiej powalała swoją egzotyczną urodą, co nie przeszkadzało jej powtarzać, że jest Pomorzanką. Twierdziła, że Pomorze Środkowe jest inne, ma swój klimat i tajemniczą duszę, tylko „trzeba umieć słuchać”. Lucek umiał słuchać, więc posłusznie wybrał się z nią do galerii handlowej, zatwierdził zakup wściekle niebieskiego garnituru z różową koszulą i bordowym krawatem do kompletu, choć w głębi duszy uważał ten zestaw za okropny. Wysłuchał setki przykazań co do sposobów odpowiadania na pytania teściów i pojechał.

Teraz stał przy pulpicie i miał wrażenie, że spod rękawa wylewa mu się rozcieńczony malinowy kisiel, a pod szyją wisi wyfiletowany węgorz.

„...biorąc pod uwagę powyższe okoliczności, stwierdzić należy, że interwencja policjanta w czasie wolnym od pracy wywołuje skutki oraz ochronę prawną analogiczne do tych, jakie wiążą się z działaniami podczas trwania służby. Oczywiście, musimy uwzględniać – przepraszam – uwzględniać tu okoliczności dodatkowe, takie jak działanie policjanta znajdującego się pod wpływem alkoholu lub innych środków odurzających...”.

Przypomniał sobie, ile razy zabierał Krzyckiego z miejsca jego spontanicznych akcji w czasach, kiedy jeszcze tamten pił. Pośpiesznie zagadywał techników i pod byle pretekstem pakował Andrzeja do samochodu. Na szczęście jego partner często odnosił jakieś obrażenia i mogli się powoływać na konieczność natychmiastowego leczenia ambulatoryjnego. Poza tym Jurek Gargulski, szef techników, którego małomówność była równie legendarna jak przenikliwość, o wszystkim wiedział i milczał jak grób. Problemy stwarzał sam Krzycki, bo w tym stanie nadal chciał bronić praworządności i biegać za przestępcami. Stąd wzięło się złośliwe spławianie go przez najbliższych: „Idź lepiej, Andrzejku, pościgać jakichś bandytów”. Od czasu, gdy przestał pić, Krzycki uważał to nawet za dosyć zabawne.

„...jak wszyscy jednak dobrze wiemy, wśród organów procesowych istnieje konstrukcja tak zwanego stanu wyższej konieczności, za pomocą którego chciałbym teraz zakreślić moje stanowisko, to znaczy nasze stanowisko, czyli wydziału... krakowskiego wydziału kryminalnego...”

Pogubił się. Wszystko przez te cholerne okulary, których nie miał na nosie, chociaż ze dwa razy już poprawiał je nerwowym ruchem. Gdy się orientował, udawał, że odsuwa na bok swój jasny kędzior, a wtedy widział w sali lekceważące uśmieшки. Dlatego w

końcu przyznał Krzyckiemu rację z okularami – po czym i tak zwał na niego całą winę za swoją kompromitację.

Kiedy wreszcie skończył, rozległy się dosyć długie i gorące oklaski, po których przyszedł czas na dyskusję, jako że podkomisarz Bałyś mówił ostatni w tym cyklu. No tak, mógł się tego spodziewać: natychmiast padły pytania o alkohol. To jeden z najpowszechniejszych problemów w policji, jak zresztą we wszystkich służbach mundurowych (kto był w wojsku, ten wie), i każdy ze słuchaczy miał swoją opinię na ten temat, mocno ugruntowaną we własnym doświadczeniu.

– Czy kolega nie uważa, że powinno się wprowadzić górny limit spożycia alkoholu, poniżej którego policjant może działać tak, jakby był trzeźwy? (śmiech) Przecież wszyscy wiemy, że po dwóch piwach czy kieliszku wódki sprawność psychomotoryczna nie tylko nie spada, ale często wzrasta.

Lucek uśmiechnął się pod nosem, by dać sobie czas do namysłu, po czym natychmiast przybrał poważny ton i odparł, że jego zdaniem wprowadzanie za pomocą regulacji prawnych jakichkolwiek złagodzeń wymogów trzeźwości może w prostej linii prowadzić do nadużyć. Lepiej nie pozwalać, a w sytuacjach wyjątkowych rozpatrywać każdy przypadek indywidualnie, zakonkludował. Starał się brzmieć rzeczowo i rozsądnie, ale wciąż widział prychnięcia i uśmieszki wśród słuchaczy, i znowu zaczął w myślach przeklinać Krzyckiego.

– Gdzie, pańskim zdaniem, jest granica stosowania środków przymusu bezpośredniego w interwencji pozasłużbowej? Czy dokładnie tam, gdzie podczas służby, czy może policjantowi na urlopie wolno mniej niż w pracy?

Pytanie padło od faceta w średnim wieku w mundurze inspektora, siedzącego w pierwszym rzędzie i od początku

świdrującego go nieprzyjemnym wzrokiem. Bałyś go nie znał i właśnie doszedł do przekonania, że wcale nie chce poznać. W sposobie mówienia wyczuł lekceważenie człowieka doświadczonego dla smarkacza. W dodatku podejrzewał, że to pytanie bardziej dotyczy sposobów działania Krzyckiego i stanowi część repertuaru przygotowanego na przyjazd właściwego adresata zaproszenia. Lucek, chcąc nie chcąc, musiał przyjąć rolę adwokata diabła i długo tłumaczył wpływ doraźnych okoliczności oraz stanu emocjonalnego podmiotu interwencji na faktyczną ocenę zasadności użytych środków. Facet słuchał z ironicznym uśmiechem, po czym doprecyzował:

– Niech mi pan powie konkretnie, czy często stosujecie takie okoliczności łagodzące jak stan emocjonalny „podmiotu interwencji” – nawiasem mówiąc, zgrabny eufemizm – dla sposobów działania inspektora Andrzeja Krzyckiego. Jak słyszę, przoduje w zatrzymaniach niestandardowych. Ostatnie miało miejsce przedwczoraj.

Uśmiech wieńczący pytanie przypominał wrzutkę z sesji fotograficznej rekina. Rozległy się pojedyncze śmiechy, głównie osób z najbliższego otoczenia inspektora. Wianuszek służalców. Lucka ogarnęła nagła wściekłość. Zrozumiał, że Krzycki został tu zaproszony nie jako autorytet, jak to ujęto w zaproszeniu, ale jako przykład negatywny, który należy wytknąć palcem, napiętnować i odesłać do domu w aurze kompromitacji. A ponieważ sam cel nie przybył, napiętnowaniu poddano jego, w zastępstwie. Powinno go to załamać, ale przeciwnie – nabrał nowych sił. Poczucie, że stoi tu za Andrzeja i przemawia w jego imieniu, dodało mu skrzydeł. Wiele już razy musiał świecić oczami za przyjaciela i wyspecjalizował się w tym niemal równie dobrze jak w taekwon-do.

Ostatnia uwaga zbiła go jednak z tropu. Przedwczoraj? Czyżby dlatego nikt do niego nie zadzwonił, ani Dominika, ani Andrzej? Coś się stało? Zaraz w przerwie musi się dowiedzieć. Niepewność dodała mu pewności siebie.

– Inspektor Krzycki dlatego może poszczycić się takimi osiągnięciami jak, ośmielam się twierdzić, nikt z tutaj obecnych, że na pierwszym miejscu stawia zwalczanie przestępczości i bezpieczeństwo obywateli, a dopiero później zgodność z regulaminem. Wiem, że może to brzmieć jak apologia przekraczania regulaminów („Co to jest apologia?”, usłyszał sceniczny szept z przodu), ale na tym polega specyfika naszej pracy. Mamy często do czynienia z sytuacjami nagłymi, na które należy reagować natychmiast, odruchowo i trudno wymagać wtedy od policjanta przeglądania w pamięci regułek, co wolno, a czego nie. Racjonalny automatyzm to fikcja. Albo działa się racjonalnie, czyli powoli, albo impulsywnie, czyli szybko i skutecznie, choć czasami kosztem tego czy innego punktu w regulaminie. Jako partner byłem uczestnikiem wielu akcji Andrzeja Krzyckiego i, zapewniam państwa, większość z nich zakończyłaby się fiaskiem, gdybyśmy oglądali się wyłącznie na przepisy. I nie ma to nic wspólnego z praworządnością – dodał nieco głośniej – a jeżeli, to w przeciwnym sensie, niż niektórym z was może się wydawać.

Z tą praworządnością wyszedł lapsus. Bałysz czuł, że przesadził. Właśnie obalił regulamin interwencji policyjnych na rzecz zupełnej dowolności i widzimisię policjanta. Z tyłu sali rozległo się kilka spontanicznych braw, natomiast przednie rzędy zareagowały ożywionymi szeptami i czytelnymi wyrazami zdziwienia. Inspektor rekin połykał go wzrokiem w całości, z butami i pięknym niebieskim garniturem. Lucek przełknął ślinę. Krzycki, ratuj! Leżę, a razem ze mną cała twoja filozofia niezależnego śledczego! Ale

Krzyckiego tu nie było. On był za Krzyckiego, on musiał być Krzyckim. Wbił wzrok w inspektora rekina. To nie może się dobrze skończyć.

Prowadzący panel energiczny komisarz chyba wyczuł, co się święci, ponieważ na widok podnoszącej się ręki inspektora pośpiesznie ogłosił przerwę i zaprosił wszystkich na kawę i ciastka. W sali podniósł się rumor składanych krzesel. Lucek zebrał swoje kartki, podziękował kolegom z panelu i usiłował wymknąć się wąskim wyjściem za stołem konferencyjnym. Inspektor dopadł go tuż za drzwiami, już na szerokim korytarzu.

– Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, pieje pan peany na cześć swojego szefa – powiedział łagodnym głosem, w którym czaiło się nagłe uderzenie. – Artur Kała, byłem kiedyś komendantem policji w tym mieście.

Wyciągnął do niego dłoń i Lucek musiał ją uścisnąć, choć wcale nie miał ochoty. Twarda i zimna, przypominała pletwę. Bąknął swoje nazwisko, ale tamten machnął tylko ręką.

– Wiem, wiem. Krzycki i Bałyś, najgłośniejszy duet polskiej policji. Nawiasem mówiąc, kto teraz, po awansie Andrzeja, pana prowadzi? Żona?

Dwóch jego przydupasów zaskrzeczało obelżywie i Lucek zagryzł wargi. Nie spodziewał się takiej gościny w tym fajnym mieście. Skłonił się grzecznie, by nie zdradzać, jak celnie go trafiono, i przypomniał uprzejmie, że jest podkomisarzem i sam siebie może prowadzić.

– To teraz takim młodym dają stopnie oficerskie? – spytał drwiąco Kała. Lucek nie wytrzymał.

– Wcześniej dawali innym i trzeba było to zmienić – odparł, zerkając na dystynkcje rozmówcy.

Grupka kibiców wokół nich zamarła. Inspektorowi oczy zwięzły się do szparek, a wąs pod nosem wykonał jakiś szcztokowaty ruch. Potem mężczyzna przywołał na twarz uśmiech i poklepał podkomisarza po ramieniu.

– Bystry jesteś, umiesz się odciąć. Pozdrów Krzyckiego ode mnie i przypomnij mu, że mi leci butelkę wódki. Teraz, po dwudziestu dwóch latach to się z tego zrobiło, no... ze dwie skrzynki.

Wszyscy wkoło skwapliwie się roześmieli, więc Lucek również skrzywił się uśmiechopodobnie. Kała ze swoją świtą odszedł, a on dopiero wtedy skonstatował, że stoi na baczność z wciśniętą pod pachę zieloną teczką i wstrzymanym oddechem. Wypuścił głośno powietrze z płuc i zrobił krok w kierunku schodów – chciał wreszcie napić się kawy. Ktoś przytrzymał go za rękę.

– Nie przejmuj się, on tak zawsze.

– Dlaczego go nie zabijecie na strzelnicy? Zdarzają się takie wypadki.

Lucek usiłował zdobyć się na pierwszy tego dnia dowcip. Niezwykle zabawny. Chłopak w mundurze młodszego aspiranta jednak szczerze się roześmiał.

– Nikt by się nie odważył. Facet ma mocne plecy.

– Można strzelać w głowę.

Jeszcze zabawniejsze. Bałyś, cudnie ci idzie!

Chłopak roześmiał się ponownie, po czym odprowadził go na dół do sali bankietowej, gdzie stały termosy z kawą i sterty kruchych ciastek, wokół których zgromadziło się już różne grono smakoszy. Nazywał się Paweł Palka i był z wydziału kryminalnego tutejszej Komendy Wojewódzkiej. Od razu na wstępie wyznał, że przyszedł tu głównie dla niego, aspiranta Bałysia, partnera słynnego Krzyckiego.



– Wiesz, dla nas wy tu jesteście jak Butch Cassidy i Sundance Kid.

– Sądząc z ostatniej wymiany zdań, raczej jak Kajko i Kokosz. – Lucek westchnął, nalewając kawę do plastikowego kubka. Nie cierpiał pić z takich kubków, bliżej im było do prezerwatywy niż do filiżanki.

– Poważnie, stary – oponował młodszy aspirant Palka. – Nie gniewaj się, chciałem posłuchać samego Krzyckiego, ale ty jesteś, wiesz, zaraz za nim. Nawiasem mówiąc, świetnie ci poszło.

– Nie musisz mnie pocieszać, daję radę. Czułem się jak czwartoklasista grający dorosłego w teatrzyku szkolnym. Krzycki radził mi założyć okulary i dokleić wąsy.

Chłopak po raz kolejny skwitował uwagę Lucka szczerym śmiechem.

– Wyglądasz problematycznie, to fakt. W pierwszej chwili wziąłem cię za syna Krzyckiego. No i miniasty jesteś.

– Nieźle, nieźle. O co chodziło Kale z tym zatrzymaniem? Mój tata znowu nabroił?

– Nie wiem. – Palka wzruszył ramionami. – Inspektor ma mocne nie tylko plecy, ale i parę innych rzeczy. Siatkę informatorów również.

– Poczekaj, muszę zadzwonić – powiedział nagle Bałyś. Odszedł na bok i wybrał numer Andrzeja, ale nikt nie odbierał. Wybrał więc numer Dominiki, jednak telefon również milczał. Pewnie są na naradzie, pocieszał się. Związek z Andrzejem przez lata wykształcił w Lucku coś w rodzaju nieustannego niepokoju o przyjaciela, permanentnego stanu niepewności, co tamten znowu wykręci, w jakie tarapaty wpadnie, kogo nieregularnie potraktuje i tym podobne. Małżeństwo z Dominiką zmieniło w tym względzie niewiele, tyle że niepokoił się również o nią. Myśl, że mógłby ją

stracić, doprowadzała go do rozpacz. Krzycki nazywał to chorobliwą zazdrością.

– Papużki nierozłączki, trzymają się za rączki – szydził, kiedy Dominika czekała na męża, aż skończy pracę, żeby mogli razem wrócić do domu.

– Masz coś przeciw naszemu szczęściu, wapniaku? – jeżył się Bałyś. – Jutro o świcie na udeptanej ziemi. Ja wybieram broń.

Andrzej wtedy podnosił obie ręce do góry.

– Spokojnie, ja tylko chciałem pogratulować udanego związku.

– Masz swój, ciesz się nim.

Chyba utrafił, bo Krzycki zamilkł i zrobił wargami ryjek, że niby wszystko to można zbagatelizować.

Po sali bankietowej niósł się ożywiony gwar kularowych rozmów, jak to w przerwie konferencji. Zrezygnowany, podkomisarz schował telefon do kieszeni i wrócił do młodszego aspiranta Palki.

– Nie odbiera – wyjaśnił. Łyknął kawy i odstawił kubek. Przez chwilę badał wzrokiem talerz z ciastkami, wreszcie wybrał jedno, ugryzł i położył obok kubka. Rozejrzał się. W małych grupkach dyskusyjnych od czasu do czasu ktoś na niego zerkał, odwracał się do kolegów i rzucał uwagę, którą pozostali kwitowali śmiechem. Inspektor Kała poszedł dalej: stał na drugim końcu sali i patrzył w niego z nieruchomą twarzą. W jego spojrzeniu Lucek dostrzegł mieszaninę rozbawienia i morderczej przenikliwości. Nie umiał już wytrzymać tego wzroku.

– Słuchaj, właściwie to ja tu jestem jako delegat całej grupy – zagadnął Palka, ostrożnie dobierając słowa. – Nie wpadłbyś do nas na chwilę do komendy? Chłopaki się ucieszą, właściwie to czekają tam na ciebie. No i – wskazał na kubek – mamy lepszą kawę.

– Aż tak to widać?

– Mówiłem ci, że jesteś miniasty.

Lucek wyszukał wzrokiem komisarza Wojcieszka, organizatora konferencji, który stał pod ścianą z dwoma innymi oficerami i coś im z namaszczeniem objaśniał. Ruszyło go sumienie, powinien tu zostać i posłuchać dla przyzwoitości kilku wystąpień. Potem jego wzrok przesunął się pośpiesznie po Kale, grupkach dyskutantów i na końcu dotarł do stolika z kawą i ciastkami. Następnie Bałys przypomniał sobie nieodebrane telefony. Jeśli Dominika albo Andrzej zechcą oddzwonić, łatwiej będzie mu rozmawiać w komendzie niż w auli. Na ewentualny powrót do dyskusji nad swoim referatem, bez okularów i wąsów, również nie miał najmniejszej ochoty.

– Ale ta kawa to na bank?

– Na bank.

– Okej, spadamy.

## 2

Po powrocie do domu Krzycki swoim zwyczajem padł na łóżko, włączył pilotem odtwarzacz i gapił się w sufit. Wcześniej zaciągnął dokładnie story, żeby nie drażniło go popołudniowe słońce. Specjalnie w tym celu zawiesił grube, podwójne zasłony, dodatkowo uszczelnione izolacyjną masą. Sposób na migreny i hałas z ulicy. I w ogóle na nie lubiany świat. Nie reagował na zaczepki Lali, która chciała iść na spacer, tylko przymknął oczy i pozwolił się unieść elektronicznym falowaniom Schulzego. Od niepamiętnych czasów lubił się odprężyć właśnie przy takiej muzyce, ona dawała mu najwięcej oddechu i przenosiła tam, gdzie mógł swobodnie

rozmyślać i nie przejmować się, czy to coś znaczy i komuś przeszkadza.

Nie da się ukryć, dostał opierdół. I słusznie. Gdyby go nie powstrzymali, kto wie, czy nie zabiłby chłopaka, i nie usprawiedliwiałoby go to, że trafnie rozpoznał sytuację i złapał akurat tego najgroźniejszego. Dziewczynę odwieziono do szpitala pod kroplówkę i można tylko było mieć nadzieję, że prędko do odlotowych pomysłów nie wróci. Córka państwa profesorstwa z Uniwersytetu Jagiellońskiego ochotę na mocniejsze przeżycia zawdzięczała pewnie domowej nudzie. No to sobie przeżyła. A przy okazji jego odesłała na urlop. Niech to szlag!

Smutne klimaty dreźnieńskiego koncertu Klausa Schulzega z 1989 roku zalały go jak whisky z colą, które kiedyś w takich sytuacjach lubił popijać. Wyzwalacze. Nie łącz dwóch czynników kojarzonych z pićciem – przypomniał sobie zalecenie z terapii. Zamrugął oczami i zmusił się, by pomyśleć o czymś innym, przyjemniejszym. Ale o czym? Jak znaleźć teraz coś przyjemnego w całym tym bajzlu, jaki się zrobił? Lala podeszła do łóżka i dotknęła wilgotnym nosem jego dłoni. Zrobiła to bardzo delikatnie, ledwie wyczuwalnie, jakby chciała nieśmiało zasugerować, że spacer z nią mógłby być czymś przyjemnym. Pogładził ją po poczciwym łbie.

– No dobra, chodźmy.

Poderwała się, zamachała brzydkim pałkowanym ogonem i po sekundzie już stała przed nim z obrożą w pysku.

– Najpierw pójdziemy nad Wisłę, a w powrotnej drodze wstąpimy do knajpy i zapytamy grzecznie panią, kiedy przyjdzie do domu. Potem dostaniesz jeść, a jak wszystko zjesz, dam ci nagródkę. Pasuje?

Lala skwapliwie zaakceptowała wszystkie punkty planu i pobiegła do przedpokoju. Wyszli na rozpaloną całodziennym

upałem ulicę Starowiślną. Była niemal pozbawiona zieleni i teraz, o ósmej wieczór, wszystkie te rozgrzane kamienie emitowały zmagazynowane w ciągu dnia ciepło. Przeszedł na drugą stronę i z Lalą tuż przy nodze starał się omijać przechodniów, co w wakacyjnym sezonie na trasie Rynek–Kazimierz nie należało do łatwych zadań. Waliła tędy cała zagraniczna turystyka, która po zaliczeniu Starego Miasta koniecznie chciała rzucić okiem na dawną żydowską dzielnicę, ewentualnie zostać na podwieczorek lub kolację. Właśnie dzięki tej masowej tendencji funkcjonowali tutaj liczni restauratorzy, łącznie z Dorotą i jej kawiarnią o nazwie Iza oraz panem Ludwikiem, zaprzyjaźnionym właścicielem Estery. Minął szybko skręt do ulicy Szerokiej. Już postanowił, że zajrzy tam później.

Nad Wisłą, gdzie chłód wody dawał nieco ulgi od upału, spacerowały prawdziwe tłumy. Inspektor prowadził Lalę tuż przy murze bulwaru, z dala od ścieżki rowerowej i chodnika, a i tak ciągle natykał się na inne psy, których właściciele mieli dokładnie ten sam pomysł. Lala już na tyle otrząsała się z miastowym życiem, by wiedzieć, że należy dać się obwąchać innym, ewentualnie z grzeczności samej też ze dwa razy pociągnąć nosem i sprawnie iść dalej, zanim strzeli im do łba bliższa relacja. Sama nie przepadała za psami, miała raczej skłonności samotnicze. Tu z Krzyckim rozumieli się doskonale.

– Chodź tu. Nie zwracaj uwagi.

Przyciągnął ją do nogi i obszedł tak, by znalazła się od strony muru. Z naprzeciwka szedł mężczyzna w biało-czerwonym podkoszulku, ciasno opinającym umięśnioną klatkę piersiową i pokaźne bicepsy. Prowadził dwa amstafy na jednej smyczy, która przy uchwycie miała mechanizm napinający. To znaczy, że można ją było rozwinąć. Paru właścicieli ze swoimi pupilkami pośpiesznie

przeszło na drugi koniec pasa zieleni. Ktoś usiłował zwrócić uwagę facetowi z amstafami, na co ten tylko popuścił smycz i wyszczerzył zęby, radując się powszechną paniką. Andrzej nie miał się gdzie wycofać. Szedł więc dalej przed siebie, trzymając Lalę krótko i nieco tylko zwalniając kroku. Na wszelki wypadek. Oddychał spokojnie, ale w jego mięśniach zaczęła już czynić przygotowania tak zwana pierwsza zasada Krzyckiego: jak coś może pójść źle, to pójdzie.

Kiedy para amstafów znalazła się dwa metry od nich, facet popuścił trochę linkę. Oba psy natychmiast skoczyły i zawisły w powietrzu z przednimi łapami w górze, opierając się na tylnych. Lala przystanęła.

– Hej! Co jest? – krzyknął Krzycki.

Tamten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Uważaj na swojego kundla, nie?

– Chyba wszyscy powinniśmy uważać – odburknął Andrzej, na co mięśniak w odpowiedzi jeszcze bardziej poluźnił smycz. Psy, jak para odjechanych bliźniaków, identycznie podskoczyły na tylnych łapach i wyszczerzyły kły. Ślina ciekła im z wywieszonych jęzorów. Lala zjeżyła sierść na karku i warknęła cicho.

– Spokój – mruknął do niej, nie spuszczając tamtych z oczu.

– Puść ją! – zawołał właściciel psów. – Zobaczmy, co potrafi.

Stali z Lalą przyciśnięci do muru. Pięć metrów za nimi znajdowały się schody na ulicę Podgóorską, ale do nich nie dobiegną. Psy blokowały przejście, a facet w patriotycznym podkoszulku stał z wyczekującym uśmiechem, bawiąc się plastikowym spustem smyczy. Andrzeja nagle opadło zniechęcenie.

– Słuchaj, gościu, odpuść sobie. Jestem policjantem. Każdy z nas idzie w swoją stronę i nie robimy z tego problemu, zgoda? To dobra rada, wierz mi.

Facet przez kilka sekund przyswajał to, co usłyszał, po czym szczerą radość spłynęła na jego kartoflaną twarz.

– Kurwa, ja to mam szczęście! Trafiłem na prawdziwego psa! No to jazda, psiarnia!

W ten sposób złe zaczęło iść jeszcze gorzej. Obaj zrobili to samo: schylili się do obroży, by uwolnić swoich podopiecznych. Lala szybko biegała, ale nie była tak umięśniona jak tamte dwa napalone bliźniaki. Normalne samce nie pałają taką agresją do niewysterylizowanej suki, jednak te dwa musiały być specjalnie w tym celu szkolone. Wystarczyło spojrzeć na ich właściciela, by nabrać co do tego pewności. Amstafy należą do psów zwinnych i bardzo ruchliwych, Lala na dłuższy dystans nie miałyby z nimi szans. Liczył na co innego.

– Do domu! – krzyknął jej w ucho. Skoczyła natychmiast, a tamte za nią. Mięśniak na sekundę zbaraniał, znajdując się nagle oko w oko z policjantem, bez psich ochroniarzy. To wystarczyło Andrzejowi. Zgiął go w pół celnym kopnięciem w krocze i powalił ciosem w szczękę, wrzeszcząc przy tym na całe gardło. Biegacze zwalniali zaniepokojeni, matki odwracały dzieci, rowerzyści przystawali i gapili się z zaciekawieniem. Ktoś krzyczał, żeby wezwać policję. Ale nie o ludzi mu chodziło. Po kilku sekundach usłyszał charakterystyczny stłumiony tupot i niski podwójny charkot. Amstafy wróciły.

Tak jak przypuszczał, szkolono je przede wszystkim do obrony właściciela, a ściślej rzecz biorąc – do atakowania w jego interesie. Słyszając krzyk, natychmiast zawróciły i teraz zgodnie, w jednym rytmie szarżowały na Andrzeja, jak przystało na bliźniaków. To było jego drugie optymistyczne założenie. Psy prawdopodobnie rzeczywiście pochodziły z jednego miotu i wychowywane tak samo przez właściciela miały bliźniacze odruchy, to znaczy wykonywały

czynności symetrycznie i równolegle. Teraz biegły równym tempem, krok w krok, powarkując na przemian. Przesunął się pod mur. Chcąc go zaatakować równocześnie, musiały się ścisnąć i biec tuż obok siebie, łeb w łeb. To było trzecie optymistyczne założenie Krzyckiego. Gdy czworo ślepi znalazło się dwa metry przed nim, wpakował w nie silny strumień gazu.

Nie był to zwykły gaz pieprzowy ze sklepu wysyłkowego czy stoiska Militaria w galerii handlowej. Takie działają z ograniczoną skutecznością, a przede wszystkim mają zawsze od kilku do kilkunastu sekund opóźnienia, co może wiele kosztować. Jurek Gargulski, zapytany kiedyś mimochodem przez Andrzeja o najbardziej skuteczny gaz na psy, nic nie odpowiedział, a po kilku dniach przyniósł mu trzy wąskie puszkę z aerozolem, bez żadnych etykietek oraz słowa wyjaśnienia. „Nie na ludzi”, tylko tyle powiedział. Andrzej jednak z ludźmi potrafił sobie radzić, gorzej było z psami.

Nigdy nie sprawdzał skuteczności tych puszek, wierzył Gargulskiemu na słowo (a raczej na brak słów) i właśnie miał okazję się przekonać, ile ta wiara jest warta. Aerozol zadziałał fenomenalnie. Psy wprawdzie dobiegły i walnęły Krzyckiego pyskami w kolana, ale niczego już nie widziały i nie czuły. Odbiły się od niego jak dwa rozpędzone balerony i poturlały po trawie, po czym usiłowały wstać i złapać równowagę. Bezskutecznie. Przewracały się na bok, skamłając bezradnie i szukając nosem jakiegoś zapachu, który przywróciłby im orientację w rzeczywistości. Gaz obronny zwykle zawiera kapsaicynę alkaloidową, różnice pomiędzy poszczególnymi odmianami prowadzą się do stężenia oraz dodatków drażniących, a działanie obejmuje zarówno oczy, jak i układ oddechowy. Czym Gargulski nabił te puszkę, jeden Bóg techników kryminalistyki



wiedział, w każdym razie według Andrzeja nie była to wyłącznie kapsaicyna. Obejrzał z uznaniem puszkę, schował do maleńkiego futerału na pasku i wytarł mokrą dłoń o trawę.

– Coś ty im, kurwa, zrobił? – zajęczał mięśniak, który zdążył się podnieść.

– Odebrałem ochotę na zabicie mnie. Z tobą zrobię to samo. – Pochylił się i dodał: – Masz szczęście, że trafiłeś na prawdziwego psa. Gdybyś trafił na takiego kundla jak ty, już byś nie żył.

Mięśniak nie patrzył na niego, tylko z troską przyglądał się otumanionym i skamlącym amstafom. Dały już sobie spokój ze wstawaniem, leżały na trawie i łapami usiłowały zetrzeć z oczu to coś, co nie pozwalało im widzieć.

– Nie martw się, zaraz im przejdzie – pocieszał go Krzycki. – Nie wiem tylko, co zrobić, żeby tobie przeszło. Jak myślisz? Mandat za stwarzanie sytuacji potencjalnie niebezpiecznej wystarczy? Będziesz pamiętał, żeby nie używać psów jako broni zaczepnej?

Starał się mówić spokojnie, jak przystało na oficera świadomego szerokiego kręgu gapiów z dreszczykiem emocji oczekujących ciągu dalszego. Nie będzie dalszego ciągu, idźcie w swoją stronę, odpowiadał im w myślach Andrzej. Facet miał jednak inne zdanie.

– Pierdol się, gliniarzu!

Człowiek nie wiedział, że akurat tego nie wolno mu było powiedzieć. Tylko z powodu tej frazy kilka interwencji Krzyckiego skończyło się gorzej, niż mogło. Lucek kiedyś nawet podarował mu koszulkę z wielkim napisem „PSG”. Wprawdzie pod spodem widniało „Paris Saint-Germain”, ale twierdził, że to ze względu na cenzurę obyczajową.

– Powtórz – wycharczał inspektor przez zaciśnięte zęby.

Facet należał do wyjątkowo nierozgarniętych, bo powtórzył, akcentując każdą sylabę:

– PIER-DOL-SIĘ-GLI-NIA-RZU!

Krzycki uderzył bez zastanowienia, z automatu, niemal beznamiętnie. Cios był szybki i celny. Tamten nawet nie zdążył zmrużyć oczu przed owiniętą smyczą pięścią, która trafiła go prosto w czoło. Druga krótkim łukiem wylądowała na jego uchu od tej strony, gdzie podpierał się ręką na ziemi. Zwinął się w kłębek i zasłonił głowę ramionami. Inspektor podniósł pięść do następnego ciosu, ale ktoś ją złapał w powietrzu. Dwoje policjantów podbiegło do nich bezszelestnie. Dziewczyna z końskim ogonem wystającym spod czarnej polowej czapki jedną rękę trzymała na pojemniku z gazem, drugą wyciągała w stronę mięśniaka, nakazując spokój. Krzyckiego przytrzymał dobrze zbudowany brodac.

– W porządku – powiedział Andrzej, strącając jego rękę z ramienia. – Panuję nad sobą.

Brodacz z naszywką starszego posterunkowego skinął głową i odwrócił się do gapiów.

– Proszę się rozejść! – krzyknął energicznie. – Już po wszystkim!

Ludzie z ociąganiem ruszyli w swoją stronę, kilkoro jeszcze przyglądało się z dalszej odległości. Posterunkowy odprowadził go kilka kroków na bok, podczas gdy dziewczyna pilnowała mięśniaka. Kiedy Krzyckiemu przestały drżeć dłonie, sięgnął do kieszeni.

– Pracuję w wydziale kryminalnym, tu jest moja... – zaczął, ale chłopak mu przerwał.

– Pan to się nie musi legitymować, panie inspektorze. – Wyjął z kieszonki notes i udając, że coś w nim zapisuje, mówił półgłosem: – Domyślam się, że nie chce pan z tego robić oficjalnego zawiadomienia o przestępstwie. Jego – pokazał długopisem za siebie – też spróbujemy przekonać. Postoimy chwilę, ja będę udawał, że spisuję zeznanie, a pan mi powie, co to właściwie, do ciężkiej cholery, było.

– Spontaniczna interwencja pozasłużbowa – odparł Krzycki, nie patrząc brodaczowi w twarz. Odebrał mu z ręki swoją smycz, owinął ciasno wokół pięści i odszedł.

### 3

Z ulgą dostrzegł Lalę czekającą na niego na szczycie schodów przy moście Powstańców Śląskich. Nie przebiegła przez jezdnię, nie ryzykowała niepotrzebnie. Była trochę mądrzejsza od niego. Poklepał ją po karku, zapiął smycz i ruszyli w kierunku Szerokiej. Jak zwykle przystanął przed wejściem i zerknął na imię w szyldzie. Iza była dziennikarką z Warszawy i najbardziej zdumiewającym zjawiskiem w jego życiu. Nigdy wcześniej nie dopuszczał myśli, że mógłby się zakochać bez pamięci, wbrew wszystkiemu, co dotychczas w jego wyobrażeniu składało się na Andrzeja Krzyckiego. Tragiczna śmierć Izy na jego oczach i poniekąd z jego winy utwierdziła go tylko w przekonaniu, że miłości należy unikać jak ognia. Dorota musiała o tym wiedzieć, nazywając ich kawiarnię imieniem tamtej kobiety. Odprawiała w ten sposób jakieś swoje miłosne czary, o nieprzewidzianych skutkach.

Gdy tylko weszli na zaplecze kawiarni, Dorota zlustrowała ich uważnym wzrokiem.

– Wszystko w porządku?

Andrzej machnął ręką, Lala odwróciła łeb. Dorota wzięła jego dłoń i pogładziła po knykciach.

– Znowu się biłeś? – spytała z niepokojem.

Wzruszył ramionami i spróbował zmienić temat.

– O której wrócisz? Nie musisz tu chyba siedzieć codziennie do dziesiątej wieczór?

Zignorowała jego pytanie.

– Andrzej, co się z tobą dzieje? Nie potrafisz już inaczej rozmawiać z ludźmi, tylko za pomocą pięści? Mnie też zaczniesz bić?

Uśmiechnął się smętnie, by zilustrować niedorzeczność jej uwagi, ale poza tym nie odpowiedział nic. Co miał powiedzieć? Że się wkurzył, bo facet nazwał go gliniarzem? Że czuje się zmęczony i właśnie dostał urlop, z którym nie wie, co zrobić? Że jest rozdrażniony z powodu kryzysu wieku średniego? Że chciał się napić i musiał odwrócić uwagę od butelki? Przecież nie mógł powiedzieć tego, co jego zdaniem było prawdziwą przyczyną. Jediną uczciwą odpowiedź musiał zachować dla siebie: że kiedy ten facet troskliwie zajmował się swoimi skamlącymi w trawie żywymi maszynkami do mielenia mięsa, on zobaczył nagle rozszarpane ciało dziewczynki. Tamta historia wydarzyła się przed kilku laty, a mściwy ojciec tej małej stanowił najtrudniejsze zadanie w policyjnej karierze Krzyckiego, ale przecież nie mógł teraz powiedzieć Dorocie prosto w oczy, że ta dziewczynka w jego wyobraźni miała na imię Julka! Nawet sobie samemu bał się wyjawić ten sekret, by nie zaczął gardzić sobą jako starzejącym się, sentymentalnym bałwanem.

Na starego bałwana już parę razy wyszedł. Ostatni raz w przeddzień wyjazdu Lucka, gdy jego żonie Dominice z maślanym uśmiechem powiedział w biurze, że wygląda cholernie seksownie. Zmierzyła go szybkim i ostrym spojrzeniem, zanim podziękowała i pocałowała męża, który stał obok i był świadkiem jego samczej kompromitacji.

Po poronieniu nie potrafili sobie poradzić z prostym problemem. Dorota była twarda, dzielnie udawała, że można się z tym uporać i żyć dalej tak samo jak dotychczas. Nigdy nie

pokazywała mu swojego cierpienia, a on nie pytał, zagłębiając się bez reszty we własnym. Co z tego, że dziecko urodziło się martwe? Zdarza się, i to wcale nie tak rzadko. Imiona, nazwy, blade zjawy po ludziach... Upierał się, że to będzie Julka, jak zamordowana kilka lat temu w grobiańskim jarze Julka Czerwik. Te dzieci to były najtrudniejsze przypadki w jego gównianej pracy. Chciał odwrócić nieodwracalne, zaklinać przeszłość, co przecież nigdy się nie udaje. Tak, miała być Julka...

Chcesz o tym porozmawiać?

Nie wiem, czy będę umiał.

Wyrzuć to z siebie, nawet jeśli to złe lub głupie. Ulży ci.

Od czasu TAMTEGO nie wiem, kim jestem.

Rozumiem cię, też się tak czuję. To normalne i kiedyś minie.

Wierz mi.

Chwilami jestem tak boleśnie samotny.

To nieprawda. Jestem z tobą. Kocham cię. Będzie dobrze.

Ja też cię kocham.

W takie teksty miał się bawić z Dorotą? I po co – żeby udawać? Czy życie jest po to, by po amatorsku odgrywać z bliskimi cienką sztukę o normalności? Kiedy nie masz nic mądrego do powiedzenia, zamknij się i idź do domu. O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć. Wittgenstein. Zajebiste zdanie.

– Będziesz o dziesiątej?

– Opowiesz mi, co się stało?

– A zdobędziesz się na odrobinę wyrozumiałości dla starego bałwana?

– A bałwan zdobędzie się na odrobinę ciepła dla żony?

Nazwała się żoną. On też tak powinien o niej myśleć. Pocałował ją w policzek i wyszedł, ciągnąc Lale, która zaplecze kawiarni zawsze opuszczała z najwyższą niechęcią.

Zaduch trochę zelżał, zaczął zapadać zmierzch. Wyszli z Szerokiej na róg Miodowej, po czym wlekli się noga za nogą Starowiślną. Andrzej nie śpieszył się do domu. Myśl o tym, że będzie w samotności czekał na Dorotę, by opowiedzieć jej o starciu z dwoma amstafami i ich właścicielem, wcale nie poprawiała humoru. Co by go mogło poprawić? Nic. I w zasadzie tak jest dobrze. Całkiem do dupy, czyli tak, jak być powinno. Zatrzymał się przed małym sklepem spożywczym, którego całodobowo otwarte podwoje ratowały mu kiedyś życie.

– Dobry wieczór, panie Andrzeju! – przywitała go pani Zosia, odwieczna sprzedawczyni i świadek jego nie tak dawnych upadków. – Colę z lodówki dla ochłody? Mineralną?

Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że trzyma rękę na pulsie i żadnych innych – tamtych! – napojów mu nie poda. W pierwszym odruchu się zirytował, ale zaraz potem z uśmiechem poprosił o colę. Wszedł za panią Zosią do chłodnego wnętrza i szybkim rzutem oka omiótł półkę z alkoholami. Były. Stały jak zawsze. Armia gotowa ruszyć na jedno jego skinienie. Uniósł rękę jak wódz, który pozdrawia i równocześnie powstrzymuje. Spokojnie. Dobrze, że jesteście, chłopcy. Przyjdzie kiedyś ten wspaniały dzień, ale to jeszcze nie dziś. Do cholery – nie!

– To ile panu dać, panie Andrzejuku?

Wzdrygnął się. Ile czego? Dopiero po kilku sekundach zajarzył, że chodzi o puszki coli.

– Ze cztery, pani Zosiu. Do nocy wypiję.

– Tego też nie wolno za dużo – pouczała sprzedawczyni, wcielając się w rolę duchowej opiekunki zbłąkanych Krzyckich. – Potem nie można zasnąć. Kofeina i te sprawy.

– Jasne, będę uważał. Do widzenia.

Wyszedł, nie słuchając jej wywodów o szkodliwości różnych napojów. Ją też musnęło czarne skrzydło Andrzejejowej traumy alkoholowej i radziła sobie z tym, jak umiała. Sprzedając alkohol całej dzielnicy, w kółko gadała o tym, czego nie wolno pić.

W ciemnym jak studnia podwórzu kamienicy złapał się za żołądek. Skurcz dopadł go nagle, jak atak wyrostka robaczkowego. Ale wiedział, że to nie jest wyrostek. To ta gotowa do walki armia na półce w sklepie, tuż za rogiem, pięćdziesiąt metrów stąd. Znał te skurcze doskonale. Niepotrzebnie tam wchodził. Wszystko przez te głupie pogaduszki pani Zosi. Wyjął z plastikowego worka jedną puszkę, szybko otworzył i łapczywie wypił do dna. Beknął przeciągle i wrzucił puste opakowanie do uchylonego kontenera na śmieci (rzut za trzy punkty). Lala przyglądała mu się ze spokojem. A może z niepokojem? Może odbierała gwałtowne impulsy wysyłane przez jego roztrzęsiony organizm? Psy potrafią wyczuwać takie rzeczy. W końcu żyją z alkoholikami od paru tysięcy lat, miały dość czasu, żeby się nauczyć.

– Nie martw się, mała. Wszystko jest pod kontrolą.

To była jedna z jego ulubionych fraz z czasów picia. Nie powinien jej teraz mówić. A co powinien? Zadzwoić do swojej terapeutki Wandy? Nie widział się z nią od roku, nie wiadomo, czy go w ogóle jeszcze pamięta. A może zadzwonić gdzie indziej? Do niej? Nie powinien, ale jego życie w większości składało się ze spraw, które nie powinny mieć miejsca. W końcu to żona jego jedynego przyjaciela. Sama myśl była jak nóż wbity w plecy.

W tym momencie odezwała się w kieszeni komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Nie musiał dzwonić – ona dzwoniła do niego.

W przeciwieństwie do Szkoły Policji, ulokowanej na terenie dawnego niemieckiego gimnazjum żeńskiego i stanowiącej urokliwy kampus z parkiem i czyściutkimi alejkami, Komenda Miejska Policji w Słupsku mieściła się w dość brzydkim kompleksie u zbiegu alei 3 Maja i ulicy Sobieskiego. Lucek znał dobrze ten typ budynków, policja miała je w całym kraju: klockowaty budynek prostokąt z niebieskim napisem nad wejściem i drugim prostokątem przylegającym do niego prostopadle. Kojarzyły się z makietami sporządzanymi z pudełek zapalek przez uczniów na lekcjach techniki. Te wyglądały na świeżo wyremontowane. Palka poprowadził go do bloku D, gdzie znajdowała się siedziba wydziału kryminalnego i gdzie w sali narad rzeczywiście czekali na niego policjanci w cywilu. Żadnego z nich nie znał. Po krótkiej prezentacji i konwencjonalnych uprzejmościach, podczas których Bałyś co rusz musiał zaprzeczać, jakoby był wybitnym śledczym, chłopcy podali mu dobrą kawę z ekspresu i ciasto z galaretką malinową. Z uwagą przyglądali się jego ostrożnej degustacji. Po dwóch kęsach podniósł na nich pytający wzrok.

– Słyszeliśmy, że jesteś mistrzem kulinarnym – wyjaśnił Palka.

– Ten placek robiła moja żona – dodał jeden z policjantów, Ryszard Hadczuk. – Strasznie się starała, jak jej powiedziałem dla kogo.

Koledzy skwitowali to kilkoma słabymi dowcipami o pantoflarzu, a Lucek z powagą poprosił o przekazanie żonie podziękowań i wyrazów uznania. Szczerłość nie wchodziła w grę, niemniej po porannych tarapatach z wystąpieniem na konferencji starał się zachowywać poważnie i godnie. Tak, postanowił wydorosnąć.



– Jesteście bardzo mili – krygował się niemal uroczyście. – Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na takie przyjęcie i gdybym nie był człowiekiem aż tak nieznaczącym, pomyślałbym, że macie w tym jakiś interes.

Policjanci spojrzeli po sobie z minami, które tradycyjnie nazywa się zbaraniałymi. Jeden z nich, Benedykt, nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Z wyjaśnieniem pośpieszył przewodnik Bałysia.

– Bo słuchaj – bąknął Paweł. – Tak właściwie to my tu, no... mamy taką jedną sprawę do ciebie. Stary, nie wyobrażaj sobie, że to jakieś przekupstwo z tym plackiem. No bez jaj. Tak jak mówiliśmy, jesteście dla nas z Krzyckim taką idealną parą, to znaczy... nie no, kurde, nie w tym sensie. Wiesz, o co mi chodzi. Myśleliśmy tylko, że skoro jeden z was tu będzie, to może moglibyśmy uszczknąć coś z repertuaru waszych metod. W końcu jesteście już, kurde, u nas tematem wykładów, co nie, chłopaki?

Inni mruknęli z aprobatą, a Lucek swoim zwyczajem wyduł wargi i wygłosił teatralnym basem:

– Do brzegu, żołnierzu. O co chodzi?

Młodszy aspirant Palka spojrział na komisarza Hadczuka jako szefa wydziału. Ten skinął głową.

– No to pokażmy koledze nasze drugie malinowe ciasto.

Poprowadzili go do pokoju obok, gdzie na biurku leżały porozrzucane papiery i zdjęcia. Na dużej korkowej tablicy na ścianie widniały fotografie twarzy z doczepionymi pod spodem maleńkimi kolorowymi karteczkami. Lucek bez trudu na jednym z portretów rozpoznał Dudasa.

Komisarz Hadczuk podsunął mu pod nos plik dużych zdjęć, które leżały na wierzchu.

– Mamy tu jeden taki pasztet...

– Z malinami – rzucił szybko Lucek.

– Dajcie już spokój z tym plackiem – skrzywił się komisarz. – Żona będzie miała złe sny. Chcieliśmy panu coś pokazać i poprosić o opinię. To zdarzenie sprzed tygodnia. W środku nocy ktoś zamordował wójta we wsi Grębówko i powiesił ciało na wiatraku. Wyglądało to tak makabrycznie, jak brzmi: powiesił na wiatraku. Ściślej rzecz biorąc, obezwładnił, po czym przywiązał do łopaty wirnika i pozwolił mu się utopić we własnej krwi. Tak lekarz zdefiniował bezpośrednią przyczynę śmierci. Ten człowiek krwawił z nosa i przy każdym obrocie śmigła zalewało mu krtań. Aż się udusił. Nazywał się Mieczysław Kulik, znaleźliśmy go...

Lucek słuchał słów komisarza, przeglądając zdjęcia zakrwawionego ciała, przytwierdzonego do śmigła za pomocą lin. Wisiało kilka metrów powyżej poziomu kabiny na szczycie i wyglądało makabrycznie. Nienaturalnie przekrzywiona na bok głowa, twarz i biała koszula na klatce piersiowej zalane krwią, ciało skręcone linami jak baleron i ręce rozłożone dłońmi na zewnątrz, jak u kapłana podczas mszy. Nie. Luckowi kojarzyło się z gestem błagalnym, jakby torturowany wójt błagał o przebaczenie, oczywiście już nie na tym, tylko na tamtym świecie. Zakrwawiona koszula wyglądała jak bita śmietana z malinami.

Pierwsze pytanie nasuwało się samo.

– Jak go tam powiesił?

– No właśnie. To jest na dobrą sprawę niewykonalne dla jednego człowieka, dla dwóch również. Dla trzech też.

– A ilu ich właściwie było?

Komisarz Hadczuk podrapał się po głowie. Przypominał tych pocziwców o okrągłych twarzach, z kropelkami potu na czole i zawiązką brzuszka z przodu, jakich można spotkać w komendach w całym kraju. To oni stanowili sól polskiej policji – niezbyt bystrzy, ale uczciwi i posłuszni, gotowi zawsze do służby. Wielu z nich

mogłoby mieć znacznie lepsze osiągi, gdyby działali pod innym dowództwem. Wkrótce Luckowe przypuszczenia miały się potwierdzić w całej rozciągłości.

– Najprawdopodobniej jeden. Na pewno. Mamy ślady jednego człowieka. Potwierdza to również świadek.

– O, to jest i świadek? – zdziwił się Lucek. – Nocą? Na polu gryki?

– Skąd pan wie, że to gryka? – Na twarzy Hadczuka zdziwienie mieszało się z uznaniem. Bałyś postukał palcem w stertę na biurku.

– Widzę na zdjęciu. To co z tym świadkiem?

– Kobieta, wracała nocą z odwiedzin u znajomego i zjechała z szosy za potrzebą.

– Pod wiatrakiem najciemniej – wtrącił szybko Lucek. Nie wychodziło mu to zachowywanie powagi.

– Pod wiatrak podjechała później – wyjaśniał cierpliwie Hadczuk. – Zatrzymała się na polnej drodze, weszła w krzaki i wtedy usłyszała za sobą kroki. Uciekła na drogę, a on wyszedł za nią. Widziała go przez moment w świetle latarki, ale jej opis jest trochę dziwny. – Podniósł z biurka kilka razem spiętych kartek i podał Luckowi. – Zeznanie jest niedokończone, zeznawała w szpitalu.

– Pobił ją?

– Nie. Uciekała samochodem i wjechała pod ciężarówkę. Kierowca odbił w lewo i ona też. Zderzyli się bokami. Facet leży w sali obok. Lekarze nie pozwalają nam jej za bardzo męczyć. Jest mocno pokiereszowana, cud, że przeżyła.

– Rozpoznała go?

– Nie. Miał na sobie dziwne ubranie. Opisała je jako sztormiak z legginsami.

– Sztormiak z legginsami? Szalony rybak, który z wody przesiadł się na powietrze?

– Mniej więcej. Właśnie na tym punkcie zakończyliśmy przesłuchanie. Następne ma być jutro. Obawiamy się – tu przerwał i potoczył wzrokiem po twarzach kolegów – że niewiele wniesie.

– Dlaczego?

– Dlatego że pani Saterniak jest ciągle w szoku i jej zeznania musimy wziąć w spory nawias. Szczerze powiedziawszy, mówi różne rzeczy...

Znowu przerwał, ponieważ ktoś przechodził korytarzem. Po chwili kroki umilkły, ale Hadczuk już nie podjął wątku. Lucek przeglądał zdjęcia, na dłużej zatrzymując się przy powiększeniu odcisku buta w ziemi.

– Są jakieś ślady... – wymamrotał, obracając odbitkę.

– Znaleźliśmy je w pobliżu miejsca opisanego przez Saterniak. Nietrudno było je zidentyfikować, takie gumowce można dostać w każdym sklepie rolniczym w okolicy. Ma je co drugi chłop.

– Czyli chłop, a nie na przykład kasjer z banku – rzucił Lucek mimochodem. Czwórka policjantów wymieniła znaczące spojrzenia. Ten o imieniu Benedykt zrobił nawet minę o bardzo wieloznacznym wyrazie, w którym oprócz podziwu kryło się też coś w rodzaju: a widzicie, palanty. – A gumowce nowe czy stare? Bo jak nowe, to można sprawdzić ostatnie zakupy w sklepach, a jak stare, to mają swoje linie papilarne w postaci zużycia, na przykład przytarcia bieżników...

Lucek deklamował lekcję śladoznawstwa trochę dla celów performatywnych, żeby wypaść poważniej i bardziej profesjonalnie. Usiłował zachowywać luz, ale zaproszenie do wydziału kryminalnego i prośba o poradę w trudnym dochodzeniu łechtały zawodową próżność. Mówił rzeczy oczywiste, które słyszał po wielekroć od Andrzeja lub Jurka Gargulskiego, a o których ci tu również świetnie wiedzieli. To był elementarz. Nieco więc zbiło go z

tropu wymowne spojrzenie kolegi Benedykta i milczenie, jakie później zapadło.

– Mamy ślady w bazie danych, jeśli natrafimy na jakieś obuwie w strefie działań dochodzeniowych, to będziemy porównywać... – tłumaczył Ryszard Hadczuk, ale bez większego przekonania. – Niemniej dziękujemy panu za cenne wskazówki.

Lucek zaproponował, żeby mówił mu po imieniu, tamten odwdzieczył się tym samym, po czym podkomisarz przeszedł na ty z Benedyktem Mrówczyńskim i Łukaszem Latawcem.

– No dobrze, ale co w tej sprawie właściwie mogę dla was zrobić? Wszystkie najważniejsze rzeczy tu macie, nowe dojdą po kolejnym przesłuchaniu pani Saternak. Doprecyzujecie portret podejrzanego i...

– Saterniak – poprawił go Hadczuk.

– No dobrze, Saterniak. Nawiasem mówiąc, sugerowałbym również przesłuchanie tego kierowcy ciężarówki. Oni różne rzeczy widzą w czasie jazdy, zwłaszcza nocą... – Policjanci roześmiali się. – Czego właściwie, moi drodzy, oczekujecie ode mnie?

– Interwencji pozasłużbowej – rzucił sierżant Benedykt.

– Super, to dla mnie zaszczyt. A tak konkretnie? Bo widzicie, pojutrze wracam do Krakowa i nie wydaje mi się, bym błysnął czymkolwiek, poza spijaniem waszej świetnej kawy. Mogę prosić dolewkę?

Sierżant przyskoczył do niego i w mig napełnił filiżankę. Po zdjęciach ofiary na ciasto malinowe Lucek już nie miał ochoty.

– Jasne – poparł go Hadczuk. – Nie chodzi o to, żebyś za nas rozwiązywał sprawę. Powiedz nam, jak on to zrobił. Jak udało mu się powiesić wójta na śmigle i owinąć sznurkiem? Samemu i nocą?

Bałys przypatrywał się zdjęciom i pewność siebie powoli go opuszczała. Nie znał się na elektrowniach wiatrowych, nie miał

pojęcia ani o ich budowie, ani nawet o tym, jak się na to coś wchodzi. Czy w tym słupie jest winda? Po schodkach to dobre kilkanaście minut. Ile to ma w ogóle metrów wysokości? I z czego właściwie jest zrobione?

– Nie znam się na wiatrakach. – Westchnął z rezygnacją. – Nie pomogę wam. To... wymaga czasu. Musiałbym, nie wiem, pojechać na miejsce, obejrzeć to z bliska, powęszyć w okolicy. Nie jest tak, że... – Zaciął się.

– ...że hop na krowę i już cielę – podrzucił usłużnie Mrówczyński.

– No właśnie. – Lucek rzucił mu wdzięczne spojrzenie.

Słupscy koledzy zmienili temat i wypytywali go o przypadki w Krakowie, a on z ulgą snuł kwieciste narracje, starając się zatrzeć tamto niemile wrażenie, że sprawił im zawód. Pogadali trochę, po czym pożegnał się przyjaźnie i opuścił budynek. Palka ofiarował się, że go odprowadzi z powrotem do Szkoły Policji na Kilińskiego, gdzie zaczynała się popołudniowa runda konferencji. Wyszli na rozgrzany plac przed komendą. Lucek założył wielkie lustrzanki, takie same, jakie mieli gliniarze na motocyklach w Brudnym Harrym, i wyglądał w nich jak sowa w blond peruce. Po drugiej stronie chodnika na murze baraku widniał koślawy napis sprayem: „W tej krainie obcy ginie”. Gdy już oddalili się od bramy komendy i szli wiaduktem nad torami, Palka zatrzymał się i spytał półgłosem:

– Coś wiedziałeś, ale nie chciałeś powiedzieć, prawda?

Lucek zdjął okulary i wziął się pod boki.

– Aż tak było widać? I to z ciastem też? – spytał.

– Uhm. Mówiłem ci, że jesteś miniasty.

Pod sklepem spożywczym w Grębówku grupka stałych bywalców, zgromadzonych wokół pnia po ściętym jaworze, który służył za stół, była tego dnia liczniejsza niż zwykle. Za ten stan rzeczy odpowiadał nie tylko upał, generujący zwiększone pragnienie, ale również ostatnie wydarzenia w sąsiednim Grębówku. Musieli natychmiast o tym pogadać, a gdzie to robić jak nie pod sklepem w środku wsi, w porze lunchu? Zwłaszcza że sprzedawczyni ułatwiała spożywanie południowego posiłku, nie biorąc kaucji za szklane opakowania i zachęcając tych bardziej nienasyconych do wielokrotnego nawracania. Nic więc dziwnego, że punkt cieszył się nadzwyczajną popularnością.

– Taż ja mówię wam, wszystko trza będzie oddać! – dowodził z niezachwianą pewnością mały żylasty człowieczek z niekompletnym uzębieniem, w wytartym kaszkiecie na głowie. – Długo tu nie pomieszkamy.

Pozostali pokiwali głowami i łyknęli piwa, by utwierdzić się w ponurej prawdzie.

– Chyba że PiS zrobi porządek – rzucił ktoś ryzykownie, ale zyskał aprobatę. Znowu wszyscy upili. Wysoki chudzielec z czerwonym nosem krążył wśród nich z butelką z przezroczystego szkła i dolewał do małej szklaneczki. Każdy przyjmował swoją porcję z nabożeństwem, jak hostię. Żylasty kontynuował mroczną wizję.

– One te pola wszystkie z powrotem wykupiom i pójdziemy z torbami. A one postawiom te wiatraki, wszędzie, na całym Pomorzu. Nic nie zostanie.

– I tak nie masz pola – mruknął gruby o wyglądzie masarza. Widocznie opuścił jakiś przydział płynu i zachował resztki krytycyzmu. Mały się zaperzył.

– A to nikt nie ma! A wiesz ty czemu? Bo zabrali! Wzięli i nie oddadzą, bo będą te farmy wiatrakowe robić. Tu wieje i się im opłaci, rozumiesz ty? A my z torbami!

Pozostali pomruczeli z aprobatą i znowu trzeba było wypić. Grubas próbował jeszcze tłumaczyć, że te pola nigdy do nich nie należały, ale został zakrzyczany. Lunch dobiegał końca i uczestnicy debaty czuli się naładowani nową energią.

– Miliony zarabiam na tych śmigłach, a my tu za darmo robimy. Jak te niewolniki! – dowodził jeden z nich.

– Cały wiatr nam zabierają – dodał inny, ale nie zyskał tak powszechnej aprobaty.

– I na rozum szkodzi! – zawołał chudy mężczyzna od przeźroczywej butelki. – Widzieliście, co się stało z synem starej Płohowej?

Ten zyskał powszechny aplauz. Wszyscy skwapliwie zgodzili się, że wiatraki szkodzą na rozum, i na tę okoliczność opróżnili do dna butelki. Wywiązały się dyskusje w podgrupach. Jedni debatowali nad nowymi dowodami szkodliwego wpływu elektrowni wiatrowych na lokalny rozum, inni skupili się na problemie zgromadzenia środków na dodatkowe zakupy. Parę minut im jeszcze zostało. Wkrótce trzeba będzie zakończyć przerwę, odpalić maszyny i wrócić do mozolnej pracy rolnika na nieswoim polu. Zrzutka dawała nadzieję na przyjemne wypełnienie tej niezręcznej pustki.

Drogą od strony miasta nadjechał wielki czarny samochód z przyciemnianymi szybami. Sunął, kołysząc się na boki jak łódź na falach. Przed sklepem zwolnił, jakby chciał dokładnie zaprezentować się zgromadzonej publiczności. Chłopi przerwali dziejowe dysputy w pół słowa i zbili się w ciasną grupkę, obserwując pojazd.



– Znowu ta Niemra – mruknął ktoś.

– Ciekawe, do kogo ją teraz niesie – dodał inny.

– U Kulika też podobno była – wtrąciła sprzedawczyni, stając w progu sklepu. – Kulikowa tak mówiła. Ciekawe, czy to przypadek.

Odpowiedzieli gniewnymi pomrukami, stanowiącymi jednocześnie protest przeciwko Niemrze i aprobatę dla śledczej przenikliwości sprzedawczyni. Ich oczy z zamglonym niepokojem śledziły pojazd, dopóki nie zniknął za zakrętem, i dopiero wtedy powrócili do przerwanych spekulacji.

– Czego ona właściwie szuka? – spytał grubas. Przystąpił z nogi na nogę i dopił piwo jednym konkretnym haustem.

– Rozpytuje o tych, co tu są od początku – odparł jego chudy sąsiad, który również wyglądał nieco przytomniej od innych. – Gadała ze starym Siemczukiem, ale nie chciał powiedzieć o czym. Zapłaciła mu za milczenie. Teraz jedzie do następnego. Wiesz, co ci powiem? – Odwrócił się bokiem i zniżył głos. – Coś tu zakopali i ona tego szuka.

– A skąd stary Siemczuk ma wiedzieć?

Pochylili się obaj nad tym problemem, a ponieważ nie znaleźli zadowalającej odpowiedzi, w milczeniu pokiwali głowami, po czym gruby podsumował przemyślenia:

– Gdzieś tu coś leży.

A chudy doprecyzował:

– Niemiecki skarb.

– Oby.

Gruby otrzepał pustą butelkę z kropel, odstawił na ziemię i kołyszącym się krokiem ruszył przed siebie. Kulał. Chudy odprowadził go wzrokiem, myśląc, czy rzeczywiście usłyszał na pożegnanie to dziwne słówko. „Oby”? Jak nie skarb, to co?

### III

## Złe sny

#### I

Skrećili w aleję 3 Maja i przemaszerowali przez wysoki wiadukt nad dworcem PKP. Napis „W tej krainie obcy ginie” powtórzył się na odrapanej kamienicy na ulicy Wolności, w jeszcze bardziej rozwlekłej formie, jakby pisany w biegu.

– Co wy z tym robicie? – spytał Lucek, wskazując koślawe litery.  
– Hajlujecie w drodze do pracy?

– Nie, zamalowujemy – odparł Palka. – Ale gówniarze z przekory paćkają na nowo. Taka zabawa w aniołki i diabelki.

– Wy jesteście aniołkami, co?

– Tak. Aniołkami Charliego. Podlizujemy się szefowi, a ten przez interkom rozdaje nagany i pochwały. Wiesz, jak jest.

– Wiem – potwierdził Lucek. – Przez interkom nie widać, więc pochwał nie dostaje się za to, jak kto pracuje. Czy dlatego chciałeś mnie dzisiaj zaprosić? Bo przecież nie na ciasto. Nie zrobiłbyś mi tego.

– Aż tak było widać? – spytał Palka.

– Uhm. Też jesteś miniasty. – Podkomisarz przełożył swoją odlotową błękitną marynarkę do drugiej ręki i zdjął lustrzanki. – Wiesz dobrze, że nie ma żadnych specyficznych metod duetu Krzycki–Bałyś. Cała rzecz sprowadza się do elastyczności w traktowaniu regulaminu, i tyle. Chodziło ci o coś innego i pozwól, że spróbuję zgadnąć. Macie problem ze standardowym śledztwem i

chcielibyście się dowiedzieć, jak zrobić to inaczej. Albo jeszcze lepiej: ty masz problem. Dobrze myślę?

Szli coraz wolniej i pochylali nisko głowy, jakby chcieli ukryć twarze nie tyle przed palącym słońcem, co przed wzrokiem przechodniów. Zawodowy odruch funkcjonariuszy opuszczających bezpieczny grunt gadki szmatki i przechodzących do szczerzej rozmowy. Bałys miał tu niejaki doświadczenia, natomiast Palka wyglądał na nowicjusza w dyskursie. Mówił powoli i starannie dobierał słowa, strzelając oczami na boki. Gdyby ktoś zrobił mu w tej chwili zdjęcie, wyszedłby klasyczny portret spiskowca.

– To bardzo trudna sprawa i nie wiem, czy powinienem o tym mówić – dukał jak uczeń pod tablicą. – Ale pomyślałem: kurczę, facet, który pracował z Andrzejem Krzyckim, musi takie rzeczy rozumieć. Chodzi o tego trupa na wiatraku. Mamy problem.

– Kto by nie miał.

– Problem nie z trupem, tylko z żywymi.

– Widzę.

– Co widzisz? – zdziwił się młodszy aspirant.

– Hadczuk zamilkł, kiedy usłyszał kroki na korytarzu. Wcześniej też ktoś przechodził, chyba kobieta, ale wtedy nie ściszył głosu. Te kroki należały do kogoś, kto nie powinien wiedzieć, że rozmawiacie ze mną. Naprawdę udało wam się ukryć mnie przed innymi?

W oczach Palki błysnęły iskierki satysfakcji kogoś, kto potrafi docenić zawodowe kompetencje.

– Ty zawsze pracujesz? Nawet przy kawie?

Lucek wyszczerzył zęby.

– Zwłaszcza wtedy. To jedna z lekcji Andrzeja. No to kto szedł?

Palka również wyszczerzył zęby.

– Skoro jesteś taki dobry, sam zgadnij.

– Czyżby sam komendant?

– Bingo. Stawiam piwo.

– Jak się nazywa? Powiedz mi tylko tyle, bo rozumiem, że nie chcesz o nim rozmawiać na ulicy.

– Podinspektor Krzysztof Zdybas. I nie chcę rozmawiać. To piwo, które ci leczę... moglibyśmy wypić wieczorem? Jak skończysz to udawanie profesora w naszej akademii szczeniąt. Przyjdę po ciebie pod bramę. – Zawahał się. – Albo nie, poczekam w samochodzie na parkingu od strony Kilińskiego. Bordowy opel vectra. Siódma będzie okej?

– No dobra – zgodził się po namyśle Bałyś. – Ale nie oczekuj ode mnie cudów. Pojutrze wyjeżdżam. To wasza praca i wasze układy. Rozumiesz: palce i drzwi.

Ponieważ byli już pod bramą Szkoły Policji, Paweł wskazał mu parking, na którym będzie czekał o siódmej, i się pożegnali. Upał trochę zelżał, od morza wiało ożywcze powietrze i na placu apelowym przed wejściem do budynku dydaktycznego Lucek włożył marynarkę. Poprawił pod szyją krawat, obciągnął klapy i przybrał surowy wyraz twarzy. Do sali konferencyjnej na drugim piętrze wchodził z marsowym obliczem i mocnym postanowieniem, że tym razem wytrzyma rekini wzrok tamtego inspektora. Trzymał się prosto (jak mu kazała Dominika), ręce opuścił wzdłuż ciała. Niestety, cała jego misterna PR-owska konstrukcja runęła w momencie, gdy zasiadał na krześle i loczek zsunął mu się na oczy. Odgarniając go szybkim ruchem, widział dookoła siebie ironiczne uśmieшки.

Rozpoznawała topografię terenu: pagórki, jary z płynącymi dnem strumieniami, ścianę lasu. I drogi z tymi samymi zakrętami co siedemdziesiąt lat temu. Na jednym z nich, pod rozłożystym jaworem, który pamiętała, kazała Michałowi zatrzymać samochód. Wsiadła i zrobiła kilka kroków po nierówno ułożonych kamieniach. Katzenköpfe, czyli kocie łby. Specjalnie wybrała trasę przez pola, starą drogą, tą jedyną prawdziwą. W miękkich i wygodnych pumach czuła przez podeszwy obłe kształty, wyślizgane przez opony, ale te same. Pochyliła się i pogłaskała błyszcząca, szarobrazową powierzchnię bruku. W cieniu drzewa kamień był zimny i obojętny. Spojrzała wstecz, skąd przyjechali, i usiłowała przywołać w pamięci właściwy obrazek, ale nie udało się. Tego miejsca akurat nie. Pamięć nie jest ciągła, zawiera głównie dziury i ten odcinek drogi stanowił właśnie taką dziurę. Dlatego potrzebowała pomocy innych, ludzi i przedmiotów, by to wszystko jeszcze raz ułożyć dla nie wiadomo kogo. Nieprawda, wiadomo – dla Gerdy. Jeszcze raz przesunęła palcami po kamiennym prostokącie. Skoro tkwił tutaj cały czas, może pamięta kroki tych, którzy tędy przechodzili, jej również. Siedemdziesiąt lat to dla kamienia chwilka.

– *Halo, Stein* – szepnęła. – *Sag mir, bitte, wo sie ist.*

Hej, kamieniu, powiedz mi, gdzie ona jest. Zrobiła pauzę, jakby spodziewała się odpowiedzi, a może po prostu dla zaczerpnięcia tchu. – *Wo ist sie verschwunden?* Gdzie zniknęła?

Patrzyła w napięciu na pokrytą żyłkami wypukłą powierzchnię. Ten świadek mógłby wszystko opowiedzieć, gdyby tylko chciał. Wszystko.

– *Halo, Steinchen, hörst du mich? Wo ist sie?*

Hej, kamyczku, słyszysz mnie? Gdzie ona jest?

Kamień uparcie milczał. One nie są od tego, żeby mówić. Za tą historią stoją ludzie i z ludzi trzeba wydusić prawdę. Wyprostowała się energicznie i wtedy od pól usłyszała daleki krzyk żurawi. Kraniche. Te same od dzieciństwa, wierne i wciąż na straży rodzinnej ziemi, pilnujące jej teraz już dla nikogo. Chwilę szukała ich wzrokiem, a one jak na zawołanie uniosły się z niskiej łąki i majestatycznym lotem przecięły niebo nad lasami, by z przeraźliwym krzykiem zniknąć za wsią. Ot i cała odpowiedź.

Wsiadła do samochodu i z mocą zatrzęsnęła drzwiami.

– *Los!* – rzuciła kierowcy i ruszyli w kierunku zakurzonej wsi o trudnej do wymówienia polskiej nazwie, ale dla niej to był po prostu Heinsdorf. Wjechali wolno na plac przed kościołem i zrobili rundę wkoło, by mogła odświeżyć kolory na dobrze znanej kliszy. Sklep Grohlów zamienił się w coś, co tu nazywali GS-em, ale wciąż prowadziły do niego ciężkie żelazne drzwi, których gładką klamkę pamiętała tak samo jak kształt szklanych słoików obok kasy i smak kryjących się w nich cukierków. Jej dom nie istniał. Został rozebrany, a na jego miejscu postawiono kwadratowy klocek, oklejony burym tynkiem. Wiele takich domów stało w okolicy, ten styl architektoniczny przyszedł wraz z nowymi czasami. Tak samo psi jak wszystko inne. Tylko ich stare domy jako tako wyglądały, i te odnowione, i te pozostawione w pierwotnym odzieniu z gładkiej cegły, by dogorywać wraz z pamięcią o ich mieszkańcach.

Zajechali pod jeden ze starych budynków i zaparkowali na podwórzu. Obok murowanej stajni z zapadniętym dachem, większej niż dom, rósł wielki kasztan. Przelotnie musnęła jego pień kościstą dłonią, bo przypomniało jej się, że gdy poprzednim razem gładziła jego korę, miała sześć lat i bawiła się w chowanego z małymi Stubenauerami, krewnymi. Stary, bezzębny Siemczuk mieszkał w ich domu.

Otworzyła im gderliwa kobieta o zniszczonej twarzy i po wysłuchaniu Michała nieprzyjaźnie machnęła ścierką. Heike nie rozumiała dobrze, stała nieco z tyłu, zresztą nadal miała trudności z rozpoznawaniem słów tego dziwnego języka, choć się go uczyła. Pojęła tyle, że nie zostaną wpuszczeni z jakiegoś ważnego powodu, więc Michał odwrócił się w oczekiwaniu dalszych poleceń, a ona tylko skinęła głową. Wyjął kopertę i wcisnął kobiecie w rękę. Szybko otworzyła, potarła palcami zawartość, po czym z kwaśną miną zaprosiła ich do środka, odsuwając się i przechylając głowę. Bez jednego słowa.

Heike po wejściu do pokoju odniosła wrażenie, że wszystko zostało przygotowane na ich przyjazd. Po jednej stronie niskiej ławy z jasnego sosnowego drewna (w ich czasach nikt nie robił mebli z sosny) stały dwa fotele, po drugiej obita pstrokatą tapicerką kanapa, na której siedział stary Siemczuk. Ubrany był w białą koszulę i czarne spodnie, a uklepane dłonią siwe włosy odgarnął do tyłu, odsłaniając kępki zarostu wystające z uszu. Nad nimi miał odcisnięty ślad po kaszkiecie. Wszyscy starzy chłopcy chodzili tu w takich czapkach, także latem.

– Powiedz mu, że przyjechałam po to, czego ostatnio nie mógł sobie przypomnieć – rzuciła surowo Michałowi. Ten inteligentny i wysportowany doktorant ze Szczecina pełnił u niej funkcję tłumacza, kierowcy i ochroniarza. Drugi ochroniarz, Mariusz, został w samochodzie.

Chłopak powtórzył zdanie szeleszczącymi zgłoskami. Starzec obnażył bezzębne dziąsła i zaskrzeczał piskliwie, co pewnie miało być śmiechem. Coś wyseplenił.

– Mówi, że nie może sobie przypomnieć – powtórzył po niemiecku Michał.

Wbiła wzrok w Siemczuka, wyobrażając sobie, że tam, po drugiej stronie tych zasnutych bielmem starości i chytrności oczu, migocze niewyraźna postać szesnastoletniej Gerdy. Może nawet ten widmowy hologram coś mówi, ale zidiociały staruch nie rozumie, bo ostatnie, co by mu przyszło do głowy w całym jego niezdarnym życiu na porządnym poniemieckich ziemiach, to uczyć się niemieckiego. Och, gdyby tak mogła wejść do jego siwego łba i posłuchać!

– Jeśli nie powie, zawołam córkę. Zapłatę już otrzymali.

Michał powtórzył Siemczukowi słowa szefowej, na co tamten znowu coś wyseplenił.

– Mówi, że nic nie dostał, tylko jego córka. Ostatnio też nie.

Zagryzła wargi. Nie dojdzie do ładu z tym chytrym ludkiem. To zupełnie jakby pertraktować z Murzynami w afrykańskim buszu. Nie miała jednak innego wyjścia. Jeżeli ktokolwiek wiedział coś o sprawach dla niej najważniejszych, to właśnie oni, ci przesiedleńcy ze Wschodu. Tego Wschodu, który jak burza śnieżna zmiotł jej Pommern z mapy świata podczas mroźnych miesięcy tamtego roku, razem z najstarszą siostrą i pozostałymi. Gdzie oni spoczywają, wiedziała. Została jej tylko Gerda.

– Powiedz mu, że dostanie coś ekstra, jeśli jego rewelacje uznam za przydatne.

Starzec wysłuchał i zaszeleścił słowiańską mową. Zrozumiała tylko „albo, albo” i nie czekając na przekład całej wyrafinowanej frazy, sięgnęła do kieszeni. Na widok wielkiego zielonego banknotu rozpromienił się i natychmiast capnął go kocim ruchem, po czym poprawił się na kanapie i zaczął mówić.

– Przyszła pod koniec lata, na pewno, zboża już nie było na polu.

– Tamtego lata nie było zboża, bo nie zasiali – mruknęła surowo jak nauczycielka strofująca tępego ucznia.



– Niektórzy siali – upierał się stary. – Zaraz na wiosnę wojsko rozdawało worki z ziarnem. Jedni piekli chleb, a inni siali. Tu paru zasiało i potem robili żniwa. Sam zwoziłem snopki do stodoły u Zawałów. Zawały dostali najwięcej pola i zasiane też mieli.

– A ona?

– No tak, i raz kiedyś chłopaki przyszli z tom dziewczynom.

– Jak wyglądała? Jak była ubrana?

– Taka duża, szeroka, z warkoczem. Gruby taki warkocz miała.

– Jasny czy ciemny?

– Jasny jak ta pszenica, co my jom kosili.

– Jak kosili, skoro było już po żniwach? Poza tym dlaczego kosiliście ręcznie, skoro maszyny po gospodarstwach stały? Choćby tu, w stajni Stubenauerów, coście ją do ruiny doprowadzili, stał porządny McCormick, ze zgarniaczami do słomy.

– Ano, stał. – Dziadek Siemczuk westchnął. – Ino że nikt nie umiał tym jeździć. Młody Zawała próbował, to jak zgrzytło diabelstwo i się konie spłoszyły, mało nóg własnej matce nie obciął. Potem tak, to my kosili kosiarką, ale nie pierwszego roku. Nie dało się.

– Nieważne, wróćmy do niej. Widział pan tę dziewczynę z bliska? Jakie miała oczy? Nos?

– Zwyczajne, jak to dziewczyna. Takie ładne oczy miała, jasne. A nos jak nos – prosty. Okrągła na twarzy. Ładna, nie można powiedzieć.

Gruby warkocz, jasne oczy, czyli niebieskie, prosty nos. Okrągła na twarzy. Ładna. Gerda.

– Co miała na sobie?

Pytała dla formalności, bo ubranie niewiele znaczyło wobec tego, że ten człowiek mówił o lecie, a ona ostatni raz widziała Gerdę w styczniu. Niemniej odpowiedź ją zelektryzowała.

– A to pamiętam dobrze, bo miała taką zieloną sukienkę, jak żadna inna baba we wsi. Z takimi tu, o – pokazał na swoje ramię – koronkami.

– W jakim kolorze?

– Jakim? Ano białe, jak to koronki.

Heike doskonale pamiętała tę sukienkę. Pamiętała nawet dzień, kiedy mama kupiła ją na targu w Schlawe, a jej przykazała nic nie mówić. Gerda obchodziła urodziny na początku października, a targ był we wrześniu i kupiec sprzedawał letnie rzeczy taniej. Bestimmt nicht zu klein, bestimmt nicht zu klein, mamrotała pod nosem matka, obracając sukienkę na wyciągniętych ramionach. „Na pewno nie za mała”. Heike bardzo się sukienka podobała, znacznie bardziej niż rozlegające się wkoło pełne niepokoju szept, w których najczęściej powtarzały się słowa Front i Bolschewiken. Ona jednak miała wtedy sześć lat i niewiele z tego rozumiała, widziała tylko, że wszyscy się boją. Wszyscy oprócz niej, bo mała Heike nie wyobrażała sobie, żeby jej tata, wielki i silny mężczyzna, nic nie poradził na jakichś bolszewików. Tak wtedy, we wrześniu 1944 roku, myślała na targu w Schlawe, ostatnim, jaki widziała w swoim życiu. Zwiedziła później cały świat, była na wszystkich kontynentach, ale w żadnym z miast nigdy nie poszła na bazar. Może właśnie z obawy, że na wieszaku pod brezentowym namiotem w jakimś Delhi czy Caracas zobaczy zieloną letnią sukienkę z bufiastymi rękawkami, obszytą białą koronką.

Gerda bardzo się z niej cieszyła, ale nie miała kiedy włożyć, bo przyszedł deszczowy pomorski październik, a potem ta straszna zima. Obiecywała sobie chodzić w niej całe następne lato. I chodziła, tylko już po innym świecie.

– Kto z nią przyszedł?

Spytała obojętnie, ale wstrzymała oddech w nadziei, że chytry staruch, wzięty z zaskoczenia, odpowie. Po to dzisiaj przyjechała i postanowiła pozostać w tym pokoju, dopóki nie pozna choćby jednego nazwiska. Siemczuk otworzył usta, ale rzucił okiem na drzwi i nie powiedział nic. Nagle zaczął ziewać, sapać i chwiać się na boki, jak człowiek bliski utraty przytomności. Heike odwróciła się – w progu stała córka Siemczuka z płócienną ścierką w dłoni.

– Dosyć na dzisiaj, ojciec są zmęczeni. Przyjedźcie jutro.

Kobieta nawet nie próbowała udawać, że wierzy w to, co mówi. Z niechętną miną wycierała czyste ręce w ścierkę i mierzyła gościa bystrym spojrzeniem. Heike bez trudu odczytywała z niego hardy plan nowych mieszkańców gospodarstwa Stubenauerów: wydrzeć jak najwięcej pieniędzy od Niemry. Wiedziała, że tak ją nazywają, i nawet jej się to spodobało. Budziło respekt.

– Nie wyjdę stąd, dopóki on nie powie mi chociaż jednego nazwiska. On lub pani.

– Nic z tego – odparła kobieta i przerzuciła ścierkę przez ramię.

– Do widzenia albo dzwonię na policję.

– Jeszli pani dzwoni na policje, wencej tu ne przijade i ne dostanesz ni grosza – powiedziała, nie czekając, aż Michał skończy tłumaczyć. Na twarzy tamtej przez ułamek sekundy pojawiło się zdziwienie, a potem wahanie. Heike parę razy przyjeżdżała do Polski, spędziła nawet dwa tygodnie na kursie językowym w Krakowie i zdążyła poznać ten słowiański typ drobnego sknery, gotowego poświęcić swój honor, zaufanie i dobre imię dla szybkiego zysku. Polacy lubią słowo Herkunft, dziedzictwo, więc pewnie trochę było w tym dziedzictwa pańszczyzny, a trochę komunistycznej biedy. A najwięcej odwiecznej mizerności słowiańskiej, której oni, ich najbliżsi zachodni sąsiedzi, nigdy do końca nie umieli pojąć.

W przedłużającej się ciszy brzęczały muchy wokół lampy i świszczwał oddech starego Siemczuka. Jego córka z zaciętą twarzą dokonywała szybkiego przeliczania odpowiedzi na euro, wreszcie prychnęła i powiedziała, że idzie po męża. Chodziło chyba o zyskanie na czasie, ponieważ ten mąż, jak Heike zdążyła zauważyć podczas rundy po rynku, stał pod sklepem i sączył piwo z kolegami. Parę minut piechotą w jedną stronę. Przed domem zaskrzypiała furтка i na chodniku zastukały obcasy. Stukały mocno, jakby chciały podkreślić, że oni tu w domu mają parę minut na załatwienie swojej sprawy. Dziwni ci ludzie. Nie potrafią powiedzieć wprost.

Sięgnęła znowu po portfel. Wyjęła kolejne sto euro i położyła na blacie stolika. Była Niemką i nauczyła się załatwiać sprawy za pomocą pieniędzy. Kiedyś Mark, a teraz Euro to najczęściej wypowiedane przez Niemców słowo, nie licząc ponadczasowego Scheisse.

– Jedno nazwisko.

Stary nadal udawał, że drzemie, ale uchylił jedną powiekę, by sprawdzić liczbę i kolor banknotów. Widocznie efekt go nie usatysfakcjonował, ponieważ przymknął oko i zachrapał głośniej. Było coś żałośnie śmiesznego w tej amatorskiej pantomimie, jakies ledwie zawoalowane żebractwo, źle skrywane za fałszywą dumą. Zaraz jednak zrobiło jej się żal tego bezzębego starca, tak samo jak ona wypędzonego z krajobrazów dzieciństwa i zmuszonego przez historię do mozolnego osvajania obcej ziemi. Wygnańcy wszystkich czasów wiedzą, że to się nie udaje. W jakimś sensie ten biedny i głupi Siemczuk był jej bratem bliźniakiem, lustrzanym odbiciem, jednym z tysięcy drobnych zdań wielkiej historii, wyciętym i przeklejonym do innego rozdziału, gdzie w ogóle nie pasował. Może dlatego ta opowieść nie składała się w całość.

W pierwszym odruchu ponownie włożyła rękę do torby w poszukiwaniu portfela, ale ubodła ją nagle cała nieprzyzwoitość tej sytuacji i zrezygnowała. Podniosła się z fotela, obeszła brzydką sosnową ławę i usiadła na kanapie obok niego. Wzięła pokrytą plamami wątrobowymi starczą dłoń w swoje kościste palce i lekko ścisnęła.

– Pane Semczuk, nech mi pan pomosze. Badzo prosze.

Starzec uparcie milczał, jak ten kamień na drodze. Nie odpowiadał na jej spojrzenie i zaciskał powieki jak dziecko, które udaje sen. Ale ręki nie cofnął. Jej szorstkość i ciepło były przyjemne, bo Heike zawsze miała zimne dłonie. Wreszcie otworzył oczy i wydało jej się, że widzi w nich łzy. Zachnęła się. Niemożliwe, żeby coś czuł. Równie dobrze mógł podrażnić spojówki tym dzieciennym udawaniem. Spojrzał na sto euro, potem na nią.

– Po co ci to? – spytał cicho.

– Dla niej.

– Nikogo już nie ma.

– My jesteśmy.

Pokiwał siwą głową i odwrócił się do okna. Przez otwarte do sieni drzwi usłyszeli skrzypnięcie furtki i podniesiony głos gospodyni. Wracała z mężem, którego po drodze zagrzewała do boju. Heike poklepała dłoń zawziętego starca, podniosła się, zgarnęła banknot ze stolika i torebkę z fotela i wyszła. Siemczuk burknął coś za nią, ale nie zwracała już uwagi. Nie to nie. Michał utorował jej drogę do wyjścia, spokojnie odwodząc od ataku agresywnego zięcia. Odwróciła głowę w drugą stronę i szybkim krokiem wróciła do samochodu. Nie obchodziło ją, co krzyczą, miała ich już wszystkich serdecznie dość. Usiadła na tylnym siedzeniu i kazała wracać do hotelu w Krangen. Kiedy ruszyli, podparła policzek dłonią i gapiła się niewidzącym wzrokiem na

mijane pola, coraz bardziej odległe i obce. Nikt jej tu nic nie powie. Oni są z innej gliny, z innej kultury, całe to pojednanie to bajka dla dzieci. Licha bajka, która nijak ma się do historii. Ich trzeba, trzeba... jak oni to mówią? Wziąć za pysk.

– Kulig.

– Was?

– Kulig – powtórzył Michał. – Tak powiedział na koniec.

– Was heisst Kulig? – spytała.

Mariusz zaczął opowiadać jej o dawnym obyczaju polskim wożenia się saniami od domu do domu na uczyty i zabawy. Oczywiście. Cóż innego mogliby robić tradycyjni Polacy, jak nie jeździć do sąsiadów na jedzenie, picie i macanie dziewczek po stodółach? Zresztą Niemcy robią to samo.

– To może być też nazwisko – dodał Michał, który przysłuchiwał się jej rozmowie z Siemczukiem. – Miałem kolegę Kuliga, mówiliśmy na niego kulega Kulig.

– *Ah ja, ich verstehe.*

Kulig. Gdzieś już słyszała to nazwisko. Oni to wymawiają bezdźwięcznie, jak „kulik”. Taki mały cool. Musi jeszcze raz porozmawiać ze swoim kuzynem Ottonem Stubenauerem, który jako ostatni opuścił Heinsdorf tamtej zimy.

Resztę drogi do hotelu przebyli w milczeniu. Kołatała się jej po głowie pomorska zima w objęciach białego puchu i sunący po polach w asyście krzyków tradycyjny polski kulik.

Jak przystało na koszarowy porządek, konferencja skończyła się dokładnie o dziewiętnastej, ale Lucek jeszcze przez kwadrans

wymieniał uprzejmości z organizatorami oraz kolegami po fachu, wykręcając się od zaproszenia na uroczystą kolację. Starał się przy tym unikać faceta o drapieżnym wyglądzie, paradującego w galowym mundurze inspektora z białym sznurem, jakby emerytura dawała mu szczególne uprawnienia również tutaj. Nie miał ochoty na kolejną wymianę zdań z kimś, kto najwyraźniej nie wiedział, czym jest dyskusja. Kiedy jego zabiegi zdawały się odnosić zamierzony skutek, inspektor Kała dopadł go pod toaletą.

– Śpieszysz się? Myślałem, że utnę sobie pogawędkę z przyjacielem Krzyckiego.

– Umówiłem się – odparł Lucek, zamykając nogą drzwi.

– Można wiedzieć z kim?

– Nie. – Uniósł rękę na znak, że chce przejść. Dwaj przybocznicy Kały zbliżyli się do siebie, blokując mu drogę, ale inspektor powstrzymał ich gestem.

– Słyszałem, że umiesz się bić – zwrócił się do Lucka. – Mam nadzieję, że kiedyś zaprezentujesz nam swoje umiejętności. Ale nie tutaj. Tu – wyszczerzył się – jest za dużo świadków.

Bałys nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na taką uwagę, więc wyciągnął palec w kierunku malowniczego uzębienia Kały i spytał:

– Ile kosztują takie szczęki? Pewnie kupę forsy.

– Żebyś wiedział, chłopcze – odparł Kała, rozciągając wargi w uśmiechu.

– A poprzednie? Ktoś na nich zaprezentował swoje umiejętności?

Uśmiech zgasł tak szybko, jak się pojawił.

– Nie pogrywaj sobie ze mną. Jeszcze tego nie wiesz, ale nasza zabawa dopiero się zaczyna.

– Sam sobie dobieram kumpli do zabawy – powiedział Lucek wyniośle i rozgarniając dwóch przybocznych inspektora jak snopki zboża, ruszył w kierunku schodów. Starał się iść swobodnie, ale wszystkie ścięgna miał napięte aż do bólu. Nawet te w mózgu, choć nie był pewien, czy człowiek ma w mózgu ścięgna. W palcach obu dłoni czuł lekkie swędzenie i było mu z tym przyjemnie. Poziom adrenaliny rósł i Lucek przez moment zapragnął, by tamci się na niego rzucili. Na swoje szczęście nie zrobili tego.

Gdy opuścił wielki budynek z czerwonej cegły i znalazł się na placu apelowym, natychmiast zdjął marynarkę, rozluźnił kołnierzyk pod szyją i schował bordowy filet z węgorza do kieszeni. Całe plecy miał mokre, nie tylko od napięcia. Niebo zasnuwały szare szmaty nasączone deszczem, w powietrzu wisiała burza. Uprzejmie skłonił się ładnej blondynce na wartowni, zgrabnym skokiem przesadził metalowe barierki z elektronicznym czujnikiem, za co kobieta pogroziła mu palcem i zawołała, że następnym razem każe go aresztować.

– Strzelać bez ostrzeżenia! – odkrzyknął i w asyście jej śmiechu wyszedł na ulicę Kilińskiego, nieco już rozluźniony. W spięciu z Kałą było coś nieprzyjemnie ciężkiego, co kryło się pod głupawymi słowami, którymi się przerzucali. Spojrzał w niebo: coś jak te chmury. Idzie burza.

Bordowa vectra czekała na niego w pobliżu bramy, na końcu parkingu. Paweł Palka w białej koszulce polo i krótkich blond włosach z grzywką wyglądał jak maturzysta na przedwojennej fotografii. Na przeprosiny Lucka za spóźnienie odparł po prostu „spoko” i ruszył w górę ulicy Kilińskiego, a potem skręcił w lewo w Kaszubską. Wyjeżdżali z miasta.

– Dokąd jedziemy? W Słupsku nie ma knajpy?



– Nie ma dyskretnej knajpy – doprecyzował Palka. – Wolałbym, żeby nas razem nie widziano.

– Nie jestem gejem – powiedział Lucek mało swobodnie. Od szkoły miał z tym problem. Na szczęście Palka potraktował to jak żart i roześmiał się.

– Ja też nie. Chodzi o to, żebyśmy – Lucek zauważył jego szybkie spojrzenie w lusterko – mogli spokojnie pogadać. Nie zdziw się, ale mogą nas śledzić.

Bałys dla zasady również się obejrzał, zakładając na nos lustrzanki, jakby liczył na to, że zobaczy za tylną szybą co najmniej chevroleta impalę z dwoma typkami w środku. Niczego takiego nie dostrzegł, właściwie w ogóle nic za nimi nie jechało. Tylko zmierzchające szare niebo rzucało w głąb ulicy ponure cienie.

– No, jadą – mruknął, wczuwając się w rolę. – Ile masz kul w magazynku?

Rzut oka Pawła Palki w lusterko wart był najwyższej tantiemy za scenariusz.

– Zwariowałeś? – zawołał poblady. – Nie mam żadnych kul! Nie zabieram broni na piwo!

– To jak ich pokonamy? – spytał zimno Lucek. Na chwilę poczuł się jak z Krzyckim w Grobianach. – Są za daleko, żeby im skopać tyłki. Może skręć raz w prawo i raz w lewo, to ich zgubimy. Macie tu jakieś wąskie uliczki ze straganami?

Samochodem zarzuciło przy ostrym skręcie w lewo. Znaleźli się faktycznie na wąskiej szosie idącej na północ wewnątrz szpaleru strzelistych drzew. Ich korony tworzyły nad drogą baldachim, teraz ciemny jak sklepienie gotyckiego kościoła. Palka odwrócił się błądy.

– Co ty pieprzysz, gościu? Nic za nami nie jedzie!

Jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia.

– Bo ich zgubiliśmy. Dobra robota, stary. Zjedź jeszcze ze dwa razy z głównej drogi, a ja w razie czego przestrzelę im opony.

Na chwilę w samochodzie zapadła cisza. Palka rzeczywiście zjechał z szosy w zwirową drogę i znaleźli się na wielkim polu gryki. Sunęli powoli, wsłuchując się w rytmiczne skrzypienia resorów starej vectry.

– Za tą kępą krzaków powinno być dobrze – powiedział Lucek, który ciągle nie miał dość. – Przyczaimy się parę metrów za samochodem i weźmiemy ich z zaskoczenia. Ja biorę tego większego.

Palka niewzruszenie jechał dalej, zręcznie omijając dziury i kępy chwastów. Chyba wreszcie załapał.

– Wy tak zawsze?

– Z przestępcami zawsze. Bo rozumiem, że śledzą nas brudni gangsterzy. Albo ich goryle, co na jedno wychodzi. Nie, raczej goryle. Do śledzenia głównych bohaterów wysyła się goryli, z których jeden jest wielki i tępy, a drugi trochę mniejszy, ale za to wygadany i sprytny. W kieszeni ma nóż sprężynowy. Poradzisz sobie?

Samochód zatrzymał się w środku pola i wysiedli. Szarość zapadała na dobre, więc Lucek zdjął lustrzanki i rzucił je na siedzenie.

– Fajna knajpa – skwitował, rozglądając się wkoło po polnej równinie. – Przestronna i dyskretna. Co pijemy? Gryczane mojito? Browara z hektara?

– Piwo mam w bagażniku – odparł zrezygnowany Palka. – Tak jak ci mówiłem, nie chciałem, żeby nas słyszeli...

– Pijemy browca samochodowca – podsumował Bałyś i pokazując najbliższą elektrownię wiatrową, spytał: – Kto będzie tańczył na tej rurze?

– To nie jest rura do tańczenia, tylko do wieszania. Na tym wiatraku znaleźliśmy Kulika. Powiedziałeś, że musiałbyś zobaczyć to miejsce. No to patrz.

Lucek zmierzył wzrokiem patykowate straszycło. Robiło wrażenie czegoś groźnego i rachitycznego zarazem, czego należy się bać, ale i co można zlekceważyć. W otoczeniu kwitnącej gryki, lasów od zachodu i ceglanych dachów domów pobliskiej wioski wyglądało jak przybysz z innego świata. Stało na środku pola i rozglądało wkoło z nieprzeniknioną intencją w cyklopowym oku. Nad nim bure niebo. Luckowi odechciało się żartów.

#### 4

Położyła się wcześniej i nie mogła zasnąć. Każdy wiek ma swoje prawa, a ona dożyła tego, w którym nie można skutecznie ani działać, ani odpoczywać. Próbowwała różnych tabletek nasennych, stosowała zioła, gimnastyki i jogę, ale wszystkie środki pomagały tylko na chwilę. Jej organizm szybko się z nimi oswajał, neutralizował i wracał do chronicznej bezsenności. Zasypiała na krótko, budziła się i zasypiała znowu. I tak w kółko. Jak chińska tortura, z tą różnicą, że Heike torturowała samą siebie.

Nie myślała, że dożyje tylu lat. Zarazona śmiercią w dzieciństwie, powinna była umrzeć dawno temu, w czasach, gdy dorastała z tamtymi obrazami w głowie. Działały jak filtr, przepuszczając tylko te myśli, które podcinały jej wolę życia. Jak to się właściwie stało, że jest aż tutaj? Skąd takie długie i dostatnie życie? Czyżby przypadło jej również to, co stracili tamci? Czy możliwy jest taki bilans? Natürlich nicht. Każdy żyje na własny

rachunek i płaci za swoje grzechy. Ale jeśli tak, to co ona tu robi? Dlaczego po upływie tylu lat wciąż służy upiorom dzieciństwa?

Otworzyła oczy. Światło latarni wydobyło z mroku okrągły stiuk na suficie. Wewnątrz gipsowego koła znajdowało się drugie, mniejsze, a w nim pusty hak. Żyrandola nie było, zastępowały go płaskie kinkiety oraz stojąca złota lampa z brzydkim brązowym abazurem obwieszonym frędzlami. Pokoje hotelowe urządzone bogato i elegancko w tym sensie, w jakim polski hotelarz na prowincji rozumie elegancję. Na ścianie wisiał olbrzymi wyświetlacz LCD, w kącie stał wielgachny fotel z powykręcanyymi i niewygodnymi podłokietnikami, ale zabrakło porządnego stolika i krzesła, gdzie można by usiąść i na przykład coś napisać lub sprawdzić na laptopie. Był, ale mały, za to łóżko olbrzymie, a łazienka dla odmiany zbyt ciasna. I z niewygodną wanną. Szafy udawały stare i cuchnęły środkami na mole. W ogóle wszystko było jakieś takie wypucowane, błyszczące, blichtrawate...

Westchnęła ciężko. Nieważne. Zamknęła oczy i po chwili je otworzyła. Obwiodła wzrokiem duże koło na suficie jak tarczę zegara, zatrzymując się na każdej pełnej godzinie. Czas płynie, a ja trwam nieruchomo, czy to ja płynę, a czas stoi w miejscu? Powtórzyła sztuczkę z zamykaniem i otwieraniem. Duże koło ruszyło powoli, a za nim to mniejsze, w przeciwnym kierunku. Zamknęła i otworzyła: większe kręciło się w prawo, mniejsze w lewo. Zamrugła jeszcze raz i sprawdziła. Tym razem większe szło w lewo, a mniejsze w prawo. Po kolejnym mrugnięciu znowu się zmieniły. Co ja robię? Jakby w odpowiedzi usłyszała cieniutki dźwięk dzwoneczków. Po chwili dołączył do nich stukot końskich kopyt, a potem ludzkie okrzyki, śmiechy i trzaskanie z bicia. Zbliżał się tumult ludzkich i zwierzęcych głosów. Coraz wyraźniej dolatywały do niej dźwięki tej dziwnej szeleszczącej mowy, podobnej do świstu płóz szurających

po śniegu. Polacy jadą na kulig. Zza sań dobiegało szczekanie psów gończych, ktoś zatrąbił na myśliwskim rogu. Pędzili po jej polach całą kawalkadą, tuż obok zimnych i obojętnych wież elektrowni wiatrowych, wydeptując na zaśnieżonej równinie szeroki trakt. Mężczyźni, kobiety i zwierzęta w radosnym płąsie. Beztroscy zwycięzcy, obejmujący w posiadanie jej krajobraz, jej dom. Jej życie. Gdy przedefilowali przed nią jak na paradzie i chciała znowu zamrunąć, by zmienić ruch kół na suficie, dziewczyna w ostatnich saniach odwróciła się. To była Gerda. Krzyknęła za nią. Dziewczyna w milczeniu pokręciła głową i szczerzej owinęła twarz czarnym szalem. Sanie oddalały się. Krzyknęła imię siostry, ale dźwięki kuligu ucichły i na białych polach zapadła cisza. Wstrzymała oddech i chłonęła jedyny dźwięk, jaki pozostał w tej pustce. Szum skrzydeł wiatraka. Chsz, chsz, chsz...

Zaciskała powieki, by się nie zbudzić, ale to nie miało sensu. Otworzyła oczy. Przez sufit przesunął się cień latarni. Ktoś wjechał samochodem na parking.

## 5

Bałys poprosił o więcej szczegółów, przybierając surową minę. Przecież miał być dorosły. Stali w szczerym polu.

– Zatrzymałem się tutaj, żebyś właściwie odczuł proporcje – ciągnął Palka. – Stoimy jakieś dwieście metrów od wiatraka, on sam ma wieżę o wysokości stu i grubości sześciu metrów u podstawy, czyli ciało wisiało na prawie stu dziesięciu metrach. Nawet przy unieruchomionym śmigle jest to wyczyn.

Lucek przyglądał się majestatycznemu słupowi ze skrzydłami, wznoszącemu jak szaman rozłożyste ramiona w ciemne niebo.

Początkowo wyglądał na nieruchomy, ale po kilkunastu sekundach dało się dostrzec przesuujące się wirniki. Szły powoli jak wskazówki zegara. Ostrzegawcza lampa migąła na czerwono, w doskonałej harmonii z błyskami innych wiatraków, których w polu widzenia stało co najmniej dziesięć. Musiały być podłączone do jednego sterownika i sprawiały wrażenie lądowiska dla jakiegoś skomplikowanego pojazdu kosmicznego.

– Z zewnątrz nie da się na to wejść, prawda? – spytał Lucek.

– Bez magnetycznych rękawiczek Toma Cruise’a raczej nie. Może jakiś mistrz alpinizmu by wszedł, ale wcześniej musiałby zaczepić linę na górze, czyli już tam być. – Palka pokręcił z powątpiewaniem głową. – Nie, wszedł od środka.

– A szalony Strażak Sam, wyposażony w stumetrową drabinę?

– Zostałyby ślady po samochodzie. Poza tym nigdzie w okolicy nie ma takiej drabiny.

– Okej – mruknął Lucek, kiwając głową. – Sprawca wszedł do środka drzwiami, wdrapał się na górę po drabince, wlokąc ze sobą żywego jeszcze Kulika, przywiązał go do śmigła, pozwolił mu się wykrwawić na śmierć, po czym zszedł na dół i wrócił do domu, zostawiając w ziemi wyraźne odciski chłopskich butów. Pytanie „po co” rodzi się aż trzy razy, nie licząc podstawowego, dotyczącego motywu zabójstwa. Po co mu wiatrak jako dekoracja? Po co wleczenie na górę i wiązanie żywcem do śmigła? I wreszcie: po co ślady gumowców?

Stali w koleinach polnej drogi i patrzyli, jak śmigło wiatraka pod wpływem wiatru rusza nieco żwawiej. Ława burzowych chmur nacierała od zachodu, niosąc ze sobą podmuchy powietrza, które w burej masie tworzyły fantastyczne zawirowania i skłębienia. Na linii horyzontu rozbłysło dalekie wyładowanie atmosferyczne. Palka

wyjął z bagażnika dwa piwa, obiecał Luckowi, że sam wypije tylko jedno, i stuknęli się butelkami.

– Na to ostatnie chyba dosyć łatwo odpowiedzieć: morderca musiał tu dojść i wrócić – zasugerował.

Mocniejszy podmuch wiatru zrzucił Bałysiowi loczek na czoło.

– Gdybym chciał to zrobić dobrze – powiedział, upijając łyk – to starałbym się nie zostawiać śladów. W każdym razie nie tak wyraźnych. A poza tym, kto w takich butach wybiera się na wspinaczkę? Owszem, mógł je zmienić pod wieżą. Ale to jest właśnie to ostatnie „po co”.

Zostawił młodszego aspiranta z tą myślą i wyjął komórkę, by zadzwonić do teściów z informacją, że wróci późno i żeby na niego nie czekali. Zawahał się, czy nie zadzwonić też do Dominiki, ale się powstrzymał. Pociągnął dwa spore łyki piwa i stwierdził, że dawno mu tak nie smakowało. To chyba ten upał. A Dominika niech sama oddzwoni. No właśnie. Jeszcze jeden łyk.

– Sugerujesz, że te ślady zostawił specjalnie? – spytał Palka. – Dla zmylenia nas?

– Albo nie należą do mordercy – odparł Lucek, tłumiąc pięścią beknięcie. – Są z tego samego czasu? Zbadaliście to?

– Tak, chyba tak – mruknął niepewnie Paweł. – Na pewno Rysiek to sprawdził. On jest dokładny. No i jest zeznanie tej Saterniak. Ona go wtedy widziała.

– O ile sobie przypominam, ten twój dokładny Hadczuk nie miał przekonania do jej zeznań. Jak on się wyraził? Że trzeba je wziąć w spory nawias. Poza tym, mój drogi, gumiaki i legginsy?

Mina młodszego aspiranta Pawła Palki świadczyła o tym, że widzi tu wiele rzeczy godnych wzięcia w spory nawias, Lucek na razie tego jednak nie drażył. Dopił piwo (dlaczego Dominika nie oddzwania?) i poprosił o następne. Czekał na słowne

sformułowanie miny kolegi, ale się nie doczekał. Po ostatnim mocniejszym błysku na horyzoncie doszedł ich dudniący pomruk. Burza nadchodziła powoli i nieubłaganie.

– Opis tego faceta w żółtej kurtce przeciwdeszczowej i legginsach brzmiał tak dziwacznie, że aż wiarygodnie – odezwał się wreszcie Palka. – Tu bym się nie czepiał. Chyba naprawdę go widziała.

Trudno było Luckowi się z tym nie zgodzić, nie potrafił jednak niczego sensownego powiedzieć o zeznaniach kogoś, kogo nigdy nie widział i nie słyszał. Miał być poważny i rzeczowy. Oparł się o maskę samochodu i patrzył na olbrzymie śmigło, które z wolna, jak budzony ze snu olbrzym, nabierało prędkości. Do uszu Bałysia dobiegł ledwie słyszalny świst rozgarnianego powietrza. Potem jeszcze jeden. I jeszcze. Jasne płaty rozdzierały powietrze i ciemność, jakby monstrualny blender usiłował ze zmierzchu i burzy ukłęcić diabelski koktajl. Nieźle mu szło. W błysku pioruna mignęły obracające się ramiona. O moc koktajlu nie należało się martwić.

Patrzył na starcie gigantów i próbował myśleć jak Andrzej. Wyobrażał sobie, że prowadzi ze sobą skrępowanego mężczyznę, otwiera drzwi do wieży (skąd ma klucz?), wpycha go do środka, a następnie każe mu włączyć po drabinie na górę. Więzień stawia opór, więc zostaje czymś sterroryzowany. Droga na górę w takim tandemie musi zająć sporo czasu. Kiedy oni to zrobili? Czy ktoś tu był wcześniej, obsługa albo ochrona? Wchodzą na górę i znajdują się w tej dziwnej podłużnej kabinie, więzień ma związane ręce... Nie, nie ma! Gdyby miał związane, nie wszedłby na wieżę po drabinie! Czyli prowadzono go pod bronią, a może wciągano na linie. Ale wtedy napastnik musiałby być jakimś nieludzkim osiłkiem, który jest w stanie wciągnąć stukilowe ciało na taką wysokość. Najpierw musiałby go jeszcze ogłuszyć...



– Znasz wyniki obdukcji? – spytał. – Jakiego rodzaju urazy odniósł przed śmiercią?

– Jako bezpośrednią przyczynę śmierci podano uduszenie własną krwią, prawdopodobnie wskutek obrotów wirnika. Nie ustalono, czy Kulik był przytomny, kiedy go przywiązywano.

– A skąd krew?

– Złamany nos i pęknięte wargi, do tego chyba też rozcięta skroń. Nie można wykluczyć – myśli Palki szły najwyraźniej podobnym torem – że został najpierw ogłuszony na dole, a potem wciągnięty na górę.

– Czyli facet najpierw go obezwładnił, potem wbiegł na górę, umocował koniec liny i ją zrzucił, po czym zbiegł, obwiązał ciało i jeszcze raz wbiegł na wieżę, żeby je wciągnąć. I po tym wszystkim, zdyszany tak, że samym oddechem mógłby poruszać wiatraki, wiąże jeszcze nieprzytomną ofiarę na śmigle parę metrów powyżej kabiny! Neee. – Lucek zaczął trzecią butelkę piwa. – Jeden człowiek nie jest w stanie czegoś takiego wywinąć. (Dlaczego Krzycki nie oddzwania?)

– No to powiedz mi – Paweł przeczekał długi, podwójny grzmot – jak on to zrobił. Albo oni? Zwracam ci przy tym uwagę na jeszcze jeden szczegół. Ale może podjedźmy.

Zatrzasnął bagażnik i podjechali pod wieżę. Pioruny waliły coraz częściej, wiatr przygnał czarne chmury i rozpędził łopaty wiatraka, które świstały jak oskrzela astmatyka w biegu pod górkę. Gdy obaj stali przed samochodem, wyraźnie słyszeli dochodzący z wnętrza gondoli nierówny chrobot. Lucek pomyślał, że teraz wiatrak przypomina wielki młynek do pieprzu.

– One mają odgromniki? – spytał, na co w odpowiedzi oślepiła go błyskawica i po okolicy przetoczył się łomot.

– Uhm. Muszą, inaczej zaraz by je wszystkie szlag trafił... To znaczy by się zepsuły. Cholera z tą pogodą!

– A to znaczy... – Lucek butelką wskazał wieżę nad nimi – że one ściągają pioruny. Jesteś pewien, że my tu dobrze stoimy?

– Nie, kurwa, źle stoimy! – Paweł zaczął tracić panowanie nad sobą. – W ogóle źle się do tego zabieramy i nie umiem sklecić żadnego sensownego rozwiązania! Wszystko idzie jak po grudzie z tym pieprzonym śledztwem! Jak językiem po dupie jeża!

– O, dobre! – ucieszył się Bałyś, upijając łyk. – To schowajmy się do samochodu. Lizaleś kiedyś jeża w dupę?

– Przestań! – zdążył krzyknąć Palka, zanim kolejna błyskawica rozdarła niebo. Wiatrak kręcił się jak oszalały, cała maszyna zgrzytała i chrzęściła, jakby zaraz miała się rozlecieć. Albo odlecieć. Pobiegli do samochodu i gdy tylko zatrzasnęli za sobą drzwi, pierwsze wielkie krople deszczu zabębniły o dach. Zapadły egipskie ciemności i jedynie światło błyskawic oświetlało wielką gryczaną równinę. W pewnym momencie przed maską vectry zamajaczyło w mroku światelko – czujnik zmierzchu włączył oświetlenie wejścia do wieży. Z upiorną regularnością błyskały w mroku czerwone pasy odbłaskowe na końcówkach łopat. Wirnik szalał w jakimś zapamiętałym tańcu. Zauroczone widowiskiem Lucek zastanawiał się (dlaczego Dominika nie dzwoni?), czy wichura mogłaby wyrwać wiatrak z ziemi i unieść w powietrze. To byłby odlot!

Paweł myślał o czym innym. Pokazał na oświetlone metalowe schodki i przekrzykując huk kropel, kontynuował swoją sprawę.

– Widzisz, tam, nad drzwiami jest kamera, która filmuje każdego, kto się do nich zbliży. Oświetlenie umożliwia nadzór całodobowy. Poza tym firma ochroniarska ma podgląd ze wszystkich kamer i monitoruje każde wejście na bieżąco.

– I co? – spytał Bałyś, przecierając dłonią przednią szybę, zaparowaną od wilgoci. Łopaty cięły ciemność jak noże wielkiej piły. Ciach, ciach, ciach...

– I nic. Nikogo nie widzieli. Na nagraniu też nikogo nie ma, oprócz tego, kto powinien się tam znaleźć.

– Czyli?

– Czyli technika, który sprawdzał urządzenia w ciągu dnia. Wszedł, zrobił swoje i wyszedł. Poza tym nic.

Lucek nie odpowiedział. Burza szalała w najlepsze, strugi wody lały się z niewyobrażalnym natężeniem. Epicki pomorski deszcz. Przyglądał się imponującemu widowisku z deszczem, piorunami w ciemności i wirującym wiatrakiem. Samo olbrzymie urządzenie robiło już spore wrażenie, a jeśli się do tego dodało ciemność i migające czerwone światło, efekt był iście teatralny. No i ten trup na śmigle... Nie dziwota, że geodetka uciekała jak szalona. Gdyby scenograf dołożył jej jeszcze pioruny, umarłaby na serce. Zaraz, zaraz, gdzieś już widział takie zakończenie! Wiatrak, pioruny, pożar, upiór... Nie mógł sobie przypomnieć, ale pamiętał psychodeliczny i odjechany klimat tamtego filmu. Otóż to. Temu, kto powiesił wójta Kulika na wirniku turbiny wiatrowej, nocą, w błyskającym świetle przeciwlotniczej lampy, również chodziło o psychodeliczny efekt. Albo lubił horrory, albo chciał zadziałać odstrasząco, albo też zabić wójta na pokaz, dla przykładu, żeby wszyscy widzieli i się dziwili. Lub podziwiali. W każdym razie był świrem. Świrem o niebanalnej wyobraźni i niezwyklej sprawności fizycznej. Lucek nie musiał długo szukać w pamięci, by odnaleźć odpowiedni wzór w swoim policyjnym doświadczeniu. Zemsta.

Nagle w wiatraku coś straszliwie zachrobotło, rozległy się trzaski i śmigło zaczęło zwalniać. Przez szum deszczu dochodził jeszcze przez jakiś czas zgrzyt potwornych tarć w mechanizmie, po

czym łopaty znieruchomiały. Oszołomiony nagłym przejściem od dynamiki do statyki Lucek zamrugał i czknał, zakrywając usta dłonią. Zrobiło mu się niedobrze, jak po zejściu z karuzeli, kiedy głowa wciąż się kręci, a reszta ciała już stoi na ziemi. Nie, musi się wziąć w garść.

– Morderca znał wójta – mruknął niepewnie. Nigdy nie wypił tyle piwa w tak krótkim czasie. Jeszcze trochę posiedzi w tym zaduchu i się zrzyga. Gdyby Krzycki go teraz zobaczył, zwijałby się ze śmiechu. – Znał i miał z nim porachunki, prawda? – I nie czekając na potwierdzenie, dodał: – Tyle na pewno wiecie, to oczywiste.

Na tym kończyły się jego umiejętności zgrywania twardziela. Czknął jeszcze raz, przetarł dłońmi twarz i oparł głowę o zagłówek.

– Możesz mnie zawieźć do domu? Trochę mi niedobrze.

– Jasne – odparł Palka, najwyraźniej zawiedziony, i uruchomił silnik. Miał jeszcze sporo do powiedzenia i dopiero się rozkręcał. Chciałby wyrzucić z siebie wszystko naraz, jak to sobie planował od rana. Nie wiedział jednak, na ile może zaufać niewiele starszemu od siebie koledze po fachu z drugiego końca Polski, który pracował z Krzyckim i sprawiał sympatyczne wrażenie, ale licho ich wie...

Burza nie odpuszczała. Polna droga szybko zmieniała się w bajoro i koła samochodu grzęzły w rozmokłym piaszczystym gruncie. Z trudem udało się Pawłowi wrócić na szosę, podczas gdy Lucek podrzemywał z zamkniętymi oczami. Impreza dobiegała smętnego końca, w szumie deszczu, grzmocie piorunów i rytmicznym stuknięciu wycieraczek na przedniej szybie. Właściwie nie dało się rozmawiać. Palka pomyślał z rezygnacją, że może i lepiej. „Wiesz, palce i drzwi”, powiedział wcześniej Bałys i miał rację. Niepotrzebnie się w to pakował. Dlatego niepomiernie się zdziwił, słysząc nagle z siedzenia obok:

– Ten Dudas to były policjant, co?

– Zdążyłeś poznać Dudasa?

– Urozmaica gościom herbatkę w jednym z przydrożnych barów. A jego zdjęcie wisi u was na tablicy. Że błysnę inteligencją: pracuje dla Kały, prawda?

Rzucone od niechcienia słowa zrobiły na Pawle niemałe wrażenie. Przewidywał żmudne tłumaczenie zawitych układów w ich wydziale i starannie przygotowywał się do rozmowy, w której jedno sprawy miał zamiar zdradzić, a inne ukryć – a tu proszę.

– Skąd to wiesz? – spytał, zwalniając. Może nie warto tak się śpieszyć. Może uda się jeszcze coś załatwić z tym niepozornym chłoptasiem, który co rusz go zaskakiwał.

– Na konferencji za plecami Kały, w drugim rzędzie, siedział jeden z kumpli Dudasa od bilarda. Ochraniał mu tyły. Nie wiem, czy mnie poznał, ale ja jego tak. Zrozumiałem, że macie tu fajną organizację obywatelską, niezależną od słupek policji... uuupsss, przepraszam, to to cholerne piwo... Aranżuje działania o charakterze naprawczym w oparciu o własne rozumienie sprawiedliwości, rozwijając przy tym niezależną działalność... uuupsss, przepraszam... ekonomiczną, poza oficjalnymi strukturami prawno-podatkowymi...

Palka zjechał na pobocze.

– Że co?

– Krótko mówiąc, mafia was dyma. Czym handlują? Poza dragami, oczywiście, bo to wszyscy. Zresztą bez znaczenia, i tak ci nie pomogę, przyjacielu. To sprzątanie stajni Augiasza.

– Kogo?

– Nieważne. Zawieź mnie do domu.

– Ale... – Paweł ochłonał już z zaskoczenia po tym, co usłyszał, i miał wielką ochotę pociągnąć temat. Krakowski ekspert od

interwencji pozasłużbowych zamknął jednak z powrotem oczy i oddychał płytko przez półotwarte usta. Wyglądał jak zdjęty z krzyża. Nie pozostawało nic innego jak faktycznie odwieźć go do domu. Wyjechał na szosę i wrócił do Słupska. Jego wielki plan na dzisiaj wziął w łeb i pozostało mu tylko wysadzić Bałysia pod domem teściów. Pożegnali się krótko, Lucek mruknął „dzięki” i zniknął za furtką. Burza przeszła, ulicami ściekały strumienie deszczówki, mokry asfalt świecił się jak dyskotekowa dekoracja. Tylko zabawy nie było. A jeśli była, to nie dla niego. On najwyżej będzie fundował innym bilety wstępu.

Zjechał z krawężnika i ruszył ku centrum. Na horyzoncie błysnęło.

## 6

Burza jest najgorsza. Włosy stają dęba i swędzi skóra na głowie. I na rękach też. Mamusia mówiła, że nie powinien się bać, ale on swoje wie. Na pewno. A raz to nawet widział. Też była burza. Przyszła szybko i nie zdążył się schować. Biegł przez pole kukurydzy, bo tam go nie widać i są najlepsze ścieżki. Potrafi prędko biegać. Burek nie może go dogonić. Wtedy Burek też został w tyle, i on się zatrzymał, żeby na niego poczekać, i wtedy to zobaczył. Niebo pocałowało wiatrak. Podniosło go do góry, pocałowało w czoło i postawiło na ziemi. Wiatrak się ucieszył i zamachał skrzydłami radośnie, tak samo jak on, kiedy dostanie cukierka od mamy. Wtedy zrozumiał. Wiatraki są dziećmi nieba. Tam wieje wiatr i one się kręcą też tam. Machają skrzydłami dla nieba, swojego ojca. Mamusia mówiła, że ojciec jest w niebie, i to jest prawda. On to zrozumiał.

Wcisnął się w najciemniejszy kąt szopy, nasunął kapelusz na oczy i zasłonił je pięściami. Tu go nie dojdzie promieniowanie. Tu jest bezpieczny, nawet jak niebo zacznie całować swoje dzieci.

Błysnęło i grzmot wstrząsnął deskami szopy. Podkulił kolana i złapał się za skronie. Nie, nie, tylko nie to. Trzeba było uciec do domu. One znowu zaczną szeptać okropne słowa. Wywloką go stąd tymi swoimi długimi łapskami i będą się naśmiewać. Maciu świrek, Maciu świr, Maciu świrek, Maciu świr... A potem znowu każą mu robić straszne rzeczy.

Po następnym grzmocie osunął się na ziemię i cicho zaszlochał. Nigdy przed nimi nie ucieknie. Zamknął oczy i wcisnął palce do uszu. Po chwili się uspokoił i jego oddech się wyrównał. Burza została gdzieś tam daleko, za zasłoną jawy, a on szedł przez olbrzymie pole kukurydzy, świeciło słońce, Burek czekał, a po niebie wiatr pędził wesołe białe obłoki. Kręcił nimi i rozciągał w długie smugi, przeganiał za lasy albo zatrzymywał w miejscu. Bawił się nimi. Nie miał nic innego do roboty, ponieważ na polach nie było ani jednego wiatraka.

## 7

Jak szybko zasnął, tak szybko się obudził. Ociekał potem i z trudem oddychał dusznym powietrzem. Pękała mu głowa. Piwo wyłaziło z niego wszystkimi porami i oblepiało pościel czarnym błotem. Śmierdział jak truteń bagienny, i to nie tylko z powodu piw wypitych z Palką. Obudził go koszmar i teraz cały mokry usiłował sobie przypomnieć, co to było. Przedzierał się przez watę jawy, by dogrzebać się do tamtych obrazów, ale sny mają to do siebie, że znikają. Przychodzą znikąd nieproszone i rozwiewają się w nic.

Leżał wyprostowany jak struna na mokrym prześcieradle, nagi i obolały, z głową gotową eksplodować pod byle pretekstem, i macał myślami ciemność w poszukiwaniu punktu zaczepienia. To było cholernie bolesne, jeszcze czuł skurcze serca, które temu towarzyszyły. Nie, to nie od piwa. Ból płynął gdzieś z samych trzewi egzystencji. Bolało radykalnie i katastroficznie. Walił się w gruzy cały świat.

Lucek spróbował uspokoić oddech. Do pewnych snów się wraca i jeśli szybko z powrotem się zaśnie, to może tamto będzie działać dalej. Gdy tylko o tym pomyślał, ogarnął go nowy strach. Za nic nie chciał, by tamto działało się dalej. Nie, lepiej nie zasypiać. Żaden z obrazów nie wywołał się na ekranie jawy, a mimo to Bałyś nabrał pewności, że nie chce wracać do tego snu. Otworzył oczy i uczeplił się wzrokiem trapezoidalnej plamy światła na ścianie, rzucanej przez szparę w rolocie. W mieszkaniu panowała zupełna cisza, podobnie jak na ulicy. Sięgnął ręką za siebie i uchylił okno. Burza minęła, zostały po niej tylko kwaśne cząsteczki zjonizowanego powietrza. Wdychał je teraz jak cucący aromat. Byle nie zasnąć. Lepiej powalczyć z bólem głowy.

Z trudem odkleił plecy od tłustej pościeli i poszedł gmerać w plecaku za tabletkami. Woził je raczej ze względu na Andrzeja i jego częste migreny niż dla siebie. Połknął jeden apap, popił wodą, potem wziął drugi. Spojrzał na zegarek, szesnaście minut po północy. Właściwie mógłby jeszcze zadzwonić do Dominiki...

Wzdrygnął się. Ten sen. To było coś z Dominiką, coś bardzo złego. Drżącą ręką odstawił butelkę z wodą na stolik i sięgnął po telefon. Zawahał się, ale nim zdążył się rozmyślić, palec sam wybrał klawisz skrótu. Odebrała dopiero po piątym sygnale.

– Lucek? – spytała niepewnym głosem. – Czemu tak późno dzwonisz? Co się stało?



– Nic się nie stało... – szukał słów, by wybrnąć z głupiej sytuacji.  
– Strasznie za tobą tęskniłem. Dlaczego nie oddzwoniłaś?

W słuchawce rozległo się ledwie słyszalne szurnięcie, po którym Dominika zaczęła szybko tłumaczyć, że mieli w pracy ciężki dzień i późno wróciła, była skonana i oczywiście pomyślała o telefonie do niego, ale zrobiło się po dziesiątej wieczorem, padała na twarz i postanowiła zadzwonić rano. Mówiła szybko i pewnie, jakby przygotowała sobie wcześniej tę odpowiedź, nauczyła się jej na pamięć. Na koniec spytała, jak mu poszło z referatem. Odparł, że dobrze.

– Padałaś na twarz, a mimo to nie śpisz – bardziej stwierdził, niż spytał.

– Nie, śpię... – bąknęła niepewnie.

– W tle słyszę radio. Albo telewizor. Zapomniałaś wyłączyć.

– Faktycznie – uczepliła się tej wersji. – Mówiłam ci, że byłam półprzytomna ze zmęczenia. Kiedy wracasz, skarbie? Jutro? Tęsknię za tobą.

Potwierdził, że wraca jutro, dodał, że również tęskni, bardzo ją kocha, i się rozłączył. Klapnął na łóżko i chwilę przyglądał się wygaszonemu ekranowi komórki, jakby oczekiwał, że wylecą z niej jeszcze jakieś słowa. Ponieważ nic nie wylatywało, odłożył telefon i opadł ciężko na poduszkę. Rozmowa z Dominiką wcale go nie uspokoiła, przeciwnie, lęk podchodził mu do gardła falami, łapiąc rytm z dyskotekowym biciem serca. Ten obraz ze snu... Wyłaniał się z niebytu i przybierał niechciane kształty, przed którymi jego umysł bronił się daremnie. Jeszcze go nie widział, ale już się bał. Zacisnął powieki, chociaż i tak w niczym to nie pomogło, ponieważ w takich momentach mózg już nie chce zajmować się niczym innym, tylko tym właśnie, co woła próbuje usunąć w cień. Miejsce było ciemne i ciepłe, miękkie, słabo oświetlone żółtym i pomarańczowym

światłem. Niejasno kojarzyło mu się z wnętrzem pewnej starej stodoły w Grobianach. Przed paru laty robili tam obławę i jego partner ledwie uszedł z życiem. Stodoła, Dominika, Krzycki...

Znowu sięgnął po telefon. Andrzej odebrał prawie natychmiast.

– Cześć, nocny marku. Balujesz po Słupsku? Myślałem, że tam wszystko zamykają o ósmej.

– Piłem w polu. Nie śpisz jeszcze?

– Jakie to ma znaczenie? Już zapomniałeś, jak wydzwaniałeś do mnie o czwartej rano, bo ci ciasto na jakiegoś hawajskiego pieroga zjełczało?

– Wyszło. I nie chodziło o pieróg, tylko... nieważne. Jesteś sam? Możemy pogadać?

– Tak – odparł Andrzej płaskim głosem. Lucek natychmiast usłyszał podejrzane tony. – A co, dałeś ciała z referatem?

– Nie, wszystko w porządku. Mam inny problem, choć on właściwie nie jest mój, tylko tutejszej policji, a mnie poprosili o radę. Znaleźli ciało na łopacie wielkiej elektrowni wiatrowej, przywiązane sto metrów nad ziemią, nie wiadomo jak...

Teraz Lucek mówił szybko i pewnie. Drugą połową mózgu pilnie rejestrował dźwięki, jakie dobiegały ze słuchawki. Andrzej potwierdził, że słyszał o tym dziwnym przypadku i sam się nawet trochę zastanawiał, o co chodzi. Po wysłuchaniu relacji westchnął teatralnie i obiecał, że zadzwoni, jak tylko coś przyjdzie mu do głowy. Luckowi to nie wystarczało.

– Słuchaj, bo widzisz, oni tam bagno mają jakieś niebagatelne, czają się jeden przed drugim, odciągają mnie na bok, żeby inni nie słuchali. Pamiętasz faceta o nazwisku Artur Kała?

– O kurwa – odparł Krzycki jak automat.

– Czyli pamiętasz. Kazał cię pozdrowić i powiedział, że to nie koniec. I że mu lecisiz flaszkę, która urosła już do dwóch skrzynek

wódki. Coś ci to mówi?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza, a potem dało się słyszeć przytłumione głosy. Można je było uznać za radio albo telewizję, ale Krzycki przecież nigdy nie słucha ani jednego, ani drugiego, zwłaszcza o wpół do pierwszej w nocy. A Klaus Schulze gra na syntezatorach, nie gada. Teoretycznie mogła to być Dorota. Wiedział jednak, że to nie ona. Kiedy usłyszał muzykę, nagle zaskoczył, co to jest.

– Słuchaj, młody, pogadamy o tym jutro, dobra? Muszę się zastanowić, co masz mu odpowiedzieć. Na razie powiem tyle: uważaj, to niebezpieczny człowiek. Zwłaszcza gdy się uśmiecha.

– Zauważyłem. Chciałem jeszcze spytać o jedno. Ale sam jesteś, co? Nie przeszkadzam ci? Czy może jednak?

W tym momencie muzyka w tle ucichła, a potem zaczęło się kolejne nagranie i Lucek już nabrał pewności. Ścisnął telefon przy uchu jak łeb jadowitego węża i odwrócił twarz, by jego ciężkie westchnienie, niebezpiecznie bliskie szlochowi, nie przedostało się na drugą stronę. Tę płytę Elliotta Smitha kupił swojej żonie na urodziny. Jego partner nie słuchał takich jojczeń, jak to sam nazywał. Lodowate zimno zalało Lucka od karku po krzyż. Środek nocy. On tu w tym zasranym Słupsku. A Krzycki u Dominiki.

– Dobra, do jutra – wykrztusił i nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Padł na łóżko i skulił się jak postrzelony w brzuch. Zdrada. Huk walących się ścian. Odpywanie w ciemność.

Przyleciał do niego tamten obraz ze snu. Nagle nabrał kolorów i kształtów. Stodoła, sterta słomy, pomarańczowe światło pada na wielki czerwony koc, na którym leży Andrzej. Naga Dominika dosiada go i oboje kołyszą się w powolnym sennym rytmie, podkreślanym przez płynny ruch piersi z brunatnymi tarczami sutków. Są uśmiechnięci i wyluzowani. On jest w pobliżu, dociska

oko i usta do szpary w deskach, próbuje krzyczeć, ale nie może, wreszcie odpada od ściany i leci w dół, w ciszę, z zakneblowanymi ustami.

Wtedy się obudził.

## IV

### Powiedz to jeszcze raz

#### I

Po nieprzespanej nocy o piątej rano spakował swoje rzeczy, przy kawie w kuchni napisał teściom tylko, że coś pilnego wypadło mu w Krakowie, i pośpiesznie wyjechał ze Słupska. Żeby uniknąć zatłoczonej drogi na Trójmiasto, ruszył krajową dwudziestkąjedyneką na południe i wyciszył wkurzający głos panienki w GPS-ie. Miał dosyć swoich głosów w głowie. Gadały jeden przez drugi i na różne sposoby opowiadały mu o podłości tego świata. Gnał jak szalony, wiedząc, że po drodze stoją pochowane w krzakach przenośne radary, na których pomorskie gminy dorabiają sobie do niskich budżetów. Miał gdzieś radary, podobnie jak wszystko inne. Ciało wypełniała mu wielka żelazna kula, rozgrzana do czerwoności rozpaczą, wściekłością i goryczą. Utrzymywała go w stanie napięcia, otępiała i pobudzała na przemian do bezsilnego żalu lub głuchej żądzy zemsty. Prowadził służbowe volvo jak na autopilocie, nie pamiętał mijanych miejscowości, nie pamiętał zakrętów, nie pamiętał wyprzedzanych samochodów. Przed oczami miał pochyloną nad Andrzejem Dominikę, jej opadające na twarz czarne włosy i obnażone piersi, a jako podkład leciało *Between The Bars* Elliotta Smitha, jego ulubione. Czuł, że nigdy więcej nie puści tego kawałka, a ze zdjęcia smętnego facecika w czapeczce zrobi sobie tarczę na strzelnicy. Dziesięć

tarcz. Sto. Posiekane kulami spali i wysika się na popiół. Zemsta musi mieć swój rytuał.

Ścisnął kierownicę z głośnym chrupnięciem nadgarstków. Dominika i Andrzej. Ona jest młoda i głupia, łatwo ją było namówić, ale on? Jego mistrz, nauczyciel i jedyny przyjaciel? Potrafił ot tak, po prostu, powiesić całą ich przyjaźń na tym swoim sterczącym kołku? Andrzej! Coś ty mi odpierdolił?

– Coś ty mi odpierdolił? – wrzasnął na całe gardło. – Coś ty mi, kurwa, ODPIERDOLIŁ?!

Lucek nigdy nie kłał i ostry bluzg skanalizował brudne uczucia. Trochę mu ulżyło. Pojawił się nawet z drugiego planu cichy głos rozsądku, jedyny wśród tamtego jazgotu. Lucek, to tylko zbieg okoliczności. Mogli słuchać w nocy tego samego radia, ostatecznie *Between The Bars* to fajny przebój, reszta to twoje urojenia i sny. Lucek, uspokój się – mówił do niego ten głos, który brzmiał trochę jak mamy. Wypiłeś trzy piwa na pusty żołądek i cię zemdliło, a po czymś takim zawsze ma się złe sny. Mogłeś najpierw zjeść kolację.

Coś było na rzeczy. Poczul nowy ścisk w brzuchu i uświadomił sobie, że od wczorajszego popołudnia nic nie jadł. Postanowił zjechać na najbliższą stację benzynową i kupić jakiegoś gorącego psa. Albo dwa. Ze wszystkimi sosami, takie są najlepsze. Gdy tylko o tym pomyślał, pocięła mu ślinka. Włączył radio. Mijało wpół do siódmej i wstawał pochmurny pomorski dzień. Podawali skrót wiadomości, a w nich coś o wieczornych manifestacjach w całej Polsce w obronie niezawisłości sądów. Zdziwił się, że przegapił takiego newsa. Ojczyzna mu się sypie, a on chleje piwo w polu gryki jak śnieg białej, a potem nurza się w pijackich bredzeniach o zdradzie i podłości. Ukłął go jakiś nieokreślony wstyd. Bałyś, ogarnij się!

Znak drogowy informował, że za pięć kilometrów będzie można znaleźć stację benzynową, widelec z łyżką, WC oraz krzywe drzewo nad ławką. Zrobiło mu się raźniej na duszy i dodał gazu. Jakby w nagrodę za poprawę nastroju wyłonił się szyld Arge, jego ulubionej. Zjechał na parking i rutynowo zarejestrował kątem oka, że za stacją znajduje się wielki parking dla ciężarówek, bez krzywego drzewa, ale z tirem i dostawczym fiatem ducato. Dwóch mężczyzn rozmawiało z kierowcą w wysokiej kabinie. Jeden z nich trzymał klamkę otwartych drzwi, drugi rozglądał się na boki, przez moment nawet zatrzymał wzrok na Lucku. Tak zwana sytuacja podwyższonej uwagi. Ulga przywróciła jego ciało w miarę normalne funkcjonowanie i w związku z tym zapragnęło coś zjeść. Ba, pożałowało jedzenia! Lucek posłuchał ciała, wszedł do baru, zamówił dwa hot dogi i kawę, skorzystał z toalety, podstawił kubek pod ekspres, wcisnął „czarna z cukrem” i spokojnie czekał na swoje śniadanie. Wtedy zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz i zeszywniał: Krzycki. Nacisnął zieloną słuchawkę jak detonator.

– Cześć, biorę odwet za wczoraj – zawołał wesoło Andrzej. – Mam nadzieję, że cię obudziłem.

Odwet za wczoraj? O co mu chodzi?

– Pudło. Piję kawę i czekam na śniadanie. Jestem w drodze.

– Już wracasz? – Andrzej nie ukrywał zdziwienia. – Myślałem, że zostaniesz do końca. Masz ich już dosyć? Kała cię wkurzył?

Lucek drętwiał. Jego kruchy spokój właśnie pękał pod naporem słów przyjaciela, na cieniutkim szkle pojawiły się ryski, które w miarę słuchania rozbiegały się i gęstniały, a z głębi dało się słyszeć cichy chrzęst. Andrzej liczył, że Lucek dłużej zabawi w Słupsku, i jest niemile zaskoczony, że Bałyś już wraca. Krzycki miał plany na te dwa dni. Puk, puk, można? To ja, Zazdrość, twoja przygoda ostatniej nocy. A ze mną moja siostra Udręka. Otwórz, bo i tak

wejdziemy. No właśnie, w pewnych sytuacjach nawet u najlepszych policjantów opór nie ma sensu...

– Proszę bardzo! I smacznego!

Sprzedawca trzymał w wyciągniętej ręce papierową torebkę z zamówieniem. Lucek podziękował, zabrał pakunek i kubek z kawą do jednej ręki, drugą wciąż trzymając telefon przy uchu.

– ...no ale jak wracasz, to sprawa nieaktualna. Po prostu bałem się, żeby Kała cię w coś nie wrobił. To mistrz prowokacji, więc jak wczoraj wróciłem do domu, to przemyślałem rzecz i dlatego dzwonię. Powinieneś wiedzieć...

Lucek przełknął twardą jak kamyk ślinę.

– Jak to wróciłeś do domu? To znaczy... jak do ciebie dzwoniłem, nie byłeś u siebie?

– No... nie.

– A gdzie?

Lucek wyszedł z baru i wolnym krokiem przemierzał przestrzeń dzielącą go od volva. Sześćdziesiąt metrów dalej, dokładnie na wprost niego, dwóch ludzi wyciągało z kabiny tira kierowcę, który bez większego przekonania próbował się bronić, trzeci nadal rozglądał się naokoło, a czwarty podstawiał dostawczaka pod drzwi kontenera. Bałysia zdziwiła ich bezczelność, zwykle robią to nocą. Ale nie oni go w tej chwili obchodzili.

– U znajomych – mruknął Krzycki tym swoim płytkim głosem.

Dwóch facetów wlokło kierowcę za naczepę, ten trzeci, niespokojny, wskoczył do środka i zaczął przeszukiwać schowki. Z tyłu otworzyły się drzwi kontenera, tworząc z drzwiami od dostawczaka parawan. Widać było tylko nogi, nawracające tam i z powrotem.

Lucek dotknął językiem warg.



– Zanim odpowiesz na następne pytanie, pozwól, że coś ci przypomnę – powiedział wolno. – Uczyłeś mnie, że dobry śledczy nikomu nie ufa. Pamiętam, jak powtarzałeś: „Nikommu, nawet najbliższej rodzinie”. Ale, mówiłeś, jest jeden rodzaj niezbędnego zaufania: do swojego partnera. Musisz mu ufać, inaczej szybko stracisz zdolność do dobrej pracy. A zaraz potem życie. Dobrze pamiętam tę lekcję i, mam nadzieję, ty też. A teraz pytanie: byłeś wczoraj wieczorem u Dominiki?

Dochodził do swojego samochodu. Postawił papierową torbę i kubek z kawą na dachu, sięgnął do kieszeni i użył pilota. Drugą ręką dociskał telefon do ucha. W momencie, gdy pociągnął za klamkę, zza tira dobiegł zduszony jęk. Znał ten dźwięk: tak rzezi człowiek bity w brzuch. Spod linii chmur wychynęło nagle słońce i Lucek uniósł dłoń do czoła, usiłując dostrzec coś w ostrym świetle. Telefon milczał.

– Przede mną biją człowieka – powiedział cicho do słuchawki. – Chciałbym pobiec mu z pomocą, jak mnie uczyłeś, ale czekam na odpowiedź. Doczekam się, czy pozwolimy skatować tego biedaka?

– Tak.

– Co powiedziałaś?

– Tak, byłem.

– Dziękuję.

– Posłuchaj, Lucek, to nie tak, jak myślisz...

Nie słuchał. Rzucił telefon na siedzenie i wolnym krokiem ruszył ku ciężarówce. Bardziej dla efektu niż potrzeby rozprostował palce u rąk, aż chrupnęły stawy, pomasaował dłonią kark i wykonał kilka podskoków na czubkach butów. Szedł prosto w oślepiające słońce i było mu z tym dobrze. Nie chciał niczego widzieć. Nagle całe napięcie, cała rozpaczliwa niepewność i żal odpłynęły, została

tylko jasna, prosta prawda. Zdrada. Potężna siła, która potrafi napędzać człowieka przez całe życie.

Zdrada.

Śmierć.

Zabić.

Ten, który przedtem rozglądał się nerwowo, teraz wychynał zza szoferki i na widok zbliżającego się chudzielca w obcisłych dżinsach syknął coś do pozostałych. Po sekundzie wyskoczyli we dwóch, trzeci został z kierowcą. Wyszli przed szoferkę i stanęli w rozkroku. Ten nerwowo trzymał prawą rękę w kieszeni kurtki. Ten drugi, wyższy i mocniej zbudowany, wyprężył szeroką pierś.

– Nie mieszaj się – rzucił chrapliwie. – A najlepiej spier... Hej, Tasak, czy to nie nasz kumpel Okrasa? Co za spotkanie! Dudas szukał cię po całym Słupsku, a tu proszę, kurczątko samo przyszło.

Lucek nie odpowiedział, tylko szedł prosto na Tasaka, który wyjął z kieszeni pistolet i opuścił rękę tak, by było widać, że jest uzbrojony. Ten większy, o ksywie Gleba, o ile Bałyś dobrze pamiętał, zrobił dwa kroki do przodu i uniósł pięści.

– Zrobię to dla Dudaska – gadał dalej Gleba, szykując się do walki. Wysunął lewą nogę do przodu, prawą pięść nieco opuścił, lewą trzymał na wysokości piersi. Klasyka. – Przyniosę mu ciebie na tacy. A to się robi tak...

Lucek go olał. Przeszedł obok, idąc wprost na uzbrojonego Tasaka. Zbity z tropu Gleba postanowił jednak wykonać swój plan. Zamarkował kopnięcie prawą nogą i w tym samym momencie wyprowadził mocny lewy prosty. Bałyś nieznacznie uchylił się – tyle, żeby znaleźć się tuż pod wyprostowaną pięścią. Złapał ją w nadgarstku i pociągnął do siebie, jednocześnie wyciągając prawą nogę. Gleba nabił się na nią odsłoniętymi zębami. Coś chrupnęło. W pochylony ku niemu policzek Lucek uderzył krótkim ciosem i

mężczyzna z jękiem zaliczył glebę. Tasak przeładował pistolet i wymierzył w napastnika.

– Jeszcze krok! – wrzasnął.

Lucek szedł. Dwa metry od niego padł na ziemię i podpierając się na lewej ręce, prawą nogą skosił Tasaka, podcinając mu obie stopy. Kiedy ten runął, Bałys nadepnął na dłoń z pistoletem. Pochylił się nad leżącym.

– Masz strzelać, to strzelaj – powiedział w pobladłą twarz, po czym zgasił ją mocnym uderzeniem. Gdy się podniósł, przed nim stał ten trzeci.

– Szukałem cię – powiedział Dudas, sięgając za siebie, i tyle było jego gadania. Zanim zdążył wyszarpnąć broń z za paska, upadł na plecy, a jego uzbrojona ręka znalazła się pod nim. Próbował złapać oddech, ale mu nie wychodziło. Wyłażącymi z orbit oczami gapił się, nie mogąc uwierzyć, że pedzio, który parę dni temu z przepaszającym uśmiechem oglądał wiśniowy tort w książce kucharskiej, właśnie zmiażdżył mu gardło jednym krótkim ciosem. Lucek złapał jego głowę w obie ręce i podciągnął do góry.

– Sięganie po broń to strata czasu – powiedział i upuścił głowę Dudasa na betonową płytę.

## 2

Chciała zadzwonić do Lucka zaraz po wyjściu Andrzeja, ale zwyczajnie się przestraszyła, bo to wyglądałoby na tuszowanie przestępstwa. Poza tym nie zamierzała skłamać drugi raz, kiedy mąż ją spyta, czy jest sama. A jeśli powie o odwiedzinach Krzyckiego (o północy!), będzie jeszcze gorzej. Tak czy inaczej,

wyjdzie na to, że kręci. W końcu pełna niepokoju i wyrzutów sumienia położyła się do łóżka.

Co ją podkusiło? Sama tłumaczyła Luckowi, że kłamstwo jest czymś podłym i potrafi zniszczyć najlepszy związek. Była zresztą o tym absolutnie przekonana i nawet teraz, o siódmej rano, po nieprzespanej nocy, mogła to poświadczyć z ręką na sercu. A jednak... Wystarczyła głupia chwilowa dwuznaczność, by mechanizm kłamstwa się uruchomił, jakby czekał w pogotowiu tuż obok, pod ręką i natychmiast skorzystał z okazji. Dlaczego właściwie? Co złego w tym, że chciała porozmawiać z Andrzejem, bo w fatalnym stanie wyszedł od szefa, który – jak się chwilę później dowiedziała – zmusił go do miesięcznego urlopu? Gdyby Lucek nie wyjechał, z pewnością zaprosiliby go oboje, by pogadać. Zwłaszcza że ostatnio zauważyli nie najlepsze klimaty między nim a Dorotą. Chciała tylko godnie zastąpić męża, tak zwyczajnie, po koleżeńsku, żeby nie zostawiać Andrzeja samego z tą jego szatańską depresją, bo co nieco już o niej słyszała. Jest niepijącym alkoholikiem, nie powinien się stresować...

Wymieniała przed sobą te argumenty, patrząc na zegarek i dochodząc do wniosku, że siódma to jeszcze trochę za wcześnie, żeby dzwonić do Lucka. Ujawnienie poczucia winy i te sprawy. Ale jakiego poczucia winy? Przecież nic się właściwie nie stało, do jasnej cholery! Pogadali trochę z Andrzejem, a potem sprawdził, czy to głupie kolanko pod zlewem w kuchni na pewno nie cieknie. Nie ciekło i poszedł. No i co w tym takiego złego?

Hej, mała, nie ściemniaj przynajmniej przed sobą.

No dobra.

Parę dni temu Andrzej palnął jej komplement, coś o seksownym wyglądzie. Powiedział to w biurze, w obecności Lucka, po prostu skomentował jej nową fryzurę i obcisłą bluzę. Miało to być miłe, ale

spojrzał przy tym na nią jakoś tak dziwnie, że poczuła to spojrzenie aż w dole brzucha. Jasne, na tym cała sprawa powinna się skończyć, nie należało do tego wracać, w ogóle nie należało więcej o tym myśleć. A jednak... Stare porzekadło salwadorskie mówi, że słowa przemilczane spadają z języka wprost do serca. Czy jakoś tak. To, co ukrywasz, wcale nie znika, tylko cię potem prześladowuje. Człowiek żyje z brzemieniem niewypowiedzianych słów. Trochę tak stało się z tym komplementem. Im bardziej nie chciała o nim myśleć, tym bardziej nie dawał jej spokoju.

Andrzej miał w sobie sporo nieprzyjaznej, męskiej twardości i ponurej niechęci do ludzi, co czyniło go odpychającym. Jej też to w nim przez długi czas przeszkadzało. Z facetami jednak często jest tak, że to, co w nich odpycha, równie silnie pociąga. Fenomen brutalnych brzydali, za którymi latają dziewczyny. Ona oczywiście nie miała zamiaru latać za Krzyckim, zupełnie nie o to chodziło, ale jego skrytość parę razy wzbudziła w niej zaciekawienie. Tak, to było dobre słowo – zaciekawienie. I właśnie z powodu zaciekawienia, gdy zobaczyła wczoraj na korytarzu jego ponure spojrzenie, zrobiło jej się go tak bardzo żal...

No przecież nie było w tym nic złego!

To dlaczego skłamałaś Luckowi, że jesteś sama?

Bo co innego zawinić, a co innego być posądzonym.

Ejże, na pewno? Naprawił cieknące kolanko, pogadaliście przy herbacie i mógł sobie pójść. Dlaczego uparłaś się pokazywać mu zdjęcia rodziny z Salwadoru? Na kanapie, ramię w ramię, ze spoglądaniem sobie w oczy? A poza tym, moja droga, siebie nie oszukasz – sama kopnęłaś pod zlewem to pieprzone kolanko. Pretekst – znasz takie słowo?

Zamknij się, małpo!

W porządku, jak chcesz.

Najgorsze okazało się nawet nie samo kłamstwo, ale to, że Lucek je wyczuł. Chwilę później zadzwonił do Andrzeja i zapytał wprost, czy jest sam. Czyli wiedział. A przynajmniej podejrzewał, co u zazdrośników w rodzaju Lucka na jedno wychodzi. Powinna była od razu oddzwonić i wyjaśnić, powiedzieć to wszystko jeszcze raz. No ale jak miała to zrobić, skoro właśnie oświadczyła, że jest sama? Boszsz, ale się pogmatwało!

Postanowiła zadzwonić do mamy, od niej dowie się, czy Lucek już wstał. Odpowiedź wywołała w niej nowe skurcze niepokoju. Mama poinformowała ją, że przed godziną wyjechał i nawet się nie pożegnał, tylko zostawił kartkę na blacie (świstek, jak się wyraziła). Ton jej głosu wskazywał, że nie rozumie takich manier i od zięcia oczekiwałyby więcej uprzejmości. Dominika obawiała się, że rozumie te maniery. Lucek się wściekł o Krzyckiego i wczorajszy wieczór, a teraz pędzi przez Polskę, żeby zrobić w domu awanturę. To źle się skończy.

Wybrała numer, ale telefon męża milczał. Nie usłyszała sygnału oczekiwania, tylko od razu komunikat, że abonent czasowo niedostępny lub jest poza zasięgiem. Wyłączył komórkę, bo nie ma ochoty słuchać wyjaśnień. I tak nie uwierzy. A to znaczyło, że rzecz może się skończyć jeszcze gorzej. Nagle przeraziła się, że Lucek gna jak wariat pomorskimi drogami, które słyną z ponurych statystyk, i zrobiło jej się słabo. To mogło zakończyć się najgorzej. Cztery razy wybierała jego numer, ale za każdym razem z takim samym skutkiem. Po czwartej próbie nagrała wiadomość z prośbą o pilny kontakt, a kiedy jej się wydało, że powiedziała coś nie tak, nagrała drugą. W końcu nagrała jeszcze trzecią, żeby mu powiedzieć, że go bardzo kocha i czeka na niego.

Było wpół do ósmej. Za chwilę powinna wyjść do pracy. Włożyć mundur, zrobić makijaż i z pozytywną miną wkroczyć na Mogiłską,

uśmiechem pozdrawiając kolegów na korytarzu. Wstała z kanapy i usiadła z powrotem. Nie potrafiła się zebrać i wykonać tych wszystkich czynności, obojętne, w jakiej kolejności. Zwyczajnie nie miała siły. Boże, gdyby mogła cofnąć czas i powiedzieć mu to jeszcze raz! Zakryła twarz dłońmi i się rozplakała.

### 3

Kiedy Andrzej wrócił od Dominiki, dochodziła pierwsza w nocy. W kuchni paliło się światło. Włożył dłoń do jednego z trzewików Doroty i przekonał się, że jest jeszcze ciepły. Też wróciła przed chwilą.

– Gdzie byłeś? – spytała, gdy tylko stanął w progu.

– Tam, gdzie ty – odparł i nalał sobie wody do szklanki.

– Nie wysilaj się. W kawiarni cię nie widziałam.

– Nie mogłaś mnie widzieć, bo ciebie również tam nie było – powiedział ze spokojem, popijając wodę. Część jego mózgu nadal analizowała to, co przed chwilą stało się u Dominiki. Rozumiał i nie rozumiał. Gdyby mógł, cofnąłby czas o ostatnie dwie godziny, ale bohaterom jego pokroju takie numery się nie zdarzają. Poszło jak poszło, czyli z punktu widzenia tak zwanych relacji międzyludzkich – całkiem do dupy. Relacje międzyludzkie... między Luckiem a nim. Dlaczego ona skłamała? Gdyby od razu powiedziała, że on jest u niej, wszystko poszłoby łatwiej. Jakoś zręcznie. Jakoś bardziej... uczciwie.

Właściwie nie miał sobie nic do zarzucenia. W końcu to ona poprosiła go o pomoc i wyszedłby na gbura, gdyby odmówił. Cóż w tym dziwnego, że gdy zepsuł się zlew pod nieobecność męża, zadzwoniła do jego najlepszego przyjaciela? A że przy tym trochę

sobie poblablali o życiu i wogóle, to przecież zupełnie zwyczajne rzeczy są. Fakt, po incydencie nad Wisłą miały nim wściekle emocje i sam chciał do niej zatelefonować, ale to też nic nie znaczy. Po prostu szukał wsparcia, a do kawiarni iść nie chciał. Nie lubił tego miejsca. Było coś mrocznego i fałszywego w słodkim lokalu z imieniem Izy w szyldzie.

Dlaczego Dominika skłamała?

Dobrze wiedział dlaczego. Tak jak on czuła, że między nimi wisi w powietrzu ten rodzaj napięcia, którego ludzie tyleż się boją, co pragną. Stare kocury jego pokroju nie mają z tym problemu, ale ona jest dwudziestoparoletnią dziewczyną i młodą żoną, więc ma. To napięcie jest dwukierunkowe, odczuwają je oboje, i dlatego jest niebezpieczne. Oraz wstydlive. Czuł, że ona to czuje. Usiadła przy nim na kanapie i pokazywała jakieś nudne fotografie po to tylko, by móc co chwilę spoglądać mu w oczy z odległości dwudziestu centymetrów. A jej spojrzenie miało moc. Podniecało. Andrzej takich bajecznych oczu w życiu nie widział. No, może raz. Ale tamtych oczu już nie ma.

Żona przyjaciela, wiadomo. Nie wolno.

Czy dlatego tak bardzo chciał, żeby te wielkie brązowe oczy do niego zadzwoniły? Ale przecież nie chciał zrobić niczego złego! I nie zrobił!

– Zasnęłaś? – dotarł do niego głos Doroty.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Nie. Co mówiłaś?

– Powiedziałam, że musiałam po pracy pogadać o interesach z jednym z dostawców. W ciągu dnia nie mam kiedy tego zrobić. Gdyby ktoś z bliskich więcej mi pomógł, może byłoby inaczej.

– Znam go?



Dorota upiła łyk piwa i nie patrząc w jego stronę, odparła zimno:

– Gdybyś czasem pobyl trochę w kawiarni, może byś go poznał. Dlaczego na mnie nie poczekałeś?

– Pozwól, że skorzystam ze swoich nieprzeciętnych zdolności detektywistycznych i spytam: jeżeli chciałeś pogadać z dostawcą, to po co miałem na ciebie czekać?

Westchnęła i znów umoczyła usta w piwie. Lubiła się napić wieczorem po pracy, twierdziła, że to pomaga jej zasnąć. Krzyckiemu w niczym to nie pomagało.

– Nieważne. Powiesz mi, z kim tym razem się biłeś? Bo powód, jak się domyślam, jest nieistotny.

– Z jednym facetem nad Wisłą. Puścił na nas swoje psy.

– Aha. – Pokiwała ze zrozumieniem głową, tak jak to robią lekarze w rozmowie z pacjentami. – Zgaduję, że psy nie żyją, facet wylądował w szpitalu, a ciebie puścili, bo jesteś słynnym śledczym o nieprzeciętnych zdolnościach detektywistycznych. Czy tak?

– Psy żyją, tylko są trochę otumanione. Reszta się zgadza.

Podniosła na niego smutne oczy i Krzycki miał ochotę wyjść.

– Andrzej, który to już raz w tym roku?

Zatkał butelkę z resztą piwa i wstawił do lodówki, a Dorotę poprosił, żeby dopiła ze szklanki, po czym starannie opłukał ją w zlewie i odstawił na suszarkę. Usiadł przy stole.

– Przepraszam. Szkodzi mi na psychikę.

– Przepraszasz za odebranie mi piwa czy za coś jeszcze?

– Dorota, nie chcę się kłócić. Jestem potwornie zmęczony i nie mam siły na słowne przepychanki. Chodźmy spać, dobrze? Jutro porozmawiamy. I tak nie idę do pracy, więc zostaje nam cały ranek.

– Wyrzucili cię? – spytała z nadzieją w głosie.

– Niestety nie. Byczkiewicz wypchnął mnie na miesięczny urlop. Mówi, że powinienem ochłonąć.

– Wie, co mówi. Na twój temat w ogóle wszyscy inni mówią rozsądniej od ciebie.

Spojrzała na niego mocnym, pewnym wzrokiem, czekając na podjęcie wyzwania. Widocznie jeszcze z niej nie opadły resztki napięcia po spotkaniu z dostawcą.

– Dorota, plizzz. Porozmawiajmy rano.

Podniósł się i wolnym krokiem ruszył do łazienki. Cała krew spłynęła mu do stóp i szedł jak nurek w ołowianych butach. W progu zatrzymało go ostatnie pytanie.

– To co, nie powiesz mi, gdzie byłeś?

Z chęcią wzruszyłyby ramionami i odszedł bez słowa. Od lat strategia nieodpowiadania na niewygodne pytania kobiet przynosiła efekty i Krzycki przyzwyczał się do niej jak do ulubionej kurtki, którą wkłada zawsze, kiedy nie ma pomysłu, co ubrać. Pytanie pozostawione bez odpowiedzi ucinając rozmowę, zawieszając temat na nieokreśloną przyszłość, uwalniało od konieczności składania dalszych zeznań i w dodatku czyniło go bardziej tajemniczym. Wychodząc bez słowa, czuł się jak pierwszoplanowy aktor domykający intymną scenę. A w dobrym kinie gatunkowym to podstawa. Teraz również chętnie odegrałby swoje milczące wyjście, ale w ostatniej chwili jakieś licho go podkusiło. Może był to wyrzut sumienia wobec Lucka, może chęć zemsty na Dorocie, bo nie odłożyła starcia do rana, a może po prostu zwykła przekora. Niewykluczone, że miało to również coś wspólnego z niechęcią do kłamstwa. Patrząc jej w oczy, powiedział:

– U Dominiki.

Zabrzmiało mocno. Gapiała się z rozchyłonymi ustami, jakby czekała na wycofanie tak bezczelnego oświadczenia, ale w jego

oczach zobaczyła coś nowego i wykrztusiła:

– Powiedz to jeszcze raz.

– Byłem u Dominiki.

Opuściła głowę. Andrzej stwierdził, że w jej westchnieniu ciekawie połączyły się żal, niedowierzenie i rezygnacja z dalszego dochodzenia prawdy. Jednym pełnym ciężaru oddechem udało jej się powiedzieć naraz, co myśli o nich obojgu razem i o każdym z osobna. Jako kobieta dotkliwie doświadczona przez życie do związku z Andrzejem podchodziła bardziej niż ostrożnie. To on chciał. Kiedy wreszcie się przekonała, że ma niewiele do stracenia, a do rozczarowań zdążyła się przyzwyczaić, rzuciła się w ten związek z całą desperacją, na jaką było jeszcze stać wdowę po gangsterze, synu gangstera. Przez kilka miesięcy kochali się jak szaleni, jakby chcieli nadrobić wieloletnie zaległości i spróbować jeszcze wygrać bitwę, o której myśleli, że już dawno jest przegrana. Potem przyszła ciąża i poronienie, a później już tylko pozostało im nieudolne odgrywanie normalności. Czekał na to dziecko w napięciu, którego się po sobie zupełnie nie spodziewał. A Dorota to widziała i rosła w dumę. Parę razy przyłapała go, jak malutkimi literkami kreślił sobie na kartce imię „Julka”, i uśmiechała się z pobłażaniem. Była taka szczęśliwa, mogąc mu dawać tę radość! A później, po tamtej feralnej nocy, cała ich nadzieja na normalność pierdyknęła w drzazgi, jak łódź o falochron. Teraz błądzili wśród rozrzuconych po plaży szczątków i kombinowali, czy da się z nich jeszcze coś posklejać.

Wszystko to usłyszał w jej westchnieniu i postanowił się go nauczyć. Kiedyś na pewno się przyda.

– No ładnie – powiedziała cicho, a potem chyba uznała, że to nie wystarczy, i dodała: – Ja pierdolę.

Właśnie dlatego Krzycki postanowił zadzwonić do Lucka rano, zanim Dorota wstała, a nie z powodu tego palanta Kały. Pretekst. Każda fundamentalna rozmowa potrzebuje pretekstu. Głupstwa walimy wprost.

#### 4

Gdy tylko biały fiat ducato zajechał na plac manewrowy przed magazynami, Kała już wiedział, że coś jest nie tak. Po pierwsze, obok kierowcy nie siedział żaden z chłopaków, a mieli to przykazane jak paciorek. Po drugie, tył samochodu był uniesiony, co oznaczało, że nie załadowali go na maksa. Po trzecie, Bynio zwykle zajeżdżał na plac z fasonem, podskakując na wybojach i wzbijając tumany kurzu, a spod kół odskakiwały mu kamienie, ale teraz posuwał się wolniutko, jakby wiózł jajka luzem w metalowych kadziach. Samochód pusty, a on ostrożnie? Wkrótce Kała zobaczył te jajka.

Bynio wygrzebał się z kabiny z opuszczoną głową i kluczem otworzył tylne drzwi. Gleba i Tasak jeszcze wyszli o własnych siłach, chociaż pierwszy, blady jak ściana, trzymał się za bok, a lewe oko drugiego zniknęło za granatowym pagórkiem wielkości połowy twarzy. Kała odepchnął ich obu i zajrzał do środka. Dudas leżał nieprzytomny, spod głowy wypływała strużka krwi, podobnie jak z obu dziurek nosa. Poza tym samochód był pusty.

– Żyje, ale... trzeba z nim do szpitala – wybełkotał Tasak przez spuchnięte usta.

– Widzę, kurwa! – ryknął Kała, unosząc rękę, ale się powstrzymał. Bicie pobitego nie miało sensu. – Gdzie towar?

- Chyua poechau.
- Gdzie pojechał? Kto pojechał?
- Ten kierowca.

Tasak sporo ryzykował, udzielając takich odpowiedzi. W pewnym momencie zorientował się i powiedział, że stracił przytomność i nie wie. Kała z najwyższym wysiłkiem odmówił sobie przyjemności walnięcia w ten opuchnięty pysk i skinął na Bynia.

– Mów.

– Na początku wszystko szło, jak trzeba. Oni zajęli się kierowcą, a ja ładowałem. Miałem już z pół budy, pudło z trefnymi numerami też...

– Sprawdziłeś?

– Tak. Wszystko cacy, towar w środku. Ładowałem za drzwiami i nie słyszałem, jak ten gostek...

– Miałeś słuchawki na uszach, co? – przerwał mu Kała. Bynio maniakalnie słuchał imitacji prasy hydraulicznej, którą nazywał muzyką. Załadował tym smartfon i kiwał się do rytmu z pochylonym łbem, jak robot w fabryce samochodów.

– Nie no... tak. Ale szefie, cichutko!

Kała nieznacznie skinął głową. Za słuchawki policzył się z nim później.

– Wyrósł jak spod ziemi i klepnął mnie w ramię. Kazał załadować to z powrotem na ciężarówkę. Wyrwał mi gnata i bawił się nim, jakby to był fajny pistolecik na wodę.

– Rozładowałeś?

– No... a co miałem zrobić?

Coś zaczęło mu świtać. Bynio słowem nie wspomniał o tym, jak wyglądał ten człowiek, ale słowa „chłopak” i „uśmiechał się” zrobiły swoje.

– ...a wtedy on ich przyprowadził, to znaczy naszych. Gleba i Tasak nieśli Dudasa. Kazał im położyć go na podłodze i usiąść obok niego. Cały czas miał spluwę w rękę, szefie. Nie dało się nic zrobić.

– Co dalej? – warknął Kała. Nie lubił skamlań.

– Zamknął tył na klucz i powiedział, żebym ci się kłaniał.

– Co dokładnie powiedział?

– Cieszę się, powiedział, że to dopiero początek. Aha, i jeszcze coś gadał, że interwencje pozasłużbowe to jego ulubione. Nie wiem, szefie, o co biega.

– Nie musisz – mruknął Kała. – Wystarczy, że ja wiem. Coś jeszcze mówił?

– Nie.

Mógł się spodziewać takiego obrotu sprawy, a jednak zajście go zaskoczyło. Szybkość. Że to już, nazajutrz po pierwszym kontakcie. Krzycki i Bałyś działali sprawnie, Kała nie oczekiwał jednak tak prędkiej reakcji na swoją niewinną zaczepkę. Lubił rozwijać działania strategicznie, powoli, z dopracowaniem szczegółów. Czyżby się pośpieszył? Do dzisiaj rano przejmowanie pomorskiego rynku szło jak po sznurku, ten tir miał być gwoździem do trumny szczecinian, dlatego pomyślał, że czas na otwarcie nowego rachunku. Nowy rachunek za stare sprawy. A jak wiadomo, niezalatwione sprawy najdłużej zachowują świeżość. Pyknął delikatnie piłeczkę, ledwie ją musnął, a tu od razu taka odpowiedź. No, no. Ekipa Krzyckiego w formie.

Popatrzył na poturbowanych pacanów, na puste ducato i doszedł do wniosku, że dobrze się stało. Nie trzeba dłużej bawić się w chowanego i pogrywać w kulki. Krzycki lubił twarde warunki, i on też. Spoko. Jak wojna, to wojna.

Nakazał jednemu z przybocznych odwieźć Dudasa do szpitala i po drodze wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę. Tasak i Gleba

niech sami się martwią o swoje poobijane gęby. Trzeba było uważać.

– To Bałyś?

Obaj skinęli głowami jak pacynki w teatrze lalkowym. Odesłał ich pogardliwym gestem. Pobici podwładni nie zasługują na żadną formę litości.

– A ty, idioto, jak jeszcze raz założysz słuchawki na akcję, to wsadzę ci je na fiuta i podłączę do wysokiego napięcia. Będziesz miał, kurwa, efekty specjalne.

– Jasne, szefie. Ale... niech mi pan powie, kto to jest. Taki przecinek jebany, a taki ostry?

Kała wziął Bynia za koszulkę i podciągnął do siebie.

– Ostry? Był delikatny. Gdyby chciał być ostry, przywiózłbyś mi tu trzy trupy.

Zostawił Bynia z rozdziawioną gębą i poszedł zadzwonić do Zdybasa, żeby się dowiedzieć, co ze sprawą Kulika. Nie liczył na dobre wieści. Dzionek zaczął się przepięknie i będzie pewnie tak się srał do końca. Mężczyzna z niechęcią machnął ręką na ostre słońce, jakby chciał mu dać w pysk, i zszedł do cienia. Wybierając numer Zdybasa, ciągle jeszcze się zastanawiał, czy nie zaczął za wcześnie. I kiedy przyjedzie Krzycki. To było w zasadzie najważniejsze.

## 5

– Znajdziesz mi jakieś lokum?

Paweł sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał pytania. Gapił się na chudego łysego chłopaka o zaciętej twarzy i zastanawiał się, czy to na pewno ten sam Lucek Bałyś, z którym rozstał się poprzedniego wieczora.

– Coś ty zrobił z włosami? – wydukał wreszcie.

– Schowałem na lepsze czasy.

– Nie wiedziałem, że tak ciężko przeżywasz kaca.

– Jeszcze nie wiem, czy przeżyłem. Jak będzie z tym mieszkaniem? Gdzieś muszę spać.

Gdy przed godziną Lucek zadzwonił do niego, młodszy aspirant Palka ucieszył się ze zmiany jego planów, teraz jednak już nie był tego taki pewien. Wczoraj żegnał się z uśmiechniętym, sympatycznym blondynem z loczkiem na czole, nieco tylko przymulonym za szybko wypitym piwem. Swoją drogą, trzy piwa to nic takiego i Palka dziwił się, że gościa tak ścięło. Teraz miał przed sobą ponurego łysola z mętными oczami i ledwie zauważalnym drżeniem rąk. Siedział z nim w małej knajpce na tyłach kamienicy przy Starym Mieście i liczył, że ominą ich niepożądane spojrzenia. Lucek wyglądał jak uciekinier z poprawczaka.

– Jesteś pewien, że chcesz zostać?

Bałyś przejechał dłonią po łysej czaszce.

– Tak. Pytanie, czy ty jesteś pewien, że chcesz mojej pomocy.

– Jasne, przecież sam cię prosiłem. Słuchaj... Ale wszystko w porządku?

Lucek znów dotknął ogolonej głowy. Widać było, że trudno mu oswoić się z nowym uczesaniem.

– Nie wiem, o co pytasz. A to – poklepał się po łysinie – potraktuj jak element kamuflażu.

– Będziesz się ukrywał?

Siedzieli w pustym lokalu. Tylko śniady barman, pewnie słowacki Rom przy kebabie dzielnie udający Turka, spoglądał z ukosa. Oni nie potrafią inaczej, tylko z ukosa. Palka wciąż nie mógł przyzwycząić się do nowego wyglądu Bałysia i studiował wzrokiem jego kształtną czaszkę centymetr po centymetrze. Po jasnych



włosach nie został najmniejszy ślad. Kamuflaż kamuflażem, lecz wyczuwało się w tym jakąś silną motywację psychiczną, by nie rzecz – desperację. Dostrzegał jej cień w tych mętnych, przekrwionych i dzikich oczach. W połączeniu z wydłużoną i ponurą jak pieśń pogrzebowa twarzą stanowiły komplet, który dawał do myślenia. Palka gorączkowo zastanawiał się, co robić.

– Lepiej, by nikt mnie nie widział. Zwłaszcza po tym, co mnie dzisiaj spotkało – stwierdził Lucek i pokrótce zrelacjonował incydent na stacji benzynowej niedaleko Miastka. W miarę słuchania Pawłowi skóra cierpła na głowie i sam poczuł się jak łysy.

– Dokopałeś ludziom Kały? Na parkingu? Dudasowi też?

Powtarzał za Luckiem, jakby powtórne wymawianie mogło osłabić wymowę faktów. Każdą z nich przetykał standardowym „ja pierdołę”, w czym dało się słyszeć na przemian echa niedowierzania, podziwu oraz rosnącej paniki. Na wieść o tym, że pobitych odesłał do Kały z pogróżkami, a tira z towarem puścił wolno, ostatnie „ja pierdołę” zabrzmiało jak dzwon.

– Tam mogło być ładnych parę kilogramów amfy – wykrztusił z goryczą, licząc, że wybrzmi w tym protest. Wypadło słabo.

– Wiem – odparł zimno Lucek.

– Oni się teraz wkurwią. Wszyscy, ci i tamci ze Szczecina.

– Mniej więcej o to mi chodziło.

– Dojdzie do ostrej wymiany zdań – ciągnął zrezygnowany Paweł. – Z ostrą amunicją. Nie jestem pewien, czy mnie o to chodziło. Prawda, Lucek, chciałem, żebyś mi pomógł, ale – ściszył głos i spojrzał w jasne oczy uciekiniera z poprawczaka – nie chcę tak szybko umierać.

Bałys podniósł kubek z kawą, siorbnął i obdarzył Palkę bladym uśmiechem.

– No to główniany zawód sobie wybrałeś – skwitował. – Ale może przestań się mazgać i powiedz mi to jeszcze raz.

– Co konkretnie?

Znów przesunął dłonią po łysej czaszce.

– Wszystko. Zaczynaj od Kały i jego wpływów. Jeśli nie chcesz tutaj – skinął głową w kierunku zerkającego z ukosa barmana – to możemy gdzieś pojechać. Coś wiem, ale nie wiem, ile wiem, i wolałbym wiedzieć więcej. Najlepiej wszystko. Więc mów, co wiesz.

W lokalu nie zapowiadało się na jakiś szczególny najazd klienteli w upalne południe, więc Palka uznał, że mogą zostać. Dwukrotnie przełknął ślinę i zbierał myśli, w końcu dla zyskania na czasie spytał ponownie:

– Lucek, ale masz świadomość, w co wchodzisz? – Nie doczekał się reakcji, więc ciągnął dalej swoje wątpliwości: – Nie chcę ci nic narzucać, ale jakbyś w tej chwili zniknął i nie pojawił się w Słupsku przez następne, dajmy na to, dziesięć lat, to sprawa ma szansę przyschnąć, a ty przeżyć. Jeśli zostaniesz, a ja będę ci pomagał i Kała się o tym dowie – a dowie się na pewno – to nie żyjemy. I nie jest to żadne mazgajenie się ani przesada. NIE-ŻY-JE-MY. Rozumiesz?

Chciał jeszcze dodać coś o zagrożeniu dla najbliższych, ale na widok zimnej i obojętnej twarzy podkomisarza Lucjana Bałysia zrezygnował. Trochę ze wstydu, trochę z ambicji. Potem zaczął mówić. Podjął opowieść od momentu, który wydawał mu się naturalnym początkiem, to znaczy odejścia Artura Kały na emeryturę trzy lata temu. Paweł zaczynał wtedy pracę w kryminalnym i większość informacji o zawodowych osiągnięciach emerytowanego komendanta znał z opowieści starszych kolegów.

– Rysiek Hadczuk na przykład opowiadał mi, jak Kała przejął ładunek amfetaminy idący z południa Ukrainy na Hamburg, trasą pomorską. Wszystkie tajne informacje przechodzą przez

komendanta, więc miał bieżący dostęp do tego, co dzieje się w branży. Wysłał ekipę policyjną, zrobili regularne zatrzymanie, konfiskatę towaru i te sprawy, po czym zabrał się do przesłuchiwania podejrzanych. Skutek był taki, że amfa z magazynu zniknęła, a ci trzej zatrzymani odsiedzieli symboliczną karę i po wyjściu wszyscy pracowali dla Kały. Tak on działa.

– Kontroluje przerzuty na Pomorzu?

– Usiłuje kontrolować. Walczy o dominację ze Szczecinem. Wiesz, tam jest potęga przerzutowa, całe północne Niemcy do nich należą. Nie tak łatwo ich przebić. Kała robi, co może, a ty mu właśnie dzisiaj nadepnąłeś na odcisk, przy okazji pomagając szczecinianom. Chociaż – zawahał się – dobre i to. Może się przydać.

Lucek machnięciem ręki dał do zrozumienia, że nie obchodzą go takie zasługi.

– Co to ma wspólnego z trupem na wiatraku?

– Nie bardzo wiadomo. – Palka przejechał dłonią po włosach, jakby też właśnie ogolił się na лыso. – Nie umieliśmy tego powiązać z interesami Kały, choć na zdrowy rozum jakieś powiązania powinny być.

– Dlaczego tak myślicie?

– Jednym z jego partnerów jest niejaki Zbigniew Klisz, handlarz nieruchomości i lokalny obszarnik. Skupuje grunty za niewielkie pieniądze, a potem odsprzedaje drożej albo wynajmuje pod farmy wiatrowe. Zawsze wie wcześniej od innych, gdzie je postawią, i jak przychodzi co do czego, okazuje się, że dzierżawę trzeba załatwiać z nim. Ma również bazę samochodową, żwirownię i takie tam różne.

– A ten wójt, Kulik? Jaka była jego rola w tym układzie?

Do lokalu weszło dwóch młodych mężczyzn i Palka pochylił głowę, żeby ukryć twarz. Lucek Bałyś przeciwnie, podniósł wzrok i

bacznie im się przyglądał. Niższy zamówił coś u barmana, wyższy zerkał na ich stolik schowany w cieniu, w samym rogu salki. Gdy zapłacili, oparli łokcie na ladzie i udawali, że o czymś z ożywieniem dyskutują. Wyższy cały czas ich obserwował.

– Znasz ich? – spytał Lucek, widząc, że na odpowiedź w sprawie Kulika musi poczekać.

– Z widzenia – mruknął Paweł z głową między łokciami. – Ale możesz być pewien, że nasze spotkanie właśnie przestało być tajemnicą.

– I dobrze. W takim razie podnieś głowę i mów po ludzku. Co z tym Kulikiem?

Palka wyprostował się, łyknął kawy i ugryzł kawałek tego czegoś, co miał na talerzu i co nosiło niemożliwą do wymówienia turecką nazwę. Tamci dwaj przy ladzie odebrali swoje zamówienie i wyszli, trącając z hałasem krzesła dla zaznaczenia, co myślą o tureckiej knajpie prowadzonej przez Romów.

– Z Kulikiem jest dziwnie – westchnął młodszy aspirant Palka, wracając do tematu. – Bo z jednej strony jako wójt gminy wydawał pozwolenia na wiatraki i, o ile mi wiadomo, świetnie się z Kliszem rozumieli. Z drugiej szczegóły morderstwa wskazują na związek z wiatrakami. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by tak to właśnie wyglądało. Ale kto?

– Może mieszkańcy wioski? – zasugerował Lucek. – Nie chcą wiatraków i mieli pretensje do wójta, że wydał zgodę. Gmina kosi kasę, a oni nic nie dostają. To zawsze działa ludziom na nerwy.

– Też zaczęliśmy od tego wątku, ale wieś nie sprawia wrażenia szczególnie wścieklej. Owszem, były tak zwane protesty wiatrakowe parę lat temu, ale skończyło się na tym, że napisali parę pism i pablokowali drogi maszerowaniem w poprzek. Wiatraki i tak

powstają, pola należą do Klisza, wójt wydaje zgodę na budowę, gmina pobiera podatki i biznes się kręci, że tak powiem.

– Wyjątkowo niezadowolony gospodarz? – zasugerował Bałyś. – Sąsiad Klisza na przykład?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą porzuciliśmy ten trop po zeznaniach Magdy Saterniak. Widziała mordercę i dosyć dokładnie go opisała. Poza samą twarzą, bo tej nie dojrzała.

– Wiem – przytaknął Lucek. – Dzisiaj chyba ma być kolejne przesłuchanie. Dasz mi znać po robocie, co nowego?

– Nie jestem pewien, czy dam radę.

– A co masz dzisiaj wieczorem?

– Podwyższoną gotowość. O dziewiątej jest protest pod sądem rejonowym i wszyscy idą pilnować.

– Kryminalni też?

– Wszyscy. Ojczyzna wzywa. – Palka się uśmiechnął.

– Tych po drugiej stronie, zdaje się, też wzywa ojczyzna – odparł Bałyś z nieruchomą twarzą. – Może ją podzielicie? Każde stado do swojej zagrody. To jak będzie z tym mieszkaniem?

Paweł przestał się uśmiechać i na nowo popadł w nerwowe spekulacje. Sympatyczny blondyn z Krakowa, partner samego Krzyckiego i notoryczny wesolek właśnie przestał być sympatycznym blondynem, razem z włosami stracił poczucie humoru i rozgląda się teraz po okolicy żądnym zemsty wzrokiem. Jeszcze wczoraj Palka go podziwiał i niemal uwielbiał, a dzisiaj zaczął się bać. Może na tym polega tajemnica krakowskiej szkoły kryminalnej, ta słynna metoda Krzyckiego? Spojrzał w jasne oczy Bałysia i zrozumiał, że ten facet z dnia na dzień podjął jakąś zasadniczą decyzję. Rzucił wszystko, by zawrócić z drogi i stawić się na jego prośbę o pomoc. Co w tym złego? Przecież dokładnie o to ci,

Palka, chodziło! Druga taka okazja się nie zdarzy. A zresztą i tak nie ma odwrotu. Kała z pewnością już wie o wszystkim.

Dopił kawę, podniósł się znad niedojedzonego tureckiego czegoś tam i skinął na Lucka.

– Chodź, pokażę ci.

## 6

– Panie inżynierze, przepraszam, że dzwonię o takiej porze, ale mamy sygnały o awarii. Czwórka w Grębówku. Chyba jakiś problem z hamulcem, tak zgłaszali z centrali. Podjedzie pan?

Inżynier Janusz Różański spojrział najpierw na słuchawkę domowego telefonu, jakby zamierzał wcisnąć do niej z powrotem słowa, które właśnie stamtąd wyleciały, a następnie na zegarek. Piętnaście po siódmej. Grębówko jest o dwadzieścia kilometrów stąd, bocznymi drogami. Sobotni wieczór poszedł się pieprzyć na wieżę wiatraka. Z zegarka wzrok pana Janusza powędrował za drzwi od tarasu, gdzie szwagier dmuchał w grilla, a gromadka dzieci rzucała psu trzy piłki naraz, od czego ten latał jak ogłupiały w kółko i szczekał na wiwat. Sielska scena ogrodowa, z którą musiał się właśnie pożegnać z powodu tych cholernych turbin. Dlaczego one zawsze psują się akurat w weekend? Podczas jego dyżuru? Czy złośliwość rzeczy martwych nie mogłaby przenieść się gdzieś dalej i zostawić go w spokoju?

– Marysiu! – zawołał do żony. – Kielbaski doprawiłem, można wrzucać. Muszę podjechać do Grębówka, bo tam jakaś awaria wyskoczyła. Zaraz wrócę.

Żona wygłosiła wobec gości sakramentalną formułkę o ciężkiej pracy męża w świętek piątek i na każde zawołanie, po czym

zadowolona z dobrze spełnionego obowiązku ruszyła rażno po kielbaski. W pomieszczeniu gospodarczym na tyłach domu Różański przebrał się w kombinezon, wrzucił do samochodu skrzynkę z narzędziami oraz pęk kluczy do wież i wskoczył za kierownicę. Było prawie trzydzieści stopni, ale pracodawca wymagał, by do roboty przy turbinach wiatrowych zawsze zakładać kombinezony z logo firmy. Że niby umacnia się tym wizerunek. Pocił się więc w długich portkach na szelkach i czekał, aż szwagier przestawi swój samochód i umożliwi mu wyjazd z garażu. Wtedy przypadł do niego Reks. Oparł się łapami o drzwi i zaczął niemiłosiernie skamleć. Różański opuścił szybę.

– Przestań, głupi! Podrapiesz mi lakier!

Pies nie słuchał wyjaśnień. Warczał i skuczał, pakując kudłaty łeb przez otwarte okno do środka i próbując go polizać. Inżynier wypchnął go i wysiadł.

– No już, piesku. – Przykucnął, żeby podrapać go pod brodą, jak Reks lubił najbardziej. – Zaraz wrócę. Siedź tu grzecznie i czekaj. Zaraz wrócę – powtórzył.

Psisko nie ufało tym zdawkowym wyjaśnieniom. Wyciągnęło pysk i skamlać żałośnie, patrzyło prosto w oczy pana. Gdy wsiadał z powrotem do samochodu, Reks zawył przeciągle i przywarł nosem do szyby. Jego pełne żałości spojrzenie miał później przed oczami inżynier Różański, gdy ostatni raz w życiu wdrapywał się po drabince na wieżę wiatraka numer cztery.

Na miejsce przybył dwadzieścia po ósmej i zaraz po wyjściu z samochodu zauważył, że czwórka dziwnie pracuje. Pozostałe piętnaście turbin kręciło się powoli i w prawidłowym ustawieniu głowic frontem do wiatru, a ta szła nierówno, z przeskokami, którym towarzyszyło poskrzypywanie mechanizmu. W dodatku cała gondola powolnym i jednostajnym ruchem obracała się w

poziomie, jakby nie mogła zdecydować, skąd dokładnie wieje. Dochodziła do jakiegoś granicznego punktu, zatrzymywała się i ruszała z powrotem. Przypominało to pracę pokojowego wentylatora z funkcją zmiany kierunku.

Co jest, u licha?

Z niechęcią rzucił skrzynkę na trawę przy żwirowej drodze i zaczął grzebać w pęku za właściwym kluczem. Nadzieja na rychły powrót do domu opadała w nim jak piana w kuflu z tanim piwem, przy którym siedział teraz jego szwagier. Awaria w centralnej sterowni to nie robota na pięć minut i dobrze będzie, jak Janusz wyrobi się w godzinę. Westchnął i podreptał metalowymi schodami pod drzwiczki kojarzące mu się z wejściem do staroświeckiej rakiety. Do kamery nad głową zrobił głupią minę, potem szybko uśmiechnął się i pomachał ręką, by zatuszować złe wrażenie. Cholera wie, kto to ogląda.

Na dole w szafce kontrolnej wielkim czarnym pokrętelem wyłączył turbinę, wpiął kłódkę asekuracyjną do stalowej liny i ruszył. Stąpając w górę drabinką liczącą milion trzysta pieprzonych drobnych szczebelków, Różański kłął na czym świat stoi. W wieży było duszno, co zawsze uważał za absurd, bo przecież podstawą działania tego urządzenia jest podmuch wiatru. Na górze wieje, a tu zaduch jak w kaplicy na cmentarzu. Przypomniawszy mu się filmik z YouTube'a o wiatraku, na który wjeżdża się zgrabną dwuosobową windą, a pieszo robi się tylko ostatnie dziesięć metrów, i znowu zaklął. Pudło z narzędziami ciążyło mu jak tona węgla i złościł się na siebie, że nie wpadł na prosty pomysł wyposażenia każdej gondoli we własny zestaw naprawczy.

Na końcu pierwszej sekcji zrobił sobie przerwę dla złapania tchu i spojrzawszy w dół. Drgnął: na jego oczach kosmiczne drzwiczki zamknęły się. Ktoś właśnie wychodził z wieży. Z góry nietrudno



było zauważyć zwiężającą się smugę światła. Różański otarł pot ramieniem i mruknął brzydkie słowo, ale półgłosem, nie bez poczucia winy; dałby sobie uciąć głowę, że drzwi zamykał. Trwał chwilę w zdumieniu.

– Halo? Jest tam kto? – krzyknął, ale uświadomił sobie, że to bez sensu, skoro ten ktoś właśnie wyszedł, a nie wszedł. Zawahał się. Powinien teraz zejść i sprawdzić samochód, bo stracił pewność, czy go zamknął. Zwykle nie przywiązywał do tego wagi, ponieważ mało kto tu zaglądał, pamiętał jednak, że przed włożeniem kluczyków do kieszeni nacisnął pilota. Mogłem wziąć Reksa, przemknęło mu przez myśl. Nie ma lepszego autoalarmu od wilczura w środku. Przebiegł wzrokiem po milionie pieprzonych szczebelków i pewność natychmiast powróciła. Tak, zamknął samochód. Nie, nie będzie schodził i wchodził jeszcze raz. Mogło mu się przywidzieć? Mogło.

Po wejściu na górę wyjął tablet zdalnego sterowania i z powrotem włączył turbinę. Gondola zgrzytnęła i rozległ się wizg ruszającego serwomechanizmu, który obracał ją w poziomie. Z szafki centralnego sterowania również dochodziły podejrzane chroboty, rytmem harmonizujące z piskami, jakie wydawał z siebie hamulec postojowy. Ruch poziomy tam i z powrotem dodatkowo podkreślał niestabilność całego układu. Inżynier Różański ponownie wcisnął wielki czerwony przycisk, a następnie czarny, i gondola zatrzymała się, natomiast wzmógł się wizg hamulca i wieżę zatrzęsły drobne wibracje. Oś pozioma, napędzająca olbrzymią prądnicę, wydała z siebie ogłuszający szum, który stopniowo opadał, aż do całkowitego zamilknięcia. Śmigło przestało się kręcić i zapadła cisza, tylko na zewnątrz świstał cieniutko wiatr na krawędziach łopat. Inżynier przesunął dźwignię ręcznej blokady wirnika, wetknął bolce w otwory i otworzył szafkę

sterowni. Wszystkie wyłączniki były ustawione prawidłowo, coś niedobrego jednak działo się ze światelkami kontrolnymi. Jedno migotało na czerwono, drugie przygasało i rozbłyskiwało na nowo, trzecie zgasło zupełnie. Różański zaklął szpetnie i zaczął grzebać w skrzyni za śrubokrętem krzyżakowym. Wszystko wskazywało na to, że poszła płyta główna i aby się do niej dostać, musiał zdjąć tablicę rozdzielczą.

Zaduch w gondoli przyprawiał go o mdłości, pot ściekał mu po skroniach na oczy, kask grzał jak zdjęty z ogniska kocioł. Przetarł czoło rękawem i z włączoną czołówką zaczął przeglądać punkt po punkcie kostki procesora i sieci kabli. Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadzało i w inżynierze Różańskim znów wzmogła się ochota na przekleństwa. Jak nic nie widać, to znaczy, że trzeba szukać jeszcze głębiej. Gdy w koniec języka swędziało go kolejne soczyste „kurwa mać”, nagle w niebieskim świetelku ledowej czołówki coś błysnęło. Odchylił płytę i sięgnął po to śrubokrętem. Było czarne i miękkie, ściśle przyklejone do ścianek dwóch sąsiadujących układów scalonych. W promieniu dwudziestu centymetrów wkoło wiły się po płycie błyszczące smuzki, jak skomplikowany labirynt lub trudna trasa crossowa dla mikropojazdów. Wyjaśnienie spłynęło na Różańskiego jak objawienie. Za pomocą najcieńszego ze śrubokrętów wydłubał spomiędzy kostek podłużny, ociekający wydzieliną kształt. Rzucił go na metalową podłogę przy akompaniamencie pogodnego tym razem „kurwa mać” i rozdeptał władczy obcasem. Ponieważ to coś przywarło i nie chciało się odkleić, przetarł butem po ryflowanej podłodze.

– By cię w trąbkę pogięło! – dołożył ze swojego asortymentu przekleństw, jakby czarny rozmazany strzęp nie był jeszcze wystarczająco pogięty. – Ale skąd tu ślimak? Na tej wysokości? Po co

tu wlaził? Przy jego prędkościach to ze trzy miesiące trwało, powinien wyschnąć po drodze. I jak wlaził do skrzynki?

Pogadał do siebie i do rozpaćkanych szczątków ślinika luzytańskiego, po czym z nieco już lepszym humorem zabrał się do czyszczenia płyty. Diagnoza to połowa sukcesu, jak dobrze pójdzie, uwinie się w kwadrans. Ulżyło mu również dlatego, że przyczyna awarii wydawała się banalna i stosunkowo łatwa do usunięcia. W najgorszym razie trzeba będzie wymienić dwie kości w płycie. Jest szansa, że całe ustrojstwo za chwilę znowu ruszy.

Gdy skończył, otarł pot z czoła mokrym rękawem i łyknął wody z plastikowej butelki. Zmiał w dłoni puste opakowanie i schylił się do kłapy, by wyrzucić je na zewnątrz. Dopiero gdy ożywczy podmuch ochłodził mu twarz, inżynierowi Różańskiemu przyszło do głowy, że mógł od razu otworzyć klapę i wpuścić trochę świeżego powietrza. Użył kolejnego soczystego zwrotu i cisnął zgniecioną butelkę w dół. Spadała wirującym lotem i wylądowała niedaleko samochodu. Stał na swoim miejscu, nietknięty.

Zamknął klapę, przetaił oczy i wrócił do centralnej sterowni. Wszystko działało cacy. Wyciągnął czerwony przycisk z napisem „Emergency”, po czym ustawił parametry na wyświetlaczu. Poczul drzenie gondoli i usłyszał szum mechanizmu przekładniowego. Ruszyło. Gondola nieznacznie przesunęła się w prawo, ustawiła optymalnie do wiatru i znieruchomiła. Lampki zamigotały, po czym zaświeciły spokojnym zielonym światłem. Generator brzęczał cichutko, od czasu do czasu zgrzytnęła przekładnia, łopaty wirowały, wyświetlacz pokazywał liczby mieszczące się w zakresie normy.

– Dobra, zrobione – Różański mruknął do siebie, zadowolony. Przekręcił wielki metalowy klucz, pacnął dłonią bezowe drzwiczki

sterowni, żeby maszyna wiedziała, kto tu rządzi, i odwrócił się do zejścia.

W pół kroku zatrzymał się. Ostrzegawcza lampka zamigotała teraz w jego głowie. Przez przeźroczystą klapę prowadzącą na dach gondoli wpadało do środka światło gasnącego dnia, teraz, o zmierzchu, słabe i szare. Nie na tyle jednak słabe, by nie było widać nabazgranych na niej znaków. Różański nie przypominał sobie, by cokolwiek na klapie rysował, nie podejrzewał też o to swojego zmiennika. Podszedł pod okienko i spojrzał w górę, drżąc po raz drugi tego wieczora. Natychmiast skojarzył obrazek z zamykającymi się na dole drzwiami od wieży i obleciał go lodowaty strach. Wspiął się na drabinkę i dotknął linii, jakby chciał palcami sprawdzić ich autentyczność. Ciemnoniebieskie i wielkie, układały się w szereg ślimaczków z wystającymi różkami. Szły w jednym kierunku. Odwrócił się i z niepokojem spojrzał na szafkę sterowni. Czyżby ich tam było więcej?

W jego nagle pobudzonej do myślenia głowie ruszyła lawina skojarzeń. Zeskoczył z drabinki i z głośnym tupotem pobiegł do klapy prowadzącej do wieży. Szarpał raz po raz metalową zasuwę, ale nie drgnęła nawet o milimetr. Ktoś ją zablokował od dołu. Ktoś go tu zamknął. Ten, kto wychodził z wieży, kiedy on wspinał się po tej pieprzonej drabince z milionem szczebelków. Ale kto? I po co?

– Hej, otwieraj! – zawołał i aż zakaszłał z wrażenia. Jego głos bardziej przypominał pianie koguta niż ludzkie wołanie o pomoc. Pianie zarzylanego koguta. Dogłębnie zrozumiał, co znaczy, że komuś ze strachu odebrało mowę.

– Co to, kurwa, za wygłupy?! – krzyknął, tym razem nieco pewniej. – Wypuść mnie stąd!

Odpowiedziała mu cisza. Próbował ochłonać i zebrać myśli. Nie, to bez sensu. Klapa musiała sama się zatrzasnąć. Na szczęście w

gondoli znajdował się zestaw do zjazdu na linie, a druga kłapa działała, przecież przed chwilą wyrzucił przez nią butelkę. Ustąpiła bez żadnego oporu. Zostawił ją otwartą i poszedł na przód gondoli po linę i kołowrotek do zjeżdżania z wysokości. Czasami na wieżach odbywały się ćwiczenia straży pożarnej i jakimś cholernie szczęśliwym zbiegiem okoliczności to był akurat jeden z tych wiatraków.

– Spokojnie, dasz radę – inżynier mruknął do siebie i z wnętrza w piaście wyjął potężny zwój liny. Bloczek zjazdowy leżał obok. Najpierw trzeba zapiąć go nad otworem, potem przeciągnąć przez niego linę i zrzucić w dół...

Nie, najpierw trzeba zadzwonić do centrali. Różański wyjął z kieszeni komórkę i zdziwił się, jak drżą mu palce.

– Zgaduję, że zrobiłeś i w dodatku żyjesz, co? – usłyszał wesoły głos tamtego. Nagle całe to jego przerażenie wydało mu się głupie i zawstydził się sam przed sobą.

– Jednakowoż jest mały problem – odparł, siląc się na swobodę. – Kłapa od wieży się zatrzasnęła i nie mogę jej otworzyć. Mógłbyś tu kogoś przysłać, żeby mnie odblokował?

– Powiedz to jeszcze raz, bo źle cię słyszę. Żeby ci co odblokować?

Jego komórka zaczęła pikać. Spojrzał na wyświetlacz i zobaczył czerwoną pulsującą ikonkę pustej baterii.

– Niech ktoś tu przyjedzie i mnie odblokuje! – krzyknął na całe gardło, już nie siląc się na swobodę. – Bateria się rozładowuje! Przyślij pomoc!

– Ładuje się? To super! Przys... oc! Ja... ne!

Bateria padła. Inżynier wyłączył telefon, odczekał minutę i włączył ponownie, licząc na awaryjny zapas energii. Powinno być coś takiego w komórkach. Wcisnął przycisk zasilania i trzymał

kilkanaście sekund, ale ekran pozostał martwy. Różański najpierw zaaplikował sobie kolejną dawkę soczystych „kurew maci”, a potem usiadł na podłodze i zakrył twarz rękami.

Zaduch nie pozwalał normalnie oddychać, więc szybko wstał. Nie było czasu na przejmowanie się, musiał działać. Szarpnął jeszcze raz klapę prowadzącą do wnętrza wieży, ale pozostała niewzruszona. Należało trzymać się planu awaryjnego. Zaczepił bloczek karabińczykiem nad otworem i zabrał się do przewlekania liny. Wydawało mu się, że jakoś tak to powinno iść, ale po kilku metrach zmienił zdanie i wciągnął linę z powrotem. Nie, odwrotnie. Przełożył jeszcze raz przez kółka i zaczął spuszczać, ale znowu tknęła go niepokojąca myśl. Powinien najpierw wyłączyć maszynię, w przeciwnym razie podmuch wiatru może go znieść na łopaty wirnika. Przypiął końcówkę liny do karabińczyka przy uprząży i zrobił dwa kroki w kierunku przycisku. Spojrzał na swój pas i zrozumiał, że jest idiotą. Nie lina ma zjeżdżać, tylko on! Wystarczy rzucić zwój przez otwór, złapać linę w dłoń (nie zapomnij rękawic, Januszku) i zsuwać się powoli. Pocieszony najnowszym odkryciem z radością palnął otwartą dłonią w czerwony guzik.

Efekt przerósł jego najśmielsze oczekiwania. Mechanizm wiatraka nie tylko się niezatrzymał, ale zawył głośniejsze, a z szafki sterowni dobył się głośny huk. Ze szpar poszedł czarny dym, po czym wibracje gondoli się nasiliły. Wirnik przyspieszył. Inżynier skoczył ku beżowym drzwiczkom, które najwidoczniej miały własne zdanie na temat tego, kto tu rządzi, i otworzył je, by ugasić ogień w zarodku. To był błąd. Buchnęły na niego kłęby gryzącego dymu i musiał się cofnąć. Ciąg powietrza z otwartej dolnej klapy rozdmuchiwał tłącą się instalację i pchał dym ku górnej. Nim inżynier przypomniał sobie, gdzie jest gaśnica, z szafki bluznęły

pierwsze płomienie. Ruszył na przód gondoli, ale przytrzymała go przypięta do pasa lina. Szarpnął karabińczyk i odrzucił go przed siebie, trafiając dokładnie w dolny otwór. To był drugi błąd. Metalowy obciążnik pociągnął za sobą lekki nylonowy splot i w kilkanaście sekund cała niebieska lina wyciekła z gondoli jak strużka wody z dziurawego baniaka. Dopiero teraz Różański zrozumiał, jak należało ją skutecznie wyrzucić. Gdyby tam wisiała teraz, może zdołałby do niej dobiec i zjechać w dół, ale po planie awaryjnym pozostał jedynie smętnie zwisający pusty bloczek, owiewany coraz gęstszymi kłębamii dymu.

Różański znalazł wreszcie jedną z dwóch gaśnic proszkowych. Była przypięta do burty gondoli w pobliżu głowicy, która wraz z narastaniem obrotów grzechotała coraz głośniej. Jak na złość wiatr dmuchnął mocniej i w twarz uderzył go czarny kłąb. W pomieszczeniu zrobiło się nagle gorąco jak w piecu. Na oślepie namacał pasek mocujący gaśnicę i trochę się namęczył, zanim go odpiął. Nacisnął spust i z zamkniętymi oczami, krztusząc się i plując, skierował strumień proszku przed siebie. Proszek uderzył w uchylone drzwiczki, skutecznie osłaniające źródło ognia. Takie gaszenie nie miało sensu. Przerwał i spróbował podejść bliżej, drugą stroną, tak, by znaleźć się naprzeciw sterowni. Pot lał się z niego strumieniami, coraz trudniej było mu oddychać. Dym gryzł go w oczy i nozdrza, po policzkach ciekły łzy. Oparł dłoń na korpusie generatora i przesuwał się drobnymi kroczkami, ominął go. Wyjął spod pachy gaśnicę, skierował przed siebie i ponownie nacisnął spust.

Zapomniał o rurze chłodzenia generatora. Odbity od niej proszek uderzył go w twarz. Różański jęknął z bólu, ale jeszcze bardziej z rozpaczy. Ogień się rozprzestrzeniał. Korpusy maszyn parzyły go w ręce. Dygocząc z wściekłości, uniósł gaśnicę nad głowę

i opróżnił ją na oślep, po czym rzucił pusty pojemnik w kąt. Oczy piekły go niemiłosiernie, więc zasłonił je rękawem i macając drugą ręką, wrócił pod klapę prowadzącą na dach. Jeśli nie wyjdzie na zewnątrz, jeszcze chwila i się udusi.

Przetarł oczy rękawem i odwrócił się. To niewiarygodne. Zamrugął obrzmiałymi powiekami. W otworze wejściowym na wieżę ktoś stał. Wielka biała twarz nakryta dziwacznym kapeluszem. I uniesiona ręka.

– Hej! Pomóż mi! – krzyknął rozpaczliwie. Twarz rozplynęła się w makabrycznym uśmiechu, ale to mógł być skutek rozgrzanego powietrza i płomieni, które ich oddzielały. Ujrzał wyszczerzone wielkie zęby.

– Pomocy! – krzyknął Różański i zakaszłał. – Wezwij pomoc!

Nagle zrozumiał, że to bez sensu. Jak miałby mu pomóc? Co zrobić? Przejść przez ogień się nie dało, telefonu nie było, a zresztą nawet gdyby był i udałoby się zadzwonić, to nim ktoś dotrze na to pustkowie... Tamten jakby pomyślał to samo, ponieważ pomachał mu uniesioną ręką i zniknął w otworze. Kłapa się zamknęła.

– Hej! Nie zostawiaj mnie! Przynieś linę! Leży pod wieżą! Pod wieżą!!!

W tym momencie płomienie uderzyły w niego z takim impetem, że kombinezon zaczął go parzyć. Musi wyjść na powietrze.

Wyszedł. Gdy tylko postawił stopę na dachu gondoli, uderzył go silny podmuch wiatru. Zatoczył się i upadł na brzuch, chwytając się rękami barierok ochronnych. Powinien się do nich wpiąć asekuracją, ale nie był pewien, czy zależy mu teraz na dodatkowym ograniczeniu ruchów. Jeśli będzie leżał spokojnie, nie spadnie. Przecież ktoś zobaczy dym i wezwie strażaków. Poza tym ten cymbał w centrali (okej! jasne!) otrzymał już chyba od systemu



komunikat o pożarze i też powinien coś zrobić. Tylko że komunikat o awarii to on już miał. I wysłał jego...

Mężczyzna objął wzrokiem całą nędzę swojego położenia i dopiero teraz spadło na niego prawdziwe przerażenie. Z otworu górnej klapy wydobywał się gęsty czarny dym i ulatywał w ciemniejące niebo. Słońce już zaszło i zapadał zmrok, w którym kłęby czarnego dymu wcale nie musiały być widoczne z daleka. Rozejrzył się wkoło po zapierającym dech w piersiach pejzażu. Nie, stąd nikt nie wezwie pomocy. Spojrzył w dół. Jego pocziwe auto czekało przed wejściem, ale auta same nie dzwonią pod 112. Usiadł z wyprostowanymi nogami, złożył obie dłonie w trąbkę i zaczął krzyczeć:

– Ratunkuuu! Na pomooc!

Najpierw zmarszczył się płat dachu nad sterówką. Arkusz tworzywa sztucznego zwinął się w falę, odskoczył do góry i płonąc jak kartka z rękopisu niszczonego przez szalonego autora, poleciał w przestrzeń, popychany podmuchami wiatru. Z powstałej w dachu dziury bluznęły na wierzch ogniste jęzory. Inżynier cofnął się, szurając tyłkiem po gorącej powierzchni, która traciła swoją twardość i nabierała konsystencji gumy. Odepchnął się i za plecami usłyszał złowrogi świst. Siedział na samym końcu dachu, mając za sobą wirującą piastę i tnące burą ciemność śmigło. Zrozumiał, że nie ma dokąd uciekać. Gdyby ten cholerny mechanizm się zepsuł, gdyby nagle od żaru trafił go szlag, gdyby się zatarł i zatrzymał z tym swoim cholernym zgrzytem, on mógłby jeszcze wpełznąć na łopatę. Wybrałby tę najmniej pochyloną i położył się na niej, czekając na pomoc, która przecież kiedyś musi przyjechać! Ten człowiek zejdzie i wezwie pomoc.

Nie, nie wezwie. Ten człowiek nie zamierzał mu wcale pomagać. Nagle jak piorun inżyniera przeszła myśl o

przywiązany do śmigła Kuliku. To jest następne posunięcie. Kara za tamto, kiedy oni świetnie się bawili, a ona nagle stwierdziła, że nie chce. Powinien był posłuchać swojego strachu i nie wchodzić więcej na wiatraki. Pracę można zamienić na inną, życia nie.

Wirnik pracował równo, szybko i niezawodnie, jakby pożar gondoli dodał mu skrzydeł. Było w tym coś szatańskiego i inżynier Janusz Różański nagle zrozumiał jeszcze jedno. To koniec. Ten wiatrak uparł się, żeby go zabić, i z pewnością dopnie swego. A człowiek w kapeluszu to on sam, jego szalona, chora dusza. Nic tu nie da czekanie ani walka o kolejne minuty i sekundy. Spojrzał na ziejącą pod nim czeluść, na zasnute czarnym dymem niebo, na północ, gdzie daleko na horyzoncie migają lampy pozycyjne statku na morzu, wreszcie na światła małej poniemieckiej wioski. Odetchnął chłodnym powietrzem. Dobra, świecie, fajnie było. Spadam stąd.

Odwrócił się twarzą do wiatru. Przed nim obracał się tępy łeb śmigła. W plecy uderzyła go fala gorąca. Płomienie ogarnęły już prawie całą gondolę, płonące płachty jej ścian fruwały nad polem gryki. Gdy podłoga pod nogami zaczęła się zapadać, inżynier odepchnął się i pięknym skokiem pokonał przestrzeń oddzielającą go od głowicy wiatraka. Dotknął jej stopą, na ułamek sekundy dostawił drugą, jakby chciał ostatni raz poczuć twardy grunt pod nogami, po czym runął, zepchnięty mocnym, nieznoszącym sprzeciwu obrotem. Ostatnim obrazem na siatkówce gasnącego oka były migające w oddali niebieskie światła kogutów pędzącej straży pożarnej.

Spadające ciało Janusza Różańskiego szczęśliwie ominęło zamach pierwszej łopaty, miało na tyle szczęścia, że ominęło również drugą, i dopiero trzecia, ostatnia łopata, trąciła je nieznacznie. Pyknęła ludzki tłumok samym koniuszkiem i jakby od

niechcienia, akcentując skuteczność zbrodni efektowną dekapitacją. Uderzony ze sporą prędkością korpus odbił się od ściany wieży i spadł tuż obok cierpliwie czekającego samochodu. Odcięta głowa poszybowała znacznie dalej. Upadła na pole i długo jeszcze toczyła się między pędami cienkich roślin o białych kwiatkach. Dopiero przed świtem znalazł ją pewien młody i przejęty grozą strażak, niosący pod pachą, znaleziony wcześniej, zakrwawiony żółty kask. Po tej akcji zrezygnował ze służby.

## V Grębówko

### I

Dom, który Paweł Palka odziedziczył po dziadkach i w którym zamierzał ulokować Lucka Bałysia na czas ich nieformalnego śledztwa, leżał na skraju wsi i był jednym z najmniejszych. Od drogi osłaniała go ściana zarośli, w jakie przeewoluował dawny ozdobny żywopłot, oraz sad ze starymi drzewami owocowymi. Za chałupą i stodołą rozciągały się łąki i bagniste nieużytki schodzące ku płytkiej dolinie rzeki. Podejście stamtąd pod zagrodę przedstawiało niemałą trudność, a po długotrwałych deszczach graniczyło z niemożliwością. Właśnie z powodu usytuowania Palka uznał miejsce za doskonałą kryjówkę dla kogoś, kto musi wymknąć się stąd i powrócić niezauważony. Jeśli Bałys zachowa ostrożność, może tu spędzić nierozpoznany wiele tygodni.

– Dlaczego sam tu nie mieszkasz? – spytał Lucek, kiedy przekroczyli próg dawnego niemieckiego budynku o szachulcowych ścianach i mocnej kamiennej podmurówce. Z sieni w lewo wchodziło się do pierwszego pokoju, za nim znajdował się drugi, obszerniejszy, pełniący funkcję salonu. Z niego z kolei przechodziło się do sypialni, a stamtąd do umieszczonej z tyłu domu kuchni. Z kuchni były trzy wyjścia: do spiżarni w wykopanej pod domem piwnicy, na podwórze oraz do trzeciego pokoju, z którego wracało się do sieni. Dom miał więc dwa wyjścia i połączenie z wszystkimi pomieszczeniami, czyli dało się go obejść

naokoło. W połączeniu z piwnicą oraz oknami na wszystkie cztery strony oznaczało to całkiem niezłe warunki do ukrycia.

– A co ja bym tu robił?

Znaleźli się w kuchni. Lucek zerknął przez zakurzoną szybę na podwórze i wejście do stodoły. Na lewo od niej stał trzeci murowany budynek, skrzyżowanie szopy z garażem, zamykający wewnętrzny teren gospodarstwa w zgrabny kwadrat.

– Uprawiałbyś pole, hodował świnie, krowy czy coś tam, a zimą odbierał dotacje z Unii i oglądał telewizję. Fajne życie. Znacznie mniejsze prawdopodobieństwo, że cię zastrzelą.

– Nie bądź taki pewien. – Paweł się uśmiechnął. – Kulik był rolnikiem i go zabili. Chodź, spróbujemy włączyć prąd.

Skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się za drzwiami w sieni i sprowadzała się do dwóch automatycznych bezpieczników dziesięcioamperowych i jednego zapasowego, tradycyjnego, z wkręcaną oprawką. Ostatni stali mieszkańcy nie mieli wygórowanych potrzeb energetycznych. Paweł włączył obydwa bezpieczniki i w głębi domu zaburczał agregat lodówki.

– Zasada jest prosta – objaśniał. – Bezpiecznik z literką G to gniazdka, a z L to lampy. Innych instalacji tu nie ma. Woda jest z wodociągów, a kuchenka do gotowania na butlę z gazem. Więcej ci chyba nie potrzeba.

– Internet? – zaryzykował Lucek.

– Myślałem, żeby założyć neostradę, ale się nie opłaca. Ja tu przyjeżdżam raz w miesiącu na dwa dni, a rodzice raz na rok. Wolą spędzać czas w domku nad jeziorem. Nie wiem – Paweł podrapał się po głowie – może jak będę miał żonę i dzieci, to się przeniesiemy.

Na słowa o żonie i dzieciach Lucek zacisnął zęby, odwrócił się na pięcie i wyszedł do samochodu po swoje rzeczy. Bez słowa zabrał

z tylnego siedzenia torbę z przerzuconą przez nią kurtką, burknął niewyraźnie, że bierze ostatni pokój, i zniknął w głębi domu. Nagle miał dosyć ludzi i chciał już zostać sam. A internet, a łazienka, a ręczniki, a pościel... Gównu go to wszystko obchodziło. Potrzebował teraz łóżka, na którym może bez przeszkód uwalić się i pomyśleć, co dalej. Do Krakowa na razie nie wraca. Nie ma po co. Nie jest wcale pewien, że w ogóle kiedykolwiek wróci. Jego życie zasadniczo zmieniło swoje parametry i trzeba mu wyznaczyć nową przestrzeń i nowy czas. Nowe punkty orientacyjne...

– Jeśli mogę coś radzić – Paweł stanął w progu pokoju i przyglądał się, jak Lucek rozpakowuje torbę – to zasłaniaj na wieczór okna. Ludzie nie muszą wiedzieć, że ktoś tu stale mieszka. Prędzej czy później i tak cię zauważą, to mała wieś i wszyscy się znają, jednak niech myślą, że przyjechałeś na chwilę. Ja też czasem przyjeżdżam.

– Dobrze, dobrze – wymamrotał obrócony tyłem Lucek. – Pierwsza zasada taktyki: maskowanie. Jak będziemy się kontaktować? Zrobimy sobie skrzynkę w dziupli dębu, żeby wrzucać tam zalakowane koperty?

Powiedział to z grobową miną, ale Paweł się roześmiał.

– Wystarczą telefony. Jak dowiem się czegoś nowego, dam ci cynk i się spotkamy.

– Mogą być na podsłuchu.

– To nie odbieraj, tylko wróć do domu i czekaj na mój przyjazd.

– W porządku. Najpierw potrzebuję wyników badań laboratoryjnych z wiatraka. Odciski palców, DNA, włosy... Przecież coś ten facet musiał tam zostawić!

– To najprostsza sprawa – odparł natychmiast Palka. – Uła jest po mojej stronie i udostępni ci wszystko, czego zechcesz.

– Ula? Wszystko? Brzmi nieźle – rzucił Lucek, ale aspirant tym razem się nie roześmiał, tylko sposepniał.

– To ta dziewczyna, której kroki słyszałeś na korytarzu, gdy siedzieliśmy u nas w gabinecie...

– Dobra – przerwał mu Bałyś. Chciał już być sam. – To kiedy?

– Może jutro?

– Jutro jest niedziela.

– Właśnie dlatego. Ula ma wolne, a we wsi nikt się nie zdziwi, że przyjechałem ze znajomymi na weekend.

Umówili się na południe. Paweł obiecał przywieźć jakiś obiad (chińskie coś tam na wynos), Lucek zgodził się niechętnie (nie miał ani warunków, ani głowy, by samemu coś pichcić) i wyszli na podwórze.

– Pokaż mi jeszcze, gdzie stoją te wiatraki – poprosił na koniec. – Mówiłeś, że to niedaleko stąd.

Wyszli za stodołę i po drugiej stronie doliny przeciętej błotnistą rzeką odłoniła się wielka farma wiatrowa. Wiatraki sprawiały wrażenie, jakby stały kilkaset metrów od nich, choć Paweł zapewniał, że w prostej linii to ze dwa kilometry. Po wczorajszej burzy zrobił się upalny dzień. W popołudniowych podmuchach kręciły się powoli i dostojnie, dwa z nich nie ruszały się w ogóle, a jeden szedł nierówno i zmieniał ustawienia śmigieł do wiatru, jakby nie mógł się zdecydować.

– To tam piliśmy wczoraj? – spytał Lucek, wskazując farmę.

– Ty piłeś. Zresztą chyba niepotrzebnie. Lepiej było pójść na kolację. Przepraszam.

Lepiej było wsiąść w samochód i pognać do Krakowa, pomyślał Bałyś i znowu ścisnęło go w żołądku. Pośpiesznie pożegnał Pawła, zapewnił go, że ma co jeść do jutra, odebrał pęk kluczy do domku i bramy, po czym się rozstali. Gdy tylko znalazł się w swoim nowym

pokoju na końcu domu, padł na łóżko w ubraniu i butach, założył ręce pod głowę i wbił oczy w sufit. Zapach starego domu wzbudził w nim nieokreśloną tęsknotę. Znowu chciało mu się płakać. Zmęczenie i głód dawały mu się we znaki, ale nie tu tkwiła przyczyna. To obce miejsce nie było wcale nieprzyjemne, wręcz przeciwnie, łagodnie i uspokajająco gładziło go po głowie, jakby chciało wytłumaczyć, żeby zapomnieć o tamtym i zajął się czymś nowym. Ta myśl bardzo przypominała tę poranną na szosie, gdy nagle zahamował i nawrócił w miejscu: zostawić tamto i zacząć żyć od nowa, daleko od nich. Im dalej, tym lepiej. Co potem, nie wiadomo, ale na razie ma co robić.

No właśnie, śledztwo.

Usiłując nie myśleć o tamtych dwojgu w Krakowie i skupić się na szczegółach wiatrakowego morderstwa, Lucek przekonał się na własnej skórze, jak trudno zerwać z przeszłością. Najpierw przyszła mu do głowy zasada: gdy wszyscy idą w prawo, idź w lewo. Tu mogłaby się sprawdzić, wszyscy sądzili, że śmierć Kulika wiąże się z Kałą i jego interesami. A gdyby tak założyć, że chodzi o coś innego, motyw zupełnie inny, niezwiązany z przemytem narkotyków ani z handlem gruntami, ani nawet z wiatrakami. Na przykład zemsta rodowa. Wróżda, jak mówił Krzycki...

A może chodzi o szaleńca? Mordercę z upodobaniem do makabry i filmową wyobraźnią, któremu nie wystarcza zabić, musi jeszcze z tego zrobić atrakcyjne widowisko? Andrzej nazywał takich kapłanami performansu...

Bałys opędził się od tej myśli jak od natrętnej muchy i poszukał innego motywu. Zazdrość? Może wójt uwiódł swoją sekretarkę i jej mąż się dowiedział? A ponieważ jest maszynistą w koszalińskim teatrze i lubi mocne sceny, postanowił również sam coś wyreżyserować. Podkomisarz uśmiechnął się. Okrucieństwo



samego aktu wskazuje na silny czynnik emocjonalny, a jak mawiał Krzycki, im potężniejsze uczucie, tym większe prawdopodobieństwo zbrodni. I śmiał się, jak gdyby sam był tego najlepszym przykładem.

Krzycki to, Krzycki tamto... Jasna cholera, wszędzie ten Krzycki!

Lucek zacisnął powieki i siłą woli spróbował oczyścić umysł, a i tak jak wampir zza kotary, zza każdej myśli wyłaniał się przyjaciel z tym swoim trochę sympatycznym, a trochę wrednym uśmiechem i radził nie wracać zbyt wcześnie do Krakowa. Z drugiej strony kotary, jak na scenie w tanim variétés, wychylała się Dominika z nienaturalnie podkrążonymi oczami, białą jak papier twarzą oraz ustami w kolorze i rozmiarach krwistego befsztyku, by pogrozić palcem i zachichotać. Bałyś zamykał oczy z całej siły, ścisnął w pięści sztywną narzutę obszernego poniemieckiego łóżka. Nie pomogło.

Nic nie pomagało. Dominika i Andrzej, w tym swoim mrocznym kontredansie, bez reszty zawładnęli umysłem biednego podkomisarza. Nie wróżyło to najlepiej jego pozasłużbowemu śledztwu, ani jemu samemu w ogólności. Gdy wreszcie wielkim wysiłkiem woli odwrócił się od purpurowych kotar i lubieżnych uśmiechów, poleciał w czarną otchłań, machając bezradnie rękami jak noworodek w wanience.

Nie pamiętał, kiedy zasnął.

Gdy się obudził, za oknem szarzało. Wyświetlacz w komórce pokazywał dwudziestą pierwszą pięćdziesiąt cztery oraz siedem nieodebranych połączeń. Od nich. Cztery do trzech dla Dominiki. Skrzyńska z esemesami informowała również o nagranych wiadomościach, których oczywiście nie zamierzał odsłuchiwać. Nie i jeszcze raz nie! Zniknąłem, rozumiecie? Nie ma mnie. NIE MA!

Rozbolała go głowa. Napił się wody z butelki i wyszedł z kuchni na podwórko. Volvo stało nadal przed szopą, cały dzień w słońcu.

Wrócił po kluczyki, otworzył na oścież wrota stodoły i wjechał pod dach. Stodoła pachniała sianem, wyschłym nawozem i ptasimi gniazdami. Po obu stronach wznosiły się drewniane boksy na słomę i Luckowi przypominała się inna stodoła, półtora roku temu w górach, gdzie niefortunnie zakończył się jego pościg za niejakim Żarkowem. Między podobnymi sąsiedkami wisiał wtedy na linie głową w dół. A obok Andrzej...

Szlag!

Tylne wrota wychodziły na łąki i kiedy Bałyś je pchnął, spod ciemnego dachu nagle otworzył się widok na farmę wiatrową. Wieczorny powiew kręcił rażno łopatom, czerwone lampy sygnalizacyjne migwały w zgodnym rytmie. Dwa wiatraki nadal tkwiły nieruchomo. Z trzeciego szły w perłowe niebo kłęby gęstego dymu. Lucek rzucił butelkę z wodą na siedzenie i wskoczył za kierownicę. Nawracając na podwórku, zdziwił się, że nawet na klepisku można pisać oponami. Wypadł z bramy na wiejską drogę, nie zdejmując nogi z gazu.

## 2

– Lucek, przestań svirować i odbierz ten telefon! Zachowujesz się jak smarkacz! Wiem, jesteś smarkaczem, ale to nie upoważnia cię do nadużywania tego przywileju. Nie rób z siebie większego osła, niż jesteś, zrozumiałeś? Oddzwoń i porozmawiajmy jak ludzie. Czeka.

Andrzej miał nadzieję, że ostatnie słowo zabrzmiało jak rozkaz. Rozłączył się i łyknął z kubka letniej kawy. Po czwartej nieudanej próbie zdecydował się nagrać wiadomość na pocztę głosową, czego nie cierpiał. Gadanie do aparatu, który i tak nie odpowie, wydawało

mu się szczytem idiotyzmu. Wprawdzie rozmowa przez komórkę z żywym człowiekiem to prawie to samo, też gadasz do aparatu, ale dla niego różnica była fundamentalna. Piramidalne nieporozumienie z Luckiem i jego ośle zamilknięcie wymuszały jednak odłożenie na bok technologicznych kapryśków. Zakończył połączenie i czekał. Przez pięć minut, dziesięć spoglądał na szklany ekranik, i nic. Kawa całkiem wystygła, więc dopił ją i wstawił kubek do zlewu. Ileż tak można siedzieć z założonymi rękami i czekać na odpowiedź obrażonego smarkacza?

Smarkacz, osioł... Za mocne. Wybrał numer ponownie. Gdy włączyła się poczta głosowa, chrząknął i zaczął powoli, ważąc słowa jak proszki w aptece.

– Lucek, oddzwoń i pozwól mi wytłumaczyć. Nic nie było, naprawdę. Nic, rozumiesz? Jesteś moim jedynym przyjacielem i nie mógłbym zrobić czegoś takiego. Łajdaczyłem się w życiu na różne sposoby, ale nie aż tak. Oddzwoń. Policjant też człowiek, pamiętasz? Tego również cię uczyłem.

Liczył na siłę przyjaźni i samokrytyki. Lucek lubił drwić z jego hulawczych słabości i nawet znajdował w tym, jak się zdawało, jeszcze jedno źródło podziwu dla mistrza. Teraz się to zemściło.

Z Dorotą śniadaniowa rozmowa również nie wyszła. Przekonywali się nawzajem, że poprzedniego wieczora niczego takiego nie zrobili, i każde strzelało przy tym oczami na boki, zdradzając rozległą strefę przemilczeń. Pierwsza zreflektowała się Dorota.

– Nie będę się przed tobą tłumaczyć, bo nie mam z czego – powiedziała, wstając od stołu. – Jeśli musisz, to gadaj do siebie. Ja wychodzę.

Pogłaskała zasmuconą Lalę po łbie i poszła do łazienki zrobić makijaż. Umówili się na popołudnie i już jej nie było, a Andrzej ze

stygającą kawą w ręku snuł smętną refleksję o tym, że nie wychodzi mu rozmowa ani z aparatami, ani z ludźmi.

Trzeci komunikat dla Lucka brzmiał już urzędowo i omijał ich osobiste relacje. Krzycki poinformował podkomisarza Bałysia o swoim urlopie i polecił mu natychmiast wracać do Krakowa z powodu sezonu wakacyjnego.

– Ktoś musi prowadzić podstawowe czynności dochodzeniowe – tłumaczył przystawionemu do ust szklanemu prostokącikowi. – Jeśli nie chcesz tego zrobić dla mnie, zrób dla swojej żony, bo na nią spadnie cała robota. Wydział musi funkcjonować, wszyscy za to odpowiadamy.

Tym razem miał nadzieję, że formalny głos przełożonego zrobi na Lucku większe wrażenie niż przepraszające skamlenia kumpla, który niechętny dał dupy.

– Nikt nikomu nie dawał dupy! – wykrzyknął, nie wytrzymując napięcia. Lala spojrzała na niego krzywo i zamknęła oczy. Szedł kolejny upalny dzień i suka minimalizowała swoją aktywność, także emocjonalną. Odrzucił telefon z niechęcią. Argument o braku rąk do pracy brzmiał równie naciąganie jak wszystkie inne. Gdyby naprawdę istniał problem, Byczkiewicz nie wysłałby go na miesięczny urlop. Prawda była taka, że działa się niewiele i jego ludzi posyłano do zabezpieczania protestów w obronie sądów, bo nie mieli nic innego do roboty. Tam zresztą też nie mieli, poza nagrywaniem filmików z uprzywilejowanej pozycji, które potem wrzucali na YouTube'a. Bąbel ostatnio chwalił się pierdylionem wyświetleń. Krzycki nie znał się na tych rankingach.

Musiał Lucka czymś sprowokować, czymkolwiek, byle tamten się odezwał i przerwał ośli upór. Andrzejowi oprócz wyrzutów sumienia nie dawała spokoju obawa, że do niczego dobrego to nie doprowadzi. Owszem, był sceptykiem i zwykle z przyjemnością

snuł katastroficzne wizje, a myśl, że to wszystko źle się skończy, należała do jego ulubionych. Teraz jednak czuł coś więcej. Jak brzęczący owad nawiedzał go obraz kręcącego się w mroku śmigła z przytwierdzonym do niego okrwawionym ciałem. Nie chodziło o teatr. Morderca zabijał nie tylko tego jednego człowieka. Chciał zabić całą wielką sprawę, rozsmarować na łopacie śmigła problem uosabiany przez nieszczęsnego wójta.

Krzycki znał ten typ sprawców, miał już z nimi do czynienia. Zbrodnicza myśl rodzi się stosunkowo późno, a poprzedzają ją długie i jednostronne rozrachunki ze światem, w których całe „winien” jest po stronie świata, a „ma” – po stronie mordercy. Nic nie idzie tak, jak powinno, ponieważ wszyscy robią źle i nie chcą słuchać, jak ma być dobrze. Naprawa tego stanu rzeczy jest możliwa tylko jedną drogą – eliminacji. Jego terapeutka Wanda nazywała takie przypadki psychotycznymi, wynikały z zaburzeń funkcjonowania neuroprzekazników, których według niej nie da się naprawić. Można powiedzieć, że trwałem uszkodzeniu świata odpowiada trwałe uszkodzenie mózgu. Wariat musi zabić ludzkość, inaczej ludzkość zabije jego. Coś jest na rzeczy...

Andrzej wyjął notatnik z zatkniętym za okładkę długopisem i zaczął rysować. Ile taki wiatrak ma metrów? Jaka jest proporcja wysokości do średnicy wieży u podstawy? Ile wynosi długość łopat i ich całkowita rozpiętość?

Przerwał rysowanie i poszedł poszperać w komputerze. Powoli, ale systematycznie wypracowywał w sobie odruch sprawdzania różnych drobiazgów w internecie, by nie tracić czasu na szukanie ich po książkach i czasopiśmie. Jego wrodzony sceptycyzm, pogłębiony tym nabytym, kazał ostrożnie podchodzić do takich nowinek, ale Lucek z Dominiką i Dorota cierpliwie wprowadzali go w tajniki tego globalnego wysypiska śmieci. „Zasada numer jeden: –

wołał Bałyś, unosząc palec jak kaznodzieja – nigdy nie ograniczaj się do jednego źródła. Im więcej ich znajdziesz, tym pewniejsze potwierdzenie informacji. Uważaj na sformułowania. Jeśli powtarzają się słowo w słowo, znaczy: przekopiowane. Pamiętaj: różne źródła”. Tak go pouczał młodszy kolega (smarkacz), a jego żona (jeszcze młodsza) przytakiwała skwapliwie. Dorota z kolei uczyła go, które strony są najbardziej wiarygodne. „Polską Wikipedię możesz śmiało olać, jej hasła są bezmyślnymi skrótami haseł oryginalnych. Lepiej od razu idź na angielską, niemiecką albo rosyjską, są najbardziej wyczerpujące. A najlepiej przejrzyj wszystkie trzy. Na wszelki wypadek”. Końcówka była ironiczna – Andrzej uwielbiał na koniec celnych fraz dodawać: na wszelki wypadek.

Teraz jednak potrzebował przede wszystkim ilustracji. Natychmiast znalazł ich całe mnóstwo, łącznie z opisem budowy i poglądowymi szkicami na temat sposobów montowania i konserwowania turbin wiatrowych. Dowiedział się przy okazji, że wysokość wiatraka, grubość wieży i rozpiętość śmigieł może być bardzo różna, w zależności od typu, zapotrzebowania na energię, podaży wiatru („dmuchalność regionu”, zanotował sobie w kajeciku i dorysował bużkę) oraz producenta. Inaczej mówiąc, wiatraki były bardzo różne, jak samochody. Posprawdzał największe farmy wiatrowe w Polsce, wyciągnął średnią i wyszło mu, że przeciętny wiatrak na Pomorzu ma sto metrów wysokości i osiemdziesiąt metrów rozpiętości śmigła, a wieża u podstawy powinna mieć około sześciu metrów. Przy okazji dowiedział się, że największy wiatrak na świecie stoi pod Nowym Tomysłem i ma dwieście dziesięć metrów całkowitej wysokości. Otworzył szereg grafik i przeglądał fotografie monstrualnych turbin, próbując zaczepić na czymś wyobraźnię, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nic oprócz bajki

z dzieciństwa o czarodziejskim latającym młynie, który miał wielkie czteropłatowe śmigło i unosił nad wioskami gromadkę spragnionych przygody dzieciaków. Andrzej uśmiechnął się pod nosem: to był ostatni prezent od ojca na Gwiazdkę. Przy najbliższym spotkaniu postanowił zapytać go, czy pamięta tę książeczkę.

Jedno ze zdjęć pokazywało pożar wiatraka na farmie w Holandii i dwóch mężczyzn na dachu. Wyciągali do siebie ręce, jakby składali sobie życzenia noworoczne. Wyczytał, że fotografia przedstawia ich na krótko przed śmiercią. Chwilę później jeden z nich skoczył w dół, a drugi spłonął w gondoli. Andrzej powiększył zdjęcie i z fascynacją przypatrywał się postaciom na szczycie wieży. Ich jedyna droga odwrotu płonęła – mogli albo zostać do końca, albo skoczyć. Oba wyjścia oznaczały śmierć, ale dawały im wybór, ostatni, jakiego mogli dokonać. I podzielili się, każdy wybrał jeden wariant. „Wybieraj, nawet jeśli to już nie ma sensu” – zanotował.

Usiłował sobie wyobrazić, że to oni z Luckiem stoją na płonącym wiatraku. Gondola w ogniu, wiatr obraca śmigłem i pędzi nad pola czarny słup dymu, dach topi się i zapada, a oni trzymają się za ramiona i muszą podjąć ostateczną decyzję. Czy coś tu można jeszcze wymyślić? Czy jest jeszcze jakiś manewr, poza wyborem rodzaju śmierci?

Dobra, Lucek: wariant pierwszy – ja skaczę w dół. Wariant drugi – ty zostajesz do końca na górze. Wytrzymasz? Spróbuję. Tak.

Przypomniała mu się głupia historyjka o dwóch myszach w śmietanie. Jedna poddała się i utonęła, a druga tak długo przebierała łapkami, aż ubiła śmietanę na masło i wydostała się z naczynia. Próbować do końca. Jasne, ale tu? Który z nich jest którą myszą? Co w tym przypadku można jeszcze wymyślić? Dokąd uciec i na jaką pomoc liczyć? Czy istnieją tak wysokie drabiny strażackie?

Nie mógł oderwać oczu od zdjęcia. Obmacywał je wzrokiem punkt po punkcie, piksel po pikselu, szukając najcieńszej niteczki nadziei. Pojedynczego włosa do ześlizgnięcia się w dół. Parasola, z którym można skoczyć. Samoprzylepnych rękawiczek do zjechania po ścianie wieży. Niteczki nadziei w najbardziej dosłownym sensie, na przykład liny spuszczonej po płacie wirnika...

Wróć. Jeszcze raz. Lina spuszczonej wzdłuż wirnika...? Zminimalizował zdjęcie i zaczął przeglądać inne, gdzie dwa płaty śmigła rozchodzą się skośnie w górę, jak uniesione ramiona proroka, a trzeci zwisa pionowo w dół. Całość tworzy wielką literę Y. Właśnie ten trzeci płat go zainteresował. Gdyby spuścić po nim linę z zamocowanym za nogi ciałem... Wrócił do kuchni i bez namysłu powtórzył wybieranie ostatniego numeru. Gdy tylko włączyła się poczta głosowa, Andrzej krzyknął do słuchawki:

– Lucek, oddzwon! Wiem, jak on to zrobił! I przestań wreszcie błąznować!

Schował komórkę i wrócił do laptopa. Przeglądał kolejne zdjęcia wiatraków, na zbliżeniach upewnił się, że gondola ma na dachu barierkę zabezpieczającą i że odległość między nią a piastą jest wystarczająca, by potwierdzić jego przypuszczenia. Cały czas myślał przy tym o unieruchomionym wiatraku, z jedną łopata skierowaną pionowo w dół. Tak, to musiało być tak.

Żeby tylko ten obrażony cymbał zechciał oddzwonić!

### 3

Kiedy Lucek wysiadał nad ranem z samochodu na podwórku swojego nowego domu, dym nadal unosił się z wieży. Niebawem, ile łatwopalnego materiału jest w takim wiatraku, pomyślał, zdejmując



prześmierdłą spalenizną koszulkę. Całą noc był na miejscu katastrofy i usiłował połączyć ten wypadek z poprzednim morderstwem, dokonany dosłownie na sąsiednim wiatraku. To jednak wyglądało na wypadek. Konserwator wszedł na górę, zlekceważył procedury bezpieczeństwa, doszło do pożaru, a potem śmigło odcięło mu głowę. Mając do wyboru śmierć w płomieniach lub od upadku z dużej wysokości, wybrał to drugie. Pod prysznicem Lucek zastanawiał się, co on by wybrał.

Owszem, pojawiło się kilka wątpliwości. Na przykład lina. Komisarz Hadczuk, który nieco zdziwił się na jego widok, ale pozwolił zostać, znalazł ją pod otwartą klapą. Wewnątrz spalonej gondoli nadal wisiał bloczek zjazdowy, prawidłowo przypięty do ramy. Dlaczego inżynier nie zjechał? Co go odwiodło od jedynej drogi ratunku? Inne pytanie dotyczyło drzwi do wieży. Zastali je uchylone. Inżynier mógł być nieostrożny, ale drzwi z pewnością by zamknął, wiedząc, czym grozi zwykłe wśliznięcie się do środka gryzonia lub większego ptaka. Może z powodu upału chciał zrobić przeciąg? Kamera również niczego nie zarejestrowała. Inżynier wchodzi, zapada mrok, i tyle. Tak przynajmniej twierdził ochroniarz śledzący monitory w centrali. Przy sąsiednim wiatraku, gdy morderca wciągał żywego lub martwego Kulika na górę, kamera też niczego nie zarejestrowała.

Ciało wyglądało makabrycznie. Tandem Krzycki–Bałyś zasłynął również liczbą ofiar śmiertelnych, stanowiących efekty uboczne ich skutecznych interwencji terenowych, martwe ciało nie stanowiło więc dla Lucka problemu. A jednak był wstrząśnięty. Gdy młody i błądy jak widmo strażak przyniósł zawiniętą w przeciwpożarowy koc głowę inżyniera Różańskiego, podkomisarz poczuł mdłości. Kolejne tego dnia. Na widok głowy Hadczuk wezwał techników kryminalistycznych.

Lucka opadło zmęczenie i senność. Nareszcie. Jeśli uda mu się zasnąć choćby na dwie, trzy godziny, może nabierze sił na południowe spotkanie z tajemniczą techniczką Ulą. Przyjechała na miejsce wypadku natychmiast po telefonie komisarza, w środku nocy. Wiedziała, kim jest Lucek, ale przywitała się zdawkowo i pobiegła do pracy. Później kilka razy szukał okazji, by zbliżyć się do niej i zamienić parę słów na osobności, ale nie podjęła gry. Zachowywała maksymalną ostrożność, tak to sobie tłumaczył. Nie widział żadnego związku pomiędzy swoją chęcią pogadania z nią a urodą kobiety. Może Andrzej działa w ten sposób, ale nie on. Wreszcie zasnął i spał tak długo, aż przyśniła mu się wirująca w powietrzu głowa, odcięta przez śmigło wiatraka. Głowa Krzyckiego.

Zerwał się na równe nogi. Dochodziła jedenasta. Za godzinę powinni tu być Paweł z Ulą, o ile oczywiście ona zdoła się pozbierać. Gdy Lucek nad ranem stamtąd odjeżdżał, jeszcze pracowała. A jednak przyjechali oboje, równo o dwunastej. Aspirant Urszula Miłęcka miała trochę zaczerwienione oczy i smętny uśmiech, ale przywitała go z entuzjazmem.

– Przepraszam, że w nocy byłam sztywna jak buc, ale wolałam nie zdradzać się ze zbytnią poufałością – powiedziała, wyciągając na powitanie rękę. – Naprawdę jesteś partnerem tego słynnego Krzyckiego?

– Naprawdę to jestem podkomisarz Lucjan Bałyś. Potem ewentualnie partner Krzyckiego – odparł chłodno i natychmiast pożałował. Atmosfera ścięła się na kwaśne mleko. Aspirant Miłęcka uśmiechnęła się do nikogo i otworzyła torbę z materiałami ze śledztwa.

– Dobra, to do roboty! – zawołała, entuzjazmem maskując falstart ich znajomości. – Najpierw coś oczywistego. Materiał DNA

z trójki został pobrany, ale dopóki nie mamy go z czym porównać, jest nieprzydatny.

– Co to jest trójka?

– Stosujemy numerację wiatraków przyjętą przez obsługę. Kulik wisiał na trójce, a wczoraj spaliła się czwórka – wyjaśniła techniczka.

– Następna powinna być piątka – mruknął Paweł pod nosem. Miłęcka zmierzyła go morderczym spojrzeniem.

– Na drabinie w wieży znalazłam ślady materiałowe ze strukturą poletkową – ciągnęła. – Mówiąc normalnie, chodzi o skórzane rękawiczki. Pobraliśmy również nitki z ciała ofiary, przy czym nie jesteśmy w stanie ustalić, czy pochodzą od sprawcy. W miejscach pobicia nie ma nic.

– Sprawca bił go w tych samych skórzanych rękawiczkach? – spytał Lucek.

– Najprawdopodobniej. Na ciele jednak nie znajdziesz ich śladu. Oczywiście, jeśli bije taki, co umie.

– To już coś. Mamy fachowca od bicia. Możesz powiedzieć coś więcej o tym jego profesjonalizmie w oprawianiu ludzi?

– W wieży ani na drabinkach nie znalazłam śladów krwi, tylko na dachu gondoli, więc sprawca bił na górze, a potem zdjął rękawiczki. Jest to o tyle dziwne, że powinny być w takim razie odciski palców lub innych rękawiczek, a nie ma żadnych. Jakby facet wszedł, ale nie zszedł. Pomyślałabym, że Kulik sam się poobijał, a następnie powiesił na śmigle, ale u niego rękawiczek również nie znaleźliśmy.

To ostatnie miało być żartem. Widocznie Miłęcka słyszała o humorze tandemu Krzycki–Bałyś i chciała zręcznie nawiązać. Lucek jednak nie zareagował. Oglądał w skupieniu odbitki śladów i porównywał plansze. Robił Krakowowi opinię drętwego.

– Skąd wiemy, że ślady na drabinie należą do sprawcy? – spytał poważnie, odkładając zdjęcia. – Może zostawił je człowiek z obsługi? Tam co parę dni ktoś wchodzi.

– Pytaliśmy – włączył się Palka. – Nikt z nich nie używa skórzanych rękawiczek. W każdym razie nie ostatnio. Starsze ślady zostałyby uszkodzone albo starte, więc te od skórzanych rękawiczek są świeże.

– Jest jeszcze inna sprawa. – Ula przyjęła styl Lucka i mówiła chłodno, z rzeczowym skupieniem. – Odciski rękawiczek są na pionowych prowadnicach, dlatego mogliśmy je w ogóle uzyskać. Każdy, kto wchodzi po drabinie, stawia nogi na środku, a rękami przytrzymuje się po bokach. To taki odruch. Natomiast w rękawiczkach przesuwasz dłonie po rurce – tak jest szybciej i tarcie nie przeszkadza. Co chwilę musisz mocniej je zacisnąć, i tam właśnie są ślady. Na szczeblach znajduje się tyle różnych odcisków, że nie sposób wyodrębnić jeden konkretny. Są zatarte i niezróżnicowane, jak gwar tłumu.

Luckek ponownie wziął do ręki odbitki śladów rękawiczek. Bał się zdradzać swoje reakcje. Ta dziewczyna mu zaimponowała. Zrobiła to naprawdę zręcznie i fachowo, a przy tym miała w sobie coś inteligentnego. Luckowi inteligencja u kobiet zawsze się podobała.

– To wszystko, jeśli chodzi o próbki? – spytał, nie patrząc jej w oczy. Wstydział się tak bezpośredniego kontaktu.

– Jeszcze lina – wtrącił Paweł.

– A, tak – weszła mu szybko w słowo. – Kupiona w Decathlonie w Koszalinie. Niestety, rachunek płacony gotówką, więc nie mamy numeru karty ani niczego takiego. W tym roku zakupiono tam trzy takie liny, z tego tylko jedną za gotówkę, dokładnie dwudziestego siódmego kwietnia o godzinie czternastej trzydzieści. Ścisłej rzecz

biorąc, jedną o długości stu metrów oraz dwie po dwadzieścia pięć. Tymi krótszymi przytwierdzono ofiarę do łopaty śmigła. Tej długiej, stumetrowej, nie znaleźliśmy.

Miłęcka była naprawdę dobra. O wszystkim pomyślała i wszystko sprawdziła. Wypowiadała okrągłe, przemyślane zdania, a w dodatku wypowiadała je ładnie wyciętymi ustami o pełnych błyszczących wargach, marszcząc przy tym śmiesznie nos.

– Super, dzięki – powiedział, zerkając na nią. Kiedy dziękujesz, wypada spojrzeć w oczy. U niej akurat zaczerwienione ze zmęczenia i bezsenności. – Może napijemy się kawy? – zaproponował.

– To ja nastawię wodę – zadeklarował Paweł i poszedł do kuchni.

– Jest jeszcze coś – powiedziała półgłosem Ula Miłęcka po jego wyjściu. – Wiatrak był zamknięty. To znaczy, że sprawca dysponował kluczem. Po wyreżyserowaniu swojego makabrycznego spektaklu zszedł na dół i zamknął drzwi. Co jest ciekawe? Że wójt miał swoje klucze od wieży przy sobie.

– A skąd w ogóle klucze u wójta? – zdziwił się Lucek. – Po co mu wstęp na wieżę?

– To jest następna ciekawa rzecz – dodała Ula z dzikim błyskiem w oku.

– Mogło być również tak – wrócił do swojego wczorajszego pomysłu – że Kulik otworzył wieżę, weszli ze sprawcą do środka, zamknął na klucz od wewnątrz i obaj wdrapali się na górę. Jeden został na łopacie, żeby się wykrwawić, a drugi... zniknął.

– No właśnie. Gdyby zjechał na tej stumetrowej linie, którą kupił w Decathlonie, mielibyśmy jakiś znak na obudowie gondoli. Przetarcia, smugi, cokolwiek. Przeszukałam całą górę, centymetr po centymetrze, i nic nie znalazłam. Na dole też zostałyby odciski butów, rąk, nie wiem. A poza tymi gumowcami z GS-u nie ma nic.

Nie sędzę, żeby wysportowany człowiek zjeżdżał na linie w roboczych gumiakach tylko po to, by w prostacki sposób nas zmylić. Kto nabierze się na coś takiego? Zresztą te ślady są trochę dalej od wieży, musiałby na tej linie niezłe się rozhuścić. Nie wiem też, czy na stumetrowej linie można zjechać z wysokości stu metrów. Obawiam się, że nie. Sam widzisz – westchnęła na koniec i przetarła oczy palcami – że niewiele trzyma się kupy.

– Tak, niewiele – przyznał w zamyśleniu Bałyś. – Niemniej coś mamy.

– Może – zgodziła się z niechęcią, jakby nagle odeszła jej ochota do pracy.

#### 4

Paweł wrócił z kuchni, niosąc srebrną tacę z kubkami kawy i staroświecką cukiernicą, na której widniał niebieski napis Zucker. Taca miała ozdobne, secesyjnie wywinięte uchwyty.

– To z szabru? – spytał Lucek.

– Tak zwany szaber pasywny – wyjaśnił Palka. – Dziadkowie nic nie musieli robić, tylko zajęli dom z przydziału. Towar był na miejscu. Chcecie mleka?

Oboje z Ulą równocześnie pokręcili głowami.

– Bez mleka mocniej działa – odparł Bałyś, by jakoś zagadać to nagłe zgranie się z Miłecką w gestykulacji. Z jakiegoś powodu nawet w tym widział zagrożenie. Zupełnie nie rozumiał, co się z nim dzieje.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytał go Paweł, gdy usiedli we troje na fotelach. – Masz jakieś skojarzenia? Pomysły?

– Nie tak szybko, nie jestem cudotwórcą. Powiedzcie mi najpierw, kto ostatni widział Kulika żywego.

– Tu jest następna ciekawa historia – odparła szybko Ula, która chyba chciała pokazać, że świetnie opanowała zadany materiał. – Ostatnia widziała go żona, kiedy wrócił z pracy, zjadł obiad i pojechał z powrotem, twierdząc, że musi z kimś się spotkać. Nie powiedział z kim. Od sekretarki dowiedzieliśmy się, że w biurze feralnego dnia Kulika odwiedził ważny gość z zagranicy. Starsza pani z Niemiec, podobno dawna mieszkanka Grębówka, z tłumaczem i kierowcą. Niestety nie mamy pojęcia, czego dotyczyła wizyta. Sekretarka twierdziła, że po odjeździe Niemki wójt wyszedł z gabinetu zadowolony i powiedział, że umówił się na randkę. Podobno dodał: „Może wreszcie to się skończy”.

– Co się skończy?

– Tego nie wiemy – wtrącił Palka. – Nie wiemy nawet, czy faktycznie się spotkali.

– Należało spytać Niemki. Przesłuchaliście ją w ogóle?

Oboje jak na komendę zaczęli chrząkać z zakłopotaniem. Pierwsza zebrała się na odwagę Ula.

– Nie zdążyliśmy. Wyjechała następnego dnia.

– Wyjechała? – Lucek z wrażenia wstał. – Do Niemiec?

– Tak. Zanim nasza ekipa dotarła do hotelu w Krągu, gdzie mieszkała, od dwóch dni już jej nie było.

– A ci tłumacze?

Aspirant Urszula Miłęcka musiała mieć poczucie, że chwile jej świetnego przygotowania minęły, ponieważ westchnęła jak przyłapana winowajczyni.

– Wyjechali razem z nią. Zrozum, zanim poskładaliśmy w całość kamyczki, minęły dwa dni! Nikt nie mówił o żadnej Niemce! Dopiero kiedy pojechaliśmy przejrzeć gabinet wójta, od sekretarki

dowiedzieliśmy się o tamtej wizycie. Z monitoringów województwa zachodniopomorskiego wiemy, że czarny mercedes przekroczył granicę pod Szczecinem jeszcze tego samego dnia, kiedy Heike Liebner wymeldowała się z hotelu. Zresztą to nie ona.

– Skąd wiecie?

Palka znowu poczuł się w obowiązku zabrać głos.

– Rozmawialiśmy z obsługą hotelu – wyjaśnił. – Kobieta wróciła do pokoju jeszcze przed godziną osiemnastą, o dziewiętnastej była na kolacji, a później w sali telewizyjnej. Tłumacz i kierowca jej asystowali. Ich samochód cały czas stał na parkingu, jest zapis z monitoringu. Wieczór spędzili na miejscu. Wyjechali następnego dnia po śniadaniu, a recepcjonista twierdził, że wszystko odbyło się zgodnie z wcześniejszą rezerwacją.

– To o niczym nie świadczy – mruknął Bałyś w zamyśleniu. – Mogli to wcześniej zaplanować.

– Myślisz, że w tym celu poszliby do biura umówić się oficjalnie na rozmowę, z podaniem tematu i nazwiska? – spytała zadziornie Ula. Broniła swoich kompetencji hardo, bardziej stanowczo niż Palka, który w ogóle sprawiał wrażenie ssaka żywiącego się głównie wątpliwościami. – Pani Liebner z Hanoweru ma prawie osiemdziesiąt lat i chociaż nieźle się trzyma, nie sądzę, by zdołała powiesić rosnącego chłopca na skrzydle wiatraka, wdrapawszy się z nim uprzednio na górę. Jej tłumacze chyba też nie. W ogóle nie wiem, kto mógłby coś takiego zrobić. – Miłętka denerwowała się coraz bardziej. – No i sprawa najważniejsza: motyw. Po co stara Niemka miałaby mordować Kulika, i to w taki sposób? Gdzie jesteście, Lucek? Mogę tak do ciebie mówić? Lucek?

– Możesz. Lucek. A ty Ula?

– Ula.



– No to słuchaj, Ula. Tu nic nie jest takie, jak się wydaje, że użyję książkowej frazy. Zbrodnia jest niezwykła, okoliczności są niezwykle i jak sama widzisz, ludzie również są niezwykli.

– Zbrodnia zwykle jest niezwykła – błysnął Palka.

– Niekoniecznie. Kiedy pijany mąż w zamroczeniu wali żonę siekierą w głowę, a potem do przyjazdu policji śpi na kanapie, to nie ma w tym żadnej niezwykłości. Tu – Lucek pokazał palcem za okno – jest. Czy ta Heike Jakaśtam bywała tu wcześniej? Wiemy coś o celu jej przyjazdu? Turystyka? Biznes?

– Frau Liebner w hotelu w Krągu zatrzymywała się dwukrotnie, raz w tym roku wiosną i raz w ubiegłym, latem. Pochodzi stąd, jak większość niemieckich turystów, którzy wybierają te strony na urlop, by na chwilę wrócić do pejzaży dzieciństwa. Nie ma w tym niczego dziwnego, przeciwnie – typowy starczy sentymentalizm.

Ula wróciła do swojego rzeczowego tonu. Mówiła z przekonaniem kogoś, kto doskonale wie, na czym polega starczy sentymentalizm. Lucek uśmiechnął się pod nosem.

– Jesteś nieźle zorientowana w sprawach starości. Odpowiem ci tylko tyle, że przeżycia z dzieciństwa są najsilniejsze, określają twoje priorytety i preferencje na resztę życia. Może chce wyrównać tu jakiś rachunek i dlatego wraca. Na ile orientuję się w historii, ich exodus stąd pod koniec wojny niewiele miał wspólnego z soplicowską sielanką.

– Może. Nie wiem. – Ula wzruszyła ramionami i dopiła kawę po to tylko, by z głośnym stukiem odstawić kubek. Coś ją wyprowadziło z profesjonalnej równowagi. Lucek postanowił zmienić temat.

– No dobrze, a wątek Kały? Jaki on mógł mieć interes w zamordowaniu Kulika?

– Żadnego – odparł natychmiast Palka. – Mieczysław Kulik pracował dla Kały i jeśli nasza wiedza nie jest całkiem od czapy, to pracował solidnie. Dogadywali się świetnie. Wieszanie na wiatraku nie przypomina też metod Kały. Potrącenie przez ciężarówkę, o, to byłoby w jego stylu.

– Czyją ciężarówkę?

– Na przykład Zbigniewa Klisza. To największy potentat żwirowy w powiecie i bliski współpracownik Kały. Jego samochody rozjeżdżają okoliczne wioski, bo wożą piasek na budowę obwodnicy. Ludzie się skarżą, piszą protesty, ale nic nie pomaga. Nie do ruszenia. Wiesz, jak to się robi na prowincji.

– Wiem – potwierdził Lucek. – Starosta, ksiądz proboszcz, komendant policji plus prokurator. Ewentualnie jeszcze ordynator szpitala.

– No właśnie. Dołóż do tego pokrewieństwo i masz obraz naszego problemu.

– Czekaj, czekaj. – Bałyś klepnął się w głacę. – Kto z kim jest spokrewniony?

– Klisz to kuzyn Kały – wyjaśnił Paweł. – A Zdybas to jego szwagier. To znaczy, że jeżeli Kała będzie chciał dowiedzieć się czegoś o śledztwie albo – co bardziej prawdopodobne – nieco nim pokierować, to nie ma zmiłuj. Widzisz, stąd ten pomysł, żeby wciągnąć ciebie...

Przetarł palcem oczy, choć z nich trojga był najbardziej wyspany. Lucek gładził się po głowie, usiłując zebrać myśli. Utrudnień doznawał z dwóch powodów: niewyspania oraz Uli Miłeckiej.

– Nadal nic z tego nie rozumiem – powiedział, unikając jej wzroku, który wydawał się specjalnie go śledzić. – Jeżeli Kała nie jest zamieszany w morderstwo, Klisz również, o ile dobrze was

rozumiem, to dlaczego obawiacie się matactw z ich strony? Czy rozwiązanie tej zagadki nie powinno leżeć również w ich interesie? To w końcu zakłócenia na ich terytorium. Ktoś im psuje interes, robi smród wokół farm wiatrowych stojących na ich gruntach, morduje jednego ze współników – to chyba dla nich problem, nie?

– Teoretycznie tak – zgodziła się Ula. – Sęk w tym, że nie wiemy, czy na pewno. Słyszałam, że Kała dopytywał Zdybasa o nowe tropy w śledztwie: co, gdzie, jak. Nie potrafimy rozstrzygnąć, na ile potrzebne mu jest wykrycie prawdziwego sprawcy, a na ile wyprowadzenie śledztwa w pole.

– W pole kukurydzy – uzupełnił Palka.

– Może być też tak – ciągnęła Miłęcka, ograniczając się do powściągliwego uśmiechu – że bez względu na to, kto to zrobił, Kała będzie dążył do wyhamowania śledztwa, aż do całkowitego odłożenia do szuflady z powodu braku postępów. Wiesz, mafia lubi spokój i milczenie, a taki teatr na szczycie wiatraka działa na nich jak płachta na byka. A teraz jeszcze ten pożar... Chodzą tam pewnie wściekli jak szerszenie.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z wyraźną satysfakcją.

– Nasz krakowski kolega też dołożył swoje! – Paweł rzucił ze śmiechem.

– O czym ty mówisz?

Widząc jej autentyczne zdziwienie, zrelacjonował wczorajszą bijatykę na parkingu pod Miastkiem, podkreślając brawurę i nadludzką sprawność fizyczną podkomisarza Bałysia. Padały określenia „terminator” i „Ironfist”.

– Nie jest jasne, po co to zrobił – dodał na koniec. – Jedno jest pewne: Kała zapoluje teraz na niego.

Miłęcka w milczeniu mierzyła wzrokiem raz jednego, raz drugiego. Ich rozbawienie wpędzało ją w jeszcze większą

konsternację. Nie bardzo rozumiała, co jest śmiesznego w tym samobójczym kroku.

– I co, nie boisz się? – spytała Lucka.

Pokręcił głową. Jej zdziwienie sprawiało mu przyjemność.

– Jemu chyba właśnie o to chodziło – odparł za niego Paweł. – Bałyś wypowiedział wojnę byłemu komendantowi i teraz się zastanawia, jak ją wygrać. Gdybyś nadal nie rozumiała, wyjaśniam: jesteś jedną z dywizji w tej wojnie. Podobnie jak ja. Oczywiście, napawam się myślą o spektakularnym zwycięstwie, ale śmierć na polu bitwy też nie jest zła. To co, wchodzisz? Żartowałem, już weszłaś.

Lucek uśmiechał się z innego powodu. Oprócz zainteresowania Uli przyjemność sprawiało mu również poczucie spadania w przepaść, dosłownie. Było coś nieodparcie zasysającego w tym spadaniu, radość zwalania się pod stół razem z obrusem i całą zastawą, na złość gościom, którzy zamierzali zabawić się jego kosztem. Gładził łysą czaszkę i chłonał tę atmosferę nieuchronnej apokalipsy emanującą z opowieści Pawła. Tak, Bałyś wypowiedział wojnę lokalnej układówce i teraz czeka na rozwój wypadków w jednym kierunku – w otchłań. To miało swoją siłę. Biło w niego i w jego najbliższych, a o to przecież chodziło. Andrzej nazwałby to pewnie odmrażaniem sobie uszu na złość rodzicom, ale co z tego? Zawsze zgrywał mądrzejszego, niż jest. Lecimy w przepaść, pa, pa. Ależ będzie piękna katastrofa! W jednym Palka się mylił: Lucek wcale nie zastanawiał się, jak wygrać tę wojnę. Interesowały go tylko maksymalne spustoszenia.

– Naprawdę jest tak, jak on mówi? – spytała.

Wytrzymał jej wzrok. Liczył na to, że wyszedł mu taki sam zimny uśmieszek, jaki miał Bogart w Key Largo.

– Gorzej. Pozwolisz, że oszczędzę ci szczegółów.

Na chwilę zrobiło się cicho. Każde z nich po swojemu próbowało poukładać to wszystko w jakiś sensowny wzór. Rzucane przez Miłęcką spojrzenia zdradzały, że jej wątpliwości co do wciągnięcia w sprawę Bałysia jeszcze się pogłębiły. Pewnie już żałowała, że dała się namówić na wyprawę do Grębówka koledze z komendy. Złamała parę przepisów, a w zamian otrzymała właśnie zapewnienie, że jest gorzej, niż myśli. W dodatku ten podobno przesympatyczny i dowcipny partner Krzyckiego wcale taki nie był. Przeciwnie, wyglądał jak uciekinier z poprawczaka, który przed dotarciem do domu zdążył napaść na dilerów narkotyków i wciągnąć wszystko, co przy nim znalazł. Tyle Lucek zdołał wyczytać z jej niespokojnych spojrzeń i rozpierała go duma z własnej przenikliwości.

Palka dla odmiany kombinował, czy poczynione onegdaj kalkulacje co do użyteczności podkomisarza nadal są aktualne i czy on sam przypadkiem nie wyjdzie na tym jak Zabłocki na mydle. Zwłaszcza że właśnie zaczął ręczyć za całą sprawę domem po babci...

Samemu Luckowi niezbyt wadziły te ich hamletyczne rozterki. Jego plan był prosty: wysadzić wszystko w powietrze, a potem sprawdzić, co wynika z pogorzeliśka. Zrobi to sam, w pojedynkę. A na koniec podetrze się bezgranicznym zaufaniem do partnera. Tyle mniej więcej znaczył uśmiech Bogarta na jego twarzy.

Przyglądał się kopii orzeczenia lekarskiego jak rozjechanej żabie. Wreszcie upuścił je na podłogę i kopnął, nie trafiając. Spłynęło pod biurko i bezgłośnie osiadło na dywanie. Nadepnął je błyszczącym noskiem buta, pociągnął ku sobie i kopnął jeszcze raz.

Kartka podfrunęła z gracją, jak liść na wietrze, i upadła pod oknem. Kała podszedł do niej z niechęcią i nadepnąwszy tym razem obydwoma butami, deptał tak długo, aż z jednej dużej kartki papieru zrobiło się wiele małych karteczek.

– To kiedy ten cymbał wyjdzie? – spytał, odwracając się do nich. Stali obaj na baczność jak jacyś popieprzeni rekruci z amerykańskiego filmu.

– Najwcześniej za dwa tygodnie, szefie – odparł Tasak z niepewną miną. – Tak powiedział lekarz. Ma pękniętą czaszkę.

– Nie mów do mnie „szefie”! – krzyknął Kała na cały głos. – To nie jest, kurwa, jakiś pierdolony komiks Marvela!

– Tak, panie dyrektorze! – pośpieszył z poprawką Tasak. – Najwcześniej za dwa tygodnie!

– Nie musisz powtarzać, nie jestem idiotą. W przeciwieństwie do was. A bez Dudasa jesteście jeszcze głupszy. Nie – machnął ręką, odganiając tę niefortunną myśl – z nim czy bez, jedno gówno. Potrzebuję czwórki ludzi do następnej roboty. Ty – puknął Tasaka palcem w pierś, aż ten się zatoczył – pokierujesz akcją, a na czwartego weźcie tego Ukraińca, Saszę, czy jak mu tam.

– To Białorusin – poprawił go Tasak, licząc, że w ten sposób jego notowania nieco podskoczą. Mylił się.

– Jak będę potrzebował twojej mądrości, pstryknę palcami. A jak jeszcze raz odezwiesz się niepytany, zamiast palca użyję pięści. A teraz skup się.

W gruncie rzeczy lubił Tasaka. W najbliższych dniach potrzebował jednak ich absolutnego posłuszeństwa i skupienia. Zrobiło się nagle niedobrze i należało szybko odwrócić tendencję. Musiał mieć pewność, że następną akcję wykonają dokładnie tak, jak ją zaplanował, bez nawalania i bez najmniejszych uchybień. Zwłaszcza że zawierała w sobie drugą akcję, mniejszą, choć dla

niego osobiście większą, największą od lat. Morderstwo na wiatraku stało się dla jego interesów nieoczekiwaną katastrofą, więcej – błędem, który należało przekuć na własną korzyść. Tak właśnie chciał zrobić i ten młody partner Krzyckiego świetnie się do tego nadawał. Nieopierzony, wyrywny, łatwy do sprowokowania – nic, tylko skorzystać. Kała uśmiechnął się pod nosem. Pomysł z konferencją był dobry, powinien postawić za nią drinka Wojcieszce. Chociaż – właściwie zrobił to nie dalej jak wczoraj.

– Pojutrze idzie następny transport – powiedział, siadając za biurkiem i wskazując im krzesła. Usiedli jak na komendę. – Tu macie trasę, a tu – uderzył długopisem w mapę – zaznaczyłem miejsce. Przyjrzyjcie się uważnie, bo zaraz ją spalę. I żadnych zapisków w smartfonach i innych srajfonach, bo wam nogi z dupy powyrywam! – krzyknął, unosząc palec. Zaraz potem roześmiał się, a oni skwapliwie dołączyli i cała trójka rechotała z ulgą. Następnie pochylili się nad mapą i śledzili palcami trasę przejazdu. Kiedy uznał, że zapamiętali, zmiął mapę w kulkę, położył na mosiężnej popielniczce i podpalił złotą zapalniczką. Wyglądało to na czysty profesjonalizm, chociaż równie dobrze mógł im to po prostu powiedzieć. Kała jednak cenił efektowne gesty.

Kiedy po obgadaniu szczegółów zbierali się do wyjścia, zatrzymał Tasaka.

– Wybierasz się jutro do szpitala?

– Jasne, sze... panie dyrektorze. To mój kumpel.

– To świetnie. Słuchaj, Tasak, łowiłeś kiedyś ryby na żywca? No to super, wiesz, o co biega. Nadziewasz małą rybkę na haczyk i puszczasz niby wolno, żeby złapała się większa. A jak masz tę większą, możesz zjeść ją od razu albo nabić na hak i zarzucić na jeszcze większą rybę. Kapujesz? To świetnie. A teraz posłuchaj...

I opowiedział mu o swoim drugim planie, który zawierał się w tym pierwszym jak pierścionek w pudełku. Tasak przytakiwał skwapliwie, ale w miarę słuchania ruchy jego stawały się coraz wolniejsze, aż zamarł.

– Ja pierdzielę – wymamrotał z przejęciem. – Pan to ma sze... szerokie horyzonty. Kanclerski łeb!

– Nie podlizuj się, Tasak – powiedział, klepiąc go przyjaźnie w plecy. – Idź już i przygotuj mi tego Ukraińca z Białorusi.

Po wyjściu podwładnego usiadł ciężko w wielkim fotelu i wyłożył nogi na biurko. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, będzie tak robił codziennie aż do końca życia.

Na pewno pójdzie.

## 6

Za nieudany obiad mógłby winić głównie siebie. Wystarczyło wyrzucić przywiezioną przez nich pseudochińszczyznę za stodołę, żeby dziki zwierz się posilił, a do ryżu z surówką dorobić cieciorkę. Lucek zdążył przejrzeć spiżarkę i widział tam słoik z marynowaną ciecierzycą oraz puszkę pomidorów. Pięć minut roboty. Nie podjął się jednak akcji ratunkowej dla niedzielnego obiadu z tej prostej przyczyny, że jedzenie w ogóle przestało go interesować. Niechęć do kuchennych przygód z patelnią i przyprawami w jakiś niejasny sposób łączyła się z urazem do Dominiki i Andrzeja, jakby lata poświęcone doskonaleniu kulinarnych przepisów służyć miały przede wszystkim im dwojgu. A oni ten piękny dar zwyczajnie sponiewierali. Nie to nie. Walić kuchnię i niedomyte gary.

Zamiast jedzeniem, interesował się Ulą Miłecką. Patrzył z przyjemnością, jak jej długie palce z wdziękiem trzymają widelec,



którym dziobie na talerzu płatki duszonego bambusa i pokurczone od gorącego tłuszczu kostki mięsa niewiadomego pochodzenia. Przeważnie odsuwała je na bok, z rzadka tylko nabijając mniej odrażający kawałek, by następnie włożyć go niedbale do ust i długo żuć. To był najlepszy moment. Rozchyłała wargi i wsuwała w mroczny otwór to ciepłe i wilgotne coś, co po przeżuciu spływało w dół, w niedosiężne zakątki ciała. Lucek złapał się na myśli, że chciałby być tym czymś. Wejść do jej środka. Sam nie zjadł prawie nic.

– Wyszniysz tu jak zeszłoroczne muchy. – Paweł pokazał widelcem jego talerz. – Zjedz coś.

– Nie jestem głodny – odparł. – Powiedźcie mi jeszcze, co z tym świadkiem. Tą kobietą, która widziała sprawcę.

– Przesłuchaliśmy ją, jak wiesz – zaczęła szybko Miłętka. Najwyraźniej nadal zdawała przed nim egzamin z policyjnych sprawności. – Powinniśmy jednak powtórzyć te przesłuchania. Wtedy była jeszcze w szoku i jeśli oprzemy na nich akt oskarżenia, każdy adwokat z łatwością to podważy.

– No ale coś widziała – drążył, wpatrzony w poruszające się wargi Uli. – Dała wam opis sprawcy.

– Ściślej rzecz biorąc, kogoś, kogo widziała wtedy na polu. Nie mamy stuprocentowej pewności, że to on. Jak mówiłam, kamery nie zarejestrowały nikogo wchodzącego do wiatraka.

– To ja pierwszy mówiłem – wtrącił Palka. – Jak piliśmy... siedzieliśmy pod wieżą. Tu pojawia się następny niemożliwy punkt: zbrodniarz nie wszedł do wiatraka ani z niego nie zszedł. Dobijamy do ściany.

– Nie wszedł i nie wyszedł, a popełnił morderstwo – powtórzył wolno Bałyś, nie mogąc oderwać oczu od karminowych ust. – Opieracie to założenie na braku zapisu z kamery oraz śladów. To

znaczy tylko tyle, że oba te źródła zawodzą. Może to być spowodowane albo ich techniczną niedoskonałością, albo tym, że ktoś nimi manipulował. Istnieje jakaś nić łącząca agencję ochrony od wiatraków z Kałą?

Palka z Miłęcką zareagowali równocześnie.

– Przypuszczasz, że jednak Kała?

– Chcesz powiedzieć, że niedokładnie zbadałam miejsce zbrodni?

– Tak. Nie. Uważam, że ktoś mógł zmanipulować nagrania z monitoringu. Nie – zwrócił się do Uli. – Nie chodzi mi o twój profesjonalizm, tylko o umiejętne zacieranie śladów przez sprawcę. Zrobił to na tyle sprytnie, że nawet nie wiemy, czy w ogóle mamy jego DNA, nie mówiąc o odciskach palców. Jedynym tropem są skórzane rękawiczki i tu odwalilaś kawał dobrej roboty.

Miał nadzieję, że załagodził napięcie, Ula jednak nie wyglądała na udobruchaną. Zacisnęła wargi i wróciła do segregowania roślinnych i zwierzęcych szczątków na talerzu. Lucek złapał się na myśli, że musi zrobić wszystko, by poprawić jej humor. Zanim jednak otworzył usta, Paweł klepnął dłonią w blat i zawołał z nagłym entuzjazmem:

– Dobra, musimy wracać! Ja mam jeszcze dzisiaj robotę! A twoje plany? – zwrócił się do Lucka, który pośpiesznie usiłował zamaskować popłoch. Już jadą?

– Jeszcze nie skończyliśmy! – zaprotestował nieco zbyt głośno. – Chciałbym jeszcze dowiedzieć się paru rzeczy. Powiniennem porozmawiać ze świadkiem, skoro widział potencjalnego sprawcę. To samo z Hadczukiem i Zdybasem. Musicie mi też powiedzieć, gdzie znajdę Kałę i jego ludzi...

Wymyślał na poczekaniu, byle tylko zatrzymać ich jeszcze chwilę. Starał się być przy tym chłodny i rzeczowy, ale Miłęcka

zerknęła na niego z dziwnym błyskiem w oku i natychmiast zamilkła.

– Dzisiaj jest kolejny protest pod sądem – wyjaśnił Palka. – Musimy być wszyscy – wyszczerzył zęby w kierunku Uli – oprócz techników. Znosi się na to, że będziemy wystawać z manifestantami cały lipiec.

Powiedziawszy to, podniósł się, zebrał ze stołu swoje brudne naczynia i wyszedł do kuchni. Oboje odprowadzili go wzrokiem.

– Odwiesz mnie? – spytała Ula. Jej głos był cichy, ale stanowczy, podobnie jak wzrok, który utkwiała w Bałysiu. Wnętrznosci ścisnął mu potężny skurcz.

– Jasne – odparł szybko, ponieważ Paweł już wracał.

– Słuchaj, ja jeszcze trochę zostanę – powiedziała do niego. – Lucek mnie odwiezie. Musimy obgadać parę rzeczy. Jest też sprawa wczorajszego pożaru i śmierci tego inżyniera. Nie możemy wykluczyć, że wiąże się ona z tamtym morderstwem. Powiedz, Lucek, że tobie też to przyszło do głowy – zakończyła, patrząc mu prosto w oczy.

– Jasne – powtórzył drewnianym głosem. – Pewnie, że przyszło.

Uśmiech Pawła zasługiwał na nagrodę specjalną w konkursie na dwuznaczną minę. Trochę zbiło to podkomisarza z tropu, w większym stopniu jednak sprawiło mu przyjemność.

– No dobra! Tylko wyróbcie się do jutra rana, bo robota czeka – burknął nieprzyjemnie Palka i natychmiast wyszedł.

Siedzieli oboje w milczeniu przy stole i gapili się na siebie, wycytując ze swoich oczu potrzebne informacje. Pierwszy nie wytrzymał Lucek. Był ciągle słaby w takich pojedynkach na spojrzenia.

– Napijesz się herbaty?

– Chętnie – odparła – ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

Patrzyła w niego nieruchomo. Wysunęła koniuszek języka, by oblizać dolną wargę, i szybko go schowała. Luckowi zdawało się, że usłyszał cichy syk.

– Opowiesz mi, co się z tobą dzieje.

## 7

Puściła filmik jeszcze raz od początku. Ktoś rejestrował płonący wiatrak z oddalenia, postać na dachu była jednak bardzo dobrze widoczna. Poświata znad morza wyostrzała kształty, ponieważ filmowano od strony wsi. Z ciemności. Kobieta założyła okulary i zbliżyła nos do monitora. Tak, to na pewno on. Obejrzał się za siebie, jakby chciał ostatni raz upewnić się, że za plecami ma przepaść, zamachał rękami jak ptak, odwrócił się i skoczył. Uderzone śmigłem ciało zawirowało w powietrzu, a od tułowia oderwał się czarny punkt i poszybował daleko w pole. Wiedziała, co to jest, i wiedziała również, że z tego właśnie powodu filmik za chwilę zostanie zablokowany na YouTube i więcej go nie zobaczy. Pośpiesznie ściągnęła plik na twardy dysk i podpisała: Gerdas Rache. Zemsta Gerdy.

Odchyliła się od ekranu i przetarla ściereczką szkła okularów. Przez jakiś czas nie może się tam pokazywać, musi poczekać, aż sprawa nieco przycichnie. Z pewnością wiedzą o jej kontaktach z Kulikiem i pośpiesznym wyjeździe nazajutrz po jego śmierci. Pożar wiatraka stanowił dla niej nieoczekiwany bonus, spowodował jednak również nieprzewidziane utrudnienia. Wokół pola – jej pola! – zrobi się na jakiś czas głośno, policja polska będzie szukać, dopytywać i zbierać w celach identyfikacyjnych te ich modne teraz

materiały genetyczne. Mogliby pogrzebać w ziemi, tam jest dopiero ciekawy materiał! Chętnie by się wtedy przyłączyła. Tylko gdzie dokładnie? Jak, verdammte Scheisse, wyznaczyć ten jeden jedyny punkt? Kulik jej tego nie powiedział, inżynier Różański również, i już nie powiedzą. Aby dowiedzieć się więcej, musi wrócić do Heinsdorf i rozpocząć poszukiwania na nowo. Ale nie teraz. Wkrótce.

Puściła filmik jeszcze raz. Chłonęła otoczenie płonącej wieży, zarysy drzew przy drodze od Schlawe, wieczorną zorzę gasnącą nad Ostsee, dokładnie taką samą jak tamte, pierwsze, oglądane w całkiem innym świecie. Tym świecie, gdzie nadal mieszka Gerda. Windmühle. Wiatrak. W Heinsdorf przed wojną stał tylko jeden, drewniany i czarny, ze zwalistym łbem otoczonym wieńcem kołków, na których obracał się wokół własnej osi. Kiedyś nawet widziała, co jest w środku, ojciec ją zabrał, gdy jechał zemleć zboże na śrut. Pachniało tam kwaśno, podłoga była biała i coś okropnie skrzypiało w górze.

Te są inne. To w ogóle nie są prawdziwe wiatraki, tylko turbiny elektryczne napędzane pomorskim wiatrem. Gdy płoną, śmierdzi plastikiem, a nie nasączonym terpentyną drewnem. Wróciła do filmiku. W momencie, gdy tłumok z ciałem wypełnionym materiałem genetycznym oprawcy jej siostry odbił się od łopaty śmigła, korony przydrożnych drzew rozświetliły niebieskie światła wozów strażackich i policji. Odrobinę za późno. Oni zawsze przyjeżdżają ein bisschen zu spät i potem badają nie to DNA, co trzeba. I jak mają wiedzieć cokolwiek o tej ziemi?

Wyłączyła komputer i poprosiła Michała, żeby przygotował leżankę do masażu. Lubiła ucisk jego silnych młodych palców. Na tyle erotyki mogła sobie jeszcze pozwolić.

## VI

### Coś się stało

#### I

– Skąd wiesz, że coś się ze mną dzieje?

Odstawiając starą miśnieńską filiżankę na srebrną tacę, bardzo się starał, żeby nie zadzwoniła. Na próżno. Rozległ się głośny brzęk, jego własne nerwy go zdradziły. Niemieckie wyposażenie tego domu też miało w sobie coś ze zdrady, choć Lucek nie bardzo umiał zgadnąć, kto tu właściwie kogo zdradzał i dlaczego. Ula założyła nogę na nogę, odsłaniając smukłą łydkę jak ukrytą broń, i wzięła w palce drugą miśnieńską filiżankę, która była jej psio posłuszna i nawet nie drgnęła.

– Mogłabym długo mówić o twoich niespokojnych i czerwonych oczach, roztrzęsionych bez powodu dłoniach i nieudolnym odgrywaniu junaka, a także o twojej komórce. Leży na komodzie z wyłączonym dźwiękiem, a mimo to ktoś stale próbuje dodzwonić się do ciebie. Zamiast tego powiem krótko: jestem kobietą i pewne rzeczy widzę. No już, wyrzuć to z siebie.

Chciał zaprotestować, że nie ma nic do opowiedzenia i ważniejsze dla niego są teraz sprawy śledztwa, ale byłoby to kłamstwo. Miał sporo do opowiedzenia. Jeszcze się wahał, jeszcze kluczył, ale spłynęła nagle na niego radość wywołania totalnej katastrofy i zaczął mówić. Siedzieli obok siebie na kanapie w pokoju gościnnym, więc nie musiał patrzeć na Ulę. Mówił o swoim bolesnym doświadczeniu do miśnieńskiej filiżanki na srebrnej tacy.

O zdradzie. O przerwanej przez burzę wyprawie z Pawłem na pole wiatraków, o telefonach do Dominiki i Andrzeja, o swoich podejrzeniach i o tym, jak próbował się ich pozbyć za pomocą rozsądnej kalkulacji. O bezsennej nocy i mokrym asfalcie na ulicy, w którym odbijał się obraz z koszmarnego snu, o wyjeździe świtem, telefonie Andrzeja i jego przyznaniu się do nocnej wizyty u jego żony, a na koniec o napadzie na ciężarówkę. W tym ostatnim Lucek miał okazję wytłumaczyć się, dlaczego w tak głupi i nieodpowiedzialny sposób zadarł z Arturem Kałą. To było silniejsze od niego. Musiał.

Kiedy skończył, poczuł wielką ulgę. Mówienie nawet najgorszych rzeczy jest lepsze od milczenia. Z milczenia rośnie przerażająca pustka. Ula Miłętka przyglądała mu się zmrużonymi oczami, a przygryziona dolna warga układała jej usta w niejasny grymas – równie dobrze mogło to być obrzydzenie, jak i śmiech.

– Lucek, ty... Mówisz poważnie?

Zirytował się. On jej tu opowiada o najważniejszych sprawach życia, a ona nie wie, czy ma to traktować poważnie! Po co jej w ogóle mówił! Mógł siedzieć cicho.

– Czy wyglądam na jednoosobowy kabaret?

– Nie o to chodzi – pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Tylko dziwię się, że nie potrafisz tego...

– Zaakceptować, tak? Jestem staroświecki, o to ci chodzi? Powinienem machnąć ręką, powiedzieć sobie, że takie jest życie, i dalej uganiać się radośnie za przestępcami w towarzystwie dwójki policjantów, to znaczy żony i jej kochanka? Jasne, gdzie tu w ogóle problem! W końcu jak jesteś gliną, nie z takim głównym masz do czynienia na co dzień, a zdradzająca żona, która przecież dalej jest z tobą – „Lucek, kocham cię!” – to jeden z najmniejszych problemów ludzkości, zwłaszcza Lucka Bałysia. Weź sobie, chłopie, zimny

prysznic, potem gorący, i wracaj do swoich spraw, resztę załatwi za ciebie upływający czas. To mi chcesz powiedzieć? Cholera, po co ja w ogóle się odzywałem!

Cały czas przygryzała wargę, jakby rozstrzygała dylemat. Wreszcie otworzyła usta i jej twarz się rozjaśniła.

– Lucek. – Poglądziła go palcami po wierzchu dłoni. Cofnął ją.

– No co?

– Wiesz, ty jesteś jeszcze taki... taki dziecinny!

– Dziecinny...? – Szukał odpowiedzi, ale język akurat go zawiódł.

– Dziecinny? To znaczy, że mam wydorosnąć, tak? A jak już będę dorosły, to zasłona się rozedrze i zrozumieć różne skomplikowane sprawy. „Lucek, dorosnij wreszcie”. O to ci chodzi? To twoja genialna rada?

– Jest coś jeszcze.

– Co?

– To.

Przesunęła się po kanapie i nim zdążył zareagować, objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta. Odepchnął ją. Na sekundę zamroczyło go jak po silnym ciosie. Kiedy odzyskał oddech i wzrok, zdołał tylko wycharczeć:

– Oszalałaś...?

– Może.

Spróbowała znowu, ale tym razem był przygotowany. Zrobił unik i zerwał się z kanapy. Odwrócony do okna przecierał dłonią głowę i dyszał. Podniosła się z kanapy, obciągnęła bluzkę, poprawiła dłonią jasne włosy, które opadły jej na czoło, i zaczęła pakować swoje materiały do plecaka. Dopiero teraz zauważył, że miała fajny szeroki plecak z klapą obszytą szorstkim futrem.

– Odwiesziesz mnie?

– Tak. Mówiłem przecież...



Nic więcej nie udało im się powiedzieć. Krążyli po pokoju, starannie się omijając. Ona zarzuciła plecak na ramię i dopiwszy jednym haustem resztę herbaty, z głośnym stuknięciem odstawiła filiżankę na tacę, po czym wyszła na zewnątrz przed dom. On zgarnął z szafki dokumenty i klucze, zamknął dokładnie drzwi wejściowe i wyprowadził samochód ze stodoły. Ona wsiadła, on ruszył i wyjechali z obejścia na wiejską szosę. On mocno ścisnął kierownicę, ona sprawdzała coś w telefonie. Wszystko w całkowitym milczeniu.

Żółte słońce oślepiało jak kosmiczny jupiter. Popołudnie atakowało samochód gorącym powietrzem od pól i mimo włączonej klimatyzacji koszula lepiała się Luckowi do spoconego ciała. Dusił go mdły aromat gryki. Połączenie upału i zmierzchu ma w sobie coś z piekła, przedsiónek porządnej, nieodwracalnej katastrofy. Brzuchy pagórków, wstęgi pól, korowody drzew – wszystko chyliło się za słońcem w dół. Po nagiej czasce Bałysia spływała kropla potu, którą startł szybkim nerwowym ruchem. Przetarł palcami wargi. Co to za smak? Truskawka? Malina? Arbuz? Nagle zapragnął koniecznie dowiedzieć się, jaki Ula ma sztyfcik do ust. Siedziała sztywno, całkowicie pochłonięta swoją komórką. Może i był dziecinny i naiwny, jednak parę razy udało mu się w życiu wiedzieć coś na pewno. W tej chwili wiedział, że ona patrzy na ten swój kretyński miniekranik i nic nie widzi, ponieważ myśli o czym innym. O tym samym co on. Droga szerokim łukiem skręciła w lewo i zsunęła się między dwa piersiaste wzgórze. Jechali teraz prosto pod słońce. Znowu to oślepiające światło, jak wczoraj na parkingu. Jeśli Lucek jeszcze trochę pojedzie w dół, naprzeciw tej nieznośnej jaskrawości, coś się stanie. Coś nieodwracalnego. Zjechał na pobocze.

– Co się dzieje...?

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. Opierała się. Puścił dopiero wtedy, gdy jej opór zelżał. Wpatrzony w jej nabrzmiałe usta oblizwał się.

– Truskawka – powiedział na głos jak dziecko.

– Truskawka – potwierdziła. – Zawróć.

## 2

Maciu słyszał płacz płonącego wiatraka. Dziwna śmierć. Przecież dzieci nieba nie umierają. Stoją od początku świata i będą dalej stały tak długo, jak długo będzie wiał wiatr. Ludzie odchodzą, umierają, a one zostają. Mamusia mówiła, że kiedy człowiek umiera, chowa się go do ziemi i że jego też kiedyś schowają do ziemi. Ten pan na górze, który miał żółty kapelusz na głowie, tak jak on, też umarł i spadł, i złożył go do ziemi. Maciu wcale nie chciał, żeby umarł, poszedł nawet na górę powiedzieć mu, którędy można zejść, ale pan w żółtym okrągłym kapeluszu go nie słuchał. Krzyczał i krzyczał, i Maciu musiał zejść, bo zrobiło się gorąco. Rozbolała go głowa. Bolała go już wcześniej, gdy szedł przez pole, a na górze zrobiło mu się niedobrze i bał się, że spadnie. Spadł tamten pan, a on widział jego kręcące się w powietrzu ciało. Dzieci nieba są okrutne i bezlitosne. Gdy tylko się zbliży, coś robią z jego głową. Nawet żółty kapelusz nie pomaga. Tamtemu panu nie pomógł i głowa tak go rozbolała, że aż odpadła. Maciu musi się schować i trzymać głowę obiema rękami, inaczej też mu odpadnie.

Wiedział. Położył się z uchem przy ziemi i wtedy powiedziała: „Nie chodź dzisiaj na pole”. Ale on poszedł i znowu ją zobaczył. Była inna, ale ta sama. Zawsze jest ta sama, Biała Pani. Jej głos mówi inaczej niż skrzydlate dzieci nieba, bo mówi rzeczy dobre. Tylko

jemu. Kiedy schodzi pod ziemię, jest też Panią Ślimaków. Widział ją, jak unosiła się nad wiatrakiem i machała kolorowymi skrzydłami, jak ptak z bajki. A potem zeszła na ziemię i zabroniła mu iść na pole. Poszedł i zobaczył to, czego nie powinien. Dlatego boli go głowa i słyszy dużo głosów, ale żadnego nie rozumie.

Musi tu siedzieć, w szopie. I trzymać głowę mocno ramionami, żeby nie odpadła.

– Maciuś! Gdzie jesteś, synku?

Drgnął. Mama. Wróciła z pracy. Nie powinna tu przychodzić. Lepiej sam wyjdzie.

– U je-em!

– Gdzie! Chodź tu do mnie, nie siedź ciągle w tej szopie. Co ty tam robisz?

– Au-ję!

– Pracujesz? A nad czym pracujesz?

– AU-JEE!

Chciał powiedzieć, że maluje. Mama kazała mu malować, bo to pomaga na głowę. Ale nie zrozumiała. Nikt go nie rozumie. Tylko Biała Pani spod ziemi.

Wyszedł z szopy, trzymając się za głowę, żeby mu nie odpadła. Mama owinęła sobie jego ręce wokół ramion, po czym objęła go mocno w pasie. On też ją objął. Lubił zapach jej włosów i miękkie ciało, którego nie powinien ścisnąć zbyt mocno.

– Chodźmy do domu – powiedziała, kiedy już ją puścił. – Dlaczego siedzisz w szopie?

Gdy tylko wzięła go za rękę, głosy w głowie umilkły i zapadła cisza. Szli przez podwórko i nagle zrobiło mu się dobrze. Przyjemnie. Przestało boleć i odwrócił się, by sprawdzić, czy wiatraki się kręcą. Tak, kręciły się wszystkie oprócz tego, który

umarł. Stał czarny i martwy, jak zabity pocałunkiem nieba. Odczuł ulgę. Było dobrze. Rozumiał.

– Id-jałem.

– Co mówisz, synku?

Przytrzymał ją za rękę. Szarpnięcie osadziło ją w miejscu. Pokazał za siebie na pola.

– Id-jałem anią.

– Jaką panią widziałeś?

– Ałą anią. Apa-yła o.

Mamusia podeszła do niego tak blisko, że znowu poczuł zapach jej włosów. Pogładził je. Schwyciła jego dłoń.

– Kto to jest biała pani? Co zapaliła?

Powinna zrozumieć, skoro on zrozumiał. Powie to jeszcze raz, wyraźnie, bo przestało boleć i jest dobrze.

– Ani iemi yszła i apaliła o.

Dla pewności pokazał ręką za siebie tam, gdzie na tle błękitnego nieba czernił się kikut spalonego wiatraka. Powinna zrozumieć. Ona jednak nie rozumiała nic. Wzięła go mocno pod pachę i pociągnęła w stronę domu. Dopiero kiedy znaleźli się w sieni, zamknęła drzwi, usadziła go na ławie i zrobiła to, czego nie lubił: uniosła palec do góry.

– Maciek, pamiętaj, niczego nie widziałeś. Nie ma żadnej pani ziemi...

– Est! – wykrzyknął i chciał wstać. Przytrzymała go za ramię.

– Nie ma! Przywidziało ci się. Tak jak wtedy z diabłem na skrzydle, pamiętasz? To nie było naprawdę. I bardzo cię proszę, nie opowiadaj tego więcej, nikomu. Słyszysz? Powtórz.

Już nie było dobrze. Mamusia się zdenerwowała, a jego zaczęła boleć głowa. Próbował się bronić.

– Ae es... – jęknął z rozpaczą. – Id-jaem...

Zbierało mu się na płacz. I znowu będzie tak jak wtedy, kiedy płakał długo, długo, a potem zabrał go pan w białym fartuchu i zamknął w okropnej szopie, skąd się nie dało wyjść. A jeszcze potem głowa bolała go tak bardzo, że chciał umrzeć i wejść do ziemi.

– Nie! Nie widziałeś! To był sen. Powtórz.

Zacisnął obie pięści i zamknął oczy. Gdzie jesteś, dobra Pani Ziemi? Pomóż mi. Nie, ona tu nie przychodzi. Tylko kiedyś raz, na początku, przyszła i zaraz sobie poszła. Może naprawdę znikła i jej nie ma? Sen. Spać. On chce spać.

– O ył en.

– Dobre dziecko – powiedziała i objęła go za szyję. – Gdyby ktoś pytał, nic nie widziałeś, dobrze? To tylko sen. A najlepiej nic nie mów. Ostatecznie w pewnym sensie jesteś niemową.

Nie wiedział dokładnie, co powiedziała, ale znowu było trochę lepiej. To tylko sen. Nie ma Pani Ziemi, a one umierają od pocałunków z nieba. Niebo przylatuje na skrzydłach. To na pewno. Przecież widział.

### 3

Interesy z Kliszem robiło się świetnie, ale droga do jego biura przy zwirowni to było jedno wielkie gówno. Kała nienawdził tędy jeździć. Kawalek spękanego asfaltu, dziurawego jak majtki dziwki przed emeryturą, a na poboczach doły, gałęzie i szczątki rozjechanej zwierzyny leśnej. Do tego ostre zakręty i głębokie jary, raz po prawej, raz po lewej. Droga fajna do rzygania i łamania karków, ale nie do jazdy. Zwłaszcza że z naprzeciwka co chwila leciała ciężarówka z piaskiem i nawet nie zwalniała przy mijance. Musieli uciekać w krzaki.

– Zapamiętałeś numery? – spytał Kała kierowcę, gdy po raz czwarty zahamowali i zjechali na sam skraj pobocza. Wielki man z żółtym szyldem „Meiller” na szarej naczepie przemknął z łomotem godnym szturmu kompanii czołgów. Pan Władek pokazał sześcianik przy przedniej szybie.

– Mam go na kamerce.

– To dobrze – mruknął Kała pod nosem, a pomyślał: skopię mu tyłek.

Żwirownia mieściła się na wielohektarowym nieużytku za wsią, otoczona z jednej strony lasem, z drugiej polami uprawnymi. Wszystko wkoło pokryte było żółtoszarym pyłem, unoszącym się z kamienistej drogi. Bmw kołysało się jak łódź na falach i Kała dziękował losowi, że nie zajął się drogowym biznesem. Przecież od tego kurzu pierdolca można dostać!

Nie nastroiła go ta droga życzliwie, więc przechodząc przez sekretariat, nie odpowiedział kobiecie za biurkiem na powitanie i od razu wpakował się do gabinetu dyrektora, który siedział za wielkim stołem z komórką przy uchu.

– Musimy pogadać – warknął Kała, siadając w fotelu. – I jak powiesz: „Czekaj, tylko skończę”, wepchnę ci ten telefon w dupsko i włączę wibrację.

Człowiek za biurkiem natychmiast odłożył komórkę, rzucając do niej: „Oddzwonię”. Był to szpakowaty jegomość koło pięćdziesiątki, starannie ostrzyżony w taki sposób, by fryzura przysłoniła zaawansowany proces łysienia na środku czaszki. Na pełnej, dobrze odżywionej w drogich restauracjach twarzy najmocniejszy akcent stanowił wydatny nos, długi i haczykowaty jak kościelne gasidło do świec. Duże oczy i mięsiste usta powodowały, że cała głowa sprawiała wrażenie okazałej, niemal posągowej. Spod podwiniętych rękawów bawełnianej koszuli

wystawały owłosione przedramiona, kępki włosów wylaziły również spod rozpiętego na piersi guzika. Krótko mówiąc, Zbigniew Klisz reprezentował tak zwany męski typ.

– Chcesz kawy? – spytał, uśmiechając się grzecznie. Unikał okazywania strachu, ponieważ to Artur Kała najbardziej lubił oglądać na twarzach swoich biznesowych partnerów.

– Nie. Załatwiłeś z tą geodetką? Potrzebuję decyzji jeszcze w tym tygodniu.

– W zasadzie tak. Przypominam tylko, że ona jest w szpitalu.

– Wiem, że jest w szpitalu! Wszyscy ostatnio są w szpitalu! Jak tak dalej pójdzie z tymi cholernymi gruntami, to my obaj też za chwilę wylądujemy w szpitalu. Na jednej sali. Z policjantami przy drzwiach. Masz wodę?

– Spokojnie – powiedział Klisz, podnosząc się zza biurka. – Panujemy nad tym. Pięćdziesiąt hektarów pod nową farmę wiatrową już jest prawie nasze. – Z oszklonej szafki wyjął szklanę, przetarł palcami kurz i nalał wody mineralnej. – Potrzebuję tylko jednej pieczętki z gminy. Płohowa jutro ją przystawi.

– Skąd wiesz, że przystawi?

Uśmiech z gatunku „mam swoje sposoby” wystarczał za całą odpowiedź. Wszedł z powrotem za swoje rachityczne biurko, które trzęsło się przy każdym przejeździe ciężarówki za oknem, i ze zwyczajnym spokojem przyglądał się gościowi. Jeden zero dla Klisza.

– Następna sprawa – ciągnął ponuro Kała. Daleko mu było jeszcze do satysfakcji. – Potrzebuję na pojutrze ciężarówkę. Nie na piasek, tylko z normalną naczepą, najlepiej pełną.

– Pełną czego?

– Czegokolwiek. Najlepsze byłyby duże pudła, kartony i jakieś palety. Fajną, z sensownym i odważnym kierowcą. No ale takich to

ty tu masz.

– Mam wyłącznie fajne wozy i takich samych kierowców. A możesz mi powiedzieć, do czego ci ta pełna pustki ciężarówka?

– Dowiesz się, jak będę chciał, żebyś wiedział – odparł zimno Kała i atmosfera nieco siadła. Partnerzy od największych biznesów środkowego Pomorza mierzyli się wzrokiem jak dwa jastrzębie krążące nad tą samą polną myszą. Jeden z nich zastanawiał się, na ile może sobie pozwolić w obronie własnej niezależności, drugi – czy najpierw zaatakować mysz czy rywala. Jak było do przewidzenia, pierwszy odpuścił Klisz. Cmoknął z niezadowolaniem i przełożył papiery z jednego końca biurka na drugi.

– Jak chcesz – powiedział, wzruszając ramionami. – Nie wtrącam się do twoich interesów, chciałbym tylko wiedzieć, na co narażam ludzi.

Kała uniósł szklankę z wodą, upił łyk i odstawił. Też cmoknął.

– Jak im każesz pędzić na złamanie karku przez wsie, to też informujesz ich o ryzyku?

– Są dorośli.

Zanosilo się na remis, przynajmniej w odczuciu Klisza, który rozluźnił się i wyjął z szuflady paczkę gum do żucia. Nie poczęstował gościa, tylko wziął dwie drażetki i wepchnął sobie do ust. Jego wielkie wargi z mlaskaniem rozpoczęły miarową pracę. Kała przyglądał mu się nieruchomo. Czekał, aż tamten utwierdzi się w swojej pewności siebie. Takich łatwiej zestrzelić w locie.

– A jak rzniesz nieletnie panienki? Uprzedzasz je, że może być groźnie?

W gabinecie nagle wszystko znieruchomiało. Szczęka z gumą zawisała, ruch ciężarówek za oknem ustał, klimatyzacja przestała



szumieć, nawet mucha przerwała bzyczenie i przycupnęła na kraju lampy. Klisz poprawił kołnierzyk koszuli.

– Nie jest nieletnia – powiedział, przetykając ślinę. – Poza tym do niczego nie...

– Nie obrażaj mojej inteligencji, Zbysiu. Nie mówię o geodetce.

Cisza się jeszcze pogłębiła, a sprzęty i ludzie w gabinecie zmienili proporcje. Fotel Kały urósł i napęczniał, wynosząc siedzącego w nim człowieka do rozmiarów demona, który wypełnił sobą niemal całą przestrzeń, podczas gdy blat biurka wydłużył się, skrywając za sobą skurczonego człowieka z małą główką. Ta mała główka kręciła się teraz jak trącona niechący odpustowa zabawka. Ciało zsunęło się do połowy fotela, guma utknęła gdzieś w zakamarkach ust. Rozmowa partnerów się zakończyła, a w jej miejsce rozpoczęło się metodyczne pożeranie Klisza przez Kałę.

– Myślisz, że... – zaczął Klisz, ale nie potrafił zdobyć się na dokończenie zdania. Niektóre słowa po prostu nie miały szans przejść mu przez gardło.

– Nie, nie myślę – odparł gość z uśmiechem. – To może być przypadek. W przeciwnym razie wolałbym nie być na twoim miejscu. Obojętne, z fajnymi ciężarówkami czy bez. Bo widzisz, Zbysiu, jeśli ja umiem dodawać do trzech, to jest całkiem spore prawdopodobieństwo, że ktoś z policji w Słupsku też umie. A jeśli nie, bo tam u nich różnie z wykształceniem, to mają teraz do pomocy jednego sprytnego młodzika z Krakowa, a on, Zbysiu, do trzech na pewno zliczyć umie. A jak zliczy, to może mu wyjść taki wynik, powiem ci, że raduję się swoim miejscem w tej układance.

– Jaki młodzik z Krakowa? – wystękał Klisz. – Ściągnęli posiłki? – Z poprzedniej pewności siebie w jego głosie pozostały tylko ruiny i zgliszcza, dymiące wąziutką smużką narastającego strachu. Jego źródła nie tkwiły bynajmniej w słowach wielkiego i zwycięskiego

Kała, on go tylko rozdmuchał. Nie tkwiły również w doniesieniach o okrutnej śmierci Mieczysława Kulika ani w informacji o wypadku Magdy Saterniak, akurat powracającej od niego tamtego feralnego wieczora. Strach w duszy Zbigniewa Klisza załął się wraz z pierwszą wzmianką o pożarze wiatraka i śmierci Janusza Różańskiego. Bo jeden z trójki to tylko przypadek, ale dwóch z trójki to już szereg, na którego końcu jest ten trzeci. Czyli on.

– Same się ściągnęły – powiedział Kała z pozorną obojętnością. W rzeczywistości sycił się jego strachem, jak drapieżnik syci się zapachem świeżej krwi. – Chociaż nie ukrywam, że miałem w tym swój, niewielki, acz istotny, udział.

Klisz pobladł tak wspaniale, że Kała miał ochotę zrobić mu zdjęcie.

– Ty?! Ściągnąłeś na nas gliny? Całkiem ci odwalilo?

– Uspokój się. Po pierwsze, nie na nas, tylko na niego. Po drugie, właśnie dlatego potrzebuję od ciebie ciężarówkę. Musimy odwrócić uwagę policji od tych cholernych wiatraków i skierować gdzie indziej. Do interesów potrzebuję spokoju. A ty – wycelował w niego palec, co ostatnio było jego ulubionym gestem – powinieneś mi być wdzięczny. Bo o twoją zapiaszczoną zwirową dupę tu chodzi. Więc zanim powtórzysz coś o odwalaniu mi, pomyśl, czy nie powinieneś najpierw podziękować. I załatw tę pieczętkę.

Wstał i bez pożegnania odwrócił się do drzwi. Nie będzie pierwszy wyciągał ręki. Usłyszał za plecami szybkie szuranie kółek fotela.

– Jasne – powiedział szybko Klisz, podbiegając i ściskając mu dłoń. – I dziękuję, Artur. Jesteś jak zwykle niezawodny.

Kała klepnął go w plecy – zupełnie mokre, chociaż tamten siedział tuż przy klimatyzatorze. Tchórz, jak wszyscy. Łatwy do

manipulacji. Naprawdę, ten świat jest do bólu nudny w swojej przewidywalności.

– Chodź, wybierzemy fajnego kierowcę.

Baza transportowa mieściła się na drugim końcu placu. Akurat wybiło południe i chłopcy zjeżdżali się na przerwę obiadową. Po drodze Artur dwukrotnie pstryknął palcami na pana Władka. Mężczyzna kiedyś woził w policji ojca swojego szefa, a że w lot łapał jego intencje, po chwili pojawił się z kamerką w dłoni. Przeszli wzdłuż zaparkowanych samochodów, między którymi kręcili się faceci w spoconych podkoszulkach, przeważnie brzuchaci i z wąsami, ci co bardziej nowocześni mieli kozie bródki. Kała rozglądał się, wyraźnie kogoś szukając, i uśmiechnął się na widok samochodu podjeżdżającego właśnie na plac i umiejętnie parkującego tyłem między dwoma pojazdami. Trafił idealnie za pierwszym razem.

– Widziałeś? – pochwalił się Klisz. – Bez poprawki! Mówiłem ci, że mam fajnych kierowców.

Gdyby tego nie powiedział, gdyby tak się nie cieszył nieswoją sprawnością, może Kała by odpuścił. Na niego jednak takie palanckie przechwałki działały jak płachta na byka. Z kabiny wysiadł czterdziestoletni blondyn z wystającym brzuchem i nalaną twarzą. Na nogach miał rozdeptane klapki kąpielowe. Kała podszedł do niego, odebrał od pana Władka nieznaczące skiniecie głową i wyciągnął rękę.

– Nieźle jeździsz. Jak masz na imię?

Facet spojrzał niepewnie na Klisza, ale ten mrugnął, że wszystko w porządku.

– Mirek. O co chodzi?

– Twój szef ci wyjaśni, o co chodzi. A ja chciałem ci tylko coś pokazać. Chodź ze mną, dobra? Dwie minutki.

Przedefilowali przez cały plac, na czele Kała z kierowcą Mirkiem, za nimi dwóch ochroniarzy, na końcu Klisz i pan Władek. Kolejność jak najbardziej prawidłowa. Kilku kierowców obserwowało pochód przez zakurzone okno stołówki.

– Lubisz szybko jeździć, co? – spytał Artur, gdy doszli do pakamery z biurem, pod którą stało jego bmw. Mirek przytaknął, ale przez jego twarz przemknął cień. Przyglądał się czarnemu SUV-owi i coś zaczynało mu świtać.

– Lubię, a co? Szef dyktuje terminy i nie obchodzi go, jak ich dotrzemy.

– Jasne, jasne – zgodził się Kała. – To dobrze, że umiesz szybko jeździć. Taki właśnie kierowca z jajami jest mi potrzebny. Pojedziesz? Bądź pewien – położył mu rękę na ramieniu – że ci się opłaci.

Mirek przytaknął i nieco mu ulżyło. Rozluźnił się.

– Wie pan, jak jest – zaczął gadać, zupełnie niepotrzebnie. – Czasem wali się przez las środkiem drogi, dla oszczędności, mniej paliwa się zużywa, no i czas lepszy. Pewnie, niektórym to może się nie podobać...

– Widzisz ten samochód? – przerwał mu Kała i pokazał bmw. – Dobrze mu się przypatrz, bo jak następnym razem zobaczysz go na drodze, to lepiej zwolnij. A najlepiej zjedź na pobocze i poczekaj, aż cię minie. Rozumiemy się?

Facet nagle spochmurniał, oczy błysnęły złowrogo.

– Bo co?

– Bo cię zastrzelę – odparł spokojnie Kała. – Macie pancerne szyby w tych budach? Nie. No to cię zastrzelę przez szybę. A jak będziesz miał pancerną, to najpierw wywlokę cię z za kierownicy, skopię dupę, a dopiero potem zastrzelę. Czy to jest jasne?

Mówiąc to, wyjął jednemu ze swoich ludzi zza paska pistolet i stukał lufą w otwartą dłoń. Mirek zaczerwienił się. Nie należał do tchórzy i jego zadziorność nawet spodobała się Arturowi. Kierowca podniósł podbródek i zakrzyknął odrobinę za głośno:

– Co ty mi tu będziesz pierdo...

Uderzenie w brzuch pięścią obciążoną pistoletem odbiera na chwilę oddech i mężczyzna milknie w pół słowa. Zgiął się z rękami zaciśniętymi w pasie, z półotwartych ust na betonową płytę parkingu pociekła ślina. Kała pochylił się do jego naprężonej twarzy, złapał za ucho i pociągnął do góry.

– Czy to jest jasne? – powtórzył spokojnie.

– Co jest, kur... – wystękał kierowca.

– Artur, spokojnie. – Klisz podszedł do niego i próbował odebrać mu broń. Chodziło też o resztki autorytetu właściciela żwirowni. Kała zrujnował je, odpychając go.

– Chcę tylko, żeby odpowiedział. Pytam ostatni raz: czy to jest jasne?

– Tak – mruknął Mirek przez zaciśnięte szczęki.

– To świetnie – ucieszył się Artur, jakby dobił korzystnego targu. Udowodnienie przewagi nad drugim człowiekiem zawsze miało dla niego posmak udanej transakcji. Przynosiło zyski. – Jutro przyjedziesz do hurtowni i dowiesz się, co masz robić. Szef ci wytłumaczy, gdzie to jest. Teraz odjeżdżam, a ty przyjrzyj się czym. Od tego zależy teraz twoje życie.

Zaśmiał się na cały głos. Nareszcie poczuł ulgę w tym cholernym upale. Oprócz niego zaśmiali się tylko dwaj jego ochroniarze. Pan Władek nie, ponieważ on już nie musiał. Był nie do ruszenia.

– Lepiej ci? – spytała Ula. Kieliszek z winem, który postawił jej na pętku, zakołysał się niebezpiecznie. Lucek złapał go w ostatniej chwili i dopił białe chardonnay. Znaleźli je na regale w piwniczce, smakowało jak jeszcze jedna zdobycz z czasów ponemieckiego szabru. Według etykiety liczyło tylko dziesięć lat.

– Pytasz o mnie w ogólności czy o poszczególne organy?

– Co do organów, mam pewne przypuszczenia – odparła, drapiąc go pazurkami w podbrzusze. – Chodzi mi o tę, no, jak jej tam...

– Duszę.

– O właśnie! No więc – lepiej na duszy?

W pokoju za kuchnią znajdowało się tylko jedno niewielkie okno od strony podwórza. W ciągu dnia wystarczyło jednym ruchem zaciągnąć zasłonę, a o zmierzchu zapadał tu przyjemny półmrok nawet bez zasłon. Było zawsze ciemno, czyli tak, jak teraz Lucek potrzebował. Mógł leżeć i gapić się w sufit, obmyślając warianty zemsty na bliskich. Nie przypuszczał jednak, że nazajutrz po wprowadzeniu się będzie tu leżał z nagą kobietą, poznaną zaledwie kilka godzin wcześniej. Odczuwał w głowie lekki szum. Kwestia wina czy winy?

– Nie wiem. Nie rozmawiałem z nią od wczoraj.

– Nie pytam o żonę, tylko o duszę.

– O niej mówię.

Roześmiała się. Jej niski dźwięczny głos dziwnie kontrastował z powierzchownością pogodnej blondynki.

– Jezuu, ale ty jesteś dziecinny! Jak się taki uchowałeś w Nowej Hucie? Przecież tam rządzi jakaś upadła moralnie postkomuna i notoryczne kibolstwo! A ty taki prawiczek! I co, pękło ci serce, ponieważ ciało zapragnęło ciała?

– Nie powtarzaj mi, że jestem dziecinny, bo zarzucą ci pedofilię. Możemy pogadać o czym innym? Na przykład o trupach na wiatrakach?

Poczuł, jak wzrusza ramionami.

– Jeśli cię to kręci. Mnie nie, mam dosyć trupów na co dzień.

Wyobraził sobie, jak te długie i zręczne paluszki, które teraz beztrąsko gmerały przy jego genitaliach, pobierają próbki z wyłowionych z jeziora zwłok albo z wykopanej w lesie błotnistej mazi, i obleciał go dreszcz. Wstał. W głowie kręciło mu się jak w międzygalaktycznej kapsule i musiał przytrzymać się ściany, by nie upaść. Cha, cha, nie upaść! Bałyś, upadłeś tak, że niżej już nie można! Choćbyś teraz przez następne sto lat wiosłował łapkami, nie wydobędziesz się. To koniec. Dno. Wieczne potępienie.

Przetarł dłonią glacę i spojrział w lustro nad komodą naprzeciwko łóżka. Zobaczył zapadłego, wystraszzonego anorektyka z oczami wytrzeszczonymi jak u ocalańca z Holocaustu, i zrobiło mu się jeszcze smutniej. Co się stało? Gdzie się podziało nagle całe tamto życie? Gdzie są oni, jego bliscy, i gdzie on sam?

– Myślisz o tym, co stało się z twoim życiem, prawda? – spytała Ula poważnie. Leżała naga, bezwstydną i z jakichś powodów zadowolona z jego upadku. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Z chęcią wybiegłby na podwórko, bił, kopał, walił pięściami w ścianę i wył jak zwierzę tak długo, aż wróci tamto, co było. Ale co właściwie? Nie miał pojęcia.

– Skąd wiesz? – szepnął.

Podparła się na łokciu i uśmiechnęła, ale już bez tej babskiej pobłażliwości, tylko ciepło, po matczynemu.

– Nie przejmuj się. Zdrada zwykle powoduje takie nastroje. Z tym że u kobiet tuż przed, a u mężczyzn zaraz po. U ciebie to pierwszy raz, prawda?

Jej pytanie nie zawierało żadnego złośliwego podtekstu, Lucek jednak spał się na nowo. Chciałeś katastrofy, to masz.

– Uhm. Nie to co ty, doświadczona z mężczyznami po zdradzie. Ilu ich już miałaś? Pięciu? Dziesięciu? Dwudziestu? Na imię mi legion?

Pobladła nagle.

– Wiesz co? Wal się.

Obróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę. Powróciło nieprzyjemne napięcie. Lucek wyjrzał przez okno na ciemniejące podwórze. Zwalista bryła stodoły garbiła się jak znużony wędrowiec. Daleko za nią nadmorskie niebo wyczyniało jakieś niesamowite brewerie ze światłem. Na wzgórzu za doliną rzeki Grębowej błyskały czerwone światła wiatrakowych turbin. Z leśnych i polnych zakamarków wypełzały cienie i zalewały gasnący obraz smołą nicości. Tylko na środku podwórza, jak spróchniała kłoda, bielił się korpus samochodu. Zalecał się, zapraszał. Możesz jeszcze wskoczyć, wypaść na szosę i odjechać stąd. Jest droga powrotu. Możesz wrócić, tylko musisz chcieć, mówił biały szkielet volva. Jestem szybkie, machniemy tę przestrzeń raz-dwa. Tylko się zdecyduj.

Odwrócił się. Pośladki Uli sprawiały na łóżku bardzo przyjemne wrażenie. Kolejny zwrot akcji.

– Przepraszam, jestem chamem. Nie gniewaj się. Tak, to mój pierwszy raz i nie mam doświadczenia w obchodzeniu się z uwiedzionymi kobietami. W porządku?

Łypnęła jednym okiem.

– Kto tu kogo uwiódł, to jeszcze sprawa otwarta. Mówisz, że nie masz doświadczenia z kobietami? A powiedz mi, Lucek, w czym ty w ogóle masz doświadczenie? Zastanawiałeś się, chłopczyku?



Podobno umiesz się bić i gotować, choć o jednym i drugim wiem tylko z opowieści. Ale co poza tym? Jakieś istotne life experiences?

– Do niedawna miałem niezłe doświadczenie w byciu przyjacielem i partnerem Andrzeja Krzyckiego – powiedział powoli i z uwagą, by czegoś nie przekręcić. – Ale to już przeszłość. Chyba trafiłaś w mój problem: nie mam doświadczenia w niczym. To prawie to samo, co być nikim, nie?

To, co powiedział, wydało się mu dosyć zabawne, ale Urszula Miłęcka nie podjęła wątku. Patrzyła na niego uważnie, zmrużywszy oczy i wysunąwszy koniuszek języka na dolną wargę. Truskawka. Wypukłość kobiecego biodra przyjemnie urozmaicała surowy wystrój pokoju gościnnego. Ula zburzyła ją, wstając i podchodząc do Lucka. Oparła mu dłoń na piersi.

– Wiesz co? Mam propozycję. Zapomnij o wszystkim. To znaczy o jednym i drugim. Ja też zapomnę i od jutra niech będzie tak, jakby nic się nie stało. Pewnie teraz myślisz, że to niemożliwe, ale się mylisz. Wierz mi, wiem, co mówię. Da się zapomnieć, zrobić reset i zacząć od nowa. Niektóre rzeczy nie będą już takie jak wcześniej, ale wiele będzie. Raz w życiu czułam się tak... nieodwracalnie, i przeszło. Teraz jestem wolna. Ubierzmy się, wypijmy pożegnalną kawę, a potem odwieziesz mnie do domu i kiedy się spotkamy następnym razem – jutro, pojutrze czy za rok – powiemy sobie zwyczajnie „cześć” i będzie po sprawie. To łatwiejsze, niż myślisz. No co, zgoda, Lucku Bałysiu? Umowa stoi?

Każdą frazę akcentowała, popychając go lekko w pierś, aż znaleźli się pod ścianą. Słuchał jej słów jednym uchem, ponieważ resztę uwagi zajmowało mu odbieranie impulsów od pozostałych części ciała. Ula znalazła się bardzo blisko. Zdecydowanie zbyt blisko. Kiedy była tak blisko, że już nie mógł ukryć swoich reakcji, schwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

– Zgoda – powiedział jej prosto w usta. – Ale pod jednym warunkiem.

– Muszę pytać jakim?

– Nie. Po prostu chciałbym dobrze zapamiętać to, o czym mam zapomnieć.

Pchnął ją na łóżko. Ze śmiechem udawała, że się broni, ale nakrył ją swoim ciałem i zamknął usta pocałunkiem. Długim i mocnym. Truskawka razy trzy.

Kiedy odwoził ją późną nocą do Słupska, nie wiadomo który raz w ciągu ostatniej doby, pomyślał o tym, że został Krzyckim. Nie miał pojęcia, czy to dobrze czy źle, ale brzmiało niepokojąco. Rewelację zachował dla siebie. Z Ulą rozmawiali już tylko o tym, co należałoby zrobić w następne dni.

– Brzmi trochę niefajnie – stwierdziła ze smutkiem. – Właściwie całkiem groźnie. Jesteś pewien, że to ma sens?

Lucek przetarł głacę i zabębnił palcami o kierownicę. Po obu stronach drogi migwały szpalery drzew, noc podchodziła ku nim od pół jak skrytobójca.

– Gdyby piekarz w kółko się zastanawiał, czy to, co robi, ma sens, umarłby z głodu.

– Ale ty nie jesteś piekarzem, tylko policjantem.

– No właśnie. I robię, co do mnie należy.

– Policjanci też umierają, tylko nie z głodu.

– Pomożesz mi? – spytał.

Skinęła głową, ale jej minę trudno było nazwać entuzjastyczną. Dojechali pod jej dom i Ula pocałowała go w policzek na pożegnanie.

– To co, jutro? Pojutrze? Tylko pamiętaj: nic się nie stało.

– Jasne, absolutnie nic. Raczej pojutrze. I dzięki.

Uśmiechnął się blado. Po rozstaniu każde z nich zastanawiało się, jak naprawdę wypadnie im to jutro czy pojutrze. Nie brali pod uwagę, że to nie będzie ani jutro, ani pojutrze, ani później.

## 5

Pociągnął Lale chodnikiem ku plantom przy ulicy Dietla, dokąd chodzili na spacerory sporadycznie, ze względu na ubóstwo zieleni i bogactwo szarości. Kamiennej i ludzkiej. Po ostatniej przygodzie nad Wisłą uznali jednak oboje, że pora zmienić coś w życiu i dobrze byłoby zacząć od zmiany kierunku spacerów. To znaczy Andrzej Krzycki uznał, a Lala milcząco się zgodziła. Lipcowe popołudnie paliło żywym ogniem, więc szli lewą stroną, w cieniu kamienic, a po dotarciu do skrzyżowania Starowiślnej i Dietla skręcili w lewo ku mostowi Grunwaldzkiemu.

Spacerowali to dużo powiedziane. Ich marsz przypominał szwendanie się bez celu gimnazjalistów, którzy uciekli z lekcji i nie mają kompletnie pomysłu co dalej. Andrzej włókł się noga za nogą i popatrywał na drzewa w poszukiwaniu podstępnych gołębi, zrzucających na przechodniów zbędny ładunek bez elementarnej kultury nakazującej odróżniać swoich od obcych. Lala obwąchiwała nogi ławek od niechcienia, ot, po prostu dlatego, że była psem i tak wypadało. Czasem usuwali się przed nieostrożnym rowerzystą, czasem też wymijali jakiegoś jamnika czy beagle'a z zespołem nadaktywności psychomotorycznej. Jednemu szczególnie pobudzonemu Andrzej chciał nawet wymierzyć kopa, ale Lala pokręciła łbem, żeby nie. Dosyć mieli ostatnio kłopotów.

Lucek jakby wyparował. Trzeci dzień nie odbierał telefonów i nie odpowiadał na mejle. Dominika twierdziła to samo, kiedy już

przełamała swój uraz i odważyła się odezwać do Andrzeja. Rozmawiał z niejakim Pawłem Palką ze słupeckiej komendy, który zapewnił go, że Lucek jest cały i zdrowy i oddzwoni, jak tylko uporządkuje pewne sprawy. Tak, jasne. Lucek i porządkowanie spraw. Krzycki poprosił o podanie adresu, ale tu Palka odmówił, twierdząc, że to dla dobra śledztwa. Przy okazji wyszło więc na jaw, że podkomisarz Lucjan Bałyś herbu Obrażony Kogucik wpłatał się na całego w paskudne wiatrakowe historie i przepadł gdzieś na popegeerowskich polach Pomorza.

Na skrzyżowaniu ze Stradomiem zmienili plan szwendania się i skręcili w prawo do Wawelu. Na chwilę Lala się ożywiła i wystawiła nos, łapiąc eteryczne walory chińskiej restauracji po drugiej stronie ulicy, ale gdy minęli kościół Misjonarzy, wróciła do nudnego obwąchiwania chodnika. Słońce schowało się za wzgórze wawelskie i upał nieco zelżał. Ludzie szli i szli we wszystkich kierunkach, nieustannie zatrzymując się i ruszając dalej, wyjmując i chowając telefony, kręcąc się w kółko i przepychając przez grupki gapiów. Zwarte kolumny turystów miały przewagę, torując sobie drogę wbijaniem klina w tłum. Pas jezdni nie przedstawiał się lepiej. Samochody trąbiły na rowerzystów, ci nonszalancko omijali gadające obcymi językami meleksy, a wszystkich przebiegał skrzypiący i dzwoniący tramwaj, który blokował skręt w ulicę Świętej Gertrudy. To przypominało film poglądowy o przeludnieniu planety. Andrzej pociągnął Lalę przez przejście dla pieszych, niemal z zamkniętymi oczami przebiegli Podzamcze i odetchnęli dopiero na Plantach obok seminarium duchownego. Tam było ciszej i chłodniej. Krzycki przysiadł na ławce, Lala u jego stóp.

– Ja myślisz, odezwie się? – spytał, klepiąc ją po łbie. – Wiem, to skończony cymbał, ale trochę się o niego boję. Też mógłbym się na

niego obrazić, strzelić focha i wyjechać na wieś, wrzucając telefon do studni, co? Co o tym myślisz?

Lala zmrużyła ślepią i z łagodnym przyzwoleniem przyjmowała drapanie pod brodą. Jako dosyć małomówny pies odzywała się tylko w ostateczności. Tym razem w ramach odpowiedzi zamierdała ogonem, prawdopodobnie na słowo „wieś”, po czym odwróciła się i oparła mordę na asfaltowej ścieżce. Nie akceptowała pomysłu.

– Wiem, wystawiam go na ryzyko. Jeśli w tej sprawie pojawił się Kała, to umiejętności walki mogą Luckowi nie wystarczyć. Pomacha trochę kończynami jak wiatrak, temu i owemu coś złamie, a potem i tak go dopadną. Tego się boję. Nie? Myślisz, że to jeszcze nie to?

Niejasność reakcji Lali polegała na tym, że równocześnie mlasnęła pyskiem i uderzyła ogonem w asfalt. Tak i nie. Kombinuj dalej.

– Masz rację – powiedział Andrzej, zakładając nogę na nogę. Przechodząca obok pani obrzuciła go niechętnym spojrzeniem: jakiś wariat usiadł pod budynkiem seminarium i gada do psa. Bóg musi być niewyobrażalnie cierpliwy. – Nie tylko o to chodzi. Tu jest jeszcze coś innego na rzeczy, prawda? Poprawka: ktoś inny. A konkretnie ja. To masz na myśli? Hej, Lala, odezwij się!

Lala trzykrotnie uniosła ogon i opuściła na asfalt, a potem odwróciła pysk ku Andrzejowi i polizała go po ręce. Jej ślepią nagle zrobiły się ostre, uważne.

– Chcesz powiedzieć, że nie on jest skończonym cymbałem, tylko ja? Też mi odkrycie. Wiem, że prawdziwy problem w całej tej historii stanowi Andrzej Krzycki. Dziękuję za szczerą opinię, niemniej chciałbym zaznaczyć, że dosyć mam już tego ciągłego przyznawania się do winy, przepraszania, proszenia o wybaczenie i obiecywania poprawy. Nie jestem chłopcem do bicia dla tego supermoralnego, ultrakatolickiego społeczeństwa. Tak, właśnie że o

tym chcę teraz mówić. To nie ja odpowiadam za wszystkie grzechy tego narodu i jeśli ktoś tu powinien przepraszać, to... Co jest?

Lala położyła z powrotem łeb na chodniku i zamknęła oczy. Przed ławką stał przygarbiony staruszek w niebieskiej koszuli i przyglądał im się z ciekawością.

– Pan gada do siebie?

– Nie, skąd! Do psa.

– Aha, rozumiem. To wielka różnica. A można wiedzieć, jaki macie problem?

– Nasz wspólny znajomy nie odbiera telefonów i nie możemy się z nim skontaktować.

Skrzekliwy śmiech staruszka spłoszył dwa gołębie dziobiące resztki obwarzanka przy sąsiedniej ławce.

– Co w tym takiego śmiesznego?

– Wie pan – staruszek wsparł się na lasce – pochodzę z epoki, kiedy nie było telefonów. Takie problemy są mi obce. Jak chciało się z kimś skontaktować, to się do niego jechało. Tak tylko mówię, żebyście nie strzępili języków po próżnicy. Bywaj, piesku.

Pogładził Lalę po łbie i odszedł. Andrzej odprowadził go wzrokiem, a potem westchnął ciężko jak bezrobotny menedżer, zdołowany wizją niespłaconych kredytów.

– Słyszałaś go? Jak cudownie spotkać życzliwego ducha z poprzedniej epoki. Dzięki ci, Boże, za tego posłańca dobrej nowiny. „To się do niego jechało”...

Szczek Lali był tak nagły, że Krzyckiego podrzuciło na ławce.

– No dobra już, dobra, idziemy. Obejdziemy Rynek i wracamy, co? Dość tych jałowych pogwarek.

Suka nie chciała iść. Wpatrywała się w niego ostro i dopiero kiedy szarpnął smycz, niechętnie ruszyła. Mijając budynek kurii biskupiej przy ulicy Franciszkańskiej, pomachał pustym oknom. Za

jednym z nich gdzieś tam urzędował jego przyrodni brat Adam, który niedawno awansował tu na biskupa pomocniczego. Gdy wyszli z Wiślniej na Rynek, okazało się, że pod ratuszem odbywa się manifestacja. Całkiem spory tłum skandował hasła w obronie sądów, konstytucji i demokracji. Młodzi ludzie wymachiwali transparentami z napisem „Konstytucja”, gdzie litery „ty” i „ja” wydrukowano innym kolorem. Krzycki z Lalą przemykali pod południową ścianą Rynku, ale nawet tam trudno im było przedrzeć się na drugą stronę. Nie zamierzał się włączać. Nie lubił masowych zbiegowisk, obojętne, w jak ważnej sprawie by się gromadziły. Wykrzykiwanie koślawych haseł w tłumie wywoływało w nim nieokreślone poczucie wstydu, jakby udawał przed sobą i innymi głupszego, niż jest. Gdyby to była inteligentna debata, to jeszcze, ale zbiorowe krzyki w rodzaju „Precz z kaczorem dyktatorem” czy „Konstytucja wspólna sprawa”, skądinąd słuszne, miały w sobie coś szczeniackiego, co mieściło się jakby nieco poniżej intelektualnych wymogów jednostki wobec samej siebie.

– Nie to co gadanie na Plantach do psa.

– Już prawie wychodzili na Sienną, gdy usłyszał okrzyk:

– Dzień dobry, panie inspektorze! Spacererek?

Markielak. Stał w grupce policjantów w jasnoniebieskich koszulkach i czarnych czapkach z daszkiem. Wszyscy jak jeden mąż mieli ręce założone na piersiach, ale Markielak na jego widok natychmiast swoje opuścił wzdłuż ciała.

– A co ty tu robisz?

– Pilnujemy protestów. Komuna się burzy – odparł zadowolony. Koledzy skwitowali jego słowa powściągliwym rechem. Krzycki pokiwał głową, że niby rozumie, i ruszył dalej, ale Markielak go zatrzymał.

– Panie inspektorze, bo pan prosił, żeby dać znać, jakby podkomisarz Bałyś się zgłaszał.

Krzycki znieruchomiał w pół kroku.

– No i co?

– No i właśnie się zgłosił. Dzisiaj po południu. Chciał rozmawiać z panem, ale mu powiedziałem, że jest pan na urlopie.

– Ze mną?! Nie pomyliło ci się?

– Nie, przecież mówię. Przepraszam, że wcześniej nie powiedziałem – nieco zbladł, widząc zmianę na twarzy Krzyckiego – ale właśnie jak chciałem dzwonić, to nam kazali się zbierać...

– I co powiedział? Gadajże!

Markielak podrapał się pod czapkę, jakby odgrywał parodię policjanta idioty. Andrzej jednak mocno podejrzewał, że to nie parodia.

– No, właściwie to mówił, że wszystko w porządku, i kazał tylko powtórzyć, że... nie wiem, jak to powiedzieć...

– Najlepiej wprost – poradził zimno Krzycki. Lala szczekała razem z tłumem: „Kon-sty-tu-cja!”.

– Powiedział, że kał bierze na siebie. Kurde, dziwne, nie? Wie pan, o co chodzi?

– Cholera – wyrwało się Andrzejowi. – Wiem, Markielak. To wszystko?

– Tak, tylko tyle.

– Nie kazał oddzwonić? Nie podał numeru kontaktowego?

– Nie, panie inspektorze. Przecież bym zapamiętał.

Krzycki nie podzielał tej pewności, ale klepnął go w ramię i pociągnął Lalę.

– W porządku, dzięki. I nie stój tu za długo, bo cię jeszcze komuna przekabaci. Patrz, co zrobili z moim psem.



Lala jak na zawołanie zaszczeakała dziarsko i pomerdała ogonem dwójce dzieci z tekturą na patyku, na której wymalowane było „Nasza przyszłość to demokracja”. Pożegnał skonsternowanego Markielaka uniesioną ręką i ruszył dalej. Wydostali się na Sienną i przyśpieszyli kroku. Lucek powiedział, że Kałę bierze na siebie. Super. To znaczy, że jest gorzej, niż Andrzej myślał.

– Słyszysz, Lala? Jest niedobrze! – krzyknął do jej pochylonego łba. A potem, nie ufając jej rozproszonej manifestacją uwadze, poprawił: – Całkiem do dupy!

Nie odpowiedziała. Wciąż była zaaferowana walką o demokrację. A tamto mówiła mu już wcześniej.

## VII

### Łowienie na żywca

#### I

Po powrocie do swojej samotni Lucek usiłował się odnaleźć w zupełnej ciemności. Błądził wśród sprzętów jak ślepy, trzykrotnie ścielił łóżko, strzepując kołdrę i poduszkę, dokładnie umył naczynia i kieliszek Uli, stał nieistniejący kurz ze stołu tam, gdzie siedziała. Neurotyczne sprzątanie niewiele pomogło. Odnajdował jej obecność w zapachu powietrza, w ustawieniu krzesła, które odsunęła, wstając, w tapicerce kanapy i odcisku bosej stopy na podłodze. Przede wszystkim jednak czuł ją na sobie. Długo brał prysznic i dokładnie wycierał ręcznikiem ciało, unikając spojrzenia w lustro. Nagi i chudy usiadł w fotelu w pokoju gościnnym i patrzył we wschodnie okno. Za szybą jaśniał świt. Co właściwie się stało? Nic takiego. Po prostu w ciągu ostatnich dwóch dni Lucek Bałyś przestał istnieć. Na jego miejscu pojawił się zawzięty i ponury facet, upaprany brudnymi myślami i czynami jak palacz sadzą, który nie wie, jak odpowiedzieć na pytanie, kim jest. Jak to brzmiało? „W czym ty w ogóle masz doświadczenie?” No, teraz już ma. Stracił przyjaciela, przestał ufać ludziom i zdradził żonę po tym, jak zdradziła jego. Takie doświadczenie, że mucha nie siada. Brakuje tylko, żeby zabił kogoś dla sportu, ot tak, w ramach pozbycia się nadmiaru adrenaliny. Tak, zabić. Mógłby wtedy położyć się na łóżku, puścić Klause Schulzega i wlepić oczy w sufit, myśląc, jakie to życie gówniane. I wiedziałby, kim jest. Nim. Andrzejem Krzyckim.

Lucek wymierzył sobie policzek, roztarł obolałe miejsce i poszedł do sypialni, chociaż wcale nie chciało mu się spać.

Zanim zniknęli nawzajem ze swojego życia, Ula dotrzymała słowa i przekazała mu potrzebne informacje. Ostatni raz usłyszał jej głos następnego dnia o trzeciej po południu, kiedy zadzwoniła z dwoma komunikatami: rzeczowym i uczuciowym.

– Jutro wieczorem na parkingu. Pisz: 54.434820, 16.898407. – Po kilku sekundach dodała: – Lucek, uważaj na siebie. I... zapuść włosy. Chciałabym kiedyś zobaczyć ten słynny loczek.

– Jasne, nie ma sprawy. I dzięki, Ula. Za wszystko.

– Jesteś pewien? – spytała i rozłączyła się.

Wyobraził ją sobie, jak chowa telefon z tym swoim zadziornym błyskiem w oku. Wpisał parametry do GPS-u i na mapie wyskoczyła leśna zatoczka przy drodze ze Słupska do Sławna. Wcisnął „zapamiętaj” i zawahał się, czy nie oddzwonić do niej z propozycją czegoś... czegokolwiek. Do jutra wieczór było trochę czasu. Po chwili odrzucił tę myśl, uznając, że nie powinien się rozpraszać. Poza tym zawarli umowę: nic się nie stało. Zamiast tego postanowił spotkać się z Pawłem i wyciągnąć z niego jak najwięcej szczegółów o interesach Kały. Coś mu tu ciągle nie grało.

– Mówiliście, że Kała nie ma nic wspólnego z morderstwem na wiatraku – analizował, gdy usiedli obaj za stodołą. – Pola, na których stoją farmy wiatrowe, należą jednak do niego albo do kogoś z jego ludzi. Więc może ma? Twierdziliście też, że to wy ściągnęliście mnie na konferencję, by zasięgnąć rady w sprawie wyjątkowo trudnego przypadku. Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że w równym albo i większym stopniu ściągnął mnie tutaj Kała. I nie wiem po co. A może nawet wiem.

– Po co? – spytał natychmiast Palka.

– To ma coś wspólnego z moim partnerem – odparł Lucek. – Między nimi ciągle iskrzy, tak mi się wydaje.

Siedzieli na trawie i patrzyli na dolinę Grębowej z wiatrakami w tle. Byli tu schowani przed ludzkim wzrokiem, a jednocześnie mogli nałapać jeszcze ostatnich ciepłych promieni przed nadchodzącym wieczornym chłodem. Od zachodu szły ciemne chmury, wróżąc zmianę pogody na znacznie gorszą dla ludzi, taką z deszczem i wiatrami. Dla wiatraków – znacznie lepszą.

– Nie wiem, czy to jest odpowiedź – zaczął powoli Paweł – ale kiedy nadeszła wiadomość, że przyjeżdżasz na konferencję zamiast inspektora Krzyckiego, Rysiek Hadczuk rzucił coś w rodzaju, że może to i lepiej. Gdyśmy zaczęli dopytywać, bronił się, aż w końcu wydusił, że Krzycki jest u Kały na szczycie listy nienawiści. Jakby go miał przywiązanego do drzewa i w pobliżu rozpalone ognisko, kroiłby go na kawałki, piekł i zjadał, żując powoli – tak powiedział. A wiesz, on z nas wszystkich zna Kałę najlepiej. Śmiałyśmy się wtedy z tego porównania, ale teraz sobie myślę, że ono wcale nie było takie śmieszne.

– Chcesz powiedzieć, że to morderstwo zaaranżowano tylko po to, by tu ściągnąć Krzyckiego? Nie, to niemożliwe. Zbyt finezyjne i ryzykowne. Skąd niby Kała miał mieć pewność, że Krzyckiego zainteresuje akurat ten makabryczny teatr na wiatraku?

– Nie wiem. Tylko ci relacjonuję, co mówił Hadczuk. Ty znasz swojego partnera najlepiej, sam powinieneś wiedzieć, ile w tym jest prawdy.

Podmuchy wiatru stały się chłodniejsze. W kotle skłębionych nad łąkami chmur odbywało się jakieś mieszanie, warzenie, wirowanie, owocujące wielowarstwową, wewnątrz zróżnicowaną burą masą. Ciemne smugi wyprzedzały jasne, zakręcały do góry i spadały z powrotem w dół jak atakujące eskadry.

Było w tej dynamice coś mrocznego i agresywnego, jakby niebo chciało zakończyć piękną pogodę za pomocą brutalnej wojny. Lucek wstał.

– Chyba wiem, o czym mówisz – powiedział powoli, otrzępując spodnie. – Tego właśnie potrzebowałem – dodał, chcąc sprawić wrażenie dobrze zorientowanego. W rzeczywistości nie wiedział nic, poza mocno uzasadnionym przypuszczeniem, że Kała naprawdę chciał dorwać Krzyckiego. Czy w tym celu reżyseruje wyrafinowane i krwawe widowiska? To mogło mieć sens.

– Dzięki, Paweł. Jeszcze jedno. Czy wiesz, co podała mi dzisiaj Ula?

– Wiem. Pomagałem jej to ustalić.

– Powinienem jej ufać?

Paweł Palka szybko wstał.

– A to już twój problem. Powiesz mi, co właściwie chcesz zrobić?

– Nie, ale mam prośbę: nie mieszaj się, dobrze?

– A to już mój problem – odparł poważnie Palka. – Jak z pewnością zauważyłeś, w tej grze każdy gra w pojedynkę i według własnych reguł.

Przeszli przez podwórze i stanęli przy jego samochodzie. Wiatr się wzmógł i łopaty wiatraków nabierały imponującej prędkości, jakby nakręcały się do dalekiej podróży. Luckowi przemknęło przez myśl, że te wirujące śmigielka są głównym napędem Pomorza i cały problem w tym, by nad nimi zapanować. A to nie zawsze się udaje.

– Posłuchaj – powiedział, ściskając Pawłowi rękę. – To mój prywatny rachunek i nie chcę, żebyście go płacili za mnie. Nie mieszaj się. Przecież to miała być moja indywidualna interwencja pozasłużbowa.

Paweł uśmiechnął się, trzymając dłoń na klamce samochodu.

– Nieprawda. To rachunek Krzyckiego, a ty chcesz go płacić. Chyba że znowu coś źle zrozumiałem...?

Lucek klepnął go w ramię i wepchnął w otwarte drzwi samochodu. Zgrzytnął wsteczny bieg i Paweł na odjezdne opuścił szybę.

– A jak było z Ulą? – spytał bez cienia uśmiechu. – Ziemia się poruszyła?

I nie czekając na reakcję, odjechał. Z jego zaciętej twarzy biło zrozumienie spraw, które dla Bałysia były jeszcze całkiem odległe. Czyżby między nimi iskrzyło? Kolejna zagadka. Wydoroślałeś nieco, żołnierzu, ale do prawdziwej dorosłości ci daleko.

Szybka ciemność skulała pola. Piaskowy kurz zawirował na dziedzińcu podwórka jak miniatuurka trąby powietrznej, unosząc liście i strzępy papierków. Lucek wrócił za stodołę. Skrzydła na horyzoncie się kręciły, czerwone lampy migotały, poświata gasła. Wyciągnął dłonie przed siebie jak szaman odprawiający obrzęd w pierwotnym kulcie przyrody i zawył przeciągle:

– Uuuaaa!

Podmuch powietrza wepchnął mu okrzyk w usta. Przełknął wiatr i krzyknął jeszcze raz:

– Uuuaaaaa!

Podmuchy nagle ustały i tym razem pogłos poszedł łąkami, aż odbił się od ściany lasu. Ciemność oblepiła Lucka. Była zimna i mokra jak macka ośmiornicy. Tak, wojna. Skoro już został Andrzejem Krzyckim, pora spłacić ten rachunek.

– Posłuchaj, Dorota, jest taka sprawa... Muszę jechać do Słupska.

Andrzej siedział na zapleczu kawiarni Iza przy Szerokiej i patrzył w podłogę, nie śmiąc podnieść oczu na kobietę, która na twarzy miała wypisane wielkie NIE. Przez uchylone drzwi widział salę pełną ludzi, beztrosko gaworzących przy kawie i ciastkach o nieważnych głupstwach, i szczerze im zazdrościł. Dlaczego on tak nie potrafi? Dlaczego nie siądzie sobie kiedyś z przyjaciółmi przy kawiarnianym stoliku i nie pobląbla o dupie Maryni, z wyłączonym dźwiękiem komórki i na luzie, jakby nigdy nic, bez tego spięcia, że coś trzeba? Przecież właśnie jest na urlopie! Ano z kilku powodów, drogi inspektorze. Po pierwsze, nie masz przyjaciół, a jedyny, który nim był, przebywa na drugim końcu Polski i rozmyśla po nocach, jak ci nakopać do tyłka. A wiesz, że on akurat potrafi. Po drugie, nie lubisz beczynnie siedzieć, i przez to jesteś taki rozdrażniony. Po trzecie, w tej kawiarni kawa jest niedobra, a ciastka drogie. A fakt, że to również twoja kawiarnia, stanowi w tym przypadku okoliczność obciążającą.

– Po co? Jakiś problem z Luckiem? – spytała chłodno Dorota.

– Tak, chyba tak. Boję się, że przeze mnie pakuje się w kłopoty. Powinienem mu pomóc.

Przysiadła na krzeselku i wpatrywała się w niego tak długo, aż podniósł na nią wzrok.

– Przez ciebie? W kłopoty? Nie możesz po prostu do niego zadzwonić i to wyjaśnić?

– Nie odbiera telefonów.

– Nie odbiera telefonów... – Dorota znowu powtórzyła po nim, sprawdzając, czy fraza ta godna jest zaufania. – To może ja spróbuję. – Wyjęła komórkę i wybrała numer. Przystawiła ją do ucha i obrzuciła Andrzeja surowym wzrokiem matki, która sprawdza zeszyty nastolatkowi. Wreszcie schowała telefon.

– Mówiłem ci, że nie odbiera. To już jest jakiś problem, nie sądzisz?

– Czy on wie? – spytała, ignorując jego pytanie.

– O czym? – udał głupiego.

– Że byłeś w nocy u Dominiki?

– Nie byłem w nocy u Dominiki! – krzyknął i pacnął dłonią w stół, aż zadzwoniły talerzyki. Przez szparę w drzwiach zobaczył, jak goście przy najbliższych stolikach oglądają się. – Przestań wreszcie! Zasiedziałem się, i tyle! Nic się nie sta...

– Wiem, znam tę śpiewkę – przerwała mu z obojętnością, którą ktoś mógłby nazwać martwością. – I by nie zadrażniać sytuacji, poudaję jeszcze przez jakiś czas, że w nią wierzę. Nie będę również dopytywać Dominiki. Stać mnie na tyle taktu. Jak chcesz, to jedź do Słupska. Chciałabym jednak uprzedzić, że nie powinieneś po powrocie zbyt liczyć na to, że zastaniesz mnie w swoim mieszkaniu.

– Dorota, daj spokój. – Wstał, by dotknąć jej ramienia, ale lekko się odsunęła. – To także twoje mieszkanie.

– Nie – warknęła. – Nie chcę, żeby było moje. Powiedziałam ci kiedyś, że dla mnie związek z drugim człowiekiem to sprawa zbyt ważna, by traktować ją jak przygodę. Miałam ich w życiu aż nadto i chce mi się teraz zwykłej, codziennej, mieszczańskiej nudy. A tobie, jak widzę, nie. Proszę bardzo, jedź. O ile się orientuję, to twój jedyny przyjaciel i właśnie go tracisz. Boli, ale rozumiem. Jedź.

Wstała i nim Andrzej zdążył ją zatrzymać, wyszła do kawiarnianej sali.

Lala, która z właściwym sobie spokojem przysłuchiwała się kłótni, ziewnęła szeroko. Być może chodziło jej o to, że nuda jest ich jedyną przyszłością i należy się z tym pogodzić, a urlop można



spędzać na spacerach nad Wisłą. Po historii z amstafami widać, że tam też bywa ciekawie.

Spośród ludzi słupeckiego wydziału kryminalnego miał tylko telefon do tego młodego aspiranta, Pawła Palki, więc gdy znaleźli się na bulwarze Kurlandzkim, zadzwonił. Chłopak odebrał po dwóch dzwonekach.

– Słucham – spytał zduszonym półgłosem.

– Dobry wieczór, mówi Andrzej Krzycki. Przepraszam, jeśli niepokoję...

– Nie, w porządku – odparł Palka cicho, jakby siedział na rybach.

– Pan pewnie w sprawie Lucka, to znaczy komisarza Bałysia...

– Między innymi. Proszę mi powiedzieć, co się tam u was dzieje. Nie mogę się do niego dodzwonić, pana złapałem dopiero za trzecim razem, nie odbieracie i nie oddzwaniacie. Coś poważnego czy to zwykła ignorancja?

Starał się mówić obojętnie, ale zdradziły go nerwy. Niepotrzebnie zaatakował i obawiał się natychmiastowego rozłączenia. Palka nie zrobił tego, powiedział jednak coś, co Andrzeja jeszcze bardziej zaniepokoiło.

– Teraz to już nieważne.

– To znaczy?

– Zadzwonię do pana po akcji, dobrze? Muszę kończyć...

Andrzej usłyszał jeszcze w słuchawce podwójny trzask i Palka rozłączył się. Po akcji? O jaką akcję chodzi? Przystanął w miejscu i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Ten chłopak miał mu coś do powiedzenia o Lucku, ale byli w trakcie akcji i obiecał zadzwonić później, jak skończą. Niech to wszyscy diabli! Niewiele myśląc, wybrał numer na centralę na Mogińskiej i poprosił o połączenie z Komendą Miejską w Słupsku. Młody dziewczęcy głos poinformował go, że nic nie wie o żadnej akcji, a z wydziału

kryminalnego nikogo już nie ma. Oczywiście, to było głupie pytanie i na jej miejscu odpowiedziałaby to samo.

– A czy może mi pani podać numer do komisarza Ryszarda Hadczuka?

– Nie.

– Dlaczego? Rozmawiamy przez wewnętrzną linię.

– Komisarz Hadczuk zastrzegł swój numer prywatny, a służbowej komórki nie posiada.

Nagle w tle rozległy się jakieś głosy i Andrzej usłyszał w słuchawce:

– Komisarz Hadczuk, słucham.

– Panie Ryśku, tu Andrzej Krzycki z komendy małopolskiej. Poznaliśmy się kiedyś na szkoleniu w Legionowie...

– Witam, panie Andrzeju. Jakże mógłbym pana nie pamiętać! Żałowaliśmy bardzo, że pan do nas nie dotarł. Ale komisarz Bałyś spisał się świetnie, godny zastępca.

– Dziękuję, ja właśnie w jego sprawie. Nie odbiera telefonu, a Paweł Palka powiedział mi przed chwilą, że macie jakąś akcję...

W momencie, gdy wypowiedział te słowa, ugryzł się w język. Zrozumiał, że palnął straszne głupstwo, ale było już za późno. Gorączkowo kombinował, jak z tego wybrnąć, gdy Hadczuk pośpieszył z uspokajającymi zapewnieniami.

– A tak, robimy wizję lokalną na wiatraku i pewnie chłopcy są akurat na górze, dlatego nie mogą odebrać. Coś mam przekazać panu Bałysiowi, jak zejdzie?

– Nie, nie trzeba. Po prostu chciałem się upewnić, że u niego wszystko w porządku. Na pewno się odezwie, jak już znajdzie się na dole.

Wymienili jeszcze grzecznościowe formułki o tym, że na pewno się spotkają, jak nie tu, to tam, i Andrzej się rozłączył. Wizja

lokalna? Na wiatraku? Bez podejrzanego i pomysłu, jak to zrobić? Wcisnął ponownie numer Palki. Nie odpowiadał. Lala patrzyła na niego wielkimi oczami i tym razem dostrzegł w nich obawę.

– Cholera! – krzyknął. – Szlag by to trafił!

Starsza pani w przeciwstónecknym kapeluszu z biskoptowym kundelkiem na smyczy zatrzymała się przed nimi.

– Jest pan pewien, młody człowieku? – spytała pełna troskliwego zdziwienia.

– Tak. I nie jestem młody.

Poszli z Lalą dalej, w stronę mostu Krakowskiego. Całą drogę brzęczał mu w głowie dzwonek, że ich wsypał i że właśnie ktoś Luckowi i jego nowemu kumpłowi przystawia lufę do pleców. Po drodze liczył biskoptowe kundelki i starsze panie w kapeluszach. Jeśli wygrają kapelusze, pojedzie do Słupska jeszcze dzisiaj, najpóźniej jutro rano, jak tylko się porządnie rozmówi z Dorotą. Jeśli kundelki, zostanie. Wyszło siedem do sześciu dla kundelków. Wracał z przekonaniem, że tak naprawdę to dopiero teraz zdradził Lucka.

### 3

Gdy tylko Hadczuk odłożył słuchawkę, panienska z dyżurki z uśmiechem spytała, czy to był ten słynny inspektor z Krakowa. Komisarz powiedział, że tak i żeby uważała, bo on zalicza laski nawet przez telefon. Zaśmiała się z jakiegoś powodu uszczęśliwiona, a Hadczuk czym prędzej wyszedł. Z samochodu na parking natychmiast zadzwonił do Kały.

– Palka robi wam tam jakąś akcję. Wiesz coś o tym?

Sapnięcie hipopotama.

- Sam?
- Niewykluczone, że z Bałysiem.
- I kto jeszcze?
- Nie wiem. Chyba nikt. Reszta pilnuje manifestacji.
- A ta techniczka?
- Przed chwilą była u siebie w pokoju, światło ciągle się pali.
- W porządku.

Brzęknął sygnał rozłączenia. Hadczuk spojrział na pomarańczowe pole na ekranie komórki i pomyślał, że trzeba być takim skurwysynem jak Kała, by w ten sposób kończyć rozmowę. I że on nigdy taki nie będzie. A następnie zastanawiał się, czy to dobrze czy źle. A jeszcze później pomyślał, że to, jakim on jest skurwysynem, może okazać się jeszcze dziś.

Artur schował komórkę do kieszeni, odkręcił okno i wyjrzał na leśną drogę. Pięćdziesiąt metrów przed nim majaczyła w ciemności biała buda dostawczaka. Za chwilę miał do niego podjechać ten młody od Klisza o beznadziejnym imieniu Mirek. Ustawią się tak, jakby robili przeładunek, a gdyby sprawa się przedłużała, będą przynosić z jednego do drugiego puste pudła tak długo, aż ktoś się pojawi. A że się pojawi, Kała był pewien. Znał się na ludziach.

Ten mały gówniany Palka. Czemu nie unieszkodliwili go wcześniej? Nie ułatwiał im tego – mieszkał sam, kontakty z rodzicami utrzymywał sporadycznie, a na pieniądze i dziwki specjalnie się nie łąsił. Miał słabą pozycję w wydziale i sprawiał wrażenie nieszkodliwego, chociaż inteligentnego. Otóż to, inteligencja bywa niebezpieczna. Daje ludziom do myślenia, a nic tak nie zagraża twoim interesom jak myślenie innych.

Plan był prosty i zarazem bardzo – w wyobrażeniu Artura – wymyślny. Puścił fałszywą informację o przejęciu ciężarówki ze

Szczecina i czekał na interwencję Bałysia. Wiedział, że ryba połknęła haczyk i że ten wysportowany młokos wtrąci się znowu w jego interesy, ponieważ taki właśnie jest. Kała już przy pierwszym spotkaniu dojrzał w jego oczach ten błysk rywalizacji, gotowość starcia i walki do upadłego, bez względu na koszty. A Palka może być jako bonus. Dwie płotki na przynętę to więcej niż jedna.

Parking, czyli polankę na skraju lasu, Artur obstawił wkoło ludźmi, a małe rondo na środku kazał otoczyć reflektorami. Miały dodatkowo oślepić i obezwładniać. Ludzi wyposażył w paralizatory i siatkę obezwładniającą, jakie stosuje się na wariatów. Służą do tego specjalne miotacze. Pach! – i jesteś w sieci. Uwielbiał widok szamoczącego się człowieka. Sam by chętnie strzelił w Bałysia taką siatką.

Spojrzał na zegarek. Tamci powinni już być gotowi. Na tym polegał wyższy poziom finezji w jego planie. Pułapkę ustawił dokładnie w tym samym czasie, kiedy na drugim końcu miasta, przy drodze wylotowej na północ odbywało się prawdziwe przejęcie szczecińskiej ciężarówki. Po ostatniej akcji, którą rozwalił ten młodziak, szczecinianie nabrali przekonania, że pozycja Kały w Słupsku osłabła i mogą sobie pozwolić na więcej. Należało ich z tego przekonania wytrącić. Dowiedział się o przerwaniu i postanowił, że ten towar będzie jego. Do tego właśnie potrzebował Tasaka, Gleby, Bynia i Saszy. Już powinien być jego.

Wyjął komórkę, ale esemesa z potwierdzeniem jeszcze nie było. Samochód mógł się spóźnić ze względu na budowę pod Sianowem i korki w Koszalinie. Kała spojrzał w ciemność. Ten wieczór miał należeć do niego. Sycił się wyobrażeniem triumfu, dlatego w pierwszej chwili nie zareagował na brzęczenie telefonu w kieszeni. Dzwonił jeden z dwóch strażników, których zostawił do pilnowania składów. Z niechęcią wcisnął klawisz.

- Co jest?
- Szefie, jest problem – usłyszał. – Hurtownia się pali.

#### 4

Uli Miłückiej nie dawało spokoju, że tak łatwo zdobyła informację o miejscu przerzutu. Zwykle były to ściśle tajne meldunki do komendanta Zdybasa i nikt poza nim samym nie miał do nich dostępu. Tym razem jednak wystarczyło jej pół godziny, by na podstawie zhakowanych mejli ustalić miejsce i porę. Palka również do nich dotarł i potwierdził dane. Kiedy więc Lucek nakazał jej siedzieć w biurze cały wieczór, postanowiła wykorzystać ten czas na dokładniejsze przeszukiwanie sygnałów. W pierwszej kolejności ustaliła z GPS-ów, że z parkingu leśnego przy skrzyżowaniu jest znacznie więcej logowań do sieci komórkowej, niż powinno być. W akcjach Kały brało zwykle udział trzech, czterech ludzi, jeśli do tego dolożyć tamtych trzech, razem nie powinni przekroczyć dziesięciu. Ale trzydziestu? W pierwszym esemesie do Lucka napisała więc: „Zasadzka”. Na tym jednak nie poprzestała i szukała dalej. Porównała telefony z poprzednich akcji i sprawdziła, gdzie one są teraz. O dziwo, żadnego z nich nie znalazła na parkingu leśnym, natomiast trzy logowały się z hurtowni Kały. Kiedy zaczęła pisać drugą wiadomość, trzy punkty ruszyły na wirtualnej mapie przez miasto na wschód i po chwili skierowały się na północ, wpisała więc szybko „Jadą drogą 213” i śledziła dalej. Najchętniej by zadzwoniła, ale ryzyko było już zbyt wysokie. Nie tylko dla niego. Dla niej również.

Trzy punkty zatrzymały się. W pierwszej chwili uznała to za literówkę, ale miejscowość naprawdę nazywała się Swochowo.

Swołowo – Swochowo to zabawa iście godna Kały. Szybko wpisała parametry do komórki: 54.523400, 17.058813. Lucek nie powinien ich zgubić. Odchyliła się na krzesło i przetarła zmęczoną twarz. Czyżby kierowała nią aż taka nienawiść? A co, jeśli ten poczciwy chłopak zginie? Przecież cały ten jego plan był jednym wielkim bezsenssem i dała się w niego wciągnąć tylko dlatego, że sprzyjał jej planom. Czy to wystarczy, laluniu? Jesteś pewna, że powinien cię obchodzić facet, którego znasz zaledwie dobę i wprawdzie przespałaś się z nim, ale za chwilę zniknie z twojego życia na zawsze? Odgryzła kawałek martwego naskórka przy kciuku. Dlaczego miałoby to cokolwiek znaczyć?

Wyjęła telefon, palce same zaczęły pracować.

„Masz ich?”

„Tak”

„Dasz sobie radę?”

„Jw.”

„Daj znać, jak ci poszło”

„Dam znać, jak mi włosy odrosną”

„Lepiej nie ;)”

„Lepiej tak ;)”

„Bądź dorosły, taka była umowa”

„Umowy można negocjo”

Czekała chwilę na dalszy ciąg wiadomości, ale nie doczekała się. Nie zastanawiając się, wysłała zapytanie: „Wszystko okej?”, i zaraz potem uświadomiła sobie, że to nie ma sensu. Lucek zaczął. Pozostało jej siedzieć na krzesle w pracy, ogryzać skórki przy paznokciach i czekać. I myśleć, że to jest bardzo nie okej.

Zbliżając się do zatoczki, Lucek odrzucił komórkę na siedzenie i zwolnił, by ich sobie dokładnie obejrzeć. Nie zachowywali ostrożności. Stali przy ciemnozielonym samochodzie w mundurach celników i rozmawiali półgłosem, paląc papierosy. Tasak w za dużej czapce wyglądał jak Szwejk, inny, którego Lucek nie znał, jak Obelix. Gleba, z wetkniętą za pas latarką z nasadką sygnalizacyjną, mógłby grać mistrza Jedi w teatrzyku szkolnym. Czwartym był ten kierowca dostawczaka z parkingu pod Miastkiem. Lucek minął ich i zatrzymał się sto metrów dalej między drzewami, zjeżdżając w leśną drogę. Ciemność na Pomorzu latem ma zawsze w sobie nieco światła, jak nutkę tęsknoty za nocami polarnymi, zaczynającymi się niewiele dalej na północ. Z łatwością obszedł teren łukiem przez las i znalazł się znowu przed nimi, jakby piechotą przyszedł ze Słupska. Zaskoczeni nie zdążyli zareagować, więc wlepiali w niego zdziwione spojrzenia. Staął z latarką w lewej ręce. Prawą zgiął i uniósł tak, by dłoń z rozcapierzonymi palcami znalazła się na wysokości piersi. To była jego ulubiona pozycja wyjściowa.

– Prosiłem, żebyście więcej tego nie robili – powiedział, świecąc w Tasaka. Mówił zza latarki, nie mogli widzieć twarzy i dopiero na dźwięk jego głosu Tasak zbladł, a oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

– Skąd wiedziałeś? – wyrwało mu się. Ten wielki jak Obelix sięgnął za siebie, ale Gleba przytrzymał mu dłoń i pokręcił głową. Zdziwiony grubas mruknął coś pod nosem.

– Dobra wróżka mi powiedziała. I dodała, że twój anioł stróż rozwiązał umowę o pracę. Załóż to.

Rzucone pod nogi Tasaka kajdanki malowniczo zadzwoniły. Wszyscy czterej popatrzyli niepewnie na siebie. Lada chwila miał nadjechać ich tir, a jeżeli znowu nawalą, trzeciej szansy na pewno



już nie dostaną. Wtedy wszyscy ich aniołowie stróże się zwolnią. Z drugiej strony, jeśli postawią się temu wariatowi, robota i tak pójdzie się pieprzyć w krzakach swochowskiego lasu. Tasak zrozumiał, że w momencie, gdy Bałyś wyszedł na nich z ciemności, znaleźli się na straconej pozycji.

– Dogadajmy się – bąknął bez większego przekonania. – Nic na tym nie zyskasz, a my możemy załatwić, żebyś dostał swoją...

– Wasza ciężarówka będzie tu lada chwila – przerwał mu Bałyś. – I nie będzie wasza. Zostajecie aresztowani za podszywanie się pod służby mundurowe i nielegalne posiadanie broni. O tobie mówię, grubasie – powiedział, pokazując na Obelixa. Ten nie wytrzymał.

– Jobana wasza bladź! – krzyknął, sięgając do tyłu.

Lucek na to czekał. Nie miał czterech kompletów kajdanek i potrzebował pretekstu. Byli uzbrojeni i liczył się każdy ułamek sekundy. Zanim grubas zdążył wykonać ruch, podkomisarz odbił się mocno od ziemi i wskoczył mu na głowę. Owinął prawą nogę wokół jego szyi i pociągnął. Zwalili się obaj przed maskę samochodu i w szyi grubasa, ściśniętej wewnętrzną stroną kolana, coś chrupnęło. Lucek wyrwał pistolet z bezwładnej ręki i przetoczył się w ciemność po drugiej stronie auta. Działał jak automat. Podpełzł pod tylny błotnik nissana pathfindera, wyprostował się, złapał reling dachowy i wisząc na nim, zamachnął się obiema nogami. Trafił. Głowa zadudniła o tylną klapę auta i Gleba osunął się na ziemię. Zdążył pociągnąć za spust i ciszę lasu rozdarł huk wystrzału. Drugi kopniak pozbawił go przytomności i uruchomił latarkę za paskiem. Pomarańczowa pałka nasadki błyszczała jak lubieżny rekwizyt z sex shopu.

Tasak obchodził samochód od przodu. Lucek odepchnął sparaliżowanego ze strachu kierowcę i wskoczył na tylne siedzenie. Leżąc na kanapie, mocno pchnął drzwi. Tasak zatoczył się do tyłu i

machając rozpaczliwie rękami, usiłował złapać równowagę. Bez anioła stróża nie miał szans. Wystrzelił z pistoletu w powietrze i upadł na plecy. Nim zdołał unieść głowę, mordercza ciemność przed oczami wyrwała mu broń z ręki i zgasiła zmysły.

Kierowca nie podjął walki. Stając naprzeciw niego, Lucek uniósł dłoń z pistoletem. Mężczyzna pokręcił głową. Dokładnie w tym momencie szosą obok nich z łoskotem przewaliła się ciężarówka. Obaj odprowadzili ją wzrokiem.

– Wiesz o mnie dosyć, by być pewnym, że wrócę – powiedział zimno Bałyś. Nawet się nie zdyszał przy tej trójce. – Jak masz na imię?

– Bynio... to znaczy Zbyszek.

– Słuchaj, Byniu. Załadujesz tych trzech do samochodu i wrócisz do Kały. Jeśli od razu cię nie zabije, powiedz mu, że idę. A jeśli nie zrobisz tego, o co proszę, ja zabiję cię. Dla mnie – pokazał kciukiem za siebie – to bułka z masłem.

Obszukał go, znalazł dwie komórki i rozbił, uderzając jedną o drugą. To samo zrobił z aparatami pozostałych. Szczątki rzucił na ziemię i podeptał. Sprawdził broń i schował za pasek dzinsów. Pośpiesznie przeszukał samochód, ale więcej broni ani telefonów nie znalazł. Zebrał z ziemi kajdanki i założył grubasowi, wykręcając mu ręce do tyłu. Drugą parę założył Glebie.

– Bierz się do roboty – powiedział do Bynia, który stał jak słup i tylko szeroko otwarte, przerażone oczy świadczyły o tym, że jeszcze jest przytomny. Na słowa Lucka podskoczył jak rażony prądem i pobiegł na tył, otwierać klapę bagażnika. Zapewne chciał wcisnąć tam Obelixa, ponieważ tylko w ten sposób mógłby poradzić sobie z takim cielskiem. A to znaczyło, że kierowca jeszcze myśli.

Lucek obrzucił kontrolnym spojrzeniem pobojuwisko. Jak na przedsiónek katastrofy całkiem niezłe. Krzycki nie zrobiłby tego

lepiej. Bałyś ścisnął kości palców, by usłyszeć przyjemne chrupnięcie potwierdzające ich sprawność, i odszedł. Ciemność obtarła jego twarz z kurzu, schłodziła policzki i owionęła łysinę przyjemnym powiewem. Przed nim kolejny próg inicjacyjny. Chcieli, żeby wydoroślał i objął rozumiejącym spojrzeniem całą podłość tego świata, to proszę bardzo. Dorosłość kosztuje.

Zanim wsiadł do volva, wyjął komórkę i wpisał jedno słowo: „Poszło”.

Kiedy wjeżdżał do miasta, z daleka biła łuna pożarów i zewsząd wyły syreny strażackie.

## 6

Kała patrzył na biegających po placu strażaków i myślał, że gdyby od ich sprawności zależały jego interesy, dawno byłby dziadem. Miał ochotę wyrwać pistolet jednemu ze swoich goryli i strzelać pod nogi tych dupków w czarnych kapotach z napisem STRAŻ, żeby szybciej się ruszali. Stał przed taśmą zabezpieczającą i bezradnie patrzył, jak płomień trawia jego magazyny. Co prawda, ubezpieczone, ale pieniądze z PZU można sobie w tyłek wsadzić, kiedy nie ma budynków i całej infrastruktury. Lata całe zajmie odbudowa tego interesu. Ogień szedł z czterech stron naraz, ewidentny znak podpalenia. Kurwa mać! Podpalacz musiał wiedzieć, że wszyscy jego ludzie wyjechali z miasta i na terenie bazy zostało tylko dwóch imbecylów, którzy cały wieczór oglądali porno w internecie i walili gruchy w kiblu. Chętnie by ich własnoręcznie wypatroszył, ale kiedy pożar się rozprzestrzenił, zrozumieli, co ich czeka, i uciekli. Przyjdzie na nich pora.

Nie to było jednak najgorsze. Gdy strażacy z policjantami zaczną grzebać w pogorzeli, prędzej czy później dotrą do pomieszczeń piwnicznych, otworzą ogniotrwałe drzwi, a wtedy...

– Muszę tam wejść – powiedział do młodego policjanta. – A jak mi zabronisz, zadzwonię do komendanta Zdybasa, żeby cię zwolnił, a wcześniej zdegradował do podwórzowego kundla. Wiesz, kim jestem?

Chłopak zawahał się i przytaknął.

– Wiem, panie inspektorze.

– Czyli wiesz, że mogę to zrobić. Odsuń się.

Odepchnął go, jakby otwierał drzwi do baru, i ruszył prosto w otwarte wrota hali, gdzie uwijali się ludzie z węzami strażackimi, bosakami i czekanami, polewając, tnąc i rąbiąc bez większego sensu. Nad wejściem do piwnicy utworzyła się spora sterta płonących szczątków dachu i skutecznie zablokowała dojście do podziemnych pomieszczeń. Przynajmniej na najbliższą dobę. Wściekłość Kały, która w pierwszej kolejności naznaczyła jego działania piętnem chaosu, nieco ustąpiła opanowaniu. Zwolnił kroku, przemierzył plac manewrowy tam i z powrotem, przekonał się, że biura i spoczywające w nich segregatory z fakturami płoną na całego, krzyknął do dowódcy, żeby ratowali, co się da, i wrócił za taśmę. Otarł chustką spocone czoło, odszedł na bok i wyjął komórkę. Wcisnął po kolei ostatnio wybierane numery, ale żaden się nie zgłaszał. Jego ledwie odzyskane i wciąż kruche opanowanie znowu niebezpiecznie się zachwiało.

– Co oni, do cholery, robią?

Podjęcie, że ich milczenie ma związek z pożarem, podchodziło mu do gardła jak błoto tonącemu na bagnach. Nie, to niemożliwe. Tamten nie mógł być w dwóch miejscach naraz. Albo i w trzech. Wybrał kolejny numer.

– I co?

– Nic, szefie – usłyszał. – Czekamy dalej?

Nie, Bałys nie mógł wiedzieć. A nawet jeśli się dowiedział, w pojedynkę niewiele zwojuje. I po co? Żeby się popisać? Kała przeanalizował sytuację. Połowę ludzi przywiózł tu ze sobą na wypadek, gdyby trzeba było podjąć pościg. Teraz zastanawiał się, czy to nie błąd. W lesie zostało dwunastu plus kierowcy. Powinni dać sobie radę, przekonywał sam siebie. Jakaś część rozsądku podpowiadała mu jednak, że to błąd.

– Tak. Miejcie oczy otwarte.

Rozłączył się i właśnie podjął decyzję o powrocie do leśnej zatoczki pod Swołowem, gdy na zwirowej drodze przed bramą zachrzęściły koła ciemnego pikapa z białym pasem na drzwiach i kogutami na dachu. Czerwony blask pożaru wydobywał go z ciemności jak zwiastuna klęski. Jechał powoli i niepewnie, jakby rozważał, czy pełen strażaków i policjantów plac to teraz najlepsze miejsce do parkowania.

Gdy Artur dobiegał do pikapa z dwoma ochroniarzami, jego nadwyrężone już i tak serce zamarło. Bynio był w kabinie sam. Wysiadł blady i oczami szaleńca spoglądał to na płonące magazyny, to na niego, a półotwarte usta bezskutecznie próbowały coś powiedzieć. Lodowata żmija nagłego zrozumienia ścisnęła pierś Kały.

– Gdzie reszta? – spytał cicho. Krew w skroniach waliła mu tak, jakby jego żyły podłączono do strażackich motopomp. Bynio pokazał palcem za siebie i otworzył usta, ale Kała odepchnął go i sam sprawdził. W bagażniku leżał nieprzytomny i skuty kajdankami Białorusin, wciśnięty między burty jak worek kartofli. Jego nienaturalnie przekrzywiona głowa kojarzyła się z przewróconym strachem na wróble. Oddychał. Kała z rozmachem

zatrzasnął klapę i otworzył tylne drzwi. Na kanapie leżał skuty kajdankami Gleba i bełkotał przez nieludzko zapuchnięte wargi. Twarz miał zalaną krwią z rozkwaszonego nosa. Skulony i wciśnięty w kąt Tasak trząsał się jak w febrze. Kała poświecił na nich latarką i pociągnął nosem. Śmierdziało szczyną i gównem. Huknął drzwiami i wrócił do Bynia.

– Gdzie towar? – spytał cicho.

– Po...pojechał.

– Z nim?

– Nnie. On tu sam...

– Gadajże, baranie! Jak ty tu w ogóle dojechałeś w takim stanie?

CO ON TU SAM?!

– Kazał powiedzieć, że idzie.

Kała spojrzał na hajcujące się w najlepsze magazyny i myślał gorączkowo, o co tu chodzi. Bałyś nie mógł być tu i tam. A teraz idzie po niego. Tylko że tu było mnóstwo ludzi, nie miał najmniejszych szans na podejście. Wiedział o prawdziwym miejscu przejęcia ciężarówki, więc wiedział i o zasadzce. Idzie, ale raczej nie tutaj. Czyli idzie tam. Kała wcisnął na komórce ostatnie wybieranie i chciwie słuchał sygnału. Jego najgorsze podejrzenia potwierdziły się. Numer milczał, trzy następne również. Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa.

– Nie stój jak debil! Zawieź ich do lekarza! – krzyczał, szarpiąc Bynia jak kukłę. – A wy wszyscy wsiadać! Wracamy na miejsce!

I nie czekając, aż się zbiorą, machnął na pana Władka oraz dwóch swoich przybocznych i wskoczył do bmw.

Nie skręcili w drogę na Swołowo, tylko kawałek dalej zjechali w las. Pan Władek znał ten objazd, ponieważ poprzedniego dnia dokładnie sprawdził okolicę. Był wśród ludzi Kały jedynym prawdziwym profesjonalistą i jeśli coś obmyślił, zasługiwało to na pełne zaufanie.

– Spokojnie, panie Artku, zajedziemy od tyłu w to samo miejsce – powiedział, odwracając się. Jako jedyny miał prawo mówić do niego po imieniu.

– Oby – burknął Kała. Gad owijający się wokół jego piersi twierdził co innego. Kto sypnął? Kto w ogóle wiedział o zmyłce z ciężarówkami? Ci czterej znajdowali się poza podejrzeniem, o czym najlepiej świadczyły ich mocno poobijane pyski. Poza tym nikt. NIKT! A jednak ten krakowski lalusz dowiedział się i mówi, że właśnie tu idzie. Przecież miał, kurwa, iść tam, a nie tu!

Wkrótce Kała dostał odpowiedź. Podeszła mu do gardła kolejną falą wstrząsów i omal nie udusiła. Wysiedli tak jak poprzednio w głębi lasu i zachowując maksymalną ostrożność, z rękami na kolbach pistoletów podchodzili pod parking. Rozdzielili się na dwie grupy i ruszyli z przeciwnych kierunków, licząc na ewentualne zaskoczenie przeciwnika. Nie zapalali latarek, by nie zdradzać swoich pozycji. Kała szedł między swoimi goryłami, wlepiając oczy w ciemność. Im dłużej przedzierał się przez dzikie zarośla, otaczające leśną zatoczkę przy drodze na Swołowo, tym większe czynił sobie wyrzuty. Trzeba było nie kombinować z zasadzkami, tylko wysledzić tego mydłka i zwyczajnie zgarnąć. Poniosła go pycha, chęć zaimponowania dupkom z Krakowa, którzy mieli się za Bóg wie co. Chciał podrażnić Krzyckiego, sprowokować nie tylko przynętą, ale i wyzwaniem na pomysły. Spryt kontra spryt. Chciał być mądrzejszy od tamtego. To mu też doskwierało od dwudziestu dwóch lat. No i jest. Dupa i wtopa w środku lasu.

Odbezpieczył broń, ponieważ w krzakach coś zaszeleściło. Uniósł rękę, uciszając swoich. Jakies dziesięć metrów przed nimi coś się szamotało, zupełnie jakby dziki zwierz tarł grzbietem o pień drzewa. Kała wyjął latarkę i trzymając palec na przycisku, zaczął ostrożnie się zbliżać. Gdzieś tu powinna być pierwsza z sześciu jego czujek. Bardzo powoli rozchyłał gałęzie i usiłował przebić wzrokiem ciemność. Niestety, rozjaśnione wieczorną poświatą niebo powodowało, że czerń między drzewami stawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Kompletnie nic nie widział, a włączenie latarki natychmiast zdradziłoby jego pozycję. Wreszcie nie wytrzymał napięcia i pokazał dwóm ludziom, by poszli przodem. Wysunęli się na czoło i ruszyli ostrożnie tam, skąd dochodził dziwny dźwięk. Kała sprawdził komórkę – żaden z numerów nie oddzwaniał.

Nagle błysnęły latarki.

– Szefie, tutaj! – rozległy się krzyki.

Kała podbiegł do nich pełen najgorszych przeczuć.

Siedzieli plecami do pnia, a przez środek ich twarzy biegła szara taśma zaklejająca usta i mocno dociskająca ich głowy do drzewa. Ręce mieli związane plastikowymi kajdankami. Tamten pewnie woził w samochodzie całą ich torbę. Dziwny odgłos tarcia brał się stąd, że obaj szarpali się w prawo i w lewo, odklejając i przyklejając taśmę na przemian z jednej i drugiej strony. Gdy tylko zostali oswobodzeni, zaczęli jeden przez drugiego krzyczeć, rozcierając zaczerwienione policzki. Tego, który stał bliżej, Kała z całej siły zdzielił w twarz. Zamilkli jak na komendę. Mrużyli oczy od latarek i na ich zbaraniałych twarzach malowała się pełna cierpienia niepewność co do rodzaju i wysokości kary.

– Był sam? – syknął przez zaciśnięte zęby.



Pierwszy powiedział „tak”, drugi „nie wiem” i Kała właśnie miał zdzielić tego drugiego, gdy z głębi lasu dobiegły kolejne krzyki. Zostawił ich i pobiegł do następnych czujek, chociaż ochota na sprawdzanie malała mu z każdą chwilą. Rozgarniał gałęzie krzewów, kalecząc dłonie, ale rozcięta na knykciach skóra akurat w ogóle go teraz nie obchodziła. Właśnie stawał się świadkiem czegoś niemożliwego. Jak Bałyś to zrobił? W jaki sposób w pojedynkę obezwładnił dwunastu uzbrojonych ludzi? Aż tak jest dobry czy ludzie Kały aż tak beznadziejni?

Artur nie miał czasu na zgłębianie nowej fali wściekłości. Przed nim ukazała się następna dwójka, identycznie jak tamta przytwierdzona do pnia sosny szarą taśmą. Tak samo wyglądały kolejne dwie, natomiast na końcu Bałyś zademonstrował wyższy poziom sprawności: wokół jednego grubego pnia siedziała czwórka zakneblowanych i skutych jak bydło rzeźne ludzi. Szarpali się i usiłowali wysunąć spod taśmy, ale ich prześladowca to przewidział i dodatkowo owinął ich nią przez pierś. Wszyscy zostali rozbrojeni i dokładnie oczyszczeni z militarnego wyposażenia. Nie mieli nawet latarek, o komórkach nie wspominając. Ich rozdeptane szczątki znalazł ktoś nieopodal na leśnej drodze.

Czterej uwolnieni zaczęli nagle na wypródki gadać i wymachiwać rękami, jakby nadrabiali milczenie i bezruch w objęciach szarej taśmy. Było w tym wiele strachu, ale również fascynacja nadludzkimi możliwościami tego chłystka, który podszedł ich jak instruktor skautów w zieloną noc. Kała nie wytrzymał i palnął pierwszego w głowę.

– Stulcie pyski! Będziecie się tłumaczyć później. Gdzie on jest?

Jak jeden mąż spojrzeli w bok ku leśnej zatoczce, gdzie stała ciężarówka i biały dostawczak. Kała zrozumiał. Napastnik zostawił sobie kierowców na deser. Wisienka na torcie. Wściekłość w

połączeniu z opanowaniem ścięły jego ciało w beton. Szedł sztywny jak rycerz w zbroi.

Kierowcy siedzieli w kabinach swoich samochodów przytwierdzeni taśmą do kierownic, z zaklejonymi ustami i dłońmi w plastikowych kajdankach, takich samych jak reszta grupy. Przecinając więzy, Kała oprócz pancерnej wściekłości odczuł podziw. Nie dość, że napastnik obezwładnił w sumie czternastu ludzi, to jeszcze zdołał ich wszystkich powiązać i zakneblować. Robiło się nieciekawie. Ilu potrzeba, żeby zatrzymać tego krakowskiego terminatora?

Kierowca Mirek, mniej poobijany i dzięki całym wargom bardziej skłonny do mówienia od kolegi, zaczął właśnie opowiadać o tym, jak próbował dzielnie się bronić, gdy nagle cały parking zalała oślepiająca jasność. Ktoś włączył reflektory. Kała, który sam kazał je ustawić, poczuł się jak cel na strzelnicy. Z wyciągniętym przed siebie pistoletem kręcił się w prawo i w lewo, ślepy jak kret i bezradny jak kretyn. Jego ludzie robili to samo i z podobnym skutkiem.

– Bałyś, wyjdź! – krzyknął ochryple. – Pogadajmy!

Odpowiedziała mu cisza. Las patrzył na niego tysiącem czarnych nieprzeniknionych oczu, bezlitosny i obojętny na jego propozycję. W każdej sekundzie mógł paść strzał z niewiadomego kierunku. Kała otarł czoło. Był mokry, ślepy i zdezorientowany. Zrozumiał, że z myśliwego zmienił się w zwierzynę, jak w tanim scenariuszu.

– Bałyś! Nic do ciebie nie mam! Możemy to załatwić. Patrz, moi ludzie odkładają broń, ja też. Chodź tutaj i powiedz, czego chcesz, a ja powiem, czego ja chcę.

Skinął swoim, by położyli broń na ziemi. Dwóch wysłał, żeby wyłączyli te cholerne reflektory, a sam uniósł obie ręce do góry i

mówił dalej do ciemnej ściany lasu.

– Nie chodziło o ciebie, tylko o kogoś innego. Ty miałeś być nitką do kłębka. Rozumiesz, nić Ariadny, he, he! Słuchaj, Bałyś, jesteś tu obcy i wielu rzeczy nie wiesz. Przede wszystkim nie wiesz, co naprawiasz, a co psujesz. Gdybyś wyszedł i mnie posłuchał, zobaczyłbyś wszystko w innym świetle. Ale nie będę gadał w powietrze. Wyjdź!

Improwizował, żeby zyskać na czasie. Nie liczył specjalnie na naiwność Bałysia i wątpił, by ten wszedł w krąg jasnego światła, ale przynajmniej uciszał swój strach. To było coś nowego. Dawno nie czuł strachu, zapomniał jego kwaśny, metaliczny smak, skutecznie wypierany latami przez słodką rozkosz dominacji. Teraz, stojąc w jupiterach na środku parkingu jak jakiś pieprzony zwycięzca pucharu UEFA, najzwyczajniej się bał.

Cisza. Słyszał jedynie pstryknięcia, z jakimi nocne ćmy spalały się na halogenowych żarówkach. Wreszcie światło zgasło i Kała natychmiast rzucił się na ziemię, macając grunt w poszukiwaniu broni. Znowu nic nie widział. Na kolanach, grzebiąc w pyle i brudnym piachu, kulił się przed spodziewanym ciosem i myślał, że nienawidzi strachu. Chętnie zabiłby strach, gdyby go tylko miał pod łufą. Namacał pistolet, zacisnął palce na kolbie, odbezpieczył, wymierzył w ciemność przed sobą i strzelił. Huk wystrzału wstrząsnął powietrzem. Jego ludzie zaczęli pokrzykiwać i świecić wkóło latarkami w beładnym poszukiwaniu wyimaginowanego przeciwnika. Nie dbał o to. Wbijał wzrok w czerń i szukał czegoś, co byłoby choćby cieniem wroga, cieniem cienia.

– Bałyś! I tak mi się nie wywiniesz! Jesteś u mnie, czyli jesteś mój, zrozumiałeś? Mój!

Cisza. A potem nagły brzęczek telefonu, od którego zadrzał jak w febrze. Hadczuk.

– Szefie, mamy podpalacza.

– Czyli kogo?!

Na dźwięk nazwiska Kała westchnął z ulgą. No ba, nareszcie jakieś rozwiązanie. Przecież o to chodzi w łowieniu na żywca.

– Dawaj go tutaj.

– Nie wiem, czy mogę...

– Dawaj, kurwa!

## 8

Paweł Palka miał na sobie czarne legginsy, czarną trykotową bluzę z długim rękawem i miękkie najki z czarnej skóry. Wyglądałby jak baletmistrz zabrany prosto z kursu tańca, gdyby nie jego beznadziejnie osowiała twarz oraz ręce założone na tył i spięte kajdankami. Musiał stawiać opór, o czym świadczyły spore siniaki na policzkach. Komisarz Ryszard Hadczuk wywlókł go z samochodu i pchnął w kierunku Kały. Oświetlony reflektorem plac na parkingu na tyłach ciężarówki otaczali jego ludzie, tworząc spontaniczny ring do walki. Żadnej walki jednak nie było. Kała po prostu uniósł pistolet i uderzył Palkę w skroń.

– To za moje magazyny – wydyszał. – Gdzie jest Bałyś?

Paweł nie stracił przytomności, tylko zasłonił głowę rękami i skulił się na ziemi w embrionalnej pozycji.

– Nie wiem – powiedział cicho. W odpowiedzi otrzymał kopniaka w nerki.

– Przestań!

Hadczuk podbiegł do Kały i złapał go za rękę.

– Zostaw go! To policjant! Nie wolno ci!

– Nie mów mi, co mi wolno – odparł Artur, wymachując pistoletem. Powstrzymał jednak swoją wściekłość na tyle, by kazać swoim ludziom wrócić do samochodów. Odesłał ich do miasta i kazał zabezpieczyć miejsce pożaru, cokolwiek to znaczyło. Mając Palkę, nie potrzebował tej zgrai nieudaczników. Teraz mógł to rozegrać na swoich warunkach. Gdy plac opustoszał i zostali tylko we trójkę, przystawił lufę do piersi Hadczuka i wycedził powoli:

– To twój człowiek i lepiej, żebyś za bardzo go nie bronił. A wiesz dlaczego? Bo ktoś może pomyśleć, że wiedziałeś o jego zamiarach, może nawet z nim współpracowałeś. A jeśli nikt tak nie pomyśli, to może znaleźć się ktoś, kto tę myśl podsunie innym. Palka był dzisiaj w pracy, zwolniłeś go do domu, dobrze myślę? Mieliście pilnować tych pajaców protestujących pod sądem, ale otrzymał od ciebie zgodę na wcześniejsze wyjście, przebrał się i jak jakiś ognisty ninja wtargnął na mój teren, żeby podpalić magazyny. Trudno ci będzie przekonać wszystkich, a zwłaszcza przełożonych, że nic o tym nie wiedziałeś. I nie wydaje mi się, abyś zdołał podciągnąć jego akcję pod interwencję pozasłużbową. Co? Dobrze myślę? Odpowiadaj, kurwa! Dobrze myślę?!

– Rysiek... nie ma z tym... nic... wspólnego – wymamrotał z trudem Palka. Za całą odpowiedź dostał kolejnego kopniaka.

– Zamknij się! A ciebie – Kała zwrócił się do Hadczuka – też już nie potrzebuję. Idź do samochodu, puść sobie Radio Maryja i śpiewaj z nimi na głos. Będzie ci łatwiej. Uwiniemy się raz-dwa! – dodał z czegoś nagle zadowolony.

– Artur, nie możesz zostać sam – komisarz próbował oponować.  
– Nie wolno ci. To znaczy chciałem powiedzieć... – Rozejrzał się po lesie i pod wpływem tego, co tam zobaczył, czy może sobie wyobraził, nie dokończył zdania.

– Wypierdalaj! – wrzasnął Kała.

Hadczuk odskoczył jak oparzony. Obejrzał się, przeładował pistolet i wyciągając go przed siebie jak ślepiec białą laskę, ruszył powoli ku szosie. Gdy doszedł do samochodu i odjechał, Kała zwrócił się wprost w ciemną ścianę przed sobą:

– Bałyś, jesteś tu? Dobra, możesz już wyjść!

Odpowiedziała mu cisza.

– Chodź, pogadamy o twoim przyjacielu. Bo żeście się tu skumplowali, co? Przyjdź i uratuj mu życie.

Uklęknął na jednym kolanie przed Palką, przeładował broń i przystawił mu lufę do skroni w miejscu, gdzie widniała świeża plama krwi. Czując jego drzenie, sam doznał nagłego uspokojenia. Teraz powinno się udać. Przynęta zarzucona prawidłowo, wystarczy poczekać na rybę.

– Bałyś... – zamruczał zachęcająco. – No chodźże, bo mi nogi ścierpną, zacznę się wiercić i niechcący pociągnę za spust. Przecież sam chciałeś ze mną gadać. „Idę po ciebie”, he, he. Dobre. Lubisz filmowe sceny. Ja też. No, wylaż.

Las milczał. Poniżej linii gałęzi Kała widział światła sygnalizacyjne na wiatrakach swojej farmy pod Grębówkiem. Pulsowały w jednym rytmie, jak lampki bożonarodzeniowe, które ktoś z fantazją rozciągnął między wieżami. Nagle te po lewej przygasły, potem jedne z nich znowu rozbłysły, inne jakby znikły. Nie znikły. Ktoś szedł między pniami i je przysłonił. Kała ścisnął mocniej kolbę pistoletu.

– Chodź, żołnierzu. Walka skończona, przechodzimy do pertraktacji.

Mówił wciąż do martwej ciemności, ale wiedział, że on tam jest.

– No chodź...

To było jak prośba, niemal błaganie. Kała już nie krzyczał, tylko przymilał się, niemal błagał. Jego prośby zostały wysłuchane.

Ciemność odpowiedziała.

– Pomóż mu wstać i pozwól odejść – usłyszał głos Bałysia jak spod ziemi. – Wtedy może nic ci nie zrobię.

– To nie tak idzie, chłopcze – odparł natychmiast. – Ja mówię, ty wykonujesz. Nie stawiaj wozu przed koniem. – Wyszczrzył zęby, aby nadać swoim słowom odpowiednią oprawę. – Zaprezentowałeś swoje umiejętności, podziwiam. A teraz dosyć. Podejdź tu wolno i z rękami nad głową.

Ciemność znowu zamilkła. Na jasno oświetlonym placu rozlegały się tylko syknięcia palonych w reflektorze owadów i chrapliwy oddech Palki. Zbyt długo to trwało.

– W porządku – zdecydował Artur. Wstał i szarpnął Pawła do pozycji stojącej. Przystawił mu pistolet do potylicy i pchnął przed siebie, chowając się za nim dokładnie tak, jak to przed laty ćwiczyli z tarczami z pleksi. Wlepił przy tym oczy w miejsce, skąd wydawało mu się, że dobiegał głos. Szedł tuż za aspirantem, tak blisko, jak tylko się dało.

Bałys wyrósł jak spod ziemi. Kiedy stanął naprzeciw nich w półmroku, łudząco przypominał Palkę. Ubrał taki sam czarny obcisły strój, uzupełniony kominiarką, za to nie włożył butów. Kała zdębiał. Jak ten szaleniec mógł dokonać tego wszystkiego na bosaka? To na pewno jakiś wschodni rytuał. Opieka przodków, pierwotne moce, czerpanie siły z ziemi i tym podobne kocopoły. Z drugiej strony – te bose stopy właśnie rozwalily cały oddział.

Artur miał go jakieś pięć metrów przed sobą, z rękami lekko uniesionymi, bez broni. Mógłby teraz strzelić i byłoby po wszystkim. Powstrzymały go dwie myśli: że jego dalekosiężny plan upadnie i że jego ludzie także byli uzbrojeni i mogli strzelić. Żaden z dwunastu nie zdołał tego zrobić. Zmierzył wzrokiem człowieka w czerni i upewnił się, że lepiej nie strzelać. Przed nim stał już nie ten

chłoptaś z konferencji, tylko coś nie do końca ludzkiego. Mimo wściekłości i strachu Kała miał tyle oleju w głowie, by ujrzeć ryzyko w pomysłach ze strzałem.

– Puszczę go, ale ty pójdziesz ze mną – ciągnął swoją mowę. Nie liczył na wielki sukces, ale potrzebował zyskać jeszcze trochę na czasie. Ciemność za plecami Lucka Bałysia wykonywała ledwie widoczne ruchy. – Niedaleko, tam pod drzewo, obok reflektora. Usiądziemy i pogwarzymy sobie. Opowiem ci coś o twoim przyjacielu. Nie tym tutaj – pchnął lufą głowę Palki – tylko tamtym, prawdziwym. Wiesz już pewnie, że z Andrzejem Krzyckim uczyliśmy się razem w szkole policyjnej, co? Powiedział ci?

Mówiąc to, pilnie wpatrywał się w szpary w kominiarce. Ukryte za nią jasne oczy minimalnie się rozszerzyły. Haczyk został połknięty, należało teraz precyzyjnie zaciąć.

– No to już wiesz. Byliśmy kumplami, dosyć bliskimi. Jeśli o mnie chodzi, to Krzyckiego uważałem za przyjaciela, tak jak ty teraz. Dobrze mówię?

Usta pod kominiarką poruszyły się jak u drapieżnika, kiedy poprawia trzymaną w pysku przynętę.

– Na wakacyjnym obozie szkoleniowym mieliśmy wolne weekendy – mówił dalej Kała, starając się nie patrzeć w mrok za plecami Lucka. – Kto chciał, mógł wtedy spotkać się z rodziną. Do mnie przyjeżdżała narzeczona, Lidka. Oczywiście już na pierwszej randce przedstawiłem ją Andrzejowi. Możesz mi wierzyć lub nie, ale potrafiłem wtedy kochać ludzi. Lidkę kochałem naprawdę, chcieliśmy się pobrać zaraz po skończeniu szkoły policyjnej. Słuchasz mnie?

Oczy za kominiarką momentami traciły kontakt z Kałą. Mimowolnie opadały gdzieś w dół, jakby najciekawsze pełzło teraz



po ziemi. Poważne naruszenie zasad ostrożności. Haczyk wchodził w podniebienie.

– Oszczędzę ci szczegółów i przejdę od razu do sedna. Krzycki przespał się z Lidką. Zdarza się, co nie? Pewnego sobotniego wieczora upiliśmy się i ja zasnąłem, a Andrzej wyniósł ją do sąsiedniego pokoju i zerznął jak dziwkę tuż pod moim bokiem. Później mnie przeproszał, zwał na alkohol, głupotę i brak oporu z jej strony. Fajne, nie? Do dzisiaj śnią mi się ich miłosne stękania. Ale ty dobrze wiesz, o czym mówię, co, młody?

Przerwał tylko na sekundę, by się upewnić, że w ciemności za plecami mężczyzny w kominiarce coś się dzieje. I że dzieje się tak, jak powinno. Zacięcie musiało być przeprowadzone nie tylko precyzyjnie, ale i z wyczuciem czasu.

– To nieprawda – usłyszał drewniany głos Bałysia. – Nie wierzę.

– Nie musisz. – Kała profesjonalnie wzruszył ramionami. – To mój problem, nie twój. Na pewno nie twój? Nieważne. Wróćmy do tamtej nocy. Nie to było najgorsze, że się z nią przespał. Każdy miewa chwile słabości, ulega zauroczeniu, naciskowi spermy na mózg czy jak to tam nazwiemy. Rzecz w tym, że Krzycki wcześniej założył się z chłopakami, że ją przeleci. Czujesz to? Obstawiali kasę i liczbę dymanek. Zakładał się o moją narzeczoną, za moimi plecami, jakbym był jakimś ostatnim ciulem, a nie przyjacielem! Potem mnie upił, bo miał najmocniejszą głowę z nas wszystkich, i zaliczył Lidkę jakby nigdy nic. Do dzisiaj nie wiem, ile razy i jaką za to zgarnął kasę. Rano przyszedł do mnie z informacją, że moja narzeczona wyjeżdża i może bym tak się ogarnął i z nią pożegnał. Pamiętam jego słowa, wypalił mi je gorącym żelazem na środku serca: „Mam nadzieję, że cię obudziłem...”.

Dobrze zacięty drapieznik reaguje nagłym szarpnięciem, czasem tak mocnym, że zrywa żyłkę i ucieka z przynętą. Jeśli rzecz

odbywa się na środku jeziora, może wciągnąć wędkarza do wody. Tak właśnie zareagował Lucek Bałyś. Ryknął jak zraniony zwierz i skoczył w jakiejś zupełnie fantastycznej figurze akrobatycznej, by zadać śmiertelny cios sparaliżowanemu Kale. Nie zdążył. Sekundę wcześniej rozległo się głośnie puknięcie, jak wystrzał olbrzymiej butelki od szampana, którą świętuje się zwycięstwo w wielkim pojedynku. Kała tylko na to czekał. Skulił się i patrzył, jak lamparci skok Bałysia przechodzi w powietrzną szamotaninę i kończy się runięciem w swołowski piach.

Policyjna siatka obezwładniająca ma dosyć duże oka. Wystrzelona z ręcznej wyrzutni, błyskawicznie rozwija się w locie i oblepia osobnika jak złowioną rybę. Umożliwia spętanemu wykonanie paru ruchów, nim ten zupełnie się zaplącze. Lucek zwinął się w kłębek, przeturlał po piasku i następnie podjął beznadziejną próbę rozplątania sieci. Może gdyby miał więcej czasu... Zza drzew wyskoczyli jednak dwaj ochroniarze i rzucili się na niego. Wkrótce dołączył do nich Kała, wlokąc ze sobą kompletnie zdezorientowanego Palkę. Gdy już unieszkodliwili czarnego człowieka w sieci, siadając na nim okrakiem i zaciskając pętlę na szyi, Kała pochylił się nad nim i wyszczerzył zęby.

– Dobry jesteś – powiedział. – Ale na mnie nie ma dobrych. Powiedziałem ci to pierwszego dnia.

Skrepowany podkomisarz Lucjan Bałyś nie reagował. Jego oczy patrzyły w pustkę zupełnie bez wyrazu. Artur Kała poklepał go w policzek.

– Nie boisz się śmierci, co? I słusznie. Jej nie ma. Jest tylko umieranie, krótsze lub dłuższe. Latami żyłem obok policjantów, gangsterów i innych łatwo ginących ludzi. Nauczyłem się, że im dłużej walczysz, tym dłużej umierasz. Ty walczyłeś bardzo długo i należy ci się piękne, wielowymiarowe i bogate w doznania

umieranie. Zasłużyłeś na nie. Nie to, co tchórze, którzy wbijają ci nóż w plecy. Tym się należy umieranie krótkie i błahe, znaczące tyle co pierd muchy. Paradoks? Nie, po prostu męskie prawo świata, złagodzone w walce adrenaliną. Dlatego mężczyźni wolą walczyć, a tchórze uciekać. Pokazać ci tchórze?

Wyprostował się, schwycił Palkę za kark i przygiął ku ziemi. Lucek jakby ich nie widział. Jego oczy zaszły mgłą. Patrzyły nie na zewnątrz, tylko do środka.

– Łowiłeś kiedyś ryby na żywca, Bałyś? Ja wiele razy. Jest tam takie dziwne, niewytłumaczalne zjawisko. Otóż bez względu na to, czy zatniesz szczupaka czy nie, płotka i tak ginie. Zawsze. O, tak.

Przystawił lufę do skroni Pawła i pociągnął za spust.

## VIII

### Katastrofa

#### I

– Gdzie jest Bałyś? – spytał komendant Dariusz Byczkiewicz. Oparł umięśnione ręce na parapecie i obserwował zalaną deszczem ulicę Mogilską, tyłem do Krzyckiego. – Miał wrócić w niedzielę, a jest środa.

– Nie wiem – odparł Andrzej. – Jestem na urlopie.

Byczkiewicz odwrócił się powoli, mimo dudniących na wiadukcie wagonów składu towarowego. Nie miał odruchów prawdziwego szefa.

– Nie ściemniaj mi tu. Jesteście takie papużki nierozłączki, że biorą was za parę. Dlatego cię wezwałem.

– Zazdrosny?

– Nie przeginaj, Andrzej. Rozmawiaj ze mną poważnie. Gdzie on wsiąknął?

Wytlumiony przez podwójne szyby szum samochodowych kół na mokrym asfalcie łączył się ze stukiem wagonów w ciekawe staccato. Maszyna do szycia w zwolnionym tempie. Deszcz zszywa niebo z ziemią.

– Na tym polega problem. Nie odbiera telefonów i nikt w Słupsku nie umie powiedzieć, gdzie on jest. Nawet rodzice jego żony.

Uśmiech Byczkiewicza zdradzał, że komendant ma w tej sprawie coś ciekawego do powiedzenia.

– Poprztykaliście się? O co poszło?

Krzycki nie umiał kłamać. Znał siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że w pewnych kwestiach lepiej zasłonić prawdę własnym ciałem niż kłamstwami.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Aha – podsumował Byczkiewicz. – Czyli to co zawsze.

– Co masz na myśli? – spytał Andrzej.

– Coś ci powiem. Kiedyś w szkole pobiliśmy się z kolegą o dziewczynę. Oberwałem, ale ta dziewczyna potem wybrała mnie. Straciłem przyjaciela, jednak zyskałem w zamian coś dla mnie wtedy ważniejszego. On już nigdy potem się do mnie nie odezwał, a dziewczyna po roku odeszła do innego. Babcia mi powiedziała, żebym zapamiętał tę lekcję: kobieta potrafi zniszczyć najsilniejszą przyjaźń. Co o tym myślisz?

Andrzej zakręcił kubkiem z wytartym napisem „Kubek szefa” – niedysiejszy prezent od Lucka.

– Pozdrów babcie. Mądra kobieta.

– Spróbuję, ale będzie trudno, bo nie żyje. Posłuchaj... – Komendant przetarł dłonią solidny kark. – Nie chcę wtrącać się w prywatne sprawy, ale wszyscy troje pracujecie w jednym wydziale, którego jesteś szefem, i wasze relacje nie są tu obojętne. Ba, śmiem twierdzić – przysunął się bliżej, by spojrzeć mu prosto w oczy – że decydują o skuteczności działań. Kiedy łączyłem was w grupę, wydawało mi się, że wybieram rozwiązanie najlepsze z możliwych. Teraz wcale nie jestem tego taki pewien. Wiesz może dlaczego?

– Może dlatego, że kazałeś mi być szefem – wycedził Krzycki i zmiótł hipotetyczny kurz z blatu biurka. Byczkiewicz obserwował te sanitarne czynności, kiwając głową jak plastikowy piesek za tylną szybą samochodu. Mogło to oznaczać dogłębną analizę słów podwładnego, mogło też znaczyć coś zupełnie innego, na przykład

nieprzyjmowanie ich do wiadomości. Andrzej podniósł wreszcie wzrok na komendanta i czekał. Uśmiech na jego twarzy świadczył o gotowości przyjęcia każdego ciosu. Byczkiewicz spróbował od innej strony.

– Dominika przyniosła mi wczoraj prośbę o urlop dla Bałysia. Nie mogę jej przyjąć, bo nie jest przez niego podpisana. Od trzech dni nie ma go w pracy i nikt z was, najbliższych mu ludzi, nie umie mi powiedzieć, co się dzieje. Nie umie albo nie chce. Dzwoniłem do Słupska, powiedzieli, że wyjechał w sobotę i od tamtej pory nikt go nie widział. Nawiasem mówiąc – jego oczy zwięzły się do szparek – oni tam mają jakiś większy problem. Ktoś zginął, ktoś uciekł... Wiesz coś o tym?

Dmuchał wiatr i deszcz mocniej zabębnił o szyby. Obciążone mokrymi liśćmi gałęzie lip zafalowały jak włosy żałobnych płaczek.

– Nie, panie komendancie. Jestem na urlopie.

Gdzieś nad miastem przetoczył się grzmot burzy. W gabinecie zrobiło się ciemno i Byczkiewicz włączył wielką mosiężną lampkę biurową z zielonym kloszem, taką, jakie mają prawnicy na amerykańskich filmach. Wcale nie rozjaśniła pokoju, za to podkreśliła blask łysiny komendanta.

– Pomyślałem – zaczął znowu – że zniknięcie Bałysia może jakoś wiązać się z tamtymi problemami. Co, jak ci się wydaje? Powinienem rozpocząć oficjalne dochodzenie w sprawie zaginięcia mojego oficera?

– Nie! – krzyknął energicznie Andrzej. – Jeszcze nie. Poczekaj, zaraz ci wyjaśnię. To prawda, starliśmy się z Luckiem. Coś sobie wyobraził, źle zrozumiał i wyłączył komórkę. Przypuszczam, że zaszył się gdzieś i dochodzi do siebie. Jak ochłonie, wyjdzie. Dajmy mu jeszcze trochę czasu. No chyba że skrócisz mi urlop i wyślesz do Słupska.

– Nie! – krzyknął równie energicznie Byczkiewicz. – Wolałbym tam wysłać oddział specjalny niż ciebie. Narobisz kaszany, a ja za to beknę. Jesteś pewien, że Bałys ochłonie i wyjdzie? Wyobraził sobie, źle zrozumiał, zaszył... Wy to jesteście modele!

Swoim zwyczajem Andrzej uniósł ręce do góry w geście rezygnacyjno-obronnym.

– Pytałeś, co myślę, to powiedziałem.

W błyskawicy za oknem rozchwiana lipa na ułamek sekundy zmieniła się w białą damę. Łysina Byczkiewicza rozbłysła na szybie niebieskim fleszem. Trzask wyładowania i brzęczek telefonu zabrzmiały równocześnie, jakby chodziło o jakąś przejrzystą aluzję. Komendant przystawił słuchawkę do ucha, mruknął: „Przełącz”. W miarę słuchania jego okrągła twarz wydłużała się jak oklapłe zegary na obrazie Salvadora Dali.

– Ja pierdolę – wymruczał. Jedno krótkie spojrzenie na Andrzeja wystarczyło, by i on zaczął się niepokoić.

– Chodzi o Lucka?

Byczkiewicz potrząsnął głową, co mogło znaczyć zarówno zaprzeczenie, jak i prośbę o spokój.

– Kiedy dostaniecie wyniki? Dobra, w takim razie nic nie róbcie, dopóki ktoś od nas tam nie przyjedzie. Dlaczego? Dlatego, kurwa, że chodzi o mojego człowieka!

Trzasnął słuchawką, jakby to ona odpowiadała za złe wieści, i obrzucił Krzyckiego niechętnym spojrzeniem.

– Pod Słupskiem znaleźli ciało policjanta, Pawła Palki. Zastrzelony. Dostał z bliskiej odległości w głowę i serce. Mają broń, z której strzelano. Pięćdziesiąt metrów dalej, w lesie stało porzucone białe volvo na krakowskiej rejestracji. Nasze volvo. Jak to powiedziałeś o Bałysiu? Źle sobie coś wyobraził?

Wiatr za oknem przycichł, burza przetoczyła się gdzieś dalej, donosząc o swoim odejściu stłumionymi pomrukami. Lipa za oknem kołysała się żałośnie, po szybie ściekały ukośne krople deszczu. Andrzej próbował z nich ułożyć wzór, ale nie wychodziło nic oprócz ukośnych kropel deszczu. Czasem coś znaczy tylko to, co znaczy, i nic więcej. Na ziemi leży trup, a w lesie stoi samochód. Paweł Palka. Miał miły inteligentny głos. Mówił o Bałysiu „Lucek”, więc zdążyli się skumplować. Ktoś go zabił, a Lucek był na miejscu i nie zdołał temu zapobiec. Porzucił swój ukochany samochód, czyli nie zrobił tego dobrowolnie. Czyli został zabrany stamtąd pod przymusem. Czyli został porwany. Czyli...

Trzeba tam jechać.

– Żeby nie przedłużać. – Andrzej wstał. – Otwórz teraz szufladę, tę po twojej prawej stronie, wyjmij moją odznakę, którą mi brutalnie odebrałeś po akcji na Grzegórzeckiej, i wręcz mi uroczyście wraz z pismem o skróceniu urlopu i powrocie do pracy. A także z gorącą prośbą, abym natychmiast pojechał do Słupska. Poproś mnie również, bym nikogo ze sobą nie zabierał, a z komendą słupską załatw, żeby mi pomagali wedle swojej najlepszej wiedzy i możliwości.

Byczkiewicz usiłował oponować, ale Andrzej powstrzymał go gestem.

– Jadę się spakować, a ty w tym czasie sprawdź mi ostatnie logowania z telefonu Lucka. Aha, i jeszcze jedno: daj Dominice jakąś bezpieczną biurową pracę i miej na nią oko. Mówię poważnie.

Stał przed zagraconym biurkiem z wyciągniętą ręką. Zamiast zaprotestować przeciwko wydawaniu poleceń przełożonemu, Byczkiewicz sięgnął do szuflady i nie patrząc na Krzyckiego, podał mu odznakę.

– Andrzej, ale to jest... to jest jakaś cholerna...



– Tak, katastrofa. Dlatego muszę jechać.

## 2

Szarpał torbą, w której zamek błyskawiczny nie chciał się rozpiąć. Wcześniej zerwał w bucie sznurówkę, która nie chciała się rozwiązać. Rozlał przy tym kawę na spodnie i nakruszył ciastem, pojadanym na chybicka zamiast śniadania. Dorota cały czas mówiła.

– Wiem, że teraz już nikt i nic nie powstrzyma cię przed wyjazdem. Zresztą nie zamierzam tego robić. Przykro mi z powodu tego, co się stało, choć właściwie nie wiadomo, co się stało. Dam sobie radę bez ciebie, bo teraz też sobie daję. Przez całe moje pieprzone życie muszę dawać sobie radę. A jak już poradzę sobie z jedną sytuacją, to trudności skaczą o level w górę. Albo dwa. Proszę bardzo, jedź. Do czego właściwie miałabym cię potrzebować? Do otwierania mi drzwi wieczorem i zamykania za mną rano?

Nie odpowiadał. Po pierwsze, nie wiedział co, a po drugie, wołał nie zadzierać z rozeźloną Dorotą. Zamiast tego mocował się z zamkiem, który teraz dla odmiany nie chciał się zapiąć.

– Wiem – ciągnęła, paląc papierosa przy uchylonym oknie. – Masz do mnie żal. Gdybym cię nie powstrzymywała, pojechałbyś wcześniej i może nie stałoby się to, co się stało. Choć właściwie nie wiadomo, co się stało. Zabroniłam ci. To znaczy właściwie nie zabroniłam, ale byłam niezadowolona, że chcesz tak bez konsultacji ze mną...

– Mogłabyś przestać pieprzyć? – Nie wytrzymał. – Mam większy problem niż twoje opinie o moim wyjeździe.

– A można wiedzieć jaki?

Po kolejnym silnym szarpnięciu zamek wreszcie się zapiął i Andrzej cisnął pękata torbę do przedpokoju.

– Taki, czy on żyje.

Wydmuchała dym przez okno i wcisnęła niedopałek do popielniczki. On tymczasem pośpiesznie przeglądał zawartość szuflad biurka, analizując, co może się przydać w słupskiej wyprawie. Tak o niej myślał: wyprawa. Wielka i długo oczekiwana przygoda, związana ze zniknięciem Lucka. Nie tylko zniknięciem – okazałą słupską aferą, w którą wplątał się z całym swoim urokiem osobistym oraz umiejętnościami. Obraził się, na złość Dominice i jemu odmroził sobie uszy, po czym popłynął w długą jak kapitan Jack Sparrow. Cały Lucek. A teraz Andrzej musi ruszyć na pomoc i uratować go z opresji, ponieważ tak to leci w scenariuszach przygodówek. Dostyc nudnego wydeptywania psich ścieżek nad Wisłą, koniec z gapieniem się w sufit i szukaniem ruchu w bezruchu, precz z lenistwem i pasywną erotyką marzeń. Leci przygodówka. Dawajcie ten świat, zaraz mu skopię tyłek!

– Weź psa.

– Co?

Nie pomyślał o tym. Dorota wychodzi na całe dni do pracy, Pawełek na wakacjach, zresztą jest za mały na samodzielne spacery, a ciocia Irenka wraca z sanatorium za dwa tygodnie. Popatrzył na Lalę, a ona odwdzięczyła mu się krytycznym psim spojrzeniem. Nigdy nie jechała tak długo samochodem, nie wiadomo, jak to zniesie. Nie miał specjalnie ochoty paprać się po drodze z obrzyganym psem.

– Nie możesz jej zabrać do kawiarni?

– Chodzi ci o to, czy nie chcę otworzyć baru z hot dogami?

– Mówię poważnie. Ona nigdy tak daleko nie podróżowała.

– No to najwyższy czas zacząć. Nie poradzę sobie z nią tu sama. A tam może ci się przydać.

Miała rację. Pogłodził Lalę po łbie i pogrzebał w szufladzie, szukając tabletek aviomarinu. Gdzieś miał je zachomikowane z czasów, gdy sam ledwie znosił podróż samochodem, bogaty w alkoholowe sensacje niczym udany wieczór kawalerski. Znalazł je na samym dnie i wpakował do kieszeni. Przy okazji namacał swoją dawno nieużywaną zabawkę: myśliwski nóż. Zatknął go za pasek i klepnął na potwierdzenie, że przewiduje dla niego na Pomorzu ciekawe zadania.

– Zabierz jej karmę i miskę na wodę – poradziła Dorota, przyglądając się przygotowaniu z kolejnym papierosem między palcami. – I koc do spania.

– Dzięki, kojarzę. Chodź, mała – powiedział do Lali. – Walniesz sobie procha przed jazdą.

Wyprowadził ją do przedpokoju, wcisnął maleńką tabletkę w plaster kiełbasy i podał suce. Przełknęła i od razu zwinęła się na kocu w kłębek, jakby środek zadziałał jeszcze przed dojściem do żołądka. Odsunął ją na bok, poskładał koc w kostkę i położył na wierzch torby. Gdy się prostował, ręce Doroty objęły go w pasie.

– Przepraszam cię – powiedziała miękko. – Jestem wredna, ale to dlatego, że się boję.

Pocałował ją w usta.

– Wiem, kochanie. Też się boję. Wolałbym, żebyś pojechała ze mną, czułbym się pewniej. Uważaj tu na siebie. To... – chwilę szukał słów – ...może przyjsć tutaj.

Przytuliła się i mocno objęła go za szyję.

– Andrzej – szepnęła mu w ramię. – Powiedz mi, co tam właściwie się stało.

– Rzecz w tym, że nie wiem. I nie to nawet jest najgorsze.

– A co?

– Niepokoi mnie jedno nazwisko, które przy okazji wypłynęło: Artur Kała.

– Kto to jest?

– Stary znajomy. W kryminalnych historiach tacy są najgorsi. – Zaśmiał się nieszczerze, ale Dorota się nie przyłączyła. – Kiedyś ci opowiem. Historia jest niezła i nadaje się do usypiania zgryźliwych żon.

Zapiął Lali obrożę, zwiniętą smycz wepchnął do zewnętrznej kieszeni torby i mocno pocałował Dorotę. Gdy zarzucił pasek torby na ramię, zadzwoniła komórka.

– Andrzej, jedziesz już? Dostałam nagranie. To Lucek.

Dominika bardzo starała się mówić spokojnie, ale głos jej drżał i pociągała nosem. Powiedział, że zaraz tam będzie, i się rozłączył. Dorota natychmiast znowu się nachmurzyła. Pociągnął ją za łokieć.

– Chodź, głuptasie. Jedziesz ze mną.

### 3

Na ekranie laptopa wyświetlał się film z ciemnego pomieszczenia, w którym jedyny jasny punkt stanowiła twarz Lucka. Andrzej w pierwszej chwili nie rozpoznał go w łysym, wychudzonym straszyle, skulonym w zwisającej z sufitu sieci jak wytrałowany z jeziora topielec. Zielonkawy, rozmazany obraz kołysał się i migotał, ale to na pewno był Lucek. Wyglądał strasznie. Gdy filmujący zrobił zbliżenie, opleciona siecią głowa rozciągnęła się do potwornych rozmiarów i przypominała zakonserwowaną w formalinie główkę noworodka. Był przytomny, mrużył oczy przed

lampką komórki. Chciał coś powiedzieć, ale przez środek ust przechodziła linka, rozciągając je w makabrycznym uśmiechu.

– Jezus Maria – wyszeptała Dorota, tuląc do siebie Dominikę. Dziewczyna nie chciała patrzeć, zupełnie się rozkleiła. – Gdzie on jest?

Andrzej pochylił się. Wykrzywiona twarz Lucka znalazła się tuż przed nim, widział pręgi na policzkach i mrugające oczy. Ciasno ściągnięta sieć zadziałała jak najlepsze więzy i jego przyjaciel doskonale imitował baleron. A jednak w pewnym momencie szarpnął się, uwolnił usta i zaczął nimi poruszać, po czym obraz się urwał.

– Co on powiedział? – spytała Dorota.

Andrzej cofnął filmik i we trójkę pochylili się nad ekranem. Bezgłośny i ledwie widoczny ruch warg układał się w nieczytelne litery.

– ...buty...?

Cofnął jeszcze raz i przeglądali film klatka po klatce, ale z mizernym skutkiem. Poza pierwszą sylabą „bu” nie potrafili poskładać mamrotań Lucka w słowo. Andrzej przegrał filmik na pendrive’a i schował do kieszeni. Dopiero kiedy zamykał skrzynkę z wiadomościami, zauważył tytuł mejla: „Czas start”. No pięknie.

– Myślę, że powinniśmy... – zaczęła Dominika, ale jej przerwał.

– Niczego nie powinniśmy. Zostajesz tutaj. Dorota, zajmij się nią.

W ułamku sekundy przeleciały mu przez głowę pomysły, czym mogłaby się skończyć wspólna wyprawa z Dominiką do Słupska, ale szybko je odpędził. Tak szybko, że gdyby ktoś to zauważył, miałby dowód czarno na białym.

– Nie ma mowy! – krzyknęła Dominika z nagłą energią. – Nie zostawię Lucka samego, żeby przekładać papierki na Mogilskiej. Co

ty sobie w ogóle wyobrażasz?

W duchu cieszyło go, że dziewczyna nie wie, co on sobie właśnie wyobraża. Mówiła nerwowo, z zaczerwienionymi oczami i drżącą dolną wargą. Wyglądała uroczo. Skarcił się w duchu za swoje bezwstydne myśli i przybrał ojcowski wyraz twarzy.

– Wyobrażam sobie, że jako następna wpadasz w łapy porywaczy i dzieją się rzeczy, które moja wyobraźnia znosi z najwyższym trudem... – Przerwał i chrząknął, bo fraza wydała mu się nazbyt ryzykowna. – Nigdzie nie pojedziesz. Nie tylko dlatego, że to niebezpieczne. Oni na to czekają. Jeśli chcesz zrobić dla Lucka rzecz najlepszą z możliwych, trzymaj się od tej sprawy z daleka. Chodź do pracy, w miarę możliwości nie zostawaj sama, nie wychodź wieczorami z domu. Właściwie... – zerknął na Dorotę z błaganiem o łaskawe odczytanie jego intencji – mogłybyście na jakiś czas zamieszkać razem. U mnie na Starowiślniej.

– Jasne! – podchwyciła szybko Dorota. – Spakuj się, przyjadę po ciebie, jak tylko Andrzej odstawi mnie do domu.

– No nie wiem... – wahała się Dominika. – Myślisz, że to konieczne?

Zwracała się do Andrzeja, który przytaknął bez słów. Zastanawiał się, czy jeśli ukryje teraz prawdziwe powody porwania Lucka, to jest to już kłamstwo czy tylko przemilczenie. Nie bardzo wiedział, do czego mu takie rozróżnienie potrzebne.

Gdy po odwiezieniu Doroty do domu wsiadał do czerwonej toyoty, było już ciemno. Przed sobą miał całonocną drogę do Słupska, w termosie litrowy zapas kawy, na siedzeniu stertę płyt do odtwarzacza (bez Schulzego, nie nadawał się do jazdy), a przed oczami napis „Czas start”. Zaproszenie do zabawy, którego nie mógł odrzucić. Ponaglenie do wyrównania dawnych rachunków. Jakaś część jego umysłu przez wszystkie te lata wiedziała, że

prędzej czy później ono nadejdzie, wezwanie do zapłaty z odsetkami, nie przypuszczał jednak, że stawką będzie życie przyjaciela. A może i przypuszczał. W końcu jedna z odbieranych przez nas lekcji mówi, że odsetki zawsze są wyższe od spodziewanych, a termin spłaty zbyt krótki. Pozostaje nam minimalizowanie skutków. Albo maksymalizowanie przyjemności. No właśnie. Skoro już ma być katastrofa, uczynmy ją piękną.

– Wskakuj! – krzyknął rażno do Lali, otwierając jej tylne drzwi. – Jedziemy po Lucka.

Zamerdała ogonem, szczeknęła i polizała go z wdzięcznością po rękę.

## CZĘŚĆ DRUGA

Andrzej: korekta

*O nocy, wyzwól mnie od złych,  
warczących w wietrze skrzydeł,  
od młyńskich kół i od krwawiących szprych,  
i od szatańskich sideł.*

Władysław Sebyła, Młyny (Sonata nieludzka)



## IX Pogadajmy

### I

Tego dnia lunch sojuszu robotniczo-chłopskiego na tyłach GS-u w Grębówku wypadł wyjątkowo skromnie. Jedna flaszką plus cztery piwa na popitkę. Powód był prosty: deszcz. Lało sumiennie i jednostajnie, świat ociekał wodą jak Przedwieczny Cthulhu, wynurzający się z R'lyeh w drodze po władzę. Koniec lipca zmienił się w październik. Stali we czwórce zziębnięci pod daszkiem tylnego wejścia do sklepu, konsumując bez przekonania, ponieważ woda tak się ma do wódki, jak wygoda do wygodki.

– Widzieliście tego nowego? – spytał człowieczek w wytartym kaszkiecie, strzepując opróżniony kieliszek. – Jeździ tam i z powrotem od godziny. Ciekawe, czy też go ukatrupią.

– Jaki on nowy, starszy od tamtego – zaproponował chudzielec z czerwonym nosem i poparł swój dowcip szczerbatym uśmiechem. Nikt się nie przyłączył.

– Myślicie, że ten łysy nie żyje? – spytał grubas o wyglądzie masarza, który robił w tym towarzystwie za przedstawiciela logicznego krytycyzmu.

– Na sto procent – odparł szybko ten w kaszkiecie. – To jakiś gliniarz z Krakowa. Mieszkał u młodego Palki, a teraz obaj nie żyją.

– Pies, to przyjechał węszyć – skomentował czwarty z nich, na oko najstarszy i najbardziej spracowany. Wypił podany mu kieliszek, skrzywił się i wydmuchał nos na trawnik. – A całe

nieszczęście stąd, że zamieszkał w tym przeklętym domu. Ja na miejscu Palki dawno bym go sprzedał.

– A co, straszy tam? – spytał chudzielec z czerwonym nosem i napełnił kieliszek, zręcznie balansując nim między spadającymi z daszka kroplami.

– Ho, ho, i to jak! Przecież to folksdojczyce byli! Diabeł jeden wie, co tam za stodołą zakopane mają. Po mojemu to z dziesięć trupów.

– Ale kogo, ruskich żołdatów? – dopytywał chudzielec.

– Ruskich, polskich, nawet kobity i dzieci jakieś – wyliczał ten w kaszkiecie, który lubił wszystko wiedzieć, zwłaszcza gdy nic nie wiedział.

– Gówno prawda – odparł stanowczo grubas. – W nogach śpicie i chuja wicie. Wam tylko w głowach skarby i pieniądze, jak dziadom jakim. Znałem starego Palkę. To był najporządniejszy człowiek we wsi. Jakby żył, toby wam powiedział, co tu się dzieje.

Po tych słowach zapadła cisza i dopuściła do głosu plastikowy daszek. Zabębnił rażno kroplami strząsanymi przez wiatr z gałęzi wielkiej lipy. Trzej pozostali mężczyźni jak na komendę zerknęli do trzymany przy piersiach butelek z piwem, jakby tam kryło się rozwiązanie zagadkowej ciszy.

– A co tu się dzieje?

Kobięcy głos huknął na nich wraz z trzaskiem otwieranych drzwi. Posłusznie odsunęli się, robiąc miejsce sprzedawczyni. Wychynęła połową ciała i pchnęła ku nim pytanie jak pusty kontener. Nie było jasne, czy nawiązuje do wypowiedzi grubasa, czy obsztorcowuje ich za picie pod GS-em.

– Pijemy – odparł radośnie chudzielec.

– Widzę, idioto – odburknęła. – Idźcie gdzie indziej. Nie chcę tu waszych pijackich mord.

– Zdradzieckich mord – dorzucił chudzielec i zachichotał. Kobieta cofnęła się i po sekundzie wychyła ponownie, uzbrojona w solidną miotłę.

– Powiedziałam, wynocha! – ryknęła na nich z mocą portowej syreny. – Ale już!

– Dobra, dobra – zaczęli mrużyć jeden przez drugiego. Przeszli na wydeptany plac obok sklepu, służący za parking. Ustawili się pod kasztanem, który miał najgęstsza koronę, i właśnie zabrali się do rozlewania następnej kolejki, gdy tuż obok nich zaparkowała czerwona toyota rav 4 na krakowskich numerach. Nim zdążyli pochować butelki za plecy, wysiadł brunet w czarnej skórzanej kurtce i niebieskich dzinsach. Bez parasola. Ręce trzymał w kieszeni. To był właśnie ten nowy.

– Dzień dobry. Ktoś mi pokaże dom Palków?

Żaden z uczestników robotniczo-chłopskiego lunchu nie odpowiedział. Patrzyli na niego z zaciekawieniem, jakie nieodmiennie budzi pojawienie się obcego. Ten najstarszy i najbardziej spracowany poczuł się w obowiązku wyrazić swój stosunek do przybysza i głośno wydmuchał nos w krzaki. Mężczyzna w czarnej kurtce zmarszczył czoło.

– Spokojnie. Chcę tylko znaleźć dom Palków. Podobno to gdzieś tutaj. Znałem Pawła.

Czterej biesiadnicy spojrzeli po sobie.

– Jak się mówi „dzień dobry”, to się wyjmuję ręce z kieszeni – burknął ten w wytartym kaszkiecie i na wszelki wypadek przesunął się za plecy grubasa. Tym samym grubas znalazł się na pierwszej linii i to do niego zwrócił się facet z czerwonej toyoty.

– Lepiej nie zmuszajcie mnie, żebym wyjął ręce z kieszeni. Sprawa wygląda mniej więcej tak: jestem policjantem na służbie, uzbrojonym i zdeteminowanym, a dodatkowo nieźle

wkurwionym, bo zaginął mój przyjaciel. Zrobię wszystko, by go znaleźć, i wy mi w tym pomożecie. To nie są żadne groźby ani zastraszania. Te sobie zostawiam na później. Mówię o faktach.

Cała czwórka wymieniła niepewne uśmiechy. Najślabiej uśmiechał się ten gruby, może dlatego, że stał najbliżej obcego, który twierdził, że jest uzbrojony, i trzymał ręce w kieszeniach.

– Ten łysy? – spytał i przybysz skinął głową.

– Co o nim wiecie?

– Właściwie nic. Mieszkał w domu Palków i potem zniknął. Jeździł białym volvo.

– Siedzieli z Palką za stodołą! – palnął nagle wysoki chudzielec.

– O czym rozmawiali? – spytał natychmiast obcy.

– Nie wiem, nie słyszałem. Ale zaraz potem zapalił się tamten wiatrak.

– Jak myślicie, kto go podpałił?

Oni mieli nad głowami gęstą koronę kasztana, ale brunet stał pod gołym niebem. Był już całkiem przemoczony i zdawał się tym w ogóle nie przejmować. Woda ciekła mu po nieruchomej twarzy, bladeść skóry podkreślała nienaturalną czerwień oczu. Wyglądał jak gość na hajcu, a po takich wszystkiego można się spodziewać. Żaden z czwórki już się nie śmiał.

– Dlaczego ktoś miałby go podpalać? – spytał gruby. – To chyba wypadek.

– W takim razie po co „chyba”?

– Nie wiem, tak powiedziałem. Słuchajcie, chłopcy, muszę iść – powiedział nagle grubas. Odstawił pod drzewo pustą butelkę i zakołysał się na krótszej nodze, ale obcy zastąpił mu drogę. Otworzył drzwi od strony pasażera.

– Niech pan wsiada i pokaże ten dom.

– Kazek, nie wsiadaj! – krzyknął mały w kaszkiecie. – To porwanie!

Na dźwięk tego słowa biesiadnicy jak jeden mąż odstawili niedopite piwo i ruszyli na obcego. Robiło się nieciekawie. Człowiek z toyoty oparł się o maskę samochodu i rozstawił nogi. Ze środka rozległo się szczekanie psa. Zapadła pełna napięcia konsternacja i wtedy grubas uniósł uspokajająco rękę do góry i powiedział coś, co najwyraźniej tamtych zaskoczyło.

– Nie, on ma rację. Trzeba to wreszcie raz na zawsze skończyć.

Machnął im na pożegnanie i wgramolił się do SUV-a, który z zaparowanymi od środka szybami wyglądał jak sauna. Obcy wsiadł za kierownicę i uruchomił silnik, po czym włączył nawiew na przednią szybę. Gdy trochę odparowała, ruszyli.

– Prosto i za kościołem w prawo – powiedział pasażer. – Po drodze pokażę panu, gdzie jest piekarnia z najlepszym chlebem w okolicy.

## 2

Początkowo plan składał się z czterech punktów. Po pierwsze, należało porozmawiać z kolegami z wydziału kryminalnego w Słupsku, wyciągnąć maksimum informacji i przejrzeć wyniki badań laboratoryjnych. Po drugie, dokonać oględzin miejsc, gdzie ostatnio widziano Lucka Bałysia. Po trzecie, Krzycki powinien przesłuchać świadków, rodzinę, znajomych i tak dalej. Po czwarte, zgodnie z oczywistymi podejrzeniami odwiedzić Artura Kałę i upewnić się, że to on stoi za całą sprawą.

Taki plan był najrozsądniejszy i zgodny z regułami policyjnej pracy, dlatego Andrzej zaraz na wstępie go odrzucił. Jak wszyscy idą w prawo, idź w lewo. Najpierw chciał zacząć od końca, to znaczy od odwiedzenia Kały, ale szybko zrezygnował. Stary wyga musiałby być skończonym idiotą, by tego nie przewidzieć. A jak wiadomo, nie był. Należało zrobić lustrzane odbicie planu, wszystko odwrotnie, a następnie zmienić kolejność działań. Przez chwilę kombinował, jak by to miało wyglądać.

Przed świtem, gdy zjechał już z autostrady między Bory Tucholskie, oczy zaczęły mu się niemiłosiernie kleić. Ze dwa razy przejechał kołami po poboczu i wtedy zrobił sobie przerwę. Stał na leśnym parkingu gdzieś między Człuchowem a Rzeczenicą, wyprowadził Lalę, po czym zdrzemnął się na chwilę. Chwila trwała półtorej godziny i kiedy ponownie otworzył oczy, było już całkiem jasno. Jasno i szaro, a w dodatku lało jak z cebra. Jeszcze raz wyprowadzili się z Lalą między drzewa, po czym zadzwonił do centrali w słupskiej komendzie. Odebrał ten sam miły dziewczęcy głos co ostatnio.

– Czy pan inspektor wybiera się do nas? Wszyscy tu na pana czekają!

Tego właśnie się obawiałem, pomyślał i poprosił ją o numer telefonu do rodziców Pawła Palki. Dziewczyna natychmiast posmutniała i szybko podyktowała cyfry, a na koniec dodała, że strasznie jej przykro, bo Paweł był fajnym kolegą.

– Podobno podpalił magazyny – rzucił Krzycki. Dziewczyna speszyła się i zamilkła na chwilę, a zaraz potem stwierdziła, że ona tam nic nie wie, a śledztwo prowadzi komisarz Hadczuk.

– Jak pani ma na imię?

– Patrycja.

– Pani Patrycjo, poświęci mi pani chwilę? Po przyjeździe chciałbym z panią porozmawiać.

– Oczywiście, panie inspektorze! – zapewniła dyżurna Patrycja.  
– Z przyjemnością. A napisze mi pan pamiątkową dedykację?

– Jasne, że napiszę. Niezmywalnym pisakiem i wszędzie tam, gdzie mi pani pozwoli.

Zachichotała, powiedziała, że trzyma go za słowo, zachichotała jeszcze głośniej i się rozłączyła. Miał nadzieję, że wszystkim rozpapla o jego rychłym przyjeździe. To fajny sposób na wytrącenie przeciwnika z równowagi: zmusić do bezowocnego czekania.

Rozmowa z matką Pawła Palki była krótka i trudna.

– Nie obchodzi mnie, co myślicie – powiedziała bezbarwnym głosem. – On tego nie zrobił.

Mógłby jej odpowiedzieć, że złapano go w pobliżu pożaru, cuchnącego środkami łatwopalnymi i brudnego od desperackiej próby ucieczki z miejsca przestępstwa. Mógłby powtórzyć to, co sam usłyszał od Byczkiewicza: Palka przed zatrzymaniem stawiał czynny opór policjantom, a po zatrzymaniu wykrzykiwał rzeczy, które stanowiły jednoznaczne przyznanie się do winy. Mógłby, ale nie powtórzył. Zamiast tego spytał, czy ona wie, gdzie Paweł ulokował swojego kolegę z Krakowa, bo skoro nikt inny nie umiał powiedzieć, gdzie Lucek spędził cztery dni po rzekomym wyjeździe ze Słupska, Andrzej uznał, że tak właśnie musiało być. Poza tym, gdyby którykolwiek z policjantów wiedział, gdzie jest Lucek, Kała nie musiałby na niego zastawiać pułapki. Wydusiłby z komendy informację i zwyczajnie go wygarnął jak wróbla z gniazda.

– Prosił, bym nikomu nie mówiła.

– Wiem, ale teraz pani musi. Paweł nie żyje, a tamten zaginął. I ja muszę go znaleźć. Nie mam wiele czasu... – dodał i ugryzł się w język.

– U nas w Grębówku – powiedziała prawie szeptem, a potem nagle wybuchła płaczem: – To wszystko przez nią!

– Jaką „nią”? – spytał szybko, ale kobieta zamilkła i zajęła się głośnym wycieraniem nosa. Zapytał jeszcze, czy może tam również zamieszkać, na co ona rzuciła tylko „róbcie, co chcecie” i rozłączyła się. Nie dowiedział się niczego więcej ani o tajemniczej „niej”, ani o Grębówku. Kojarzył tylko, że to właśnie w pobliżu tej wsi stoją feralne wiatraki. Nacisnął przycisk ON/OFF i poczekał, aż firma Samsung przed wygaszeniem ekranu wykona tęczyowy taniec światełek, po czym rzucił telefon do schowka. Nie będzie potrzebny, a mógłby zaszkodzić.

– Niech pan się rozgości – powiedział, nadrabiając miną, gdy weszli do domu Palki. Chłop rozglądał się z uwagą, ale bez zdziwienia, jak ktoś, kto bywał tu już wcześniej. Dom znajdował się na skraju wsi i zza stodoły rzeczywiście widać było wielką farmę wiatrową z mrugającymi lampami sygnalizacyjnymi. W zasadzie Krzycki włamał się, klucz znalazł nad wejściem, wciśnięty w szparę między belką a glinianym murem. Standard. Natychmiast jednak uznał się za usprawiedliwionego, bo natrafił na ślady bytności swojego przyjaciela. Pod łóżkiem w małej sypialni na końcu domu leżała torba Lucka z ubraniami, a w łazience jego kosmetyczka z maszynką do golenia. Prawdopodobnie to za jej pomocą pozbawił się słynnego loczka. Andrzej wytarł złane deszczem włosy w ręcznik, przebrał się w suche ubranie i wrócił do pokoju, gdzie jego przewodnik siedział za stołem i spokojnie czekał na rozwój wydarzeń.

– Inspektor Andrzej Krzycki z krakowskiej policji. – Usiadł naprzeciwko i wyciągnął rękę. – Przepraszam za grubiaństwo, ale jechałem całą noc, jestem wykończony, a chciałem jak najszybciej



znaleźć to miejsce. Dziękuję za pomoc. Już wiem, że ma pan na imię Kazimierz, a jak dalej?

– Kowalik. Chce pan tu zostać dłużej?

– Aż do skutku – odparł. – Pomoże mi pan?

– A dlaczego miałbym to robić?

Siedzieli naprzeciw siebie, zupełnie obcy sobie ludzie, i mierzyli się wzrokiem. Andrzej wiedział, że właśnie rozstrzyga się jego pozycja w kręgu miejscowych. Był to jeden z tych momentów, kiedy oczy drugiego człowieka zdecydują o tym, czy mu zaufasz czy nie. Napięcie jest dwukierunkowe, a jego skutki przez dłuższy czas nieodwracalne.

– Po pierwsze – zaczął powoli, by czegoś nie zepsuć – ponieważ wsiadł pan do mojego samochodu. Po drugie, ponieważ jest tu coś, co powinno wreszcie zostać załatwione raz na zawsze, jak pan to określił pod sklepem. A po trzecie, ponieważ korci pana, by mi zdradzić jakąś tajemnicę. Tak to jest z tymi cholernymi tajemnicami. Świerzbą w tyłek jak hemoroidy.

Obawiał się, czy nie przeholował. Kazimierz Kowalik przetarł rękawem mokre czoło, pokiwał głową i zaśmiał się krótko.

– Tam jest czajnik. – Pokazał palcem na kuchnię, kiedy już skończył się śmiać. – Niech pan zaparzy herbaty, a ja za ten czas zastanowię się, od czego zacząć. Chociaż... – rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu ewentualnych świadków swojej relacji – gdyby ten dom umiał mówić, pewnie zrobiłby to lepiej.

Powiedział „lepij”, a potem szybko poprawił na „lepiej”. Kraków stawiał wysokie wymagania. Andrzej nastawił wodę i rozejrzał się po kuchni. Z pustki w szafkach, opakowania po pizzy na kłapie kosza i kurzu na blacie nie dało się wywnioskować, że tu mieszkał Lucek Bałyś, najlepszy kucharz wśród policjantów i najlepszy policjant wśród kucharzy. Jakby to nie był on. Zwykle

zapełniał kuchnie składnikami i przyprawami niemal odruchowo, bezwiednie, wystarczyło mu pół godziny. W mieszkaniu na Starowiślnej zmusił Andrzeja do zamontowania nad blatem specjalnej półki na słoiczki, flaszeczki, pudełeczka i torebeczki, które później znosił mu przy każdej okazji, jakby ich szamańskie właściwości miały cokolwiek poprawić w życiu gospodarza. Większość nazw na opakowaniach kompletnie nic Andrzejowi nie mówiła i kojarzyła się raczej z arabską czy hinduską poezją niż z jedzeniem. Lucek twierdził, że od tych czarnych, rudych i zielonkawych proszków zależy poziom kultury.

Tu nie było niczego. Krzycki przejechał dłonią po desce do krojenia, zgarnął kilka okruchów i z dziwnym drgnieniem w żołądku skonstatował, że pochodzą z chleba krojonego przez Bałysia. Siedział tu jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny temu. Zajęty czymś zgoła innym niż przyrządzanie potraw, oddzielony od siebie i wepchnięty w jakąś obcą, groźną formę. Kim on się stał, kiedy przestał być uśmiechniętym, beztroskim, nieznośnie dowcipnym Luckiem? Jakimś golemem? Łysym ziomalem z frustracją wielkości zeppelinu? Maszynką do kopania z azjatyckiego serialu?

Pstryknięcie czajnika wytrąciło Andrzeja z zamyślenia. Z napoczętego pudełka Liptona (Lucek nigdy nie pił w domu herbaty ekspresowej) wygrzebał dwie torebki i zalał w porcelanowych kubkach. Pan Kazimierz na pytanie o cukier pokręcił głową i poklepał się po wydatnym brzuchu.

– Cukrzyca. Jeszcze jej nie ma, ale coś mi się wydaje, że stoi za drzwiami.

– U mnie też demony stały za drzwiami, ale przegoniłem.

Pan Kazimierz poprawił się na zbyt kusym dla niego krześle i zerknął spod oka na Andrzeja.

– Alkohol, co?

– Aż tak to widać?

– Od razu się domyśliłem. Chodzę do barów, znam tę minę.

Nie pozostało mu nic innego, jak pokiwać głową i tym samym zgodzić się z diagnozą. Pan Kazek Bystrzak właśnie badał go za pomocą własnoręcznie skonstruowanego przybyszometru i nie należało nadużywać wytrzymałości kruchego instrumentu. Andrzej bardzo potrzebował pozytywnego wyniku.

– Ale niech pan się nie martwi – pocieszał Kazek, choć ten wcale się nie martwił. W każdym razie nie tym. – Mocni ludzie dają radę wódzie.

– Jasne, jasne. – Obawiał się teraz długiej i barwnej opowieści o szwagrze, który pił jak smok i dalej żyje (albo nie żyje, ta historia ma tylko dwa warianty), ale ucieszyło go, że został uznany za człowieka mocnego. – No i jak, zastanowił się pan, od czego zacząć?

Gest podniesienia kubka do ust, ułożenie dłoni na uchwycie i kształt warg przy głośnym siorbnięciu świadczyły o tym, że pan Kazimierz zabiera się do historii znacznie poważniejszej od tej o przepitym szwagrze. Jego szeroko otwarte oczy zwężyły się jak u kogoś, kto chce dokładniej widzieć odległe rzeczy, a okrągła twarz znieruchomiła. Przestał wyglądać jak tłusty kmiotek ze skłonnością do cukrzycy. W ogóle już nie wyglądał na kmiotka. Zmienił się w okazały generator opowieści, a jego okrągła i rumiana do niemożliwości twarz wyciągnęła się w dół. Jakby nagle schudł i spochmurniał od tego, co miał do powiedzenia obcemu człowiekowi o swojej rodzinnej wsi.

– Bo widzi pan – odstawił kubek z głośnym stuknięciem – Grębówko to nie jest zwyczajna wieś...

Kiedy minęło południe, a inspektor Andrzej Krzycki nadal nie pojawiał się w komendzie, Ryszard Hadczuk zaczął odczuwać niepokój. Nie z troski o krakowskiego śledczego. Bał się, że coś poszło nie tak. Raz za razem biegał na centralę upewnić się, że Patrycja na pewno rano z nim rozmawiała i że później nie dawał już znaku życia.

– Nie odbiera telefonów – powiedziała zrezygnowana, gdy wpadł do niej bez pukania. Sprawiała wrażenie, jakby tym nagłym zniknięciem Krzyckiego martwiła się nie mniej od komisarza. Pytane o czerwoną toyotę suv na krakowskich numerach patroli wokół miasta nie umiały niczego sensownego powiedzieć. Na GPS-ie również nie było sygnału służbowej komórki Krzyckiego. Wjechał w słupecki powiat i wsiąkł jak mocz w wydnię.

Wreszcie Hadczuk zadzwonił do Krakowa.

– Jak to nie dojechał? – ryknął na powitanie komendant Byczkiewicz. – Co wy tam, kurwa, robicie? Zapadnię jakąś macie na moich ludzi? Portal jednokierunkowy dla krakowskich glin? Co jest grane?

– Właśnie nie wiemy – odparł zdenerwowany Hadczuk. – Powinien się zameldować rano, a jest już po dwunastej. Myślałem, że pan komendant coś wie...

– Nie wiem! Zaraz oddzwonię!

Huknęła rzucona słuchawka. Hadczuk odłożył swoją jak odbezpieczony granat i odwrócił się do okna, żeby nie musieć wymieniać spojrzeń z panną Patrycją. Śledziła go wzrokiem zająca pod miedzą. Za oknem padał smętny zimny deszcz, niskie chmury wlewały się nad torowiskiem dworca kolejowego i mokrymi kamienicami przy alei 3 Maja jak nieśpieszni podróżni, którzy

zawsze zdążą. Robotnicy w żółtych przeciwdeszczowych kapotach przenosili podkłady z jednej sterty na drugą. Powietrze nad nimi przecięła mewa pędząca dokądś z oszalałym krzykiem. Boczny torem z miarowym stukotem przetoczyła się szarozielona lokomotywa. Mijając robotników, beknęła ostrzegawczo. Jeden wyprostował się i podniósł rękę. Lokomotywa znikła za burym kwadratem dyżurki zawiadowcy, robotnicy wrócili do podkładów. Po krzewie dzikiego bzu między torami ciekła woda. Obraz był prawidłowy. Dokładnie ilustrował nienawiść komisarza Hadczuka do tego miasta.

Telefon zagulgotał nerwowo.

– Nie odbiera – usłyszał warknięcie krakowskiego komendanta.  
– Roześlijcie radiowozy po mieście. Gdzieś musi być, do kurwy nędzy!

– Już to zrobiliśmy – odparł Hadczuk, siląc się na spokój. – Nigdzie go nie ma.

– To jest jakieś jedno wielkie cholerne gówno! – krzyknął Byczkiewicz i się rozłączył.

Panna Patrycja, starając się sprawiać wrażenie, że nie podsłuchuje, z uwagą wpatrywała się w nieważny świstek na biurku. Kiedy więc zadzwonił telefon na drugiej linii, odebrała tak szybko, że słuchawkaomal nie wypadła jej z ręki. Wyciągając ją w stronę szefa, wyszeptała bezgłośnie tylko jedno słowo: „Kała”.

– Czemu nie dzwonisz?

– Bo go nie ma.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.

Zapadła kilkusekundowa cisza, w której Hadczuk słuchał deszczu siekającego w szyby.

– Zdajesz sobie sprawę, że to zła odpowiedź. Bardzo zła.

Przygryzł wargi. W policji nauczył się powstrzymywać to, co miał na końcu języka. Właśnie niemówienie było tu najważniejsze. Teraz najchętniej powiedziałby dawnemu przełożonemu, żeby spierdalał na drzewo z tymi swoimi psycholскими pomysłami i dał mu spokój. Ale nie mógł. Musiał powiedzieć coś, żeby nie powiedzieć czegoś innego.

– Na pewno zaraz się pojawi. Dam znać.

– Czekam.

Artur Kała podchodził do takich rozmów całkiem inaczej. Znał na wylot zasady i atmosferę pracy w komendzie, dlatego kiedy dzwonił, starał się mówić skrótami, jak najmniej, dokładnie tyle, ile trzeba powiedzieć, by osiągnąć oczekiwany rezultat. Teraz również powiedział, co trzeba. Dał mu do zrozumienia, że nieprawidłowe odpowiedzi mają swoją cenę, i to wystarczyło. Tak jak psu tresowanemu za pomocą kija wystarczy pokazać uniesioną rękę.

U oficera dyżurnego Hadczuk nakazał powtórzenie komunikatu o poszukiwaniu czerwonej toyoty. Chętnie wyruszyłyby sam w teren, ale musiał dopilnować wyników badań. Idąc ciemnym korytarzem do laboratorium kryminalistycznego, na próżno starał się odpędzić natrętne myśli o tym, jakim to jednak okazał się skurwysynem i że za chwilę będzie jeszcze większym. Sumienie wyłaziło z głębi trzewi i gryzło go w serce. Jak właściwie wpłatał się w to wszystko? Gdzie był początek rozejścia się z samym sobą? I czy istniała droga powrotna? Jak miałby na nią trafić?

Minął gabinet aspirant Miłückiej, nie patrząc w tamtą stronę, i wszedł w następne drzwi. Sierżant Grzywa, okrągłutki blondyn, przyłgnął grubymi okularami do mikroskopu.

– Masz już wyniki? – zapytał komisarz.

– Chciał pan zapytać, czy mam właściwe wyniki – odparł sierżant, nie podnosząc wzroku. W skupieniu obracał pokrętlami

urządzenia, pomagając sobie wysuniętym językiem, który błędził po wargach jak macka głowonoga ukrytego w półotwartych ustach.

– Nie pouczaj mnie. Gdzie one są?

Chłopak, nadal przyklejony do mikroskopu, wyciągnął prawą rękę i pokazał żółtą kopertę na biurku. Hadczuk wyjął z niej zadrukowane kartki, przejrzał szybko i schował z powrotem, po czym włożył kopertę pod pachę.

– Usunąłeś już z dysku? – spytał. Denerwował go ten gówniarz, najwyraźniej nie przejmował się tym, że rozmawia z jednym z najwyższych oficerów w komendzie. Nic dziwnego, dostał robotę za wstawiennictwem Kały.

– Jeszcze nie.

– Wiesz, że trzeba będzie później...

– Wiem, co mam robić – powiedział sierżant, odrywając wreszcie wzrok od preparatów i zerkając na komisarza. Jego uśmiech daleki był od unizoności. – W przeciwieństwie do niektórych tutaj.

– Hamuj się trochę, Grzywa. Jesteś młody i kawał życia przed tobą. Wiele jeszcze może się zdarzyć.

– Na pewno więcej mnie niż panu. Przepraszam, jestem zajęty.

Jego bezczelność odebrała mowę Hadczukowi. Kusilo go, by podejść i nabić mu głowę na ten zasrany mikroskop, ale się powstrzymał. Przygryzł wargi, odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Spotkanie wydziału kryminalnego w sali obrad bardziej przypominało konspirację czterech dezertersów z pola bitwy niż policyjną odprawę. Benek Mrówczyński pracowicie przeprowadzał manicure za pomocą zębów, Łukasz Latawiec wstukiwiał coś do komórki trzymanej tuż przy oczach, a Hadczuk siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. Żaden z nich nawet nie spojrzał na

Zdybasa, gdy ten referował najnowsze rewelacje, dobyte właśnie z wręczonej mu żółtej koperty. Komendant jako jedyny miał dziarską minę.

– Jest problem, panowie. Dostałem wyniki badań daktyloskopijnych i biochemicznych. Zarówno odciski palców, jak i ślady DNA na broni wskazują jednoznacznie, że ostatni trzymał ją w rękę zaginiony podkomisarz Lucjan Bałyś. To właściwie nie jest jeden problem, ale co najmniej dwa. Po pierwsze, główny podejrzany o zabójstwo Pawła Palki to policjant z Krakowa, w dodatku oficer śledczy. Wymagana jest wyjątkowa dyskrecja i działania wyłącznie w ścisłym gronie wtajemniczonych. Panowie, poza naszą czwórkę nic nie wychodzi i o wszystkim meldujecie wyłącznie mnie. Jasne?

Mimo skinięcia głowami nie wyglądali na takich, którzy się zgadzają. Pierwszy odważył się odezwać Benek Mrówczyński.

– Z tego, że miał ostatni w rękę broń, nie wynika jeszcze, że zamordował.

– Wiem – odparł szybko Zdybas. – Aby jednak o czymkolwiek wyrokować, powinniśmy go przesłuchać. A on zniknął. Dlatego naszym priorytetem w tej chwili jest odnalezienie go.

– Jaki jest motyw? – spytał z kolei Latawiec. Nie przerywał pisania w komórce.

– Tego również powinniśmy się dowiedzieć, przesłuchując Bałyśia. Wiemy, że zakolegowali się z Palką. Może połączyły ich jakieś interesy. Podobno Bałyś wplątał się w narkotykowe historie na parkingu pod Miastkiem. Nie wiemy, czy to Palka go tam wysłał. Wątek jest w tym śledztwie kilka, dlatego powtarzam, panowie – najwyższa ostrożność i dyskrecja.

– Gówno prawda – mruknął ledwie słyszalnym głosem Benek Mrówczyński. Komendant cisnął żółtą kopertę na blat stołu i zrobił



krok w jego kierunku. Z rękami na biodrach wyglądał jak z kreskówki o złych gliniarzach.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem: trudna prawda – odparł Mrówczyński, wzruszając ramionami. Latawiec przyłożył komórkę prawie do nosa. Hadczuk nawet nie drgnął. – Bo tak jest, nie? Trudna i popaprana.

– Nie prosiłem cię o komentarze, Mrówczyński. Swoje uwagi możesz sobie zapisywać w pamiętniczku. Oczekuję od panów natychmiastowej intensyfikacji poszukiwań podkomisarza Lucjana Bałysia. Proszę jeszcze raz przejrzeć wyniki badań – postukał palcem w kopertę – użyć psów tropiących, przepytac okoliczną ludność...

– Psy? – zdziwił się Latawiec. – Minęły trzy dni i pada deszcz.

– Nie szkodzi – powiedział spokojnie Zdybas. – Nie należy rezygnować z żadnej możliwości nawiązania kontaktu z podejrzanym. Jeszcze jakieś pytania?

Potoczył wzrokiem po trzech podwładnych i upewniwszy się, że go zrozumieli, odwrócił się na pięcie, by wyjść, gdy nagle Hadczuk rzucił:

– Nie wystarczy spytać Kały?

Zdybas znieruchomiał w pół kroku.

– Że co?

Palec Łukasza Latawca zawisł w powietrzu tuż nad ekranem smartfona, palec Mrówczyńskiego utkwiał w półotwartych ustach. Atmosfera nagle zgęstniała.

– W pobliżu miejsca zbrodni znaleziono odciski kół dużego samochodu terenowego, prawdopodobnie bmw. A takim jeździ na przykład Artur Kała.

Powolne odwracanie się Krzysztofa Zdybasa miało w sobie siłę i patos odsuwania kamiennych wrót skarbcza. Na ten widok Hadczuk odruchowo wstał. Zrobili po dwa kroki ku sobie i znaleźli się twarzą w twarz.

– Dobrze... – wycedził powoli komendant. – Jeszcze dzisiaj się z nim widzę, to go spytam. Powiem, że to pytanie od ciebie. Dołączyć też pozdrowienia dla córki?

Mrówczyński i Latawiec nie wiedzieli, o co chodzi w tym punkcie rozgrywki. Zerwali się z miejsc o sekundę za późno, kiedy komisarz zamachnął się pięścią. Cios był krótki i szybki, z tych, które u nieprzygotowanego zwykle sięgają celu. Trafiony w szczękę Zdybas zatoczył się i tylko pełnemu papierów stołowi za plecami zawdzięczał to, że nie runął jak długi. Oparł się obiema rękami i chciał natychmiast oddać, ale nie zdążył. Hadczuk pchnął w jego stronę krzesło i wybiegł z pokoju.

– Łapcie go! – ryknął Zdybas, masując obolałą szczękę, ale Mrówczyński i Latawiec zamiast wybiec za tamtym, złapali szefa za oba łokcie i unieruchomili w pełnym troski żelaznym uścisku.

– Nic panu nie jest? – spytał miękko Benek. Trzymali go, by nie upadł. Tak w każdym razie mogłaby brzmieć oficjalna wersja.

– Nie, kurwa mać! Gońcie go! – wrzasnął Zdybas. Szarpał się jak szalenciec w kaftanie bezpieczeństwa. – Szlag by was...

– Pewnie – powiedział swoim miękkim głosem Benek Mrówczyński. – Jak to leciało? „Poza naszą czwórkę nic nie wychodzi”. Dobrze mówię, Łukasz?

– Uhm.

Gdy uznali z Latawcem, że już można, puścili łokcie szefa i wolnym krokiem wyszli z pokoju. Odprawa była skończona.

– Grębówko to nie jest zwyczajna wieś. Za Niemców nazywała się Heinsdorf i uchodziła za bogatą. U ojca zaraz po wojnie robił taki jeden, co był stąd, i opowiadał, zanim uciekł do Reichu. Drogi bite, mocne, wiele z nich przejezdnych do dziś, stacja kolejowa, szkoła murowana, młyn, poczta – wszystko. Majątki chłopskie po dwadzieścia i więcej hektarów miały, z maszynami, murowanymi stodołami i stajniami. Jeszcze dzisiaj pan widzisz takie gospodarstwa, gdzie przy domu stoją dwa albo i trzy ceglane budynki, wszystko solidne, trwałe, kryte dachówką. Te stawiane później, za Polaków, to wyglądają przy nich jak bidoki. Ani gustu, ani rozmachu. Popatrz pan na dom Kulika, tego wójta, co go na wiatraku powiesili. W latach siedemdziesiątych budowany, kwadratowy jak pudełko po butach, szary, z balkonami jak do tańcowania, a za to w środku miejsca mało. Przy tym gospodarstwie – Kowalik tupnął nogą, żeby zaznaczyć, że chodzi mu o stary dom Palków – to jak kundel przy porządnym niemieckim owczarku. Takie jest moje zdanie.

– Tu chyba wszystkie wsie podobne, co? – spytał Krzycki. – Co w tej jest takiego nadzwyczajnego?

– No już mówię. – Pan Kazimierz siorbnął herbaty i podrapał się grubymi paluchami pod brodą. – Ten Heinsdorf był większy od innych. To znaczy domów nie za wiele, ale wszystkie bogate. Popatrz się pan na to, co jest wokół kościoła, bo kościół też jeszcze niemiecki, zapomniałem powiedzieć, a Palkowe gospodarstwo do mniejszych właściwie należy. Tamte większe, okazalsze.

Znowu siorbnął i zamyślił się, jakby sięgał pamięcią do czasów, których przecież pamiętać nie mógł. Andrzej z zainteresowaniem śledził zmiany na twarzy tego ogorzałego i zupełnie zwyczajnego

człowieka. Straciła całą swoją jowialność i zmieniła się w maskę. Tragiczną maskę kogoś, kto musi grać złego bohatera, chociaż wcale do tego nie pasuje. Wyższe siły decydowały o przydziale ról za niego i teraz grał, nie czując się na swoim miejscu i usiłując bez przekonania być Homerem cudzej Iliady. Lali jednak się spodobało, ponieważ natychmiast zwinęła się w kłębek u nóg Kowalika i słuchała z nieskrywaną przyjemnością.

– Kiedy mój ojciec tu przyjechał w marcu czterdziestego piątego – ciągnął pan Kazimierz – we wsi już mieszkało paru Polaków. Przyszli ze wschodu zaraz za wojskiem i zajęli od razu największe gospodarstwa: Kulik, Zawala, Siemczuk i Klisz. Potem jeszcze Barczuś, Różański... no i Kowalik. To się odbywało tak, że po przyjeździe należało najpierw zgłosić się do urzędu gminy, posterunku wojska albo milicji, zależy, co było we wsi, i napisać podanie o przydział gospodarstwa. Ci, co przyszli pierwsi, najpierw zajmowali, a potem pisali. Wiesz pan, jak było. Wojna, chaos, rządzi siła i szybkość działania. Niektórzy brali domy z Niemcami w środku...

– Panie Kazimierzu, nie chcę być nieuprzejmy, ale trochę mi się śpieszy.

Człowiek naprzeciwko Krzyckiego niemal nie zareagował. Z rękami splecionymi na pękatym brzuchu, przymrużonymi oczami i nieznacznym uśmiechem wyglądał trochę jak Budda, a trochę jak pijany chłop z Breughlowskiej karczmy. Nie przejął się uwagą krakowskiego inspektora.

– Niech mnie pan zrozumie, muszę znaleźć przyjaciela... – ciągnął Krzycki, ale niezbyt liczył na skuteczność swoich perswazji. Pan Kazimierz wyglądał na wpół obecnego. Andrzej siorbnął raz i drugi herbatę, podrapał się po głowie, przetaił stół z kurzu i dopiero wtedy doczekał się reakcji.

– Wiem, kogo pan szuka – mruknął Kowalik. – Widziałem go, jak się kręcił. Chciał za szybko. Pan też jesteś za szybki, a na to może być tylko jedna rada.

– Jaka?

– Zwolnić.

Zabręczała nad stołem mucha i Krzycki machnął dłonią. Nie udało się. Wcale nie był za szybki. Był zbyt wolny, czas płynął, a jego informator zaczął właśnie od roku czterdziestego piątego. Przed nimi siedemdziesiąt dwa lata do opowiedzenia.

– Jak chce go pan znaleźć, to niech pan słucha – mruknął ledwie wyraźnie Kowalik. – Po polach i lasach niech biegają z pałkami inni. Z pana jest inteligentny człowiek. Mówią, że najlepszy.

– Kto mówi?

– Nieważne. – Kazimierz uśmiechnął się do swoich myśli. – Tu trzeba pewne rzeczy zrozumieć, żeby wiedzieć co i jak. Bo Grębówko to nie jest zwyczajna wieś.

– Już słyszałem.

Mucha znowu się pojawiła, zatoczyła łuk nad stołem, a następnie schyliła lot ku szklance Krzyckiego, by sprawdzić, czy przypadkiem ta herbata nie jest słodzona. Wcześniej sprawdzała szklankę Kowalika. Gdy usiadła na krawędzi, Andrzej ułożył poziomo rozwartą dłoń, skupił się, wziął poprawkę na reakcję szybkiego owada i machnął. Tym razem się udało. Zacisnął pięść, roztarł zawartość między palcami i wrzucił do zlewu, splukał dłoń i wrócił do stołu. Pan Kazimierz ukontentowany skinął głową.

– Jak mówiłem, zajmowało się domy z Niemcami w środku. W jednym siedziała para staruszków, w innym tylko on albo ona, schorowane i zniedołężniałe. Nie mogli uciec albo nie chcieli, co na jedno wychodziło. Stary Siemczuk na ten przykład – znaczy się ojciec tego Siemczuka, co jeszcze żyje – zastał w sypialni starą

kobietę chorą na tyfus, samą jedną, samiuteńką, chudą jak strączek i wygłodzoną jak bezpański kundel. Przenieśli ją do izby za kuchnią i tam pozwolili umrzeć, a potem pogrzebali na niemieckim cmentarzu w lesie za wsią. Młody Siemczuk, co teraz jest starym Siemczukiem, kopał jej grób. Tak się zdarzało i to było normalne. Niemców, co jeszcze mieli siłę do roboty, używano w polu i w obejściu. Niektórzy całkiem długo zostali, zanim pomarli albo wyjechali do Reichu. Kilku by się znalazło. – Zrobił przerwę, sapnął i dodał: – Za to całkiem inaczej wyglądało to u Kulików. Oni na strychu domu znaleźli młodą dziewczynę...

Wiatr dmuchnął mocniej i o cienkie szyby zabębnił deszcz. Rozrosły krzew czeremchy za oknem zachwiał się jak baletnica w tańcu, która przedstawia rozpacz, kołysząc rękami nad głową. Z głośnym szumem opon drogą przez wieś przejechał samochód dostawczy, kusząc mieszkańców malowniczymi wizerunkami bochnów chleba i zakręconych rogalików. Andrzejowi wydawało się, że siedzi zamknięty w szklanej bańce i ogląda to wszystko przez niewidzialną zasłonę, złożoną z siedemdziesięciu dwóch przeźroczystych lat. Ten wóz mógł mieć niemieckie napisy, mucha, deszcz i wiatr były te same, okno również. Ciekawe, jak po niemiecku jest „czeremcha”. I czy rosła tu już wtedy. Mogła, sądząc z grubości pędów przy ziemi.

– Najgorsze na wojnie wcale nie jest to, że giną ludzie. W czasie pokoju też giną. Wojna wyzwala w człowieku zło. Możesz pan się śmiać, ale wiem, co mówię. A tu, w Grębówku, każdy panu potwierdzi: wojna ze zwykłego zjadacza chleba robi zbrodniarza i nie ma na to siły. Jak codziennie widzisz naokoło, że bezkarnie zabija się drugiego i zabiera mu jego dobytek, to prędzej czy później się skusisz. No, może jaki ksiądz albo zagorzały socjalista się oprze, ale zwykły człowiek nie. Pójdzie i zabije, zagrabi, schowa, a potem

będzie twierdził, że o niczym nie wie. Jakbyś pan chciał się przekonać...

– Co to ma wspólnego z zaginięciem mojego przyjaciela?

– Na mój rozum wszystko – odparł spokojnie pan Kazimierz, nie otwierając oczu. – Bo powieszony na wiatraku sołtys był synem tamtego Kulika, co znalazł na strychu dziewczynę.

Kowalik przerwał i czekał, aż Andrzej znowu zacznie dopytywać. Zapadła cisza i im dłużej trwała, tym bardziej Krzycki umacniał się w przekonaniu, że nie zapyta. Ta gra zaczynała go drażnić. Nie miał czasu na zabawy z wioskową historią, kiedy każda godzina mogła decydować o życiu Lucka. Bębnił palcami po stole i przesuwiał szklankę z ostygłą herbatą. Jego rozmówca przyglądał się tym manewrom z dobrotliwym uśmiechem, wreszcie pochylił się nad stołem i szepnął:

– Już niedługo.

– Co? – spytał Krzycki wyrwany z zamyślenia.

– Jeszcze trochę cierpliwości. Zaraz wszystko panu wyjaśnię, tylko musi pan słuchać, panie policjancie. Bez tego ani rusz. Grębówko to nie jest zwyczajna wieś, bo tu każdy z mieszkańców niesie za pazuchą pamiątkę po tamtym czterdziestym piątym. Ilu ich było, wszyscy coś tam chowali i myśleli, że jak dożyją starości i umrą po bożemu, to tamto nie wróci. Ale kiedy ich dzieci zobaczyły Kulika przywiązanego do wiatraka jak barana do rożna, to się przestraszyły. I miały czego. Drugi był Różański, ten inżynier, co mu głowę ucięło, i wtedy już wiedzieli, że to to.

– Ale co? – powtórzył Andrzej.

– No właśnie to chcę panu opowiedzieć.

Odchylił się z powrotem i z zamkniętymi oczami zaczął mówić. Z jego ust padały fakty i nazwiska, a Krzycki wsłuchiwał się z coraz większą uwagą. Wreszcie sięgnął do plecaka po notes i długopis, by

to i owo zanotować. Po chwili zaczął kreślić linie, łączyć nazwiska z datami i miejscami, konstruować diagramy, tabele i gwiaździste wykresy, jak gdyby opowieść Kowalika stanowiła wykład na temat, dajmy na to, budowy mostów. Gdy znawca Grębówka zamilkł, jego uważny słuchacz przyjrzał się rysunkom, coś poprawił, przekreślił, wreszcie z krytycznym spojrzeniem obrócił zeszyt w dłoniach.

– To od kogo powinienem zacząć? Od starej Kulikowej?

– Nie. – Kowalik pokręcił głową. – Ona jest druga w kolejności.

– No tak, tak – zgodził się Krzycki, potakując bardziej własnym przypuszczeniom niż wskazówkom zza stołu. Dmuchnął wiatr i szyby zadrżały. Przestało padać.

– Przestało padać – powiedział pan Kazimierz, wstając. – Na mnie już czas.

– Odwieźć pana?

– Nie, mam blisko. A gdybyś pan chciał znowu pogadać, to wiesz pan, gdzie mnie znaleźć.

Krzycki stał przy oknie, dopóki niezgrabna, kołysząca się na nierównych nogach postać nie znikła za zakrętem. Otyły i kulawy, dziwne połączenie. Faktycznie, Grębówko to nie jest zwyczajna wieś.

Andrzej spojrział na kartkę, stuknął palcem w nazwisko, narzucił kurtkę na ramiona i wyszedł. W progu pokazał ręką Lali, że zostaje i nie ma dyskusji. Zrozumiała.

## 5

– Długo tak będziesz siedział?

Ocknął się niczym z głębokiego snu. Głos żony uderzył go w plecy dokładnie w momencie, kiedy wyobrażał sobie, jak zaciska



palce na gardle Kały i z lubością wpatruje się w jego wylażące na wierzch oczy. To podniecało i uspokajało zarazem. Jak masturbacja. Czasami twarz Kały wyciągała się i przypominała Zdybasa, jakby Hadczuk nie mógł się zdecydować, który obiekt rozkoszy bardziej go interesuje. Oparł łokcie na poręczach fotela, splótł dłonie nad udami i tak sobie dusił, raz jednego, raz drugiego. Ulga była zastępcza i niepełna, ale jakaś była. Nie poszedł na wieczorną służbę pod budynek sądu, bo dobrowolnie wystawiłby się na strzał. I tak zaraz po niego przyjdą. Wiedział o tym, tak jak o tym, że nie ma dokąd uciec. Przede wszystkim nie może uciec. Miałby siedzieć w knajpie nad wódką albo w samochodzie na parkingu pod niemiecką granicą, to równie dobrze może siedzieć w domu. W swoim pokoju, w wygodnym fotelu, i dusić sobie ulubione fantazmaty.

– Sylwia dzwoniła? – spytała żona.

Nie odwrócił się. Wiedział, że stoi oparta prawym ramieniem o framugę i wyciera ręce w ścierkę.

– Nie – odparł. Silił się na spokój, ale chyba mu nie wyszło.

– Podobno firma wyjechała na jakieś szkolenie czy co – ciągnęła do siebie i do pleców męża. Bezmyślna obojętność w jej głosie świętego by wyprowadziła z równowagi. – Mogłaby się odezwać. Próbowałam się dodzwonić, ale nie odbiera. Napisz jej esemesa, bo ja nie umiem.

Właściwie powiedziała: „Bo ja nie umiem”. Mieszkali w jej domu rodzinnym, w którym od urodzenia słuchała takiej mowy i nie widziała powodu jej zmieniać. Niczego starała się nie zmieniać. Miał nadzieję, że pogdera i sobie pójdzie, a on nie będzie musiał znowu udawać, że nie wie tego, co wie, i mówić co innego, niż należało powiedzieć. Nienawidził tych przemilczeń, rosły wokół niego jak ciernisty zagajnik i coraz trudniej było mu się poruszać.

Kolczaste pędy wdarły się już do domu. Rysiek mruknął coś niejasno i zakrył twarz, modląc się w duchu, by już poszła. Ona jednak chyba wyczuła, że coś jest nie tak, bo nie dawała za wygraną.

– Nie siedź tak. Idź pozbierać jajka. Chciałam upiec placek na jutro. Może Sylwusia przyjedzie.

Mówiła zdaniami krótkimi jak jej myśli. Mógł odpowiedzieć, że Sylwusia nie przyjedzie, a placek na pewno będzie do kitu, ale znowu zmilczał. Naciągnął palce w splecionych dłoniach, aż usłyszał chrupnięcie, po czym wstał i bez słowa minął opartą o framugę żonę. W przedpokoju zawahał się, czy nie włożyć za pas kabury z pistoletem, ale zrezygnował. Narzucił wiatrówkę i wyszedł w deszczowy wieczór. Ciemność podziałała uspokajająco. Założył kaptur na głowę i ruszył przez zabłocone podwórko do szopy z kurzymi grzędami. Żółte światło słabej żarówki wydobywało z zakamarków cieniste kształty i bardziej zaciemniało, niż oświetlało pomieszczenie. Sam dwa lata wcześniej montował tu poprzeczne drążki dla ptaków, od tego czasu pokryły się już grubą warstwą odchodów. Na półce pod ścianą we wszystkich czterech gniazdach spoczywały w błogim półśnie zadowolone kwoki. Ostrożnie mijając grzędy, zbliżył się do kur i włożył rękę pod pierwszą z nich. Brzuch miała gorący jak grzejnik. Wygrzebał cztery ciepłutkie jajka i włożył do specjalnie w tym celu przyniesionej miski. Pod drugą były tylko dwa, pod pozostałymi również po cztery. Ułożył wszystkie ostrożnie w misce, pogłaskał ostatnią kwokę na pożegnanie i odwrócił się. Przy drzwiach stał mężczyzna w skórzanej kurtce. Hadczuk sięgnął do kabury, której nie miał. Mężczyzna uniósł dłonie.

– Spokojnie. Przyszedłem pogadać.

Brzmienie głosu upewniło go, że to on. Był niższy, niż go zapamiętał. Nieuzbrojone ręce trzymał opuszczone wzdłuż ciała,

tylko z lekkiego wychylenia do przodu dało się wywnioskować, że jest gotów do skoku.

– Nie musiał pan w tym celu drażnić moich kur. Mogliśmy pogadać w komendzie. Czekalem cały dzień.

– Właśnie dlatego nie przyszedłem. Skoro kury takie drażliwe, gdzie możemy porozmawiać bez przeszkód?

– Skąd pan wie, że chcę rozmawiać? – spytał Hadczuk, by zyskać na czasie. Miał w ręku miskę pełną ciepłutkich kurzych jaj, niejako gotowych do użycia, choć pewną trudność stanowiła pozycja. Obejmował miskę lewą ręką, dociskając ją do tułowia, a to bardzo ograniczało rzut. By poprawić skuteczność, nieznacznie poprowadził prawą rękę do brzegu miski i teraz wystarczyło dobrze wymierzyć. Niestety, popełnił błąd. W momencie podjęcia decyzji spojrzał napastnikowi w oczy. Gromadka jajek radośnie szybowiała do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Krzyckiego, kiedy ten już kuczał przy podłodze. Odczekał, aż salwa plaśnie w drzwi, i długim skokiem obalił Hadczuka, który stał w niewygodnej pozycji, wychylony do przodu i z obiema rękami na misce. Potoczyli się po słomie, kury podniosły wrzask i zaczęły trzepotać skrzydłami, rozdmuchując wkóło pierze. Walka była krótka. Po kilku sekundach Hadczuk leżał z twarzą w słomie. Kiedy kury ucichły, usłyszał spokojny zimny głos:

– To gdzie możemy pogadać?

Jakie to wszystko było żałośnie przewidywalne! Jeszcze jeden skorumpowany policjant ulega presji i daje się wciągnąć w brudne

interesy, a potem przez resztę życia musi być łajdakiem, bez możliwości poprawy. W każdym innym zawodzie oznaczałoby to mniejsze wykroczenie, jednak stróż prawa, który notorycznie je łamie, ma problem nie tylko zawodowy, ale i moralny. Sumienie toczy duszę jak robak. Sęk w tym, że policjanci bardziej niż inni są potrzebni gangsterom. Z popsutymi przez uwikłanie w gangi gliniarzami jest trochę jak z księżmi i pedofilią. Są zbyt blisko tematu i cierpią na nadmiar pokus. A kiedy już wpadną po szyję, nie potrafią z tego wyjść i brną w paranoję. Pół biedy, gdy kończy się samobójstwem, ale to niestety rzadsze rozwiązanie. Częściej samobójstwo popełnia sumienie.

Andrzej patrzył w zrezygnowaną twarz słupskiego komisarza i dochodził do wniosku, że właściwie mógłby darować sobie te wszystkie pytania i zmuszanie pogrążonego w rozpacz faceta do przeżywania jeszcze raz całej ohydy. Przeszliby nad tym do porządku dziennego i skupili się od razu na najważniejszym. Gdyby jednak to zrobił, pozwoliłby wygrać milczeniu.

– Jesteście tu specjalistami od dziwnych morderstw i tajemniczych zniknięć. Mógłbym się przyłączyć do zabawy i zrobić z tobą to, na co mam, nie kryję, pewną ochotę. Mógłbym cię, na ten przykład, wrzucić do studni albo do zbiornika z gnojówką u sąsiada. Z natężenia zapachu wnioskuje, że jest dość głęboki i świetnie się rymuje z moimi odczuciami wobec ludzi twojego pokroju. Jednakże wstrzymam się jeszcze do chwili, gdy moje odczucia nabiorą większej krwistości. Powiesz mi od razu, co się stało, czy pogramy sobie w teleturniej „Jeden z Dziesięciu”?

Hadczuk nie patrzył na niego. Siedział na szczeblu drabiny i zwiesił głowę jak skazaniec. Nie wyglądał na kogoś, kto przejął się pogroźkami, przeciwnie, zdawał się pogrążony w jakimś swoim, zupełnie pozbawionym nadziei, świecie. Przed chwilą wykazał się

jednak pewną lojalnością, gdy udał się do domu, by wytłumaczyć żonie, że jaja wykradła łasica i on idzie teraz do warsztatu budować nowe pułapki. Mógł zwać, mógł dać znać, komu trzeba, ale nie zrobił tego, i nie tylko dlatego, że Krzycki stał tuż za drzwiami. Hadczuk chciał normalnie i szczerze porozmawiać. Może jednak coś w nim pękło. Ludzka natura jest nieustannym polem walki.

– O co panu chodzi? – zapytał.

– Mam propozycję – odparł Andrzej, przysiadając na odwróconym wiaderku. – A właściwie dwie. Po pierwsze, mówmy sobie po imieniu, bo jesteśmy kolegami po fachu, a jak się zbratamy, to masz większe szanse na przeżycie. Po drugie, traktujmy się poważnie, to znaczy nie obrażajmy nawzajem swoich intelektów i nie zadawajmy głupich pytań. Inaczej mówiąc, jeśli jeszcze raz usłyszę taką ściemę jak tę z wizją lokalną na wiatraku, to nasz krakowsko-słupski sojusz skończy się równie nagle i boleśnie, jak się rozpoczął. Sorry, ale taki mamy klimat. Jak się powiedziało A i poprosiło duet Krzycki–Bałyś o pomoc, to teraz trzeba powiedzieć B.

W człowieku przed nim coś się odbywało, o czym świadczyły jego tiki i drgające mięśnie na policzkach, to nagłe unoszenie i opuszczanie ręki czy podrygiwania nogą do bezgłośnej melodii. Walczyło tam dwóch ludzi, jak w horrorze o wilkołaku, kiedy porządny facet siłą woli próbuje obronić się przed przemianą w bestię. Andrzej z pewnym rozbawieniem czekał na wynik tych zmaganiań.

– Bee – powiedział nagle Rysiek.

Efekt był tak niespodziewany, że Andrzej znieruchomiał z półotwartymi ustami. Tamten, niepewny, oczekiwał jego reakcji. Trwali tak w kilkusekundowym napięciu, wreszcie obaj parsknęli

śmiechem. Najpierw Krzycki, zatykając sobie usta rękawem, zaraz potem Hadczuk, który z ulgą rechotał dłuższą chwilę.

– Musiałem.

– Nieźle ci poszło.

– Mówię o tej wizji lokalnej. Musiałem skłamać.

– Pytałeś, o co mi chodzi. Teraz ja pytam ciebie.

– O moją córkę – odparł. – Od pół roku pracuje w firmie konsultingowej K&K, należącej do Kały i Klisza. Wiesz, kim jest Klisz?

– To ten przedsiębiorca od żwirowni? – upewnił się Andrzej.

– Tak, ale nie tylko. Skupuje również ziemie dla Kały pod farmy wiatrowe. Mają sporo interesów i prawie wszystkie brudne. Kiedy moja Sylwia skończyła liceum, chciała iść na studia do Akademii Pomorskiej, ale Kała namówił ją na pracę u siebie. Obiecywał świetne zarobki, szybki awans, premie i dziewczyna się zgodziła. Nim połapałem się co i jak, już podpisała umowę. Miał mnie w garści.

– Gdzie ona teraz jest?

Hadczuk zmierzył go przeciągłym spojrzeniem z samego dna swojej pogwałconej duszy. Rozbawienie natychmiast odpłynęło.

– Przypuszczam, że tam, gdzie twój Lucek Bałyś.

– Chcesz powiedzieć, że Kała ją porwał?

– Oficjalnie wyjechali na tygodniowe szkolenie, ale nie powiedziała dokąd. Kała tym bardziej. Pracowały u niego również trzy inne kobiety, wszystkie młode i ładne. Jest o co się bać.

No pięknie, pomyślał Krzycki. Ojcowie i córki, cóż za nośny temat. Można na nim pojechać do samego piekła, chyba że po drodze wyda się córkę za męża za porządnego faceta, z dobrymi zarobkami i czystym sumieniem, który uspokoi wszystkie obawy i zapewni bezpieczeństwo. Najlepiej za policjanta, he, he.

– To świetnie się składa! – zawołał z entuzjazmem, jakby chodziło o pielgrzymkę na Jasną Górę. – To znaczy, że masz równie ważne powody, by ich znaleźć. Na co czekamy?

Hadczuk nie podzielał jego optymizmu. Opuścił głowę i ogryzał paznokcie.

– Nie tak szybko. Oprócz tego, że chce cię zwabić i zrobić z tobą coś, o czym boję się nawet myśleć i co leży dziwnie blisko tarapatów mojej córki, Kała ma jeszcze inny problem. On naprawdę nie wie, kto zabił Kulika i Różańskiego. A bardzo chciałby się dowiedzieć, ponieważ szkodzi mu to w interesach. I to jest pierwsze zadanie dla ciebie. – Widząc, jak Krzycki marszczy brwi, dodał szybko: – To nie mój pomysł, tylko jego. Powiedział, że otrzymasz pierwszą wskazówkę, jak wykryjesz sprawcę morderstwa na wiatraku. W przeciwnym razie zamiast wskazówki otrzymasz... kawałek Bałysia.

Krzycki świetnie panował nad sobą. Słupska wyprawa znakomicie poprawiła stan jego nerwów, a jednak w środku cały się spiał. Nienawidził szantażu. Nigdy nie wchodził w żadne ugody z porywaczami, nie rozmawiał z gangsterami, którzy proponowali mu deal, nie ugiął się przed tego typu groźbami. Uważał, że tylko tak można wykorzenić szantaż jako narzędzie.

– Ile dał mi czasu?

– Nie wiem, ale obawiam się, że ile byś nie wyliczył, i tak będzie mało. – Hadczuk zawiesił głos. – Masz jakiś plan? Najlepiej, żebyś już wiedział, kto to zrobił.

Andrzej poruszył się i metalowe wiaderko zachrobotало dźwięcznie o betonową podłogę. Kiwał głową i bębnił palcami po udach, jakby przytakiwał własnym myślom.

– Nie mów, że wiesz... – Rysiek zmrużył oczy.

– Prawie. Potrzebuję tylko nazwisko. A ty mi pomożesz. – Krzycki wstał i otrzepał spodnie na tyłku. – Jutro pojawię się w

komendzie i posłucham, co Zdybas ma mi do powiedzenia. Ty w tym czasie zbierz wszystkie informacje na temat morderstwa na wiatraku. Jak chcecie rozwiązania, to je dostaniecie. Ale jeśli w zamian za to nie dostanę Lucka, zapłacicie mi wszyscy. I jeśli jeszcze raz mnie okłamiesz, zabiję cię. Za to, że dałeś dupy jako policjant, jako kumpel, mąż i ojciec, i w ogóle za to, że jesteś...

– Bee – odparł Hadczuk i parsknęli sobie rozluźniającym śmiechem.



## X

### Rozmawiamy

#### I

Dom Kulików stał w środku wsi, naprzeciwko kościoła z buroczerwonej cegły, z jedną kwadratową wieżą od frontu, nakrytą hełmem szpiczastym jak kapelusz czarownicy. Na siatce ogrodzeniowej przy furtce do posesji nadal wisiała tabliczka „Wójt gminy”, która trzy tygodnie wcześniej straciła swoją aktualność w drastycznych okolicznościach. O nich właśnie myślał Krzycki, wstępując na schody. Jakie uczucia kierują tak makabryczną inscenizacją? W kim biedny Kulik wzbudził aż tyle wściekłości? I jak sobie z tym radzi wdowa?

Wdowa sobie radziła. Świetnie odgrywała apatię i trudno było z niej wydobyć jedno całe zdanie. Usadziła przy stole „pana komisarza”, jak go tytułowała, przyniosła herbatę oraz nieśmiertelną kryształową cukiernicę wielkości koła od traktora i usiadła. Przedzierał ich zwisający z lampy lep na muchy, pełen czegoś czarnego i nieapetycznego. Kto wiesza lep nad stołem w salonie? Wbiła oczy w haftowany obrus. Patrzyła skosem nieco w dół, jakby patrzenie na wprost uznawała za nieprzyzwoite. Andrzej nabrał sklejonego od wilgoci cukru, głośno zamieszał i kilka razy stuknął mosiężną łyżeczką w krawędź porcelanowego kubka. Chciał hałasem wytrącić gospodynię z odrętwienia, jednak nie za dobrze mu poszło.

– Czy mąż tamtego dnia wspominał, że wybiera się na farmę wiatrową?

Kobieta pokręciła głową.

– A czy ma pani jakiś pomysł, po co tam poszedł?

Znowu ograniczyła odpowiedź do przeczącego ruchu głowy. Jej zupełnie siwe włosy, rozpuszczone i lekko przetłuszczone, wyglądały na niemyte od kilku dni. Andrzej interpretował to sobie jako jeden z ubocznych skutków przeżytego wstrząsu po odejściu bliskiej osoby, objawiającego się niechęcią do codziennych czynności. Kiedy czarne skrzydło śmierci zdmuchnie kogoś tuż obok ciebie, tracisz poczucie sensu najprostszych działań. Jesteś bez reszty zaprzątnięty elementarną frazą: był i go nie ma. Śmierć nie jest absurdem, tylko generatorem absurdu.

– Z kim spotykał się w ostatnich dniach?

Te „ostatnie dni” zabrzmiały mu trochę fałszywie, więc chciał się poprawić, ale ona go uprzedziła:

– Nie wiem. Proszę spytać w gminie.

– Ale ja pytam panią.

Uniosła wzrok i przewierciła go nieprzyjemnym błyskiem. Uznał, że oprócz apatii tkwiło tu coś jeszcze. Odprysk, dalekie echo tamtej nienawiści, która przywiązała umierającego wójta do skrzydła wiatraka. Ale przecież to niemożliwe, by ta kobieta...

– Powiedziałam panu, że nie wiem.

Mierzyli się spojrzeniami. On starał się przebić jej pancerz, ona broniła dostępu. Jej złość nie pozostała jednak zbyt długo w karbach obojętności. Kiedy patrzył jej w oczy, stukając palcami o blat, gospodyni zaczęła mówić.

– I nie chcę wiedzieć. Niech pan spyta w gminie. Czy to takie trudne, pojechać do urzędu gminy i zapytać sekretarki, z kim spotykał się ostatniego dnia? Chyba tak wygląda to wasze

dochodzenie? Ja go tamtego dnia w ogóle nie widziałam. Trzeba przepytac jego współpracowników. Czy ja mówię niewyraźnie?

Nie tylko nie mówiła niewyraźnie, ale w ogóle mówiła. Wręcz się rozgadała! Andrzej słuchał jej wybuchu z przyjemnością, jak słucha się długo wyczekiwanych wieści. Natychmiast połapał się, że brał za apatię odruch obronny kobiety, która nie mogła lub nie chciała mówić o okolicznościach śmierci męża. Bała się albo kogoś kryła. W jakiś sposób korespondowało to z opowieściami Kowalika o niezwykłej wsi. Kulikowa poprawiła się na krześle, prawą rękę położyła na stole i stuknęła paznokciem w blat, akcentując każde słowo z osobna. Brzmiało to jak odpowiedź na stukanie Krzyckiego.

– Mój mąż był bardzo zajęтым człowiekiem. Całymi dniami pracował poza domem i niewiele wiedziałam o jego kontaktach. Ciągłe dzwonił, by powiedzieć, że zostaje dłużej, bo coś mu wypadło. Wymówki, jakich pełno w małżeńskich historiach. Dzieci też tego nie lubiły, bo jak tylko dorosły, wyprowadziły się z domu, i mieszkamy, to znaczy mieszkaliśmy sami. Mieszkaliśmy to za dużo powiedziane. Spaliśmy pod jednym dachem, i tyle.

No pięknie. To wcale nie była apatia, tylko pustka. Wielka dziura po zniknięciu głównego problemu życiowego tej zrezygnowanej nagłym uwolnieniem kobiety. „Małżeńskie historie”, „dzieci też tego nie lubiły”... tak przemawia dramat rodzinny, a nie szczerza żałoba po mężu. Andrzej rozejrzał się wkoło. Dostatni jak na wiejskie warunki dom, solidnie urządzony, dwupiętrowy, dorosłe dzieci spokojnie pomieściłyby się tu razem ze swoimi rodzinami. A jednak Kulikowie mieszkali sami. Ba, nawet teraz, po śmierci męża, ona siedzi tu samiuteńka, chociaż w normalnych warunkach ktoś z bliskich powinien z nią zamieszkać. Po prostu dlatego, że tak robi się po pogrzebie ojca. A jednak

mieszkała sama. I nie chciało jej się nawet porządnie umyć włosów. Na lepie schły muchy.

– Co on pani zrobił?

– Mnie? Nic.

Odpowiedziała szybko i krótko, bez zastanowienia. „Mnie nic”. Tobie nic, więc komu? I co? Przyglądał się jej z ciekawością pozbawioną nawet współczucia, ponieważ najwyraźniej go nie potrzebowała. Jej emocje krążyły wokół zupełnie innych spraw niż żałoba.

– Pani nie chce, żebym szukał sprawcy, prawda?

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie i postukała paznokciem w blat, stanowczo, by potwierdzić pewność wygłaszanego sądu. Tak się robi, gdy pewności nie ma.

– Nic nie wiem. To nie moja sprawa.

– A czyja?

Niedbałym ruchem odsunęła z twarzy siwy kosmyk.

– Teraz już niczyja.

Upił łyk herbaty i uśmiechnął się do przelotnej myśli. Ile podczas tych wszystkich lat wypił takich niedobrych herbat, patrząc w oczy podejrzanych, świadków i ofiar? Ile kłamstw słyszał i ile z nich zdemaskował? Te popaprane ludzkie życia miały w sobie coś żałosnego. Jak nieudane filmy pokazujące zło zbyt dosłownie, prostacko, bez upiększającej metafory. I ta melancholia porażki, o której się nie mówi, ale która wзира spód ogryzionych paznokci i nieumytych włosów!

Zrozumiał, że sam musi dopowiedzieć to, czego Kulikowa mu nie powiedziała.

– Mógłbym zobaczyć pokój męża? – spytał ze śledczą obojętnością. Bliscy ofiar nie lubią tego punktu oględzin i nie należy im zdradzać, że jest jednym z najważniejszych.

– Policja już wszystko sprawdzała – odparła równie obojętnie. – Co mieli do zbadania, już zbadali. Nic nowego pan nie znajdzie.

To była odmowa – „pan komisarz” więcej pomocy od wdowy po wójcie tej całkiem niezwykłej wsi już nie otrzyma. Postanowił z innej strony.

– Gdzie tu mogę kupić coś do jedzenia? – spytał, wskazując ręką okno.

Zapytane o to kobiety zwykle na chwilę tracą zainteresowanie dla rozmówcy i poświęcają się szczegółowym wyjaśnieniom. Kulikowa zachowała się podobnie: wyjaśniła, gdzie jest piekarnia z dobrym chlebem (ta sama, do której odsyłał go Kowalik), a gdzie lepsze warzywa, gdzie kupuje się wędliny i gdzie dostanie baterie do latarki albo papier toaletowy. Nieuchronne znawstwo wiejskiej gospodyni. Krzycki wykorzystał tę chwilę, by dokładniej się rozejrzeć. W salonie stała piękna poniemiecka komoda, na ścianach wisiały odpustowe reprodukcje dwóch obrazów religijnych i Słoneczników van Gogha, ale nie znalazł ani jednej fotografii rodzinnej. Żadnej pary ślubnej sprzed czterdziestu lat, żadnych dzieci w komunijnych ubrankach, nic. Wydawało mu się, że w jednym miejscu dostrzeże ślad po zdjętym obrazku. Zadano sobie trud, by wyjąć również gwóźdź ze ściany. Andrzej miał wielką ochotę podejść do komody i sprawdzić szuflady, ale się powstrzymał. Nietrudno było się domyślić, że fotografia ślubna spoczywa w jednej z nich, wciśnięta głęboko pod inne, ważniejsze rzeczy, na przykład zapasowe świece albo wypełnione krzyżówki. Osobliwy sposób radzenia sobie ze śmiercią męża. Kiedyś, dawno temu, zasłaniano wizerunki zmarłych, by ich duchy nie nawiedzały żywych, ale tu Krzycki podejrzewał inny motyw. Wdowa pozbywała się pamięci po zmarłym. Czyściła dysk z wirusów. Rozejrzał się

naokoło – w całym dużym salonie ani jeden drobiazg nie zdradzał, że mieszkał tu kiedyś mężczyzna.

– Dziękuję, bardzo mi pani pomogła – powiedział Andrzej z uśmiechem, gdy zakończyła wirtualne oprowadzanie po wsi. Niczego z tego nie zapamiętał, ale przecież nie będzie tu robić zakupów. Ludzie nie powinni go zbyt często oglądać. – To znacznie zwiększa moje szanse na przeżycie.

Chciał tym żartem usposobić ją nieco przyjaźniej, ale pani Kulikowa nie uśmiechnęła się. Wbiła w niego ponury wzrok i odparła:

– No nie wiem. Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. Chyba że będzie pani tak miła i przyniesie mi szklankę wody. Muszę wypić tabletkę na migrenę.

– A co pan bierze?

– Cefalgin.

– Na mnie cefalgin nie działa. Biorę migeę.

Obdarzyła go samarytańskim uśmiechem siostry w cierpieniu i wyszła do kuchni. Dwoma susami znalazł się przy komodzie i ostrożnie pociągnął za uchwyty. W górnej znalazł różne szpargały, nic ciekawego poza starą, wypaloną fajką. Fotografia w drewnianej ramce znajdowała się w drugiej szufladzie, wciśnięta pod stertę wyprasowanych obrusów, i nie była ślubna. Na grupowym zdjęciu w środku stał Mieczysław Kulik otoczony wianuszkiem dziewcząt w wieku licealnym. Każda w zielonych ogrodniczkach, gumowcach i z obowiązkowym uśmiechem do obiektywu, z sadzonką drzewa w jednej ręce i sztychówką w drugiej. Na odwrocie flamastrem dopisano tytuł i datę: „Zielona Gmina 2005”. Przebiegł szybko wzrokiem po obrazku. Sześć dziewczęcych twarzy, żadna nic mu nie mówiła, wójt za to miał uśmiech szejka w haremie. W pierwszym odruchu Krzycki chciał wcisnąć zdjęcie za pas, ale

usłyszał szuranie kroków wracającej Kulikowej i włożył je z powrotem do szuflady.

## 2

Kobieta za biurkiem w urzędzie gminy miała około sześćdziesięciu lat, smutne oczy i ogryzione paznokcie. Na informację, że stoi przed nią inspektor Andrzej Krzycki, spłoszyła się zupełnie jak główna podejrzana. Uciekła wzrokiem w bok, przełożyła papiery z prawa na lewo, schowała długopis do szuflady, a następnie wyjęła inny i zaczęła coś pisać na świstku. Jej farbowane na czarno włosy układały się w regularną, zgrabną kulę. Przypominała dawne piosenkarki z festiwalu w Opolu. Mogłaby być siostrą Kulikowej, pomyślał Andrzej na widok jej nerwowej reakcji. Obie milczą podobnie i zapewne w tej samej sprawie.

– Policja już tu była. Powiedziałam wszystko, co wiem – wydeklamowała filmową formułkę. Nieraz uderzała go swoboda, z jaką ludzie bezwiednie odpowiadają na jego pytania kwestiami z seriali kryminalnych. Jak gdyby sama obecność policjanta wymuszała dostosowanie się do konwencji gry aktorskiej.

– W takim razie nie widzę przeszkód, aby to powtórzyć, skoro – postukał się palcem w pierś – policja znowu przysłała.

– A po co?

– A po co nie?

Potrząsnęła lekko głową, że nie rozumie, o co mu chodzi. Andrzej odsunął sobie krzesło nogą, usiadł naprzeciw niej i splótł palce jak do modlitwy.

– Błagam panią, niech mi pani oszczędzi tej zabawy w kotka i myszkę. Jestem starym, zmęczonym gliną, specjalistą od ludzkiej

skłonności do zbrodni, kłamstwa i przemilczania najważniejszych informacji. Prędzej czy później i tak do nich dochodzę, ale ludzie uparli się, by mi to utrudniać. Zapewniam panią, to bez sensu. Niech mi pani od razu powie, co ma do powiedzenia. Będzie prościej. Naprawdę.

Poprawiła dłonią włosy, sprawdzając, czy nadal są nienagannie ułożone. W drobiazgach była bezlitośnie skrupulatna. Takie dużo wiedzą. Patrzył jej prosto w oczy. Wytrzymała.

– Skąd pan wie, że mam coś do powiedzenia?

– Od Kulikowej.

Szybka odpowiedź zaskakuje. Przez sekundę albo dwie rozmówca zdradza swoje prawdziwe emocje, nim je pokryje naprędce wymyśloną maską. Nie odwróciła wzroku, ale obiegła nim całą jego twarz, tak, by patrzeć nadal prosto, ale nie w oczy.

– Więc dlaczego sama panu nie powiedziała?

– Ponieważ powiedziała mi inne rzeczy i uważała, że tę powinna mi powiedzieć pani.

– A jaka to rzecz?

Nie miał pojęcia. Pracował jednak wystarczająco długo, by radzić sobie z takimi sytuacjami. Dialog przechodzi w licytację, a informację zastępuje blef. Robi się poker.

– Nadal sadszicie drzewka w akcji Zielona Gmina?

Lepszego efektu nie mógł się spodziewać. Żłoty strzał. Oczy jej się rozszerzyły, jakby nagle zobaczyła ducha. Jeszcze lepiej zareagowały wargi. U kobiet są one bardziej wymowne niż u mężczyzn, zwłaszcza gdy się zaciskają. Te rozchyliły się jak do głębokiego wdechu, potem górną przygryzły zęby, wreszcie obie niemal znikły od nerwowego zacisku.

– Nie. To było kilka lat temu. Może pan o tym poczytać w gazetach.



– Tego, co pani ma mi do powiedzenia, tam nie znajdę, prawda? W przeciwnym razie nie doszłoby do morderstwa Kulika, ponieważ wcześniej zostałby odsunięty od urzędu, a może nawet aresztowany. Za co?

– To pan powiedział, nie ja.

Broniła się dzielnie. Andrzej tylko zupełnie nie rozumiał po co. Za odesłaniem go przez Kulikową do urzędniczki w gminie stał ten typ solidarności kobiecej, która kiedy już zacznie działać, idzie jak burza. Obie coś wiedziały, coś bardzo ważnego i kluczowego dla sprawy, chodziło jedynie o to, by rzecz wyszła nie od wdowy po wójcie, tylko jego najbliższej współpracownicy. Zakres spraw był dosyć wąski, domysł wisiał w powietrzu jak ostatnia minuta przed puentą. Andrzej chciał to jednak usłyszeć. A ona nie chciała mówić. Potrzebował jeszcze jednego blefu.

– Pani mieszka z synem, zgadza się?

Bezbledny strzał. Poderwała się z krzesła jak oparzona.

– Jego do tego nie mieszajcie! On nie ma z tym nic wspólnego! Nic!

Obciągnęła spódnice, dostrzegła w tym jakąś niestosowność i by zatrzeć wrażenie, podeszła do stolika pod oknem, naląła sobie pół szklanki wody i duszkiem wypila.

– To pani powiedziała, nie ja – odrzekł Krzycki. – Ja prowadzę śledztwo i dla mnie wszyscy mają z tym coś wspólnego. Niestety, muszę również zadać kolejne pytanie. Czy pani syn chodzi czasem w żółtej kurtce przeciwdeszczowej? I gumowcach?

Kobieta poszarzała jak papier. Jej twarz, nad którą dotychczas całkiem nieźle panowała, nagle utraciła całą sprężystość i obwisła bezradnie. Maską zsunęła się i przedstawiała teraz tylko to, czym w istocie była – pomarszczonym kawałkiem gumy. Starannie zatuszowane pudrem zmarszczki przebiły się na zewnątrz i poryły

z powrotem policzki, czoło, szyję. Kurze łapki wokół oczu wyglądały jak pęknięcia w źle wypalanej glinie, niedwuznacznie sugerując, że ten egzemplarz człowieka również nie jest doskonały. Wreszcie kobieta się rozplakała.

– Zostawcie go w spokoju! On jest chory. Nie zrobił niczego złego, nie jest do tego zdolny. – Nagle szybkim krokiem obiegła biurko i schwyciła Krzyckiego za rękę. – Błagam pana, nie róbcie mu krzywdy! Mam tylko jego!

– Proszę się uspokoić. – Poklepał ją po wierzchu dłoni i odprowadził na miejsce za biurkiem. Usiadł obok i wyjął z kieszeni paczkę chusteczek. To też zawdzięczał wieloletniej praktyce: zawsze mieć przy sobie chusteczki higieniczne. – Dobrze, zostawmy na razie syna. Niech mi pani opowie o tym sadzeniu drzewek.

Spuściła oczy, co oznaczało, że teraz nastąpi opowieść utkana z zawitych kombinacji prawdy i kłamstwa. Musiał jakoś przebić się przez pancierz, za którym obie – Kulikowa i siedząca przed nim Zofia Ploh, wieloletnia sekretarka Mieczysława Kulika – ukryły się ze swoją trudną prawdą. Czemu jeszcze nie powiedziała? W końcu bezpieczeństwo syna to mocny argument przetargowy, a jednak wciąż była gotowa kłamać. Kryła sprawcę, podobnie jak Kulikowa. Tylko takie wytłumaczenie przychodziło Krzyckiemu do głowy.

– Akcję wymyślił sam Kulik – zaczęła, dobierając słowa z taką ostrożnością, jakby każde z nich mogło zdetonować bombę. – Wyszukał w internecie programy unijne, z których można dostać pieniądze na inicjatywy lokalne pod warunkiem, że zaangażują się w nie instytucje publiczne. Akurat wybuchła jakaś awantura o wycinanie starych drzew przy drogach i wójt wpadł na pomysł, żeby zaprosić uczniów z Grębówka do sadzenia młodych. Dyrektorka szkoły chętnie się zgodziła, młodzież tym bardziej, bo akcja

odbywała się w czasie godzin lekcyjnych. Na początek wybrali teren za boiskiem szkolnym, o tam – pokazała palcem na okno – w stronę kościoła. Przywieźli całą wywrotkę sadzonek lip i dębów, bo wójt wymyślił, że dąb i lipa to taka prasłowiańska para...

– I co z tą akcją? – przerwał jej Krzycki, czując, że Plohowa unika sedna sprawy.

– Powtarzała się przez trzy lata. Rzeczywiście, po pierwszym sadzeniu Kasia i Magda, to znaczy nasze dwie księgowo, napisały z pomocą tłumacza ten projekt i dostaliśmy sto tysięcy euro z Unii na dalsze akcje. Wójt był wniebowzięty. Cieszył się jak dziecko i dopiero później zrozumiałam dlaczego.

– Dlaczego?

Chrząknęła, jej wzrok powędrował na ścianę. Zastanawiała się, jak to powiedzieć, żeby nie powiedzieć. Postanowił jej pomóc.

– Dlatego że spodobała mu się uczennica w obcisłych ogrodniczkach i z pomalowanymi paznokciami na uchwycie łopaty?

Przygryzione wargi pani Zofii poinformowały go, że trafił w dziesiątkę. Złoty strzał numer trzy. Na przednich zębach zostały resztki szminki.

– Jak się nazywa ta dziewczyna? – spytał łagodnie jak terapeuta. Kobieta pokręciła głową. Nie spodziewał się takiego oporu, więc zaskoczony, próbował kolejnych blefów.

– Czy pani syn ma siostrę? Czy to ona?

Pudło. Każdy strzał nie może być złoty. Zofia Ploh sięgnęła do szuflady, wyjęła paczkę papierosów, zapaliła jednego i zaciągnęła się jak smok. Od uderzenia nikotyny zażawily się jej oczy.

– Nie chodziło o jedną dziewczynę – powiedziała z westchnieniem, wydmuchując dym. W jej głosie była ulga kłamcy, który znalazł sposób na obejście sedna sprawy. – Co roku po Zielonej Gminie Kulik nagle zatrudniał kogoś do biura w

charakterze stażysty, kogoś, kto brał udział w akcji sadzenia drzewek. I tak co roku zjawiała się u nas absolwentka zespołu szkół w Grębówku. Popracowała przez lato, głównie na poufnych konsultacjach z wójtem, a jesienią odchodziła. Wyjeżdżała na studia do Gdańska albo Szczecina i przez zimę panował spokój. A na wiosnę, jak dmuchnęło ciepłym powietrzem, wójt budził się z zimowego snu i znowu zaczynał gadać o sadzeniu drzewek.

– Trzy lata, trzy dziewczyny? – upewnił się Krzycki. Nie od razu odpowiedziała, jakby coś kalkulowała wokół tych dwóch trójek.

– Nie tylko one – odparła w końcu. – Inne przychodziły do niego w pilnych sprawach.

– Myśli pani, że zrobiła to jedna z nich? – spytał. Celowo nie użył słowa „morderstwo”, ono zawsze źle wpływa na rzetelność zeznań.

– Nie wiem – odparła całkiem zwyczajnie. Zabrzmiało to szczerze. – Mówię tylko o jego słabościach. Czy tyle wystarczy na krwawe zabójstwo na wiatraku?

Potrząsnął głową, że nie wystarczy.

– Da mi pani ich nazwiska?

– Tych dziewczyn? – Płohowa nie umiała ukryć niechęci do prośby inspektora. Chwilę walczyła ze sobą, wreszcie wstała, podeszła do regału z segregatorami i bez zastanowienia wyjęła ten właściwy. Rozpięła klamrę dociskającą dokumenty i nieśpiesznie przekładała papiery w przeźroczystrych koszulkach. Wybrała trzy i położyła przed Andrzejem. Były to podania o zatrudnienie wraz z CV i fotografiami. Ponieważ zawierały również adresy i imiona rodziców, poprosił grzecznie o skserowanie papierów. Płohowa zrobiła to z ociąganiem, zabierając do kserokopiarki cały segregator, jakby ani na chwilę nie chciała stracić go z oczu.

– Mogę go przejrzeć? – spytał przekornie Krzycki, wskazując palcem na sztywne zielone okładki na parapecie. Tak jak się

spodziewał, odmówiła, tłumacząc się poufnością dokumentów. Gra w kotka i myszkę trwała nadal. Mógł ją postraszyć utrudnianiem śledztwa albo jeszcze raz sięgnąć po argument z synem w przeciwdeszczowej kurtce, ale zrezygnował. Szło dobrze i bez straszenia. Kiedy podała mu plik z kopiami, powiedział z uśmiechem:

– Rozumiem już, dlaczego Kulikowa nie chciała o tym powiedzieć. Nie rozumiem natomiast pani oporów. Nietrudno zgadnąć pani niechęć do wójta, o którego ekscesach tyle pani wiedziała. Czemu nie chciała pani przekazać tych informacji ani mnie, ani słupskiej policji? I – pokazał palcem na zielony segregator – czyje jeszcze nazwisko mógłbym tam znaleźć?

Sięgnęła po następnego papierosa. Miała twarz zniszczoną nie tylko samotnym życiem, troską o syna i nielubianą pracą u lubieżnego wójta, ale i nerwowym popalaniem przy każdej okazji, kiedy trzeba coś ze sobą zrobić, gdy przemilcza się prawdę. Na białym filtrze mentolowego vogue'a pozostał mocny ślad szminki. Nawet przy paleniu zaciskała usta, dlatego otaczał je pierścień drobnych zmarszczek, wyrytych w skórze przez wieloletnie kurczowe zaciąganie się. Wypalony krater pokryty skorupą dawno wystygłej lawy.

– Pan nic nie rozumie – powiedziała wolno. – Pan nie jest stąd i nigdy nie zrozumie. Tu nie chodzi o żadną z tych dziewczyn. Powiedziałam panu o nich, bo tego chciała Kulikowa. Żeby pan wiedział, kim naprawdę był jej mąż – ten powszechnie szanowany, zasłużony dla gminy urzędnik. Ta ofiara potwornej zbrodni!

Ostatnie słowa wypowiedziała z szyderstwem. Próbowwała odwrócić uwagę. Znowu kluczyła. To wszystko zaczynało go złościć.

– Nazwisko! – powtórzył głośniej.

– Nie!

Pomacał po kieszeni w poszukiwaniu komórki, ale przypomniał sobie, że zostawił ją wyłączoną w samochodzie, więc żeby zamaskować bezsensowny ruch, sięgnął po słuchawkę telefonu na biurku.

– Dokąd pan chce dzwonić? – spytała Płohowa z niepokojem, kładąc dłoń na klawiaturze.

– Do komendy w Słupsku – odparł spokojnie. – Jeśli im opowiem, czego się dowiedziałem, będą wiedzieli, co robić. Oni są stąd i rozumieją.

– Pan nic nie rozumie! – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem i usiłowała mu wyrwać słuchawkę. Dym z papierosa w popielniczce snuł mu się prosto do oczu. – To wszystko w ogóle nie jest tak, jak pan myśli! Tak... tak po prostu nie można!

Pojęła, że się płacze, i opadła zmęczona na fotel, a ten zapiszczał jak nadeptany gryzoń. Poddawała się, ale z oporami, ciężar tych wszystkich krętałów ją przytłaczał. Andrzej czekał na pierwszą łzę. Popłynęła powoli, niechętnie, przedzierając się przez poprzeczne wałki pod oczami, dopóki nie natrafiła na pionową bruzdę na policzku, którą rażno pobiegła w dół i kapnęła na prawą pierś. Bluzka chciwie wchłonęła wilgoć.

– Pani Zofio – zaczął, odkładając słuchawkę. I tak nie zamierzał dzwonić, nawet nie pamiętał numeru. – Rozumiem, że nic nie rozumiem, bo nie jestem stąd. Macie tu swoje tajemnice i nawet jeśli od czasu do czasu doprowadzają one do podłości albo zbrodni, nie należy ich pochopnie ujawniać. Potrafię wyobrazić sobie te karkołomne ekwilibrystyki moralne, choć ich nie podzielam. Mój problem jest inny. Kilka dni temu niedaleko stąd zaginął mój przyjaciel, również policjant z Krakowa. Mieszkał w domu innego policjanta, Pawła Palki. Tego samego dnia został on zamordowany strzałem w głowę. To była egzekucja. Domyślam się, kto to zrobił,

ponieważ ten sam człowiek porwał mojego przyjaciela i zaproponował mi grę, której stawką uczynił jego życie. A także moje. Jeśli nie rozwiążę zagadki morderstwa na wiatraku w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, mój przyjaciel zginie, a jeśli do jutra nie wpadnę na żaden trop, otrzymam przesyłkę z kawałkiem jego ciała. Nie wiem, co to będzie, pozostaje mi żywić nadzieję, że tylko palec. Widzi pani – przetarł włosy dłońmi, zupełnie jakby powtarzał gest łysego Lucka – w całym moim zafajdanym życiu miałem tylko jednego przyjaciela, właśnie jego. Muszę znaleźć mordercę. I znajdę, z pani pomocą albo bez. Być może nic nie rozumiem z tego, co się tu dzieje. Lucek pewnie też nie wiedział, dlatego wpadł. Patrząc na tę sprawę wyłącznie z jednej perspektywy i nie obchodzą mnie inne, chyba że przedstawi pani powód dla mnie ważniejszy od życia przyjaciela, w co wątpię. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę spróbować jeszcze raz skłamać.

Kiedy mówił, pani Zofia poprawiała makijaż. Wreszcie, zerkając w lustro, uznała, że stan pudru i tuszu jest zadowalający, odłożyła utensylia do kosmetyczki, ułożyła dłonią fryzurę i z odwagą podniosła wzrok na Krzyckiego.

– Heike Liebner.

– Słucham?

– Nazwisko. Heike Liebner.

– Czy to ta Niemka, która odwiedza wieś i wypytuje starych mieszkańców?

– Tak.

– Co z nią?

Płohowa zacisnęła i rozluźniła usta, tak jak się to robi, by rozetrzeć równomiernie szminkę na wargach. Przygotowania do puenty zostały zakończone.

– To ona ostatnia widziała Kulika żywego.

Tamtego dnia wyjechali jeszcze wieczorem. Gnali prosto do granicy, nie zatrzymując się nawet na sikanie. Ona miała jeszcze dobre zamki, a chłopakom pozwoliła wypić tylko po jednej kawie na drogę. Musieli opuścić Polskę, zanim córka starego Siemczuka doniesie na policję o ich odwiedzinach. A jeśli nie ona, to inny z mieszkańców, który uzna za stosowne wskazanie jej jako podejrzanej. Ich samochód mogły zarejestrować kamery na granicy, dlatego kilka kilometrów wcześniej zamienili tablice rejestracyjne. Granicę przekroczyli krótko po północy w sznurze z trzema innymi samochodami, co zmniejszało ryzyko zatrzymania do kontroli. Do Hanoweru dotarli o świcie i zmęczona Heike Liebner położyła się do łóżka. Po zamknięciu oczu widziała kręcące się śmigło turbiny wiatrowej z przytwierdzonym do niego ciałem Mieczysława Kulika. To nie było wspomnienie. Nie musiała tego widzieć, wystarczyło jej to, czego się dowiedziała. Wiedza jest władzą, panowaniem i daje przewagę, dzięki której wygrasz każdą bitwę. Francuzi już dawno to wymyślili, Niemcy zastosowali, a Polacy nie pojęli do dzisiaj.

Jeszcze tego samego dnia zadzwoniła do swojego kuzyna Ottona Stubenauera.

– *Kulik ist tot* – powiedziała cicho. Kulik nie żyje.

Kuzyn nie zareagował, nie umiała nawet stwierdzić, czy ta wieść go ucieszyła. Przez ostatnie siedemdziesiąt lat chyba nic go nie cieszyło. Po ucieczce z Heinsdorf zostały mu tylko pozory



egzystencji. Ersatzleben. Heike nieraz miała wrażenie, że Otto porusza się i mówi jak automat.

– *Hat er zuvor was gesagt?* – spytał chrapliwie. Oboje zniżyli głos, jakby byli na podsłuchu. – Powiedział coś przedtem?

– *Weder zuvor, noch nachher* – odparła zimno. – Ani przedtem, ani potem. Nie wiem, kto jeszcze mógłby coś powiedzieć.

Powinien ją teraz spytać, po co zabiła Kulika, ale nie zrobił tego. Nie lubił mówić. Gdy kiedyś mu to zarzuciła, odparł, że oszczędza słowa na później, na rozmowę z Bogiem. *Es wird lang und schmerzhaft*, dodał. Będzie długa i bolesna. Jego oddech szumiał w słuchawce jak sosnowy las za pomorską wsią. Ponieważ nie spytał jej również, co ma zamiar robić dalej, po prostu się rozłączyła.

To wydarzyło się trzy tygodnie temu i od tamtego czasu nie zrobiła nic. Michała i Mariusza wysłała do Polski, ponieważ mieli do załatwienia sprawy na uniwersytecie w Stettin. Wrócą za dwa dni i wtedy będzie trzeba znowu pojechać do Polski. Znowu pakować walizkę z myślą, że tych ubrań, które chciałyby włożyć na kolejną wizytę w swoim ukochanym Heinsdorf, spakować nie może. Nienawidziła upływu czasu, był potworem pożerającym jej życie. Nie to tutaj, udawane, tylko tamto prawdziwe życie, którym nigdy nie żyła. Może Otto ma rację. Może ona także powinna zbierać siły na ostateczną rozmowę z Bogiem. O Heinsdorf.

Brzęknął kurant w zegarze ściennym. Kupiła go na targu staroci w Schlawe, podobnie jak wiele innych niepotrzebnych i brzydkich przedmiotów, ustawionych na blatach i regałach w całym domu. W wolnych chwilach roiła sobie, że może Gerda dotknęła kiedyś jednego z tych odrapanych garnków, talerzy z wytartym wzorem czy zardzewiałych noży i ślad tego dotyku, ślad śladu, przylgnął do zużytej materii, odcisnął się w niej i zamarł jak amonit w wapiennej skale. Heike brała w dłonie rondel z obitą emalią i przez lupę badała

jego uchwyt centymetr po centymetrze, tak jak technik policyjny szuka odcisków palców na narzędziu zbrodni. Bo to była zbrodnia, a ona musi ją rozwikłać. Musi znaleźć ten niewidoczny ślad, by jej ostateczna rozmowa z Nim mogła opierać się na faktach, a nie tylko na urojeniach wypędzonej z Pomorza Niemki. Ślad śladu. Prawie nic, ale i znacznie więcej niż nic.

Podniosła się z fotela, by wyjąć z biurka wielką lupę i rozpocząć obchód po cmentarzysku pomorskiej gospodarności, gdy zadzwonił telefon. Męski głos przedstawił się po angielsku i spytał, czy rozmawia z Heike Liebner. Nazwiska nie dosłyszała, ale szeleściło po polsku.

– Ich verstehe nicht.

– Proszę nie udawać – odparł głos. – Wiem, że pani rozumie.

– I co w związku z tym? – spytała po angielsku. Głos po drugiej stronie brzmiał szorstko, służbowo. Prawdopodobnie policjant. Mogła natychmiast się rozłączyć, ale wtedy, prędzej czy później, zjawiłby się u niej w towarzystwie tutejszych śledczych. Wolą tego uniknąć, przynajmniej na jakiś czas.

– Trzy tygodnie temu pod Grębówkiem został zamordowany Mieczysław Kulik. Mam informację, że tamtego dnia spotkał się z panią. Mogę wiedzieć, o czym rozmawialiście?

Wyjaśnił, że jest policjantem i zajmuje się tą sprawą, że musi przesłuchać wszystkich świadków i jej zeznanie jest dla niego bardzo ważne. Mówił z twardym, słowiańskim akcentem, ale poprawnie, w przeciwieństwie do większości Polaków, którzy nie rozumieją różnicy między rodzajnikiem określonym i nieokreślonym. Tak jak ona nie potrafiła pojąć końcówek fleksyjnych.

– O ziemi. Chciałam kupić ziemię i pytałam, jak to można zrobić.

– Gdzie się spotkaliście?

– W jego biurze.

– Pytam o drugie spotkanie. Sekretarka zeznała, że Kulik wyszedł z biura około godziny trzeciej po południu na spotkanie z panią. Niestety, nie powiedział, dokąd idzie.

– W Schlawe. W kawiarni na rynku.

– *Dear Madam* – usłyszała elegancką formułkę. – W Sławnie na rynku nie ma kawiarni.

– Jest cukiernia w supermarkecie.

– Ale bez kawiarnianych stolików.

– W takim razie co pan proponuje? – spytała szorstko. – Tylko szybko, za chwilę się rozłączę.

Lubiła ćwiczyć ludzi w uległości, a z Polakami szło jej wyjątkowo łatwo. Oni mają w sobie coś z permanentnego unizenia, a ten gen niewolnictwa pewne rzeczy ułatwia, inne niesłuchanie utrudnia. Nieraz zastanawiała się, czy to jest ten komponent Wschodu w ich duszach czy atawistyczny lęk przed władzą, której nigdy tak naprawdę nie mieli. Zaskoczył ją.

– Jeżeli pani się rozłączy, poproszę kolegów z hanowerskiej policji o pomoc. Przyjadą tam jeszcze dzisiaj i nie będą stawiać pytań tak grzecznie jak ja. Tu chodzi o brutalne morderstwo. Teraz jeszcze jest uprzejmie, o naszej rozmowie wiemy tylko my dwoje. Proszę tego nie zepsuć. Gdzie się spotkaliście?

Głos był stanowczy i wyważony, z odcieniem pewnej determinacji. Nie miał w sobie unizonego respektu, gen niewolnictwa musiał w tym przypadku ulec jakiejś awarii.

– Ja go nie zabiłam.

– Wiem.

Znowu ją zaskoczył. Szukała szybko jakiegoś wybiegu, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Pomyślała o tym, jakie komplikacje

wynikłyby dla niej z powiedzenia prawdy, i natychmiast odsunęła ten pomysł na bok. Ziemia. Tak, to jest dobry klucz. W końcu wszyscy Niemcy chcą kupić ziemię na Pomorzu. A Polacy się bronią, jakby im odbierano tę ich świętą niepodległość.

– Pojechaliśmy na pola pod Heinsdorf, chciałam na miejscu omówić z nim sprawę zakupu ziemi.

– Tam nie ma żadnej ziemi na sprzedaż.

– Zależy dla kogo – odparła zimno. Obojętny język handlowej kalkulacji działał na Polaków jak komenda wojskowa. Natychmiast się ogarniali. Policjant o szeleszczącym nazwisku zaskoczył ją po raz trzeci.

– A nawet gdyby była, nie wójt by ją sprzedawał. Widziano was dwie godziny przed jego morderstwem, na farmie wiatrowej w pobliżu miejsca zbrodni, jak wsiadał do pani samochodu. Ma pani dwóch asystentów, tłumaczy i ochroniarzy zarazem. Obaj są wysportowani i we dwójkę mogli zwabić Kulika do wnętrza wiatraka, wynieść lub wyprowadzić na górę, pobić i przywiązać do śmigła, by się wykrwawił na śmierć. Pani go nie zabiła, ale kazała to zrobić. Dlaczego? O czym rozmawialiście?

Pytanie było stanowcze i poparte ciekawą hipotezą, ale całkiem bezsensowne. Wiedziała o tym i miała wrażenie, że ten polski policjant również wie. On nie oskarżał jej o morderstwo, tylko prosił o szczerość. Jeśli miał trochę oleju w głowie, a najwyraźniej miał, wiedział o jej alibi. W chwili popełnienia morderstwa siedziała z obydwojema asystentami w hotelu w Krangen i pracownicy recepcji mogli to bez trudu potwierdzić. Nie, nie oskarżał jej, raczej prosił o pomoc, ubierając to w kulawą groźbę. Niestety, całej prawdy nie mogła mu powiedzieć.

– Czy jeśli panu powiem, mogę również liczyć na pomoc?

– W sprawie Gerdy?

Zesztywniała.

– Skąd pan wie o Gerdzie?

– Cieszę się, że nawzajem ustaliliśmy stan posiadania. Przejdźmy do interesów. Pani mi powie, o czym rozmawialiście na polu między wiatrakami, a ja obiecuję informować panią o każdym szczególe związanym z zaginięciem pani siostry.

– Dlaczego tak panu na tym zależy?

– Chodzi o życie mojego przyjaciela. Powiedzmy, że to taka moja Gerda.

Fala gorąca zalała szyję Heike i podeszła do gardła. Co to za człowiek? Skąd nagle tyle wie? Nie mógł być ze słupskiej policji, wśród tamtejszych śledczych nie było nikogo, kto by działał w ten sposób i przejawiał ten typ osobowości. Nie mówiąc o znajomości angielskiego. Miała kiedyś z nimi do czynienia i zniechęciła się totalnie. Ten jest inny. Musiała szybko coś wymyślić.

– Niewiele mi pomógł. Odesłał po informacje do rodziny Zawadów, ale ja z nimi już wcześniej rozmawiałam. Twierdził, że śpieszy się na spotkanie biznesowe. Spodziewał się wielkiej łapówki za gminną ziemię i nie krył rozczarowania, gdy dowiedział się, że chodzi o coś innego. Pożegnał się szybko i wrócił do swoich brudnych sprawek.

– Jakich?

– Nie wiem, tylko przypuszczam, bo kiedy odjeżdżaliśmy, został na miejscu i do kogoś telefonował. Nie wyglądał na człowieka, który się śpieszy.

– Dlaczego chciała pani w ogóle z nim rozmawiać? Skąd pomysł, że mógłby coś wiedzieć o pani siostrze?

Zagryzła wargi. Polski glina coraz bardziej się zbliżał. Wytrącał ją z równowagi. Spokojnie, Heike.

– Był wójtem gminy – odparła. – Tacy ludzie zawsze coś wiedzą.

– I wiedział?

– Nie.

Zapadła cisza, a Liebner zastanawiała się, czy przez nadgarstek i palce może przejść do słuchawki łomot walącego serca, słyszalny po tamtej stronie. Pożegnała się przez ściśnięte gardło i szybko odłożyła telefon.

Przecież nie mogła powiedzieć, że Kulik groził jej śmiercią za poszukiwanie Gerdy.

#### 4

Korczewo leżało jakieś pięć kilometrów od Grębówka. Kilkanaście domów w ciasnej płytkiej dolinie skupiało się po obu stronach asfaltowej szosy, którą hulały wielkie wywrotki z piaskiem. Niedaleko trwała budowa obwodnicy koszalińskiej i zapotrzebowanie na materiał natychmiast zaowocowało powstaniem nowych wyrobisk, zwirowni i baz transportowych prowizorycznie organizowanych wprost na ubitej ziemi. Krzyckiego irytował hałas dudniącego żelastwa, znacznie bardziej jednak przeszkadzała mu świadomość, że pędząca tuż za nim trzydziestotonowa wywrotka natychmiast zacznie go wyprzedzać, gdy on trochę zwolni. Teraz jechały za nim dwie, więc skręcił w polną drogę i przepuścił je, zatykając uszy. Poszli z Lalą w głąb pola pociętego ścieżkami na szerokość samochodu osobowego.

Pierwszy wiatrak stał pięćdziesiąt metrów od szosy. Śmigło obracało się powoli, leniwie mieląc wilgotne powietrze. Wspinając się do najwyższego punktu, łopaty ginęły w burej mgle albo po prostu chmurze. Andrzej dziwił się, że w ogóle się kręczą. Tu, na dole nie wyczuwał żadnego powiewu. Może one pracują niezależnie od

wiatru? Może ta cała energia odnawialna to jedna wielka ściema, jak na portalach alarmują jej historyczni przeciwnicy? Pewnej nocy nieznany demon wkradł się na pola i postawił te olbrzymy, żeby pod pozorem europejskiej nowoczesności terroryzowały okolicę. Są tak wielkie i majestatyczne, że sama myśl o ich usunięciu wydaje się niestosowna i obrazoburcza, nie mówiąc o trudnościach technicznych. Dominują nad polami, sięgając tak daleko i wysoko, jak nikt inny w tych stronach. Trudno je ignorować. Kiedyś próbował wyszukać w internecie właścicieli farm wiatrowych na Pomorzu, ale próżna robota. W najlepszym razie dogrzebywał się do nic niemówiącej nazwy firmy w rodzaju EnergyProject lub Wind Access, która najczęściej kryła międzynarodowe konsorcjum i za którą nie stały żadne nazwiska ani adresy. Coś przychodziło i stawiało te giganty ludziom pod nosem, nie pytając ich o zgodę. Może to było pożyteczne, ale tutejsi mieszkańcy raczej nic o tej pożyteczności nie wiedzieli. Jeden gospodarz podpisał umowę na dzierżawę pola i zgarniał dyskretnie kasę, latając nią podupadający budżet. Formularz dostarczył jakiś lokalny pośrednik innego pośrednika urzędującego w Warszawie, Berlinie albo Kopenhadze. Albo jeszcze dalej. W tym łańcuszku pełnomocnictw rozpuszczała się nie tylko tożsamość właścicieli, ale i odpowiedzialność.

Na krańcach olbrzymiego pola majączyły czerwone dachy zabudowań gospodarczych i Krzycki, patrząc na nie, przypomniał sobie rozmowę z Heike Liebner. Gdyby ona tu gospodarzyła, nie pozwoliłaby sobie na to, by nie wiedzieć, czyje wiatraki stały na jej polu. Pewnie w ogóle by nie pozwoliła. Dla niej ta ziemia jest wciąż jej ziemią, utraconą arkadią, a czegoś takiego nie paprze się patykowatymi potworami o cyklopowych czerwonych oczach i inteligencji karuzeli. Problem w tym, że była i nie była jej. A czyja?

Nie wiadomo. To znaczy niby wiadomo, ale jakoś tak nieostatecznie i nie całkiem pewnie.

Zadarł głowę. Szare łapska wolno meły szarą mgłę. Szłap, szłap, szłap... Niczyja chmura w niczym powietrzu, rozgarniana ramieniem niczyjego potwora. A pod stopami niczyja ziemia. Powrót do dziczy, do pierwotnego stanu sprzed prawa własności i podziałów na moje i twoje. Andrzej wzdrygnął się. W dziczy panują dzikie prawa, a jednym z najsilniejszych jest prawo krwawej zemsty. O tak. A najlepiej niech krew spływa po łopacie wiatraka. Żeby było wiadomo.

Krzycki doszedł do skrzyżowania polnych dróg i stwierdził, że jedna z nich prowadzi do wsi. Z układu przestrzennego wynikało, że gdzieś od tej strony powinien być cel jego podróży, więc zawrócił do samochodu. Lala szła tuż przy nodze, z łbem nisko nad ziemią. Nie chciała patrzeć w górę. Wiatrak rytmicznie świszczwał, od czasu do czasu wydając zgrzytliwy jęk. Monolog powietrza, przerywany burczeniem ziemi. To nie miało prawa podobać się Lali.

Zofia Ploh czekała na niego na ganku starego domu z białymi ścianami, poprzecinanymi na skos czarnym belkowaniem. Gdzieniegdzie spod bieli wyłaziły plamy żółtej gliny i wiązki słomy, krzyczące o gruntowny remont. Widocznie właścicielka również nie do końca wiedziała, jak to jest z prawem własności na Pomorzu. Siedemdziesiąt dwa lata po wojnie.

– Chciałabym najpierw zamienić z panem kilka słów – powiedziała, gdy się przywitali. Poprowadziła go w głąb domu, który rozkładem pomieszczeń przypominał dom Palków w Grębówku, usadziła w pokoju na fotelu, zabraniając zdejmować buty, i postawiła przed nim nieśmiertelną szklankę z herbatą. Po powrocie z pracy zdążyła się przebrać w prostą podomkę, czarne włosy spięła w koński ogon, a z twarzy zmyła cały makijaż.



Wyglądała naturalnie i zwyczajnie. Andrzej pomyślał, że tak powinna wyglądać kobieta w jej wieku, że tak jest lepiej i ładniej. Powiedział jej to. Uśmiechnęła się nieznacznie, słabiutko, jakby otwarta radość z komplementu była niestosowna. Tak mniej więcej przebiegała jej relacja z radościami.

– Maciek, mój syn, nie lubi, kiedy jestem umalowana. Boi się i nie chce przebywać obok mnie. A jak panu mówiłam, mam tylko jego.

– Gdzie on teraz jest?

– W szopie za stajnią. To jego ulubione miejsce. Zaraz go przyprowadzę, ale najpierw chciałabym pana o czymś uprzedzić. – Pocierała ręce nad stołem, jakby je myła. – On nie jest normalny. Widzi i słyszy bardzo dobrze, na pewno lepiej ode mnie, ale prawie nie mówi. Nauczyłam się rozpoznawać jego bełkot i czasem rozumiem pojedyncze słowa. On o tym wie i do mnie mówi. Przy panu będzie milczał, dopóki go nie poproszę, by się odezwał. Pozwoli więc pan, że będę kimś w rodzaju tłumacza. Inaczej nic pan z niego nie wydobydzie.

– Oczywiście – zgodził się Krzycki. Powiedziała mu wyraźnie to, co już podejrzewał w gminie. Że będzie chciała dokładnie kontrolować to spotkanie. – Czy on umie pisać?

– Jakiś czas chodził do szkoły specjalnej i umie stawiać litery. Znacznie lepiej idzie mu rysowanie.

– Dlaczego przestał chodzić do szkoły?

Ręce zaczęły szybciej trzeć o siebie. Zofia Ploh patrzyła w blat stołu, nie podnosząc wzroku. Mówiła o rzeczach ważnych i bolesnych. I nie do końca dla niej zrozumiałych.

– On... nie zawsze był taki. W wieku przedszkolnym był zupełnie normalnym dzieckiem. Aż do szóstego roku życia mówił, śmiał się, śpiewał... Pewnego wiosennego dnia poszedł się bawić za dom i

zniknął. Szukałam go cały wieczór, myślałam, że oszaleję. Wreszcie znalazłam. Leżał nieprzytomny na środku zaoranego pola, cały umorusany, z policzkiem przyciśniętym do ziemi. Mówię „nieprzytomny”, ale oczy i usta miał otwarte, jakby słuchał tego, co dzieje się pod spodem...

– A co działo się pod spodem?

Zanim odpowiedziała, rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, ułamek spojrzenia niedający przełożyć się na słowa.

– Nic. Tak tylko powiedziałam. Wyglądał, jakby spał z otwartymi oczami.

– I co dalej?

– Przyniosłam go na rękach do domu, obmyłam, położyłam do łóżka i siedziałam przy nim całą noc. Do rana nie zamknął oczu ani ust. Jakby jego wzrok zawiesił się na jakimś obrazie i nie mógł oderwać. Rano chciałam pojechać z nim do przychodni, ale był pierwszy maja i wiedziałam, że żadnego lekarza nie zastanę...

– Chce pani powiedzieć, że to zdarzyło się w nocy z trzydziestego kwietnia na pierwszego maja?

– Tak, a co?

– Nic, proszę mówić dalej.

Krzycki starał się nie dać poznać po sobie, że ta data wywarła na nim niejakie wrażenie. To Hexennacht, noc, kiedy według starych legend wiedźmy lecą na sabat i po drodze mieszają ludziom w głowach.

– Nie obudził się przez cały następny dzień. Najpierw przemawiałam do niego, prosiłam, błagałam, żeby się odezwał. Kiedy nerwy mi puściły, szarpałam nim i krzyczałam, ale też nie pomogło. Został tak, z otwartymi oczami i ustami, jak rzeźba wiejskiego głupka. Przerażonego głupka.

Tym razem łza po jej twarzy pociekła sprawnie i bez przeszkód w postaci pudru i tuszu do rzęs. Andrzejowi przemknęło przez myśl, że bruzdy na twarzy Zofii Ploh zostały wyryte przez łzy i są czymś w rodzaju koryt okresowej rzeki, która raz płynie tędy, raz owędy, zależnie od kaprysu.

– Co powiedzieli lekarze? – spytał po odczekaniu stosownej chwili.

– Nazwali to porażeniem mózgowym wtórnym, szokiem pourazowym, doszukiwali się mikrowylewów w mózgu i mechanicznego uszkodzenia centralnego układu nerwowego. Najciekawsze z diagnoz mówiły o hamartomie podwzgórza lub o chorobie Lhermitte’a-Duclos. W obu tych przypadkach nienowotworowe guzy w okolicach mózgu uciskają na przykład na przysadkę mózgową i hamują rozwój fizyczny bądź psychiczny. Niektóre objawy faktycznie się zgadzały, ale nikt nie umiał mi wyjaśnić, dlaczego zmiana nastąpiła tak gwałtownie, w ciągu jednej nocy. No i co najważniejsze – nie znaleźli tych guzów na zdjęciach. Tomografia, USG, encefalografia – i nic. Inaczej mówiąc, żadna z tych teorii niczego właściwie nie wyjaśniała, nie nadawała się również jako punkt wyjścia do sensownej terapii, ponieważ proces zdrowienia nigdy się nie rozpoczął. Maciuś dwadzieścia pięć lat temu zobaczył coś, na co otworzył szeroko oczy i nigdy już ich nie zamknął. To znaczy teraz zamyka, ale chyba nie całkiem. Rozumie pan, co mam na myśli...

– Od wczoraj słyszę od różnych osób, pani również, że nic nie rozumiem, więc wolę nie przytakiwać.

Obdarzyła go słabym uśmiechem.

– Wydaje mi się, że... on to ciągle widzi. Czasem z tym czymś nawet rozmawia w swoim języku, może to coś go rozumie...

– Domyśla się pani, co to może być?

Pokręciła głową tak energicznie, że jej koński ogon zakotłosał się malowniczo.

– Gdybym wiedziała, może umiałabym mu pomóc. Kiedy lekarze dali za wygraną, zapisałam go do szkoły specjalnej, gdzie chodził przez trzy lata i nauczył się stawiać litery, ale całego zdania nigdy nie zapisał. Potem go stamtąd zabrałam.

– Dlaczego?

– Dzieci mu dokuczały. Przezywały go świrem, co w szkole specjalnej brzmiało dosyć dziwnie. „Maciu świrek” przylgnęło do niego i już się nie odczepiło. Coraz częściej dostawał ataków, więc wzięłam go do domu. I tak siedzimy.

– Zostaje sam, kiedy pani idzie do pracy?

Wzruszyła ramionami.

– Tak. Nigdy nikomu nic złego nie zrobił. Unika ludzi. Siedzi w szopie albo chodzi po polach i gada do siebie. To co, przyprowadzę go?

Andrzej skinął głową. Kobieta podniosła się, jakby miała tonę węgla na plecach, i wolnym krokiem wyszła z pokoju. Dwadzieścia pięć lat. „I tak siedzimy”. Po co? Ile jest prawdziwego życia w takim siedzeniu na przemian w biurze urzędu gminy i w domu z upośledzonym synem? Do czego człowiek w takim trwaniu może jeszcze zmierzać?

Przygotował się na ten widok, a jednak go zatkalo. Zofia Ploh weszła do pokoju, prowadząc za rękę monstrum.

Człowiek miał trochę ponad półtora metra wzrostu i twarz sześciolatniego chłopca. W szeroko otwartych oczach czaił się paniczny strach, a po rozchylnych ustach błąkał się bezradny uśmiech. Z zapartym tchem Andrzej przyglądał się sylwetce, zastanawiając się, co w niej jest takiego potwornego. Głowa. Znacznie mniejsza w stosunku do tułowia niż u dorosłych ludzi. I jeszcze coś z ramionami. Opadały w dół, jakby obojczyki zostały zrobione z gumy i uginały się pod ciężarem zbyt długich rąk. Krzycki bardzo bronił się przed tą konkluzją, ale trzydziestoletni Maciuś Ploh z wyglądu przypominał małpę. Albo kosmitę, który chciał zmienić się w człowieka i szczegóły mu nie wyszły. Nie to było jednak najgorsze. Te oczy. Patrzyły niby na niego, ale tuż obok. Coś podobnego mają we wzroku dzikie zwierzęta. Jakby cię nie zauważały, jakbyś dla nich nie całkiem istniał.

Plohowa posadziła chłopca przy stole. Sztywny jak manekin Maciuś gapił się w punkt nad głową Krzyckiego i wodził oczami z prawa na lewo i z powrotem. Andrzej poczuł się, jakby miał tam plastikową aureolę z kolorowymi lampkami, zapalającymi się i gasnącymi na przemian ku uciechu gawiedzi. Odruchowo przetarł włosy dłonią. Chłopiec nie zareagował. Kobieta usiadła pomiędzy nimi jak arbiter.

– Cześć – powiedział łagodnie Andrzej. – Umiesz powiedzieć „cześć”?

Zero reakcji. Oczy Maćka nadal śledziły lampki nad jego głową.

– Jak się nazywasz? Ja jestem Andrzej, a ty?

Dalej nic.

– Uprzedzałam, że nie będzie łatwo – szepnęła Plohowa półgłosem, ale nie zrobiła niczego, by mu ułatwić zadanie. Krzycki był zdany na siebie.

Przypomniął sobie opowieść swojej terapeutki Wandy, która przez pewien czas pracowała ze schizofrenikami na oddziale zaburzeń osobowości i nerwic. Kiedy nie mogła nawiązać żadnego kontaktu z pacjentem, kładła po prostu otwartą dłoń na stole i czekała. Twierdziła, że w tym gościu jest spory ładunek interakcji, ponieważ kojarzy się zarówno z dawaniem, jak i przyjmowaniem podarunku. Prędzej czy później każdy pacjent musiał na to zareagować. Krzycki zrobił to samo. Otworzył dłoń i położył na stole.

Przez trzy minuty nie działo się nic. Maciek patrzył w nieokreślony horyzont i rozciągał wargi w bezradnym uśmiechu. Andrzej wbił wzrok w jego twarz. Płohowa patrzyła to na jednego, to na drugiego. Napięcie rosło i kiedy osiągnęło nieznośny dla Andrzeja poziom, uznał, że musi coś zrobić. Wyciągnął drugą dłoń i położył obok tamtej. Teraz przypominał biedaka po prośbie, tłumaczącego bankierowi, że musi dostać tę pożyczkę. Albo Chrystusa z Ostatniej Wieczery, który niby naucza, ale tak naprawdę rozkłada ręce w gościu mówiącym, że nic więcej już zrobić się nie da. Miał wrażenie, że słyszy jęk napiętego powietrza. Tracił kontrolę nad swoimi nerwami, jeszcze chwila i eksploduje od środka. Ostatni raz czuł się tak pięć lat temu, kiedy Iza mierzyła mu z pistoletu w twarz.

I wtedy Maciuś wysunął obie dłonie przed siebie i włożył je w dłonie Krzyckiego. Impuls omal nie zwałił go z krzesła. Całe jego ciało rozedrgało się w brzęczącą kulę uwolnionych atomów. Mózg rozbłysnął białym światłem. Andrzej zacisnął powieki i natychmiast je otworzył. Wbrew oczekiwaniom nie zobaczył długiego tunelu z jasnym punktem na końcu, tylko łagodną twarz Maćka Płoha, który nagle stał się człowiekiem i patrzył na niego zwyczajnym ludzkim wzrokiem. Widział go. I się uśmiechał. Andrzej spróbował odpowiedzieć tym samym, ale jego porażona impulsem skóra na

twarży wykonała jedynie niekontrolowany grymas. Pewnie sam teraz wyglądał jak monstrum.

– Co to było? – spytał głośno.

– Nie mam pojęcia, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam – odparła szeptem pani Zofia. – Dobrze się pan czuje?

– Nie mam pojęcia.

Nadal zaciskał palce na dłoniach Maciusia, miękkich i ciepłych. Napięcie opadało. Muzyka rozedrganego powietrza cichła. Trzydziestojednoletni chłopiec patrzył w niego z uśmiechem, jakby nagle w zupełnej pustce i ciemności zobaczył pierwszego człowieka. Andrzejowi wracała równowaga. Seans się udał, cokolwiek to znaczyło.

– Pomożesz mi? – spytał, patrząc w rozświetlone rozumne oczy.

Maciuś skinął głową. Wstał i nie zwracając uwagi na matkę, pokazał mu ręką, by szedł za nim. Kobieta natychmiast poderwała się z krzesła, ale syn stanowczym gestem nakazał jej pozostać w miejscu. Andrzej podniósł się i ruszył do wyjścia. Po drodze dotknął jej ramienia.

– Niech mu pani raz pozwoli coś powiedzieć.

Nie poruszyła się. Może zadziałał element zaskoczenia, a może po prostu uznała, że nie będzie już więcej udawać i zasłaniać czegoś, co i tak kiedyś wyjdzie na jaw. Mogło to mieć również coś wspólnego z satysfakcją matki. Jej syn nareszcie mógł powiedzieć coś ważnego, rozstrzygającego, czego ona nie umiała przez tyle lat.

## 6

Maciek zaprowadził go do szopy, usadził na rozkładanym ogrodowym krzeselku, które pamiętało pewnie jeszcze czasy, kiedy

chłopiec mówił i śpiewał, po czym z zakurzonej teczki wyciągnął plik kartek. Były na nich rysunki. Układał je w jakiejś tajemniczej kolejności na rozłożonym na podłodze kocu. Krzycki ukradkiem rozglądał się po szopie. Na haku przy wejściu wisiała żółta kurtka sztormowa, pod nią stały wielkie czarne gumowce. Oprócz tego w szopie znajdowało się rozkładane łóżko, półka z ubraniami i grzejnik olejowy. Z belki dachowej zwisała lampa w wodoszczelnej oprawie i z drucianą siatką ochronną. Dorosły sześciolatek miał tu swój drugi dom.

Ułożone na kocu kartki tworzyły rodzaj komiksu, niektóre z nich Maciek nawet podpisał. Na pierwszej grupa ludzi otaczała leżącą w środku postać w sukience, na końcach żółtych warkoczy widniały czerwone kokardy. Na drugim ta sama dziewczyna miała skrzydła i unosiła się ponad dachami domów, zupełnie jak w obrazach Marca Chagalla. W powietrzu towarzyszyła jej inna kobieta, również ze skrzydłami, w szerokiej sukience i z lokami na głowie. Trzeci obrazek przedstawiał coś znacznie mniej dosłownego: na końcu długiej trąbki znajdowało się ludzkie ucho, do którego wpełzały podłużne robaki z czułkami. Ta kartka należała do szczególnie ważnych, ponieważ Maciek podpisał ją czterema nieprawdopodobnie koślawymi literami, układającymi się w słowo: GŁOS. Na następnym obrazku artysta prymitywista wrócił do malarstwa figuratywnego i przedstawił budowę wiatraka. Chudy jak patyczek dźwig podnosił rurę, druga taka sama rura tkwiła w ziemi, a obok niej leżało śmigło z trzema płatami. Autor skupiał się na przedmiotach, pominał w ogóle ludzi na placu budowy. Kolejny rysunek przechodził do sedna sprawy. Na wiatraku stała olbrzymia postać z warkoczami, a w przytwierdzonej do jednej z jego płatów, znacznie mniejszej figurce nietrudno było rozpoznać wójta Kulika. Kulfoniasty podpis głosił: BIAŁA PANI. Czytelność tego obrazka



zamacona została przez następny, niemal identyczny, z tą różnicą, że wielką postać na szczycie wiatraka, tym razem bez warkoczy i sukienki, za to ze skrzydłami, zakreskowano na czarno. Wójta i całą resztę zręczny rysownik powtórzył z najdrobniejszymi szczegółami. Podpis brzmiał: CZARNY ANIOŁ.

– Kto to jest? – spytał Andrzej, pokazując postać z czarnymi skrzydłami. Maciuś energicznie pokręcił głową, co mogło oznaczać zarówno „nie wiem”, jak i „nie mogę powiedzieć”, i położył palec na napisie.

– Widziałeś go?

Jego uśmiech nieco przygasł, podmyty kałużą smutku.

– Gdzie on teraz jest? – dopytywał Andrzej. Mówił łagodnie i cicho, żeby nie spłoszyć niebywalej okazji.

Maciuś pokręcił głową i wy dobył z siebie nieartykułowany dźwięk. Komunikacja rozpaczliwie się rwała. Może jednak należało pozwolić Płohowej tutaj przyjść?

– Boisz się go?

Chłopiec (Andrzej nie umiał o nim myśleć inaczej niż jak o chłopcu) zaczął się kiwać w przód i w tył. Zniecierpliwienie zabierało go stąd w jakieś nieludzkie, pozasłowne rejony. Jeszcze trochę i w ogóle odleci. Obdarzony przez niego impulsywnym zaufaniem pan inspektor musiał zrobić coś nie tak. Gorączkowo poszukując punktu zaczepienia, Krzycki sięgnął po następne rysunki. Schemat zmodyfikowanej kopii się powtarzał. Na pierwszym płonął wiatrak z Białą Panią na szczycie, a na następnym ten sam płonący wiatrak miał na gondoli dwie postacie: przechylonego człowieczka z rozrzuconymi rękami, jakby pośliznął się na skórce od banana, oraz czarną postać z olbrzymimi skrzydłami. Oba były bez podpisów.

– Czarny Anioł? – spytał, kładąc palce na postaci.

Maciuś rozciągnął usta w koszmarnym uśmiechu, po czym wybełkotał długie i skomplikowane słowo. Być może stanowiło pełne zdanie, w którym chłopiec precyzyjnie informował go o szczegółach zaszłych wydarzeń, niestety bez tłumacza. Andrzej położył palec na postaci z czarnymi skrzydłami.

– Zaprowadzisz mnie do niego?

Maciuś pokręcił głową.

– Zieziazie – wyjaśnił.

– Co?

– Zie!-zia!-zie!-zia! – powtórzył powoli i dobitnie, co na niewiele się zdało. Płohowa okazała się jednak niezbędna.

– Chodź, zapytamy mamy.

Chłopiec zerwał się niezdarnie i w pośpiechu zaczął chować rysunki do teczki, mamrocząc pod nosem jakieś kosmiczne zaklęcia. Układał obrazki w należyтым porządku, a na wierzch położył ostatni, niedokończony, na którym Andrzej zdołał jedynie dostrzec krzywy wiatrak, pochylony jak dojrzały słonecznik na wietrze, i wystające spod ziemi dwie długie ręce z rozcapierzonymi palcami.

– Co to jest? – spytał Krzycki, pokazując na kartkę. W tym momencie drzwi od szopy uchyliły się i do środka zajrzała pani Płohowa.

– Wszystko w porządku? – spytała, lustrując pomieszczenie. Maciuś nie zareagował na jej wejście, odwrócił się i wepchnął teczkę z rysunkami do szuflady stolika.

– Wymieniamy uwagi za pomocą pisma obrazkowego. Maciuś pokazywał mi...

W tym momencie chłopiec wstał i odtrącając matkę, ruszył do wieszaka z żółtą kurtką. Porwał ją, wcisnął nogi w gumowce i

wybiegł z szopy. Andrzej zawahał się, czy wybiec za nim, ale pani Zofia powstrzymała go.

– Niech go pan zostawi. Już nic więcej nie powie. Musi teraz ochłonać. Pójdzie w pole i wróci wieczorem.

Chcąc nie chcąc, Andrzej musiał ulec, choć nie był pewien, czy chłopiec cokolwiek mu powiedział. Podszedł do stolika i wyjął z szuflady teczkę z rysunkami.

– Widziała to pani? – spytał. Płohowa wzruszyła ramionami.

– Tak. On nie umie mówić, więc rysuje. Po swojemu, ze skrzydłami i potworami, jak to dziecko.

Usilnie starała się zbagatelizować znaczenie tych rysunków. Andrzej pokazał ten najnowszy, niedokończony.

– A to? Co tu usłyszał?

– Nie wiem – odparła bez wahania. – Miałam nadzieję, że panu powie. Potoście się tu zamknęli, prawda?

Nie skomentował jej uszczypliwej uwagi. Kobieta nadal coś rozgrywała, trochę chciała mu pomóc, a trochę go zwieść. Lata praktyki nauczyły ją mistyfikacji i przemilczeń w kontaktach z ludźmi, ale mistrzynią kamuflażu nie była.

– Wie pani, kim są Biała Dama i Czarny Anioł?

Blade światło, rzucane przez lampę, wyostrzało rysy i ukrywało subtelności mimiki. Przez kwadratowe okienko wpadało niewiele popołudniowej świetlnej mazi, szarej od deszczu i niskich chmur. W krzyżówce żółtych i burych promieni twarz Płohowej miała barwę popiołu, co w połączeniu z ostrym nosem i gładko zaczesanymi do tyłu włosami upodabniało ją do drapieżnego ptaka z egipskiej płaskorzeźby. Patrzyła w Andrzeja nieruchomo, bez jednego drgnienia, ale brak reakcji też jest reakcją.

– Biała Dama albo Biała Pani. Też go pytałam. Opowiadał mi wtedy jakąś bajkę o porwanej królownie i czarownicy, która ją

uratowała z niewoli i zabrała do swojej kryjówki pod ziemią. Proszę mnie dobrze zrozumieć, kiedy mówię „opowiadał”. Wyciągałam z niego pojedyncze słowa, reszta to moje domysły.

– Pytała go pani, co ta bajka ma wspólnego z morderstwem na wiatraku? Z rysunków wynika, że całkiem sporo.

– Być może. – Jej słowa padały gdzieś mimo Krzyckiego, jakby mówiła nie do niego, tylko do jakiegoś niewidzialnego adresata stojącego obok. Komunikacja zaczynała się inaczej niż w przypadku Maciusia, ale zgrzyt było słyszeć całkiem wyraźnie. Andrzej musiał coś z tym zrobić.

– Gdzie jest jego ojciec?

Wzruszyła ramionami. Ten gest należał do jej żelaznego repertuaru, ćwiczyła go latami w obronie przed światem. Kryła się w nim ze swoją prawdą, jak jej syn w mrocznej szopie. Każdy z nas ma taką szopę, wzniesioną z przemilczeń i kłamstw.

– Nie ma ojca.

– Ale kiedyś był?

– Tak, kiedyś był, ale już go nie ma.

Zawahał się, czy ulec standardowej międzyludzkiej litości, czy wykonać miłosierny sztych prosto w serce. Wybrał to drugie.

– Kulik?

Nie odpowiedziała. Wyjęła z jego rąk teczkę z rysunkami, wepchnęła ją z powrotem do szuflady i czekała, aż wyjdzie.

– Oczywiście, nie wie pani, gdzie jest teraz Artur Kała?

Oczywiście nie wiedziała.

Kiedy wyjeżdżał przez bramę, w lusterku widział ją stojącą na środku podwórza i patrzącą w przestrzeń, w nigdzie. Maciuś ją tego nauczył.

Ciężkie chmury, które z konsekwencją najeźdźczej armii parły od zachodu przez pomorskie niebo, wyprodukowały przedwczesny zmierzch. Zbliżała się dopiero ósma wieczór, a okolica pogrążała się w apokaliptycznym mroku, jakby słońce zachodziło raz na zawsze i ostatecznie. Trudno było uwierzyć, że to koniec lipca i środek wakacji. Kilka kilometrów stąd tysiące ludzi spędzało urlopowy wieczór w dyskotekach, na dancingach i z kiełbaskami na kiju przy nakrytych namiotami ogniskach, a tu, na bocznych drogach powiatu sławieńskiego, panowały pustka i ciemność. Nawet samochody niespecjalnie garnęły się do używania komfortowo opustoszałych szos. Krzycki był sam, jak lubił najbardziej.

Patrząc w matowy, jakby z żelaza wykuty krajobraz, układał w myślach wiatrakowe puzzle. Miał już wszystkie potrzebne kartoniki, poza tym ostatnim, centralnym, z nazwiskiem mordercy, ale ten element zgodnie z logiką układanki wstawi na samym końcu. Tasował je i przekładał, segregował i odwracał, żeby znaleźć właściwy kształt, jednak w każdym z wyłaniających się obrazków krył się jakiś defekt. Brakowało mocnego spoiwa, czegoś, co by te historie łączyło. Po chwili doszedł do wniosku, że puzzle nie są jednolite, pochodzą z różnych historii, dlatego nie da się ich wszystkich dopasować do siebie. Te, które należały do Heike Liebner, nie chciały wchodzić w sensowne relacje z trupem Kulika na wiatraku, a ten z kolei nijak się miał do interesów Kały, chyba że na zasadzie szkodliwego przeciwieństwa. Co mi nie pomaga, to mnie niszczy. Jeżeli Kulik był ojcem Maciusia i dawnym kochankiem Płohowej, to dlaczego tyle lat zwlekała z zemstą? I

jakim cudem wykonała tę akrobatyczną robotę na wiatraku? Tym bardziej nie mógł tego zrobić jej upośledzony syn, który wprawdzie całkiem udatnie rysował, ale na tym jego sprawności się kończyły. Mogliby to zrobić dwaj pomocnicy Heike Liebner, ale po pierwsze, hotel w Kręgu dawał im alibi, a po drugie, nie istniał żaden sensowny motyw zbrodni. Ściślej rzecz biorąc, nie było terytorium wspólnego dla puzzli dotyczących starej Niemki, wójta Kulika i wiatraka. Kulik, wiatrak, morderca. Czarny Anioł. Jeden z kostiumów anioła zemsty.

Ciągle to samo. Do znudzenia w jego pracy powtarzały się schematy ludzkich działań opartych na przemocy, gwałcie, zadawaniu innym bólu dla własnej przyjemności. Czy mu się to podobało czy nie, role w tej nieskończonej tragedii były rozdzielone jednoznacznie. Po stronie sprawców mężczyźni – mężowie, ojcowie, urzędnicy na stanowiskach, nauczyciele i mistrzowie, szefowie i dyrektorzy, krótko mówiąc, ludzie władzy. Po drugiej kobiety – żony, córki, podwładne, sekretarki, uczennice, dzieci sąsiadów, czyli ofiary. W jakiś diabelski zupełnie sposób w tę odrażającą relację wplątywała się inna, związana z mową i milczeniem. Ci pierwsi gadają bez przerwy, mają tyle do powiedzenia, że rozmowa z nimi zamienia się w słuchanie perory, a ich pewność siebie mogłaby być rozsyłana po świecie rurociągami, jak rosyjski gaz. Te drugie milczą i się boją. Zmuszone do publicznej konfrontacji spuszczają głowy, wycofują się i zamykają w sobie jak skorupiaki, czasem na resztę życia. Mój ból jest moim domem. I na to wszystko przychodzi policjant, który ma zaprowadzać porządek i wymierzać sprawiedliwość. Pozornie neutralny, z cieniem winowajcy na twarzy i mrokiem gorliwego sługi popędu w zakamarkach duszy. On, mężczyzna i sprawca. Na przykład Andrzej Krzycki. Ile on sam ma na sumieniu?

Usilnie starał się nie myśleć o Lucku. Został mu jeszcze dzień na to, by dostarczyć dowodów porywaczom. Odganiał od siebie wątpliwości, czy dobrze robi, podejmując grę. Szukanie w pojedynkę po całej północnej Polsce kogoś, kto przez lata pracował tu jako oficer policji i znał teren lepiej od niego, byłoby równoznaczne z wydaniem wyroku na Lucka. Krzycki doskonale o tym wiedział. Znał Kałę, tę jego chłopską zawziętość i spryt kieszonkowca wyćwiczonego w kiwaniu ludzi. Lepiej udawać, że wykonuje się jego polecenia, nieznacznie się do niego zbliżając, bezszelestnie i cierpliwie, bez gwałtownych ruchów. Andrzej miał nadzieję, że zdąży. Musiał zdążyć. Lucek, idę, poczekaj jeszcze trochę. Wiesz, że idę, prawda?

Szedł sam. Nie mógł tu liczyć na nikogo. Przeciwnie, wolał trzymać się z daleka od tych, którzy teoretycznie powinni być jego wsparciem. Gdyby było inaczej, Paweł Palka by żył, a Lucek Bałyś wróciłby spokojnie do Krakowa i pozwolił sobie wyjaśnić, że w kwestii wierności swojej żony jest skończonym idiotą. Owszem, Hadczuk obiecał mu pomoc i jutro rano Krzycki będzie mógł się przekonać, ile ta pomoc jest warta, nie liczył jednak na fajerwerki. Z pogubionymi w sprzecznych lojalnościach policjantami był ten problem, że wielu rzeczy nie wiedzieli, ponieważ nie chcieli wiedzieć, w myśl zasady, że wiedza jest niebezpieczna. On zawsze chciał wiedzieć. Niebezpieczeństwo jest fajne. A samotne niebezpieczeństwo to już w ogóle.

Z Korczewa postanowił wracać przez Sławno. Wzrok w tym pustawym miasteczku przyciągały wyłącznie poniemieckie budowle: stara baszta, ratusz, budynek poczty, nawet kościoły. Wjeżdżał od wschodu ulicą 1. Pułku Ułanów, by objechać centrum i od południa dostać się na Rynek. Których to ułanów wezwano tu na patronów, bo chyba nie Krechowieckich?

Dojechał do okazałego budynku urzędu gminy i skręcił w prawo w ulicę Chopina, po czym zatrzymał się na niewielkim placu służącym za parking i wysiadł. Jakiś przechodzień, najwyraźniej zawstydzony zakłócaniem idealnej pustki ulicy, przemykał chyłkiem pod ścianami kamienic. Nad dachami pędziły bure chmury, poganiane wiatrem od morza i skwirami krążących mew. Andrzej ruszył w stronę rynku, mijając trzy osoby na rogu. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy na czarno, w obszernych spodniach i pozornie niedbałych pozach, rozmawiali od niechcienia, uważnie lustrując okolicę. Nie trzeba być inspektorem, by zgadnąć, że tak wyglądają policjanci na służbie udający cywilów. Szybko zrozumiał, co tu robią. Po drugiej stronie ulicy, w bramie, stała grupka ludzi. Trzymali w rękach zapalone lampki nagrobne i biało-czerwone chorągiewki, starszy pan rozwijał przed sobą wielką flagę z orłem w koronie, a młoda kobieta odczytywała coś z kartki przez megafon.

– Co oni robią? – Krzycki zagadnął ubraną na czarno trójkę.

– Pajacują – odparł z kwaśnym uśmiechem młodzian o nalanych różowych policzkach.

– Ale dlaczego akurat tutaj?

– Bo dzisiaj pajacują w sprawie sądów – wyjaśnił drugi, szczupły brunet. Dziewczyna z końskim ogonem pod służbową bejsbolówką udawała, że go nie zauważa.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że ludzie z lampkami stoją pod budynkiem Sądu Rejonowego i protestują w obronie niezawisłości tegoż sądu. Jakies piętnaście osób, na sławieńskie warunki niemal tłum. Kobieta z megafonem przestała czytać i podała mikrofon siwemu jegomościowi, który zaczął mówić o tym, jak się zapisał do Solidarności w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, żeby walczyć o wolną, demokratyczną Polskę, i że teraz chcą mu tę



Polskę odebrać. Kiedy skończył, pozostali nagrodzili go niemrawymi oklaskami. Grzechotały po pustej ulicy jak paciorki z rozerwanego bursztynowego naszyjnika.

– Głupie chuje – skwitował pucołowaty policjant, ignorując fakt, że w grupie protestujących dominowały kobiety. W pierwszym odruchu Krzycki chciał palnąć go w ucho, ale się powstrzymał. Zamiast tego postanowił się zabawić.

– Wiecie co? Jako głupi chuj też mam ochotę popajacować – powiedział, przechodząc na drugą stronę ulicy. Kobieta z megafonem akurat włączyła Kocham wolność Chłopców z Placu Broni i cała grupa zaczęła śpiewać refren: „Wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem”. Gdy Andrzej znalazł się między nimi, tęgawa kobieta w niebieskiej wiatrówce wręczyła mu zapalony znicz, inna kartkę z napisem 3 × WETO. Trójka policjantów przeszywała go ponurymi spojrzeniami, więc dla przeciwwagi zaczął śpiewać na cały głos: „Wolność kocham i rozumiem...”. Pucłowaty pokazał mu ostentacyjnego faka. Kiedy piosenka się skończyła, Krzycki zaczął na całe gardło skandować: „Po-li-cjanci! Chodź-cie z nami!”, co reszta natychmiast podchwyciła. Przejeżdżający samochód wsparł ich rytmicznym klaksonem. W odpowiedzi zobaczył trzy zgodne faki, po czym cała trójka ostentacyjnie odwróciła się do nich plecami. Chłopak w okularach, który stał obok niego i zamiast skandować, szeptał, uśmiechnął się bezradnie i wzruszył ramionami. Krzycki w odpowiedzi wyszczerzył zęby i poczuł się rażniej. Robiło się fajnie.

Młody mężczyzna w jasnej marynarce zaczął czytać przez megafon preambułę konstytucji, z nieba spadły pojedyncze krople kolejnego już dzisiaj deszczu. Zrobiło się całkiem ciemno. W górze wrzasnęła mewa. Krzycki wsadził ręce do kieszeni skórzanej kurtki i razem z innymi krzyczał teraz: „Kon-sty-tucja! Kon-sty-tucja!”. Z

przejeżdżającego samochodu ktoś rzucił bełkotliwą obelgę. Protestujący pomachali mu przyjaźnie. Jak widać, zakłócenia komunikacyjne nie dotyczyły wyłącznie jego rozmów z Płohami i były problemem ogólnopolskim. Robiło się całkiem fajnie.

## XI

### Zieziacie

#### I

– Wczoraj czekaliśmy na pana do wieczora! – zakrzyknęła panna Patrycja, zrywając się z krzesła, które wyjechało spod niej i z hukiem uderzyło w metalową komodę. Dziewczyna natychmiast jednak znieruchomiła z dłonią przy ustach, widząc palec inspektora Andrzeja Krzyckiego nakazujący ciszę. – Przepraszam... – dodała i omal nie runęła na podłogę, próbując usiąść na krześle. Andrzej podbiegł, przysunął jej fotelik i delikatnie ujmując pod łokcie, usadził dziewczynę z miną przewodniczącego jury, który honoruje właśnie wybraną powiatową miss piękności. Spojrzała na niego z maślaną wdzięcznością.

– Wszystko w swoim czasie – szepnął jej na ucho Andrzej, jakby obiecywał tydzień we dwoje na Karaibach. – Na razie nikomu ani słowa.

Szeptął gorącym oddechem niby do ucha, ale tak naprawdę w szyć. To zawsze działało na młode policjantki. Za sam ten gorący oddech mogliby go oskarżyć na #metoo o molestowanie seksualne. Dla dobra sprawy był skłonny tyle zaryzykować. Złożyła ręce na podołku i z drzeniem czekała na polecenia.

– Jest tu jakieś tajne wejście na górę? – zamruczał chrapliwym basem.

– Tajne? – spytała szeptem. – Nie... ale są schody ewakuacyjne. Tam, na końcu korytarza.

– O to pytam, słońce – odparł śmiertelnie poważnie i wziął ją za rękę. – Zaprowadź mnie do nich.

Uniosła się sztywna i wyprowadziła go z dyżurki. Parter budynku komendy był pusty i niezauważeni przez nikogo dotarli do drzwi z zieloną tabliczką i uciekającym przed czymś małym przerażonym człowieczkiem.

– Komendant prosił, żeby pana najpierw przyprowadzić do niego... – wydekłamowała z niepewną miną Patrycja, gdy Krzycki uchylił drzwi. Miała służbowy dylemat, czyich poleceń słuchać.

– Właśnie o niego tu głównie chodzi, skarbie – powiedział konfidencjonalnie. – Gdyby na ciebie krzyczał, powiedz, że mnie w ogóle nie zauważyłaś. Wiesz, skłamałem. Musiałem dostać się na klatkę schodową, gdy wyszłaś do toalety.

Robienie przez starszego faceta młodej kobiecie uwag o wyjściu do toalety powinno podpadać pod molestowanie, pomyślał, wspinając się schodami na drugie piętro. Tego nie da się powiedzieć neutralnie. Tak jak nie da się neutralnie położyć przy nakryciu stołowym papieru toaletowego w charakterze serwetki. Wszystko coś znaczy.

A co znaczy „zieziazie”?

Komisarz Ryszard Hadczuk siedział za biurkiem i z uwagą pochylał się nad papierami. Na widok Krzyckiego zbladł, po czym poderwał się jak żywe wcielenie regulaminu o podległości służbowej.

– Mam wszystko, tak jak chciałeś. O, tu – podsunął mu plik zdjęć – są materiały z miejsca zbrodni na wiatraku. I zbliżenia. Widać nawet sposób wiązania liny. Widzisz? Uła jest dokładna.

Krzycki usiadł na krześle i zaczął przekładać fotografie. Na pokiereszowanej i wykrzywionej twarzy trupa Kulika szczególnie mocno odznaczały się wybałuszone oczy. Jakby nie mógł uwierzyć,

co mu robią. Albo kto mu robi. Prawdopodobnie wytrzeszcz spowodowały nagłe zmiany ciśnienia krwi podczas obrotu śmigła, a jednak efekt był bardziej psychiczny niż fizyczny. Wójt umierał w przerażeniu i zdziwieniu. Morderca go zaskoczył. Patrząc w te przerażone źrenice, Krzycki jeszcze raz utwierdzał się w przekonaniu, że nie chodziło tu o zwykłe porachunki gangsterskie. O ile śmierć z rąk gangsterów można nazwać zwykłą. Nie. Kulik wiedział, za co umiera, nie rozumiał tylko, jak w ogóle mogło do tego dojść. Nie przypuszczał, że rzeczywistość wystawi mu taki rachunek.

– Kim jest Ula?

– Urszula Miłęcka to nasza techniczka kryminalistyczna. Jest najlepsza – podkreślił Hadczuk, jakby to miało uspokoić Krzyckiego. Ten przejrzał zdjęcia do końca i odłożył na blat, biorąc do ręki protokół z sekcji zwłok. Potwierdzał śmierć przez uduszenie krwią napływającą do układu oddechowego. Otarcia na skórze pochodziły od uderzeń pięścią. Ten ktoś musiał nie tylko być bardzo sprawny fizycznie, ale i wyszkolony w walce wręcz. Pasowałby żołnierz jednostek specjalnych albo policjant z grupy antyterrorystycznej. A może jeden z osiłków Kały? Kulik utopił się we własnej krwi, to pasowałoby do pomysłów szalonego Artura. Jego prowokacja sięgałaby więc głębiej, niż Andrzej przypuszczał. Postanowił zachować tę myśl w pamięci podręcznej.

Odłożył protokół i wrócił do oglądania zdjęć powieszzonego Kulika. Tego, którego szukał, nie było.

– Kulika przywiązano linami. Rozumiem, że macie gdzieś próbki materiału? – spytał Hadczuka, a ten natychmiast się spłoszył i by zatrzeć niedobre wrażenie, zaczął szybko wertować kartki na biurku.

– Gdzieś tu muszą być... – mamrotał niby do siebie, ale mistyfikacja nie bardzo mu wychodziła. Papiery nie chciały mu pomóc i nie wypluły z siebie tego właściwego.

– Może spytajmy najlepszą techniczkę? – zasugerował Andrzej.

– Nie ma jej, jest na urlopie. Wiesz, są wakacje. Spróbuję do niej zadzwonić... – Hadczuk odłożył dokumenty i dla odmiany zaczął grzebać w kieszeni za komórką. Andrzej powstrzymał go ruchem ręki.

– Nieważne. Sam znajdę. Jest coś jeszcze, tylko nie wiem... czy nasza umowa o współpracy jest aktualna.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął Hadczuk i natychmiast zatkał dłonią usta. Jego skwapliwość w wypełnianiu poleceń miała w sobie coś nieprzyjemnie służalczego i wbrew intencjom budziła raczej niechęć niż zaufanie. Z drugiej strony – był ojcem ratującym córkę.

– To świetnie, Ryśku. Lucek wspominał mi kiedyś o dwóch innych śledczych, którzy oprócz Pawła Palki tu z tobą pracowali. Istnieją jeszcze?

Nie zamierzał robić wielkich aluzji do śmierci ich kolegi, ale Hadczuk zaczerwienił się i z przejęciem zaczął zapewniać, że oczywiście. Napięcie związane z grą na dwa fronty najwidoczniej odebrało mu poczucie humoru.

– Przeprowadź ich – zarządził i zabrał się do pozostałych dokumentów. Magdalena Saterniak opisywała człowieka w żółtej kurtce sztormowej i gumowcach. Nie ulegało wątpliwości, że widziała Maćka Ploha, z jego rozkołysanym krokiem, przygarbioną sylwetką i opadającymi jak u orangutana ramionami. Z jej słów wynikało, że miał jeszcze na głowie kapelusz. W szczelnym podgumowanym stroju wyglądał jak rybak albo zwariowany turysta, zwiedzający ruiny Czarnobyli. Najwyraźniej upał stanowił dla niego mniejszy problem niż to coś, co zagrażałoby mu, gdyby

nie włożył dziwnego stroju. Przed czym się chronił? Czego się bał? Zieziaków?

Dwaj wprowadzeni przez Hadczuka policjanci byli młodzi, szczupli i wysportowani, a ich sympatyczne twarze spowijała aura niepewności i wstydu. Wyglądali jak przyłapani na migdaleniu się w szkolnej toalecie. Mogliby grać w policyjnej wersji *Tajemnicy Brokeback Mountain*. Jeden nazywał się Benedykt Mrówczyński, a drugi Łukasz Latawiec. Imiona pasowały do romansu jak ulał.

– Co jest, panowie? – spytał Krzycki. – Wyluzujcie. Mnie to nie przeszkadza. Nikomu nie powiem.

– Naprawdę? – spytali obaj równocześnie.

– Oczywiście. Dzisiaj pary gejowskie są trendy.

Zbaranieli.

– Przepraszam, o czym pan inspektor mówi? – spytał blondyn o imieniu Benedykt.

– Mówię o tym, że musicie być fajnymi partnerami i dlatego mam dla was zadanie. Pójdziecie pod trzy adresy – wyciągnął z plecaka kopie, które zrobiła mu w gminie Zofia Płohowa – i wypytacie o te dziewczyny. Gdzie są, co robią, z kim mieszkają i czy mają alibi na dzień śmierci Kulika. Najlepiej by było, gdybyście pogadali z nimi osobiście, ale podejrzewam, że to będzie trudne.

– Kim one są? – spytał ten wyższy, Łukasz, ponieważ Benedykt ciągle nie mógł sobie poradzić z poprzednią uwagą Krzyckiego. – Czy one... są podejrzane?

– W pewnym sensie. Miały z Kulikiem na pieńku, więc u śledczego zapala się lampka z napisem „motyw”.

– Skąd wzięłeś te kopie? – spytał Hadczuk, wyjmując kartki z rąk Mrówczyńskiego. – Z gminy?

– Nie, z sobotniego dodatku do „Wyborczej”. Dziennikarze już rozwiązyali zagadkę.

– Ale dlaczego nikt nam tego nie pokazał? – denerwował się komisarz, ignorując złośliwość Krzyckiego. – Kim są te dziewczyny?

– Wszystkie brały udział w akcji Zielona Gmina i każdą z nich Kulik zatrudnił w gminie na parę miesięcy, a następnie zwolnił. Żadna z nich nie pojawiła się tam później. Potraktujcie to jako pierwszą lekcję od Andrzeja Krzyckiego: z kobietami trzeba umieć rozmawiać, nawet jak nie czuje się do nich mięty.

Obrzucił przy tym znaczącym spojrzeniem obu młodzików, którzy zaczerwienili się i jak na komendę otwarli usta, by coś sprostować. Powstrzymał ich dłonią.

– Później. Jedźcie. Musimy to mieć z głowy. Zanim sformułujemy oskarżenie, trzeba wykluczyć wszystkie inne ewentualności. Lekcja numer dwa. I pamiętajcie – uniósł palec do góry – wypytywać o wszystko tak długo, aż was wyrzucą z domu.

Nakazał im zwracać uwagę na takie rzeczy jak wiek i sprawność fizyczna ojców i mężów oraz ogólna atmosfera w domach. Uczulił ich na skłonność ludzką do unikania trudnych tematów i poradził, by w ostateczności posługiwali się sugestią, że policja wie, co się działo na Zielonych Gminach, i dysponuje zeznaniami innych uczestniczek, więc nie ma sensu ukrywać faktów. Mrówczyński z Latawcem skwapliwie kiwali głowami. Kiedy Andrzej skończył i odesłał ich do roboty, ruszyli do drzwi, a potem zawrócili.

– Panie inspektorze – zaczął Latawiec – chcieliśmy tylko powiedzieć... Nie jesteśmy parą.

– Nie? To czego się boicie?

– Pana – rzucił ten mniejszy. – Bo myśmy... Lucek Bałyś był fajny facet i...

– Jest, chłopcze – przerwał mu Krzycki. – Lucek JEST fajny facet i czeka w jakiejś norze na naszą pomoc. Jak chcecie coś dla niego zrobić, zabierajcie się do roboty. Fundamentem pracy w policji jest



zaufanie, a nie glock w kieszeni czy pała u boku. Jak raz dałeś dupy, to może i nie jesteś jeszcze gejem, ale musisz potem długo odpracowywać. To lekcja numer trzy. No już, lećcie.

Skinęli głowami i wybiegli z gabinetu. Krzycki z Hadczukiem wymienili rozbawione spojrzenia.

– Ustawieś ich. Teraz będą chodzić za tobą i prosić o następne zadania.

– A także zapewniać, że nie są parą – dodał Andrzej. – A co ich właściwie męczyło?

– Właśnie wyszli od Zdybasa, który ich przekonywał, że wszystkie ślady wskazują na podkomisarza Bałysia jako mordercę Palki. Naciskał, by w tym kierunku poprowadzić śledztwo. Twierdził, że śmierć Kulika zeszła na drugi plan. Zdaje się, że mają już podejrzanego. Ze mną też o tym rozmawiał, zastanawiał się nad wystąpieniem do prokuratury o list gończy za Bałysiem. To jakaś paranoja, naprawdę...

Nie dokończył zdania i przetarł twarz dłońmi jak ktoś, kto nie chce widzieć tego, co ma przed oczami. Jako szef wydziału kryminalnego nie prowadził śledztwa, tylko od osób trzecich dowiadywał się o podejrzeniach i aresztowaniach. Był sługusem, a tacy nie budzą szacunku, zwłaszcza kiedy pilnie wykonują wszystkie polecenia. Andrzej w pierwszej chwili chciał podejść do niego i poklepać po ramieniu. „Słuchaj, stary, nie jest tak źle, damy radę”. Odpuścił. Jeszcze miał im trochę do wybaczenia.

Zamiast tego poprosił o dyskretny kąt, gdzie mógłby na chwilę usiąść z papierami i pomyśleć. Hadczuk zaprowadził go do klitki za gabinetem, służącej za kuchnię. Krzycki zamknął się od środka, zrobił sobie kawę i siorbiąc gorący napęd kofeinowy na deszczowy dzień, przyglądał się korkowej tablicy z pocztówkami z wakacji. Na jednej wędkarz w łódce wyciągał właśnie z jeziora wielką rybę. Na

odwrocie wielkie słowo „Rysiek” informowało, że kartkę przysłał Hadczuk ze Szwecji, a małe słówko „dupa” na samym dole informowało, że ryby nie biorą. Na innym uśmiechnięta dziewczyna w czarnym kombinezonie i czerwonym kasku zwijała czarny spadochron z białym napisem SELMA 5. To nie była pocztówka, tylko fotografia, na której odwrocie Ula po standardowych pozdrowieniach dopisała: „Paweł nie chce :(”. Pod spodem widniała zeszłoroczna data. Paweł Palka? Czyżby byli parą?

Po godzinie Andrzej uznał, że jest gotów. Wyszedł z kuchni i poprosił o pokazanie drogi do gabinetu komendanta Krzysztofa Zdybasa. Zabronił Hadczukowi iść ze sobą.

## 2

Nie mogła usiedzieć na miejscu. Wypaliła za biurkiem trzy papierosy, a kiedy cały sekretariat śmierdział jak palarnia w wojskowej kantynie, z kolejnymi wychodziła na dwór. Mogła tu odetchnąć świeżym powietrzem, a ruch trochę rozładowywał napięcie. Nie przespala w nocy nawet godziny i żaden makijaż nie zamaskowałby tego faktu na jej zapuchniętej twarzy. Wczoraj wieczorem najpierw czekała na Maciusia, a po jego powrocie uspokajała go kołysaniem w ramionach i śpiewaniem piosenek. To nie mogło się udać. Po pierwsze dlatego, że był roztrzęsiony, a po drugie – ponieważ ona również się trzęsła. Wszystko brało się stąd, że zarówno Zofia Plohowa, jak i jej syn czuli, że wraz z wizytą tego krakowskiego policjanta coś raz na zawsze się skończyło.

Zaciągnęła się, kaszlnęła dwa razy i spojrzała w niebo. Nad wieżą kościoła krążyło kilka mew, nad nimi snuły się niskie deszczowe chmury. Nie cierpiała tych ciężkich, ponurych płacht

zwalających się jej na głowę każdego roku, od dzieciństwa do starości. Nic, tylko chmury i chmury. Co za ironia, że przyszło jej żyć akurat w najbardziej wietrznym rejonie Polski, gdzie wiało i lało na okrągło! Życ? Przesada. Po prostu wegetować. Wegetować i patrzeć na wegetację syna. Gdzie się podziało prawdziwe życie? Z kim i kiedy odeszło? Potoczyła wzrokiem po dachach starych poniemieckich domów i uznała, że to jest odpowiedź. Chwasty trzeba pielnić, mawiał jej dziadek, a oni tu wszyscy byli chwastami. Ciągnęli żywotne soki z nieswojej ziemi, ale też i takie to było zachwaszczone życie. Wegetacja.

Nagła myśl przeszła ją jak błyskawica. Zapomniała o jednej szufladzie! Cisnęła niedopałek do popielniczki i wbiegła do budynku. Jej wysokie obcasy terkotały na posadzce drobnym truchtem. Wpadła do biura i wyszarpnęła z komody najniższą szufladę. Przebiegła palcami po grzbietach teczek i na samym spodzie odnalazła tę właściwą. Rozsznurowała okładki z napisem „Wnioski urlopowe” i przewertowała stertę pism. Oczywiście, jest! Z własnoręcznym podpisem, który mogli bez trudu odcyfrować. Przejrzała kartki do samego dna, ale więcej wniosków nie było, tylko ten jeden. Odetchnęła z ulgą. Zmiała kartkę i wrzuciła do kosza. Posiedziała chwilę, łyknęła zimnej kawy z kubka, po czym wyjęła kartkę z kosza, rozprostowała w palcach, włączyła niszczarkę i przepuściła ją przez maszynę. Po wyłączeniu urządzenia usiadła znowu za biurkiem, pomyślała, po czym wzięła kolejny łyk kawy, wróciła do niszczarki i nabrała w garść papierowego makaronu. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zmiała paski w ciasną kulkę i wyniosła do stojącej przed wejściem wielkiej popielniczki, gdzie wciąż kocił się niedopałek. Ułożyła na nim kulkę i podmuchała. Z jakiegoś powodu wydało jej się zabawne, że od tamtego papierosa, którego nie zdążyła dopalić do końca, spłonie to, co ją od niego

odciągnęło. Papier chwilę podymił i buchnął jasnym płomieniem. Miała nadzieję, że to już ostatnia poszlaka, że niczego nie przegapiła. Zapaliła następnego papierosa z postanowieniem, że dopali go do samego filtra.

– Co pani taka roztrzęsiona dzisiaj? – Kasia, dziewczyna z księgowości, wracała właśnie ze sklepu z jogurtem, bułką i dwoma bananami w siatce. – Stało się co?

– Nie wiem – odparła Plohowa, gasząc papierosa. – Raczej dopiero się stanie.

Kasia zatrzymała się w proggu, z ręką na metalowej poręczy drzwi wejściowych.

– A co niby?

– Bo ja wiem. – Zofia wzruszyła ramionami. – Nic konkretnego. Był u mnie wczoraj policjant, jakiś nowy, z Krakowa. Prowadzi śledztwo i chciał koniecznie wiedzieć, kogo Kulik zatrudniał w gminie. Rozumiesz...

Dziewczyna puściła drzwi i podeszła do niej tak, że ich twarze niemal się zetknęły.

– Pani Zofio – powiedziała szeptem – pani wie, że my nic...

– Tak, tak. – Poglądziła ją po ramieniu. – Gdyby jeszcze kiedyś przyszedł, spróbuję wam dać wcześniej znać.

Objęły się za szyje. Kasia pocałowała ją delikatnie w policzek i pogładziła po włosach.

– Jakby co, niech pani jedzie do domu. My z Magdą zostaniemy do końca. I tak nie ma roboty. Naprawdę.

Szept dziewczyny działał kojąco. Plohowa uśmiechnęła się i podziękowała.

– Jakoś dam radę. Ten drugi banan dla Magdy? Powiedz jej, że to za mało. I tak już jest prawie przeźroczysta.

– Dobrze. – Kasia klepnęła ją w wierzch dłoni i zniknęła w budynku. Kobieta sprawdziła, czy jej rower nadal tkwi przypięty do stojaka, obrzuciła niechętnym spojrzeniem kolejną ławicę ciemnych chmur i wróciła do biura.

Nic jej nie wychodziło. Patrząc w ekran komputera, usiłowała odczytać wiadomość ze skrzynki mejlowej, ale wyrazy nie składały się w zdania. Każde słowo osobno. Jakiś niezorientowany urzędnik adresował mejla do Kulika i jego nazwisko pulsowało na ekranie jak jedyna odpowiedź na wszystko. Nienawiść dawno przeszła, Zofii zostało tylko obrzydzenie i melancholijne poczucie zmarnowania życia przez jeden głupi epizod, ale to nie było to. Nazwisko pulsowało świeżo, niepokojąco aktualnie, jakby ktoś je wbijał jej w mózg i zabraniał myśleć o czymkolwiek innym.

O Boże! Powinna od razu się połapać. Zerwała się z krzesła i pobiegła do księgowości. Dziewczyny właśnie kończyły lunch i śmiały się do jakiegoś obrazka na ekranie, każda z bananem w ręku.

– Słuchajcie, przepraszam was, ale muszę jednak jechać do domu. Jakby ktoś pytał, powiedzcie, że musiałam z synem do lekarza.

Nawet nie słuchała ich zapewnień, że dadzą radę. W biegu zapięła wiatrówkę, wsiadła na rower i popędziła ścieżką wzdłuż głównej drogi aż do zjazdu na pola, gdzie miała sprawdzony skrót. Próbowwała uspokoić się rozsądnymi argumentami, że rozmawiali wczoraj i wcale nie muszą przychodzić od razu dzisiaj, ale sama nie umiała sobie uwierzyć. On to skojarzył. Ten cholerny krakowski policjant. Ale na jakiej podstawie? Tylko dlatego, że opowiedziała mu o tamtych dziewczynach?

Skręciła w pola i musiała zwolnić. Koleiny w drodze dopasowane były do traktorów, a nie rowerów. Ze dwa razy o mało nie runęła, rozglądając się po polach za Maciusiem, zamiast patrzeć

przed siebie. Modliła się, żeby zabrał ten odjechany żółty płaszcz i uciekł na swoje pola, gdzie go nie znajdą. Wiedziała, że miał tam różne kryjówki po wykrotach i zagajnikach, nory, platformy na drzewach, skąd nieraz musiała go ściągać i sprowadzać do domu. Nie dopuszczała myśli, że to wszystko na próżno. Kiedy wychodziła, spał. Prędzej czy później i tak go znajdą i zaaresztują, a wszystko przez żółty strój i czarne gumowce.

Ten cholerny policjant domyślił się, że Maciuś jest synem Kulika. A kurtka, gumowce i kapelusz demonstrowały swoją obecność w szopie jak zdrajcy. Czy inspektor domyślił się przy okazji, że to był właściwie gwałt, który zniszczył jej życie? Pewnie nie. W swoim śledztwie nie musiał sięgać aż tak daleko wstecz. Chciała, nie chciała, co dla niego za różnica. Ważne, że opóźniony w rozwoju chłopak, napuszczony przez samotną matkę, miał motyw i żadnego alibi. Z rozpaczą pomyślała, że chroniąc prawdziwego sprawcę, wkopała własnego syna.

Prychnęła i w tym momencie przednie kółko trafiło na spory kamień, obracając kierownicę o dziewięćdziesiąt stopni. Rymsnęła na drogę, na szczęście rozmokłą od deszczu i błoto zamortyzowało upadek. Musiała jednak podeprzeć się prawą ręką, by nie uderzyć twarzą w ziemię. Prąd szalonego bólu przeszył jej ramię aż do barku. Wygrzebała się spod roweru, lewą ręką otrzepała spódnicę, patrząc przy tym, jak prawa puchnie w nadgarstku. Nie da rady jechać. Nie po tej drodze. Podniosła torebkę i przewiesiła przez głowę, a następnie umieściła na niej promieniujące wściekłym bólem przedramię, organizując w ten sposób coś w rodzaju prowizorycznego temblaku. Uchwyciła kierownicę na środku lewą dłonią i utykając na prawą nogę, ruszyła dalej. Miejscami, gdzie droga była lepsza, próbowała biec, ale złamana ręka protestowała, a obolała noga odmawiała posłuszeństwa. Zofii nie pozostało nic

innego, jak pchać w mozołe rower, rozglądać się po polach za Maćkiem i strząsać głową cieknące po policzkach łzy. Nie miała ich jak obetrzeć.

### 3

– Dziękuję, że wreszcie się pan zjawił. Lepiej późno niż wcale. Podobno przyjechał pan wczoraj rano. Trudno nas znaleźć, co? No ale zostawmy to, najważniejsze, że nareszcie pan jest. Co prawda, nie mam dla pana dobrych wieści, ale o tym za chwilę. Napije się pan kawy?

Komendant Krzysztof Zdybas zawiesił pytanie w dusznym powietrzu gabinetu, sprzątanego i spryskiwanego zapachami dwa razy dziennie, i czekał na odpowiedź. Nie doczekał się, więc ciągnął:

– Rozumiem, że już pana poczęstowano. Mam nadzieję, że Patrycja należycie wypełniła obowiązki gospodyni Miła dziewczyna – dodał, zerkając na mężczyznę naprzeciwko.

Słyszał co nieco o jego zawirowaniach z kobietami, łącznie z tym, że jedna z jego byłych została zastrzelona, a obecna też kogoś zastrzeliła z karabinu snajperskiego. Nieźle. Gdyby nie to, że gość go wkurzał, mógłby mu tym zaimponować. Liczył na reakcję.

– Co do naszej sprawy, jak mówiłem, mam dla pana nie najlepsze wieści. Otrzymałem właśnie szczegółowe wyniki ekspertyz laboratoryjnych. Niestety potwierdzają nasze wstępne podejrzenia. Nadmieniałem o nich komendantowi Byczkiewiczowi. Otóż, wszystko wskazuje na to, że broń, z której zastrzelono aspiranta Pawła Palkę, jako ostatni trzymał w ręku Lucjan Bałyś.

Nazwisko podejrzanego wypowiedział z naciskiem i czekał na reakcję. Niepotrzebnie. Inspektor Andrzej Krzycki jak wszedł do

jego gabinetu i bez przywitania usiadł na krześle, tak siedział i milczał. Żadnego dzień dobry, żadnych wyjaśnień dobowego spóźnienia, nic. Po prostu siedział, patrzył na niego z nieruchomą twarzą i bębnił palcami w stół. Po chwili Zdybas zrozumiał, że popełnił błąd. Dał się wpuścić w rolę podrzędną, gadał i tłumaczył się, a tamten siedział jak sędzia za pulpitem i wysłuchiwał argumentów. Komendant go nie znał. Nigdy wcześniej się nie spotkali, a to, co do niego docierało w formie anegdot i plotek, niespecjalnie składało się w całość. Teraz miał przed sobą ponurego milczka z kosym spojrzeniem, które przewiercało go na wylot i zmieniało jego argumentację w kupę śmieci. Należało z tego jakoś wybrnąć. Potrzebny był atak.

– Wie pan, gdzie on jest?

Palce tamtego zawisły nad blatem na dwie sekundy, po czym wróciły do rytmicznego bębnienia. Poza tym zero reakcji.

– Niech pan mi tu nie zgrywa Clinta Eastwooda, inspektorze, tylko uczciwie odpowie na pytanie. Bardzo poważne pytanie. Wiem, że przyjaźnicie się z podejrzanym, i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybyście sekretnie się porozumiewali. Mam co do tego zresztą pewne...

– Jutro.

Wytrącony z myśli Zdybas potrzebował kilku sekund, by się ogarnąć.

– Słucham?

– Powiedz Kale, że jutro.

– Ale co jutro? To znaczy... chodzi panu o inspektora Artura Kałę? Proszę wybaczyć, ale on już tu nie pracuje, przeszedł na emeryturę, od dawna nie jesteśmy w kontakcie...

– Jutro będzie miał rozwiązanie.



– Mógłby pan jaśniej? Rozwiązanie czego? Czy moglibyśmy porozmawiać jak ludzie?

Coraz bardziej irytowały go stukające w blat palce. Facet jakimiś tanimi trikami z pokoju przesłuchań próbuje go wyprowadzić z równowagi. Niech się wali. Zdybas najchętniej by go stąd wykopał, ale nie mógł, Kała by się wściekł. Kazał mu mieć Krzyckiego na oku i nie prowokować.

– Pogadamy jak ludzie, Zdybas, kiedy przestaniesz robić ze mnie idiotę.

– Pohamuj się trochę, Krzycki... – syknął przez zaciśnięte zęby komendant. – To już za dużo. Jeśli myślisz, że wszystko ci wolno, to się mylisz.

– To ty się mylisz, Zdybas. Twoja pozycja wcale nie jest taka mocna, jak ci się wydaje. Kała strzelił w głowę Palki z odległości pół metra, i z tobą może zrobić to samo. Wystarczy, że mu powiem.

– Co powiesz?

– Że Kulik zginął pośrednio przez ciebie. I wiesz dlaczego.

– O czym ty mówisz? – Zdybas uznał, że bezceremonialne przejście na „ty” działa w obie strony i przestał się bawić w „pana inspektora”. W ogóle przestał się hamować. – Co ty pierdolisz?

– To, że najpierw tuszowałeś zgłoszenia na Kulika, a potem pokpiłeś śledztwo i ktoś wziął sprawę w swoje ręce. Teraz Kała ma problem przez ciebie i tylko swojemu bandyckiemu sprytowi zawdzięcza to, że umie to przekuć na swoją korzyść. Podgrilluje ci tyłek, a przy okazji rozliczy się ze mną. Chcesz rozmawiać jak człowiek, to zdobądź się na potwierdzenie.

Pierwszą myślą Zdybasa było, że krakowiak blefuje. Nie mógł tego wiedzieć. Tylko skąd wiedział, że dyro obrabia mu dupę za te wiatrakowe historie? Może i świetny ten Krzycki, ale przecież chyba

nie jest jakimś pieprzonym prorokiem? I co robił wczoraj przez cały dzień? Należało odzyskać przewagę pola i sytuacji. Wyjść z tego.

– To i tak już nieważne, Krzycki. Mamy sprawcę. Właśnie wysłałem ludzi, żeby go aresztowali.

Zadziałało. Oczy szefa krakowskiego wydziału kryminalnego rozszerzyły się.

– Jakiego sprawcę?

– Gdybyś rozmawiał ze mną jak człowiek, może bym ci powiedział to i owo. Ale ty jesteś arcymistrz wszechkosmosu, Krzycki, i nie potrzebujesz, żeby ci ktoś coś mówił. Bo ty, kurwa, wszystko wiesz. Dobra, jedziemy bez ściemy. Przyszedłeś niepotrzebnie, o jeden dzień za późno. Nie musisz już się wysilać, ponieważ twój kontrakt z Kałą się unieważnił. To ja znalazłem sprawcę, a prokurator klepnął. Zaraz mi tu przywloką tego debila i wycisnę z niego dokładnie całą historię. Co nie będzie długo trwało, bo on niewiele mówi.

Lepszego efektu komendant nie mógł oczekiwać. Krzycki poderwał się z krzesła i przechylił przez biurko, chcąc złapać go za klapy munduru. Kamienny spokój znikł z twarzy, zdmuchnięty przez nieukrywaną wściekłość. Wystarczyło lekko odepchnąć fotel na kółkach i Pan Detektyw Tuptuś zawisł nad blatem z wyciągniętymi rękami w kapitalnej kreskówkowej pozycji. Dostrzegł swoją kompromitację i usiadł z powrotem.

– Debla? Chcecie aresztować tego biednego chłopca? To bzdura, Zdybas, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja!

Komendant poczekał, aż Krzycki usiądzie, przysunął się z powrotem do biurka i oparł łokcie na środku blatu, zajmując przestrzeń, którą tamten wykorzystywał wcześniej do irytującego bębnienia palcami. Żadnych takich. Moje terytorium, moja przewaga pola.

– Wiem więcej. I mam świadków. Widzieli go na miejscu obu zdarzeń. W tym samym kretyńskim ubraniu i z tym samym kretyńskim uśmiechem. Nawet gdybym nie chciał, muszę go aresztować. Takie prawo. A tobie dlaczego tak na nim zależy? Boisz się, że to nie ty rozwiążesz zagadkę i Kała cię oleje? Pewnie tak. A po aresztowaniu Ploha kolej na twojego kumpla. Cała komenda będzie go szukać. I znajdzie. A kiedy znajdzie...

Wyprostował się, żeby tamten mógł w całej okazałości zobaczyć jego uśmiech, po czym oparł lewą dłoń na przycisku alarmowym, a prawą włożył do szuflady z bronią. Słyszał o tym facecie również i to, że bywał nieobliczalny i atakował znienacka, jak dzikie zwierzę. Mógł nie wytrzymać i rzucić się na niego po raz drugi. Zdybasowi przemknęło przez myśl, że to byłoby nawet fajne postrzelić inspektora Krzyckiego po tym, jak ten stracił kontrolę nad sobą i rzucił się na komendanta słupskiej policji w jego własnym gabinecie. Cóż za wspaniałe news! Dyrowi też mogłoby się spodobać.

Nic takiego się nie stało. Krzycki zacisnął szczęki i bez słowa wyszedł z gabinetu. Komendant odczekał chwilę, by się upewnić, że gość nie wróci, po czym sięgnął do kieszeni po komórkę.

– Był tu i wyszedł – zameldował. – Nagle i niezapowiedzianie. Spóźniony o dobę. Nie wiem, co kombinuje...

Głos z tamtej strony warknął krótko i się rozłączył. Zdybas spojrzał na telefon, zrobił minę do zębiastego uśmiechu żony na ekraniku i pociągnął nosem. Jego pozycja jest bardzo mocna i nie będzie żadnego grillowania tyłka, he? Uśmiech nie odpowiedział.

Mama się boi. Powinien wstać i pójść, ona tego chce. Ten pan wczoraj nie zrozumiał jego rysunków, ale wie coś takiego, czego mama nie chce, żeby wiedział. I boi się, że tu po niego przyjdzie. Ten pan jest dobry, tak mówiła Biała Pani. A mama nie chce go tu widzieć. Powinien wstać i iść.

Wstał. Na stole czekała szklanka z sokiem i dwie kanapki, jedna z serem i jedna z wędliną. Ugryzł tej z serem i popił sokiem. Dobrze. Ugryzł jeszcze raz. Zdaży? Na pewno, są jeszcze daleko. Tak mówi jego głowa. Ugryzł tej z wędliną. Niedobra. Wypluł. Zjadł tę z serem i wstał. Nie może tak iść, musi włożyć kombinezon.

Poczłapał do szopy, wsunął stopy w twarde gumowce, sięgnął po kurtkę i kapelusz, po czym wyszedł na pola za domem. Wiatr wiał od strony morza, chłodny i mokry, pachniało gnijącymi wodorostami. Śmigła kręciły się, rozpędzając wibracje w jego głowie. Jeszcze trochę i nie usłyszy głosu. Do Ucha jest daleko, trzy razy dużo kroków, musi tam dojść. Potknął się i upadł na kolana, które wbiły się w czarne błoto. Kapelusz zsunął mu się na oczy, ale przy ziemi wibracje były słabsze. Podniósł się i ruszył przed siebie, skulony pod uderzeniami gwałtownych podmuchów. Oni już są pod domem, gdyby się odwrócił, zobaczyłby ich zajeżdżające na podwórko samochody. Nie zrobił tego. To, co widać, nie jest ważne.

Parł pod górkę, rozgarniając rękami pole gryki. W nieprzepuszczalnym ubraniu było mu gorąco, ale nie mógł go zdjąć. Wiatraki natychmiast by go zabiły. Są rozdrażnione, wściekłe, kręcą się i kręcą, lepiej im się teraz nie narażać. Gdy tylko o tym pomyślał, nogi same zwróciły się w lewo, ku drodze do Grębówka. Po chwili zrozumiał dlaczego. Tamtędy szła mama. Pobiegnął do niej z krzykiem.

– Mama! Mama! – wołał na całe gardło. Tylko to słowo potrafił poprawnie wypowiedzieć. Biała Pani go nauczyła. Mama rzuciła

rower w trawę i ruszyła ku niemu. Dopiero wtedy zobaczył, że utyka. I jedną ręką podtrzymuje drugą. Patrząc na nią, zaplątał się w grykę i runął, podniósł się szybko i rozłożył ramiona. Objęła go jedną ręką, tę drugą chowając za plecy.

– Nic ci nie jest? – spytała. Miała mokrą twarz i pobrudzone ubranie, zupełnie jak on. Uśmiechnął się. Trzeba się przewrócić, żeby się odnaleźć.

Pokręcił głową.

– Aeo om.

– Co? – Zaniepokoiła się jeszcze bardziej. – Jak to „daleko są”? Gdzie?

– Am – potwierdził, pokazując palcem za siebie. Dopiero kiedy zbladła, odwrócił się.

Szli obok siebie, jak czarna przerywana linia. Wielu. Dwaj po bokach i jeden w środku prowadzili psy. Środkowy pies szedł dokładnie jego śladem. Nie byli daleko.

– Uciekaj! Maciuś, uciekaj! – szepnęła mu do ucha mama. – Wiesz gdzie!

Pewnie, że wiedział. Do domku Czarnego Anioła. Kiedyś Czarny Anioł przyprowadził go tam i kazał czekać, aż ślimaki zakończą spacer. Tak to właśnie brzmiało. Ślimaki kończą spacer. Pod kępą krzewów znajdowała się sterta kamieni, a w niej wykopana jama. Wchodziło się przez gęste gałęzie, o ile wiedziało się jak.

Zawahał się. Czarna przerywana linia szła dnem doliny, tam, gdzie przed chwilą się przewrócił. Ale nie to jest ważne, co widać. Jego głowa zaczynała pisać. On sam czuł się świetnie, ale w jego głowie działo się coś niedobrego. Nacisnął kapelusz na oczy.

– Uciekaj – powtórzyła mama bardzo cicho. Pocałowała go w policzek i popchnęła zdrową ręką. Dotknął dłonią jej włosów, uśmiechnął się i pobiegł. Zdaży.

Wbiegł na szczyt wzniesienia i zrozumiał natychmiast, że nie będzie tak łatwo. Droga do kępy wiodła obok wiatraka, który spalił wszystkie jego ślimaki. Tam było cicho, umarli wiatrak nie brzęczał, ale wkoło stały samochody i kręcili się ludzie. Nie mógł tam biec. Stanął w miejscu i rozejrzał się wkoło. W obie strony ciągnęły się pola, a nad nimi wirowały wielkie śmigła. Od samego patrzenia robiło mu się niedobrze. Ale nie to jest ważne, co widać. Powietrze brzęczało okropnie. Jeśli tu zostanie dłużej, znowu polecą mu krew z nosa i się przewróci. A teraz nie może się przewrócić, bo oni wcale nie są tak daleko, jak mu się przedtem wydawało. Popatrzył w dół. Czarna przerywana kreska dobiegła do mamy i otoczyła ją. Psy zaszczekały. Mama pomachała ręką, krzyknęła coś i upadła. Jeden z nich odciągnął psa i przyklęknął przy mamie. Maciek nie mógł na to patrzeć. „Uciekaj”.

Rzucił się w lewo i zniknął wśród wysokich łądyg kukurydzy. Miał tu swoje ścieżki i liczne kryjówki. Ta albo tamta, jedna będzie dobra. Nagle między liśćmi mignęła mu postać Czarodzieja na Patyku i uśmiech rozciągnął jego brzydką twarz. Oczywiście! To najlepsza kryjówka! Nikt go tam nie znajdzie, nawet psy. Pomysł dodał mu sił, więc pobiegł przed siebie wielkimi krokami, ale po chwili się zatrzymał. Spojrzał na gumowce. Tu są niepotrzebne. Zdjął je i ustawił grzecznie na środku ścieżki. Pomyślał chwilę i nakrył kapeluszem. Teraz bieganie szło mu znacznie lepiej.

Pan Czarodziej czekał na niego z otwartymi ramionami. Maciek zawahał się, ale tylko na ułamek sekundy. Dalekie szczekanie psów przyśpieszyło decyzję. Schwycił pierwszy gwóźdź i podciągnął się do góry na tyle, by postawić stopę na grubym sęku. Potem już szło łatwiej. Kiedy wspiął się na górę, wniknął pod pelerynę Pana Czarodzieja, przywarł do niego całym ciałem i schował głowę pod okazały kapelusz, większy od tego, który zostawił na gumowcach.

Wsunął ręce w szerokie rękawy i zacisnął dłonie na patyku. Teraz sam był wielkim Panem Czarodziejem, ze skrzydłami. Mógłby polecieć nad polami i wiatraki nic mu nie zrobią. Jak Czarny Anioł i jego skrzydło. Poleciałby do mamy, wziął ją na ręce i odleciał nad morze. Na brzegu morza nikt nie umiera i nie ma kreski. Tak mówiła mama. Że tam jest bezkresne morze.

Dobrze zrobił. Znaleźli buty i kapelusz, psy zakręciły się w kółko i podbiegły do słupa. Po obwąchaniu go nagle wszystkie z ujadaniem zerwały się do biegu. Zaszleściły pocierane psimi ciałami łodygi. Wiedział dlaczego. Zając. Czekał na okazję i smyrnął ze swojej kryjówki dokładnie wtedy, kiedy trzeba było. Czarni ludzie podeszli z jego kapeluszem i gumowcami, pokrzyczeli coś do siebie i pobiegli za psami. Wypuścił powietrze z płuc. Nawet nie zauważył, że przestał oddychać. Poszli. Cisza.

Nie może tu siedzieć bez końca. Ktoś powinien go stąd zabrać. Mama nie przyjdzie, leży w trawie przy drodze, pilnowana przez jednego z tych czarnych. Kto go zabierze?

Nagle zobaczył go w powietrzu i zrozumiał. Czarny Anioł! Przyleci i zabierze go stąd!

– Zieziazie! – krzyknął na całe gardło. Czarny Anioł nie zareagował.

– Zieziaaaazie! – krzyknął jeszcze raz i wtedy Anioł zawisł w powietrzu, a potem skreślił w jego kierunku. Maciek szarpnął ręką uwięzioną w pelerynie i krzyknął po raz trzeci:

– Zieziaa...

Białe światło słońca eksplodowało.

Kiedy Andrzej zajechał toyotą na podwórze Plohów, było już cicho i pusto. Trzy samochody policyjne stały z pyskami skierowanymi w punkt za stodołą, jak wataha wargów czających się na zwierzynę. Od takiej ciszy skóra cierpnie na plecach. Krzycki włożył dłoń pod kurtkę i pomacał kolbę glocka. Wprawdzie nie bardzo umiał sobie wyobrazić, do kogo miałyby strzelać, ale poczuł się trochę lepiej. W domu nie zastał nikogo, drzwi wejściowe ziały czarną czeluścią. Nawet nie chciało im się zamknąć za sobą.

W szopie brakowało czarnych gumowców, żółtej kurtki przeciwdeszczowej i kapelusza. Chłopak wybrał się na pole wiatraków. Pytanie tylko, czy poszedł po prostu na spacer, czy uciekał. Ile w tym jego uciekaniu było prawdziwej winy, a ile urojeń chorego człowieka? I gdzie oni wszyscy się podzieli?

Wyszedł za stodołę i wtedy ich zobaczył. Policjanci szli tyralierą pod górę, przeczesując wielkie pole gryki. Jeden z tych w środku wysunął się przed resztę, prawdopodobnie ciągnięty przez psa tropiącego, dwaj inni po bokach wyglądali podobnie. Andrzej od razu wyobraził sobie przebieg obławy i pognął na przelaj przez łąki.

Nie patrzył pod nogi. Całą jego uwagę pochłaniała myśl, że musi uratować tego chłopca. To było irracjonalne, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że jeżeli wyciągnie Maćka Ploha z opresji, znajdzie klucz do sprawy z Luckiem. Jakby zdawał sprawdzian, odbywał próbę generalną. Jeśli to zawali, może wracać do Krakowa.

Na dnie płytkiej doliny prawa noga ugrzęzła mu w błocie i zanim zdołał ją wyszarpnąć, ugrzęzła również druga i wyciągnął się jak długi w białe poskręcane gryczane zielsko. Wylądował na rękach, z twarzą przy ziemi, i wtedy poczuł wibracje. Ziemia drżała, jakby pod powierzchnią przetaczała się kawalkada czołgów. Zerwał się na równe nogi i pobiegł dalej, ale jeszcze przez długą chwilę wewnętrzne powierzchnie dłoni swędziały go jak po zetknięciu z...



No właśnie – z czym? Z baterią? Generatorem prądu? Z podziemnymi korzeniami tych cholernych wiatraków?

Kątem oka dostrzegł jednego z policjantów na skraju drogi od Grębówka. Pochylał się nad kimś lub czymś, z ręką opartą na pistolecie maszynowym. Krzycki skręcił natychmiast i w biegu grzebał w kieszeni za odznaką policyjną i legitymacją służbową, licząc na to, że uzbrojony służbista dopuści go do głosu.

Na ziemi nie leżał Maciek, tylko jego matka. Usiłowała usiąść, ale z powodu rozlicznych urazów, w tym niemiłosiernie napuchniętej ręki, nie miała na to większych szans.

– Co się pani stało? – spytał, wyciągając w stronę policjanta legitymację i odznakę. Pomógł usiąść Płohowej i delikatnie pomacał napuchnięty nadgarstek. – Ma pani złamaną rękę.

– Nieważne! – jęknęła, ocierając twarz przedramieniem zdrowej ręki. Z rozbitymi kolanami, zapłakaną twarzą i włosami w nieładzie wyglądała naprawdę żałośnie. – Niech mu pan pomoże! On jest niewinny!

Usiłowała szarpnąć go za rękaw, ale zachwiała się i musiał ją podtrzymać.

– Ale gdzie on jest? Dokąd pobiegł?

– Do kępy drzew na końcu pola – wyjęczała. – Ma tam schowek, jamę w ziemi...

Policjant, stojący nad nimi z automatem jak kat nad dobrą duszą, sięgnął po krótkofalówkę.

– Nawet nie próbuj – warknął Krzycki. – Zawieź ją do szpitala. Natychmiast! – Widząc wahanie na jego twarzy, dodał głośniejszym głosem: – To rozkaz!

Podziałało. Tamten służbiście wyprężył się i schował radiotelefon za pasek. Andrzej chciał pomóc wstać Płohowej, ale jęknęła:

– Błagam, niech pan biegnie!

Krzyknął do policjanta: „Pogadamy później!”, i pobiegł. Niewiele z tego rozumiał, nie bardzo chciało mu się wierzyć, że uzbrojona grupa antyterrorystów pobiła samotną kobietę, na szukanie wyjaśnień nie było jednak czasu. Wdrapał się po zboczach, na którym kilka minut wcześniej widział oddział z psami, i znalazł się na rozległym płaskowyzu. Na prawo rozciągało się pole kukurydzy, na lewo wielka połać gryki, przecięta na pół kamienistą drogą. U jej wylotu na szosę koszalińską, nieco z boku, widniała kępa wysokich krzewów. Na wprost niego, w odległości około dwustu metrów, ekipa robotników pracowała przy spalonym wiatraku. Andrzej skręcił w lewo i już miał pójść dalej, gdy stanął w miejscu. Odwrócił się.

W środku pola kukurydzy tkwił wysoki strach na wróble. Jego korpus stanowiła szeroka peleryna w czarnym jak smoła kolorze, rozpięta na dwóch drążkach w kształcie krzyża. Szczyt zdobił wysoki kapelusz z pofalowanym rondem. Spód tej konstrukcji niknął wśród liści kukurydzy rozkołysanych nadmorskim wiatrem. Krzycki zatrzymał się, ponieważ przez ułamek sekundy zdawało mu się, że strach na wróble pomachał ręką. Więcej – kiwnął na niego. Andrzej stanął jak wryty i wtedy jednocześnie usłyszał za sobą w górze warkot silnika, a przed sobą, gdzieś w głębi kukurydzianej dżungli, szczekanie psa. Nie poruszył się. Wbił wzrok w dziwną kukłę o grubym tułowiu i nielogicznych ruchach, zupełnie niezgodnych z podmuchami wiatru.

Nagle z rękawa kukły wysunęła się ludzka dłoń. Zanim inspektor zdołał przetworzyć ten makabryczny szczegół w jakieś sensowne wyjaśnienie, strach na wróble krzyknął:

– Zieziazie!

Ujadanie psa zamarło. Znowu ta cisza. Andrzejowi zaczynało świtać w głowie, co się szykuje, gdy strach na wróble powtórzył swój okrzyk, a potem spróbował krzyknąć jeszcze raz i wtedy padł strzał. Kukłą wstrząsnęły niezgrabne konwulsje i spod peleryny wysunął się złoty tłumok. Utknął na moment w przewężeniu, a potem runął w dół z rozrzuconymi rękami, jak strącony anioł. I zawisł. Silnik w górze zawarczał głośniej, pies znowu zaszczekał.

Andrzej rzucił się w kukurydzę, nie zważając na krzyki policjantów żądających, by został na miejscu, i grożących mu bronią. Wpadł w gęstwinię, rozgarnął liście i zatrzymał się dopiero oko w oko z Maćkiem.

Zwisał głową w dół, z jedną nogą zaplątaną w sznury przytwierdzające stracha na wróble do słupa, a drugą nienaturalnie odgiętą w bok, jak baletmistrz w jakimś fenomenalnym odwróconym podskoku. Albo kosmonauta w stanie nieważkości. Długie, orangutanie ręce sięgały prawie do ziemi. Najgorsze jednak były oczy. Wpatrywały się z wielkim nieruchomym zdziwieniem w postawiony na głowie świat. Na półotwartych ustach błąkał się nieokreślony grymas, raczej obrzydzenie niż uśmiech. Ziemia odpyływa w górę, a pod stopami rozciąga się niebo. Maciuś Płoh ostatnią miną dał wreszcie do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzi. Kula weszła w plecy i wyszła z przodu, wrywając na piersi sporą dziurę. Struga krwi pociekła na szyję, wpełzła do ust i wypełniła otwory nosowe. Gdy dotarła do szeroko otwartych oczu, Andrzej odwrócił wzrok.

Dwóch policjantów usiłowało go ująć pod pachy i zabrać stamtąd, ale kazał im się odpiardolić i z odznaką w ręku spytał, kto tu dowodzi. Wystąpił zwalisty chłop w czarnej czapeczce i przedstawił się, po czym zaczął obracać w palcach odznakę krakowskiego inspektora. Krzycki chciał spytać, kto i po co strzelał,

ale nie zdążył. Zza pagórka rozległy się krzyki i po chwili wyłoniła się Plohowa, opędzając się od policjanta, który szarpał ją, usiłując ni to jej pomóc, ni to ją zatrzymać. Kobieta wyla i jęczała, wznosząc do nieba niezrozumiałe błagania i groźby. Andrzej nie mógł na to patrzeć. Odwrócił wzrok i spojrzał w górę, skąd rozlegało się natrętne brzęczenie silnika spalinowego. Nad równiną z wiatrakami krążyła motolotnia.

## 6

Lala łąziła po kuchni. Szła do progu, zatrzymywała się, ponieważ coś ważnego przyszło jej do łba, zawracała i dreptała do kąta za piecem, omiatając po drodze rozgoryczonym spojrzeniem swojego pana. Krzycki siedział nieruchomo w fotelu i gapił się w kartki na stole. Gdy dotarła do najdalszego zakątka kuchni, obniżala łeb, że niby obwąchuje jakieś istotne tropy, po czym dreptała z powrotem. Nie zwracał na nią uwagi, co trochę ją wkurzało.

Wrócił niedawno, wyciągnął z szafki paczkę cienkich parówek, które Lala bardzo lubiła, i nie podgrzewając, zjadł cztery z kawałkiem chleba. Ostatnią, piątą, dał jej i gest ten stanowił w zasadzie jedyne jasny punkt w całym jego dzisiejszym powrocie do domu. Pan był mroczny i wściekły. Sapał przez nos, chrząkał, łykając głośno ślinę, siadał i wstawał, wykonując rytualny obchód dookoła fotela, a na nią w ogóle nie zwracał uwagi. Jakby to on miał ważniejsze powody do pretensji niż ona. Wywiózł ją daleko od domu, tak daleko, że nie potrafiła w ogóle wylapać żadnego zapachu z tamtych stron, a teraz zamykał na całe dni samą i załatwiał te swoje ważne sprawy. Wiedziała, jakie to sprawy, nieraz

brała w nich udział, i to między innymi ją uraziło – jej nie zabierał. Uznał, że będzie mu bardziej przeszkadzać niż pomagać. A już najgorsze, że dzisiaj wrócił z zapachem innych psów na sobie. To znaczy, że wołał je od niej! Tego nie mogła mu wybaczyć i dlatego chodziła po kuchni od kąta do drzwi i z powrotem.

Nie była głupia. Wiedziała, że inne psy to jego praca i wcale nie wołał ich od niej, po prostu musiał spotkać się z nimi gdzieś w terenie, nieraz tak bywało. Jasne, rozumiała to, ale co żal to żal. Nie zostawia się suki samej w obcym domu bez słowa wyjaśnienia.

Po kilku przemarszach trochę jej przeszło. Zatrzymała się i polizowała zwisającą z oparcia dłoń. Jej pan wyglądał na kogoś, kto bardzo potrzebuje psiej pomocy, nawet kiedy sam twierdzi coś przeciwnego. Naprawdę zrobiłby lepiej, gdyby ją ze sobą zabierał. Polizana dłoń uniosła się, wytarła o oparcie i schowała za fotel, czego Lala raczej nie zakwalifikowała jako zachowanie kulturalne. Mlasnęła językiem i poszła w kąt.

Starła się go jednak rozumieć. Wyczuła śmierć. Ten jej szczególny rodzaj, który wiązał się z poczuciem winy i zmieniał Krzyckiego w chmurę nieprzyjemnych kwaśnych zapachów. Śmierdział wtedy błotem, piwnicą i pretensją do wszystkich. Do niej również. Teraz też siedział nadęty i obrażony, chociaż chciała mu pomóc i już wczoraj dawała do zrozumienia, że ten chłopiec umrze. Bo przecież ona wiedziała.

Mogłaby mu pomóc i dzisiaj. Ziemia na jego spodniach pachniała jeszcze inną śmiercią, tak samo jak rozłożone na stole kartki. W ogóle najchętniej by mu poradziła, aby więcej nie chodził w tamto miejsce, ale nie miała jak. Gdyby znał się na zapachach, nie musiałaby nic radzić, sam by na to wpadł. Beznadzieja.

Zrezygnowana, zamierzała zwinąć się w kłębek na kocu i zasnąć, z braku ciekawszych zajęć, gdy pan podniósł się i

oświadczył:

– Chodź, powalczymy o sprawiedliwe sądy.

## 7

Pod budynkiem Sądu Rejonowego w Sławnie dwudziestoosobowa grupka demonstrantów przywitała Krzyckiego jak starego znajomego. Mężczyźni ściskali mu dłoń, kobiety wyposażyły w zapalony znicz oraz kartkę z napisem 3 × WETO, młoda dziewczyna natychmiast zainteresowała się Lalą i wyjęła mu z ręki smycz, co suka przyjęła z wyraźną satysfakcją. Andrzej nie potrafił rozeznaczyć się w nastrojach i emocjach Lali, czasem tylko miał wrażenie, że wiążą się jakoś z jego własnymi. Poddawała się karesom ze strony swojej nowej przyjaciółki, ale co chwilę niepewnie na niego zerkiała. Chciała wyczuć jego intencje i się dostosować.

Przyszedł, bo musiał się oderwać. Bezsensowna śmierć Maciusia Ploha, spowodowana głupim odruchem policyjnego nowicjusza, który pierwszy raz w życiu poszedł na akcję w pełnym rynsztunku i chciał się sprawdzić, nie dawała mu spokoju. Dręczyła go myśl, że nie był to jedynie fatalny zbieg okoliczności. Ten demoniczny niedojda miał mu coś ważnego do przekazania i ta możliwość właśnie została unicestwiona. Coś, co mogło go nie tylko zaprowadzić wprost do lochów Lucka, ale i wyjaśnić koszmarny ciąg tragedii na ziemi wokół Słupska. Ziemia. Kiedy jej dotknął, zadrżała jak żywe płochliwe stworzenie. Gdy biegnąc, wdepnął w jej czarny miąższ, niemal czuł, jak wciąga go w swoje mroczne tajemnice i obiecuje rozkosze ich odkrycia, nie podając ceny. Jak piękna uwodzicielka ze sztyletem pod poduszką.

– Kon-sty-tucja! Kon-sty-tucja! – zakrzyknęła protestująca brać i Andrzej zaczął skandować razem z nią. Krzyczał coraz głośniejsze i głośniejsze, aż ryczał na całe gardło z przyjemnym wrażeniem, że zakrzykuje cały koszmar tego cholernego dnia. Ludzie dookoła niego ściszyli głosy, zdziwiona Lala obróciła łeb. Wtedy zamilkł. Pani z mikrofonem spytała go, czy nie chciałby czegoś powiedzieć. Inni zachęcali go sympatycznymi spojrzeniami. Po chwili wahania wziął mikrofon.

– Wczoraj znalazłem się tu całkiem przypadkowo – zaczął, nie patrząc na nikogo. – Po prostu przejeżdżałem tędy i zdziwiła mnie spora grupa ludzi w tym opustoszałym, wymiecionym z ludzi mieście, które dla przyjeźdnego wygląda, jakby wojna skończyła się wczoraj. A w moich oczach właściwie wygląda, jakby wcale się nie skończyła. – Przerwał, nie wiedząc, co mówić dalej. Nagle przyszło mu do głowy, że jeżeli takie protesty społeczne mają mieć jakikolwiek sens, potrzebne jest zaufanie, a to zyskuje się szczerością. Tak, do cholery, trzeba jakoś łamać monopol kłamstwa. – Jestem policjantem – zaczął nieco głośniejsze – i właśnie wróciłem z akcji na wsi pod Słupskiem, gdzie znowu zginął człowiek. To już kolejny przypadek w ciągu ostatniego miesiąca. Pięć dni temu w okolicach innej wsi zaginął mój przyjaciel, również policjant. Chciał pomóc lokalnym siłom porządkowym, a zamiast tego stał się kolejną ofiarą tej sprawy; cholernej, niezrozumiałej sprawy, która jak mgła wisi tu gdzieś między niebem a ziemią, wkręcona w śmigła tych popieprzonych wiatraków...

Im dłużej mówił, tym bardziej ponosiły go nerwy. Jeszcze chwila i zacznie kłąć na całego. Lala chyba wyczuła niebezpieczeństwo, ponieważ porzuciła swoją koleżankę i przycupnąwszy u jego stóp, zaczęła lizać jego but. Krzycki trochę się pogubił, ale brnął dalej. Dwie mewy nad nim skrzeczały jak harpie.

– To mój przyjaciel i nie wyjadę stąd bez niego. Nie dam się mgłę i świstowi wiatru w rozcapierzonych skrzydłach. Walczymy tu o demokrację, niezawisłość sądów i wolną europejską Polskę. To wspaniale, naprawdę super. Ale ja chciałbym, abyśmy powalczyli też o normalność, zwyczajną międzyludzką normalność. O to, by ludzie mogli wyjść po zmroku z domu bez obawy, że zostaną napadnięci i skopani tylko za to, że tu mieszkają. Do tego również potrzebna jest niezawisłość sądów i policji, która działa w granicach prawa i dla prawa, a nie dla tej czy innej partii. Wiem, jak to brzmi w ustach policjanta, ale każdy ma wybór – także policjant.

Ostatnie słowa skierował do trójki policjantów po drugiej stronie skrzyżowania, z niechęcią przysłuchujących się jego przemowie. Gdy skończył, na dwie sekundy zapadła pełna konsternacji cisza, po czym pani od megafonu zaczęła skandować: „Spra-wied-liwość! De-mo-kracja! Spra-wied-liwość! De-mo-kracja!”. Inni podchwycili i chórek dał się ponieść nowej fali obywatelskiego entuzjazmu. Andrzej również krzyczał z nadzieją, że zagłuszy swoje zdenerwowanie, ale na próżno. Cały w środku się trząsł. Nie tylko z powodu przywołania Lucka, ale również dlatego, że w głębi ulicy zaczęli zbierać się ziomale. Prawdziwi Polacy, z kapturami na łysych głowach i rękami w kieszeniach. Z pogardliwymi uśmieszkami pokazywali sobie palcami protestujących i z zadowoleniem poklepywali się po zadach. Inna grupka stała u wylotu drugiej ulicy. Krótko mówiąc, chłopcy szykowali się na łomot. Trzyosobowa stójka policjantów nie reagowała.

„Wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem”, poleciało z głośników. Protestujący odśpiewali ostatni refren wspólnie i manifa się skończyła. Ziomki przestali gadać i przyglądali się im w milczeniu, na rozstawionych nogach, jak



nieudane imitacje ulicznych wojowników. Wśród manifestantów przeważały kobiety i nikt nie kwapił się do odejścia. Wszyscy spoglądali na Krzyckiego.

– Tamta trójka na rogu to policjanci – powiedział najspokojniej, jak potrafił. W środku dygotał. – Idźcie do nich i powiedzcie, że boicie się wrócić do domu. Muszą was eskortować, to ich podstawowy obowiązek. Gdyby odmówili, powołajcie się na zarządzenie numer siedemset sześćdziesiąt osiem Komendanta Głównego Policji z czternastego sierpnia dwa tysiące siódmego roku o interwencjach policyjnych. Ja idę tam. – Pokazał ręką na wprost w ulicę Chopina, gdzie stało czterech.

Manifestanci po krótkiej naradzie postanowili iść całą grupą do policjantów.

– Ja pójdę z panem – powiedziała dziewczyna z Lalą na smyczy.  
– Mieszkam niedaleko.

Andrzej mruknął coś o nie najlepszym pomysśle, wpatrując się z uwagą przed siebie. Poczekali na zielone światło i przeszli przez jezdnię na drugą stronę. W tym momencie w oknach kamienicy tuż przed nimi zaczęły się unosić metalowe żaluzje. Za szybą stał mężczyzna w czarnym podkoszulku z orłem i z rękami założonymi na piersi. Z tyłu leciało Stairway to Heaven. Facet robił sobie tło muzyczne. Krzycki pokazał mu na migi, żeby wyszedł na zewnątrz, ale w odpowiedzi zobaczył tylko uśmiech i środkowy palec.

– Niech pan da spokój – powiedziała dziewczyna. Zatrzymał się.

– Ja? Ja mam dać spokój? Nie widzisz, co się tu dzieje?

Słyszał swój głos jak przez ścianę. Chyba krzyczał. Przyjrzała mu się i bez słowa poszła dalej, ciągnąc Lalę. Przeszli drugim przejściem i znaleźli się dokładnie naprzeciwko tamtej czwórki. Czerwona toyota Krzyckiego stała dwadzieścia metrów dalej. Dziewczyna się zawahała, Lala obejrzała się na niego z niepokojem.

Wyminął je i podszedł do grupki. Gdy stanął przed nimi, jeden z ziomków odchylił bluzę, odsłaniając kij bejsbolowy. Towarzyszący temu uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, że zamierza go użyć.

– Lubisz się bić? – spytał Andrzej. Wysunął prawą nogę do przodu. Tak zwykle zaczynał, ze zmyłką. Chłopak przytaknął. Pozostali trzej rozstąpili się, tworząc półkole. Krzycki pomyślał, że zaatakuje, gdy spróbują go otoczyć.

– To go wyjmij – powiedział, pokazując na bluzę.

– Po co?

Już wiedział, że chłopak nie jest pewien. Pozował, jak tamten gość z Zeppelinami.

– Jesteś prawdziwy Polak, to wyjmuj pałę.

Chłopak nie miał dwudziestu lat, był prawie dzieckiem. Jakiś idiota, niewykluczone, że ten od żaluzji zapłacił mu za przyjsie tutaj i robienie zadymy.

– A ty jesteś komuch i ciota – odparł chłopak. – My tu takich jebimy równiutko.

– To do roboty.

Zaczęli się kręcić, zachodzić go z boku, ale jego pewność siebie musiała zbić ich z tropu. Zrobił krok do tyłu i znalazł się tuż obok dziewczyny.

– Chodźmy – powiedziała, biorąc go pod rękę. – To nie ma sensu. Będzie pan bił dzieci?

Pociągnęła go do samochodu, Lala szła przed nią. Obie zgodnie odciągały go od bijatyki, na którą nabierał coraz większej ochoty. Spuściłby trochę pary z siebie po tym kompletnie zwalonym dniu. Dziewczyna jednak miała rację, to były właściwie dzieciaki.

– No i kto tu jest ciota? – rzucił im na odchodne i opuścił plac wolnym krokiem. Kiedy Lala wskoczyła i Andrzej zatrzasnął tylne drzwi, dziewczyna stała przy samochodzie od strony pasażera.

– Wsiadaj, podwiozę cię. Przecież teraz cię tu nie zostawię.

Wsiadła bez słowa. Suka powitała tę nieoczekiwaną zmianę radosnym skamleniem.

– Gdzie mieszkasz? – spytał, wyjeżdżając tyłem na ulicę. Tamci jeszcze się naradzali, rozważając pewnie rozpaczliwy atak na samochód za pomocą kamieni, byleby zmyć hańbę.

– A ty?

Lala szczeęknęła z zażenowania i schowała się za siedzenie.

## XII

### Wizja lokalna

#### I

– Pomogło?

Popijała kawę z jego kubka, siedząc na krześle w kuchni w samym podkoszulku, przez który przebijały sterczące sutki. Ich smak czuł jeszcze na wargach. On sam siedział w niskim fotelu, lokującym jego punkt widzenia na wysokości jej bioder. Miała na imię Ania i skończyła właśnie liceum w I Zespole Szkół w Sławnie. Na protest przysłała trochę z nudów, a trochę na przekór rodzicom, bo ci psioczyli na komusze sądy od rana do wieczora.

– Bardziej pomoże, kiedy mi pokażesz dowód osobisty.

Wyszczrzyła zęby w sztucznym uśmiechu i założyła nogę na nogę. Wykonanie tego ruchu bez majtek było czystą poezją.

– Nie sądzisz, że teraz już trochę za późno, tatusiu?

Zaniepokoił się.

– Co rozumiesz przez słowo „tatusiu”?

Parsknęła kawą na stół i wytarła usta wierzchem dłoni. Na tle kuchennego okna jej profil odcinał się ostrym konturem. Miała ładny prosty nos, wydatne wargi i falujące włosy opadające na ramiona.

– Spoko. Wzięłam tabletkę. Jesteś ze dwa razy ode mnie starszy, co nie?

– Noo... – przytaknął, zasłaniając koszulą siwiejące owłosienie na piersi. Szybko obliczył, że „dwa razy starszy” stanowiło litościwą

elipsę. Było znacznie więcej. – A ty co, nie masz chłopaka?

– Mam – odparła, wzruszając ramionami, jakby chodziło o rower. – Ale wczoraj byłeś taki nabuzowany, że myślałam, że pęknieš. I ta twoja przemowa o przyjacielu... Normalnie jakbym słuchała wywiadu z gwiazdą *M jak miłość*.

– Aha. A ty jesteś specjalistką od neutralizowania nabuzowanych gwiazd, dlatego postanowiłaš wkroczyć do akcji.

Jej uśmiech zniknął. Siorbnęła kawy i odstawiła kubek z głošnym stuknięciem.

– O co chodzi, Papo Smerfie? Będiesz mi teraz robił wykład? Tu piękna mówka o wolności, a tu kazanie księdza? Spierdalaj. Się nie podoba, to idę.

Poszła do sypialni szukać reszty przyodziewku. Dopił kawę i poczłapał za nią, skruszony.

– Się podoba. Jesteš świetna. Chyba masz rację, nie umiem się pozbierać. Wczoraj widziałem...

– Wczoraj było wczoraj – przerwała mu. – A dzisiaj jest dzisiaj. Bzyknęliśmy się, a teraz trzeba się ubrać i wyjść. Bez zobowiązań. To łatwiejsze, niż myślisz.

Zepchnęła jego dłonie ze swoich bioder i z przewieszonym przez ramię ubraniem zniknęła w łazience. Usiadł na łóżku dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą leżała jej bielizna. Takie tam przyjemne drobiażdżki. Naprawdę mu pomogła. Ładna, a do tego taka – nie bardzo wiedział, jak to nazwać – normalna. Zwyczajnie przyjechała z nim do domu, pocałowała, po czym odnalazła sypialnię, rozebrała się i weszła do łóżka. Seks z nią był jak kąpiel w czystym krystalicznym źródelku. Nie napalała się jak małolata, nie sztywniała ze strachu jak uciekinierka z żeńskiego klasztoru, tylko po prostu pieściła go i pozwalała się pieścić. Normalnie. Z początku przeszkadzało mu to coś, co gdyby był

wierzący, nazwałby grzechem. W miarę upływu nocy przyszło ukojenie. Skoro i tak najbliżsi oskarżają go o zdradę, to niech będzie, proszę bardzo. Teraz opinia pokrywa się z faktem, a prawdziwy Krzycki z tym, za jakiego go biorą. Co za ulga! A wszystko to dzięki paru godzinom spędzonym z Anią. Ta dziewczyna sygnalizowała obecność sfery normalności, w której istnienie zwątpił jeszcze w Krakowie. Dawała spokój. Ten prawdziwy, poza słowami, wtopiony w dotyk, głośnięcie, smak skóry na języku. I dawała mu jeszcze coś, czego od dawna nie miał – siłę.

Poszedł pod drzwi łazienki i poczekał, aż wyjdzie.

– Jak to się nazywa? – spytała, mrużąc oczy. – Voyeuryzm?

– Nie, zwykle zboczenie. Zostań jeszcze.

Umiała patrzeć prosto w oczy. Bez ukrytych podtekstów, pytań, bezczelnej odmowy czy złośliwości pod adresem nabuzowanego papcia. Zwyczajne, uczciwe patrzenie prosto w oczy. Zupełnie fenomenalna.

– Po co?

– Chcesz odpowiedź głęboką czy płytką?

Położyła mu dłonie na piersi i lekko pchnęła tak, że oparł się o ścianę.

– Obie.

– Za godzinę muszę stąd wyjść, pojechać do Koszalina, kupić w Decathlonie osprzęt wspinaczkowy, by wieczorem za jego pomocą przywiązać kukłę do śmigła wiatraka i następnie zjechać w dół bez pozostawiania śladów. To się nazywa wizja lokalna. Gdyby ci przyszło do głowy, że to niebezpieczne, już prostuję: to kurewsko niebezpieczne. Prawie niewykonalne. Wcześniej powinienem odwiedzić matkę zabitego policjanta. Nawiasem mówiąc, to w jego łóżku spaliśmy. Jest mi winna opowieść o pewnej kobiecie, która

podobno stała za śmiercią jej syna. Ja z kolei jestem winien opowieść innej matce zabitego syna, a stopień trudności podnosi znacznie fakt, że ten zginął wczoraj.

– Ja pierdolę – zgodziła się Ania.

– Powinienem dzisiaj jeszcze parę innych rzeczy i wcale nie na ostatnim miejscu jest obicie gęby pewnemu komendantowi policji, ale nie chcę cię zanudzać szczegółami. Mówię to, żebyś dostrzegła ciężar najbliższych godzin. Aby je znieść – co ja mówię, aby w ogóle przeżyć! – potrzebuję dużo siły. Jeszcze wczoraj wieczorem sądziłem, że nie podołam. Noc z tobą wiele zmieniła. Chciałbym... Zostań.

Nadal trzymała dłonie na jego piersi, ale przesunęła je nieco w górę, ku szyi. Jak elegancka dusicielka.

– Faktycznie, ściema o niebanalnej głębi. A ta płytka?

– Chcę jeszcze raz.

Złapał ją w pasie, by przyciągnąć do siebie, ale usztywniła łokcie.

– Czy ty siebie słyszysz, papciu? Muszę, powinienem, chciałbym – okropne! A co ja z tego będę miała? Uprzedmiotowiłeś mnie!

– Postaram się, żebyś miała dokładnie to samo co ja.

– To znaczy?

– To znaczy to.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Rozbierał ją starannie i systematycznie, za trzecim razem nie musieli się śpieszyć i pozwolili maszynie podniecenia rozkręcać się powoli. Włosy Ani pachniały wczorajszym wiatrem, pełnym wodorostów i krzyku mew, ale reszta ciała przyniosła z łazienki już mniej naturalny zapach męskiego żelu pod prysznic. Skądś go znał. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że na półeczce obok lustra stała ciągle kosmetyczka Lucka. Całował piersi, brzuch i uda dziewczyny, starając się nie myśleć o tym zapachu. Nie było łatwo. Gra wstępna

trwała dłużej, niż powinna, i kiedy wreszcie wszedł w Anię, czuł się jak strudzony pielgrzym, który dotarł do celu po zmudnej wędrówce z drugiego końca świata.

– Jesteś pewien, że teraz będziesz miał więcej sił? – spytała, gdy spocony jak nurek upadł twarzą na poduszkę. Jego śmiech nie zabrzmiał zbyt szczerze.

– Uff, tak. Ledwie żyję.

– Właśnie o tym mówię. Zwłaszcza że, jak widzę – uniosła pod światło sklezione opuszkami dwa palce – nie jestem pierwsza.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się.

– O tym – odparła, wyciągając palce ku niemu. Między nimi tkwił ciemny włos. – Kiedy cię odwiedziła? Wczoraj? Przedwczoraj?

Przyjrzał się dokładnie włosowi i włożył go do portfela.

– To nie ja – powiedział z przekonaniem notorycznego winowajcy, chociaż w tym wypadku jej zarzut chybiał celu. – Na Pomorzu jesteś pierwsza.

– Dzięki za uprzejmą wieloznaczność, ale ci nie wierzę. Lubisz kobiety i widać to po tobie.

– Dzięki za uprzejmą jednoznaczność, ale ja wcale nie przeczę. Powiedz mi lepiej, jak się rozmawia z matką nieżyjącego syna, niedorozwiniętego idioty, który zginął poniekąd na własną prośbę, chociaż zupełnie niewinnie. Nawiasem mówiąc, wiedział znacznie więcej ode mnie.

– Idioty? – Ania uniosła się na poduszce. – Chyba nie mówisz o synu pani Zofii Płohowej?

– Dokładnie.

– Maciuś nie żyje?

– Zginął wczoraj przypadkowo podczas policyjnej obławy. Inny idiota, w mundurze, strzelił do niego, bo się przestraszył. Tak przynajmniej twierdzi. Znałaś Płohów?



Dziewczyna malowniczo podrapała się po udzie.

– Słabo. Moja siostra pracuje w gminie w Grębówku i opowiadała mi o tej Plohowej. Biedna kobieta, sama jedna z tym niedojdą. Podobno, ale to może tylko ludzkie gadanie, została zgwałcona. I podobno... A, nie będę plotek rozsiewać.

– Podobno przez wójta Kulika, chciałaś powiedzieć?

– No, to tyle już wiesz...

– A czego nie wiem?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Że Plohowa nie była jedyna...?

– To też wiem – przytaknął Andrzej. – Akcja Zielona Gmina. Żałuj, że się skończyła, mogłabyś się załapać.

– Jak na przykład Ula Miłętka?

Krzyckiego wcisnęło w poduszkę.

– Co powiedziałaś?

Ania z wdziękiem wyciągnęła prawą łapkę i poklepała pana inspektora po podbrzuszu.

– Niby taki wielki śledczy, a tu proszę, nie wie. Bo rozumiem, że nazwisko coś ci mówi? Ona pracuje w policji w Słupsku, ale kiedyś pracowała w gminie, tam, gdzie moja siostra. Krótko, parę miesięcy, tylko zdaje się, że dosyć intensywnych miesięcy. Potem zniknęła na kilka lat i wróciła już po szkole policyjnej. Pamiętam, jak Kaśka powiedziała wtedy, że na jej miejscu by nie wracała.

– I co to miało znaczyć?

– Bo ja wiem. Chyba to, że nie bardzo lubili się z Kulikiem. Nie to co my!

Potarmosiła go bezceremonialnie, ale gdy zaczął reagować, wyskoczyła z łóżka.

– Bierz się do roboty, bandyci czekają.

Wciągnęła na siebie ubranie w ekspresowym tempie i zanim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, stała w progu.

– Przyjdiesz jeszcze, Smerfetko? – zaskamlał na tyle sugestywnie, że Lala przydreptała z kuchni.

– Najpierw złap wszystkich bandytów, potem zobaczymy.

– Mam uwolnić, nie łapać – mruknął sentencjonalnie, ale już znikła. Poszła sobie. Było łatwiej, niż myślał.

## 2

Decathlon Koszalin, w którym morderca kupił sprzęt dwudziestego siódmego kwietnia, znajdował się na obrzeżach sporego centrum handlowego Atrium, na tyłach Castoramy. Zanim Krzycki wszedł do środka, obejrzał mocowania kamer przed wejściem. Jedną z nich skierowano na wjazd na parking, drugą ulokowano obok drzwi wejściowych, ale filmowała raczej sprzęt na stojakach niż wchodzących i wychodzących klientów. W środku kamer było więcej, po sklepie kręciło się dwóch ochroniarzy.

– Policja już tu zaglądała, żadnych nagrań nie ma – mruknął osobnik w czarnym podkoszulku z białym napisem „Ochrona”, nie przejawiając zbyt ochoty do rozmowy.

– Z tych zewnętrznych też niczego nie macie? – spytał Krzycki, pokazując palcem za siebie. Łysy ochroniarz pokręcił głową. Andrzej poszedł do działu ze sprzętem alpinistycznym, wybrał odpowiednie liny, takie same jak te ze zdjęć z wiatraka. Kupił również przyrząd zaciskowy do podchodzenia, crolla firmy Petzl, do tego kilka karabińczyków i ekspresów oraz uprząż. Po chwili wahania dołożył legginsy i buty wspinaczkowe. Kiedy za wszystko zapłacił i wychodził przez bramki, zatrzymał go ten sam

ochroniarz. Widocznie uznał, że skoro gość kupił sprzętu za tyle kasy, to coś mu się od firmy należy.

– Wie pan co? – zagadnął. – Wtedy, końcem kwietnia, to myśmy tu mieli taki mały festyn na długi weekend majowy.

– I co z tego?

– Nic. – Łysy wzruszył ramionami. – Myślałem, że przyda się to panu do czegoś.

– Okej, dzięki – powiedział Krzycki i wszedł do samochodu.

Przejechał na drugą stronę skweru i udał się do dyżurki ochrony galerii Atrium. Dwóch młodzików trochę próbowało się stawiać, ale kiedy wyjaśnił im, że ochroniarz w starciu z policjantem zawsze ma przesrane, zmiękli. Poprosił ich grzecznie o nagrania z dwudziestego siódmego kwietnia. Odmówili, twierdząc, że po dwóch miesiącach kasuje się wszystkie zapisy, by zwolnić miejsce na dysku.

– Czy pojawił się tu wcześniej ktoś z policji i sprawdzał te nagrania?

Jeden pokręcił głową, drugi przytaknął.

– Była taka jedna pani aspirant z komendy ślupskiej – wyjaśnił ten, który przytaknął. – Przejrzała nagrania, przelała na pendrive'a, podziękowała uprzejmie i poszła. Jak później chciałem skasować, to się okazało, że ich już nie ma.

– Usunęła je?

– Albo kopiując, wycięła. Czasem komputer sam robi coś takiego.

– Mogę zerknąć na ten komputer?

Ochroniarz wskazał monitor na biurku i stojące za nim pokaźne czarne pudło. Andrzej pocmokał i robiąc dobrą minę do złej gry, powiedział, że kogoś po niego przyśle, bo to zajmie więcej czasu. Nie miał pojęcia, jak odzyskuje się skasowane dane. W drodze na

parking z nieprzyjemnym ukłuciem w piersi pomyślał, że Lucek by wiedział. Z samochodu zadzwonił do Hadczuka.

– Przyślij specja od komputerów do biura ochrony w galerii Atrium w Koszalinie. Zapis z trzydziestego kwietnia został skasowany za pomocą zwykłego kliknięcia „Wytnij”. Powinien być jakiś ślad na dysku. Dobry informatyk odzyska to bez trudu. Masz takiego?

– Mam – przytaknął Hadczuk. – Ale w Koszalinie mają jeszcze lepszych. Zaraz kogoś wyślę. Myślisz, że to się przyda?

– Myślę, że tak – powiedział powoli Krzycki. Uznał, że tyle na razie Hadczukowi wystarczy.

Wracał z Koszalina główną trasą E28 przez Sianów, Pękanino i Malechowo. Mijając Sławno, z rozrzewnieniem pomyślał o tamtejszym sądzie oraz najciekawszym liceum na Pomorzu, z fajnymi maturzystkami. Przed patrolem policji drogowej zwolnił i wcisnął głowę w fotel, co w kwestii kamuflażu było równie skuteczne jak zamykanie oczu, żeby zniknąć. Gdyby na niego polowali, rozpoznaliby go natychmiast po samochodzie.

Cały czas zerkał w lusterko wsteczne, ale nie zauważył żadnego ogona. Kała mógłby go śledzić dla samej przyjemności, ot tak, po prostu, żeby wiedzieć, co robi. Zgodnie z umową miał czas do wieczora, ile jednak są warte umowy z gangsterem trzymającym twojego przyjaciela w charakterze przynęty, by upolować ciebie? I w dodatku zdradzającym objawy szaleństwa? Kogo Andrzej bardziej powinien się bać, gangstera czy wariata?

Kiedy zerkanie w lusterko mu się znudziło, zaczął spoglądać na pola, po obu stronach szosy zdobione masztami turbin wiatrowych. Ich powolne i majestatyczne ruchy miały w sobie coś hipnotyzującego i nie dziwił się niechęci mieszkańców. Nie potrafiliby mieszkać w sąsiedztwie stumetrowego stracha na

wróble, który szumi, furczy i macha kikutami przed każdym oknem domu, dzień i noc, połyskując czerwonym światłem jak jednooki Balrog. Prędzej czy później Krzycki sam zacząłby mordować.

Nie, szalonego gangstera nie bał się tak jak czekającej go dzisiaj próby, kiedy to miał wleźć na jeden z tych demonów wiatru i ujarzmić go za pomocą liny i kawałka metalu kupionego w sklepie sportowym. To jednak było sto metrów, cholerne sto metrów przepastnej lufy, z tańczącą pod stopami ziemią i nieodłącznym świstem pędzącego wzdłuż brzegów Bałtyku powietrza. Po co to robił? Nie wystarczyło narysować na kartce, zaprezentować sprzęt i pozwolić Hadczukowi poskładać kamyki mozaiki w czytelny wzór? Nie. Choćby z tego prostego powodu, że nie można mordercy dawać satysfakcji w postaci psychicznej przewagi nad policjantem. Nie nad nim. Więc wejdzie na tego cholernego stumetrowego diabła, owinie kukłę sznurami, a potem pstryknie palcami jak sztukmistrz i wszystko będzie jasne. Jeśli ktoś chce, może to nazywać skłonnością samobójczą.

Skreślił do Grębówka, wypuścił Lalę na podwórko, wyjął laptopa i włączył Facebooka. Koszaliński Decathlon miał oczywiście swój profil, a na nim zdjęcia i filmiki z imprez promocyjnych, z których część odbywała się na skwerku przed sklepem. Pół godziny zajęło mu przeglądanie prywatnych wrzutek, nim wreszcie natrafił na to, czego szukał. Na pierwszym planie dwoje dzieciaków wrywało sobie z rąk dmuchaną zabawkę w kształcie olbrzymiej prezerwatywy, trzeci podskakiwał na wielkiej piłce z uchwytami przypominającymi krowie sutki. Tatuś chciał nakręcić wszystko naraz i w tym celu przesuwiał telefonem tam i z powrotem. Dzięki temu Andrzej ją zobaczył. Szczupła, niewysoka postać wymknęła się ze sklepu z ładunkiem wspinaczkowego szpeju na plecach. Jej mignięcie na rozchybotanym obrazie trwało nie więcej niż sekundę,

ale Krzyckiemu wystarczyło. Ściągnął filmik na dysk i poszedł po Lalę na podwórko.

– Jedziesz ze mną? – spytał, klepiąc ją po grzbiecie. – Może być gorąco.

Zamerdała ogonem, dając do zrozumienia, że tylko na to czeka.

Zajechali pod urząd gminy. Zofii Płohowej nie było w pracy. Wszedł do pokoju z napisem „Księgowość” i spytał dwóch młodych pracownic, która z nich ma na imię Kasia. Żadna nie przypominała mu Ani. Obie z przestachem zerkały na siebie wzrokiem przyłapanych na spisku winowajczyń. Wreszcie odezwała się krótko obcięta brunetka i Andrzej poprosił ją o przejście do sekretariatu.

– Czy to przesłuchanie? – spytała, udając hardą.

– Nie. Życzliwa prośba o potwierdzenie przypuszczeń.

– Skoro prośba, to rozumiem, że mogę odmówić?

Krzycki z uśmiechem pokręcił głową.

– Może pani, ale odradzam. Odmowę potraktuję jako utrudnianie śledztwa, a stąd już blisko do pomagania przestępcy. Proszę się nie obawiać, to zajmie kilka minut. Ania mówiła mi, że jest pani rozsądną dziewczyną.

Zbaraniała urzędniczka otwarła w zdumieniu usta, po czym zamknęła je i bez słowa wyszła za nim. Rozmowa z każdym ze spiskowców na osobności dlatego przynosi efekty, że osłabia różne postanowienia, przysięgi i obietnice dyskrecji. Po krótkim i nerwowym oporze dziewczyna potwierdziła wszystko. Kiedy już miała wychodzić, spytała go, skąd zna jej siostrę.

– To był blef, droga pani. My w policji musimy umieć blefować.

Pokiwała głową i wróciła do pokoju księgowych. Andrzej pomyślał, że pojęcie blefu potrafi być bardzo rozciągliwe.

Rodzice Pawła Palki mieszkali w nowym i po pomorsku ładnym bloku przy ulicy Ogrodowej. Do charakterystycznych cech tego stylu

należały pastelowe kolory, liczne obwódki wokół okien, daszki, wykusze i balkoniki, a jego zwieńczenie stanowiły łukowate tympanony z nie wiadomo czemu służącymi okrągłymi tarczami pośrodku. Gdyby choć skrywały zegary słoneczne. Albo gołębniki. Nic z tych rzeczy. Po prostu białe kółka, i już.

Na smutnej twarzy matki Pawła najbardziej odznaczały się bezdenne, pozbawione wyrazu oczy. Z drobną posturą i kręconymi na wałkach jasnymi włosami pani Palkowa przypominała przedwojenną nauczycielkę, a jej mały szpiczasty nos wyglądał, jakby Stwórca przy formowaniu trochę za mocno go ścisnął. Krzycki z łatwością wyobraził ją sobie, jak siedzi za biurkiem z okularami zsuniętymi na cieniutki nosek i lustruje klasę spod przymrużonych powiek. Teraz patrzyła i nie widziała. Po obu stronach załzawionych tęczówek rozciągała się ciemna otchłań.

– Mam nadzieję, że pani nie wierzy w winę mojego przyjaciela – zaczął Krzycki, kiedy go wprowadziła do pokoju i usadziła na krześle przy stole.

– Nie. Gdybym wierzyła, nie byłoby tu pana.

Jej głos brzęczał pustką. Usiadła naprzeciw niego, złożyła dłonie na stole i czekała, co ma jej do powiedzenia. Zupełnie jak w szkole. Może faktycznie była nauczycielką? Czuł egzaminacyjną presję, więc starannie ważył każde słowo.

– Kiedy poprzednim razem rozmawiałem z panią przez telefon, wspomniała pani o dziewczynie Pawła. Nie zdążyłem dopytać, ponieważ nasza rozmowa została przerwana...

– Przepraszam za moje wzburzenie.

– To zupełnie zrozumiałe – ciągnął ostrożnie. – Proszę mi powiedzieć, kogo pani miała na myśli.

Bolesny wyraz na jej twarzy pozostał, ale oczy rozbłysły. Na ułamek sekundy wróciło w nich życie, po czym zgasły tak szybko,

jak się zapaliły. Kobieta w środku była martwa i postanowiła taka pozostać. Andrzej wiedział z akt, że miała tylko jedno dziecko, co wcale mu nie ułatwiało wyobrażania sobie, co ona czuje. Nie, chyba w tym stanie nie czuje się już nic.

– Przecież pan wie. Tę jego dziewczynę, policjantkę. Nazywa się Ula Miłęcka. Chodzili ze sobą, ale go zostawiła, a on przestał być sobą. A kiedy zginął, nawet nie przyszła na jego pogrzeb. Wyjechała na urlop!

Pani Palka podniosła głos. Nienawiść to potężna siła, potrafi ożywić umarłych. To akurat umiał sobie wyobrazić.

– Rozumiem. Dlaczego ze sobą zerwali?

– Bo ja wiem? Paweł nigdy mi o tym nie mówił. Pewnie miała kogoś innego.

– Kogo?

Nie dała się zaskoczyć. Uniosła głowę i spojrzała na Andrzeja tymi swoimi szklistymi oczami.

– Nigdy mnie to nie interesowało. Teraz tym bardziej.

– Czy to mógł być ten zamordowany wójt? Mieczysław Kulik?

– Nie wiem. A czy pan już wie, kto zabił mojego syna? Był waszym kolegą, to jego mordercę powinniście ścigać, a nie tego zbereźnika z Grębówka.

Żdzira, zbereźnik. Wirowały tu w powietrzu drobinki jakiejś perwersji. Tej samej, której znacznie potężniejszy wir wyciągnął wójta na szczyt wiatraka i rozpiął na skrzydle w koszmarnej parodii ukrzyżowania.

– Wiem – odparł cicho.

Tym razem dała się zaskoczyć.

– Kto? Niechże mi pan powie!

– Nie mogę podać nazwiska. Powiem tylko tyle, że morderca pani syna porwał mojego przyjaciela, również policjanta, i teraz



czeka na mnie. Prawdopodobnie chce ze mną zrobić to samo co z Pawłem. A może nawet coś gorszego. Takie tam męskie rozrywki znudzonych dżentelmenów. Postaram się nie dać mu tej satysfakcji i założyć kajdanki, bo na tym polega mój udział w tych rozrywkach. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała mi pani pomóc.

– Jak?

– Proszę mi pozwolić zostać jeszcze w domu w Grębówku na kilka dni.

– W porządku.

– I proszę nikomu o tym nie mówić.

– Dobrze.

Zdziwił się, że tak łatwo mu poszło. Kobieta zapadała z powrotem w swoją nicość. Podniósł się z krzesła, pożegnał skinieniem głowy i wyszedł. W progu usłyszał jej głos.

– Niech pan uważa na siebie.

Znieruchomiał.

– Dlaczego pani to powiedziała?

– Zawsze tak mówiłam Pawłowi. Niech pan już idzie.

Ciekawie mu się schodziło po schodach różowo-pistacjowego bloku na ulicy Ogrodowej w Słupsku. Jakby miał pod pachami dwie paczki: jedną z błogosławieństwem, drugą z klątwą.

### 3

Kiedy zgasło jej ostatnie światło? Osiem lat temu, tamtego czerwcowego dnia, czy później, gdy do niej dotarło, co się naprawdę stało? A może już wcześniej, dawno temu, gdy umierająca po wypadku matka na łożu śmierci razem z prawdą o babce przekazała jej błogosławieństwo, a tak naprawdę klątwę? Teraz to już właściwie

nie miało znaczenia. Obciążona tym córka od lat żyła w ciemności, przyzwyczajając się do prawdy, że życie składa się ze spraw, które tracą znaczenie. Wyśmiałaby każdego, kto sprzedawałby jej to jako życiową mądrość. Ale tu nie było się z czego śmiać. Banał dotyczy zawsze innych, nigdy ciebie. Ty za własny banał płacisz złotem najwyższej próby, jak za bilet do vipowskiej łoży na grecką tragedię.

Czekała dwa tygodnie i się nie doczekała, więc należało działać. Działanie ma zbawienny wpływ na ciemność. Niweluje ją, przekreśla, odbiera znaczenie, ponieważ ciemność także składa się ze spraw, które tracą znaczenie. W jednym ze starych filmów akcji Van Damme w finałowym pojedynku został oślepiony jakimś proszkiem i kończył walkę, nic nie widząc, na wycucie. I oczywiście wygrał. Bardzo spodobała jej się ta scena, bo przypominała jej własne poruszanie się w ciemności, po omacku, na ugiętych nogach i z rękami wyciągniętymi przed siebie. Światło zgasło dawno temu.

Powinni się zorientować, ktoś chyba zadzwonił do ośrodka i zapytał o nią. Ten Krzycki z Krakowa to podobno wypasiony glina i kojarzy szybciej od innych. Jedyne sensowne wyjaśnienie ich opieszałości to uwikłanie w śmierć Pawła i zniknięcie Lucka. Dziwne. Paweł i Lucek. Jej dwóch kochanków, obaj gliniarze i żaden nie złapał tropu. Żaden nie wyczuł przez skórę, że w chwili największego zbliżenia, najciaśniejszego zwarcia z jej ciałem ma pod sobą zbrukaną morderczynię. Brała ich w siebie mocno, namiętnie, biodrami podsuwając podpowiedź, a oni nie umieli skorzystać. Wydawało im się, że korzyścią jest przelecenie koleżanki, jak drobnemu złodziejaskowi wydaje się, że lepiej ukraść sto złotych niż milion. Mężczyźni to głupcy. Właściwie tylko to jeszcze pociągało ją w tej smolistej i cuchnącej ciemności:

udowodnić im, że w starciu z kobietą mężczyzna zawsze ostatecznie wyjdzie na głupca.

Jeszcze raz sprawdziła paski, sznurki, tasiemki i klamry. Wszystko działało bez zarzutu, choć i to traciło powoli znaczenie. Przecież został jej tylko jeden, ostatni, i chmury, które po nim nadejdą, nigdy już nie odpłyną. Spojrzała w górę. Zapadające granatowe ciemności działały na jej korzyść, więc z wdzięcznością pomachała ławicy chmur nad polami. Były jak kamienne wieko od krypty, a litościwe niebo zasunie je nad nią po wykonaniu ostatniego zadania. Światło zgasło dawno temu. Wyciągnij ręce przed siebie i zrób, co musisz.

Uchyliła metalowe drzwi do wieży i wśliznęła się do środka. Czujnik światła nad jej głową nie działał, czyli tamten już czekał na górze. Mężczyzna. Seks jest jak ścierwo w pułapce, zwabia drapieżniki, po drodze odbierając im rozum. Wprawnymi ruchami zaczęła wchodzić po drabince. Nie wpinała asekuracji, by nie ograniczać sobie ruchów. Na jednej z pośrednich platform odsapnęła, lęknęła wody i przetarła dłońmi twarz. Już dobrze. Już. Dobrze.

Pokonała ostatnie metry i bezszelestnie weszła do wnętrza gondoli. Maszyny mruczały swoją elektryczną pieśń. Stał tyłem do otworu wejściowego i sprawdzał telefon.

– Jestem – powiedziała głośno, gdy znalazła się na platformie. Mężczyzna podskoczył i odwrócił się.

– Czaisz się jak kotka – mruknął z wymuszonym uśmiechem, masując dłońią klatkę piersiową. Gdyby miała więcej czasu, mogłaby go odesłać na tamten świat za pomocą zawału.

– A kotki lubią ciemność – odparła i uderzyła pięścią w duży czerwony guzik od zasilania.

– Andrzej, naprawdę nie musisz tego robić – powiedział Hadczuk grobowym głosem. – To nasze śledztwo.

Obaj zgodnie kołysali się w rytm pobrząkiwań sprzętu alpinistycznego przewalającego się pod nosem zniesmaczonej suki. Przed nimi w czarnym policyjnym passacie Mrówczyński i Latawiec sprawdzali komfort zawieszenia na wymagających grębowieckich wertepach. Po krótkiej naradzie uznali, że ich czterech wystarczy. Nie organizowali widowiska dla całej komendy, tylko wizję lokalną na potrzeby poufnego śledztwa. Czas dobiegał końca.

– Wasze – zgodził się Krzycki. – Dlatego tu jesteście. Masz kontakt z Kałą?

Hadczuk pokiwał głową i natychmiast zaczął ogryzać paznokcie. W jego trudnym do pozazdroszczenia położeniu los córki znajdował się na pierwszym miejscu, nie umiał jednak zgadnąć, co to właściwie znaczy. Czy powinien w ciemno słuchać tego poznanego zaledwie dwa dni temu mądrali z Krakowa, czy raczej ślepo wypełniać polecenia Kały, który w każdej chwili mógł zrobić z Sylwią, co chciał? Wszystko się sypało. Jego wydział miotał się pomiędzy zupełną bezradnością wobec zbrodni na wiatraku, mnóstwem niejasności co do śmiertelnego wypadku Różańskiego i oskarżeniem zaginionego Bałysia na podstawie spreparowanych dowodów. Kiedy wczoraj Rysiek usiłował na spokojnie wszystko ogarnąć, okazało się, że to niemożliwe. Każde rozwiązanie było złe, i dla niego, i dla całego wydziału. A on nim kierował.

Spojrzał z ukosa na bruneta z zaciśniętymi szczękami, wpatzonego w perłowe niebo nad horyzontem. Dziwny facet. Twardy, nieprzyjemny i sprowadzający dyskusję do warknięć, a

jednak budzący instynktownie zaufanie podobne do tego, jakim dziecko bez pytania obdarowuje dorosłych. Każdy tu był jakoś umoczony. Hadczuk czasem z odrazą myślał, że jego główne zajęcie jako szefa wydziału kryminalnego polega na lawirowaniu między jednym łamaniem regulaminu a drugim. Z zaprowadzaniem porządku miało to tyle wspólnego, co bicie z uczeniem łagodności. Ilekroć próbował uwolnić się z zakłętego i przekłętego kręgu zakłamania, korupcji i zwykłego oszustwa, dobijał do ściany i popadał w jeszcze większą zależność. Ale nie Krzycki. On wygląda jak ktoś, kogo całe błoto policyjnej pracy w ogóle się nie ima. Ma cel i dąży do niego, a inni usuwają mu się z drogi. W zasadzie tacy ludzie w policji nie istnieją, a jeśli nawet kiedyś istnieli, zmiotła ich tak zwana praktyka życiowa, bo brutalność zawsze wygrywa z uczciwością, a dziesięciu może więcej niż jeden. Krzycki w oczach Hadczuka przeobrażał się w apostoła odnowienia, który przyszedł temu wszystkiemu zaprzeczyć i powiedzieć: nie patrz tam, patrz tu. Brał go za rękę i prowadził przez środek pola bitwy bez żadnego uszczerbku, bez draśnięcia, jak jakiś pieprzony prorok. To naprawdę budziło zaufanie.

– Powiedz mi – zebrał się na odwagę – jak ty to robisz.

– Co?

– No, że potrafisz tak stanąć z boku i patrzeć na wszystko jakoś... inaczej. Jesteś inny. Jakby nie imać się ciebie całe to gównie zwane policyjną robotą.

– Może się nie ima.

– Ale dlaczego?

– Gównie – odparł brunet z zaciętą twarzą, wpatrzony w horyzont – musi mieć się do czego przykleić. Może jestem zbyt gładki. Śliski. Ale to nie jest dobra odpowiedź.

– A jaka jest dobra?

– Nie wiem.

– Wymyśl coś.

– Może to stąd, że mam brata biskupa.

– Serio?

– Nie. To znaczy mój przyrodni brat naprawdę został biskupem pomocniczym w krakowskiej kurii, ale to raczej nie jest powód. Ja jestem niewierzący. Jeśli jakiś bóg inwestuje w mój los, to marnuje środki.

Na chwilę zapadła cisza. Szukając na twardym profilu inspektora cieplejszych miejsc, Hadczuk zaczął rozumieć fenomen krakowskiego tandemu. Tamten rozbrajał przeciwników ujmującą powierzchownością, dowcipem, a w razie potrzeby niesłychaną sprawnością fizyczną, ten natomiast obezwładniał przenikliwością i brakiem kompromisów. Każdy był w swoim fachu naprawdę dobry. Bałyś działał siłą mięśni, Krzycki siłą woli i świetnie się uzupełniali.

Dojeżdżali pod wiatrak numer trzy od strony południowej. Zaparkowali w małej zatoczce. Otaczająca ich gryka traciła już swoją panięską biel i nadrabiała braki erupcją mdłych aromatów. Kręciło się od nich w głowie. Krzycki wyjął torbę ze sprzętem, wypuścił psa i zaczął się przebierać. Pod legginsami uwydatniły się mocno umięśnione uda i szczupłe łydki. Hadczuk od razu przetworzył sobie obraz na dane: facet dużo biegał i jeździł na rowerze. Po chwili Mrówczyński i Latawiec dołączyli do nich, każdy z połówką manekina na ramionach. Wyglądali jak para szaleńców z taniego horroru.

– Przepraszam, którą do gabinetu doktora Frankensteinów? – spytał Mrówczyński. – Szef dostał rozdwojenia jaźni.

Krzycki kupił dowcip krótkim śmiechem, ale Hadczukowi nie spodobał się. Aluzja była nazbyt przejrzysta.

– Benio, ty lepiej się przypatrz, jak pracuje prawdziwy policjant. Gdybyś przypadkiem kiedyś postanowił nim zostać. Andrzej, pozwolisz im nauczyć się czegoś od ciebie?

Odpowiedziało mu niezidentyfikowane mruknięcie Krzyckiego, który poprawiał uprząż na sobie jak koń wpinający się sam do bryczki.

– Kurde, szacun, inspektorze – powiedział Latawiec, przyglądając się z podziwem jego osprzętowi. – Wspinał się pan kiedyś?

– Pracowałem trochę na wysokościach, ale ze sto lat temu. Niewiele pamiętam.

– Na pewno da pan radę? – dołączył się Mrówczyński.

– Boję się jak cholera.

– Andrzej, naprawdę... – zaczął znowu Hadczuk, ale Krzycki przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

– Jak jeszcze raz powiesz, że nie muszę, to zadzwonię do Zdybasa, żeby was stąd zabrał. Sam stwierdziłeś, że to twoje śledztwo, więc lepiej skup się i patrz uważnie, bo tak właśnie mogło to wyglądać.

– Nie powinniśmy tego sfilmować?

Andrzej stanowczo pokręcił głową.

– Nie wyjdzie. Jest za mało światła i błyska czerwona lampa. A poza tym jesteśmy tu... nieco nielegalnie. Później napiszesz z tego porządny raport, taki, żeby nawet głupi i przekupny sędzia nie mógł się przyczepić. I żeby Kała zdołał zrozumieć. Ja tu tylko sprzątam, Ryśku, a ty odpowiadasz za resztę. Masz klucz? A wy złóżcie tego Frankensteina w całość i zapnijcie mu linę wokół piersi.

Hadczuk podał mu mały płaski klucz. Ten zważył go w dłoni i schował do kieszeni.

– Teraz uważajcie, bo pokażę to tylko raz. Jak czegoś nie rozumiecie, pytajcie natychmiast. Nie żebym wszystko wiedział, chodzi o sensowną komunikację. To też u was szwankuje.

– Jak się dzielimy? – spytał komisarz.

– Mrówa zostaje na ziemi, Latawiec idzie w górę.

Roześmiali się, ale szybko umilkli, ponieważ zbliżyli się do wiatraka i od razu zrobiło się dziwnie. Krzycki odszedł na stronę. Nawałnica czarnych chmur stratowała zachód i najechała już pół nieba, strasząc wyszczerzonymi jak zęby krawędziami. Tu i ówdzie agresywne jęzory wyrywały się do przodu, tworząc sugestywne formy, z których jedna przypominała brodatego tatarskiego jeźdźca z buzdyganem w ręku. Hadczuk skojarzył go z lajkonikiem i zastanawiał się, co to znaczy. Ale mógł to być również diabeł. Zwyczajny pomorski bies, jakich kręci się tu pełno po uroczyskach i leśnych wądołach. Wiatrak leniwie kręcił śmigłem, oganiając się od demonicznych figur jak od przykrych natrętów. Sięgał wysoko w granatową magmę i mieszał ją z resztkami perłowej masy. Ciemniało. Ogromne, monumentalne elementy tej dekoracji przytłaczały, a oni we czwórkę tkwili tu na dole mali i bezradni jak dzieci. Nagle Ryśkowi Hadczukowi przemknęło przez głowę, że to, co tu robią, sami, bez należytego wykszolenia, zabezpieczeń i odpowiednich asekuracji, jest szaleństwem. Powiedział to Krzyckiemu, gdy ten wrócił. Inspektor westchnął, usiadł na metalowych schodkach przed wejściem i pokazał im, by zajęli miejsca obok.

– Widzę, że nie łapiecie idei całego przedsięwzięcia, więc słuchajcie...

– ...bo powiem to tylko raz – zaryzykował Benek. Śmiech. Udało się.



– No właśnie – zgodził się Krzycki. – Morderca chciał zrobić rzecz niemożliwą. Nie tylko po to, żeby dokonać krwawej zemsty i ubrać ją w teatralne dekoracje. Jak doskonale wiecie, mamy tutaj do czynienia z działaniem zahaczającym o psychozę, to znaczy zbrodnią silnie podszytą negatywnymi emocjami i chęcią ukarania zarówno samego Kulika, jak i wszystkich innych. Policję również. Ten, kto to zrobił, chciał wam utrzyć nosa i pokazać, że nie dorastacie mu nawet do pięt. Że jesteście wszyscy skończonymi palantami, którzy na widok tak spektakularnego widowiska staną pod wiatrakiem z rozdziawionymi gębami i będą bezradnie spoglądać w górę. Jest zupełnie jasne, że nie mógł tego zrobić Maciek Ploh, nawet gdyby potrafił podolać wszystkim wymogom sprawnościowym. A nie potrafił. Przede wszystkim jednak nie był do tego zdolny psychicznie. Znalazł się tam przypadkowo, ponieważ włóczył się swoim zwyczajem po polach w poszukiwaniu utraconego rozumu. Natomiast sprawca działał bardzo racjonalnie, metodycznie i z filozoficznym przesłaniem. Zareagowaliście dokładnie tak, jak zakładał: uznaliście, że to niemożliwe. Jest w tym coś jeszcze.

– Co? – spytał najbardziej niecierpliwy Mrówczyński.

– Morderca chciał wam dać do zrozumienia, że wobec sprawy naprawdę trudnej jesteście bezsilni. Nie poradzicie sobie z trupem na śmigle, tak samo jak nie poradziliście sobie z inną zbrodnią, tą, która dla niego ma szczególne znaczenie.

– Ale o co chodzi? – Tym razem nie wytrzymał Latawiec. – Nie mógłby pan inspektor nam po prostu powiedzieć? Jaka zbrodnia? Gdzie? Kiedy?

– Wiecie co? – odpowiedział pytaniem, co chwilę spoglądając w niebo, jakby czekał desantu. – Dajmy spokój z tym „panem

inspektorem”. Skoro w ciągu najbliższych trzydziestu minut moje życie ma zależeć od was, to ja wolę być Andrzej.

Benek i Łukasz skwapliwie uścisnęli mu dłoń i Andrzej Krzycki pokazał w górę.

– Chyba już jest wystarczająco ciemno. Idziemy.

Przypiął karabińczykiem linę od manekina do swojej uprząży i ruszył ku wejściu. Rysiek zatrzymał go w drzwiach.

– Kazałeś pytać. – Wskazał na kamerę nad wejściem. – Jak to zrobił, że go nie zarejestrowała?

– Dobre pytanie. Zapamiętaj je sobie, bo do niego wrócimy.

– A teraz? Nie zobaczą nas?

– Nie. Zasłoniłem kamerę, kiedy poszedłem się odlać.

– Można tak?!

– Można. Trzeba tylko mieć karteczkę z odpowiednim nadrukiem, dopasowanym do kąta widzenia kamerki. Kiedy nic się nie dzieje, obraz przed wejściem jest nieruchomy i nie ma na czym zaczepić wzroku, dlatego strażnik zerka tylko pobieżnie co jakiś czas. Jeśli przed obiektywem umieścisz odpowiednio spreparowany obrazek, widok na podglądzie przez pewien czas nie będzie budził podejrzeń. Do momentu, kiedy nie zmieni się oświetlenie.

– No właśnie – podchwycił Hadczuk. – Tu jest lampa.

– Ale jak widzisz, nie działa. Włączy się, dopiero gdy będzie całkiem ciemno. Dlatego obraz na podglądzie jest ziarnisty i mało czytelny, czyli łatwo pomylić go z wydrukiem.

– Jasna dupa – mruknął Benek, a Krzycki w zdziwieniu uniósł brwi. Sekundę tak trwał, a potem ostrym głosem nakazał mu pilnować Lali oraz uważać na kamerę, po czym ruszył do środka. Hadczuk pokręcił głową, nic nie rozumiejąc. Lala lepiej знаła swojego pana, więc tylko usiadła na tyłku i przyglądała się sceptycznie.

Wewnątrz wieży paliło się mdłe światło, a każdy dźwięk niósł się pogłosem do góry jak w kominie. Rysiek szedł pierwszy, za nim Andrzej z liną od manekina u pasa, na końcu Łukasz, uważnie przesuwając po poręczy shunta do autoasekuracji. Ich kroki dudniły na metalowych stopniach, powietrze drgało, mruczało i brzęczało od pracy miliona elementów. Im byli bliżej szczytu, tym bardziej hałas rósł. W gondoli brzęczenie przypominało ścieżkę dźwiękową Powrotu do przyszłości. Krzycki rzucił zwoje lin na kratowaną podłogę, a tę od manekina wpiął do poręczy. Następnie kazał Łukaszowi wciągnąć manekina na górę.

– Nie wiem, czy dam radę – odparł tamten.

– Czyli jak brzmi pytanie?

– W jaki sposób ciało Kulika znalazło się na górze? Mogę od razu odpowiedzieć: Kulik wszedł sam.

– Świetnie – pochwalił go Andrzej. – A następne pytanie?

– Co skłoniło go do wejścia? Tu też mogę od razu odpowiedzieć. Morderca znał Kulika i albo mu coś obiecał, albo go zmusił. W pierwszym przypadku mogło chodzić o pieniądze – Kulik był znanym dusigroszem, a w drugim o szantaż. Przerabialiśmy to.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – rzucił od niechcienia Krzycki. – Kulik był nie tylko znanym dusigroszem, ale i kobieciarzem.

Rysiek, który z zainteresowaniem oglądał migające guziki na tablicy rozdzielczej, drgnął. Obraz zaczął mu wirować przed oczami.

– Myślisz, że zrobiła to kobieta? – spytał zdziwiony, odwracając się do Krzyckiego, gdy ten zabierał się do pomagania Łukaszowi we wciąganiu manekina. – Jak to sobie wyobrażasz?

Andrzej nie od razu odpowiedział. Najpierw wciągnęli manekina do gondoli, oparli o obudowę transformatora, a

następnie pan inspektor wymierzył mu solidnego kopniaka i poprawił pięścią w skroń.

– To dla oddania realistycznych szczegółów. Kulik został mocno pobity. A co się tyczy kobiet, mówiłem, że nie umiecie z nimi rozmawiać. Tu – zatoczył ręką wkoło, co miało zapewne oznaczać całe Pomorze – niemal o wszystkim decydują kobiety.

– Dla mnie za trudne. – Latawiec stęknął i usiadł zasapany na podłodze.

– To siedź i patrz. Tu jest taki duży czerwony grzybek, widzisz? Jak krzyknę z góry, wciśnij go. A ty chodź – Krzycki zwrócił się do Hadczuka i odchylił klapę na dach gondoli.

Wyszli na zewnątrz. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Niewielki powiew od lądu jakby nieco przybierał na sile. Granatowa ławica chmur wisiała już nad nimi. Od zachodu podświetlił ją biały błysk.

– Andrzeju... – zaczął znowu Rysiek. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że porywają się na szaleńczy krok. – To nie są optymalne warunki do wizji lokalnej. Wtedy pogoda była inna...

Niepotrzebnie wracał do tematu. Siedzieli na prostokątnym dachu wiatraka jak dwaj rozbitkowie na tratwie pośród czarnego oceanu, a realistycznych szczegółów przydawało migające przeciwlotnicze światło. Andrzej poprawiał zapięcia i sprawdzał zwoje lin. Odwrócił się powoli. Rytmiczne czerwone błyski wyostrzały jego rysy w kanciastą twarz indiańskiego szamana. Obok niego leżał manekin, niczym jeniec na ofiarę dla bóstwa.

– Chcesz rozwiązać tę zagadkę czy nie? Twoje śledztwo czy nie twoje?

Gdzieś daleko zadudnił grom. Śmigło wiatraka nieznacznie przyspieszyło. Rysiek czuł chybotanie gondoli na stumetrowej wieży. Tratwa na oceanie. Kompletne wariactwo.

– Dobrze, zrobimy to – powiedział z rezygnacją. Krzycki skinął i w otwartą klapę krzyknął do Łukasza, żeby wyłączył turbinę. Rozległ się głośny zgrzyt hamulca, naprężone materiały jęczały chwilę jak dusze potępione, po czym śmigło zwolniło i po kilku sekundach leniwego obrotu zatrzymało się jedną z łopat dokładnie pionowo w dół. – Tylko mam prośbę.

– Jaką? – spytał Andrzej, mocując manekina do poręczy biegnącej wokół dachu.

– Spróbuj przeżyć.

W kolejnym czerwonym błysku lampy szczyrzyły się do niego zęby roześmianego Andrzeja Krzyckiego.

– O widzisz, to lubię – odparł z czegoś bardzo zadowolony mądrała z Krakowa i zepchnął kukłę z dachu.

## 5

Do momentu, kiedy Rysiek kazał mu przeżyć, Andrzej zachowywał spokój. Na razie wszystko szło zgodnie z planem, poza burzą na horyzoncie, ale ta była jeszcze daleko. Dopiero kiedy rzucił linę i wpiął się w nią crollem, poczuł drżenie w łydkach. Ukląkł tyłem do stumetrowej otchłani, mając przed oczami zatroskaną twarz Hadczuka, i wtedy nagle opadła go paniczna myśl, że o czymś zapomniał. Gorączkowo szukał w pamięci, o co mogło chodzić. Mglisty wyrzut sumienia, niewypełnione zobowiązanie, zburzony pomost... Jasne, miał zadzwonić do Doroty. Gdyby przyjechała tu z nim, wszystko poszłoby lepiej. Gdyby nie trzymała jej ta głupia kawiarnia o irytującej nazwie. Gdyby nie to, że tamta kobieta, Iza, również miała czarne włosy. Gdyby, gdyby... Spojrzał w dół. Światło dnia już niemal całkiem

odpłynęło, ale nad morzem zawsze zostaje go odrobina, ledwie ciut, ciut, dlatego nigdy nie jest całkiem czarno. W ostatnich pajęczych niteczkach światła, przerywanych czerwono pulsującymi błyskami, dostrzegł sztucznego trupa kołyszącego się cztery metry pod nim, nad czarną ziemią z jedną żółtą plamą oświetlenia. Dalej migwały na szosie reflektory pojedynczych samochodów, jeszcze dalej na północy bliźniacze czerwone światełko sygnalizacyjne znaczyło powolną morską drogę statku. O jeszcze jednym zapomniał: nie poszedł dzisiaj pod Sąd Rejonowy w Sławnie. A czy Ania poszła? Pewnie tak. Nie zastała go i wróciła do domu albo wybrała się do kolegi pożyczyć notatki z lekcji. W środku wakacji to może znaczyć tylko jedno. Spojrzał niepewnie na dłoń Hadczuka na poręczy tuż obok karabińczyka od asekuracji. Życie to gra nieufności. Rysiek wzruszył ramionami.

– Musisz komuś zaufać.

Andrzej chciał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

Pierwsze dwa metry pokonał z łatwością, ponieważ miał w zasięgu ręki ścianę gondoli, pod nią jednak znalazł się na otwartej przestrzeni, w dosłownym sensie, to znaczy ze wszystkich stron otaczała go wielka pustka. Doczepiona do niego lina wydała mu się nagle cienka i krucha, jakby jej wcale nie było, zwłaszcza że w ciemności ledwie ją widział. Podmuchy wiatru kołysały nim jak bombką na choince. Zaciskał z całej siły palce na przyrządzie zjazdowym i opuszczał się centymetr po centymetrze. Trwało to całe wieki. Zorientował się, że w tym tempie będzie zjeżdżał godzinę, więc zebrał się na odwagę i wydłużył odcinki zjazdów. W pewnym momencie lina wysliznęła mu się z rąk i pomknął w dół. Dopiero wtedy zorientował się, że zapomniał o jednej ważnej rzeczy: o rękawiczkach. Napinając mięśnie ud i łydek aż do bólu,

zdołał wyhamować, ale przetarta skóra prawej dłoni piekła niemiłosiernie. Przyłożył ją do policzka i poczuł krew.

Głowa sztucznego Kulika znalazła się nieco powyżej, musiał się podciągnąć. Z przetartą dłonią okazało się to niemal tak fajne jak wyciąganie z pieca rozżarzonych węgli. Za każdym podciągnięciem o dziesięć centymetrów syczał z bólu. Na zachodzie błysnęło, a po kilku sekundach przetoczył się głuchy pomruk. Nic nie jest tak prosto, Krzycki. Zwłaszcza wtedy, gdy chcąc uczyć innych mądrości, sam robisz głupstwa. Bo musisz przyznać, że dyndasz tu teraz na tej linii jak skończony dureń, który zamiast tylko powiedzieć, musiał jeszcze własnoręcznie pokazać. Na tym polega twój główny problem, chłopie. Chcesz być inny niż reszta ludzkości, iść w prawo, kiedy wszyscy idą w lewo, przewidywać najgorsze scenariusze i zapobiegać im za pomocą hajdamackich wymysłów, a potem dziwisz się, że nie kochają cię, jakbyś sobie życzył, i jeszcze mają pretensje. Wiesz, dlaczego tu zwisasz jak baleron w spizarni? Wiesz? Dlatego, że bardziej ciągnie cię do trupów i wariatów niż do żyjących i normalnych. Bo, przypomnę ci, ostatnio w tym miejscu zwisali wariatka i trup. Zgadza się?

Zgodził się, a głuchy pomruk na zachodzie potwierdził, że to dobra odpowiedź. Znalazł się na wysokości tułowia manekina i teraz musiał wymyślić, jak go przytwierdzić do łopaty śmigła.

– Patrzysz?! – krzyknął w górę, by dodać sobie animuszu i zyskać na czasie. Ciemna czupryna Hadczuka energicznie przytaknęła. Andrzej rozhuśtał się nogami, aż sięgnęły powierzchni płatu, po czym odbił się mocno i za następnym podejściem schwycił obłą krawędź. Schwycił i zawył z bólu, ponieważ zrobił to prawą ręką.

– Co jest? – usłyszał z góry.

– W porządku! Uważaj teraz!

Puścił krawędź łopaty i zaczepiwszy o nią prawą stopę, wychylił się w stronę sztucznego Kulika. Na szczęście podmuch szedł prostopadle do powierzchni śmigła, co wynikało z automatycznego ustawienia głowicy frontem do wiatru, i manekin chybotął się w jego stronę. Za trzecim razem się udało. Przyciągnął go do siebie, przypiął koniec liny do piersi i zaczął powoli obchodzić płat, drobiazgowo wspinaczkowymi pantoflami po gładkiej powierzchni. Jedną ręką ciągnął linę kukły, a drugą popuszczał przyrząd zaciskowy. Kiedy obszedł skrzydło wkoło i zapiął do manekina drugi koniec liny, rozpoczął żmudną drogę powrotną.

Następne okrążenie płatu poszło mu nieco szybciej, ale podczas powrotu omal nie spadł. Ścierpięta od długotrwałego wysiłku lewa dłoń zwolniła przycisk crolla i pojechał w dół. Uderzył przy tym skronią w krawędź łopaty i tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że zdołał wyhamować. Lina pod nim owinęła się wokół lewej stopy i zacisnęła, gdy zaczął spadać. Wisiał teraz głową w dół, zupełnie jak manekin kilka metrów wyżej, i obijał się plecami o płat. Wtedy wydarzyły się dwie rzeczy naraz. Za jego plecami rozległ się grzmot i śmigło drgnęło. To było jak przebudzenie smoka, który poruszył się na odgłos burzy. Dreszcz lęku ocucił Andrzeja. Naprężył mięśnie i poderwał ciało do góry. Trzewia przeszył nagły ból, ale udało mu się dosięgnąć liny nad stopą. Wygięty w pałąk podciągał się rękami kawałek po kawałku, aż wrócił do pionowej pozycji. Teraz pozostało mu tylko podejść trzy metry i wykonać ostatnie okrążenie wokół śmigła. Tylko trzy metry. Bagatela.

– Żyjesz?! – krzyknął z góry Hadczuk.

– Nie! Poza tym w porządku!

Powrót zajął mu pięć długich minut. Kiedy za trzecim razem obiegał powierzchnię płatu, zerwał się wiatr i śmigło zaczęło drżeć. Miał wrażenie, że obmacuje stopami grzbiet jakiegoś



przedpotopowego gada. Liny plątały się i dzwoniły o obudowę wiatraka, a on naciągał je i dociskał, mocując sztucznego trupa dokładnie tak samo, jak morderca zamocował prawdziwego. Gdy przed oczami Krzyckiego znalazła się przewiązana sznurami pierś i niebo rozjaśniła błyskawica, przypomniał sobie obraz z Moby Dicka, gdy kapitan Ahab ostatni raz wynurza się spod wody, przytwierdzony do ciała kaszalota. Andrzej przeraził się. To powinien być on. On powinien wisieć tu na miejscu tego bezsensownego worka trocin i ponosić słuszną karę za swoje winy. Za to, że zawsze chciał być inny. I przerażony, kręcić się na wietrze z rozkrzyżowanymi rękami jak strach na wróble. Jak Maciuś Ploh ukrywający samego siebie pod żółtą kapotą.

– Hej!

Najwyższym wysiłkiem woli oderwał wzrok od kukły i podniósł głowę.

– Dosyć! Wyłaź!

Zamrugnął oczami. Na twarz spadła mu kropla deszczu. Dmuchał wiatr i zadudnił grom. Skrzydło wiatraka drgnęło. Odpiął sznur łączący manekina z gondolą i zaczął się podciągać. Prawej ręki w ogóle nie czuł, przez mięśnie brzucha jakiś złośliwiec przeciągał mu rozżarzony żelazny pręt. Andrzej chyba naciągnął mięśnie. Ratowały go stopy. Zapierał się nimi z całych sił i włókł do góry, sapiąc z wysiłku. Gdy dotarł do gondoli, przypominał rozbitka uczonego burty statku ratowniczego. Należało jeszcze wdrapać się na pokład. Podniósł głowę i ujrzał nad sobą wyteżoną twarz człowieka, którego skądś znał. Wołał coś o trzymaniu się liny. Człowiek. Nad nim. Woła. Krzycki zacisnął ręce na kawałku cienkiego nylonowego splotu, wtulił w nie twarz i zamknął oczy. Uderzenie pioruna zabrzmiało jak sygnał. Po chwili lina ruszyła do góry.

– Jezu, chłopie! – usłyszał, kiedy silne ręce złapały go za ramiona i wciągnęły na pokład. Wkoło szumiał wzburzony ocean, a krople deszczu siekły wodę jak podczas sztormu. Leżał na boku z zaciśniętymi powiekami i za nic nie chciał ich rozewrzeć. Chciał zasnąć. Ktoś go siłą posadził i uderzył w twarz. Otworzył oczy. Hadczuk.

– Wwon...czy...eś?

– Co?

– Ww...

Podczołgał się do otwartej klapy.

– Wwonz! – zawołał. Zęby mu szczękały. Z wnętrza gondoli dobiegł niezrozumiały nerwowy krzyk, a następnie rozległ się stuk, po czym cała maszyna ruszyła z upiornym zgrzytem. Andrzej usiadł w kucki i obejmując się za ramiona, patrzył, jak śmigło powoli rusza w górę. Gdy trup doszedł do pozycji pionowej i błysnęła czerwona lampa, a zaraz po niej błyskawica, Krzycki mógł w całej pełni podziwiać swoje dzieło. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim psychopatycznym uśmiechu.

– Piękne, co? – wycharczał i zazgrzytał zębami.

Hadczuk nie patrzył na dzieło, tylko na niego. Po jego policzkach krople deszczu płynęły ciurkiem jak łzy. – Ja pierdołę.

To wszystko, na co zdobył się w swoim podziwiewie. Andrzejowi nie był on jednak do niczego potrzebny. Zrobił to. Wyrównał rachunek. Wprawdzie nie potrafił sobie w tej chwili przypomnieć, kiedy i z kim umawiał się na te rachunki, ale to również go nie obchodziło. Wiatrak kręcił się z jego wspaniałym trupem, wprawdzie sztucznym, ale w czerwonych i białych błyskach prezentującym się niezwykle sugestywnie. Całkiem jak w piekle. Krzycki dyszał ze zmęczenia i satysfakcji. Odwrócił się, by sprawdzić, czy wszystkie inne wiatraki widzą i podziwiają jego

triumf. Na sąsiednim siedziało dwoje ludzi. Dostrzegł ich w ułamku sekundy, gdy błysnęła ich odległa czerwona lampa, ale to wystarczyło. Nawet oni przyszli, by go podziwiać. Obaj. Ten z trójki i ten z czwórki. Nie przypadkiem siedzieli na piątce. Pokazał ich palcem i powiedział do Hadczuka:

– Zobacz, Kulik i Różański przyszli.

Rysiek się nie śmiał. Złapał go za ramiona i mocno potrząsnął.

– Andrzej, przestań! – krzyczał, szarpiąc nim jak kukłą. – Opamiętaj się! Jesteśmy na dachu i walą pioruny, musimy uciekać. Słyszysz? Uciekać!

Zaczął go wlec ku kłapie, ale to nie miało prawa się udać. Andrzej był przypięty do stumetrowej liny zwisającej do samej ziemi i nasiąkającej wodą, a drugi karabińczyk ekspresem łączył go z poręczą. Hadczuk puścił jego ramię i zaczął odpinać asekurację, ale przestał, gdy tylko zorientował się, co robi. Ogłupiały, patrzył tępo w Krzyckiego. A ten nadal się uśmiechał.

– Popatrz – bełkotał. – To naprawdę piękne!

Hadczuk odruchowo się obejrzał. Nic nie zobaczył. Do czasu, gdy błysnęło. Wtedy ich ujrzał. Na sąsiednim wiatraku, na dachu gondoli, siedziało dwoje ludzi.

– Jezus Ma... – jęknął. Resztę zagłuszył trzask gromu.

## 6

Miała go przed sobą w ciemności dokładnie tak, jak sobie to wyobrażała przez ostatnie osiem lat. Pewny siebie, podniecony i całkowicie posłuszny. A także głupi, skoro przyszedł po tym, co przytrafiło się tamtym dwóm. W jakimś sensie nawet mu współczuła i gdyby dotyczyło to kogoś innego, być może zwierzęca

seksualność stanowiłaby rodzaj jeśli nie usprawiedliwienia, to przynajmniej wytłumaczenia. Facet był ofiarą własnego popędu. Jak oni wszyscy. Nieraz zastanawiała się, czy gdyby tamto się nie wydarzyło, mogłaby tak zwyczajnie zakochać się w mężczyźnie, dotykać go z czułością, pieścić i pozwalać mu regularnie wchodzić w siebie. Czy potrafiłaby traktować seks jak codzienną higienę, poranny napęd do pracy albo wieczorne odprężenie po powrocie do domu, tak jak traktuje się prysznic lub filiżankę kawy? Może. Nigdy już tego się nie dowie. Dmuchawiec został zdmuchnięty i jego puchu nie da się już na powrót ułożyć na łodydze.

Położyła mu rękę na kroczu.

– No co, idziemy na górę?

Niezgrabnie objął ją i pomacał tobolek na grzbiecie.

– Po co ci ten plecak?

– Zawsze noszę przy sobie parę niezbędnych drobiazgów. Nie wiem, co nam przyjdzie do głowy.

Ostatnią kwestię zaakcentowała zmysłowym westchnieniem. Otumaniona ofiara jest łatwiejsza w obsłudze. Wyartykułował coś w rodzaju lubieżnego młaśnięcia i przyciągnął ją do siebie.

– Dlaczego chciałaś tutaj? Aż tak ci się spodobało?

– Jak chcesz naprawdę zadowolić kobietę, nie zadawaj zbyt wielu pytań. Zwłaszcza głupich pytań.

Ścisnęła jego puchnący rozporek i delikatnie pociągnęła.

– Chodź.

Bronił się. Testosteron nie zawładnął do końca jego mózgiem, resztką rozsądku wysyłała sygnały ostrzegawcze. Biedak.

– Nie możemy tutaj? Burza idzie. Przyznaj się, masz w tym plecaczku kocyk.

Oczywiście, że nie miała. Nie przyszła tu pieprzyć się z tą męską ciężarówką, której wydaje się, że jest prawdziwym facetem, bo lubi

gwałcić. Puściła jego spodnie i ocierając się o niego, podeszła pod klapę. Znała rozkład gondoli na pamięć, wystarczyło jej światło zielonych lampek kontrolnych na tablicy rozdzielczej.

– Oczywiście, że mam. Ale przyszedłam tu pieprzyć się z prawdziwym facetem i w dobrym stylu. Gdybym chciała być jak i z być kim, nie wydzwaniałabym po zapracowanego szefa firmy i najlepszego fiuta w okolicy, każąc mu włączyć na stumetrową wieżę. Jeśli to robię, to dlatego, że potrzebuję odpowiedniej oprawy. Twoja szkoła. To jak, idziesz?

Poniekąd mówiła prawdę. On był wtedy pierwszy, dlatego zostawiła go sobie na koniec. Wisienka na torcie, jak w każdym porządnym kryminale. Postawiła stopę na metalowej drabince, wypinając w jego kierunku tyłek w legginsach. Czuła jego łakomy wzrok, niemal słyszała, jak krew szumi w jego nabrzmiewających żyłach.

O plastikową klapę w dachu zabębniły pojedyncze krople deszczu.

– Pośpiesz się. Nie mamy dużo czasu.

Wahał się tylko tak długo, jak długo pozwoliło mu na to jego libido. W końcu skapitulował i ruszył za nią. Wcisnęła czerwony grzybek i turbina zatrzymała się. Ciszę natychmiast wypełnił pomruk burzy.

– Nie bój się – mruzczała zmysłowo. – W razie czego policja jest na miejscu.

Zarechotał niepewnie. Liczyła, że przypomnienie tego uspokoi go i skróci męki niepewności. Wydostali się na wierzch. Ciepłe podmuchy rozwiewały jej włosy, krople deszczu łaskotały twarz jak opuszki palców niewidzialnej wietrznej damy. Białej Pani. Usiadła po turecku, wpięła się karabinkiem do poręczy i podała mu rękę. Kiedy usiadł naprzeciw niej, porządnie się rozpadało.

– Przypnij się – powiedziała, oplatając go liną przez pierś i pod pachami. – Wyobraź sobie, że jesteś moim więźniem, cha, cha! Miałeś kiedyś takie BDSM?

Patrzył jej prosto w oczy, kiedy sięgnęła do poręczy. Szczęknął zatrzask karabińczyka. Wtedy jego źrenice rozszerzyły się, jakby od środka, na siłę, rozwarło je uderzenie prawdy. Zbladł.

– Dostyc tego! – wycharczał, pochylając się ku niej. – Chodź tu, dziwko!

Prawą rękę włożył jej między nogi, a lewą złapał za pierś. Próbował się na niej położyć, ale przeszkadzała mu uprząż. Zaczął się szamotać i kląć. Spływały po nim strugi deszczu, więc puścił ją i jedną dłonią przecierał twarz, a drugą rozpinał spodnie. Uderzył piorun. W białym świetle zobaczyła go w całej okazałości: wielkiego, oślizłego bydlaka, wygrzebującego z podbrzusza swoją sterczącą dumę, swoją wzniosłość, swoją plugawą tożsamość. To było cudowne. Na to czekała osiem lat. Wałący w pobliżu piorun przeszył ją dreszczem rozkoszy. Oparła stopy na ramionach mężczyzny i pchnęła z całej siły. Poleciał do tyłu z wybałuszonymi oczami i dłonią obejmującą obnażony członek, jak lubieżny satyr z greckiej wazy. Sekunda zrozumienia na jego twarzy zlała się z sekundą rozpacz. Rozłożył ręce i runął w dół z dokładnie takim samym grymasem bólu i przerażenia, jaki widziała u Kulika. Otarła mokłą twarz. I zamarła w zdziwieniu.

Kulik wisiał. Spośród wszystkich migoczących w zasięgu wzroku wiatraków tylko jeden tkwił unieruchomiony – właśnie trójka z dobrze widocznym trupem przytwierdzonym do śmigła. Zamrugła, ale widmo nie znikło. Przeciwnie, w następnym błysku dostrzegła je wyraźniej, z tak samo przechyloną głową i rozkrzyżowanymi ramionami. Na dachu gondoli ktoś klęczał, zupełnie jak jej odbicie. Tylko że deszcz nie tworzy takich

zwierciadeł. Jakiś człowiek modlił się do trupa na wiatraku. Do jej trupa.

Z osłupienia wyrwał ją zgrzyt liny i charkot. Wychyliła się za poręcz i dostrzegła ohydnie wykrzywioną twarz Klisza. Zwiślał metr niżej, kopiąc w ścianę gondoli. Właściwie mogłaby go zostawić z tą liną wpijającą się w klatkę piersiową, jego serce długo nie wytrzyma w tym napięciu.

– Wciągnij... mnie... dziwko... – charczał.

– Dobrze – powiedziała zimno, prosto w jego wybałuszone oczy.

– Ale pod jednym warunkiem.

– Czego... chcesz...

– Cofnij czas o osiem lat i dwa miesiące. Do tamtego wieczora.

– Szmato...

Zatrzepotał w desperackim skurczu jak złowiony marlin. Popatrzyła na sąsiedni wiatrak. Teraz klęczeli we dwóch. Jej wyznawców przybywało, patrzyli na nią. W następnym czerwonym błysku pomachała do nich przyjaźnie ręką, po czym sięgnęła za siebie do bocznej kieszeni plecaka.

– No to nie zrobimy dealu – stwierdziła rzeczowo i przecięła linę. Wtedy usłyszała szczekanie psa.

## XIII

### Czarny anioł

#### I

Na szczekanie Lali pierwszy zareagował Krzycki. Poderwał się i omal nie spadł z wiatraka, pchnięty nagłym uderzeniem wiatru. Syknął z bólu, złapał się za brzuch i natychmiast upadł z powrotem na kolana, odpychając wyciągniętą dłoń Hadczuka.

– Powiedz Benkowi, żeby ją puścił. I niech biegnie za nią! Musimy ją złapać!

– Kogo, sukę?

Krzycki, który na czworakach dotarł już do klapy, obejrzał się z niechęcią.

– Kobietę z sąsiedniego wiatraka. Twoją morderczynię.

– Skąd wiesz, że to kobieta?!

Tamten zniknął już we wnętrzu gondoli i krzykiem ponaglał Łukasza do schodzenia. Wiatr wiał, deszcz zacinał, przytwierdzony do śmigła manekin kręcił się wkoło i Hadczuk był pewien, że w kolejnych błyskach widzi jego wyszczerzone zęby. Kobieta? Wszyscy powariowali, tylko on jeden jest normalny? Czy może to jemu zaszkodziły te maniakalnie powielane wypieki żony i do reszty stracił rozum? Nerwowo przeszukiwał pamięć i żadnej ze znanych mu kobiet nie potrafił dopasować do profilu bezwzględnego mordercy o psychopatycznych skłonnościach i nadludzkiej sprawności fizycznej. Kiedy coś zaczęło mu się przejaśniać, usłyszał krzyk Andrzeja:



– Złazże z tego dachu! Spadamy stąd!

Gorliwie posłuchał nazbyt ryzykownie sformułowanego polecenia, ponieważ jako człowiek nadmorski nienawidził wysokości, i wgramolił się do gondoli. Głowa Łukasza znajdowała się właśnie w otworze zejściowym. Krzycki wyciągnął rękę, ale nie była to pomocna dłoń. Chodziło mu o krótkofalówkę.

– Benek, słyszysz? Biegnij za nią! Nie trać jej z oczu! Co? W ciemności? Nie wiem, kurwa! Włącz latarkę albo co! Leeć! I nie strzelaj!!!

Prychnął coś jeszcze, po czym wgramolił się do wieży. Przez chwilę sprawdzał, czy nie da się przyśpieszyć schodzenia przez odblokowanie kłódki asekuracyjnej i użycie jej w charakterze przyrządu zjazdowego, ale okazało się to niemożliwe. Rysiek doszedł do wniosku, że to bardzo dobrze, bo albo Krzycki by spadł i się zabił, albo po drodze zgarnąłby sierżanta Latawca i zabiliby się obaj. Stawiając ostrożnie stopy, żeby nie zrzucić błota na głowę Andrzeja, cały czas główkował, o co tu chodzi.

– Nie mógłby Benek poczekać przy wejściu? On... ona i tak musi zejść.

Nie pasowała mu ta kobieta. To zwyczajnie nie mieściło się w głowie.

– Nie zejdzie – odparł z przekonaniem Krzycki.

– Jak to? Odleci?

– Dokładnie – usłyszał burknięcie. – Myślże, kurwa, Hadczuk. To twoje śledztwo. Dałem ci wszystkie kamyczki do układanki, złóż je wreszcie w całość. Kto może łatwo dostać się do bazy danych firmy ochroniarskiej i wymazać nagrania? Kto wie, jak zablokować nagrania z kamery przemysłowej? Kto ma wyszkolenie bojowe umożliwiające pobicie faceta do nieprzytomności, i to tak, żeby

udusił się własną krwią? Kto zna się na śmiertelnych krwawieniach?  
Kto może mieć taką wiedzę?

– Lekarz sądowy...

– Noo. Super. I kto jeszcze?

– Jeszcze? Nie wiem. Może... technik policyjny.

Nagle spadł mu na głowę kubek lodowatej wody.

– Andrzej, chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Tak, dokładnie to chcę powiedzieć. W tym sensie Kała miał rację, żądając natychmiastowego rozwiązania zagadki. Naprawdę chodzi o policjanta. Tylko ktoś od wewnątrz mógł tak pokierować tą sprawą.

– Ale skąd wiesz, że to kobieta?! – krzyknął Rysiek trochę za głośno, ponieważ ze zdenerwowania noga mu się obsunęła i omal nie poleciał w dół.

– Zielona Gmina – warknął Krzycki.

Ich podeszwy dzwoniły po metalowych stopniach, grzechotanie mechanizmów asekuracyjnych brzmiało jak diabelski chichot. Hadczukowi skojarzyło się to ze schodzeniem kanałami do piekła, co wcale nie dodało mu otuchy, nie mówiąc o tym, że utrudniało logiczne myślenie. Znowu się pośliznął i zaklął, na co Krzycki odpowiedział dokładnie tym samym przekleństwem. W tym momencie zadzwoniła komórka Ryśka. Patrycja z dyżurki.

– Panie komisarzu – zaczęła zdyszana, jakby to ona zbiegała niekończącą się drabiną do piekieł, a nie on. – Nie ma jej tam.

– Kogo nie ma?

Krzycki właśnie zeskoczył z ostatnich czterech stopni, przykląkł i znów zaklął, ponieważ zawisł na kłodce od asekuracji, po czym wypiął ją nerwowym szarpnięciem i pobiegł do wyjścia. Komisarz Hadczuk schodził z telefonem przy uchu i zastanawiał się, czy już

spaść, czy dać sobie jeszcze jedną szansę w tym zasranym i pełnym niesmacznych wypieków życiu. Nie potrafił się skupić.

– Uli Miłęckiej – odparła Patrycja. – Kazał mi ją pan ściągnąć z urlopu, ale kiedy się wreszcie dodzwoniłam do tego obozu spadochronowego, bo próbowałam chyba z dziesięć razy, no to kiedy się dodzwoniłam...

– Szybciej, dziewczyno!

– To mi powiedzieli, że wczoraj rano wyjechała. Posłałam patrol do jej domu, ale nikogo nie zastali. Sąsiedzi niczego nie słyszeli, nikt jej nie widział.

– Dobra, dzięki. Sorry, muszę kończyć.

Rozłączył się, wypiął kłódkę i wybiegł za Krzyckim z wiatraka. Deszcz i wiatr uderzyły go w twarz, cucąc z na wpół sennego odrętwienia. Jedna półkula mózgowa nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co kategorycznie podsuwała jej druga. A jednak...

– Patrycja dzwoniła – zaczął, jękając się jak uczeń pod tablicą – że Uli Miłęckiej nie ma na obozie. Wróciła do domu, ale tam jej też nie ma. Nikt nie wie, gdzie jest.

Krzycki przestał na chwilę tłumaczyć coś Łukaszowi i odwrócił się.

– Rysiek, otrzeźwiej. – Pokazał ręką przed siebie w czarną moką ciemność. – Ona jest tutaj. Właśnie wylądowała i biegnie przez pole kukurydzy. Nie wiemy tylko, w którą stronę. Jedyнным tropem jest szczekanie Lali, ale właśnie ucichło gdzieś... – zamachał ręką jeszcze raz – ...w tamtym kierunku. To chyba tam zginął Maciek Ploh. Idź od prawej, Łukasz od lewej, ja idę środkiem. Benek niech też rusza. Spotkamy się pod tamtym wiatrakiem.

– Wylądowała...? – bełkotał komisarz.

– Na spadochronie. Przecież była na obozie spadochronowym. No już, raz-dwa!

Krzycki nadržabiał miną, ale obrażenia po wariackiej brawurze na wiatraku dawały o sobie znać. Kulał, łapał się za brzuch prawą dłonią, a zaraz potem syczał i przystawiał ją do twarzy. Hadczuk wbiegł w pole gryki, tak jak kazał Andrzej, i rozglądał się na wszystkie strony, choć nie bardzo wiedział po co. Jego uwagę w całości zagarniały szalone myśli. Ula? Ta sama sympatyczna, zawsze wesółka i chętna do pomocy Ula Miłęcka, najlepsza z ich techników i fajna koleżanka, której jako jedynej ufali? To przecież jeszcze większe wariactwo niż wyczyn Krzyckiego na śmigle! A ona? Jak ona to zrobiła?!

Biegł łukiem do wiatraka numer pięć, potykał się, zahaczając butami o tę cholerną splątana grykę i ocierał twarz z wody leżącej się coraz mocniej z nieba, niczym kara za jego ciemnotę. Przed oczami tańczyły mu zdjęcia z obozu spadochronowego i kurs skałkowy. Chwaliła się nim dwa lata temu, gdy zaczęła u nich pracować, zaraz po studiach. Rysiek przypomniał sobie również ich wspólne ćwiczenia przed wizytacją z ministerstwa. Ula pokazywała rzuty, pady, ciosy obezwładniające, jakby pracowała w brygadzie antyterrorystycznej, a nie w laboratorium kryminalistycznym. Ale dlaczego? Co się stało?

Zaczepił nogą o zielsko, wyciągnął się jak długi na polu i w ostatniej chwili podparł się na wysuniętej ręce, dzięki czemu nie zarył twarzą w grębowiecką glebę. Podniósł się i zaklął, a w odpowiedzi zobaczył błyskawicę i usłyszał huk gromu. Burza zawisła nad nimi i najwyraźniej nie chciała iść dalej. Ten piorun jakby walił go po głowie. Myśl, baranie! Myśl, co się stało!

Ni stąd, ni zowąd przypomniało mu się zdanie Krzyckiego: „Nie umiecie rozmawiać z kobietami”. A zaraz potem odtworzył sobie w głowie scenę sprzed roku, kiedy żona, wręczając mu makutrę z ciastem do ucierania, powiedziała, że na miejscu tej Miłęckiej nigdy

by już tu nie wracała. „Po tym, co ona przeszła”, rzuciła i westchnęła, a on był wtedy przekonany, że chodzi o jej sieroce wychowanie. Rodzice Uli zginęli w wypadku samochodowym, kiedy dziewczyna miała trzynaście lat. Wychowywała się u dalekiej krewnej, a potem przyjechała do Grębówka i zamieszkała...

Znowu się potknął i upadł na kolana, ale tym razem nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Wstając, walnął się pięścią w czoło. Ula Miłętka na czas nauki w liceum zamieszkała u Płohów! A potem pracowała krótko w gminie, tak samo jak Zofia Płohowa, i jak jego żona, zanim porzuciła bezpłodną pracę biurową i bez reszty poświęciła się pieczeniu ciast. One wszystkie znały się stamtąd! Ba, musiały gadać ze sobą, jak to baby w robocie, i pewnie słyszały to i owo. I jeszcze ta cholerna Zielona Gmina i plotki o historiach z dziewczynami...

Podniósł twarz do góry, żeby krople deszczu zbiły go porządnie po pysku. On tu siedzi od urodzenia, zna wszystkich jak własną kieszeń, gada z ludźmi, węszy, wypytuje – i gównu wie. A przyjeżdża zafajdany inspektorek z Krakowa i w ciągu trzech dni dowiaduje się rzeczy, o których Rysiek nie ma pojęcia. Jak Andrzej to robi? Że niby umie gadać z kobietami? Debil Maciuś mu podpowiada, a wiatrak dostarcza dowodów? Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? Co to za kraina?

– Rysiek! Rysieek! – doleciało do niego przez deszcz. Stał tuż pod wiatrakiem numer pięć, a z jego drugiej strony coś się działo. Podchodził do Krzyckiego i Latawca jak po polu minowym, ale niepotrzebnie. Najgorsze przypuszczenia zawsze się potwierdzają.

– Znacie go? – spytał Andrzej, świecąc na pokierszowaną głowę, przekręconą w stosunku do reszty ciała w zupełnie niewiarygodny sposób. Klatkę piersiową mężczyzny owijała lina wspinaczkowa, a spod opadniętych spodni świeciły gołe pośladki. Z

otwartych ust ciekła krew i rozcieńczana deszczem natychmiast wsiąkała w ziemię. W oczach już na wieczność zastygło zbaraniałe zdziwienie, które Hadczuk dobrze pamiętał. Jego kumpel z podstawówki nigdy nie był zbyt rozgarnięty.

– Tak – powiedział, ocierając policzki z wody. – To Zbigniew Klisz, właściciel firmy transportowej spod Korczewa.

## 2

Andrzej pomyślał, że to byłoby zbyt piękne, gdyby sprawy nie szły najgorzej, jak tylko potrafią. Lala znikła. Benek Mrówczyński również nie dawał znaków życia, jego krótkofalówka milczała. Z nieba waliła iście biblijna ulewa, więc nawet gdyby ktoś teraz krzyczał, szczekał albo w inny sposób próbował mu dać wskazówkę, i tak by jej nie usłyszał. Jego samego waliło w lewej nodze, małe gnomy bólu rwały kleszczami mięśnie po kawałeczku, w brzuchu nadwyrężone ścięgna wyły jak harpie, a w pozbawionej naskórka dłoni ledwie mógł utrzymać latarkę. Po chwili zresztą ją odrzucił, bo mimo wodoszczelnej obudowy zamokła i zgasła. Wśród złowrogo szeleszczących łodyg kukurydzy zapadła apokaliptyczna ciemność. Czarna dupa, czyli dla Krzyckiego warunki optymalne.

Pobiegł na wschód. Musiała opadać z wiatrem, na spadochronie chyba inaczej się nie da. Nie znał się na tym za bardzo, ale przy tej wysokości i tak silnym podmuchu wydawało mu się niemożliwe manewrowanie skrzydłem na tyle, by zmienić kierunek. Trzeba było w ogóle się nabiedzić, by wylądować i nie zginąć. A może jej się nie udało? Ciężki deszcz, podmuch, dziura powietrzna z podciśnieniem i koniec, czasza nie zdąży się rozłożyć. Tylko że Ula Miłęcka zaliczyła z wyróżnieniem kurs skoków z tak zwanym

spadochronem szybującym, na którym można spokojnie opuścić stumetrowy wiatrak. Pod warunkiem, że się umie. Przy tym wietrze? I deszczu?

Jego przewidywania naprowadziły go na właściwy trop. Po chwili krążenia natrafił na wydeptany krąg w kukurydzy i nogi zaplątały mu się w spadochronowe linki. Ula wylądowała tutaj i pobiegła dalej. Na czaszy czarnego skrzydła białe skoślawione pasy układały się w nazwę SELMA 5. Przystanął. Włożył trzy palce do ust i krzyknął nazwę spadochronu. Wyszło mu coś z grubsza przypominającego „zieziazie”. Być może Maciuś Ploh próbował mu przekazać, że sprawca wylądował na spadochronie z napisem „Selma 5”. Zieziazie, niech to szlag! Znowu powtarzała się stara zasada: znaki mówiły, tylko on nie umiał ich odczytać.

Nie zdążył tego porządnie przemyśleć, gdy kołaczące mu się po głowie pytanie o Benka Mrówczyńskiego i Lalę uzyskało odpowiedź w postaci głośnego szczeku. Pobiegł w tamtym kierunku co sił, kulejąc i objając się barkami o sztywne łądygi. Sprawdził glocka pod przemoczoną do cna kurtką i zawahał się, czy byłby w stanie go użyć. Nie znał tej dziewczyny, nie widział na oczy i nie zamienił z nią słowa, ale... Nie wiedział, jak to nazwać. Jakieś mgliste współczucie otaczało jej wizerunek. Kto czemu jest tu winien? I jak echo jego krakowskich ekscesów wracało pytanie: kto jest bardziej szalony, ja czy świat? Wanda terapeutka zawsze proponowała w tej kwestii odpowiedź odwrotną niż on.

Benek leżał w błocie, przytomny, ale skuty plastikowymi kajdankami oraz zakneblowany rękawem własnej bluzy. Nad jego głową poszczekiwała Lala.

– Zaskoczyła mnie! – wykrzyknął, gdy tylko Andrzej wyjął mu knebel z ust.

– Kto, Lala?

– Nie! Ta kobieta!

– Ta kobieta? Nie rozpoznałeś jej?

– Nie, miała kominiarkę na twarzy. Była całkiem czarna i pobiegła tam. – Wyciągnął spętane ręce przed siebie.

– W nocy wszystkie kobiety są czarne – rzucił Andrzej przez ramię, omijając go i gwizdząc na Lalę. Ta zamierdała ogonem i wyrwała do przodu.

– Hej, a ja? – zaprotestował Mrówczyński, pokazując na związane stopy. – Uwolnij mnie!

– Po co? Jesteś ranny i źle widzisz, Beniu. To Ula Miłęcka. Czekał tu spokojnie, pomoc jest w drodze.

Zostawił go z rozdziawioną w zdumieniu gębą i pogрузzył się w kukurydzianej nocy. Nie potrzebował dłużej towarzystwa. Lala biegła tuż przed nim, ostrożnie badając teren i oglądając się, czy Krzycki idzie za nią. Szedł. Wiatr osłabł i teraz deszcz siekł morze rozkołysanych liści równo i metodycznie. Skapywał na ziemię i obracał ją w prehistoryczne błoto. Zewsząd dochodziły szepty, pomruki, szelesty, szemrania... Andrzejowi lało się za kołnierz i w butach chlupotała gliniano-piaszczysta magma, ale jego to uspokajało. Nareszcie miał to, co lubił. W takich warunkach jego wewnętrzny mechanizm destrukcji funkcjonował najlepiej. Rzeczy trudne i skomplikowane zmieniały się w łatwe i proste. Zanikało tysiąc spraw, a zostawała ta jedna. Nie było już Krakowa z Dorotą, Dominiką, mieszkaniem po matce i nielubianą komendą policji, nie było wszystkich tamtych wielkich i głupich czynów, tamtej beczynności. Znikły napięcia między nim dawnym i nim dzisiejszym, między piciem i abstynencją, wiernością i zdradą, dniem i nocą, wszechmocą i niemocą – nie było już żadnych innych Krzyckich, tylko on tu, teraz. I mrok. I ona gdzieś niedaleko, w zasięgu ręki, ubrana na czarno, w kominiarce, pod którą



bezszykownie ukrywa się przed sobą. Dwoje czarnych duchów polujących na siebie w bezdennej ciemności. Tak, to uspokajało. Stąd oboje mieli równie blisko do śmierci, jak do życia. A oni błędzili pomiędzy i każde z nich wiedziało, że wyjdzie stąd tylko jedno. Czysta, prosta umowa, bez aneksów.

O kimś jeszcze zapomniałeś, Krzycki. Nie, nie zapomniałem. Lucek, idę.

Jak pieczęć na dokumencie na niebie rozbłysło białe drzewo błyskawicy i polami przetoczył się ogłuszający huk. W oślepiającym, rentgenowskim oświetleniu Andrzej dostrzegł tuż przed sobą wielką postać, płynącą nad łanem kukurydzy. Miała żółtą kurtkę, szeroki kapelusz i szczyrzyła zęby zupełnie tak samo jak manekin na wiatraku numer trzy. Przykucnął, syknął z bólu i przytulił policzek do karku Lali.

– Cicho, piesku, cicho...

Lala nie zamierzała odpowiadać, przecież była cicho. Krzycki chyba mówił do siebie. Czują, że cały drży. Czyżby przestraszył się spleśniałego ubrania na patyku? Wszystko przez to jego beznadziejnie upośledzone powonienie. On widzi tylko oczami, dlatego pewnie wydaje mu się, że to człowiek.

Krzycki przetarł twarz i podniósł się. Spokojnie, to tylko ostatnia kryjówka Maciusia Płoha, cholerny strach na wróble. Dziwne, że nie zdemontowali go po tym, co tu się stało. Wcale nie był żółty, tylko wyobraźnia nałożyła na straszdyło tamten widmowy strój. Obeszli z Lalą łukiem nieprzyjemnego stwora i z powrotem zanurzyli się w gąszcz. Ciemność znowu otuliła go szczelnym płaszczem, przez który jak echa innego świata dochodziły ledwie zauważalne czerwone błyski wiatraków. Gdzieś za nim powinni przedzierać się Hadczuk i Latawiec, może już dotarli do Mrówczyńskiego, uwolnili z tych niepoważnych więzów i podążali

teraz we trójkę jego śladem. Musiał się śpieszyć. Lubił taką robotę kończyć sam, inni ludzie nie są mu do niej potrzebni. Zwłaszcza jeśli tymi ludźmi są koledzy policjanci, skłonni do zaprowadzania porządku siłą jeszcze przed rozpoznaniem sytuacji.

Jaki porządek? Gdyby chciał porządku, powinien po odnalezieniu objąć Ulę Miłęcką ramieniem, pocieszyć, że już teraz będzie dobrze, i odprowadzić do komendy nie w charakterze morderczynie, lecz bohaterki. A na śmigle wiatraka zamiast kukły powiesić Artura Kałę. O, to by miało coś wspólnego z porządkiem. Następnie nakłoniłby wszystkie te zacięte i milczące kobiety do zeznań, zbudowałiby wspólnie wielką koalicję okoliczności łagodzących i może udałoby się przynajmniej umieścić dziewczynę w zamkniętym ośrodku zamiast w więzieniu. Po wypełnieniu kilkuletniego programu terapii i resocjalizacji miałyby szansę wyjść na wolność i...

I co? Wrócić tu, do Grębówka? Po to, żeby błąkać się samotnie po polach jak głupi Maciuś i kłaść na głowę kapelusz do ochrony przed wiatrakami? Jaka korzyść w błędzeniu po labiryntach dawnej traumy? Nawet nie jednej, tylko wielu szalonych traum, w tym podwójnego, nie, potrójnego zabójstwa. Krzycki, opamiętaj się, jesteś policjantem. Dopadnij ją, zakuj w kajdanki, te prawdziwe, metalowe, dyndające z tyłu pod kurtką, i odprowadź chłopakom ze słupskiej komendy. Masz do czynienia z wielokrotną morderczynią, która potrafi działać metodycznie i bezwzględnie. Pamiętaj, to kombinacja zerojedynkowa, albo-albo. Wychodzi tylko jedno. Do tego ta dziewczyna jest cholernie sprawna...

Lala zastrzygła uszami i znieruchomiła. Przykucnął, wyciągając przed siebie prawą rękę, i po chwili usłyszał jakiś dźwięk. Podniósł się i ruszył w jego stronę. Szedł na ugiętych nogach, rozgarniając pędy. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy.

Krzycki sięgnął po broń, zacisnął palce na kolbie, z niechęcią wcisnął pistolet z powrotem do kieszeni, a następnie znowu po niego sięgnął, gdy dźwięk przybrał na sile. To było blisko, bardzo blisko. Lala zaskamlała, jakby chciała udatnie naśladować dochodzący do jej uszu jęk. Ludzki jęk.

### 3

Kłęcząca w kałuży błota, z twarzą do ziemi i rękami przyciśniętymi do brzucha, jak w ataku wyrostka robaczkowego. Jej szloch pulsował w rytmie kołyszącego się ciała. Nie zareagowała na skamlenie psa ani okrzyk, by położyła ręce na głowie. Kiwała się i zawodziła cicho, monotennie, nie zwracając na nich uwagi, zamknięta w kokonie własnego bólu. Po chwili wahania Andrzej przystawił jej pistolet do karku.

– Wyciągnij ręce przed siebie i wstań powoli.

W ogóle go nie słyszała. Kiedy schował glocka i właśnie miał jej założyć kajdanki, przewróciła się w błoto. Jęk się urwał. Po odczekaniu rozsądnej chwili, kiedy tkwiła tak nieruchomo z twarzą w wodzie, Krzycki pośpiesznie schował kajdanki do kieszeni kurtki, ujął dziewczynę pod pachy i podniósł. Poddała się bez żadnego oporu, jej bezwładne ciało do złudzenia przypominało kukłę, którą niedawno przypiął do śmigła i która zapewne nadal się tam kręciła. Ula stała tuż przed nim. Jego wzrok oswoił się z ciemnością na tyle, że rozróżniał kształty w najbliższej odległości, ale jej rysów, znanych mu z fotografii, rozpoznać nie mógł. Dopiero kiedy strugi padającego deszczu zaczęły w jej twarzy żłobić bruzdy, uświadomił sobie, że jest cała w błocie. Nagle otwarła oczy. Na tle błotnistej czerni błysnęły białe gałki. Lala warknęła.

– Ty jesteś Krzycki, prawda? – Ula spytała miękko, jak zbudzona ze snu.

– Tak. Wyciągnij ręce przed siebie, muszę ci założyć kajdanki.

– Nie trzeba – powiedziała i przetarła rękawem obmytą twarz. Teraz ją poznał. – Zabierz mnie stąd.

Andrzej wielokrotnie miał okazję przekonać się, że inteligencja jego suki, niestandardowa nawet jak na psią, zalicza się do nieprzeciętnych. Lala w pewnych okolicznościach reagowała tak, jakby na przykład słyszała, o czym Krzycki rozmawia z Bałysiem i na co się umawia. Inaczej niż większość psów (oraz policjantów) wyczuwała intencje Andrzeja i biegła dokładnie w tym kierunku, w którym należało. Inaczej mówiąc, zachowywała się jak dobrze zintegrowany członek zespołu. Nie zawsze, ale wystarczająco często, by Krzycki przestał te jej umiejętności bagatelizować.

Biorąc pod ramiona rozwaloną psychicznie i półprzytomną Ulę, usłyszał ostrzegawcze warknięcie Lali, jednak je zlekceważył. Zwłaszcza że dokładnie w tym samym momencie Miłęcka syknęła z bólu. Myślał w tej chwili tylko o tym, że omal jej nie zastrzelił i że pierwsza podpowiedź intuicji była słuszna: dziewczyną należało się zaopiekować, wymagała współczucia i wsparcia. Ujmując ją pod ramię i przekładając sobie przez szyję jej lewą rękę, z niejaką dumą konstatawał, że jednak zna się na ludziach. Czasem udaje mu się przenikliwie wejrzeć w ich zbląkane dusze. Sam miał za sobą skuteczną psychoterapię, wiedział, jak cenne jest wsparcie bliźnich w poszukiwaniu drogi wyjścia z egzystencjalnego dna. Dobrze wiedział, jak to jest. Człowiek człowiekowi nie tylko zbrodniarzem, ale i podporą. Trzeba mieć serce i patrzeć w serce. Jeszcze ludzkość nie zginęła. A głupi kundel nie rozumie i warczy!

– Co jest? – spytał niemal czule.

– Chyba skręciłam nogę przy lądowaniu. Było trudno.

– Cud, że w ogóle ci się udało – odparł i objął ją mocno w pasie. – Ja bym się nie odważył.

Utykała wyraźnie, całym ciężarem uwieszona na nim, a on włókł ją w kierunku najbliższego wiatraka, którego numeru nie umiał rozpoznać. Nieważne, sprawdzą na miejscu. Nadrabiał miną, ale jego noga również promieniowała wściekłym bólem.

– Ale trupa odważyłeś się powiesić. Gratuluję.

– Dzięki. Co nie zmienia faktu, że jesteś kompletnie stuknięta.

– Wiem.

Kiedy to powiedziała, uświadomił sobie, że palnął kardynalne głupstwo. Zgodnie z jedną z żelaznych zasad psychiatrii wariatowi nie wolno mówić, że jest wariatem. Lala warknęła głośno i skoczyła do nogi Uli, było już jednak za późno. Poczuł, jak lewa ręka dziewczyny zaciska się na jego szyi i równocześnie jego stopy odrywają się od ziemi. Uczył się blokowania rzutów, ale w momencie utraty kontaktu z podłożem jest już po sprawie. Błyskawicznie obróciła się wokół własnej osi, oparła sobie Krzyckiego na biodrze prawej nogi i grzmotnęła nim z całej siły o ziemię. Wszystko, co miał nadwyreżone – kolano, splot słoneczny, lewy bark, prawa dłoń – zawyło pieśń rozpaczony i spowolniło jego reakcje na tyle, że nim zdołał się pozbierać, cios w szczękę pozbawił go przytomności. Ostatnie, co słyszał, to wściekły warkot Lali.

Ocknął się. Ciepły deszcz szedł z dołu do góry. Rytmicznie, jak z ręcznej pompy. Otworzył oczy i natychmiast je zamknął pod uderzeniem kropel. Czyli tamto drugie to był inny deszcz. Pomacał ręką i natrafił na ciepłą sierść. Lala lizała go po twarzy.

– Dobra, wygrałaś. Wstaję.

Podparł się na łokciach i rozejrzał się. Uciekła.

– Uciekła – powiedział na głos, jakby nie ufał swojej głowie. Miał powody. – Wiesz może dokąd?

Lala odbiegła dwa metry, szczeknęła i wróciła. Pomasował obity podbródek i stanął na nogi. Cios zjechał po lewej szczęce, w ostatniej chwili sprowadzony z prawidłowej linii przez jakieś zakłócenie. Domyślił się, że wskutek interwencji Lali. Nie pojął jej ostrzegawczych warknięć, więc zdecydowała się na atak. Okazała się nieco mądrzejsza od niego. Nawet nieco więcej niż nieco.

– Dzięki, piesku, kupię ci kilo kiełbasy – mruknął i ruszyli dalej w kukurydziany gąszcz.

Rozpoczął się drugi akt pierwszego z finałów. Deszcz wciąż lał jak zapłacony przez arabskiego szejka, ale pioruny waliły już z mniejszym zapalem, widocznie ich zaangażowanie w oprawę sceniczną nocnej akcji z pełnego przeszło w umiarkowane. Błędnie założyły, że najciekawsze już minęło.

#### 4

Deszcz przestał padać nagle jak zakręcony prysznic. Zapadła oszałamiająca cisza i Krzycki zatrzymał się w pół kroku, niepewny, czy naprawdę zrobiło się cicho, czy to on ogłuchł. Ale nie. Słyszał kapanie kropel z liści i chlupot wody we własnych butach. Krok, chlup, krok, chlup. I jakieś takie ni to skwierczenie, ni syczenie, wydobywające się z dziurek przy sznurowadłach. Lala była teraz skoncentrowana, biegła bezszelestnie w stronę najbliższego wiatraka.

Wariant pierwszy upadł, przechodzimy do wariantu drugiego, zdecydowanie mniej koncyliacyjnego, pomyślał Krzycki i przeładował glocka. Ula okazała się bardziej niebezpieczna, niż mu się wydawało. Nie – bardziej niebezpieczna, niż komukolwiek się śniło. Powinien był przewidzieć, że Miłęcka, która przez dwa lata

uchodziła za świetną techniczkę kryminalistyczną i fajną koleżankę, jest również niezłą aktorką. Miał wszelkie dane po temu, by dokonać właściwego założenia podczas przygotowań do aresztowania, a jednak dał się wywieść w pole. Pozwolił się wystrychnąć na dudka jak zwykły palant, a teraz zabawa zaczyna się od nowa, według nowych, nieznanym mu reguł.

Przelane obfitym deszczem pola zaczęły dymić. Raz, dwa, trzy, co się wyłoni z mgły. Już kiedyś przez to przechodził. Zanurzał się w taką niepewną psychotyczną mgłę, dokładnie w tym samym celu: żeby odstawić szalonego mordercę do szpitala zamiast do więzienia. Tylko że tamten manewr się udał, a ten nie. No więc jak wygląda ten drugi, trudniejszy wariant? Znowu zabijesz, Krzycki, zanim ktokolwiek zdąży ci przypomnieć, że jesteś policjantem, a nie rzezimieszkiem?

A może doczekasz się, że wreszcie ktoś ciebie zabije i skończy się męcząca zabawa w jedzenie, spanie i kopulowanie, co ludzie z braku lepszych pomysłów nazywają życiem. Przyznaj, to cię rajcuje. Odpuść. Poczekaj na tamtych, daj im kilka minut na dotarcie tutaj. We czterech zorganizujecie coś w rodzaju obławy...

Skok był tak niespodziewany, że gotowy na każdą ewentualność Andrzej nie zdążył nawet unieść ręki z pistoletem. Przyczaiła się za gęstą kępą łądyg, od strony oświetlonego wejścia do wiatraka. Rozproszone we mgle światło reflektora tworzyło nad polem srebrną aurę. Zobaczył ruch i w następnej sekundzie już leżał w błocie. Odebrała mu broń jak zabawkę dziecku i rzuciła w gąszcz. Zacisnęła palce na jego szyi, a gdy zaczął się bronić, przetoczyła go na brzuch i wykręciła lewe ramię. Krzyknął z bólu. Obrócił się na bok, żeby odciążyć mięśnie brzucha, ale ona bezbłędnie wyczuła moment i kopnęła go kolanem w twarz. Zamroczyło go. Usiłował sięgnąć po kajdanki, ale złapała jego prawą dłoń i wyłamała palce.

Ryknął na całe gardło, licząc, że tamci są w pobliżu. Wariant numer dwa na razie przedstawiał się fatalnie. Dla niego.

– Oduść – wychrypiał przez wciśnięte w błoto usta.

– Ty też.

Jej głos brzmiał inaczej – matowo i beznamiętnie, jak z wmontowanego w Androida generatora mowy. Przemiana, jaka zaszła w tej kobiecie w ciągu zaledwie kilku minut, mogła przerażać. Nie chodziło już tylko o zręczne aktorstwo, lecz o innego człowieka w tym samym ciele. Słaba, zdesperowana i półprzytomna ofiara traumy za jednym kliknięciem myszki zmieniła się w syczącego sukuba w obcisłym kombinezonie. Gdyby nie to, że Andrzej leżał z policzkiem wciśniętym w błoto i ręką wywinętą do góry jak maszt, na którym zapomniał zatknąć białą szmatę kapitulacji, pomyślałby, że to jakaś gra komputerowa. W każdym razie pasek jego energii pulsował na czerwono w okolicy zera.

Znowu pomogła mu Lala. Najpierw z krótkiego doskoku ugryzła Miłęcką w łydkę, a kiedy ta usiłowała ją kopnąć, czmychnęła na drugą stronę i znowu ugryzła. Nie ma takiego profesjonalizmu, który oparłby się odruchom obronnym wobec atakującego psa. Wykrecając rękę Krzyckiego, z lewą stopą na jego karku, Ula musiała patrzeć w obie strony naraz, jej dezorientacja i irytacja rosły. Machała raz nogą, raz ręką, sycząc jak żmija. Jej uścisk nadal przypominał żelazne okowy, ale androidalną równowagę diabli wzięli. Wściekła się i wyszarpnęła zza pasa nóż.

– Zabiję cię, suko! – wrzasnęła.

Andrzej zdążył pomyśleć, że jeśli Lala zaatakuje z właściwej strony, on z wykreconym lewym ramieniem będzie mógł przewrócić się na lewy bok. Psi rozum zadziałał bezbłędnie. Suka zamarkowała skok i cofnęła się, jakby prowokując wściekłego sukuba. Gdy wystartowała po raz drugi, Miłęcka zamachnęła się z



kocia zwinnością, uderzając nie z boku, lecz z góry. Lala odskoczyła i uniknęła ciosu. Prawie. Andrzej usłyszał rozpaczliwy skowyt i poczuł, że ucisk na karku i nadgarstku zelżał. Nagłym szarpnięciem obrócił się, równocześnie podciągając nogi pod siebie, i nagle dziewczyna znalazła się tuż nad nim, w rozkroku, z nożem nad głową. Lewą nogę miał pod sobą, ale prawa była wolna. Kopnął prosto w górę. Trafił w krocze i kobieta z jękiem osunęła się na ziemię. Teraz znalazł się nad nią i działając jak automat, nadepnął na nadgarstek uzbrojonej dłoni. Uniósł pięść, by uderzyć, i nagle wszystko zajaśniało w świetle błyskawicy. Ujrzał jej czarne włosy, rozpięte na powalonej kukurydzy jak welon, zaciekłą twarz i nieludzkie puste oczy. „Zabiję cię, Krzycki”, usłyszał w głowie i zmroziło go. Zrozumiał, że tej walki nigdy nie wygra. Chciał uderzyć w twarz Izę. Jeszcze przed chwilą otoczył ramieniem i pocieszał Dorotę, ale tu przed nim leżała Iza, jego jedyna prawdziwa miłość, którą już raz kiedyś zabił i chciał to zrobić ponownie. Zawahał się. Wtedy uderzył grom.

Polami przetoczył się potężny huk i ziemia zadrżała. Może to od tego, a może z powodu przemęczenia stopa Andrzeja zsunęła się z nadgarstka Uli. Usłyszał złowrogie chlupnięcie odklejanego od błota ubrania i nagła eksplozja bólu w lewym kolanie zwała go z nóg. Upadł na wznak. Zacisnął zęby i otworzył powieki, by natychmiast z powrotem je zamknąć. Nad nim błysnął nóż. Westchnął z ulgą. Koniec.

Usłyszał diabelski chichot i zmusił się do ponownego otwarcia oczu. To nie nóż, lecz gwiazda. W kłębach burzowych chmur otwarła się niewielka szczelina, w której błyskała Wega. I to nie ona chichotała, ponieważ Wega należy do gwiazd przyjaznych. Podniósł głowę i zobaczył postać na tle czerwonej latarni wiatraka.

– Wstawaj, Krzycki, to jeszcze nie koniec – zachichotała Ula.

– Iza, poczekaj... – wybełkotał, ale postać znikła w zaroślach. Popatrzył w niebo. Wega również znikła. Zaklął pod nosem. Z trudem się podniósł i stwierdził, że na lewej nodze stoi mu się jak na złamanej protezie. Gdzieś za jego plecami zaskuczała Lala. Podeszedł do niej, kulejąc, i powiedział rzeczowo:

– Leż tu, piesku, zaraz wrócę.

Jęknęła z rozgoryczeniem na znak, że za grosz mu nie wierzy. Machnął ręką i zostawiając swoją wybawczynię na pastwę nocy i cierpienia, ruszył w stronę majaczącego we mgle wiatraka. Najbardziej intymna część duszy od dawna podpowiadała mu, że jeśli to ma się w ogóle skończyć, to tam.

## 5

Raz, dwa, trzy, co się wyłoni z mgły. Stała na metalowych schodkach i czekała, aż Krzycki dobrnie do piaszczystej drogi dojazdowej, pełnej monstrualnych podłużnych kałuż. Szedł ku niej jak pijany, zataczając się. Zatrzymał się na środku niewielkiego placu, oślepiony reflektorem bijącym mu prosto w twarz. Musiała celowo go tak ustawić. Zabawa elementami wyposażenia wiatraków należała do jej ulubionych. Już nie chichotała.

– Chodź, zakończmy tę zabawę.

Przysłonił oczy dłonią i kilkanaście metrów dalej zauważył kwadratową bryłę samochodu, w którym rozpoznał własną toyotę. No tak, nie mogło być inaczej. Ona chce to skończyć w miejscu, gdzie zaczęła. Temu gigantycznemu strachowi na wróble, zwanemu przez miejscowych wiatrakiem numer trzy, przypisywała znaczenie wyjątkowe, tu mieściło się jądro traumy. Andrzej przypomniał sobie, że w samochodzie ma nóż, i skręcił w prawo.

– Zostaw ten pistolet – usłyszał jej spokojny głos. – Zrób to po męsku.

– Idę po nóż. Żeby było po męsku.

Nie odpowiedziała. Patrzyła zimno i uważnie, jak podchodzi do toyoty, otwiera drzwi od strony kierowcy, wyjmuje nóż, unosi w dwóch palcach do góry. Pomyślał o leżącym tuż obok paralizatorze i natychmiast odrzucił ten pomysł. Sprawa zaszła za daleko. Jak to mówiła terapeutka Wanda? „Twoja anima, Krzycki, jeszcze nie raz cię wywiedzie w pole”. Tego wieczora już po raz drugi wiodła go na wierzchołek wiatraka numer trzy.

W wieży z bocznych paneli sączyło się mdłe żółte światelko. Przewaga Uli nad nim wynosiła jakieś dwadzieścia metrów. Rytmiczne dudnienie kroków na metalowych szczebelkach wiodło ich w górę jak bitewne werble, zagrzewające do walki swoich i przerażające wroga. W połowie drogi utknął. Nie mógł postawić kolejnego kroku. Przetknięte kolano przy wchodzeniu skrzypiało tak, jakby lada chwila miało się rozsypać, zdarta skóra prawej dłoni piekła jak płonąca rękawiczka. Uderzona szczęka spuchła i uwierała jakimś wielgachnym, na poły fantazmatycznym kulfonem. Mięśnie brzucha straszyły go wyobrażeniem monstrialnej obwisłej przepukliny, która niebawem pociągnie go w dół jak worek kartofli. Zerknął do góry. Dziewczyna parła pewnie do owalnego wejścia. Andrzejowi przemknęło przez myśl, że gdyby chciała popełnić efektowne samobójstwo, mogłaby po prostu rzucić się z drabiny, po drodze strącić go i oboje malowniczo roztrzaskaliby się na betonowej podłodze. Nie byłby w stanie ani się odsunąć, ani osłonić. Pacnęliby razem i rozprysnęli się jak przejrzałe gruszki, mieszając swoje DNA w sposób niemożliwy do rozplątania dla jej kolegów po fachu. Ta myśl naprawdę mu się spodobała. Podjął ręką lewe kolano, podniósł je na kolejny stopień i spróbował. Utrzymało

ciężar. Następnym razem również. Po kilku próbach znów unosiło się samodzielnie. Coś w nim chrobotąło, ale ze trzy śrubki jeszcze się trzymały.

Zanim włożył głowę w otwór gondoli, wziął nóż w prawą rękę, ostrzem w dół, jak zwykł robić, gotując się do krwawej rozprawy. Nóż w zaciśniętej pięści kasował w nim wątpliwości i wyzwalał czystą pierwotną energię. Ból ustąpił, skończyło się myślenie, zaczęło się działanie. Lucek powiedziałaby, że w Andrzeju włączył się tryb grobiański. Dla Miłęckiej, jeśli w ogóle potrafiła zarejestrować tę zmianę, powinno to oznaczać wzmożoną czujność i ostateczną mobilizację. Chcesz szaleństwa, dziewczyno, to będziesz je miała.

Nie wszedł do gondoli, tylko wybił się z ostatniego stopnia i wtoczył na kratowaną podłogę, pamiętając, że z tyłu po prawej jest ściana. Przywarł do niej plecami, ściskając nóż przed sobą, gotów uderzyć we wszystko, cokolwiek poruszy się w zasięgu wzroku. Nie wyłączyła światła ani mechanizmów; turbina szumiała monotonnie, kontrolki migotały, kłapa była otwarta.

– Chodź, żołnierzu, czekam! – usłyszał z dachu. Byłoby zbyt pięknie, gdyby nie szło najgorzej. Trudno, trzeba prześnić ten koszmar do końca. Smętym ruchem obmacał się w pasie, gdzie za poprzednią tu bytnością miał zapiętą uprząż z karabińczykami i ekspresami. Pozbył się ich, ruszając w pościg, żeby było lżej. No to jest lżej. Namacał jedynie kajdanki i po krótkim namyśle zapiął jedną bransoletę na lewym nadgarstku, drugą ukrył w rękawie kurtki. Z nożem w zębach, jak syberyjski myśliwy, podczołgał się pod klapę i wychynął na zewnątrz.

Wiatr owionął jego mokre włosy i przeszył go chłód. Na horyzoncie błyski malowniczo podświetlały od spodu czapę chmur. Burza oddalała się jak syty terroru najeźdźca, który zrobił swoje i idzie na nowe terytoria. Ula Miłęcka stała po przeciwnej stronie, z

nogą na czerwonej lampie sygnalizacyjnej. Metr za nią ziała przepaść. Usiadł na krawędzi klapy.

– Uła – zaczął najspokojniej, jak umiał. – Nie rób tego.

– Czego?

W jej pytaniu brzmiała spokojna pewność siebie, co nie wróżyło niczego dobrego.

– Wiem, że ci trzej wyrządzili ci wielką krzywdę. Mamy dosyć dowodów i przesłanek, aby przed sądem wykazać, że działałaś w desperacji i wskutek traumatycznych przeżyć. Jeżeli poddasz się dobrowolnie procedurze...

– A co ty, Krzycki, wiesz o traumach?

– Wystarczająco wiele, by znać ich potęgę. Zaufaj mi, jeśli przedstawiś wszystko dokładnie w zeznaniach...

– Nic nie rozumiesz – przerwała mu, zdejmując nogę z lampy i robiąc krok do przodu. Spiał się i zacisnął dłoń na uchwycie noża. – A powinieneś, bo podobno jesteś inteligentny i odczytany. Na pewno słyszałeś o tajemnym związku miłości i śmierci, wszyscy poeci o tym piszą. Sojusz alkowy i grobu, jak by powiedział ktoś tam. Słyszałeś też pewnie, że orgazm to mała śmierć. Wierz mi, mam w tym względzie specjalne doświadczenie. Zdradzić ci mój sekret? Jasne, że chcesz. Wy, faceci, o seksie kobiet możecie słuchać bez końca.

– Jeśli tylko po to tu jestem...

– Nie tylko. Widzisz, tak się składa, że każdy facet, który mnie miał, nie żyje. A ponieważ miał mnie również twój Lucek – choć właściwie powinnam powiedzieć, cha, cha, że to ja go miałam – on również powinien zginąć. Niestety, został uprowadzony i znalazł się poza moim zasięgiem. Za niego musisz zginąć ty.

Zrobiła kolejny krok w przód i stanęła na rozstawionych nogach, gotowa do skoku, celując w niego palcem. Pulsująca na

czerwono lampa trochę go oślepiła, za to fenomenalnie podświetlała sylwetkę grębowieckiej modliszki, której długie mokre włosy układały się w jakąś wyrefinowaną wieczorową fryzurę. Oparł stopy na półce, czujny, aby w każdej chwili uchylić się przed ciosem. Głowę spowijał mu bolesny zamęt. Miała Lucka?

– Wstań – warknęła ostro.

– Nie.

– Wstań i walcz jak mężczyzna. Przecież po to tu się wdrapałeś, głupcze.

– Nie jestem głupcem, sama powiedziałaś.

– Gdybyś choć raz, przelatując przygodną panienkę...

Nie słuchał jej. Prowokował tylko do gadania, by dać sobie czas. Gdyby potoczył się pod nogi Uli, mógłby ją przewrócić i wepchnąć w otwór klapy, głową w dół. Lepsze ogólne obrażenia od upadku z wysokości metra niż martwy worek pogruchotanych kości po upadku ze stu metrów. Podciągnął prawą stopę i natrafił na klamkę futryny okna. Powinna utrzymać.

– ...bo zaliczyłeś ich dwadzieścia, a może pięćdziesiąt, i ani razu nie przyszło ci do głowy, że dla niej to może być koszmar. Wydaje ci się, Krzycki, że jak tobie jest dobrze, to jej też, i sprawa załatwiona. Dlatego twierdzę, że gównu wiesz o naszych traumach...

Skoczył, wybijając się z prawej nogi, ale gdy przyszło do lądowania na lewej, poraził go przenikliwy ból i zamiast obalić Ulę, wyciągnął się jak długi u jej stóp. Przeskoczyła go z wdziękiem baletnicy i wybuchnęła śmiechem. Poderwał się i w zwierzęcym odruchu zasłonił twarz, podpierając się mocnym wykrokiem w tył. Zmiotła go prostym ciosem stopy w klatkę piersiową i poprawiła pięścią, ale ta już na szczęście nie trafiła celu. Wykonując przewrót za siebie, modlił się, by czerwona lampa i słupek odgromnika wytrzymały, bo od nich zależało teraz jego życie. Uderzył w nie

plecami i lewą ręką chwycił poręcz. Wyrzucił przed siebie nogi, ale Ula ze śmiechem odskoczyła i teraz przyglądała mu się jak ciekawemu okazowi, który właśnie spadł z kosmosu. W pulsującym zza jego pleców świetle kombinezon dziewczyny lśnił teraz na czerwono. Wyjęła nóż.

– Wstań. Nie będę cię zarzynała jak prosiaka.

Pod nadgarstkiem czuł chłód bransoletki od kajdanek. Gdyby zapiął drugą, miałby coś w rodzaju asekuracji, ale wtedy nie mógłby wstać. A jeśli wstanie, będzie to najprawdopodobniej jego ostatni stand up w życiu. Get up, stand up, jak śpiewał Bob Marley, z tym że on wtedy, mądrała, miał całe kolano.

Za jej plecami podnosiła się łopata śmigła z manekinem zwisającym pokracznie wśród poplątanych lin. Kapitan Ahab dyndał na grzbiecie plastikowego kaszalota niczym wahadło zegara, opasany liną idącą przez pierś i pod pachami. Rozkołysane nogi kreśliły pajacykowate tik-tak, tik-tak. Krzycki wbił wzrok w kukłę, a kiedy ta zniknęła za sylwetką kobiety w czarnym kombinezonie, która z nożem w ręku zamierzała mu wypłacić rachunek za Lucka, przechylił się nieco, by lepiej widzieć.

Nie wytrzymała. Odruch w chwili najwyższego napięcia zawsze pokonuje ośrodki samokontroli. Ula odwróciła się, żeby sprawdzić, co go tak interesuje za jej plecami. Ta sekunda to było już coś.

– Spieprzył robotę, Krzy...

Poruszył się. Chciał prawą nogą odepchnąć się od lampy, a lewą dosięgnąć łydki Miłęckiej. Nie myślał o jej nożu ani o tym, że miała Lucka, ani o swojej spieprzonej robocie na śmigle, ani o jeszcze bardziej spieprzonym kolanie. Myślał o jej zgrabnych kostkach, ciasno obleczonych nogawką. Powinno styknąć.

Odepchnął się i przekręcił na bok. Teraz obchodziło go tylko, by sięgnąć kostki dziewczyny, zanim ona sięgnie nożem jego pleców.

Złapał jej ubłocony miękki pantofel i wyprężył się do granic wytrzymałości, zdziwiony, że jego pleców nie przeszywa zimne ostrze. A może już przeszyło, tylko on nic nie czuje. Prawą dłońią namacał drugą bransoletkę i zacisnął ją na kostce Uli. Szczęknął zatrzask. Styknęło.

Zawyla wściekle, ale popełniła błąd. Chcąc się uwolnić, uniosła stopę, zamiast upaść kolanem na przykład na jego brzuch. To by załatwiło sprawę.

– Spieprzyłaś robotę, Ula – wykrztusił i schwycił jej pantofelek. Pchnął do góry, jednocześnie szarpiąc kajdankami. Anioł w czarnym kombinezonie rozciągnął się nad nim i z głośnym łomotem runął na dach. Nóż potoczył się po dachu i zamilkł.

## 6

W ułamku sekundy znaleźli się w dziwnej pozycji: on pod nią, z głową między jej udami, ona z twarzą przy jego prawej łydce. Wierzgnęła przykutą stopą, a on zakręcił się na plecach, by się wydostać, i jego nogi przez moment zawisły w pustce poza gondolą. Gdyby znowu wierzgnęła... Nie zrobiła tego. Poderwała się i wtedy on zdołał sięgnąć burty od klapy. Dopiero teraz Ula szarpnęła z całej siły, ale już trzymał się mocno, a na dodatek prawą stopę wcisnął pod barierkę. Wytrzymał napór, zacisnął zęby i skupił na myśli, czy jego lewy bark nie rozleci się dokładnie tak samo jak przedtem kolano. Przywarł do dachu. Utrzymać za wszelką cenę. Musisz mnie zabić, dziewczyno.

Wśród pól pod nimi zamigotała parada policyjnych i strażackich kogutów, a między nimi również pomarańczowe agencji ochrony. Zaraz tu ktoś wejdzie i zakończy ten absurd. Ale to



będzie zaraz. Daleko na Bałtyku błysnął piorun. Nad krawędzią chmur mrugały ciekawskie, świeżo splukane deszczem gwiazdy. Jak gromada entów kręciły się po polu wiatraki z czerwonymi latarkami na czołach. Zasadniczo było bardzo pięknie.

Spodziewał się, że będzie chciała go celnie kopnąć. Że spróbuje namacać nóż i wbić mu go w rękę, nogę, brzuch albo w tyłek. Gdyby pozbawiła Andrzeja przytomności, pewnie zdołałaby się wypiąć i uciec, uprzednio zepchnąwszy go z gondoli. Ona jednak nie zwabiła go tu po to, by którekolwiek z nich przeżyło. Pojął to w momencie, gdy zamiast zaatakować go, uklękła i odwróciła do niego uśmiechniętą twarz.

– Sam chciałeś.

Wybiła się z obu nóg i rozłożyła ręce do lotu. Przygotował się i zgął w łokciu lewą rękę, by zwiększyć opór, ale szarpnięcie było tak potężne, że pięść grzmotnęła w dach z piekielnym dzwonieniem łańcuszka uderzającego o metalową poręcz. Cudem wytrzymał i Krzycki z wdzięcznością pomyślał o szwedzkiej stali, z której zrobiono kajdanki. Nie wytrzymała za to prawa ręka i wysliznęła się z otworu klapy. Zdołał złapać się poręczy, gdy usłyszał głuchy łomot i drugie szarpnięcie przetestowało wytrzymałość jego kości i ścięgien. Dziewczyna krzyknęła. Zamknął oczy i zacisnął szczęki, dysząc przez zęby. Pomyślał, że teraz wytrzyma, ale jakaś nierówność w dachu gniotła go niemiłosiernie w pachwinie i spodziewał się lada chwila utracić męskość. Stęknął i zmienił pozycję. W tym samym momencie Ula szarpnęła się i jego dłoń z bransoletą ze szwedzkiej stali ześliznęła się z poręczy. Wychylił się, zaczepiony jedynie stopami o otwór klapy. Demon bólu w najlepsze grasował po jego ciele.

Miłęcka zwisała z gondoli głową w dół, przypięta za nogę kajdankami do jego ręki. Pod nimi wyły syreny i krzyczeli ludzie.

Trzaskały drzwi od samochodów. Ktoś wołał przez megafon, żeby się odsunąć. Kręcili się jak robotnice w mrowisku, tylko że od tej ich mrówczej roboty nic w zasadzie nie zależało. Ciężar odpowiedzialności spoczywał teraz – w każdym możliwym sensie – na jego nadwyreżowanym ramieniu i zrujnowanym kolanie.

– Podciągnij się i złap mnie za rękę – powiedział. To znaczy chciał powiedzieć, ponieważ z gardła wydobył się bulgot niewiele lepszy od zieziazie. Ona jednak rozumiała. Uniosła się, przytrzymując za kolano unieruchomionej nogi. Brakowało pół metra. Jej twarz ginęła w mroku.

– Dasz radę – wychrypiał. – Podaj mi... drugą... nogę.

Ta kwestia wyszła mu znacznie lepiej, chociaż brzmiała idiotycznie. Wydawało się, że nie zrozumiała, o co mu chodzi. Podciągnęła się wyżej i od końców palców do kostki z bransoletą było już naprawdę niewiele. Sapała głośno.

– Nie rękę... nogę...

Czuł, jak stopy milimetr po milimetrze wysuwają się z otworu. Większość ciężaru dwuosobowego układu spoczywała teraz na prawej ręce, napierającej na poręcz zabezpieczającą krawędź dachu. Ile jeszcze zostało? Minuta? Dwie?

Gdy usłyszał za sobą pośpieszny stukot butów na kratowanej podłodze gondoli, uległ odruchowi, który w chwilach napięcia przewycięża mechanizm samokontroli. Na sekundę odwrócił głowę, a wtedy Ula Miłęcka szarpnęła się i poderwała do góry. Gdy spojrzał z powrotem w dół, w czerwonym błysku zobaczył jej wykrzywioną twarz, wyszczerzone zęby i rozrzucone na wietrze strąki zlepionych włosów. Stopę wolnej nogi przerzuciła przez poręcz i podciągnęła się na tyle, że bez trudu dosięgła kajdanek. Lewą dłoń zacisnęła na kostce wokół bransolety. W prawej trzymała kluczyk.

– Pierdol się, gliniarzu – wyszczała głosem sukuba i zanim zdążył cokolwiek zrobić, wetknęła kluczyk w dziurkę i przekręciła. Szczęknął zwalniany mechanizm i Andrzej poczuł, jak jego ramię odskakuje od burty. Próbował jeszcze sięgnąć stopy dziewczyny, ale ta właśnie w ostatnim straceńczym geście wystrzeliła w górę. Poczuł muśnięcie, jakby chciała na koniec zadrwić z jego polecenia, koniuszkami palców dotknął nawet przemoczonego ciepłego mokasyna, nie zdołał go jednak schwycić.

– Nie – wyrzęził, jakby to cokolwiek mogło zmienić. Wirująca figurka Urszuli Miłeckiej minęła gondolę i pomknęła w przestrzeń, malejąc z każdą sekundą na tle żółtej plamy światła przed wejściem do wiatraka numer trzy. Andrzej zacisnął powieki. Otworzył je, dopiero kiedy poczuł, że ktoś łapie go za stopy.

– Żyjesz? – usłyszał zasapany głos Hadczuka.

– Nie.

Zaciskał teraz obie dłonie na poręczy, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. Pomyślał, że jeśli się poruszy, któraś z jego kończyn odpadnie. A najpewniej wszystkie.

– A ona? Gdzie ona jest? – słyszał za sobą nerwowe pytania człowieka z oporami gramolącego się na dach. Krzycki przeturlał się na środek gondoli, wyciągnął na plecach i rozłożył ręce. W tej pozycji najmniej bolało. Dokładnie nad nim, między chmurami, połyskiwała pojedyncza sympatyczna gwiazda. Wega.

– Tam – powiedział, wskazując palcem niebo.

## XIV

### Ciężarówka

#### I

Kiedy Rysiek Hadczuk zobaczył buty Krzyckiego, przeraził się, że widzi trupa. Schwycił je i zaraz puścił.

– Żyjesz?

– Nie – odparł trup. Głos miał całkiem żywy. A ponieważ na pytanie o dziewczynę odpowiedź padła równie niejasna, komisarz wychylił głowę przez klapę. Żywy trup tymczasem przewrócił się na plecy i z rozłożonymi rękami podziwiał niebo nad sobą, pokazując je palcem. Uli nigdzie nie było i Hadczuk poczuł ucisk w żołądku. Gdy za nim do otworu gramolił się Mrówczyński, Rysiek kazał mu poczekać i podpełzł na kolanach do Krzyckiego. Nie lubił wysokości i dalekich widoków, a już raz dzisiaj się przemagał, włączając na stumetrową wieżę. Zdaje się, że to się nazywa agorafobia. Nim tu wszedł, już wiedział, że będzie chciał natychmiast zejść.

– Andrzej, czy ona...

– Uhm.

– To co tak leżysz?

– Bo nie mogę wstać.

Nie dość, że ta cholerna wysokość była zdecydowanie za wysoka, to jeszcze drażniła go czerwona lampa migająca mu prosto w oczy. Pochylił się nad Andrzejem i próbował w tych piekielnych błyskach zorientować się, co się stało. Zobaczył nieruchomy wzrok wbity w granatową planszę nieba.

- Jesteś ranny?
- Nie wiem.
- A kto ma wiedzieć? Chodź, pomogę ci zejść.
- Nie chcę.

Ta odpowiedź ryzykownie balansowała na granicy różnych porządków logicznych, więc Hadczuk postanowił ją zignorować i zadziałać w kierunku, jak mu się zdawało, najkorzystniejszym dla wszystkich. Wziął Krzyckiego za rękę i gdy spróbował przełożyć ją sobie przez kark, natrafił na kajdanki.

– Auć, zostaw mnie! – jęknął Andrzej.

– Zdecyduj się w końcu, nie możesz zejść czy nie chcesz? Nie będziesz tu leżał w nieskończoność.

– Właśnie leżę w nieskończoność.

Ponieważ i ta odpowiedź niebezpiecznie naruszała granicę różnych porządków, komisarz doszedł do wniosku, że należy ignorować wypowiedzi inspektora i robić swoje. Puścił jego pokiereszowaną rękę i złapawszy go za nogi, pociągnął ku kłapie. Na kolejne „auć” nie reagował. Z pomocą przyszedł mu Benek Mrówczyński i we dwóch wtaszczyli go do gondoli. Tu okazało się, że wprawdzie pan inspektor potrafi ustać na nogach, nie ma jednak specjalnie szans na to, by o własnych siłach zszedł po stumetrowej drabinie. Tymczasem z dołu nadeszli kolejni pomocnicy w osobach dwóch rostrych ratowników. Jeden z nich przypiął Krzyckiego na długiej linie do siebie, drugi zaczął go przytraczać sobie do biodra pasami. Tu Rysiek uniósł się honorem.

– Ja go sprowadzę. To mój przyjaciel.

Ratownik omiótł go wzrokiem zdradzającym daleko posunięty dystans do tak sformułowanego argumentu i dla formalności spytał, czy pan komisarz da sobie radę. Nie tracąc czasu na odpowiadanie, Hadczuk przejął od niego rannego.

– Niech pan przynajmniej weźmie to – powiedział ratownik, wkładając mu na głowę malowniczy żółty kask. Drugi taki sam założył Krzyckiemu. – Będziemy was asekurować od góry w tej waszej przyjacielskiej wędrówce.

Rysiek podziękował skinieniem, objął Andrzeja wpół i zaczęli schodzić w ten sposób, że ten stawiał zdrową nogę na stopniu, potem Hadczuk stawiał za niego drugą nogę szczebel niżej i czekał, aż tamten dostawi znowu swoją. Po dwudziestu szczeblach zrobili przerwę. Komisarz otworzył usta, ale Krzycki go uprzedził.

– Jakbyś chciał spytać, czy żyję, to nie.

– Wiem. Co innego chciałem powiedzieć.

Ruszyli dalej w rytm bajki o ślepym i kulawym, i jeden gadał, a drugi słuchał i dostawiał swoją nieco lepszą nogę.

– Jak mi opowiadali – zaczął Hadczuk, gdy znowu ruszyli w dół – że z Bałysiem stanowicie niekonwencjonalny tandem, trochę się jeżyłem. Bo to tak, jakby dwóch krakowskich cwaniaczków ganiało po całej Polsce i wołało: „Hej, zobaczcie, jacy jesteśmy supergoście! Patrzenie i podziwianie, jak to się robi! Krzycki i Bałyś, jak Tango i Cash, rozwalamy wszystkich!”. Wiesz, takich palantów się nie lubi. Nawet nie chodzi o to, czy ktoś tam jest lepszy od ciebie. Po prostu ta robota w dziewięćdziesięciu procentach jest mozolnym i nieprzyjemnym taplaniem się w ludzkim błocie, a nie filmowym fajerwerkiem. Palka, Mrówczyński i Latawiec się jarali, że takie giganty do nas jadą, Paweł chyba najbardziej. Ale ja nie. Stałem z boku i patrzyłem sceptycznie, a na powitanie Bałysia przyniosłem ciasto od mojej żony. Jak kiedyś spróbujesz, pojmiesz prawdziwe znaczenie tego gestu.

Andrzej zatrzymał się i zakaszał. – Ożeniłeś się z trucicielką?

– Nie miała tego w papierach. Ale o tym kiedy indziej. Możesz iść?

Krzycki skinął głową i ruszyli dalej. Światelka w wieży brzęczały cichutko jak owady na łące. Parę metrów nad nimi stukali butami dwaj ratownicy oraz Benek Mrówczyński.

– Kiedy przyjechał Lucek z tym swoim zawadiackim loczkiem i uśmiechem zwycięzcy konkursu na najsympatyczniejszego kolonistę turnusu, myślałem, że ktoś robi sobie ze mnie jaja – ciągnął Rysiek. – Nawet nie wybrałem się na jego wykład, tylko wysłałem Palkę... Strasznie mu zależało na tej znajomości. Nie przypuszczałem, że tak to się skończy. Moja opinia upadła po obejrzeniu pierwszych skutków działań twojego partnera.

– Ale nie jesteśmy parą...

– Wiem, wiem, znam już ten dowcip. Lucek obił czterech ludzi Kały jak worki treningowe i nawet się nie spocił. W porządku, pomyślałem, to jest coś. Gość się nie boi, wali bez pardonu i jeszcze wygraża najpotężniejszemu człowiekowi między Gdańskiem a Szczecinem. Z drugiej strony takie akcje mieściły się jeszcze w tak zwanej normie, nie przekraczały ram efekciarstwa rodem z policyjnej siłowni. Zmieniłem zdanie, kiedy go zobaczyłem w następnej akcji, już bez loczka i z błyskiem w oku godnym Hannibala Lectera. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co on im właściwie zrobił w lesie?

Zamilkł, ponieważ Krzycki nie odpowiedział. Złaził ze zwieszoną głową.

– Żyjesz?

– Nie.

– Dobra. No więc wiesz, co on im tam zrobił? Dwunastu ludzi powiązał jak barany sznurami, po czterech, i to w ciągu najwyżej piętnastu minut! Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie uwierzyłbym. To był jakiś, kurwa, niemożliwy kosmos! Nawet Kała zbaraniał. Chyba wtedy po raz pierwszy opadła go wątpliwość, czy

na pewno zadarł z właściwymi ludźmi. Wiesz, żałuję, że nie miałem okazji zobaczyć finału tamtego starcia. Pewnie kiedyś mi opowiedzą, ale to nie to samo. Chociaż może i dobrze. Przynajmniej nie musiałem patrzeć, jak strzela Pawłowi w głowę. Niech to szlag!

Znowu się zatrzymali. Z dołu dochodziły ich krzätänia ludzi, którzy czekali na ich zejście. Została może jedna czwarta wieży.

– Po co mi to wszystko mówisz? – spytał całkiem przytomnie Krzycki. Patrzył mu teraz prosto w oczy, a jego obolałe zmęczenie zastąpiła bystra czujność.

– Ale żyjesz?

– No nie.

– No to ci powiem. Lucek naprawdę mi zaimponował i dałbym wszystkie pieniądze za takiego człowieka w swojej drużynie. Może wtedy udałoby się coś zrobić z tym naszym nieszczęsnym Pomorzem. Ale widzisz – przerwał, by się upewnić, że Andrzej słucha – to, co ty odpierdoliłeś dzisiaj na wiatraku, przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie. Nie lubię wysokości. Jak mi kazałeś za pierwszym razem wleźć na dach gondoli i przyglądać się twoim wyczynom, niewyraźnie się czułem. Wiesz, to eufemizm. Po prawdzie to od pierwszej minuty rzygać mi się chciało. Ale widziałem. Ja bym tego nie zrobił. Żaden z naszych chłopaków by tego nie zrobił. Nie wiem, czy w całej północnej Polsce znalazłoby się trzech takich, co by coś takiego zrobili. Wywinąłeś numer, stary, przed którym chętnie bym uchylił kapelusza, gdybym go nosił. Kasku zdejmować nie będę, bo jeszcze zwalimy się z tej zajebistej drabiny jak ulęgałki. – Przerwał, by zaczerpnąć oddechu. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Krzycki z wykrzywioną twarzą postawił prawą nogę na szczeblu. Lewa zwisała jak ciało obce. W oczach miał bardzo mroczną opowieść.



– Że jestem stuknięty?

Hadczuk musiał się roześmiać, żeby choć trochę zmącić tę czarną studnię w jego oczach.

– Coś w tym stylu. A dokładniej, że mi cholernie zaimponowałeś. Ja... – przez chwilę szukał słów – ...chyba coś zrozumiałem. Wisiałeś na łopacie śmigła i ryzykując życie, pracowałeś nad czymś, co właściwie należało do mnie. To ja powinienem tam wisieć. A tymczasem leżałem plackiem na dachu tego gównianego wiatraka i kombinowałem, czy puścić pawia w lewo czy raczej w prawo. Nie wiem. Dzięki. Ech, kurde, całkiem mi nie wyszło!

– Zrozumiałem.

Zostało im ostatnie pięć metrów. Hadczuk miał potrzebę jeszcze coś dopowiedzieć, nazwać dokładniej swój podziw, ale jego próby odbijały się od Krzyckiego jak piłeczki od ściany. Nie, tak łatwo to nie pójdzie. Paru lat zaniedbań i przekrętów nie da się odrobić w pięć minut gadaniną, jaka by szczerą nie była. Dał spokój.

Objęci wpół minęli ludzi stłoczonych w przedsionku i wyszli przed wiatrak. Z lewej strony grupka techników otaczała czarny poskręcany tłumok, ktoś robił zdjęcia. Andrzej przystanął na moment. Zadrżały mu wargi.

– Nic byś nie zrobił – powiedział cicho Rysiek, licząc, że to wypadło jak pocieszenie.

– Zrobiłbym. Zawsze coś można zrobić. Wbij to sobie do łba.

Policjanci utworzyli szpaler, odprowadzając ich wzrokiem w drodze do karetki. Dziesięć metrów dalej, rozchlapując kałuże, zatrzymała się czarna limuzyna. Hadczuk natychmiast rozpoznał skodę superb szefa i stanął w miejscu, zapierając się nogami w błocie dla odparcia ataku. Inspektor Krzysztof Zdybas nie tracił czasu na powitania.

– Jesteście obaj aresztowani pod zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci dwóch osób, w tym policjantki. Pozostałe zarzuty w związku z nieodpowiedzialną akcją na wiatraku usłyszycie w celi. Rano załatwię formalności z prokuratorem. Zabrać ich do furgonetki!

Wskazał ich palcem jak Piłat dwóch Chrystusów, ale żaden z policjantów nie kwapił się do aresztowania inspektora i komisarza. Zdezorientowani zerkali jeden na drugiego i wzruszali ramionami. Wreszcie Zdybas złapał dwóch pierwszych z brzegu za ramiona i pchnął w stronę chwiejących się na nogach winowajców. Ci, pochyleni i objęci w pasie, przypominali figurki na pomniku weteranów. Pojedynek posłuszeństwa z rozsądkiem dobiegał końca i dwaj mundurowi właśnie z oporami wyjęli kajdanki, gdy przez szpaler od drugiej strony przecisnęła się kobieta w czerwonym polarze z naszywką „Lekarz”.

– Przepraszam, panowie, ale ci ludzie są poważnie ranni. Zabieram ich do szpitala. Możecie ich sobie aresztować, jak dojdą do siebie. Proszę za mną.

Stanowczym gestem odepchnęła zgłupiałych funkcjonariuszy i ujęła Krzyckiego pod pachę, by wspólnie z Hadczukiem odprowadzić go do ambulansu. Zanim zaskoczony Zdybas zdążył zareagować, wepchnęła ich obu do środka i zatrzasnęła drzwi.

– Niech pan się tu położy, panie Andrzeju – powiedziała, kładąc Krzyckiego na czymś, co było skrzyżowaniem łóżka, noszy i kozetki. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Czy my się znamy?

– Pan mnie nie zna, ale ja pana znam. Nazywam się Renata Gęsik. Jestem ciotką Dominiki.

Zamknął dom na cztery spusty, ewakuował swoje biuro wraz z pracownikami, niedopalone resztki hurtowni zostawił w zarząd kierownikowi, zgarniając z piwnicy jedynie to, co najważniejsze, i opuścił miasto. Zatarł wszelkie ślady. Zakazał cokolwiek mówić, a jego zakaz miał siłę wyroku. I czuł coraz większe podniecenie. Nie przypuszczał, że wizja ponownego starcia po latach wzbudzi w nim aż takie emocje. Rozkosz zemsty uzależnia. A istotą uzależnienia jest stopniowe zwiększanie dawki.

Jednak mimo wszystko facet mu zaimponował. Podziw dla wroga, którego za chwilę się pozre, po uprzednim zgrillowaniu, jest jak pikantna przyprawa – odrobina ubogaca smak. Smak zemsty. Krzycki wszedł na wiatrak, owinął kukłę sznurami, całkiem jak ta wredna dziwka Miłętka, i ledwie żywy wdrapał się z powrotem na gondolę. Dopiął swego. Jeszcze raz pokazał, że jest najlepszy i potrafi w zasadzie wszystko. Wieczny zwycięzca Andrzej Krzycki, kurwa jego mać. Czyż może być myśl słodsza nad tą, że Artur Kała wkrótce go sobie pokroi na plasterki, posypie pikantną przyprawą i zje?

Ta dziwka. Mógł się domyślić, że to ona. Zna słodki smak zemsty i powinien umieć ją rozpoznać w motywacji innych. Rozpisała swoich prześladowców na trzy akty dramatu, starannie go wyreżyserowała i odegrała w nim główną rolę. W jakimś sensie Artur również ją podziwiał, a nawet dostrzegał nieuniknione podobieństwo. Prawdziwa krzywda nakłada na rzeczywistość bardzo ciemny filtr, przez który nie widać nikogo poza krzywdzicielem. Dopaść i zabić, reszta się nie liczy.

Popsuła mu interesy i powinna zostać ukarana, co Krzycki wykonał za niego. Piękny splot okoliczności, choć wolałby inaczej.

Jak masz coś zrobić, zrób to sam. Będzie musiał zabić Krzyckiego dwa razy, cha, cha!

– Szefie, ciężarówka gotowa – zakomunikował Tasak, włączając bez pukania. Kała kazał mu wyjść i wejść jeszcze raz. Szkolenia podwładnych nigdy dosyć.

– Podoba ci się mój pomysł?

Tasak przytaknął skwapliwie. Jego wyszczerzone zęby mogłyby zagrać w kreskówce o rodzinie Simpsonów.

– Kierowcy wyspani i trzeźwi? To świetnie. Pamiętaj, żeby wszystko zabrać, bo już tu nie wrócimy. Ty i Gleba jedziecie z Mirkiem.

– A pan co, zostanie sam? Ryzyko...

– Nie ucz mnie, Tasak, co to jest ryzyko. Miejcie oczy i uszy otwarte, bo oni na pewno zablokują wszystkie główne drogi. Jedziecie przez Święcianowo do drugiej zwirowni za Borkowem, potem przez Drzeńsko do Zalesia i dalej. Jak dam znać, zawracacie i jedziecie na Stojkowo, a stamtąd przecinką do Bagicza. Tam zaczekacie na mnie.

– Szefie...

– Nie mów do mnie „szefie”!

– Tak, proszę pana. A co, jeśli, no... pan nie dojedzie?

– Spokojna głowa, dojadę. Martwcie się lepiej o siebie.

– Damy radę. Kiedy on tu będzie?

Kała spojrzął na zegarek o rozmiarach patelni do frytek tylko po to, żeby pokazać go Tasakowi. Czas przyjazdu Krzyckiego miał w głowie.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za godzinę. Tylko mi, kurwa, nie śpijcie. I powtarzaj tym pałom co pięć minut: wystrzał z raketnicy.

– A czy on na pewno przyjedzie sam?

Kała kiwał chwilę głową w zamyśleniu, zanim odpowiedział:

– Myślę, że tak. Najwyżej we dwóch. Tak, będzie ich dwóch.

Po wyjściu Tasaka jeszcze raz odtworzył sobie w pamięci rozmowę ze Zdybasem o Hadczuku. Coś się poprzestawiało w tej jego poczciwej łepetynie i komisarz umyślił sobie grać na dwa fronty. Niby tu melduje wszystko posłusznie niczym dzielny wojak Szwejk, a tam ofiaruje Krzyckiemu pomocne ramię. W porządku. Jak tak, to tak, zagramy na dwa fronty. A skoro już masz coś zrobić, zrób to sam.

– Panno Sylwio, mogę panią prosić tu na chwilę?

Kiedy do pokoju weszła szczupła brunetka i z niepewną miną usiadła na kanapie, Kała zamknął za nią starannie drzwi i bezszelestnie pchnął zasuwę.

– Jak pani idzie z tymi fakturami? – spytał, przysiadając na oparciu kanapy. – Nie nudno?

Zaprzeczyła nieśmiało i popatrzyła w podłogę. Podniósł jej podbródek na palcu wskazującym i z uśmiechem wyjaśnił, że jemu też jest nudno, dlatego ją tu wezwał.

– Widzisz – westchnął z prawdziwą troską, przechodząc bezceremonialnie na „ty” – moja nuda jest wyjątkowo ciężka, bo dotyczy materii ludzkiej. Jak coś nie zgadza się w papierach, to można poprawić, przekreślić, skorygować. Ale jak poprawić człowieka? Naprostować czy przekreślić? A oni ciągle nie chcą się zgadzać z tym, czego od nich wymagam. Muszę ich karać. I to jest właśnie nudne.

Zawiesił głos i czekał na jej pytanie. Ludźmi łatwo sterować.

– Co? – spytała zgodnie z jego oczekiwaniem.

– Że ciągle muszę decydować za nich o ich życiu. Na przykład teraz twój ojciec...

– Co mój ojciec?!

Jej nagły przestрах był autentyczny i podniecający. Rozszerzone oczęta młodziutkiej Sylwii Hadczuk patrzyły na niego z tą samą psią uległością, którą tak lubił wywoływać w ludziach, tylko w wyjątkowo przyjemnym wariacie. Głupio byłoby nie skorzystać.

– Twój ojciec mnie zawiódł. Okazałem mu dobroć, życzliwie spełniałem jego prośby, na przykład o to, by zatrudnić cię w mojej firmie. A teraz okazało się, że zawiódł. Powiedziałbym nawet: srodze zawiódł, gdyby to nie brzmiało tak drastycznie. Sama widzisz, co za nuda, znowu muszę decydować o czyimś życiu. Bo to jest tak, moja droga, że każdy z nich prędzej czy później zawodzi, jak nie przymierzając, spłuczka od toalety. I co, naprawiać czy wymienić na nową? Naprawiałaś kiedyś spłuczkę od kibla? Nie, dziewczyny takich rzeczy nie robią. Ja naprawiałem i powiem ci szczerze – to nie ma sensu. Najmniejszego! Wyrzucić i załatwić sobie nową, to jedyne rozwiązanie. Ale – tu pochylił się i jego nos znalazł się nad biustem Sylwii – dziewczyny robią inne rzeczy. Prawda? No co, prawda?

Ujął ją znowu pod brodę i pociągnął do góry tym razem mocniej, tak że cała się wyprężyła, a piersi wysunęły się do przodu.

– Niech... mnie... pan... puści... – wykrztusiła przez zaciśnięte szczęki.

– Dobrze – odparł spokojnie i puścił ją. – Wybrałaś. Muszę wydać stosowne polecenia. Wiesz, te nudne.

Odwrócił się, że niby wychodzi.

– Nie! Niech mu pan nic nie robi, proszę!

Łzy napłynęły jej do oczu i jedna z nich ściekała po policzku, ciągnąc smugę rozmazanego tuszu. Ścisnęła obiema rękami kurczowo dłoń Kały, jakby to była burta szalupy ratunkowej.

– Zrobię wszystko, co pan zechce – powiedziała drżącym głosem. – Tylko niech go pan nie krzywdzi.

Pozwolił jej ścisnąć swoją prawą dłoń, a lewą pogładził ją po błyszczących włosach i po łabędzio wyciągniętej szyi. Opuszkami palców potarł różową małżowinę ucha, a potem położył je na kark. Spięła się jak młoda klacz, ale wytrzymała napięcie i nie odsunęła się. Walczyły w niej potężne siły, a echo tej walki rozlegało się w pokoju szybkim dyszącym oddechem. Rozchyliła usta, co wziął za nieomylny znak podniecenia. Cała wyglądała jak jedno wielkie dziewczęce podniecenie. Oprócz oczu. Te były puste i martwe.

– To dobrze, to bardzo dobrze – zamruczał, rozpinając spodnie.

### 3

– Andrzej, opamiętaj się! – perswadował Hadczuk po raz trzeci, odkąd przekazał mu list. – To nie żadne bohaterstwo ani pokaz nadludzkiej sprawności geniusza z Krakowa, tylko kompletne szaleństwo! Zginiesz, nim wysiądziesz z samochodu. Zresztą – poklepał po kołdrze – z taką nogą i tak byś nie wysiadł.

Siedział na taborecie przy szpitalnym łóżku, tyłem do drzwi, i ciągle się oglądał, czy nikt nie wchodzi. Pluł sobie w brodę, że popełnił błąd, wypełniając ostatnie polecenie Kały i przekazując Krzyckiemu informację o miejscu przetrzymywania Bałysia. Na początku wydawało mu się to najrozsądniejsze, chciał grać obie role do końca. Zakładał, może trochę naiwnie, że na wieść o zaproszeniu do finałowej rozgrywki Andrzej zasugeruje rutynowe działania policji, z obławą, blokadą dróg, snajperami i tym wszystkim, od czego roi się w regulaminie. Nic z tych rzeczy. Krzycki najpierw przymknął oczy jak stary jaszczur wygrzewający się na nadmorskiej

skale w promieniach zachodzącego słońca, a następnie je otworzył i poprosił o list. Kała z Bałysiem o godzinie czternastej będzie czekał na inspektora w żwirowni w Korczewie. To była oczywiście pułapka, ale dla Krzyckiego nie miało to większego znaczenia. Doczytał do końca i powiedział spokojnym głosem:

– Słuchaj, Rysiek, wiem, jak stąd wyjść. Na końcu korytarza są schody awaryjne na sam dół, do podziemnego parkingu. Podstawisz tam samochód za – zabandażowaną dłońią otworzył szufladę i wyjął z niej zegarek – powiedzmy, godzinę. Do bagażnika załadujesz...

– Andrzej...

– ...załadujesz dwa pistolety, kamizelki, mój nóż... Znalazłeś go?

– Andrzej, nic nie będę podstawiał, bo nigdzie nie pojedziesz. Jesteś ranny, ledwie się ruszasz, a przytomność umysłu zachowujesz z najwyższym trudem.

– Dobrze się czuję, mogę iść.

– Gównno, a nie się dobrze czujesz. Nie pozwolę ci nigdzie jechać. Nie jestem mordercą.

– On go zabije.

– Nie odważy się.

Gorączka pościgowa nieco zelżała i Krzycki upadł na poduszki. Hadczuk przypuszczał, że jego pobudzenie było spowodowane nadmiarem środków przeciwbólowych i nasennych. Niektórzy reagują w ten sposób, że nie śpią w ogóle.

– W porządku. Opowiedz mi o przesłuchaniach kobiet – polecił Andrzej pojednawczym tonem. Znowu przymknął oczy i zagłębił się w siebie. Kiedy rozstawali się poprzedniego ranka, na odchodne przykazał mu skompletować zeznania Kulikowej, Płohowej i obu dziewczyn z księgowości w urzędzie gminy. „Rób, co do ciebie należy”, tak brzmiały ostatnie słowa Krzyckiego, zanim odjechał na



szpitalnych noszach do sali na oddziale chirurgii urazowo-ortopedycznej, i Hadczuk uznał je za swoje nowe motto.

Zaczął więc opowiadać o tym, jak najpierw odwiedził Kulikową i mimo długotrwałych nalegań nie zdołał jej namówić do złożenia zeznań. Jedyne jej ustępstwo polegało na tym, że wyjęła z szuflady fotografię z Zielonej Gminy i podsunęła mu na kilka sekund pod oczy, by mógł się przekonać, że faktycznie wśród sześciu widniejących na niej dziewcząt znajdowała się Urszula Miłętka. „Teraz to właściwie obojętne”, powiedziała wójtowa, chowając ramkę z powrotem do szuflady i wypraszając go z domu.

– Wiesz, co było najdziwniejsze? Że jak wychodziłem, płakała. I nie chodziło jej o męża, tylko o Ulę.

– Gdybyście z nimi rozmawiali, nie byłoby to dla ciebie dziwne. A Płohowa?

Hadczuk pokiwał głową, jakby przytakiwał jakimś wyimaginowanym uwagom Krzyckiego.

– Tak, wszystko się potwierdziło. Kulik zatrudnił Ulę na jakiś czas w gminie, żeby ją mieć na oku, dopóki sprawa trochę nie przycichnie. Płohowa oczywiście wiedziała o gwałcie. Na jednym ze spotkań podczas tej cholernej Zielonej Gminy dziewczyna opowiedziała Kulikowi o swojej pasji spadochronowej. Zbajerował ją więc opowieścią o skakaniu na skrzydle z wiatraka. Że to niby największy wyczyn i powinna tego kiedyś dokonać. Napaliła się i wtedy zaproponował jej zwiedzanie wiatraka, w towarzystwie znajomego inżyniera. Jak się domyślasz, był nim Różański. Wybrali porę popołudniową, żeby poczekać do zmierzchu i podziwiać wspólnie zachód słońca z wysokości. Weszli we trójkę na górę, a tam czekał jeszcze jeden uczestnik wyprawy, Zbigniew Klisz. Początkowo wszystko wyglądało niewinnie. Nalegania i to, co dzisiaj nazywamy molestowaniem, zaczęły się na górze, a skończyły

na dole. Zgwałcili ją wszyscy. Działo się to w służbowym samochodzie Kulika, zaparkowanym w pewnej odległości od wiatraka, poza zasięgiem kamer. Zostawili ją na polu i odjechali. Szła piechotą do domu całą noc. Na drugi dzień rano Plohowa poszła z nią na policję i spisano zeznania. Dalej... kurde, zaczyna się moja działka.

– Dalej nic się nie działo – dopowiedział sennym głosem Krzycki. – Policja oczywiście dała dupy.

– Mówisz jak prorok. Policjant spisujący zeznania Miłęckiej podał w protokole, że trzech panowie zostali przesłuchani w charakterze świadków i niczego nie potwierdzili. A ponieważ nie było żadnego innego dowodu poza zeznaniami „rzekomej poszkodowanej”, sprawę po jakimś czasie zamknięto z braku postępów w śledztwie. Oczywiście, żadnych badań lekarskich Miłęckiej nie zrobiono.

– Dziwne... – mruknął Krzycki.

– Nie takie znowu dziwne. Badania lekarskie to dużo zachodu plus koszty.

– Nie o tym mówię. Dziwne, że kiedy już została policjantką, nie załatwiła tego gościa.

– Może dlatego, że on już wtedy nie pracował w policji. Nawiasem mówiąc, jest teraz jednym z ludzi Kały. A jeszcze ściślej rzecz biorąc, to ten facet, którego twój Lucek... Żesz kurwa noga, że ja o tym nie pomyślałem!

– O czym? – Andrzej uniósł się na poduszce, wietrząc nową ciekawostkę. – Gadajże!

– Chodzi o Rafała Dudka, czyli Dudasa. To jego Bałyś skopał na stacji benzynowej. Wylądował w szpitalu z podejrzeniem pęknięcia czaszki. Chyba powinien tu jeszcze leżeć. Poczekaj chwilę. – I wybiegł z sali, zanim Krzycki zdążył zareagować. Usłyszał tylko

odgłos jego kroków na szpitalnym korytarzu, a potem brzęk talerzy na wózku z posiłkami, który salowe odsuwały w pośpiechu, robiąc miejsce nadciągającemu komisarzowi. Skrzypnęły oddziałowe drzwi i zapadła cisza. Krzycki zamknął oczy. W głowie huczały mu dwa słowa. Korczewo. Żwirownia.

#### 4

Dudas ledwie zdołał umknąć przed wybiegającym Hadczukiem. W ostatniej chwili wcisnął się w drzwi z napisem „Brudownik”, a kiedy kroki umilkły, wyjął komórkę i zadzwonił do brata.

– Sławciu, hejka. Zbieraj furkę i przyjeźdź do szpitala. No, na dolny parking. Zatankuj po drodze i weź, co trzeba. Nie będę ci, kurwa, mówił przez telefon. Narka.

Rozłączył się, wystawił ostrożnie obandażowaną głowę przez szparę i mając wolną drogę, przemknął obok dyżurki pielęgniarek i dalej na klatkę schodową. Przyzwyczaił tutejszy personel do tego, że nie może usiedzieć na łóżku i ciągle łązi po korytarzach. Twierdził, że wtedy mniej go boli, co nie było do końca kłamstwem. Ruch poprawiał krążenie, czy coś tam, tak mówił, i dawali mu spokój. Szedł w górę krok po kroku, nasłuchując, czy tamten nie zbiega. Lepiej na niego nie trafić, zwłaszcza teraz, kiedy Dudas podsłuchiwał pod drzwiami, że Dyro szykuje akcję na tych dwóch palancików z Krakowa. Nazwisko Bałysia tak go ucieszyło, że głowa przestała strasznie napierdalać i tylko trochę ćmiła. Od czasu tej zaszranej operacji nie mógł się skupić, ciągle bolało i bolało, jakby nalali mu do tej rozjebanej czachy roztopionego ołowiu. Raz widział ciemniej, raz jaśniej, i tak samo było z myśleniem. Ale teraz nie musiał

specjalnie dużo myśleć. Wystarczy jedna myśl. Dorwie tego małego i zrobi mu z dupy życie na gorąco.

Poprzysiągł mu śmierć, gdy tylko otworzył oczy po wypadku. Bo nazywał tamten niefort w wypadkiem. Zagapił się, i tyle, zdarza się nawet najlepszym. Szef trochę się miotał, że dupas, a nie Dudas i takie tam. Przejdzie mu, jak tylko zobaczy go z głową tego hycka czy lucka na wyciągniętej ręce, wyjącego odwieczną pieśń zwycięstwa. Potem przetrącona czacha może wypierdolić Dudasowi w kosmos jak jaki Czelendźer, ale najpierw musi mieć w garści skalp tamtego. Nie ma zmiłuj. Zemsta jest jak hera, daje najlepszego kopa. Tylko dla herosów, hej na, na, na.

Usłyszał ciężkie kroki z góry i zawrócił pędem. Wcisnął się za automat z napojami (kradł monety i wyświetlał napis „Error”, obok ktoś dopisał flamastrem „fuckyou”) i przepuścił zbiegającego komisarza. Mrużąc oczy z bólu, ponieważ pod czaszką znowu zaczęło się piekło, skupił się na jednej myśli: zabić. Zemsta daje najlepszego kopa. Hej, na, na, na.

Zbiegł na podziemny parking po schodach, ponieważ w windzie robiło mu się gorzej. Przystanął za betonowym słupem i czekał. Przestrzeń była pusta i chłodna, tylko w samym rogu przy wyjściu awaryjnym ze szpitala dwóch sanitariuszy paliło papierosy. Oparł się skronią o zimny beton i poczuł chwilową ulgę. Po kwadransie zrobiło mu się słabo, więc przysiadł pod słupem i włożył głowę między łokcie. Kręciło się w niej jak w szklanym słoju z rybkami. Z tą operacją coś poszło nie tak. Jego głowa stała się obcym, a chwilami nawet wrogim ciałem. Najchętniej by ją oderwał i wypieprzył w krzaki. Kto wie, czy tak nie robi, najpierw jednak musi mieć w ręku głowę tamtego. O, to mu się spodobało. Głowa za głowę. Łeb za łeb.

Kiedy nadjechał bordowy golf, Dudas wstał z trudem i podreptał ku uchylonym drzwiom pasażera. Ledwie wyczuwalne brzęczenie w tyle szklanego słoja z rybkami podpowiadało mu, że to zły pomysł, ale je zignorował. Tyle różnych brzęczków, trudno się rozeznąć.

– Siemka, brachu – zawołał radośnie Sławek. Lubił akcje ze starszym bratem. – Co się nagrywa?

– Wjedź za tamtego dostawczaka i czekamy.

Czekali pół godziny.

## 5

Przymknął oczy i we śnie przyszła do niego Dorota. Usiadła na brzegu łóżka i pogładziła go po wierzchu dłoni. Miała poważną, zatroskaną twarz i coś powiedziała, ale nie usłyszał, ponieważ oddzielała ich gruba szyba. Spróbował dotknąć i poczuł ciepło palców, gładką skórę nadgarstka, brzeg mankietu rękawa bluzki. Czerwonej bluzki. Dorota lubiła czerwień. Zastanowił się, jak to możliwe, że czuje jej ciało, ale nie słyszy głosu. Otworzył oczy.

– Myślałam, że jesteś nieprzytomny i powiedziałam, że cię kocham. Proszę to wykreślić z protokołu.

– Uderz mnie w twarz, żebym znowu zasnął.

– Chyba nie wolno w szpitalu bić pacjentów. Nie wiem, może w policyjnych biją. Żyjesz?

– Nie.

Pochyliła się i pocałowała go czule w usta. Smakowała Dorotę i pachniała Dorotą. Chyba była Dorotą.

– Cześć, wariacie. Więc jednak jeszcze żyjesz?

– Nie. Kiedy przyjechałaś?

– Przed chwilą. Jak tylko dowiedziałam się o twoim wypadku, zamknęłam kawiarnię, wsiadłam w samochód i jestem. Gdzie Lala?

– Benek Mrówczyński, jeden z tutejszych policjantów, wziął ją do siebie. Podobno nieźle się dogadują. Chcesz ją zabrać do Krakowa?

Dorota zmierzyła go krytycznym spojrzeniem i wyprostowała się nieco przed wygłoszeniem następnej kwestii.

– Kto ci powiedział, że wracam do Krakowa? Dopiero przyjechałam.

– Nie o to mi chodziło – zaczął się płatać. – Sama przyjechałaś?

– Nie, z Dominiką. Zaraz tu będzie.

– O Jezu – jęknął. Na dźwięk imienia Dominiki ruszyła w nim cała lawina niezalatwionych spraw. Zerwał się z łóżka. Dorota przytrzymała go i popchnęła z powrotem na poduszkę.

– Poczekaj, nie uciekaj jeszcze. Nie przyjechałyśmy tu dla ostatecznej konfrontacji, tylko żeby się wami zająć. Gdzie jest Lucek?

Jęknął i ścisnął ją za rękę. Zbladła.

– Andrzej, co tu właściwie się stało?

Nie zdążył odpowiedzieć, nie miał zresztą nic sensownego do powiedzenia, ponieważ do pokoju wparowała Dominika. Uściskała go na powitanie, wepchnęła w rękę bukiet polnych kwiatów i natychmiast się nastroszyła.

– Gdzie jest mój mąż?!

Podkreśliła słowo „mąż”, jakby chodziło o szczególnie ważny zapis w konstytucji. Andrzej uniósł dłoń w uspokajającym geście i zaczął tłumaczyć, ale mu przerwała:

– Dlaczego go nie szukasz? Dlaczego nie szuka go cała tutejsza policja?

– Właściwie to policja go porwała – odparł Krzycki i natychmiast ugryzł się w język.

– Jak to porwała? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Co wy w ogóle wyprawiacie? Słyszałam, że włąziłeś na jakiś wiatrak, żeby powiesić na nim manekina. Całkiem ci odbiło?

– Bo gdybym powiedział, byłoby jeszcze gorzej.

– Ale co gorzej? Mówże, do jasnej cholery!

Dorota patrzyła to na jedno, to na drugie, usiłując się zorientować, o czym mówią, ale i co naprawdę ich łączy. Ta wizyta jednak była trochę konfrontacją. Na razie wnioski rysowały się dosyć niejednoznacznie.

Andrzej zabrał się do wyjaśniania, ale gdy tylko dobrnął do momentu, w którym Kała postawił mu ultimatum, Dominika znowu wdarła się w sam środek zdania.

– Ten Kała poluje na ciebie? To znaczy, że Lucek jest przynętą? Ja nie mogę! – W jej oczach pojawiły się łzy, ale i coś jeszcze. – Ty draniu! To wszystko przez ciebie!

Uniosła rękę, żeby przyłożyć mu w twarz, ale zreflektowała się, że są w szpitalu i ma przed sobą rannego człowieka, więc tylko pacnęła go w udo. Na szczęście to bez obrażeń.

– Posłuchaj, Dominika – zaczął, żeby jakoś wybrnąć. – Zaraz ruszamy i jeszcze dzisiaj będziesz go miała z powrotem. My go będziemy mieli. Uwierz mi. Muszę się tylko stąd wydostać...

– Nie ma go! – krzyknął od progu Hadczuk i na widok kobiet zawisł na kłamce. – O, przepraszam. Dzień dobry paniom. Komisarz Ryszard Hadczuk.

Dorota na widok wyciągniętej w jej stronę dłoni ze zdziwieniem uniosła brwi i podała niechętnie swoją. Z Dominiką panu komisarzowi nie poszło tak łatwo.

– Komisarz? – spytała, pokazując go palcem. – To on porwał Lucka?

– Nie, on mi uratował tyłek – wyjaśnił Krzycki. – Z nim właśnie zaraz ruszamy...

– Nigdzie nie ruszamy – zaprotestował Hadczuk. – Nie dasz rady. Pojadę sam.

– Kała cię załatwi, a ja zostanę bez kierowcy.

– Benek i Łukasz ci pomogą. Poza tym nie zabije policjanta, to nierozsądne.

– Palka również był policjantem – zauważył Krzycki.

– Mój mąż też jest policjantem! – krzyknęła Dominika.

– Nigdzie nie pojedziesz!

– A Kała zrobi wtedy dokładnie to, co zapowiedział.

– Widzę, że macie świetny plan – stwierdziła Dorota i spojrzała w sufit, gdzie cichutko brzęczała świetlówka. – Może pożyczę sobie sig sauera z policyjnego magazynu?

Mówiła o karabinie snajperskim, z którego dwa lata wcześniej strzelała, ratując własnego syna. Celowała do nieznanego jej wówczas Krzyckiego i ten fakt do dzisiaj nie pozostał bez wpływu na ich wzajemne relacje.

– Daruj sobie. – Andrzej westchnął. – Powiedzcie mi w takim razie, co robimy.

W tym momencie za plecami troskliwych odwiedzających rozległo się pukanie w otwarte drzwi. W progu stała Ania, maturzystka ze Sławna, z okazałą bombonierką pod pachą.

– Przepraszam, czy to tutaj leży inspektor Krzycki? – spytała z uprzejmym uśmiechem. – O, cześć, Andrzej! – rzuciła, gdy w szparze pomiędzy taliami obu kobiet ukazała się jego blada twarz.

Odwróciły się do niej jak dwa kamienne posągi strzegące wejścia do strasznego pałacu. Z ich oczu biła śmierć, a półotwarte



usta w każdej chwili mogły bluznąć śmiertelnym ogniem. Krzycki podniósł dłoń w powitalnym geście, ale szybko ją opuścił, ponieważ posągi zwróciły teraz swoje mordercze oblicza ku niemu.

– To ja może przyjdę później – wybąkała speszona dziewczyna. Położyła, a właściwie rzuciła bombonierkę na taboret pod ścianą i wybiegła z sali.

W ciszy, jaka zapadła, brzęczenie świetlóвки na suficie miało siłę ryku startującego odrzutowca. Andrzej z błagalnym wzrokiem zawieszonym na obliczu Doroty otworzył usta, by coś wyjaśnić, napotkał jednak twardy opór. Spojrzał na Dominikę w poszukiwaniu wsparcia, ale tam również nie było lepiej. Przeniósł wzrok na Hadczuka, który poruszał ustami w bezgłośnym „ja pierdołę”. Szpitalny pokój przypominał teraz spadającą w przepaść klatkę. Andrzej zamknął oczy i czekał na kończące uderzenie. Zamiast tego usłyszał szuranie butów. Kobiety opuszczały salę.

– Przepraszam... – wymamrotał i chciał powiedzieć więcej, ale Rysiek odradził mu ten pomysł, kręcąc głową. Dorota wyszła bez słowa, Dominika odwróciła się w progu.

– Nie wiem, czy ten Kała cię zabije, ale jak wrócisz bez Lucka, to ja na pewno – powiedziała i trzasnęła za sobą drzwiami.

Krzycki odczekał stosowną chwilę, po czym sięgnął do szuflady i zupełnie innym, pełnym radosnej niecierpliwości głosem, wykrzyknął:

– Dobra, zjeżdżaj! Za piętnaście minut na dole!

– Ale...

– Przecież i tak już nie żyjemy. Możemy robić, co nam się podoba.

Do żwirowni w Korczewie dotarli pięć minut przed czasem. Żeby ochłonać po starciu z żywiołem kobiecym, Krzycki po drodze dopytywał o szczegóły rozmowy z Płohową.

– Ona wszystkiego się domyślała – relacjonował Rysiek. – Choć nadal twierdzi, że niczego nie wiedziała. W dniu śmierci Kulik, wychodząc z biura, rzucił jej na odchodnym żarcik w swoim stylu, że ma podwójną randkę. W rzeczy samej, umówił się z Heike Liebner, a potem z Ulą Miłęcką. W tym sensie Płohowa cię okłamała, ale tylko trochę. Rzeczywiście wtedy spotkał się z Niemką, tylko że nie ona ostatnia widziała go żywego. Matka Maćka chyba domyśliła się, o kogo chodzi w tej drugiej randce, w każdym razie nie możemy tego ani wykluczyć, ani udowodnić. Z pewnością dla niej samej, dawnej powiernicy Uli oraz ofiary Kulika, pierwsze morderstwo na wiatraku nosiło tak wyraźne znamiona zemsty, że łatwo było wskazać sprawczynię. Dlatego Płohowa postanowiła ją chronić i kłamała. Z tych samych powodów milczała i ukrywała fakty Kulikowa, również ofiara swojego męża, choć w innym sensie.

– A Różański?

– Jak zginął? Nie wiem jeszcze. Kurde, Andrzej, miałem jeden dzień!

– A obejrzałeś sobie rysunki Maciusia Płoha w szopie?

– Jeszcze nie. Co w nich znajdę?

– Charakterystyczne podłużne robaczki z oczkami na wystających czułkach. Takie same, jakie figurują na zdjęciu klapy ze spalonej gondoli. Obraz jest niewyraźny, ale trudno nie dostrzec ręki tego samego artysty.

– I co z tego?

– To są ślimaki.

– Powtarzam pytanie.

– W wynikach analiz laboratoryjnych natrafisz na ciekawą uwagę o substancjach znalezionych w centralnej komorze sterowni, tam, skąd rozprzestrzenił się ogień – wyjaśniał Krzycki. – Otóż wśród różnych tworzyw sztucznych natrafiono tam na śladowe ilości zwęglonej materii organicznej, która przywarła do tylnej ściany płyty głównej. W nawiasie dokładny analityk dopisał, że procentowa zawartość białka i mikroelementów może wskazywać na bezkręgowce, na przykład ślimaki. Ciekawe, nie sądzisz?

– Chcesz powiedzieć, że Maciuś na polecenie Miłęckiej wpuścił ślimaki do komory sterowni, żeby zrobiły zwarcie? A potem narysował je na klapie jak na tablicy? Ale przecież to niemożliwe!

Krzycki wydał wargi i podrapał się po posiniaczonym policzku. Lewe kolano prostował i zginał w czasie jazdy, żeby zachowało jaką taką sprawność. Prześladowała go wizja, że usiłuje wysiąść z auta i wali się jak kłoda na ziemię.

– W naszym normalnym porządku myślowym nie. Ale i Maciuś, i Ula funkcjonowali w porządku równoległym, takim, gdzie najwyraźniej było to możliwe. Co więcej, chłopak podsunął nam wskazówkę w postaci rysunku. Płohowa mówiła, że rysuje wszystko, co zobaczy i usłyszy. Chciał nam to opowiedzieć, tak jak przy zieziach.

– Przy czym?!

– Nieważne. Mogło być również inaczej. Ona tam wpuściła ślimaki, żeby doszło do awarii, a kiedy Różański przyjechał ją usunąć, podpaliła gondolę.

– To jest kompletnie popieprzone – podsumował Hadczuk. – Zieziach, ślimaczki... A Maciuś? Skąd o nich wiedział?

– Nie wiem. Może po prostu spotkał Ulę na łące, gdy je zbierała. Wtedy ona zabrała go na górę i razem włożyli je do skrzynki

rozdzielczej, a potem Maciuś narysował je na ścianie, bo prawdziwy artysta zawsze ma przy sobie pisaki.

– Ale po co?!

– Po co, po co – ofuknął go Krzycki. – Ich spytaj.

Hadczuk nie poradził sobie z nawąłem równoległego porządku myślowego i zjechał na pobocze. Obok nich wolno przejechał bordowy golf.

– Sam mówiłeś, że Ula Miłęcka myślała logicznie i precyzyjnie. Wszystko dokładnie zaplanowała, włączyła w swój porąbany plan całą wiedzę, sprawność i dostęp do poufnych danych w policji i agencji ochrony. Działała konsekwentnie. Mściła się i chciała w spektakularny sposób zabić wszystkich trzech. Po co więc drugie morderstwo pozorowała na wypadek?

Krzycki zerknął na zegarek.

– Ty mi powiedz. Masz dwie minuty.

Stukając kantem dłoni w kierownicę, Hadczuk wybijał rytm swoich myśli.

– Jej szalony plan polegał na tym, by każdego z nich wykończyć na szczycie wiatraka, gdzie, jak mówisz, tkwiło jądro jej traumy. Musiała ich tam zwabić. Gdy zginął Kulik, dwaj pozostali jeszcze mogli nie łączyć tej historii z własnymi grzechami sprzed lat. Ale gdyby Różański również został zamordowany, Klisz za nic nie dałby się namówić na wejście na górę. Być może nawet poszedłby na policję i opowiedział o wszystkim, by ratować swoją dupę.

– Nie musiał – wtrącił Andrzej. – Po śmierci Różańskiego sami powinniście zajarzyć, że to dwóch z tamtej trójki sprzed ośmiu lat. Gdybyście zechcieli łaskawie pracować...

– Dobrze już, dobrze. Na naszą obronę niech zadziała to, że Klisz również nie zajarzył. Poszedł z nią na górę jak baran...

– Satyr. Skrzyżowanie mężczyzny i barana to satyr.

– Myślałem, że mężczyzny i kozła.

– Też tak myślałem – powiedział Andrzej – ale sam widzisz. No dobra, niech będzie, zdałeś test na śledczego. Zanim mnie jednak z wdzięczności palniesz w jakąś jeszcze nieuszkodzoną część ciała, chciałbym spytać, czy jesteś gotowy.

Hadczuk wyjął z kieszeni pistolet, sprawdził jego komorę i wcisnął za pasek.

– Jestem. A ty? Żyjesz jakoś?

– Nie.

– No to jedźmy.

## 7

To było do przewidzenia. Kała w prosty sposób zabezpieczył się przed ewentualną obławą policyjną. W żwirowni w Korczewie nie zastali nikogo. Objechali cały teren wkoło, z dłońmi zaciśniętymi na kolbach pistoletów, ale jedyną żywą istotą w zasięgu wzroku okazał się ujadający przy budzie kundel. Na końcu placu w równym rzędzie stało kilka wywrotek. Firma Klisza po śmierci właściciela przestała działać. Zatrzymali się przed barakiem z napisem „Biuro” i wysiedli. Andrzej spojrzął na zegarek. Stawili się minutę przed wyznaczoną przez Kałę godziną czternastą.

– Może powinniśmy po prostu poszukać Lucka? – spytał Hadczuk, pokazując lufą pistoletu na ustawione rzędem ciężarówki.

– To byłoby zbyt proste – odparł Andrzej, podchodząc do drzwi biura. Przypięta do nich kartka zawierała zdanie: „Za pół godziny w Święcianowie”. Zaklął i pokazał ją Ryśkowi.

– Wiesz, gdzie to jest?

Ten skinął głową i w tym momencie zadzwonił jego telefon. Na ekranie wyświetliło się: Artur Kała.

– Jesteście na miejscu? – spytał. Hadczuk przełączył na głośnomówiący. – Powiedz Krzyckiemu, że Bałys z przejęcia nie może złapać tchu. Zresztą nie wiem, może to z braku powietrza.

Zakończył malowniczym rechotem, któremu drżenie głosu odebrało jednak szczerłość. Był spięty.

– Zabiję cię – odparł Krzycki.

– Ty? A za co ty? – udał zdziwienie Kała. – Nic ci nie zrobiłem. Rysiek to co innego. Ano właśnie, Rysiu, córka chciała pogadać. Chyba chodzi o jakieś problemy z twoją lojalnością wobec mnie. Ale niech sama ci powie.

Na odgłos szamotania w telefonie Hadczuk zbladł. Andrzej z całej siły ścisnął go za ramię.

– Sylwia?

– Tato? Tatooo! – usłyszeli jej szloch. – Tato, on mnie... on mnie...

Jej krzyk się oddalił, a w jego miejsce wdarł się ten nieszczerzy rechot Kały. Połączenie zostało przerwane. Komisarz patrzył w telefon, jakby widział coś takiego pierwszy raz w życiu. Podniósł wzrok na Andrzeja. Ten postanowił nie czekać na wybuch, tylko pociągnął Ryśka za rękaw. Wcisnął go na fotel pasażera, a sam usiadł za kierownicą.

– Opanuj się – mamrotał niby do siebie, włączając stacyjkę. – Niczego nie odwrócisz, ale możesz zapobiec gorszemu. Wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, i dlatego podjęliśmy tę wyprawę. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, bo on na to właśnie...

– Nieee!!! – zaryczał Hadczuk jak wściekły lew. – Nieee! Trzymajcie mnie! Andrzej! Kurwaaa! Nie! Nie!

Ściskając go za ramiona, Andrzej pomyślał, że należało się tego spodziewać. Kała wypełniał swój plan krok po kroku. Miał już Lucka, poobijanego Krzyckiego w drodze, a teraz na dodatek zwabił w pułapkę komisarza, na którym również chciał się zemścić. W efekcie jedyny partner inspektora w tej akcji właśnie stracił równowagę, a z zaślepionym wściekłością umysłem wart był mniej więcej tyle, co pijany sternik podczas sztormu. Jego broń mogła wystrzelić w każdej chwili i w dowolnym kierunku.

– Rysiek, Rysiu – przemawiał do niego niemal czule. – Załatwimy go jak psa, obiecuję. Tylko błagam cię, skup się. Gdzie to pieprzone Świącianowo? Dokąd mam jechać? Hej, słyszysz? Jest jakiś GPS w tym pudle?

– Nie ma. Zabiję skurwysyna!

– To stań w kolejce. A na razie powiedz mi, dokąd jedziemy.

– Wróć na drogę i jedź na zachód.

– Aha.

Andrzej zastanawiał się, gdzie jest właściwie zachód na tym zachmurzonym, ponurym południu. Niby strefa nadmorska, lato, wakacje, a tu buro i zimno jak w październiku. Na horyzoncie kręciły się wiatraki, frontem do kierunku wiatru. Założył, że wieje z zachodu, i skręcił w lewo. Hadczuk wyjął komórkę.

– Benek? Wyrobisko w Świącianowie. Wiesz, tam, gdzie odbywają się zloty motocrossowe. Trzymajcie się z daleka.

Krzycki złapał go za rękę.

– Co ty odwalasz? Mieliśmy być we dwóch!

Rysiek nie patrzył na niego, tylko przed siebie, ściskając w ręku kolbę pistoletu.

– Teraz to obojętne. Poza tym to nie jest żadna obława, tylko Benek i Łukasz. Kazałem im wziąć karabin snajperski. Benek dobrze strzela.

– Nie wariuj. Zadzwoń i odwołaj ich. Jak Luckowi coś się stanie...

– To będziesz miał przesrane u swoich kobiet. Tak jak ja mam u córki. Zresztą i tak już nie żyjemy.

Andrzej nic nie odpowiedział. Minęli Ostrowiec i skręcili w polną drogę na Podgórkach. Była to wyasfaltowana stara aleja, obsadzona po obu stronach starymi grabami i jaworami. W samych Podgórkach minęli po lewej stronie zameczek z mauretańskimi wieżyczkami i wjechali w pola zarosłe aż po horyzont łanami pszenicy. Pod kołami zadudniły łączenia betonowych płyt, z pewnością ponemieckich. Krzycki spojrzął w lusterko. W pewnej odległości jechał za nimi bordowy golf. Andrzej zjechał na pobocze. Samochód wyprzedził ich, ale wolno i jakby niechętnie, po czym zatrzymał się dwieście metrów dalej.

– Wiesz, czyj to samochód?

Hadczyk, który cały czas niewidzącymi oczami śledził jakąś odległą galaktykę, podniósł wzrok. Jego brwi drgnęły.

– Kurwa, chyba wiem. Zajedź mu drogę.

Bordowy golf zjechał nieszczęśliwie z asfaltu w ten sposób, że jego przód od pnia okazałego jawora dzieliło najwyżej pół metra. Nie było potrzeby zajeżdzać mu drogi. Andrzej zatrzymał się przy lewym przednim błotniku tak, że bagażnik jego passata blokował drzwi golfa, a Hadczyk wyskoczył z auta prosto za osłonę drzewa. Gdy człowiek z obandażowaną głową wysiadł, mierzyły w niego dwie lufy Glocków.

– Dudas, obie ręce na dach! – krzyknął komisarz. – I powiedz bratu, że ma stanąć obok ciebie. Jak zobaczę broń, strzelam.

– Wiesz, Rysiu, że za to jest czapa – mruknął mężczyzna, ale położył ręce na dachu.

– Czapa to na razie jest u ciebie. Sławek, wyczołguj się.



Drugi z braci wygramolił się z golfa i stanął obok z rękami na samochodzie.

– To ten Dudas? Ten pizduś? – spytał Krzycki, pokazując pistoletem na zabandażowaną głowę.

– Owszem, ten pizduś – potwierdził Rysiek. – Rozwalamy ich od razu czy aresztujemy i wlecemy ze sobą w charakterze uciążliwego balastu?

– Odbiło ci, Hadczuk – stwierdził z przekonaniem Krzycki. – Zapomniałeś, że jesteś policjantem? Nie wolno strzelać do bezbronnych.

– Od kwadransa jestem wkurwionym ojcem pohańbionej córki. Mam w dupie policję, prawo i wszystkie inne względy. Rządzi mną żądza zemsty. Jestem za rozwaleniem.

Przytakując z przekonaniem, Krzycki obszedł golfa i zbliżył się do Dudasa, przyglądając mu się jak ciekawemu okazowi w muzeum. Szczególnie interesował go biały zawój z bandaża.

– Pokaż no, chłopczyku. Da się to zdjąć?

## 8

Oparty biodrem o maskę czarnej terenówki, którą ustawił na skraju wyrobiska dla lepszego widoku, Kała omiótł ciężarówkę wzrokiem troskliwego gospodarza lustrującego stan trzody. Stały tyłem do siebie i cicho mruzczały włączonymi silnikami. Wyglądały jak cztery konie ustawione do rozrywania skazańca i Kała przez chwilę pożałował, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Nie miał już czasu na zmianę planów. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut powinni być. Wrócił do czarnego bmw i usiadł na tylnym siedzeniu. Dziewczyna tęym wzrokiem patrzyła za okno. Płakała.

– Aż tak źle ci było? – spytał czule. – Wyluzuj, zaraz wszystko się skończy.

Nie wydawało mu się to specjalnie śmieszne, ale pan Władek zarechotał, mlaszcząc przy tym jak wieprz. Tak, solidny z niego kawał człowieka.

– Co, nie wierzysz, Władziu?

– W to to akurat wierzę. We wszystko inne nie.

– Bądź czujny – nakazał mu dla zasady. – Krzycki jest nieobliczalny, a Hadczuk pewnie teraz też. Co, skarbie?

Pociągnął Sylwię za policzek, ale syknęła jak żmija i wcisnęła się w kąt. Dałby jej popalić tu i teraz, ale czas się zbliżał. Uniósł rękę, by panienkę nauczyć grzeczności, gdy z prawej strony na bocznej drodze do wyrobiska pojawił się bordowy golf. Kała z trudem skojarzył, że takim jeździł Dudas. W rzeczy samej, na głowie kierowcy świecił biały bandaż. Ki diabeł? Artur wyszarpnął komórkę.

– Co tu robisz, Dudas? – warknął.

– Szefie, niech mi pan zostawi tego blondynka. Jest mój.

– Co ci odpiardoliło w tej potrzaskanej pale! Zjeżdżaj stąd!

– Chciałem tylko powiedzieć, że jadę...

– Wypad, idioto! – ryknął do telefonu. Dudas coś jeszcze bełkotał o samochodzie, ale Kała się rozłączył, ponieważ na drugiej z czterech dróg dojazdowych pojawił się granatowy passat Hadczuka. Sunął szybko i nieostrożnie, miotając się po piaszczystych koleinach z prawa na lewo w poszukiwaniu lepszej przyczepności. Minął jedną z gotowych do odjazdu ciężarówek i nie zachowując żadnych środków ostrożności, wtoczył się na sam środek placu. Kała schował komórkę do kieszeni marynarki i wyjął pistolet. Dał znać chłopakom. Wyskoczyli z czterech stron i otoczyli samochód z bronią gotową do strzału. Załedwie jednak otwały się

drzwi od strony kierowcy, zrozumiał, że coś jest nie tak. Z passata wysiadł tylko jeden człowiek i był nim... Dudas. Bez bandaża na poobijanym łbie. Kała nerwowo obejrzał się w prawo, ale bordowy golf z zabandażowanym pasażerem zniknął. No tak, Krzycki nie odpuszcza nigdy. U niego nie ma prostych rozwiązań. Artur trącił dziewczynę pistoletem w ramię.

– Wysiadaj!

Spojrzała na niego zaciekawiona. Przemknęło mu przez myśl, że znowu coś jest nie tak. Była ZACIEKAWIONA, ale się NIE BAŁA. Co gorsza, w jej oczach błyskały iskierki rozbawienia. Nie tylko się nie bała, ale widziała jego strach. Czyżby głos mu zadrzał?

– Wyłaź, do jasnej cholery! – wrzasnął tak głośno, że krzyk przeszedł w jakiś żalony dyszkant. Sylwia wykrzywiła się w przesadnym uśmiechu i pociągnęła za klamkę. W tym samym momencie usłyszał za plecami ryk silnika i zrozumiał jej zaciekawienie. Ona ich widziała. Od jej strony wiodła pod górę szeroka ścieżka, którą bordowe auto wspięło się na wzniesienie. Zrozumiał również coś jeszcze: że jego bmw na skraju skarpy, skąd rozciąga się panoramiczny widok na porytą crossowymi ścieżkami dolinkę, fatalnie stoi. Gdyby pomyślał jeszcze sekundę dłużej, być może zrozumiałby znacznie więcej, ale w tym samym momencie rzucił się w bok, popychając ramieniem drzwi i jednocześnie ciągnąc za klamkę. Dokładnie w chwili, gdy jego lewa ręka dotknęła piaszczystej łachy, za plecami Kały rozległ się potworny huk i wspaniała terenówka wystrzeliła do przodu jak znarowiony koń. Uderzenie dosłownie wyrwało Arturowi samochód spod tyłka i zanim się obejrzał, leżał przysypany piaskiem. Kilka metrów dalej zza brzegu skarpy dochodził chrobot bmw, szorującego podwoziem po krzewach jałowca. Staczało się piętnastometrowym nasypem w dół, z panem Władziem za kierownicą. Kała podniósł głowę.

Dziewczyna leżała dwa metry od niego i jęczała, trzymając się za łokieć. Dwoma skokami dopadł do niej i złapał za włosy.

– Puść ją, kch, kch, gnoju! – usłyszał przerywany kaszlem krzyk Hadczuka. Pan komisarz wychylał się zza golfa z pistoletem w wyciągniętej ręce, ale wiadomo było, że nie strzeli. Kała poderwał dziewczynę w górę i objął lewą ręką od tyłu za szyję. W prawej miał pistolet. Usiłował pod światło dojrzeć, czy skulony na przednim siedzeniu rozbitego golfa mężczyzna jest tym, na którego czekał, ale widział tylko biały bandaż na czubku głowy.

– Nie pierdol, Rysiu. Od pierdolenia ja tu jestem. Gdzie Krzycki? Na szyi poczuł okrągły zimny ucisk.

– Tu.

## 9

Plan nie tyle został wymyślony i opracowany w szczegółach, co przyplątał się okazjonalnie wraz z dwoma braćmi w bordowym golfie, z których jeden miał na głowie bandaż. Przyzwyczajony do prowizorki Krzycki ucieszył się, jakby to był dar niebios.

– Słuchaj, Rysiek, zrobimy tak.

Odwrócił Hadczuka od tamtych dwóch i szeptał mu na ucho, od czasu do czasu machając w stronę braci Dudków lufą pistoletu, by nie zapomnieli, że są na celowniku. Zdawał sobie sprawę z żalosego komizmu swoich improwizacji, ale nie miał specjalnie innego wyjścia. Zostało pięć minut, zdaniem komisarza od celu dzieliły ich jakieś dwa kilometry i najgłupszy nawet plan wydawał się o niebo lepszy od żadnego. Postanowili, że przesiądą się do golfa Dudków, młodszego z nich wezmą w charakterze zakładnika, a dla zmyłki nałożą mu na głowę bandaż brata.

– Po co? – dopytywał szeptem Rysiek.

– Nie wiem dokładnie. Po prostu tamten wygląda w nim kretyńsko.

– Ale ten też będzie wyglądał kretyńsko – nie dawał za wygraną komisarz.

– Dobra, nieważne, jedźmy już. Wsiadaj za kierownicę i usadź obok młodego.

Cały czas ściskając w rękę kolby glocków, wsiedli do bordowego samochodu, przykazując Dudasowi, którego pokryta szwami łysina bezlitośnie kojarzyła się z potworem Frankensteina, żeby po prostu robił dalej swoje, to znaczy jechał za nimi do celu. Tam może robić, co chce. Kiedy pakowali Sławcia na przednie siedzenie, Andrzej puścił Dudasowi oko. Nie był pewien, co ten facet kojarzy, ważne, że kojarzył słabo.

Rysiek pracował kiedyś przy zlotach motocrossowych w Żegocinie, więc bardzo dobrze znał teren i zaraz za wsią skręcił w piaszczystą drogę w dół, a następnie odbił w lewo i wjechał w las. Wyrobisko z dziwnie ustawionymi ciężarówkami, zastawiającymi wszystkie cztery wyjazdy z doliny, zostawili po prawej stronie.

– Wiesz, co robisz? – upewnił się Andrzej. Nie rozumiał tego manewru.

– Wiem. Znam Kałę. Ludzi umieści w dolinie, a sam stanie z boku. Najlepiej na podwyższeniu, żeby wszystko widzieć i mieć na muszce. Tu jest tylko jedno takie miejsce.

– Wysadzisz mnie trochę wcześniej – oświadczył Krzycki. Sprawdził pistolet i wcisnął go za pasek. Do sprawnego wysiadania potrzebował obu rąk. Nie miał pojęcia, co właściwie powinien zrobić, ale na tylnym siedzeniu samochodu czuł się jak w pułapce. Wolał otwartą przestrzeń i światło słoneczne za plecami. Kolano zaczynało znowu sztywnieć. Masując je, oddychał miarowo, żeby się

uspokoić. Drżał. Lucek, idę. Był już blisko, tak cholernie blisko, że strach, by czegoś nie spieprzyć, zaczynał go paraliżować. Powrócił również inny strach, ten, który zwykle go napędzał i którego ostatni raz doświadczał raptem półtorej doby temu, na szczycie wiatraka. Czuł zapach śmierci. Była równie blisko jak Lucek, i to go najbardziej przerażało. Nie bał się o siebie, bo ten strach zwykle raczej go napędzał, niż obezwładniał. Znali się jak tyse konie. Bał się o swojego przyjaciela. Jakieś mokre, oślizłe zimno wdzierało mu się pod ubranie, podchodziło pod gardło i napełniało trzewia ohydny szlamem najgorszych podejrzeń.

– Tu – pokazał palcem Ryškowi, gdzie go wysadzić. Piętnaście metrów dalej droga skręcała w prawo, a stąd dało się pobiec lasem na skróty.

– A co ja mam dalej robić? – spytał Hadczuk. – Z tym fiutkiem na pokładzie?

– Nie wiem, wymyśl coś. I tak już nie żyjemy. – Klepnął go w ramię i wyskoczył z samochodu. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że od czasu, gdy wsiedli do golfa przed wsią, minęło równo pięć minut. Wydawało mu się, że pięćdziesiąt.

Przedarł się przez krzewy i zsunął po piaszczystym nasypie do niewielkiego jaru. Na ile zdołał się zorientować w topografii, przed nim, nieco w lewo, znajdował się niewielki płaski teren, z którego rozciągał się widok na całą połąć wyrobiska. Była to właściwie łączka zakończona ostro ściętą skarpą. Obszedł ją naokoło, aż znalazł się od strony północnej, mając za sobą plac z dziwnie ustawionymi ciężarówkami, a przed sobą strome podejście po piachu. Według jego całkiem prowizorycznych obliczeń gdzieś tu nad nim powinien znajdować się domniemany punkt widokowy. Właśnie rozpoczął mozolną wspinaczkę ze swoim opuchniętym kolanem, gdy nad głową usłyszał huk miażdżonego metalu, po

czym zza skarpy wyskoczył na niego pysk wielkiej czarnej terenówki. Samochód przez ułamek sekundy szybował w powietrzu lotem uskrzydłonego hipopotama, a następnie runął w dół, wzbijając fontanny suchej wody. Pysk wrył się w piasek, gwałtownie poderwał z jękiem przeciążonego zawieszenia i pomknął przed siebie, wlokąc za sobą resztę wypasionego cacka. Za kierownicą ktoś walczył o życie. Ledwie uniknąwszy szybkiej śmierci, Andrzej obejrzał się ze zdziwieniem i ruszył biegiem pod górę, czepiając się kępek trawy.

Wdrapał się na skarpe w doskonałym momencie. Przed sobą miał obszerną dupę Artura Kały w opadających dzinsach, trzymającego za szyję dziewczynę i pytającego, gdzie jest Krzycki. Przystawił mu lufę glocka do karku i odpowiedział:

– Tu.

Spodobało mu się to krótkie i precyzyjne słowo.

## 10

Następujące teraz po sobie zdarzenia spodobały mu się już znacznie mniej. Kała wprawdzie puścił dziewczynę, która natychmiast z krzykiem pobiegła do ojca, ale nie uniósł rąk do góry, lecz odwrócił się do niego z głupim uśmiechem.

– Co tak długo, Krzycki? – spytał, oblizując wargi.

– Długo? Zaledwie dwadzieścia dwa lata. Gdzie jest Bałyś?

– On nie jest ważny, Andrzejku. Ważne, że po tych cholernych dwudziestu dwóch latach nareszcie możemy uczciwie się rozliczyć. Przyjaciele powinni regulować takie rachunki. Może zacznijmy od tego, kto komu ile jest winien. Wiesz właściwie, ile wynosi twój dług wobec...

– Gdzie jest Lucek? – przerwał Andrzej, przystawiając mu lufę do czoła. Kała rozłożył ręce.

– Nie bądź śmieszny. Zabawki są dobre dla dzieciaków, nie dla takich starych wygów jak my. Wiesz, co się stanie, jak pociągniesz za spust.

Andrzej zwiększył ucisk.

– Ty też wiesz, co się stanie, jak pociągnę za spust. Gdzie jest Lucek?

Kilka metrów dalej, za bagażnikiem rozbitego golfa, rozgrywała się dramatyczna scena rodzinna. Szlochy dziewczyny na przemian rozbrzmiewały i cichły, tłumione przez nie mniej roztrzęsionego ojca. Krzycki obawiał się, że jak tylko skończą swoje karesy, dojdzie do niekontrolowanego wybuchu działań odwetowych. Należało się śpieszyć.

– Gadaj!

– Żeby ci odpowiedzieć, Krzycki, muszę sięgnąć do kieszeni. Uprzedzam, że to będzie pistolet, i od razu uspokajam, że nie użyję go przeciwko tobie.

– Co ty znowu kombinujesz?

– Widzisz – Kała westchnął, opuszczając ręce – nie powinieneś mnie traktować jak durnia. Nasze spotkanie tutaj jest dopiero początkiem, a nie końcem zabawy. Nie sądzisz chyba, że tak po prostu dałem ci się złapać, byś mi nakopał, a potem oddał w ręce rozwścieczonego tatusia, którego córkę przeleciałem. Nawiasem mówiąc, dorosła z niej kobieta i wiedziała, co robi. Zgodziła się. Prawda, skarbie? – rzucił przez ramię. W odpowiedzi usłyszał od dziewczyny bardzo męski komplement, sprowadzający całą jego osobowość do przyrodzenia. Powtórzony dwukrotnie. Skomentował to krótkim śmiechem.



– Tak, Andrzejku – ciągnął. – Może i wciskasz mi w czoło tę śmieszoną pukawkę, ale obaj z Bałysiem jesteście w moich rękach. Długo na to czekałem, na ten ból, który zadam ci w charakterze drobnych odsetek od twoich wierzytelności. Najpierw planowałem zająć się twoją kobietą, tą, jak jej tam? Dorota. No więc najpierw myślałem o Dorocie, ale doszedłem do wniosku, że nie jest dla ciebie zbyt ważna. Bo nie jest, prawda? Byłoby nawet fajnie, gdybyś za miłość zapłacił miłością. Problem w tym, że ty nikogo naprawdę nie kochasz. Wiem, trochę to melodramatyczne. Co, myślę się? Nie, za dobrze cię znam. Nie umiesz pokochać żadnej kobiety i cierpieć z powodu jej cierpienia. No chyba że Izę, dobrze mówię?

– Zamknij się!

– Aha, czyli jednak. No ale cóż, nie żyje. Więc wymyśliłem, że zrobimy inaczej i za przyjaźń zapłacisz przyjaźnią. Bo przecież byliśmy przyjaciółmi, Krzycki, prawda? Co, myślę się?

– Gdzie jest Lucek? Pytam ostatni raz. Za pięć sekund strzelę ci w łeb.

– Nie wygłupiaj się – odparł Kała z przekonaniem. – Nie strzelisz. Ja strzelę, ale nie w ciebie, tylko w powietrze. I nie przeszkadzaj mi, bo jeśli tego nie zrobię, twój Lucek umrze. Najdalej za – spojrzał na zegarek – dwie minuty. Drobiazgowo wyliczone, jak nie przymierzając, twoje długi, cha, cha!

Andrzej rozejrzał się nerwowo. Na placu, w środku wyrobiska czterech ludzi otaczało Dudasa, słuchając jego ożywionej opowieści. Zwrócone tyłem do siebie ciężarówki układały się w regularny krzyż. Komisarz Hadczuk ukrył Sylwię za bagażnikiem golfa i wychylił się z gotowym do strzału glockiem. Z przedniego siedzenia gramolił się poobijany Sławek Dudek, z komicznie przekrzywioną czapeczką z bandaża na głowie, nasiąkającą od spodu czerwienią. W starych golfach poduszki powietrzne nie odpalają. Rysiek

wyglądałby podobnie, gdyby w ostatniej chwili przed zderzeniem nie wyskoczył. W zasięgu wzroku nie było niczego, co dawałoby jakiegokolwiek szansę na odbicie Lucka. Krzycki znalazł się w pułapce i nie widział wyjścia. W takich sytuacjach należy grać według reguł przeciwnika.

– Dobra, strzelaj.

Kała z triumfalnym uśmiechem sięgnął do kieszeni płóciennej letniej marynarki i wyjął pistolet sygnałowy w kształcie niewielkiego rewolweru. Uniósł do góry i w tym momencie rozległy się dwa strzały. Jeden poszedł w górę i rozsnuł się czerwoną smugą na szarym niebie, drugi w krzaki za plecami Andrzeja. Inspektor odwrócił się z bronią gotową do strzału, ale zobaczył tylko czubek głowy człowieka znikającego za skarpą. Hadczuk mierzył w tamten punkt z pełną napięcia twarzą.

– Słuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz – oświadczył Artur tak spokojnie, jakby to całe zamieszanie ze strzelaniem go nie dotyczyło. – Widzisz cztery ciężarówki? Właśnie ruszają. Na pace jednej z nich znajduje się Lucek Bałyś. Nie, nie zobaczysz go stąd, to byłoby za proste. Użyj swoich nadludzkich zdolności i zgadnij, w której siedzi. I dogoń ją. Samochód, jak widzisz, masz zezłomowany, najbliższy jest na placu, w otoczeniu moich ludzi. Inaczej mówiąc, środek transportu musisz sobie zdobyć. Śpiesz się, bo – znów z namaszczeniem spojrział na złoty zegarek – za godzinę i trzy kwadransy Bałyś dotrze do celu. Pod każdym względem, ponieważ tam zostanie zabity. Aha, ja też muszę tam dotrzeć. Jeśli go uwolnisz po drodze, wygralesz. Przyznaj, że to uczciwy układ. Masz półtorej godziny, na co czekasz?

Ryk czterech potężnych silników wypełnił dolinę.

– Czego od niego chcesz? – spytał Krzycki, obserwując ciężarówki. Nie różniły się niczym szczególnym, wszystkie miały

żółte kabiny i popielate naczepy. Numery zamalowano. – Mówiłeś, że jest nieważny. Chodziło ci o mnie. Załatwmy to tu i teraz.

Ciężarówki ruszyły. Kała przestał się uśmiechać.

– Kłamałem. Na razie odbieram odsetki. Nie trać czasu. On umrze.

Palec Andrzeja na spuście drgnął. To by wyczyściło sytuację. Hadczuk, celujący zza dachu golfa, z pewnością zaakceptowałby takie rozwiązanie i złożył odpowiednie zeznania. Gdy decyzja zwalniała się w jego mózgu jak sprężynka w mechanizmie spustowym, w lesie za plecami komisarza mignął nadjeżdżający granatowy samochód.

– Uciekajcie! – krzyknął Krzycki i pchnął Kałę na stojącego obok uchylonych drzwi golfa zdeorientowanego Sławka. Obaj potoczyli się po trawie, Kała klnąc, a Sławek jęcząc. Andrzej odwrócił się na pięcie i zeskoczył ze skarpy, ku jedynej drodze ucieczki. Tędy też najbliżej było do samochodu, którym mógłby ścigać żółto-szare mastodonty. Syknął z bólu i jednocześnie wyprowadził prosty cios przed siebie, gdzie nagle pojawiła się wykrzywiona twarz kierowcy bmw. To do niego strzelał przedtem Hadczuk. Rzeczywiście, mężczyzna trzymał się za prawe ramię, w lewej ręce ściskając pistolecik. Andrzej trafił go w szczękę, a leżącemu odebrał broń i pobiegł dalej. Parę metrów niżej stał zaryty w piach czarny SUV z zapraszająco otwartymi drzwiami. Jego zgnieciony tył wyglądał zdecydowanie lepiej niż przód bordowego golfa. Krzycki wskoczył do środka, nacisnął przycisk START, przełączył napęd na cztery koła i wcisnął gaz. Samochodem szarpnęło i silnik zgasł. Andrzej włączył go ponownie i wrzucił wsteczny. Na wyjących obrotach wyrwał auto z piaszczystej wydmy i przerzucił od razu na trójkę. Buksując jak w bagnie, bmw ruszyło do przodu z siłą wściekłego buhaja. Gdy złapało przyczepność na kępie trawy, wyskoczyło jak z

procy i pomknęło z warkotem na środek placu, prosto na zdębiałych ludzi Kały. Nagle przez ryk silnika Andrzej usłyszał strzały na górze. Zaklął i wyminął uskakujących na boki ziomków, wjeżdżając na skrzyżowanie dróg. Trzy ciężarówki już znikły, czwarta podskakiwała na wybojach dwieście metrów przed nim. Nie miał czasu na myślenie. Pognął za nią.

## XV

### Lucek, idę

#### I

Ciężarówka nie odjechała zbyt daleko. Dobrnęła polną drogą do miejscowości Paproty, tam wydostała się na trochę lepszą szosę asfaltową, biegnącą w kierunku Malechowa, po czym skręciła w prawo na Karw. Dogonił ją, gdy utknęła między dwoma wiatrakami w szczerym polu. Dojeżdżając, mignął dwukrotnie światłami, co dla największego nawet idioty za kierownicą powinno oznaczać „zatrzymaj się”. Gość jednak dodał gazu i zakopał się w piachu. Z kabiny wyskoczył mały chudy człowieczek w bejsbolówce naciągniętej na czoło.

– Szefie, co jest... – zdołał wykrzyknąć i wyciągnął się jak długi, powalony mocnym ciosem Krzyckiego.

Andrzej wpadł do kabiny, dokładnie przejrzał legowisko za fotelami i schowek, zajrzał nawet pod siedzenia, a następnie wskoczył na naczepę. Na przedzie znajdowała się niewielka sterta żwiru, od podskakiwania na wybojach rozsypana w płaską łachę. Przeszedł po niej, rozdeptując kamyczki butem, ale nie natrafił na żaden ślad. Zeskoczył na ziemię.

– Dokąd go zabrali? – spytał, pochylając się nad człowieczkiem, który rozglądał się za czapką.

– Nie wiem! Miałem tu jechać! – krzyknął płaczliwym głosem. – Nic nie wiem!

Nie było czasu na dyskusje z pogubionym wśród traw półgłówkiem. Andrzej lewą ręką schwycił go pod gardło, a prawą zaczął wykręcać ucho. Ta staroświecka tortura szkolna, dobrze wykonana, przynosiła znakomite efekty. Małżowina uszna jest bardzo wrażliwa.

– Aaa! Nie wiem! Nie wiem! – wrzeszczał kierowca, kopiąc nogami.

– Czego nie wiesz, idioto?

– W której jest ciężarówce. Aaa!

– Nie wierzę. Na którym są kanale?

– Co?

– Macie, kurwa, radia w kabinach! Na którym kanale się z nimi łączysz?

– Nie mamy... aaa! Na czwartym.

Andrzej w kabinie włączył CB radio. Po chwili usłyszał szum i chrobot.

– Co jest, Chudy? – zabuczało w głośniku.

– Masz go? – spytał Krzycki, usiłując udawać głos Chudego. Zanim jednak doczekał się odpowiedzi, inny głos warknął:

– Zamknij się! To on!

Andrzej wyraźnie słyszał w tle jeszcze dwóch ludzi. Obstawa.

– Idę po was – powiedział i odwiesił mikrofon. Wysiadł z szoferki i pochylił się nad kierowcą. Ten właśnie znalazł swoją czapkę i troskliwie czyścił ją z piasku.

– Słuchaj, Chudy, kto wiezie jeszcze trzech gości?

– Co?

Krzycki nie wytrzymał. Uderzył go na odlew w twarz. Kłaśnięcie odbiło się echem od blaszanej burty naczepy.

– Nie wiem! Chyba Mirek. Ale nie wiem. Nic nie wieem! – Zaniósł się na koniec płaczem, masując zaczerwieniony policzek. –

Zostaw mnie!

– Jeszcze jeden drobiazg – powiedział Andrzej, chwytając go za zsiniałą małżowinę. – W którym kierunku odjechał Mirek?

– Co?

Plask!

– Jeszcze raz spytasz „co” i cię zabiję. W którym kierunku pojechał Mirek?

– Nie w... Chyba na Borkowo.

– Na południe?

– Co? Tak. Nie wie... – Chudy zamilkł, osłaniając twarz przed uniesioną pięścią.

Wsiadając z powrotem do bmw, Andrzej pomyślał, że trudno dziwić się skali wypadków z udziałem ciężarówek na polskich drogach, skoro siedzą za kierownicami tacy durnie. Nawrócił i pognał z powrotem na Święcianowo. Wyjął z kieszeni komórkę, włączył i po uzyskaniu sygnału, wcisnął przycisk bluetootha. Na wyświetlaczu samochodowym pojawiło się jego nazwisko. Dodał komórkę do urządzeń i po załadowaniu się książki telefonicznej odszukał numer Hadczuka.

– Żyjesz?

– Nie – odparł Rysiek. – Gdzie jesteś?

– Wracam do Święcianowa. Dogoniłem jednego za Paprotami, ale był sam. Mówił, że Mirek pojechał na Borkowo, ma kogoś w kabinie. Wiesz, o co może chodzić? Dokąd da się tamtędy dojechać w półtorej godziny?

– Poczekaj... w kabinie? Lucka nie schowali w kabinie, tylko na pace. Tak mi powiedział Kała.

– Kała ci powiedział? Gaworzyliście sobie o turnieju Monster Trucks? Przy kawie?

– Uspokój się. Zanim uciekłem, powiedział, że na naczepie Lucek pewnie i tak umrze od wstrząsów, zanim dotrze na miejsce. Zdaje się, że podzielił się tym ze mną tylko dlatego, że w następnej sekundzie chciał mnie zastrzelić.

– Dlaczego tego nie zrobił?

– Naprawdę masz teraz ochotę na pogawędkę? Przy kawie?

– Skrót.

– Benek i Łukasz.

– A Sylwia?

– Jesteśmy we czwórkę. Pędzimy na Ostrowiec za jedną z ciężarówek. Benek liczy, że tam jest Lucek. Ja liczę, że tam jest Kała.

– Dobra. Dzwon, jak coś wymyślisz – powiedział Andrzej i się rozłączył. Wszedł do nawigacji i wklepał „Borkowo”. Pojawiła się mapa, na której znalazł boczną drogę z Paprot, omijającą wyrobisko w Święcianowie. Nie chciał natknąć się na tamtą uzbrojoną bandę. Teraz żałował, że nie pociągnął ze sobą Kały. Z nim łatwiej dotarłby na miejsce. Jakby w odpowiedzi na te pomysły jego lewe kolano warknęło groźnie przejmującym bólem. Racja, miał ratować Lucka, a nie bawić się w samobójcze stopniowanie ryzyka. Źle by się to skończyło.

Jak coś może źle się skończyć, to się skończy, podpowiedział mu jego nieodłączny towarzysz, wredny pesymista. Kała zorganizował konfrontację tak, że bez względu na to, czy Krzycki dotrze do Bałysia czy nie, ten i tak zginie. Obaj zginą, o to właśnie chodziło Kale. Po prostu bawił się pomysłowymi egzekucjami. Takie szaleństwo mogło zrodzić się jedynie w głowie człowieka pozbawionego jakichkolwiek skrupułów, a także sensu własnego istnienia. Pewni ludzie realizują się tylko w krzywdzeniu innych, i Kała do nich należał. Ty również, podpowiedział mu pesymista. Krzycki prychnął i dodał gazu. Nic ci to nie da, ciągnął wredny głos,



wszystko zaczęło się od ciebie, nie od Kały. W tobie bierze początek całe to szambo, w którym się taplacie i za które obaj z Bałysiem zapłacicie życiem. Bo taka jest uczciwa cena za całość, co nie? Życie. Nie zaprzeczaj. Nic ci to, fiutku, nie da.

Wydostał się na szosę ze Świącianowa na Borkowo i wtedy zadzwonił telefon.

– Dorwaliśmy drugiego – zakomunikował Hadczuk. – Jest sam. Nic nie wie.

– Czyli mam jechać na Borkowo – upewnił się Krzycki. – I co dalej?

– No właśnie. Bo widzisz, ciężarówki ruszyły w cztery strony, ale kierunki w zasadzie są trzy. Na Borkowo pojechały dwa samochody i za chwilę dotrzesz do rozjazdu...

Jak na zawołanie przed Andrzejem wyłoniła się tablica z informacją, że do Lejkowa należy jechać na wprost, a do Niemicy w prawo.

– W Lejkowie prosto i za Borkowem dalej na Laski, a tam w prawo na Sowno. Potem pojedziesz przez Ratajki, gdzie jest jeszcze jedna zwirownia. Prawdopodobnie liczą na to, że ich wóz zniknie w tłumie innych.

– A wy?

– Zawracamy i pojedziemy tą drugą na Niemicę, a potem główną na Koszalin. Andrzej, wezwałem posiłki. Są ofiary, to już nie jest nasza prywatna sprawa.

– Zdybas wszystko zamiecie pod dywan.

– Nie.

Odpowiedź Hadczuka była szybka i mocna. Widocznie we wnętrzu tego rozdwojonego policjanta i rozgoryczonego ojca odbywała się fundamentalna rekonstrukcja osobowości.

– Rysiek, dajcie spokój. Nie narażajcie się. To mój rachunek.

– Marudzisz. Jak coś wymyślę, dam znać.

Komisarz się rozłączył i Andrzej wpisał w GPS kolejne nazwy miejscowości. W Laskach skręcił w prawo przy malowniczym drewnianym krzyżu i wjechał na starą dziurawą drogę na Sowno. Gdy bmw wyskoczyło na szczyt wzniesienia, ujrzał przed sobą piękną kasztanową aleję, wbijającą się w horyzont prościutkim klinem. Na jego czubku podskakiwała na dziurach malutka żółta kabina z popielatą naczepą.

## 2

Dognał ją w dwie minuty i zaczęła się zabawa w kotka i myszkę. On usiłował wyprzedzić, a Mirek zajeżdżał mu drogę. Na wąskiej, pokrytej dziurami szosie wyprzedzanie graniczyło z niemożliwością. Andrzej mógłby przestrzelić opony, ale były zbyt grube na jego glocka. Chcąc nie chcąc, musiał poczekać na bardziej odpowiedni trakt. Ten pojawił się po skręcie w prawo na Ratajki, gdy wjechali na znacznie szerszą drogę z lepszą nawierzchnią. W dodatku pustą.

Skup się, Krzycki, pomyślał, sprawdzając stopą przyśpieszenie. To jest bmw, z trzysta koni, albo i więcej. Tamten nie może gwałtownie skręcać, bo się przewróci, chyba że bardzo zwolni. Andrzej wbił wzrok w klapę wywrotki. Czyżby Lucek był tak blisko? Dziesięć metrów? Miał ochotę podjechać pod samą burtę i wdrzeć się na naczepę, ale to oznaczałoby samobójstwo. Takie numery wychodzą tylko na filmach, a i tak są mało wiarygodne. Pozostaje wyprzedzanie.

Dopóki ciężarówka gnała środkiem pustej drogi, miała nad nim całkowitą przewagę. A akurat tak cholernie się składało, że nie

jechało nic. Pokonali długą serpentynę w dół, minęli skręt do Sowieńskiego Młyna, wieś Ratajki i znaleźli się w lesie. Tu dopiero z naprzeciwka pojawił się samochód, i to w dodatku podobna ciężarówka, przy której wymijaniu musieli zjechać na prawo. Krzycki przyczaił się, wlepił oczy w drogę przed sobą i zgarbił się jak strzelec pokładowy. Wyczekiwał odpowiedniego momentu. Oba samochody zwolniły i minęły się, zjeżdżając nieco na pobocze, i w następnej sekundzie Andrzej odbił kierownicą w lewo i wcisnął gaz. Jego terenówka wyrwała do przodu z piskiem opon, miała fantastyczne przyśpieszenie. Mirek zorientował się i próbował zepchnąć go do rowu, ale nim jego mastodont wygramolił się z pobocza, bmw było już przed nim. Krzycki przyhamował, wyjął pistolet i odwrócił się. Mógł jedynie celować w kabinę, co jednak stanowiło poważną trudność – musiałby strzelać albo przez lewe ramię, albo przez tylną szybę, jeśli w ogóle udałoby mu się ją wybić.

Gdy już się zdecydował, coś huknęło i jego samochodem rzuciło gwałtownie w prawo. Z najwyższym trudem utrzymał go na szosie, ale z tyłu dobiegał łomot i bmw trzęsło się jak na torowisku. To jemu przestrzelili opony. Huknęło jeszcze raz. Nie miał wyjścia, zdjął nogę z gazu i zjechał na pobocze. Kiedy wysiadał, gotów strzelić w kierowcę, ciężarówka gwałtownie odbiła w lewo i wjechała w las. Przez kilka sekund widział jej podłużne cielsko między drzewami, po czym znikła z oddalającym się łoskotem.

W terenówce oba tylne koła stały na kapciach. Kopnął je, krzyknął: „Kurwa mać!”, uderzył pięścią w dach, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś pojazdu. Szosa świeciła jednak pustką rodem z obrazów Hoppera. Usiadł na przednim fotelu bmw i wyjął komórkę, żeby zadzwonić do Hadczuka. Zrezygnował. Jechali we czworo policyjną osobówką – przecież nie przedrze się nią leśnymi drogami, nie mówiąc o dogonieniu ciężarówki. Walnął pięścią w

kierownicę, powtarzając przekleństwo jak magiczne zaklęcie. Prośba została wysłuchana i obok niego zatrzymał się renault megane.

– Mogę w czymś pomóc? – uprzejmie spytała kobieta, opuszczając szybę.

– Tak. Jestem policjantem i ścigam przestępców, którzy porwali mojego przyjaciela. Może mi pani pożyczyć swój samochód?

Spodziewał się, że odpowiadając uprzejmością na uprzejmość, bez trudu osiągnie cel, stało się jednak dokładnie odwrotnie.

– Chyba cię pokopało! – krzyknęła kobieta i wcisnęła gaz do dechy. Opony zapiszczały, a samochód pomknął przed siebie i zniknął za zakrętem, jakby wstydził się zachowania swojej pani. Zanim Krzycki wykrzyczał zaklęcie po raz trzeci, zza łuku wyłoniło się kolejne auto. Tym razem postanowił nie bawić się w uprzejmości. Wyszedł na środek jezdni i uniósł rękę z pistoletem, gotów strzelić w powietrze, gdyby tamten nie chciał się zatrzymać. Nie musiał. Za kierownicą zielonego suzuki samurai siedział szpakowaty mężczyzna w mundurze leśniczego. O dziwo, zjechał, wysiadł bez dyskusji i jeszcze zapytał, czy „pan komisarz” wie, jak się włącza napęd na cztery koła. Andrzej przytaknął, podziękował, rzucił leśniczemu kluczyki od bmw i po chwili, podskakując w kwadratowym autku wielkości sporej zabawki, gnał leśną drożyną śladami piaskowego tira z Luckiem na pace. Taką przynajmniej miał nadzieję. Lucek, wytrzymaj jeszcze trochę. Idę.

Pierwszych kilkaset metrów nie przedstawiało większych trudności, ponieważ na szerokiej przecince świeże koleiny po ciężarówce były doskonale widoczne. Później grunt zrobił się twardszy, ale ślady nadal wyznaczały trasę pościgu. Na skrzyżowaniach leśnych dróg Krzycki gnał prosto, zakładając, że tamci nie mieli czasu na hamowanie, skręcanie i kluczenie. Musieli

dotrzeć na czas do celu. Sprawa trochę się pokomplikowała, gdy dotarł do Szczeglina, małej wsi, przez którą biegła droga krajowa numer dwieście sześć. Odruchowo skręcił na niej w prawo na Koszalin i po kilku kilometrach zatrzymał się. To było bez sensu. Nie pojechali ciężarówką do centrum miasta, gdzie łatwo dałoby się ich namierzyć i zorganizować naprędce blokadę. Szukali bocznych dróg. Ale dokąd? Zawrócił, przeciął Szczeglino i za wsią znalazł ślady ubłoconych opon. Pojechał za nimi w las.

Minął coś, co liczyło dwa domostwa i nazywało się Kościerza, błędził przez pewien czas, aż dotarł do drogi numer jednaście, przeciął ją i wjechał znowu w las. Szerokie ślady opon ciężkiego sprzętu zaczęły się mnożyć. Armia szyszkowników w najlepsze wycinała polskie lasy i tutejszy drzewostan najwidoczniej również nie uniknął tego losu. Drogę przecinały ogromne kałuże, które pokonywał tylko dzięki świetnie działającemu napędowi na cztery koła. Malutki samuraj miał grubą kostkę na oponach i dzielnie radził sobie w grząskich koleinach, prąc do przodu z pracowitością stepowego konika. Był niezawodny i Krzycki postanowił, że sobie takiego kupi.

Wdzierał się w coraz głębszą głuszę leśną, nie wiedząc, dokąd właściwie jedzie i po co. Wreszcie zatrzymał się, zaklął i wyjął komórkę.

– Rysiek, jestem w dupie sianowskiego powiatu, na przecięciu dwóch tras przemarszu mamutów, na przelomie epoki lodowcowej i neolitu. Jadę doskonałym skrzyżowaniem konia i pralki, ale niewiele mi to daje, bo nie wiem dokąd. Wymyśl coś, kurwa, bo się zastrzelę.

– Spokojnie. Jeszcze raz powiedz, gdzie jesteś.

Andrzej westchnął i zaczął tłumaczyć swoje ostatnie posunięcia. Gdy doszedł do przecięcia drogi jednaście, stracił cierpliwość i

wrócił do brzydkich zakłęb. Rysiek mu przerwał.

– Słuchaj, tylko jedno przychodzi mi do głowy. Tamtędy można dojechać bocznymi drogami aż do Kołobrzegu. Przed Kołobrzegiem jest Bagicz, stare lotnisko wojskowe. Kała miał tam kiedyś magazyny, ale jak zaczęli rozbierać posowieckie hangary, zdaje się, że z tego zrezygnował. Raz tam pojechałem. Z zachwytem pokazywał mi podziemne schrony. Wiesz, takie wybetonowane dziury w ziemi, przykryte darnią i niewidoczne z lotu ptaka. Było tego ze dwadzieścia, niektóre w całkiem dobrym stanie. Może tam... Ale nie jestem pewien. Podobno większość rozebrali. On miał magazyn z wejściem od strony morza, z wielkimi wrotami na szynach.

– Dzięki, jadę!

– Poczekaj. Wysadzę Sylwię w Koszalinie i zaraz tam będziemy. Pół godziny. Andrzej, nie idź sam...

– Nie będę czekał – rzucił i się rozłączył.

Trop wydawał się rozsądny. Przekręcił kluczyk, wcisnął sprzęgło i zawył z bólu. Kolano znowu oszalało. Może jednak powinien poczekać, w przeciwnym razie... W przeciwnym razie wydarzy się wszystko, co może się wydarzyć. Na starcie dał sobie narzucić bestialskie i nieuczciwe reguły, a teraz nie było już odwrotu. Nadciągające policyjne wsparcie skłoni Kałę do spełnienia groźby, dlatego jedynym dającym szansę powodzenia rozwiązaniem wydawało się dotarcie tam wcześniej. Wyznaczony czas skurczył się do pół godziny, to zaledwie tyle, by dojechać. Dojechać, i co? Dać się zabić, po tym malowniczym krajoznawczym rajdzie śladami pomorskiego Smętka? Wystrzelać liczną i po zęby uzbrojoną obstawę, uwolnić Lucka i w charakterze deseru dokopać wrednemu Kale? I co jeszcze? Przebyć wpław Bałtyk, zdobyć Sztokholm i dla relaksu pójść do szwedzkiego night clubu na *chocolate sandwich*?

Nagle Andrzeja olśniło. Ujrzał bladą twarz Lucka i przecięte sznurem wargi układające się w „bu...”. To mógł być bunkier. Tak, na pewno bunkier. Jedźże, Krzycki, szybciej!

Dodał gazu i natychmiast przeszył go potworny ból. Wyjął z kieszeni listek cefalginu, wydłubał dwie tabletki, pogryzł i połknął. W schowku znalazł małą butelkę z resztką wody mineralnej, która pachniała ścierką do naczyń i podobnie smakowała. Wysiadł, pomasował dłońmi obolałe kolano i wsiadł z powrotem, udając przed samym sobą, że już jest lepiej. Nie uwierzył.

Pognał na Kołobrzeg jedenastką, minął Ustronie Morskie i Sianożęty, zwolnił w poszukiwaniu skrętu na lotnisko i wtedy ją zobaczył. Pół kilometra przed nim z przecinki leśnej wyskoczyła na szosę żółta ciężarówka z popielatą naczepą. Jechała chwilę przed nim, a potem skręciła w prawo. Tablica drogowa informowała: PODCZELE. Wziął głęboki wdech, a potem długo z sykiem wypuszczał powietrze. Wszystko go bolało. Przed oczami latały mu wielobarwne ćmy. Zdarta skóra prawej dłoni piekła, kolano się sypało, w skroniach pulsowała migrena. Był gotowy.

– Zakończmy to – powiedział i odbił w prawo na Bagicz.

Kolano odpowiedziało złośliwym rechotem.

### 3

Jechał na wyczucie. Na wysokości pierwszych zabudowań skręcił w prawo i omijając miejscowość Podczele, dotarł do zapiaszczonej drogi na stare lotnisko. Dawny pas do kołowania gdzieś był podziurawiony, ale poza tym przedstawiał się całkiem dobrze. Tu i ówdzie porastały go kępy trawy, krzewy dzikiego bzu i łozin pokrywających również wzniesienia po prawej

stronie pasa. Dopiero gdy zbliżył się do nich, pod pagórkami rozpoznał zamaskowane hangary, o których mówił Rysiek. Półokrągłe schrony, otwarte i wybetonowane od wewnątrz w poprzeczne żebrowania, przypominały ślepiea zakopanego w ziemi olbrzymiego płaza. Ocalały tylko dwa, po innych pozostały jedynie uklepane placki ziemi. Andrzejowi przypomniały się ślimaczki Maciusia Ploha. Kiedyś hangary ciągnęły się na całej długości lotniska, a także poza nim, w bocznych odnogach betonowej płyty, gdzie Krzycki natrafił na okrągłe baseny na paliwo lotnicze. Jechał wzdłuż nich powoli i rozglądał się w poszukiwaniu ciężarówki. Od biedy zmieściłaby się w takim hangarze.

Nie musiał jej szukać. Gdy dotarł do końca lotniska i zawrócił przełączką na drugi pas, zobaczył ją sto metrów dalej. Samochód stał przy wielkiej przesuwnej metalowej bramie jednego ze schronów. To o niej wspominał Hadczuk. Andrzej zatrzymał się w cieniu sporego krzewu i przez chwilę obserwował pojazd. Nie działo się nic. Ciężarówka stała tyłem do niego, olbrzymia klacz, która dotarła na miejsce i teraz cierpliwie czeka na dalsze polecenia. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Od morza wiał chłodny wiatr, bure i nieprzyjazne chmury sunęły nisko po niebie, uparczywie wybijając ludziom z głów pomysły na wakacyjne plażowanie. Po kilku minutach obserwacji, gdy absolutnie nic się nie działo, Krzycki wysiadł i ruszył piechotą w kierunku magazynu o rozchylonych ciężkich wrotach na żeliwnych kołach szynowych. Wyglądało to na zaproszenie. Podrapał się w głowę, pomasaował kolano. Pomyślał. Nie ma innego wyjścia. Poszedł.

Najpierw próbował przekradać się bokiem, przez chaszczę i wysokie trawy, po chwili jednak dał sobie spokój. Gdyby go chcieli zdjąć na otwartej przestrzeni, dawno by to zrobili. Ci ludzie mieli spore doświadczenie w zdejmowaniu przeciwnika na odległość.



Nie, tu chodziło o co innego. O spotkanie ich dwóch. Przestał dbać o skautowskie środki ostrożności. Należało po prostu wejść do tego cholernego schronu, sprawdziwszy uprzednio ciężarówkę. Stała całkiem pusta, a na naczepie leżała świeżo rozgrzebana sterta piasku. Właśnie kogoś spod niej wyciągnięto i zawleczono do podziemi. Za bramą było pusto, zimno i piekielnie ciemno. Pachniało stęchlizną i starym olejem silnikowym, z beczkowatego stropu kapiała woda. Zaciskając palce na kolbie pistoletu i oświetlając bladym światłem komórki podłogę przed sobą, Andrzej posuwał się krok za krokiem. Szedł przy prawej ścianie, cały czas kontrolując lewą stronę, gotów w każdej chwili uchylić się lub strzelić. Migrena, jego najwierniejszy i najbardziej perfidny wróg, przypuszczała kolejny atak, tradycyjnie w najmniej pożądanym momencie. Nagle z ciemności wyskoczyły na niego dwa szczupłe sprężyste dobermany. Mrugnął, to tylko przywidzenie, ale i tak omal nie strzelił. Pożałował, że nie ma z nim Lali. Potem zobaczył coś nad sobą, jakieś poruszenie, i instynktownie uchylił się przed ciosem. To był refleks światła na wypolerowanym elemencie wyposażenia. Krzycki stąpał miękko i ostrożnie, jak myśliwy podchodzący zwierzynę na prerii. Gdy dotarł do końca hangaru, niemal dobijając nosem do przeciwległej ściany, uznał swoje godne politowania zabiegi asekuracyjne za zbędne. Pomieszczenie okazało się puste. Należało szukać dalej.

Macając tylną ścianę metr po metrze, doszedł już do wniosku, że się pomylił, kiedy jego palce natrafiły na metalową płytę. Ktoś niedawno pomalował ją farbą antykorozyjną i zaopatrzył w niewielkie zawiasy. Wejście. Po drugiej stronie Andrzej namacał podłużny uchwyt i pociągnął, przekładając pistolet do lewej ręki. Drzwi ustąpiły, a on ukrył się za nimi jak za tarczą, cały czas mierząc z glocka w ciemność. Nic się nie stało. Schował pistolet za

pasek spodni i ostrożnie wychylił się zza drzwi. W pierwszej chwili niczego nie dostrzegł, ponieważ patrzył na wprost. Usłyszał za sobą zgrzyt i wyszarpnął broń, ale nie strzelił, bo nie miał do czego. Brama hangaru zasunęła się z przeraźliwym łoskotem, sztaba opadła z hukiem i powróciła przenikliwa cisza. Włączył w komórcie latarkę i oświetlił hangar. Pusto. Zgasił, by oszczędzać baterię. Oblepiła go smolista ciemność. Jedyne jaśniejszy punkt stanowiła plama światła dochodząca z podziemi. Jak drogowskaz. Nie widział innego wyjścia, niż podążać za nim.

Stare i wyszczerbione schody zbudowali zapewne Niemcy jeszcze przed wojną. Świadczyły o tym niemieckie napisy na ścianie schronu i znaczki z trupa główką, typowe dla hitlerowskiej ornamentyki wojskowej. Po pokonaniu dziesięciu stopni Andrzej odwrócił się, czekając na zatrzaśnięcie za plecami kolejnych drzwi, te jednak pozostały otwarte. Zawahał się, czy sam nie powinien ich zaryglować od wewnątrz, ale uznał to za zbyt skwapliwe pomaganie diabelskim siłom i zrezygnował. Schodząc do podziemi, nie oglądaj się.

Plama w dole rozszerzyła się w nieregularny trapez i padała z prawej strony, gdzie znajdowało się źródło światła. Skreślił w ciasny korytarz i po kilku krokach znalazł się w małym pomieszczeniu przypominającym dyżurkę strażnika. Z niskiego stropu, pokrytego szorstkim betonem z wyraźnie odbitymi słojami desek, którymi go stemplowano, padał słaby żółty blask. W rogu znajdowała się metalowa szafka na dokumenty, obok niej niewielki stolik z jednym drewnianym krzesłem, w drugim kącie stał wieszak na ubrania z wygiętymi do góry pałkami na czapki. Wisiała tam furazerka z hitlerowską naszywką w postaci srebrnej wrony i wpiętym weń krzyżem żelaznym. Przypominało to raczej amatorską dekorację niż autentyk. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były otwarte na

oścież i stamtąd również padało żółte światło słabej żarówki. Schron klimatem nieodparcie przywodził na myśl stare filmy wojenne. Andrzej wymierzył broń przed siebie.

– Co tak długo, Krzycki? – spytał Kała, stając w progu.

– Długo? – zdziwił się, spoglądając na zegarek. – Dokładnie godzina i trzy kwadranse.

#### 4

– Schowaj ten pistolet. Mówiłem ci, że strzelanie do niczego nie prowadzi.

– Gdzie jest Lucek?

– Lucek, Lucek – przedrzeźniał go Kała. – On tu nie jest ważny, Krzycki. Tylko my dwaj. To też ci mówiłem. Zanim jednak przejdziemy do sedna, muszę najpierw cię o coś spytać. Czy ktoś wie, że tu jesteś?

Mierząc cały czas w Artura, Andrzej usiłował dostrzec za jego plecami jakiegokolwiek oznaki obecności Bałysia w sąsiednim pomieszczeniu. Gdyby je zauważył, strzeliłby natychmiast. Niczego takiego nie udało mu się jednak zarejestrować, natomiast Kała zarejestrował jego podzieloną uwagę.

– Tu? – spytał, pokazując palcem za siebie. – Nie, tu go nie ma. Jest gdzie indziej i powiem ci, tylko musisz ze mną współpracować w nieco szerszym zakresie, że się tak wyrażę. Powtarzam pytanie: czy komuś mówiłeś, że tu jedziesz?

– Nie.

– Aha. To dlaczego Hadczuk wezwał posiłki?

– Jak wiesz, to po co pytasz?

– Bo widzisz – Kała westchnął, jakby jego duszę przepęłniała troska o całą ludzkość – chcę z tobą szczerze pogadać, zanim cię zabiję. Wiesz, taka ostatnia poważna rozmowa dawnych przyjaciół, których drogi niefortunnie się rozeszły. Tęsknili do siebie latami, ale nie zdołali się spotkać. Ja w każdym razie tęskniłem bardzo. A ty?

Zaśmiał się krótko i nieszczerze, a ponieważ Andrzej milczał i nadal celował mu w twarz, wzruszył ramionami. Drzwi za plecami Krzyckiego zatrzęsnęły się.

– Mówiłem, żebyś odłożył broń – powiedział Kała. – Jeśli chcesz uwolnić Bałysia, musisz wydostać się na zewnątrz, a bez mojej pomocy tego nie dokonasz. Nikt ci również nie pomoże, ani Hadczuk, ani te jego śmieszne posiłki, z tego prostego powodu, że nas tu nie znajdują. Samochody już zostały usunięte, twój również, spacerowicze i rowerzyści z powrotem wpuszczeni na teren lotniska, a drzwi do mojego bunkra znów zastawione przegrodą. Nawiasem mówiąc, jak ci się podoba? – spytał, zataczając ręką wkoło, jakby prezentował kwitnącą oranżerię. – Moje odkrycie. Od dawna krążyły w okolicy opowieści o niemieckich bunkrach pod ziemią, nikt jednak nie umiał ich znaleźć. Zbudowali je jeszcze w latach trzydziestych hitlerowcy, którzy pod Kołobrzegiem widzieli optymalne miejsce na lotniczą bazę wojskową, poza zasięgiem samolotów zarówno radzieckich, jak i alianckich. To miały być nie tylko schrony, ale również magazyny i korytarze, być może nawet podziemny port morski dla U-Bootów, jak powtarzają tutejsi miłośnicy militariów. Co ciekawe, Rosjanie ich nie odkryli! Przez tyle lat użytkowali górny schron jako warsztat naprawczy, a nie zauważyli, że jego tylna ściana kryje schody w dół...

– Gdzie jest Lucek?

Kała odwrócił się i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Andrzej ostrożnie ruszył za nim. Ten pokój był większy i wyższy, a oprócz metalowej szafki stały w nim stół oraz dwa krzesła.

– Siadaj – powiedział Kała, niedbałym gestem wskazując jedno z nich, jakby rzeczywiście chodziło o spotkanie po latach dwóch kumpli. – Będziemy się luckować później, na razie musimy pogadać. Nie po to ściągałem cię dwadzieścia dwa metry pod ziemię, wprost do mojego piekła, żeby teraz w minutę załatwić to, na co czekałem dwadzieścia dwa lata. Każdy metr to jeden rok, fajnie. Moje piekło. Przyrządzone specjalnie na twoją cześć. Nie cieszysz się? Nie każdy ma taką możliwość, umierać w prawdziwym piekle, przygotowanym specjalnie dla niego. Wiesz, o czym chcę z tobą rozmawiać?

– Gdzie jest Lucek?

– A raczej o kim. O Lidce. Pamiętasz ją w ogóle? Hej, Krzycki, ty podrywaczku od siedmiu boleści, pamiętasz Lidkę?

Andrzej nie słuchał uważnie, skupiając się na analizowaniu szczegółów otoczenia i poszukiwaniu dróg wyjścia, na dźwięk tego imienia jednak drgnął. A więc to prawda. Ten facet przez tyle lat nie zdołał pozbierać się po tamtym fatalnym wieczorze, o którym on zapomniał już po trzech dniach. Kała latami dusił w sobie wściekłość na niego, a nawet nie dusił, tylko hodował. Pielęgnował, karmił i tuczył, aż stała się żarłocznym demonem i pochłonęła całe życie byłego komendanta ślupskiej policji. Niepojęte! Lidka? Andrzej nie pamiętał nawet, że tak się nazywała, z trudem przypominał sobie rysy jej twarzy. A jednak. Do tego jednego pijackiego epizodu sprzed dwudziestu dwóch lat Artur sprowadził cały sens swojego nieudanego życia, a następnie winą za to obarczył Krzyckiego. Nie było o czym rozmawiać, każdy już wiedział swoje i

z pewnością będzie przy tym obstawał. Zostało tylko rozstrzygnięcie metody. Co Kała chce właściwie z nim zrobić?

– Zabij mnie, ale wypuść Lucka – powiedział Andrzej, patrząc w podłogę i zastanawiając się, gdzie tu jest pułapka.

– Nawracasz do tego zasranego Bałysia jak koń do stajni! – krzyknął Artur, podnosząc się z krzesła. – W dupie go mam! Gadaj, czy pamiętasz Lidkę! Nie? Widzę po twoich kaprawych oczkach, że nie bardzo kojarzysz. Pamiętasz tyle, ile sam ci przypomniałem w naszej ostatniej rozmowie. W twojej pamięci moja Lidzia znalazła dla siebie mniej miejsca niż pchła z koszarowego siennika, która cię wtedy gryzła w jaja między jednym pijaństwem a drugim. Ha, Krzycki? Po co miałbyś pamiętać te wszystkie przeleciane laski? Do emerytury i tak się nie liczą, a tylko obciążają sumienie niepotrzebnym balastem. Bzyknąć i do roboty, łapać bandytów – oto cały Krzycki. A że kumplowi życie sponiewiera? Chuj z nim, znajdzie się inny kumpel, na przykład taki Bałyś. Przyznaj się, jego laskę też dmuchnąłeś, co?

Zanim Andrzej zdał sobie sprawę, że daje satysfakcję przeciwnikowi, już zareagował. Odepchnął stół, ale Kała był przygotowany i zrobił to samo. Pchnęli równocześnie, unosząc stół do góry, a wtedy przewaga znalazła się po stronie stojącego już Artura. Kopnął Andrzeja w krocze i pchnął w niego mebel z taką siłą, że Krzycki zatoczył się do tyłu i w ostatniej chwili podparł się nogą, by nie runąć na plecy. Niestety, lewą nogą. Kolano w proteście przeciwko nieludzkiemu traktowaniu zawyło, po czym odmówiło współpracy. Z najwyższym trudem zdołał jeszcze odskoczyć na prawej nodze, grzmotnął plecami w ścianę i osunął się na podłogę, z kantem blatu dociśniętym do krtani. Pistolet wyśliznął mu się z ręki, gdy próbował wyjąć go zza paska, i pojechał po posadzce w kąt.

Kała docisnął stół mocniej i uśmiech zadowolenia zagościł na jego obszernej twarzy.

– Nie jesteś wcale taki dobry, jak ci się wydaje. Lewe kolano, co? Sprawdźmy.

Nadepnął jego ledwie zipiący staw kolanowy i kolorowe płatki przed oczami Krzyckiego nabrały intensywniejszych barw. Szarpnął się, żeby je uwolnić, krzyknął z bólu, a wtedy Artur uderzył go pięścią w szczękę, dokładnie tam, gdzie trzy dni wcześniej oberwał od Uli Miłęckiej. Odpłynął.

## 5

Gdy się ocknął, siedział na tym samym krześle za stołem. Miał ręce spięte kajdankami na plecach. Jego przeciwnik siedział naprzeciwko i zakręcał butelkę wody mineralnej. Andrzej zlizął z warg resztki płynu.

– Jesteś? – spytał Kała. – To dobrze, bo jeszcze nie skończyłem. Na zwirowisku uprzedzałem, że zabawa dopiero się zaczyna. Muszę opowiedzieć ci o Lidce, tej głupiej dziwce, której nawet nie chciało ci się zapamiętać. Gdyby twój kutas umiał gadać, pewnie miałby więcej w tej sprawie do powiedzenia. Wiesz, że ją potem odnalazłem? A tak, bo ona uciekła. Nie potrafiła, nieboga, poradzić sobie z całym tym syfem, który nam zafundowałeś, i uciekła. Wszyscy potem rozpowiadali, że to ja ją rzuciłem. Gówno prawda, rozumiesz? Uciekła, bo nie mogła wytrzymać. Prawie rok jej szukałem i wreszcie znalazłem na drugim końcu Polski, gdzieś pod Ustrzykami Dolnymi. Pracowała tam jako kelnerka w barze. Na mój widok tak się rozpłakała, że do końca życia nie zapomnę tego jej płaczu. Umówiliśmy się na następny ranek, bo powiedziała, że

pracuje do późna i musi się wyspać. Nie przyszła. Od kierownika dostałem jej adres i poszedłem do niej. Nie otwierała. Zacząłem walić w drzwi, aż wyleciały z zawiasów. Wisiała w pokoju na haku od lampy. Na stole zostawiła kartkę z jednym słowem: „Przepraszam”.

Kała zamilkł i wpatrywał się w niego zaszklonymi oczami. Wargi mu drżały. Andrzej zobaczył w jego rękach nóż i pomyślał, że z chęcią by mu go odebrał, gdyby nie ten drobiazg w postaci kajdanek na plecach. Słyszał słowa Artura jak przez mgłę. Koncentrował się jedynie na zachowaniu przytomności, co nieco jednak do niego dotarło. Zmusił się do otwarcia ust. Jego głos zabrzmiał jak worek śmieci ciągnięty po bruku.

– Co powiedziałaś? – spytał Kała.

– Przepraszam – powtórzył wyraźniej Krzycki.

– Że jak? Przepraszam? No super! Na to właśnie czekałem! Tośmy się nareszcie dogadali! Bo widzisz, o to mi dokładnie chodziło: żebyś teraz grzecznie za wszystko przeprosił i będziemy kwita. Jak na kulturalnych ludzi przystało, wszystkośmy sobie wyjaśnili i po sympatycznych przeprosinach możemy z czystym kontem powrócić do dawnej przyjaźni. Pięknie, co? Kurwa, jak pięknie! Tylko mamy jeden mały problem, całkiem malutki. Ona jak wisiała, tak wisi. I nadal będzie wisieć, chociażbyś tysiąc razy powtórzył swoje gówniane przepraszam, choćbyś je sobie tym nożem na piersi wyciął jak memento, że niby nigdy więcej, i wszystkie te pierdolone kajania. Wisi! I co?

Zamilkł, łyknął wody z butelki, a potem chlusnął Krzyckiemu w twarz. Ten szybko oblizwał mokre usta.

– Wiesz co? Mam pomysł – ciągnął Kała, kiedy jego oczy nieco obeschły, a wargi przestały drżeć. – Zabiję twojego Lucka i powiem „przepraszam”. Co, jak ci się podoba? Nie sądzisz, że wtedy



bylibyśmy nieco bardziej kwita? Dla większej równowagi, takiej, powiedzmy, egzystencjalnej paraleli, powieszę go na lampie. Następnie pozwolę ci go znaleźć i spojrzeć w wywalone na wierzch oczy, a na stole zostawię karteczkę z wiadomym słówkiem. Co, fajne? No nie mów, że nie. Mnie się podoba. A wiesz, że możemy to zrobić od razu? Bo on tu jest za ścianą.

Lucek za ścianą. Andrzej wyteżył słuch. Krew w jego żyłach zaczęła szybciej krążyć.

– Tak, Krzycki, przegapiłeś drzwi na wprost w korytarzu, bo poszedłeś za światłem, jak ćma. Zawsze dużo czytałeś, w szkole nazywaliśm cię nawet literatem. Ty, literat, pamiętasz, jak wieszcz Mickiewicz nazywa ćmy? „Brudne nocy plemię”. Otóż to, Krzycki, jesteś babskim motylkiem, który lata z kwiatka na kwiatek, ale w brudnej wersji z nocy. To chciałem ci jeszcze dzisiaj powiedzieć.

Sapnął i zagryzł wargi. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Andrzej usiłował wychwycić zza ściany jakikolwiek dźwięk potwierdzający rewelację Kały. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że jeżeli to jest prawdziwy niemiecki bunkier, te ściany mają z metr grubości i nawet przez najczulszy stetoskop świata niczego stamtąd nie usłyszy. Wrócił do pracy nad oddechem. Regularne dotlenienie przy takim osłabieniu to warunek przeżycia.

– No i co, panie policjancie? – zaczął znowu Artur. Widocznie nie miał jeszcze dość gadania po dwudziestu dwóch latach milczenia. – Siedzimy tak naprzeciwko siebie, dobry glina i zły glina, i załatwiamy rachunki. Ty oczywiście jesteś ten dobry glina, najlepszy śledczy w kraju, duma polskiej policji i postrach bandytów. A kto naprzeciwko ciebie, gwiazdorze? Skorumpowany oficer, szmata i donosiciel, wreszcie gangster, gwałciciel i morderca. Bo widzisz we mnie mordercę i masz rację. Nie bronię się. Problem w tym, że nie patrzysz uważnie, i dobrze wiesz

dlaczego. Gdybyś patrzył uważnie, na drugim krześle naprzeciwko zobaczyłbyś samego siebie. Zgadza się? – Przerwał i wpatrywał się w niego, oblizując się. Sycił głód pastwienia się nad własną fantazją. – Jestem twoim odbiciem, Krzycki, i to ci we mnie najbardziej przeszkadza. Chcesz mnie zabić? To tak, jakbyś chciał zabić samego siebie, a to niemożliwe. Taki numer to może wyciąć uwiedziona i zrozpaczona narzeczona, ale nie ty. Na pocieszenie powiem ci, że „zwierciadełko, powiedz przecie” jest jednostronne; w drugą stronę nie działa i kiedy tak patrzę na ciebie, wcale nie widzę samego siebie. Czyli co? Tak – czyli mogę cię zabić.

– Zgoda, ale... oszczędź go. Jest... niewinny – wystękał Andrzej.

– Niewinny? Ależ właśnie o to chodzi! Ona też była niewinna. Śmiem nawet twierdzić, że bardziej niewinna od twojego Bałysia, dlatego właśnie umarła. Więc i on musi umrzeć. Punto. Dixit. Finito. Co było do okazania.

Kała zamilkł wreszcie i wytarł usta dłonią jak po obfitym posiłku. Krzycki nadal jednak nie rozumiał, co tamten planuje. Jego oprawca nie trzymał go w zbyt długiej niepewności. Podniósł się z błyskiem w oku, podszedł do metalowej szafki w kącie i wydobył z niej szarozieloną puszkę wielkości konserwy mięsnej z niemieckimi napisami na pobrudzonej etykietce.

– Słyszałeś o cyklonie B? Jasne, wszyscy słyszeli. Cyjanomrówczan metylu z niewielkim dodatkiem chloromrówczanu metylu w kontakcie z wilgocią uwalnia cyjanowodór. Jak widzisz, puszka jest oryginalna, ale bez obaw, zawartość całkiem świeża i powinna zadziałać bez pudła. Cha, cha, dobre! Zadziała nawet bez pudła. W pierwszym odruchu chciałem cię powiesić, ale jak sam widzisz, mam słabość do historycznych rekonstrukcji. Dlatego zrobimy tak: rozsypię zawartość na podłodze, by gaz swobodnie wypełnił pokój słynnym aromatem

migdałowym. Potrzeba około dziesięciu minut do uwolnienia takiej ilości, żeby cię zabić. Nic nie zrobisz, ponieważ reakcji nie da się zatrzymać. Nie jestem aż takim draniem, jak niektórzy myślą, więc tylko trochę pokropię podłogę wodą, nie za dużo, żeby reakcja potrwała dłużej. Oczywiście, możesz ją przyśpieszyć, pochylając się nad proszkiem. Wtedy to będzie moment...

Kała przez chwilę namyślał się, jakby sprawdzał w pamięci, czy wszystko wziął pod uwagę.

– Chciałbym, żebyś widział własną śmierć – ciągnął, nienasycony swoim gadaniem. – Dlatego wypolerowałem blat stołu. Tu masz zwierciadelko. Twój Lucek wystartuje zaraz po tobie, więc na koniec zagracie bliźniacze role w tej samej rekonstrukcji. Piękne, prawda? Aha, i jeszcze jedno.

Mocnym pchnięciem obalił go na podłogę, odpiął bransoletkę kajdanków z lewej ręki i zatrzasnął na nodze od stołu, powyżej poprzeczki uniemożliwiającej ich zsunięcie.

– To dla urozmaicenia zabawy. Żegnaj, Krzycki, ty prawdziwy policjancie.

Pozegnalny cios był krótki i wymierzony prosto w nos, ale Andrzej zdążył skrócić głowę na tyle, by nie stracić przytomności. Upadł i z perspektywy podłogi śledził poczynania swojego oprawcy. Ten założył maseczkę, przedziurawił puszkę nożem, rozsypał granulki i szybko wyszedł. Zgrzytnął klucz w zamku, a następnie rozległ się łomot opuszczanej sztaby w drzwiach wejściowych. Zapadła trumienna cisza.

Ile zostało mu czasu? Jak długo to cholerstwo działa? Powiedział, że tylko trochę pokropi wodą. Pięć minut? Dziesięć? Krzycki podniósł się na łokciu i dokładnie obmacał ubranie wolną ręką. Nie miał przy sobie nic, nawet paska od spodni. Opuścił głowę na beton i głośnym przekleństwem przyznał rację wrednemu

pesymiście. Ten wydał wargi i przedrzeźniając Kałę, odparł: „Jesteśmy kwita”.

## 6

Lucek klepnął go w ramię i Andrzej się poderwał. W pomieszczeniu nikogo nie było, ale z podłogi pod ścianą wydobywał się cichutki syk. Etruskie węże Charona. Z całej siły pchnął stół narożnikiem w drzwi. Nie ustąpiły, ale pękły. Uderzył jeszcze raz i wybił dziurę. W zamku od tamtej strony tkwił klucz. Przekręcił go i nacisnął klamkę. Znalazł się w drugim pokoju, objętość powietrza do oddychania powiększyła się niemal dwukrotnie, ale mogło to oznaczać zarówno dodatkową godzinę życia, jak i minutę. Nie miał pojęcia.

Następny problem pojawił się w przejściu. Framuga okazała się węższa od stołu. Przewrócił go na bok, ale nie zdołał przepchnąć, więc przełożył najpierw dwie przednie nogi mebla, a potem tylne. Przypominało to wypychanie nieprzytomnego osła z płonącej stajni.

Z wieszaka na ubrania lewą ręką, bo prawą wciąż więziły kajdanki, zerwał furażerkę. Kała przesadzał z dbałością o szczegóły – kto do furażerki przypina Krzyż Żelazny? Jego słabość do rekonstrukcji przyniosła jednak konkretną korzyść. Krzyż przypięto do czapki grubą spinką, którą Andrzej natychmiast wygiął w haczyk i zaczął grzebać w zamku kajdanek. Po kilku próbach puściły. Uwolnił się od stołu, pozostały jeszcze pokój, gaz i cały bunkier. Bagatela.

Mineralną z butelki zmoczył furażerkę i przykładając ją sobie do nosa i ust, krążył po pokoju w poszukiwaniu dróg wyjścia. Nie

istniały. Drzwi prowadzące na korytarz były opancerzone i obite czymś dźwiękoszczelnym. Uderzone kantem blatu nawet nie drgnęły. Zakrztusił się i wciągnął powietrze do płuc. Zamroczyło go. Oparł się o ścianę. Przed oczami latały mu ćmy wielkie jak pterodaktyle. To już?

Chciał narzucić kurtkę na zabójczy proszek, ale w tym celu musiałby wejść znowu do tamtego pokoju. Lepiej zabarykadować stołem drzwi, to przynajmniej przedłuży agonię o parę minut. Kiedy dopchnął już blat i podparł go krzesłem, rozejrzał się po ścianach. Jeśli znajdował się w naprawdę porządnym bunkrze, to musiała tu być wentylacja. Niemożliwe, żeby zapobiegliwi Niemcy nie doprowadzali tutaj powietrza, zwłaszcza że według opinii Kały pomieszczeń jest więcej i schodzą głębiej. Ten szaleniec oczywiście zatkał je na czas swojej wyrafinowanej rekonstrukcji historycznej, ale w takim razie powinien gdzieś zostać ślad.

Został.

Na ścianie pod samym sufitem widniał jaśniejszy prostokąt. Znajdował się dokładnie nad metalową szafką, niestety w narożniku obok zabarykadowanych drzwi, czyli w miejscu największego stężenia. Andrzej czuł, jak zaczyna mu brakować powietrza, jakby ktoś kawałek po kawałku zabierał mu płuca. Poczul zapach gorzkich migdałów i wśród pterodaktyli przed oczami pojawiły się dwa szczególnie barwne. Pierwszym była matka mocząca migdały w ciepłej wodzie, żeby je obrać ze skórki przed zmieleniem i dodaniem do ciasta. Drugim było zdanie Jurka Gargulskiego rzucone kiedyś na szkoleniu z trucizn: „Jak poczujesz zapach wigilijnych przygotowań, uciekaj”.

Andrzej przystawił do nosa zmiętą furażerkę, wspiął się na szafkę i owinąwszy sobie kajdanki wokół pięści, zaczął walić. Tłukł na oślep, z zaciśniętymi powiekami i niemieckim wełnianym

suknem wepchniętym w nozdrza. Nie zawsze trafiał dokładnie, ale nie odczuwał bólu. Śmierć sączyła się przez szpary do pokoju jak potworny dżin z butelki, nie miał czasu na zajmowanie się otartymi dłońmi.

Zbił tynk i zabrał się za cegły. Na szczęście ułożono je na sztorc i po paru uderzeniach jedna z nich puściła. Wepchnął ją w otwór i przystawił do dziury nos. Dmuchnęło świeże powietrze. Od dołu migdałowy aromat również zaczął przeć do wylotu z większą energią, jakby pod wpływem ciągu cyklon ożywił się i postanowił go jednak zabić szybciej. Krzycki drapał zakrwawionymi palcami popielatą zaprawę i wyrywał cegły jedną po drugiej, z rosnącym niepokojem myśląc o średnicy otworu.

Od góry dmuchnęło mocniej. Z nagłą wdzięcznością pomyślał o podłej październikowej pogodzie w środku wakacji, z niżem i mocnym zachodnim wiatrem; w upale ciąg byłby znacznie słabszy. Ruch powietrza za jego plecami wzmógł się i zapach migdałów zrobił się intensywniejszy. Andrzej metalową bransoletą zbił dolną krawędź otworu, odwrócił się i stając na palcach, wsadził w niego głowę i ramiona. Po krótkim namyśle stwierdził, że woli mieć ręce przy biodrach.

Szyb wentylacyjny miał pięćdziesiąt centymetrów szerokości i tyleż wysokości. Akurat żeby się w niego wcisnąć i utknać. Krzycki przywarł rękami do porowatej powierzchni i spróbował się odepchnąć. Przesunął się w górę o długość dłoni. Powtórzył manewr kilka razy i dzięki temu wcisnął się na tyle głęboko, by zaprzeć się o krawędź otworu prawym obcasem. Lewej nogi starał się nie używać. Kolejne odepchnięcie wcisnęło go w głąb o dalsze pół metra. Z dołu szedł delikatny, niemal czarodziejski zapach migdałów. Z góry jego czoło muskały macki nadmorskiego wiatru.

Szyb wznosił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, co ułatwiało wspinaczkę. Andrzej gratulował sobie w duszy, że nie zdjął kurtki i nie nakrył nią dymiących granulek. W samym podkoszulku nie przepchnąłby się przez ten komin. A jeśli, to tracąc skórę na plecach, bo wmurowany w ścianę kamień dwa razy przeorał mu już kręgosłup.

Po trzech metrach dobrnął do połączenia z drugim wąskim szybem wentylacyjnym, który prawdopodobnie szedł od tamtego pomieszczenia z cyklonem. Bestialski pomysł z zamurowywaniem dopływu powietrza nagle okazał się zbawienny.

W miejscu złączenia wylotów szyb nieco się rozszerzał i wznosił teraz pionowo w górę. Żeby iść dalej, Krzycki musiał podpierać się wszystkimi czterema kończynami. Właściwie trzema, ponieważ lewe kolano konsekwentnie odmawiało udziału w jakichkolwiek przedsięwzięciach. Włókł lewą nogę za sobą jak bezużyteczną protezę. Mroczny cień migdałowego aromatu snuł się za nim i nie pozwalał ani na sekundę zapomnieć, po co ta mordęga. Andrzej przywarł tyłem do szybu, docisnął dłonie do bocznych ścian i podnosząc prawą nogę, zaparł się z całej siły. Raz, dwa, hop! Poszło jakieś dwadzieścia centymetrów. Pięć prób to będzie dopiero metr. Do powierzchni pozostanie jeszcze dobre dziesięć metrów. Bagatela.

Po chwili wyczerpany i obolały organizm powtarzał czynności bez udziału myśli, poza kontrolą, jak nakręcony mechanizm. Dłonie, stopa, pchnięcie w górę. Dłonie, stopa, pchnięcie w górę. Andrzej wyłaził ciasnym kominem jak korek z butelki o bardzo długiej szyjce. Zaraz za nim pełzył dżin śmierci.

Nagle w ciemnościach Krzycki zobaczył stół wigilijny w ich mieszkaniu przy Starowiślnej. Siedzi z matką, a na stole palą się dwie świece w prostych pojedynczych świecznikach. Matka trzyma

w palcach opłatek, wyciąga do niego i w tym momencie obraz zmienia się, teraz ma przed oczami stodołę w Grobianach. Przywiązany linami do belek mężczyzna o twarzy Mieczysława Kulika śmieje się do fotografii dziecka. Trzyma ją w palcach dokładnie tak samo jak mama opłatek. Fotografia upada na klepisko, Andrzej schyla się po nią, ale uprzedzają go kobiece palce. To Iza. Mnie zdjęcie w papierową kulkę i mówi mu w twarz: „To nie twoje dziecko”. On wyciąga rękę, ale kulka spada i toczy się pod nogi przywiązanego Kulika. Ten jednak zmienia się i jest teraz Ulą Miłęcką, która kopie dalej zmiętą fotografię i z chichotem sukuba woła: „Nie twoje dziecko! Nie twoje dziecko!”. Kulka toczy się pod nogi Doroty, a ta podnosi ją, prostuje w palcach i chowa do kieszeni. Wychodzi. W jej miejsce pojawia się chudy łysy blondyn. Siedzi w kucki na wbitym w wodę palu i Krzycki z trudem rozpoznaje w nim Lucka Bałysia. „Nie wierz im”, mówi Lucek, „nie wierz nikomu”.

Andrzej uderzył w coś głową i obrazy znikły. Zaczął spadać, trąc ciałem po betonie jak po tarce. Byłby spadł na sam dół i w ten sposób zakończył definitywnie zabawę, ale jego bezużyteczna dotychczas lewa noga stanęła na wysokości zadania i oparła się na wystającym kamieniu. Zaklinował się w kominie i zacisnął z bólu szczęki, aż coś zgrzytnęło między zębami. Otaczała go ciemność tak absolutna, że nie wiedział, czy ma oczy otwarte czy zamknięte. Natomiast z całą pewnością czuł na prawym uchu podmuch zimnego powietrza. Sięgnął ręką i natrafił na poziomą krawędź. Wejście do następnego poziomego odcinka.

Wczołgał się w tunel i pełził przed siebie, łapczywie chwytając powietrze. Szum w uszach mógłby być romantycznym szumem fal, najprawdopodobniej jednak był łomotem niedotlenionej krwi w mózgu. Do gorzkich migdałów dołączył smród zaschniętych szczurzych odchodów i gnijących resztek materii, o której



szczegółach wołał nie myśleć. Jeszcze trochę, gdzieś w końcu powinno być wyjście z tego cholernego szybu wentylacyjnego. Musi odetchnąć dobrym powietrzem. Wiatr wieje powietrzem, a powietrze jest gdzieś nad nim, w żywiole powietrza. Tak to działa.

Nie, to nie brednie. To koniec. Cyjanowodór związał hemoglobinę i pozbawił mózg tlenu, a za chwilę pozbawi życia. Wygrałeś, Kała.

Idę, Lucek, idę.

Zrobiło się nieco jaśniej. Andrzej zaczął się czołgać szybciej, sunąc z twarzą zwróconą ku sufitowi, wdzięczny, że nie widzi tego wszystkiego, co do niego przywarło. Warstwa brudu i śmieci pod plecami stawała się coraz grubsza, przepychał się z trudem, aż wreszcie jego prawa ręka sięgnęła jakiejś krawędzi. Złapał ją palcami obu rąk, podciągnął się, szorując plecami po szczurzym gównie, i nagle spojrział wprost w zachmurzone niebo. Dwa metry wyżej znajdowało się zakratowane wyjście z komina wentylacyjnego. Zmrużył oczy. Chłonał powietrze, ale wciąż miał go za mało. Jakby mu została ćwiartka płuc. Podpełził w górę i teraz od wolności dzieliła go tylko żeliwna krata. Próbował ją wypchnąć, ale odpowiedziało mu szydercze łupnięcie w barku. Nic z tych rzeczy. Żyjesz jeszcze, ale za kratami i pod ziemią.

– Halo! – zachrypiał. – Heej!

Wyszło mu coś znacznie bliższego świstowi wiatru niż energicznemu wzywaniu pomocy. W polu widzenia miał jedynie bure chmury i czubki kołyszących się traw na pobliskim wzniesieniu. Wylot komina musiał znajdować się w niecce między hangarami.

– Heej! – spróbował jeszcze raz i wcisnął w ścianę prawe kolano, próbując utrzymać się przy kracie. Gonił ostatkiem sił, obraz przed oczami rozlewał się w wodniste plamy. Jeszcze trochę i zostanie bez

kolan. Spadnie z dwóch metrów jak bezwładna lalka i uszkodzi sobie wszystko to, co pozostało w nim jeszcze nieuszkodzone. Czyli w sumie niewiele. Całym jego ciałem wstrząsały drgawki przeciążonych mięśni i ścięgien, które pracowały na ostatnich nitkach.

Nagle niebo nad nim pociemniało.

– Halo! Jest tam kto? – zawołał znajomy głos.

– Nie – odparł Krzycki, zanosząc się kaszlem.

## 7

Hadczuk potrzebował dobrych paru sekund, by ochłonąć po tym, jak wydobyty z kanału wentylacyjnego mężczyzna okazał się Andrzejem, a potem potrzebował kilku następnych, by zrozumieć, co ten człowiek robi. Półprzytomny, dysząc z upiornym charkotem i cuchnąc cmentarzem, Krzycki w ogóle nie słuchał, trudno było nawet stwierdzić, czy go rozpoznał. Odepchnął go energicznie i kulejąc, pobiegł do bramy magazynu. Akurat Benek Mrówczyński i Łukasz Latawiec zajmowali się obezwładnianiem kierowcy żółtej ciężarówki, który usiłował zasypać wejście do magazynu. Uniesiona naczepa stała tuż przy rozsuwanej bramie. Trochę piasku zdążyło się zsunąć i zatarasować wejście. Inspektor odciągnął ich od skutego mężczyzny i charcząc „Brama!”, nakłaniał do pomocy. We trzech rozsunęli ciężkie skrzydła na tyle, by dało się przez nie przecisnąć, i Krzycki zniknął w środku. Wpadli za nim z latarkami i bronią gotową do strzału, ale hala była pusta. Andrzej zaczął mocować się z żelazną kurtyną na tyłach, aż odsunął ją na bok i wtedy ich oczom ukazały się ukryte za nią drzwi. Wyrwał Ryśkowi z ręki latarkę i zabraniając wchodzić za sobą, zbiegł schodami.

Światełko kołysało się w nerwowym tańcu. Krzycki przypominał ożywieńca, który niechcący wylazł z piekła i teraz za wszelką cenę próbuje się tam dostać z powrotem.

– Rozumiesz coś z tego? – spytał Łukasz, zerkając na schody.

– Niewiele – odparł Hadczuk, świecąc w dół latarką Benka. – Ale ta diabelska czeluść mi się nie podoba.

– A mnie tak! – rzucił Benek. – Ciastem świątecznym pachnie. Tam jest jakaś piekarnia?

– Jeżeli, to do pieczenia ludzi. Nie wchodźcie za mną. Wezwaliście pogotowie?

– Zaraz powinni być – potwierdził Latawiec i poświecił do podziemi, skąd dochodził łomot. – Rysiek, wiesz, co on robi?

– Domyślam się – odparł komisarz. Przyłożył do nosa rękaw koszuli i zaczął schodzić.

Na dole Krzycki właśnie sforsował drzwi. W pustym pokoju stało krzesło, a wokół jego nóg leżały na podłodze rozsznurowane więzy. Nie znalazłszy nikogo, Andrzej upadł przed krzesłem na prawe kolano i świecąc z bliska latarką, zaczął wąchać podłogę.

– Byli tu – oświadczył chrapliwie i podniósł się. Chwiał się jak pijany.

– Opanuj się wreszcie...

– Daj mi pistolet! – warknął tamten i nie czekając, sięgnął Hadczukowi do kieszeni, wyjął broń, przeładował i odpychając go, ruszył w górę. Po dwóch krokach odwrócił się.

– Nie wchodź, uciekaj! Cyjanowodór! – krzyknął przez ramię, jakby to było hasło do wyścigu, i wbiegł po schodach. Rysiek natychmiast pobiegł za nim, zastanawiając się, czy ten kompletnie stuknięty, poważnie ranny i nieludzko wytrzymały facet jest również odporny na śmiertelne trucizny. Pomyślał jeszcze, że zaledwie kilka tygodni wcześniej wpadli na fajny pomysł, by

zaprosić na ciasto i kawę kolegę po fachu z Krakowa i przy okazji poznać bliżej popularny śledczy duet. Teraz Hadczukowi wydawało się, że wydarzyło się to bardzo dawno temu i w innej galaktyce.

## 8

Krzycki ominął zbaraniałych Mrówczyńskiego i Latawca i wybiegł na płytę lotniska. Ciężarówka tkwiła tu nadal z uniesioną naczepą, zrezygnowany kierowca siedział w policyjnym samochodzie. Andrzej otworzył drzwi.

– Gdzie pojechali?

Z przystawioną do skroni lufą mężczyzna zamiast mówić, mrugał tylko oczami.

– Powiedz „nie wiem”, a pociągnę za spust.

– Jeśli tego nie mogę powiedzieć, to nic nie mówię – odparł i zamknął oczy.

Krzycki uznał, że to uczciwa odpowiedź, i zatrzasnął z hukiem samochód. Rozejrzał się wkoło i nie zobaczył nic. Inaczej nie dało się nazwać przelewających się kolorowych plam, podrygujących punkcików i secesyjnych krzywizn. Przetarł oczy wierzchem dłoni. Zrobiło się nieco wyraźniej.

– Ślady.

– Co?

– Idź za śladami – powtórzył znajomy kobiecy głos, ale Andrzej nie mógł sobie przypomnieć jego właścicielki. Rozejrzał się wkoło. Nikogo. W odległości mniej więcej dziesięciu metrów pomiędzy kępami krzaków widniały dwie świeże koleiny. Zamrugał oczami – były nadal. Zerwał się, ale ktoś złapał go za rękaw.

– Andrzej, odpuść, ledwie żyjesz – usłyszał głos, który rozpoznał natychmiast.

– Muszę.

– Pogotowie zaraz tu będzie. Jeśli nie weźmiesz zastrzyku z odtrutką, umrzesz. To cyjanowodor, sam mówiłeś.

– Puść mnie. Jeśli go nie znajdę, nie mam po co żyć.

Rysiek potrząsnął nim jak workiem kartofli.

– Nie obraż się, ale pierdolisz głupoty. Znajdziemy go lada chwila, nie dzisiaj, to jutro, ale nie musisz w tym celu popełniać samobójstwa. Jemu to nie pomoże, a ciebie zabije.

Puścił go. Andrzej się zachwiał, ukląkł na jedno kolano i podparł się ręką. Zamrugał, złapał w miarę przejrzysty obraz i wstał.

– Muszę go znaleźć i wyjaśnić mu, że nic... nie było... że źle zrozumiał i dlatego... to wszystko się stało. Przeze mnie... ale jestem... nie jestem...

Przestał mówić, ponieważ z jego ust wydobywało się już tylko rżenie. Zrobił dwa kroki i przystanął. Nie mógł się ruszyć.

– Co on gada? – dopytywał Benek z dziwnym uśmiechem. Już chciał rzucić jakiś dowcip, ale Hadczuk pokręcił głową.

– Nie wiem. Jest przytępiony trucizną i wyczerpany.

Z obu stron nadszedły wozy policyjne i otoczyły ich jak asysta oddziałów specjalnych. Migotanie kogutów i wycie syren podziałało na Krzyckiego cucąco. Wyprostował się, krzyknął do nadbiegających policjantów, żeby osłaniali mu boki, i ruszył przed siebie z nową energią. Był pewien, że Kała chciał wywieźć Bałysia quadem na plażę, ale po drodze zaczęli się szamotać i teraz tarzają się w piasku, walcząc na śmierć i życie. Lucek zginie i wtedy Andrzej nie zdąży mu wytłumaczyć, że przecież nic...

– Ruszać się! – zawołał i pobiegł wzdłuż wyłobionych kolein. Wiły się między krzewami i kępami situ, skręcały jakby dla zabawy i

na końcu wpadały pomiędzy porastające wydmy drzewa. Gdy tam dobiegł, wydawało mu się, że słyszy warkot silnika, więc wyciągnął pistolet i rozgarniając gałęzie, przedzierał się w tamtym kierunku, aż znalazł się na szczycie wydmy. Zrobił dwa kroki i stanął jak wryty. Przed nim rozciągało się ołowiane morze, puste i rozkołysane zachodnim wiatrem, z pieniającymi się białymi smugami fal. Gromadka mew dreptała po piasku we wszystkich kierunkach naraz. Na widnokregu zza nawały chmur wystrzelały w niebo pojedyncze promienie słonecznego światła. Czyste powietrze i szum wody oszołomiły Andrzeja. To było jak złoty strzał.

Na lewo od niego, jakieś sto metrów dalej, pojedynczy quad kręcił się w kółko po plaży, zataczając coraz szersze kręgi. Dwoje młodych ludzi świetnie się bawiło. Chłopak usiłował przejechać kawałek na dwóch kołach, dziewczyna machała nad głową zdjętą bluzką i krzyczała z radości na całe gardło. Poza nimi na plaży nie było nikogo.

Nie pamiętał, jak zszedł. Nogi same niosły go po zboczach, dopóki działała grawitacja, z rozpędu zrobił jeszcze kilka kroków, a potem już nie szedł, tylko płynął w powietrzu. Schował pistolet do kieszeni i wyciągnął ręce przed siebie, przekonany, że podobny do albatrosa człowiek, który siedzi na ostatnim z drewnianych pali wychodzących w morze, daje mu znaki i że to na pewno jest...

Stopy odjechały, jakby ktoś wyrwał mu dywan spod nóg. Nagle poczuł szorstkie zimno na policzku, a między zębami zgrzytnęły ziarnka piasku. „Lucek, idę” kołatało się w nim, ale nie miał siły ruszać ustami. Następna fala uderzyła w brzeg, potoczyła się dalej od poprzedniej i obmyła spierzchnięte, bezgłośnie wargi. Z głębi szklanego słoja usłyszał:

– To on... doktorze... niech się pan pośpieszy...

Powiedziałby im, że już nie muszą nic wstrzykiwać, ponieważ go znalazł. Lucek siedzi na ostatnim słupku falochronu i trzeba tylko go sprowadzić. To parę metrów, jeśli pomogą mu wstać, dosięgnie. Nie powiedział. Zimna woda zabrała mu słowa sprzed ust i poniosła z powrotem do morza.

## ZAKOŃCZENIE

W tej krainie obcy ginie

– Musiałem trochę pomęczyć lekarzy, zanim łaskawie odpuścili sobie tę swoją tajemnicę lekarską i udzielili odpowiedzi. Wprawdzie twoje płuca przypominają teraz marynowane karczochy, a mózg nadaje się głównie na karmę dla prosiąt, ale uszy powinny słyszeć i przekazywać dalej, więc przyszedłem złożyć relację. Co z tym zrobisz, twoja sprawa. Muszę to zrobić, wydawało mi się, że... No muszę, i już. Co powiedziane, to powiedziane. Widzisz mnie? Jak widzisz, to mrugnij. Lekarze mówili, że z oczami też jakby nie wszystko w porządku. Widzisz?

Krzycki mrugnął z wysiłkiem i dalej gapił się w sufit. Do lewej ręki miał wpięty wenflon, prawą dłoń ciasno spowijał bandaż, lewą połowę twarzy osłaniał spory opatrunek. Co było pod cienką kołdrą, Hadczuk wołał nie zgadywać. Wystarczyło mu wspomnienie nieprzytomnego Andrzeja wleczonego po kołobrzeskiej plaży. Lekarz z pogotowia, który walnął w niego jeszcze tam, na miejscu, końską dawkę antidotum w postaci azotynu amylu, stwierdził, że dziesięć minut później ten zastrzyk na nic by się już nie przydał.

– Aha, widzisz i słyszysz. Dobra, w takim razie zaczynam. Najpierw chciałem ci powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczny. Andrzej, nie wiem, jak to zrobiłeś, ale w naszej komendzie zaczęła się rewolucja. Ludzie na ochotnika zgłaszają się do akcji przeciwko gangsterom Kały, masowo chcą zeznawać, nie licząc się z konsekwencjami, podejmują samowolne akcje oczyszczania terenu z handlarzy narkotyków. Zdybas biega jak szalony. Wie, że prędzej



czy później i jego wezmą za dupę, więc dwoi się i troi, żeby wypaść na pierwszego reformatora. Doprowadził do umorzenia idiotycznego śledztwa przeciwko Bałysiowi, wyznaczył zadania do domknięcia sprawy Miłęckiej, groził nawet, że pociągnie do odpowiedzialności winnych służbowych zaniedbań. Nie wiadomo, co dokładnie ma na myśli, bo fakt, że Miłęcka u nas pracowała, i to pracowała dobrze, nie jest przecież żadnym zaniedbaniem służbowym. Chyba że jego samego, bo raczej wiedział o zbiorowym gwałcie sprzed lat.

Zrobił pauzę. Andrzej patrzył w sufit, obecny i nieobecny zarazem.

– Żeby zakończyć sprawę gwałtu – ciągnął Hadczuk. – Na zwirowisku znaleźliśmy ciało Rafała Dudka, czyli znanego ci Dudasa. Zginął podczas wymiany ognia z naszymi ludźmi, a prywatnie to podejrzewam, że Benek zdjął go ze swojego karabinu. Nie pytaj dlaczego. Sławek Dudek trafił do szpitala, ale na krótko. Wypisali go do domu z takim samym czepekkiem na głowie jak ten, który mu założyłeś pod Żegocinem. W tej wizerunkowej kontynuacji jest coś niedobrego...

Ugryzł się w język. Sugerowanie w tym momencie choremu, że młodszy z Dudków ma zadatki na bardziej bezwzględnego mściciela niż jego starszy brat, wydawało się niepotrzebnym potęgowaniem stresu.

– Odkryłem ciekawą rzecz przy okazji sprawdzania tożsamości Uli Miłęckiej. Gotowy? Urszula Miłęcka, urodzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, była jedynym i dosyć późnym dzieckiem Edwarda Miłęckiego i Anny z domu Grohl. Oboje byli ofiarami wypadku drogowego, ojciec zginął na miejscu, matka parę dni później zmarła w szpitalu. I tu zaczyna się robić ciekawie. W akcie urodzenia Anny Grohl widnieje imię matki

„Gerda”. Zadałem sobie trochę trudu i pogrzebałem w starych aktach parafialnych Heinsdorf, czyli przedwojennego Grębówka. Wyobraź sobie, że była tylko jedna Gerda, a na nazwisko miała... No jak? Tak, mój drogi. Liebner.

– Wiem – wyszeptał Krzycki. – Wszystko wiem.

– Gerda Liebner – kontynuował Hadczuk, nieco wytrącony z rytmu tą uwagą. – Najstarsza siostra naszej Heike Liebner, tej, która rozmawiała z Kulikiem w dniu jego śmierci i która od jakiegoś czasu wraca w rodzinne strony w poszukiwaniu... czegoś. Inaczej mówiąc, jest cioteczną babką Uli. Ciekawostki są jeszcze dwie. Po pierwsze, Gerda Liebner przeżyła wojnę i została we wsi po wkroczeniu Armii Czerwonej. Po drugie, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym urodziła córkę, a następnie znikła i wszelki ślad po niej zaginął. Dziewczynka wychowała się jako dziecko sąsiadów i nie jest pewne, czy w ogóle wiedziała cokolwiek o biologicznej matce. Oczywiście, nie muszę dodawać, że żadnego Grohla w czterdziestym siódmym tu nie było. Małżeństwo sklepikarzy o tym nazwisku zginęło podczas ewakuacji, tuż przed nadejściem frontu, w bombardowaniu. Dzieci nie mieli. Gerda wykorzystała ich nazwisko dla córki...

Zrobił krótką przerwę, zakładając, że Krzycki musi sobie to wszystko poukładać. Niemożliwe, by to już wiedział. Za oknem chmury się przerzedzały i wyszło słońce. Może wróci bardziej letnia pogoda i pójdę wreszcie na plażę, stwierdził melancholijnie Hadczuk, myśląc o zbliżającym się urlopie, po czym natychmiast zwątpił. Leżący przed nim facet, który dalekimi od normy interwencjami pozasłużbowymi przywrócił go do zupełnie normalnej policyjnej pracy, bynajmniej nie gwarantował, że z tego urlopu cokolwiek ocaleje. Wręcz przeciwnie, obiecywał pełnowymiarową robotę przez całe wakacje. Takie to słupskie lato

nad morzem. Główny slogan turystyczny miasta: „W Słupsku jak w dupsku”. Innego rymu po prostu nie ma.

– Mogę dalej? Dobra. No więc wygląda na to, że Heike Liebner o włos rozminęła się z wnuczką swojej siostry i nasza historia mogłaby potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby doszło do spotkania obu kobiet. Ale nie doszło. Żadna z nich o tej drugiej nie wiedziała, chociaż było blisko, gdy starsza pani pojawiła się w gminie u Kulika... Coś mi mówi, że jeszcze będziemy mieli do czynienia z energiczną niemiecką emerytką. Ach, byłbym zapomniał! Jest jeszcze jeden ciekawy szczegół. Wiatraki trzy, cztery i pięć, czyli miejsce śmierci trzech gwałcicieli Miłęckiej, stoją na polu należącym faktycznie do Kały, a formalnie do firmy Zbigniewa Klisza, to znaczy obecnie do jego spadkobierców. Ale przed czterdziestym piątym pole należało... No, do kogo? Tak jest, do Liebnerów. A zatem jeszcze inaczej mówiąc, Ula została zgwałcona na ziemi swoich przodków i na tej samej ziemi dokonała krwawej zemsty. Właściwie sto metrów nad ziemią. W powietrzu swoich przodków. Kurde, film by można o tym nakręcić. Tytuł: Powietrze pełne śmierci. Podoba ci się? Nie? Racja, do dupy jest.

Znowu przerwał, widząc, że Krzycki intensywnie nad czymś myśli. Wkrótce jego wargi ułożyły się w słowo „Palka”. Rysiek zrozumiał, że egzamin na dobrego śledczego trwa nadal.

– Byli z Ulą ponad rok i się rozstali. Nikt właściwie nie wiedział dlaczego, po prostu pewnego dnia przyznała się chłopakom przy kawie, że zerwała z Pawłem. On chyba nigdy do końca się z tym nie pogodził. Chodził za nią, ale parę miesięcy temu odstawiła go definitywnie. Jak sądzę, chciała mieć swobodę działania, czyste konto i wolny czas. Paweł jej to zabierał. Myślę też, że wołała go nie mieszać w planowane morderstwa, odsunąć zawczasu, zanim sama weźmie się do dzieła. Nie do końca wiem, po co podpalił magazyny

Kały. Nawet jeśli zaplanowali tę akcję z Luckiem Bałysiem, to czemu akurat wtedy? Powinien to zrobić albo wcześniej, uniemożliwiając przygotowanie zasadzki, albo później, by zostawić sobie czas na ucieczkę. No i zrobiliby to tak, by nie dać się złapać. Chyba jednak chodziło o kogoś innego. O nią. Wiesz, kombinowałem długo i doszedłem do wniosku, że on wiedział. Poznał jej tajemnicę i chciał dać do zrozumienia, że jest po jej stronie, robi dla niej rzecz nawet najokropniejszą. Pewnie naprawdę ją kochał. Co? Pieprzę głodne kawałki? No tak.

Zamilkł, przypominając sobie, jak osobiście schwytał biednego Palkę i przyprowadził go do Kały, w najśmielszych myślach nie przypuszczając, co ten z nim zrobi. A na co właściwie liczył? Jeżeli na skrupuły jednego policjanta wobec drugiego, to musiał być wtedy bardzo naiwny. Albo bardzo skłonny do oszukiwania samego siebie. W policji to dosyć częsty przypadek.

– Żyjesz? Nie? To dobrze. Twoje obie kobiety... To znaczy chciałem powiedzieć: obie odwiedzające cię kobiety, pani Dorota i sierżant Dominika, pojechały do miasta po zakupy. Jak znam szpitalne obyczaje, nawiozą tu pomarańczy, herbatników, soczków Kubuś i chusteczek higienicznych dla całego piętra. Pani Dorota wspominała, że musi dzisiaj wieczorem wracać. Dziwne. Sierżant Rodriguez zostaje u swoich rodziców na parę dni. Weźmie Lalę. Próbowałem jej spokojnie wytłumaczyć, co się dzieje, ale chyba mi nie wyszło. Nie jestem najlepszy w tych rozmowach z rodzinami zaginionych. Ach, i była tu jeszcze jedna kobieta! Wiesz, ta dziewczyna. Mam ci od niej przekazać, że wszyscy pod sądem się o ciebie dopytywali i że wywalczyliśmy dwa weta. Słuchaj, stary, jak ty to robisz? Maturzystka? Pod sądem? Walczyliście razem o weta? Boję się myśleć, co będzie, jak stąd wyjdiesz...

Przerwał i zapadła cisza. Wszystkie dotychczasowe tematy, łącznie z ostatnim, gasły jak słomiane ogniska, do których przestano dokładać słomy. Zza ich nienaturalnych rozbłysków wyłaniała się ta jedna sprawa. Na razie ostrożnie ją omijali, ale nie mogli uniknąć. Krzycki zmarszczył czoło i spojrzał Ryškowi prosto w oczy. Składał głoski wolno i z namaszczeniem, jakby każdą z nich kaligrafował w powietrzu. Hadczuk poprosił o powtórzenie nie dlatego, że nie zrozumiał, ale by zyskać na czasie. Taka sprytna metoda samooszukujących się policjantów.

– Gdzie... jest... Lucek... – mówiły sine wargi Andrzeja. Jego oczy przestały być nieobecne i płonęły. Ten człowiek w ciągu ostatnich dwóch dni odniósł kilkadziesiąt ran, parę razy stracił przytomność, z pięć razy mógł zginąć – i nadal myślał głównie o Bałysiu. Ze wzrokiem wbitym w sufit cierpliwie wysłuchiwał relacji, udawał nawet całkiem grzecznie, że się nimi interesuje, ale jego myśli ani na chwilę nie opuściły tamtego. Słuchał tylko po to, by w odpowiednim momencie zadać to swoje obsesyjne pytanie. Słowo „obsesja” chyba do końca nie wyczerpywało charakteru i złożoności relacji, jakie łączyły tych dwóch ludzi. Tu gdzieś skrywał się jeszcze jeden sekret zdumiewającego krakowskiego duetu.

– Andrzej, wiem, że to teraz zaledwie puste słowa i nie mam dla nich żadnego pokrycia w faktach, ale przysięgam ci, że go znajdziemy. Wszyscy chcą go szukać i już ruszyli w teren. To teraz sprawa absolutnie priorytetowa, bez żadnej ściemy. Chłopcy traktują rzecz ambicjonalnie, chodzi o odzyskanie twarzy przez całe miasto. Wiem, daliśmy dupy, a teraz trzeba to odpracować. Zdybas i w tej sprawie biega w kółko, żąda sprawozdań, meldunków, postępów w śledztwie. Totalny pierdolec, ale to dobrze. Znajdziemy Lucka, choćby był schowany pod ziemią. Kurde, nie o to mi chodziło. Chciałem powiedzieć, że będziemy go szukać do

upadłego. Nie no, ja się zabiję. Damy z siebie wszystko. A głowę Kały przyniosę ci na srebrnej tacy. Potnę go nożykiem do boazerii, kawałeczek po kawałeczku, kałka po kałce, a wcześniej zgwałcę policyjnym nunczako. Żartowałem. Wiem, że nieśmieszne.

Spuścił głowę i ciężko westchnął.

– Andrzej, nie mogę teraz nic więcej ci powiedzieć, bo nic nie mam. Odjechali czarnym mercedesem. Widziała ich obsługa lotniska w Bagiczu – kierowcę i Kałę. Nikogo więcej. Może Lucka upchnęli do bagażnika. Moja teoria jest jednak taka, że w ogóle go w tym bunkrze nie było. Kała to wszystko zaaranżował, łącznie ze sznurami, na których faktycznie znaleźliśmy DNA twojego przyjaciela. Wiem, że wahałeś. Ty jesteś pies pełną gębą. Ale uwierz mi, jego tam nie było. Gdzie jest? Szczerze mówiąc, nie wiem. Żyje, na pewno. Takie mam przeczucie. Wygrzebałeś się z tej komory gazowej jak zombie i Kała teraz już całkiem zbaraniał. Będzie trzymał Lucka, aż znowu przyjdiesz. Tak to widzę. Kurde, jak mi przykro... – Niezręcznie wyszła ta przemowa, więc jeszcze powtórzył: – Przysięgam, znajdę go. Andrzej, uwierz. Co?

Lekarka, ciotka Dominiki, uprzedzała go, że pacjent może mieć różne zaburzenia: mowy, słuchu, wzroku, a także kojarzenia. Użyła paru fachowych terminów, po czym na widok mocno skupionej twarzy Hadczuka dodała: „Raz jest lepiej, raz gorzej”. Uznała widocznie, że do policjanta trzeba z prosta. Przypomniawszy to sobie, widząc, jak Krzycki usiłuje coś powiedzieć i nie może złożyć odpowiednio warg.

– Jak... napis... ulica...

– Która ulica?

– Miasto... jedziemy...

– Jedziemy przez miasto ulicą? Jaka? Gdzie dokładnie?

– Ulica... napis...

– Jedziemy ulicą z napisem? Chodzi ci o ten napis na ścianie starej kamienicy po drodze do komendy? Ten, co tak się z niego śmiałeś?

Mrugnięcie.

– W tej krainie obcy ginie.

Chory nieznacznie pokręcił głową i rozciągnął wargi w niejasnym grymasie. Równie dobrze mogło to oznaczać obrzydzenie, jak i rozkosz.

– Ia... ier... ole...

– Co mówisz? Ja wpierw wolę? Ale co wolisz?

– ... ..

Przez chwilę patrzyli na siebie w napięciu. Rysiek Hadczuk miał jeszcze sporo do powiedzenia temu człowiekowi. Na przykład to, że zmienił jego życie i uratował mu córkę, czego on nigdy nie zapomni. Z nim samym również zrobił coś, co skołowanemu słupskiemu komisarzowi wydawało się niewykonalne. I wiele innych rzeczy. Zdążył jednak już się przekonać, że dla takich ludzi jak Krzycki i Bałyś nie gadanie jest najważniejsze. Powinien wstać i wyjść. Wziąć się do poszukiwań i jakoś zadośćuczynić tej zwariowanej dwójce, która w krótkim czasie tyle zdołała dla nich, ponosząc przy tym straszliwe koszty. Nigdy wcześniej nie wyobrażał sobie, że o to może chodzić w pracy śledczego.

– Wiesz co? Ja też.

Chory policjant wyszczerzył zęby w diabolicznym uśmiechu. Zdrowy policjant dostrzegł w nim blady promyk nadziei. To był cały optymizm, na jaki mogli sobie dzisiaj pozwolić.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

## OD AUTORA

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku! Znaście już z *Trylogii grobiańskiej* moją metodę mieszania rzeczywistości z fikcją, żeby trochę się pobawić w Wielkiego Architeksta, a trochę urozmaicić szary realizm. Nie inaczej jest tutaj. Akcja dzieje się na Pomorzu Środkowym, w okolicy doskonale nam znanych miast, jak Słupsk, Sławno i Koszalin, topografia jednak nie całkiem się zgadza. Niektóre miejscowości istnieją naprawdę, wiem, bo tam bywałem, inne zrodziły się w mojej głowie i stamtąd przeszły do książki. Tylko ja umiem zlokalizować Grębówko i Korczewo, a także Heinsdorf.

Z postaciami jest jeszcze lepiej, ponieważ wszystkie są całkowicie zmyślane, choć niektóre z nich twierdzą, że pełnią rzeczywiste funkcje publiczne. Miałem znakomitą okazję zwiedzić Szkołę Policji w Słupsku i pogadać z fajnymi wykładowcami, stąd wiem, gdzie mogłaby się odbywać konferencja, na której Lucek Bałyś miał pod szyją wyfiletowanego węgorza w roli krawata. Komendę Miejską Policji w Słupsku oglądałem tylko z zewnątrz, więc wewnątrz zmyślałem. Natomiast hasło „W tej krainie obcy ginie” jest autentyczne, widziane na słupskim murze parę lat temu. Poza tym Słupsk jest całkiem wporzo.

Nie wyjaśniałem wszystkiego, ale spokojnie, przyjaciele, zabawa dopiero się zaczyna. Krzycki jeszcze na Pomorzu nieźle nawywija, bo w końcu po to go tam wysłałem, a Was w ślad za nim. I pamiętajcie – ostatnie kilometry przed nadmorskimi plażami są najciekawsze! Czerwone oko w ciemności i to niezmordowane szszt, szszt, szszt...



Do pobudzania rozleniwionej wyobraźni aplikowałem sobie, oprócz hektolitrów kawy, jak zwykle Klausu Schulzemu oraz – uwaga! – odkrytego na nowo po latach Mike’a Oldfielda.

Atka, dzięki za cierpliwość.

# Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
<b>CZĘŚĆ PIERWSZA. LUCEK: OTWARCIE</b>	<b>6</b>
I. To tylko gra	7
II. Interwencje pozasłużbowe	32
III. Złe sny	66
IV. Powiedz to jeszcze raz	101
V. Grębówko	140
VI. Coś się stało	174
VII. Łowienie na żywca	202
VIII. Katastrofa	236
<b>CZĘŚĆ DRUGA. ANDRZEJ: KOREKTA</b>	<b>248</b>
IX. Pogadajmy	249
X. Rozmawiamy	281
XI. Zieziазie	323
XII. Wizja lokalna	356
XIII. Czarny anioł	392
XIV. Ciężarówka	420
XV. Lucek, idę	461
<b>ZAKOŃCZENIE</b>	<b>496</b>
<b>OD AUTORA</b>	<b>504</b>